

Chromosom 6

Cook Robin



calibre 0.9.43

CHROMOSOM 6

Tłumaczył Przemysław Bandel

Z kostnicy znikają zwłoki Carla Franconiego, znanej postaci świata przestępczego. Kilka dni później trafiają one, mocno okaleczone, na stół autopsyjny Jacka Stapletona. Poszukiwania odpowiedzi na nasuwające się pytania prowadzą aż do Gwinei Równikowej...

Dla Audrey i Barbary dwóch wspaniałych matek

Podziękowania dla

Doktora Matthew J. Bankowskiego, dyrektora

Kliniki Wirusologii, Medycyny Molekularnej i

Badań Rozwojowych, laboratoriów DSI

Joego Coksa, doradcy w sprawach karnych

Doktora Johna Gilatta, profesora

nadzwyczajnego patologii weterynarii Tufts

University School of Veterinary Medicine

Doktor Jacki Lee, szefowej Zakładu Medycyny

Sądowej w Queens w Nowym Jorku

Matts Lindena, kapitana lotnictwa z American

Airlines

Martine'a Pignede'a, dyrektora NIWA Private

Game Reserve w Kamerunie

Jean Reeds, psychologa szkolnego, uważnej

czytelniczki i krytyka

Doktora Charlesa Wetliego, szefa Zakładu

Medycyny Sądowej w okręgu Suffolk, w stanie

Nowy Jork

Prolog

3 marca 1997 roku godzina 3.30

Cogo, Gwinea Równikowa

Chociaż Kevin Marshall był posiadaczem

doktoratu z biologii molekularnej otrzymanego

w MIT* [przyp.: MIT - Massachusetts Institute

of Technology (przyp. tłum.)] przy bliskiej

współpracy ze stanowym szpitalem

Massachusetts, to z powodu jego wrodzonej

wrażliwości najbardziej oczywiste zabiegi

medyczne stawały się dla niego wielce

ambarasujące. Prawdę powiedziawszy, nigdy

nikomu się nie przyznał, że pobranie krwi czy

nawet zwykły zastrzyk stawały się prawdziwą

próbą charakteru. Igły były źródłem

"specyficznych" doznań. Ich widok wywoływał

drżenie łydek i krople zimnego potu na szerokim

czole. Kiedyś w szkole po szczepieniu

ochronnym przeciwko odrze nawet zasłabł.

W wieku trzydziestu czterech lat, po wielu latach

badań biomedycznych, w tym na żywych zwierzętach, spodziewał się pozbyć fobii, niestety, tak się nie stało. Z tego też powodu zamiast znaleźć się teraz w sali operacyjnej IA lub IB, wolał pozostać w umywalni, gdzie oparty o umywalkę zajął pozycję umożliwiającą mu obserwowanie przez okno tego, co działo się w obu salach. Do chwili, rzecz jasna, aż poczuje potrzebę odwrócenia wzroku.

W obu salach od około kwadransa leżeli pacjenci przygotowani do operacji. Dwa zespoły chirurgiczne, stojąc nieco z boku, omawiały po cichu procedurę postępowania. Wszyscy mieli na sobie czepki, maski i rękawice, byli więc gotowi do zabiegu. Przyjęto ogólną zasadę, że poza anestezjologami podającymi pacjentom znieczulenie nikt w sali operacyjnej nie prowadzi głośnych dyskusji. Jeden anestezjolog nadzorujący krążył między dwoma salami i zawsze był gotów do działania w razie najmniejszych kłopotów.

Ale nie było żadnych kłopotów. Przynajmniej do tej pory. Mimo to Kevin poczuł się zmęczony. Ku swojemu zaskoczeniu nie odczuwał tej samej

satisfakcji, która towarzyszyła mu w czasie trzech wcześniejszych analogicznych zabiegów, kiedy wynosił pod niebiosa osiągnięcia nauki i własne zdolności.

Zamiast triumfu naszedł go niespodziewany niepokój. Jego zakłopotanie pojawiło się mniej więcej tydzień temu, ale właśnie w tej chwili, kiedy spoglądał na pacjentów i zastanawiał się nad różnymi prognozami, obawy przybrały przykre dla Kevina rozmiary. Efekt był podobny do tego, który wywoływał widok igieł: na czole krople zimnego potu i drżenie nóg. Musiał mocno zacisnąć dłonie na krawędzi umywalki, żeby się nie przewrócić.

Nagle otworzyły się drzwi do sali operacyjnej IA.

Obok Kevina pojawiła się postać w masce i czepku. Znad maski patrzyły bladoniebieskie oczy. Rozpoznanie było natychmiastowe - to Candace Brickmann, jedna z pielęgniarek.

- Kroplówki zostały podłączone i pacjenci śpią.

Na pewno nie chce pan wejść? Widziałby pan wszystko o wiele dokładniej.

- Bardzo dziękuję, ale tu jest doskonale - odparł Kevin.

- Jak pan uważa.

Drzwi za Candace zamknęły się automatycznie.

Wróciła do sali operacyjnej. Kevin przyglądał się jej energicznym ruchom, kiedy szybkim krokiem przemierzała pokój. Mówiła coś do chirurgów.

W odpowiedzi zwrócili swoje spojrzenia w stronę Kevina i podniesionymi kciukami dali znać, że wszystko w porządku. Kevin, na pół przytomny, odwzajemnił gest.

Lekarze wrócili do swojej cichej rozmowy, ale to porozumienie bez słów jedynie wzmocniło jego poczucie współudziału. Puścił umywalkę i zrobił krok do tyłu. Niepokój przemieszał się teraz ze strachem. Co on zrobił?

Okręcił się na pięcie, wyszedł szybko z umywalni i opuścił blok operacyjny. Lekki podmuch powietrza ciągnął się za nim, gdy opuszczał aseptyczną przestrzeń bloku operacyjnego i wchodził do swego błyszczącego, futurystycznego laboratorium. Kevin oddychał ciężko jak po biegu.

Każdego innego dnia wejście tutaj przepełniało go myślą, iż naukowe odkrycia czekają tylko na jego magiczne dłonie. Szereg pomieszczeń

dosłownie błyszczał od najwyższej klasy wyposażenia, takiego, o jakim mógł tylko śnić. Teraz owe zaawansowane technicznie i technologicznie urządzenia dzień i noc pozostawały do jego dyspozycji. Idąc do swego biura, w zamyśleniu przesuwał palcami po metalowych blatach, klawiaturach i monitorach komputerów. Dotykał sekwencera DNA za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, kulistego MRJ* [przyp.: MRJ - magnetyczny rezonans jądrowy (przyp. tłum.)], z którego wyrastały splątane macki drutów jak u gigantycznego morskiego ukwiału. Spoglądał na PCR, którego czerwone światła mrugały niczym odległe kwazary, zwiastując replikację łańcuchów DNA. To otoczenie wcześniej napełniało Kevina nadzieją i wiarą. Teraz każda wirówka Eppendorfa czy naczynie z hodowlą tkanek stawały się milczącym przypomnieniem przykrego uczucia, którego doświadczał. Stał przy biurku i spojrzał na mapę genetyczną krótkiego ramienia chromosomu szóstego. Obszar szczególnego zainteresowania Kevina zakreślony został czerwonym kółkiem. Chodziło o główny układ

zgodności tkankowej. Problem polegał na tym, że MHC* [przyp.: MHC (ang.) - major histocompatibility complex, czyli główny układ zgodności tkankowej (przyp. tłum.)] był tylko małą częścią krótkiego ramienia chromosomu szóstego. Poza tym widniały wielkie, białe plamy odpowiadające wielu, naprawdę wielu parom zasad tworzących DNA, a co za tym idzie setkom innych genów. Kevin nie wiedział, za co odpowiadają.

Ostatnia wyprawa do Internetu po informacje dotyczące owych genów dała w rezultacie niejasne odpowiedzi. Kilku uczonych zareagowało na pytania i potwierdziło, że krótkie ramię chromosomu szóstego zawiera geny odpowiadające za rozwój układu mięśniowo-kostnego. I to wszystko. Żadnych szczegółów. Kevinem wstrząsnął dreszcz. Spojrzał w stronę dużego okna, pod którym stało biurko. Jak zawsze pokryte było kroplami z tropikalnego deszczu, który spływając po szybach, wywoływał falowanie pejzażu. Kropelki powoli łączyły się, aż osiągały masę krytyczną. Wtedy mknęły po powierzchni jak iskry spod szlifierskiej tarczy.

Kevin zapatrzył się w dal. Kontrast między blaskiem klimatyzowanego wnętrza a światem zewnętrznym był szokujący. Kłębiące się, stalowoszare chmury zasnuły niebo, nic sobie nie robiąc z tego, że pora sucha powinna była zacząć się trzy tygodnie temu. Kraj został opanowany przez rozbuchaną roślinność, tak ciemnozieloną, że zdawała się czarna. Na obrzeżu miasta zamieniała się w gigantyczną falę zielonego przyływu.

Pracownia Kevina znajdowała się w szpitalno-laboratoryjnym kompleksie w małym kolonialnym miasteczku Cogo, w Gwinei Równikowej. Szpital był jednym z kilku nowych budynków w chylącym się ku upadkowi i opuszczonym afrykańskim kraju. Gmach miał dwa piętra. Pracownia Kevina mieściła się na drugim piętrze. Okna wychodziły na południowy wschód. Z gabinetu roztaczał się widok na sporą część miasta, tę, która rozrastała się dość przypadkowo w stronę Estuario del Muni i jego życiodajnych rzek.

Niektóre z sąsiednich zabudowań zostały odnowione, inne właśnie remontowano,

większości jednak nawet nie tknięto. Pół tuzina
niegdyś pełnych uroku hacjend oplatały teraz
dziko rosnące pnącza i zarośla. Nad całą sceną
wisiało kurtyną nadzwyczajnie wilgotne, gorące
powietrze.

Mniej więcej w centrum fragmentu miasta
widocznego z okien gabinetu, Kevin obserwował
ruch wokół otoczonego arkadami budynku
ratusza. W ich cieniu kręcili się zawsze licznie
tam zgromadzeni gwinejscy żołnierze w
połowych mundurach, z niedbale
przewieszonymi przez ramiona AK-47. Jak
zwykle palili, kłócili się i popijali kameruńskie
piwo.

W końcu Kevin sięgnął wzrokiem dalej, poza
miasto, tam gdzie do tej pory podświadomie bał
się spoglądać. Teraz, patrząc na ujście rzeki,
zauważył, że woda zraszana obficie deszczem
wygląda jak wyklepana cynowa blacha. Patrząc
dokładnie na południe, dostrzegł lesistą granicę
Gabonu, na wschodzie przeskakiwał wzrokiem
po archipelagu wysp wyciągających się w
kierunku wnętrza kontynentu. Na horyzoncie
widział największą z wysp - Isla Francesca -

nazwaną tak przez Portugalczyków w
piętnastym wieku. W przeciwieństwie do innych
wysp na Isla Francesca wznosiły się porośnięte
dżunglą wapienne góry, których grzbiet biegł
środkiem wyspy jak kręgosłup dinozaura.

Serce Kevina mocniej zabiło. Pomimo deszczu i
wilgoci mógł dostrzec to, co obawiał się
zobaczyć. Podobnie jak tydzień temu znowu w
ołowiane niebo płynął wyraźną, falującą smugą
dym.

Kevin opadł na krzesło i zacisnął dłonie na
głowie. Pytał sam siebie, co zrobił. Na studiach
jako zajęcia fakultatywne wybrał sobie historię
klasyczną i dobrze pamiętał mitologię grecką.

Teraz zastanawiał się, czy nie popełnił błędu
Prometeusza. Dym oznaczał ogień i Kevin
musiał się zastanowić, czy nie był to ogień
nierozważnie skradziony bogom.

godzina 18.45

Boston, stan Massachusetts

Podczas gdy zimny marcowy wiatr uderzał
okiennicami, Taylor Devonshire Cabot
rozkoszował się ciszą bezpiecznego i ciepłego
gabinetu, wyłożonego drewnem orzechowca.

Mieszkał w położonym nad brzegiem morza Manchesterze na północ od Bostonu. Harriette Livingston Cabot, żona Taylora, kończyła przygotowania do obiadu zaplanowanego punktualnie na dziewiętnastą trzydzieści.

Taylor balansował na poręczy fotela szklanką z rzuńtego kryształu, w której połyskiwała czysta, doskonała whisky. Ogień strzelał w kominku, a z radia dochodziła przyciszona muzyka Wagnera.

W regał ścienny wbudowane były trzy telewizory nastawione teraz na lokalną stację informacyjną, CNN i ESPN.

Taylor był przykładem człowieka zadowolonego. Spędził pracowity, ale także efektywny dzień w światowym centrum GenSys, nowoczesnej firmie zajmującej się biotechnologią, w której pracował od ośmiu lat. Kompania wznosiła nowy budynek nad Charles River w Bostonie, co sytuowało ich niemal w bezpośrednim sąsiedztwie Uniwersytetu Harvarda i MIT i sprzyjało podejmowaniu zamówień. Droga do domu okazała się łatwiejsza niż zwykle, tak że Taylor nie zdążył nawet przeczytać do końca materiałów, które zamierzał przejrzeć po drodze.

Rodney, kierowca Taylora, znając zwyczaję szefa, przeprosił, że tak szybko znaleźli się w domu.

- Jestem pewny, że jutro odbijesz to sobie z nawiązką - zażartował Taylor.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy - odparł z udawaną powagą Rodney.

Taylor nie słuchał muzyki i nie oglądał wiadomości. Zamiast tego czytał raport finansowy, który miał być przedstawiony w następnym tygodniu na posiedzeniu akcjonariuszy. Ale to oczywiście nie znaczyło, że Taylor nie interesuje się tym, co dzieje się wokół niego. Bardzo niepokoił go wiejący za oknami wiatr, wsłuchiwał się w trzaskający ogień, muzykę, czujny na różne reporterskie nowinki przedstawiane w wiadomościach. Dlatego kiedy padło nazwisko Carla Franconiego głowa Taylora natychmiast się uniosła.

Wziął do ręki pilota i podkręcił głoś w środkowym monitorze. To był lokalny dziennik współpracujący z CBS. Wiadomości prezentowali Jack Williams i Liz Walker. Jack Williams wspominał Carla Franconiego i

poinformował, że stacja weszła w posiadanie taśmy wideo, na której zarejestrowano zabójstwo tego dobrze znanego członka mafii, mającego pewne powiązania z przestępczymi rodzinami Bostonu.

- Sceny przedstawione na taśmie są dość drastyczne - ostrzegął Jack. - Apelujemy więc do rodziców, aby nie pozwolili dzieciom pozostawać przed telewizorami. Być może pamiętają państwo, że kilka dni temu informowaliśmy, iż Franconi zniknął po tym, jak został postawiony w stan oskarżenia, i wielu podejrzewało ucieczkę przed rozprawą mimo wpłaconej kaucji. Jednak wczoraj niespodziewanie pojawił się znowu, oświadczając, iż zawarł układ o współpracy zawartym z prokuratorem okręgowym Nowego Jorku i że uruchomiono program ochrony świadków. Jednakże dziś wieczorem, opuszczając swą ulubioną restaurację, oskarżony gangster został fatalnie postrzelony.

Taylor siedział jak sparaliżowany, oglądając amatorski film wideo. Mężczyzna z wyraźną nadwagą wychodzi z restauracji w towarzystwie kilku ludzi, prawdopodobnie policjantów.

Niedbałym gestem pozdrawia zgromadzony tłumek gapiów i kieruje się do czekającej limuzyny. Konsekwentnie unika odpowiedzi na wszelkie pytania dziennikarzy, którym udało się dostatecznie zbliżyć. W chwili, w której schyla się, by wsiąść do samochodu, jego ciałem targa wstrząs, mężczyzna cofa się, sięga ręką do szyi, pochyla w prawo, następuje jeszcze jeden gwałtowny wstrząs i Franconi pada na chodnik. Towarzyszący mu ludzie wyciągają broń i jak szaleni kręcą się we wszystkie strony. Znajdujący się w pobliżu dziennikarze jak na komendę padają na ziemię.

- No, no! - skomentował półgłosem Jack. - Ale scena! Przypomina nieco zabójstwo Lee Harveya Oswalda. To tyle, jeśli chodzi o policyjną ochronę.

- Zastanawiam się, jak to podziała na przyszłych świadków - wtrąciła Liz.

- Z pewnością nie najlepiej - odpowiedział Jack. Oczy Taylora błyskawicznie przeskoczyły na CNN, gdzie właśnie zamierzali pokazać tę samą taśmę. Jeszcze raz obejrzał film. Twarz wykrzywił mu grymas. Po filmie reporter CNN

mówił do widzów sprzed biura Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej dla Miasta Nowy Jork.

- Nasuwa się pytanie, czy zabójstwa dokonał jeden, czy dwóch sprawców - mówił reporter ponad hałasem ulicznym Pierwszej Avenue. - Odnieśliśmy wrażenie, że Franconi został trafiony dwukrotnie. Policja ze zrozumiałych względów ubolewa nad tym faktem, odmawia wszelkich spekulacji i nie udziela żadnych informacji. Dowiedzieliśmy się, że autopsja ma zostać przeprowadzona jutro rano i przypuszczamy, że ekspertyza balistyczna wyjaśni zagadkę.

Taylor ściszył telewizor i sięgnął po szklankę.

Wstał i podszedł do okna. Przyglądał się wściekłemu, ciemnemu morzu. Śmierć

Franconiego mogła oznaczać kłopoty. Spojrzał na zegarek. W zachodniej Afryce dochodziła północ.

Złapał za telefon, połączył się z GenSys i kazał centrali połączyć się natychmiast z Kevinem Marshalllem.

Odłożył słuchawkę i znowu wyglądał przez okno.

Tak naprawdę nigdy do końca nie zaakceptował tego projektu, chociaż z finansowego punktu widzenia zapowiadał się niezwykle dochodowo.

Zastanawiał się, czy mógłby jeszcze wszystko zatrzymać. Telefon przerwał jego myśli.

Podniósł słuchawkę i usłyszał, że pan Marshall jest na linii. Po chwili ciszy zaspany głos Kevina zapytał:

- Czy to rzeczywiście Taylor Cabot?

- Pamiętasz Carla Franconiego? - zapytał Taylor, ignorując pytanie Kevina i bez wstępów przechodząc do rzeczy.

- Oczywiście.

- Dziś po południu został zamordowany. Jutro rano w Nowym Jorku przeprowadzą sekcję zwłok. Chcę wiedzieć, czy to może przysporzyć nam kłopotów?

Zapadła chwila milczenia. Taylor już zamierzał sprawdzić, czy połączenie nie zostało przerwane, kiedy Kevin odezwał się.

- Tak, mogą się pojawić problemy.

- Czy to znaczy, że w czasie autopsji ktoś może coś odkryć?

- To możliwe - uznał Kevin. - Nie

powiedziałbym, że bardzo prawdopodobne, ale jednak możliwe.

- Nie podoba mi się to "możliwe" - odparł poirytowany Taylor. Przerwał połączenie i ponownie skontaktował się z centralą GenSys.

Tym razem zażądał natychmiastowego połączenia z doktorem Raymondem Lyonsem. Kazał powiedzieć, że to wezwanie do wypadku.

Nowy Jork

- Przepraszam - szepnął kelner do doktora Lyonsa. Począł aż doktor i jego młoda, jasnowłosa asystentka i zarazem kochanka, Darlene Polson, przerwą na chwilę rozmowę. Ze swoimi szpakowatymi włosami i w klasycznie skrojonym ubraniu Lyons wyglądał na kwintesencję lekarza żywcem wyjętego z mydlanej opery. Był tuż po pięćdziesiątce, wysoki, opalony, szczupły, dystyngowany i przystojny. Mógł budzić zazdrość.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówił kelner - ale jest do pana bardzo pilny telefon. Wezwanie do wypadku. Czy mam przynieść aparat do stolika, czy może woli pan porozmawiać z holu?

Błękitne oczy Raymonda wędrowały od

uprzejmie spoglądającej, słodkiej Darlene do oczekującego na odpowiedź kelnera, którego nieskazitelne zachowanie i postawa potwierdzały wysoką ocenę "Aureoli" w przewodniku po restauracjach. Raymond nie wyglądał jednak na zadowolonego.

- Może powinienem powiedzieć, że jest pan nieosiągalny - zasugerował uprzejmie kelner.

- Nie, proszę przynieść aparat - zdecydował Raymond. Nie potrafił sobie wyobrazić, kto może go wzywać do nagłego wypadku. Nie praktykował, odkąd stracił prawo do wykonywania zawodu w wyniku wyroku za nadużycia finansowe w Towarzystwie Opieki Zdrowotnej, którym kierował przez wiele lat.

- Halo - odezwał się z wyczuwalnym drżeniem w głosie.

- Mówi Taylor Cabot. Mamy problem.

Raymond znieruchomiał, zmarszczył tylko brwi.

Taylor streścił w kilku słowach historię Carla Franconiego i rozmowę z Kevinem Marshalllem.

- Ta operacja to twoje dziecko - wypomniął poirytowany Taylor. - Ostrzegam cię, to w całej naszej działalności jedynie drobna inicjatywa. W

razie kłopotów zwinę cały ten interes. Nie chcę

mieć złej prasy, więc zajmij się tym.

- Ale co ja mogę zrobić - nieśmiało zaprotestował
Raymond.

- Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. Ale
lepiej coś wymyśl, i to szybko.

- Według mnie sprawy nie mogłyby iść lepiej -
zauważył jakby mimochodem Raymond. -

Właśnie dzisiaj miałem kontakt z lekarką z Los
Angeles, która zajmuje się gwiazdami filmu i
biznesmenami z Zachodniego Wybrzeża. Jest
zainteresowana założeniem filii w Kalifornii.

- Może ty mnie nie słyszałeś - powiedział Taylor.

- Nie będzie mowy o żadnej filii, jeżeli sprawa z
Franconim nie zostanie rozwiązana. No więc
zajmij się tym. Daję ci na to dwanaście godzin.

Odgłos kliknięcia zwiastujący nieomylnie
przerwanie połączenia sprawił, że Raymond
zadrżał. Spojrzał na słuchawkę, jakby to ona
ponosiła całą winę za niespodziewane
zakończenie rozmowy. Kelner, który cały czas
czekał w odpowiedniej odległości, zabrał aparat i
zniknął.

- Kłopoty? - zapytała Darlene.

- O Boże! - jęknął Raymond. Nerwowo gryzł koniec kciuka. To, co usłyszał, zwiastowało coś więcej niż kłopoty. Sprawa mogła zakończyć się prawdziwą katastrofą. Wobec licznych prób odzyskania licencji lekarza, które utknęły w bagnie jurydycznej biurokracji, obecna praca była wszystkim, co miał. Na dodatek ostatnio sprawy zaczęły iść w dobrym kierunku. Pięć lat zabrało mu zdobycie takiej pozycji. Nie mógł pozwolić, żeby cały wysiłek diabli wzięli.

- Co się stało? - zapytała Darlene. Ujęła dłoń Raymonda i odciągnęła ją od jego ust.

Raymond szybko opowiedział jej o autopsji Franconiego i groźbie Taylora zwinięcia całego interesu.

- Ale przecież w końcu przedsięwzięcie daje olbrzymie pieniądze - powiedziała. - Nie będzie mógł tego ot tak, po prostu zamknąć.

Raymond zaśmiał się niewesoło.

- Dla kogoś takiego jak Taylor Cabot czy GenSys to nie są duże pieniądze. Bez wątpienia zwinie interes. Do diabła, od samego początku trudno go było na to wszystko namówić.

- No to musisz ich przekonać, żeby nie robili

autopsji - zasugerowała Darlene.

Popatrzył na swoją towarzyszkę. Wiedział, że chciała dobrze, ale nie zadurzył się przecież w dziewczynie z powodu jej intelektu. Zrezygnował więc z ostrej reprimendy, choć odpowiedź nie była pozbawiona sarkazmu.

- Sądysz, że mogę po prostu wziąć słuchawkę telefonu, zadzwonić do Zakładu Medycyny Sądowej i powiedzieć im, żeby w takiej sprawie nie przeprowadzali sekcji zwłok? Daj spokój!

- Ale znasz wielu ważnych ludzi - upierała się przy swoim. - Poproś, niech oni zadzwonią.

- Proszę, kochanie... - zaczął protekcjonalnie i nagle zamilkł. Uznał, że pewnie nieświadomie Darlene podpowiedziała mu rozwiązanie.

Pomysł zaczął kiełkować.

- A może doktor Levitz? - powiedziała. - Był lekarzem pana Franconiego. Może on mógłby pomóc.

- Właśnie o tym samym pomyślałem - przyznał Raymond.

Doktor Daniel Levitz przyjmował w dużym, reprezentacyjnym gabinecie przy Park Avenue.

Wobec rosnących kosztów i kurczącej się liczby

pacjentów dał się łatwo zwerbować; był jednym z pierwszych, którzy gotowi byli podjąć ryzyko.

Na dodatek polecił wielu pacjentów, których znaczna część trudniła się tym samym co Franconi.

Raymond wstał od stołu, wyjął portfel i położył na stoliku trzy szeleszczące studolarowe banknoty. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to wystarczy na pokrycie rachunku i suty napiwek.

- Chodźmy. Musimy zadzwonić z domu.

- Ależ ja jeszcze nie skończyłam jeść - zaprotestowała Darlene.

Raymond nie raczył nawet odpowiedzieć.

Zamiast tego podszedł do dziewczyny i odsunął krzesło od stołu, zmuszając ją do wstania. Im dłużej myślał o doktorze Levitzu, tym bardziej wydawało mu się, że on może ich uratować. Jako osobisty lekarz wielu bonzów przestępczego świata Nowego Jorku Levitz znał ludzi, dla których nie było rzeczy niemożliwych.

ROZDZIAŁ 1

4 marca 1997 roku

godzina 7.25

Nowy Jork

Jack Stapleton pochylił się i mocniej nacisnął na pedały, kiedy mijał ostatnie bloki na Trzydziestej, jadąc na wschód. Około pięćdziesięciu metrów od Pierwszej Avenue wyprostował się i puściwszy kierownicę, przejechał kawałek, zanim zaczął hamować.

Zbliżające się światła na skrzyżowaniu nie świeciły jego ulubionym kolorem, a nawet Jack nie był dość szalony, żeby wypłynąć na wzburzone wody samochodów, autobusów i ciężarówek zmierzających w górę miasta.

Znacznie się ociepliło. Jeszcze dwa dni temu na ulicy leżała rozjeżdżana przez samochody dziesięciocentymetrowa warstwa brudnego śniegu. Teraz spłynął do ścieków, jedyne jego ślady widać było między parkującymi autami.

Jack cieszył się, że ulice są wreszcie czyste, bo do tej pory nie mógł dojeżdżać do pracy na rowerze.

Rower miał dopiero od trzech tygodni. Kupił go, ponieważ poprzedni ukradziono mu w zeszłym roku.

Początkowo od razu po stracie chciał kupić nowy. Na zmianę jego zdania wpłynęły pewne wydarzenia, które spowodowały, że prawie otarł

się o śmierć. Doświadczenia te wywołały czasową niechęć do niepotrzebnego zwiększania ryzyka w życiu. Nie miały co prawda nic wspólnego z jazdą na rowerze po zatłoczonym mieście, tym niemniej przestraszyły go na tyle, że swój styl jazdy musiał uznać za wyjątkowo brawurowy i nierozsądny*. [przyp.: Mowa o wydarzeniach opisanych w książce tego samego autora pt. Zaraza, Rebis, 1996 (przyp. tłum.).]

Czas osłabił obawy Jacka. Ostatecznym impulsem była strata zegarka i portfela w metrze. Następnego dnia kupił nowy rower górski cannondale i tak jak obawiali się jego przyjaciele, natychmiast przypomniał sobie wszystkie sztuczki, jakich dokonywał wcześniej, jeżdżąc po Nowym Jorku. Ale tak naprawdę Jack zmienił zwyczaje, nie kusił już losu, przeciskając się "na gazetę" między jadącymi z dużą prędkością wozami dostawczymi a zaparkowanymi autami, nie urządzał slalomu na Drugiej Avenue, a przede wszystkim po zapadnięciu zmroku trzymał się z daleka od Central Parku. Zatrzymał się na skrzyżowaniu pod światłami. Postawił nogę na krawężniku i obserwował

scenę przed budynkiem, do którego zmierzał.

Prawie natychmiast spostrzegł kilka wozów transmisyjnych telewizji z wystawionymi antenami. Parkowały po wschodniej stronie Pierwszej Avenue przed Biurem Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej dla Miasta Nowy Jork albo jak mówiła większość ludzi, po prostu przed miejską kostnicą.

Jack był patologiem sądowym od przeszło półtora roku, więc wielokrotnie obserwował podobne dziennikarskie zloty. Najczęściej oznaczały albo śmierć kogoś sławnego, albo przynajmniej uznanego za takiego przez media.

Jeżeli nie chodziło o pojedynczą śmierć, w grę wchodził masowy wypadek na przykład katastrofa lotnicza albo kolejowa. Zarówno ze względów osobistych, jak i ogólnospołecznych Jack wolał jednak pierwsze rozwiązanie.

Gdy zapaliło się zielone światło, nacisnął na pedały, przejechał przez Pierwszą Avenue i zjechał do kostnicy od Trzydziestej Ulicy podjazdem dla służbowych furgonetek. Zwykłą koleją rzeczy najpierw zaparkował rower w pobliżu składu trumien przygotowanych dla

zmarłych, których chowano na koszt miasta, i pojechał windą na piętro.

Od razu rzuciło mu się w oczy, że w biurze panuje spore zamieszanie. Kilka sekretarek było zajętych ciągle dzwoniącymi w centrali telefonami. Normalnie nie zjawiały się w pracy przed ósmą. Ich konsole aż świeciły od migających, czerwonych lampek. Nawet drzwi do dyżurki sierżanta Murphy'ego stały otworem i neon nad nimi był zapalony, a przecież rzadko zdarzało mu się przychodzić Przed dziewiątą.

Coraz bardziej zaciekawiony, wszedł do pokoju dla personelu i skierował się prosto na zaplecze, w stronę stolika z kawą. Vinnie Amendola, jeden z techników medycznych, jak zwykle ukrywał się za rozłożoną gazetą. I na tym kończyło się podobieństwo tego ranka do wszystkich innych.

Jack niemal zawsze przyjeżdżał jako pierwszy z patologów, zaś tego szczególnego dnia zastał w pracy zastępcę szefa, doktora Calvina

Washingtona, doktor Laurie Montgomery, a nawet doktora Cheta McGovern. Cała trójka pochłonięta była rozmową z sierżantem

Murphyem i, ku zaskoczeniu Jacka, z

porucznikiem Lou Soldano z komendy miejskiej.

Lou był częstym gościem w kostnicy, ale z pewnością nie o siódmej trzydzieści rano. A na dodatek wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka albo spał w ubraniu.

Jack nalał sobie kawy. Nikt nie zauważył jego przyjścia. Wsypał sporą porcję cukru do kubka i ruszył w stronę drzwi prowadzących do holu.

Wyjrzał na zewnątrz i jak się spodziewał, ujrzał tłum fotoreporterów i dziennikarzy

rozprawiających między sobą i popijających kawę z automatu. Natomiast nie spodziewał się, że niektórzy z obecnych będą palić papierosy, a tak właśnie było. Ponieważ w budynku panował bezwzględny zakaz palenia, Jack polecił

Vinniemu wyjść i poinformować o tym zgromadzonych.

- Jesteś bliżej - odparł Vinnie, nie wyglądając nawet zza gazety.

Jack szeroko otworzył oczy na tę manifestację braku respektu ze strony Vinniego, ale nie zaprotestował, bo w duchu musiał przyznać, że jego kolega ma rację. Podeszedł więc osobiście do oszklonych drzwi i otworzył je. Zanim zdążył

otworzyć usta, żeby przypomnieć o zakazie
palenia tytoniu, obstała go chmara
dziennikarzy.

Musiał odepchnąć kilka mikrofonów, które
wręcz dźgały go w twarz. Pytania padły
równocześnie, tak że Jack nie rozumiał, o co
pytano, dotarło do niego jedynie, że chodzi o
jakąś autopsję. Ile sił w płucach zawołał, że nie
wolno palić, i dosłownie strząsnął z ramion
czyjeś ręce, zanim udało mu się zamknąć drzwi.

Dziennikarze napaarli na nie z impetem.

Zdegustowany tym widokiem Jack wrócił do
pokoju dla lekarzy.

- Czy ktoś łaskawie wyjaśni mi, co tu się dzieje? -
zapytał głośno.

Wszyscy obrócili się w jego stronę; pierwsza
odezwała się Laurie.

- Nie słyszałeś?

- A pytałbym, gdybym słyszał? - odparł Jack.

- Na miłość boską o niczym innym nie mówią w
telewizji - zachnął się Calvin.

- Jack nie ma telewizora - odpowiedziała Laurie.

- Sąsiedzi nie pozwalają.

- Gdzie pan mieszka? - zapytał zaskoczony

sierżant Murphy. - Nigdy nie słyszałem, żeby sąsiedzi zabraniali sobie nawzajem posiadać telewizory. - Wiekowy Irlandczyk z czerwoną twarzą przybrał ojcowski ton. Został przydzielony do służby w kostnicy wiele lat temu, tak wiele, że nie chciał się przyznawać ile, ale dlatego też o wszystkich pracownikach myślał jak o członkach swojej rodziny.

- Mieszka w Harlemie - wyjaśnił Chet. -

Właściwie to jego sąsiedzi cieszyliby się, gdyby kupił telewizor, bo mogliby go sobie pożyczyć.

- Wystarczy, moi drodzy - przerwał Jack. -

Powiedzcie, co to za historia.

- Wczoraj po południu odstrzelili jednego z bossów mafii - wyjaśnił swym donośnym głosem Calvin. - Od czasu, gdy złożył deklarację o gotowości do współpracy z prokuraturą, jakby kto wsadził kij w gniazdo szerszeni, a gangster znalazł się pod opieką policji.

- Nie był bossem mafii - zaprzeczył Lou Soldano.

- Był jedynie jednym z ludzi ze średniego szczebla rodziny Vaccarro.

- Mniejsza o to. - Calvin machnął z lekceważeniem ręką. - Problem w tym, że trafili

go, kiedy znajdował się pod opieką policji

nowojorskiej, co mówi nam wiele o jej

zdolnościach do chronienia człowieka.

- Ostrzegano go, żeby nie wychodził do

restauracji - protestował Lou. - Wiem to na

pewno. Nie można chronić człowieka, jeżeli nie

chce się stosować do dobrych rad.

- Możliwe, że został zabity przez policję? -

zapytał Jack. Jednym z zadań patologa

sądowego było branie pod uwagę Wszystkich

możliwości, zwłaszcza kiedy chodziło o śmierć

człowieka aresztowanego, który znajdował się

pod strażą Policji.

- Nie był aresztowany - zaprzeczył Lou,

domyślając się, co chodzi Jackowi po głowie. -

To znaczy wcześniej był zatrzymany i

postawiono mu zarzuty, ale wyszedł za kaucją.

- Skąd więc ta cała heca? - zapytał Jack.

- Stąd, że burmistrz, prokurator okręgowy i

komisarz policji są wściekli jak jasna cholera -

odpowiedział Calvin.

- Amen - potwierdził Lou. - Szczególnie

komisarz. Dlatego tu jestem. Sprawa staje się

jednym z tych uwielbianych przez media

koszmarów, kiedy można swobodnie zatracić

wszelkie proporcje. Musimy znaleźć sprawcę lub sprawców tak szybko, jak się da, inaczej polecą głowy.

- I stracie przyszłych potencjalnych świadków - dodał Jack.

- Tak, to też - przyznał Lou.

- Nie wiem, Laurie - Calvin wrócił do przerwanej rozmowy. - Doceniam, że zjawiałaś się tak wcześnie i jesteś gotowa wziąć ten przypadek, ale możliwe, że Bingham będzie chciał zrobić to osobiście.

- Ale dlaczego? Przecież przypadek jest prosty, a ja ostatnio robiłam kilku zastrzelonych. Poza tym Bingham jest w ratuszu na spotkaniu w sprawach budżetowych i nie zjawi się wcześniej jak koło południa. Do tego czasu skończę i wyniki znajdą się już w rękach policji. Skoro czas dla nich jest w tej sytuacji tak ważny, moja propozycja chyba ma sens.

Calvin spojrzał na Lou.

- Sądzi pan, że pięć, sześć godzin może mieć znaczenie dla śledztwa?

- Może - przytaknął Lou. - Psiakrew, im szybciej

autopsja zostanie przeprowadzona, tym lepiej.

Dowiemy się chociażby, czy mamy szukać jednego człowieka, czy dwóch, a to już będzie bardzo pomocne.

Calvin westchnął.

- Nie cierpię takich decyzji. - Przeniósł potężny ciężar swego studwudziestokilogramowego, umięśnionego ciała z jednej nogi na drugą. -

Kłopot polega na tym, że zazwyczaj nie potrafię przewidzieć reakcji Bingham. Ale do diabła z tym. Laurie, bierz się do roboty. To twój przypadek.

- Dzięki - odparła zadowolona Laurie. Złapała teczkę osobową Franconiego. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby Lou obserwował?

- Absolutnie nic - zgodził się Calvin.

- Chodź, Lou - zawołała Laurie, wzięła fartuch z krzesła i ruszyła do drzwi. - Zejdziemy na dół i przeprowadzimy pierwsze zewnętrzne oględziny, a potem prześwietlimy ciało rentgenem.

Niestety, w całym tym zamieszaniu nie zrobili tego wczoraj wieczorem.

- Prowadź - odparł Lou.

Jack przez chwilę zastanawiał się nad czymś, ale

szybko podjął decyzję i pobiegł za nimi.

Zaciekawiło go, dlaczego Laurie tak bardzo chciała przeprowadzić tę sekcję. Uważał, że zrobiłaby lepiej, gdyby trzymała się z daleka od tej sprawy. Taki polityczny problem zawsze był jak gorące ziemniaki, których nie było komu wyciągać z ogniska.

Laurie szła szybkim krokiem i Jackowi nie udało się ich złapać przed salą konferencyjną. Lekarka zatrzymała się nagle i zajrzała do biura Janice Jaeger. Janice była sądowym wywiadowcą, czasami nazywano ich asystentami patologów albo krótko "apsami". Miała nocną zmianę, ale że pracę traktowała śmiertelnie poważnie, zawsze zostawała rano dłużej i kończyła papierkową robotę.

- Będiesz się widziała z Bartem Arnoldem przed wyjściem? - zapytała Laurie. Bart Arnold był szefem "apsów".

- Zazwyczaj go spotykam - odpowiedziała Janice. Była szczupłą, ciemnowłosą kobietą z wyraźnie podkrążonymi oczami.

- Wyświadcz mi przysługę. Poproś Barta, żeby ściągnął z CNN kasetę wideo ze strzelaniną

sprzed restauracji. Wiesz, śmierć Franconiego.

Chciałabym to zobaczyć tak szybko, jak się da.

- Załatwione - Janice odparła z uśmiechem.

Laurie i Lou poszli dalej.

- Hej, wy tam, zwolnijcie. - Jack wreszcie

dogonił przyjaciół.

Laurie nie zatrzymując się, rzuciła:

- Mamy robotę do wykonania.

- Nigdy nie widziałem u ciebie takiego zapału do

pracy - stwierdził Jack, gdy w trójkę spieszyli do

sali autopsyjnej. - Co w tym takiego

atrakcyjnego?

- Wiele rzeczy - odpowiedziała. Dotarli do windy

i Laurie nacisnęła przycisk.

- Na przykład? - Jack zachęcał ją do wynurzeń. -

Nie zamierzam wchodzić ci w paradę, ale

przecież to niezwykle delikatna, polityczna

sprawa. Nieważne, co zrobisz czy powiesz,

zawsze kogoś wkurzysz. Myślę, że Calvin ma

rację. Tego gościa powinien zrobić sam szef.

- Masz prawo do własnego zdania - powiedziała

Laurie. Jeszcze raz wcisnęła przycisk. Winda dla

personelu była irytująco wolna. - Ja jednak

widzę sprawy inaczej. Po tych wszystkich

zastrzelonych, których robiłam, fascynuje mnie szansa zbadania ran i znalezienia potwierdzenia na taśmie wideo z zarejestrowanym morderstwem. Mam zamiar napisać artykuł o ranach postrzałowych i ten przypadek może stać się koronną sprawą.

- O rety - jęknął Jack, spoglądając w sufit. - I do tego ma tak szlachetną motywację. - Spojrzał znowu na Laurie i powiedział: - Powinnaś to jeszcze raz przemyśleć. Przeczucie podpowiada mi, że nabawisz się potężnego biurokratycznego bólu głowy. Jeszcze masz czas, żeby się wycofać. Musisz jedynie odwrócić się na pięcie, pójść do Calvina i oznajmić, że zmieniłaś zdanie.

Ostrzegam cię, podejmujesz spore ryzyko.

Laurie roześmiała się.

- Jesteś ostatnią osobą, która ma prawo ostrzegać innych przed ryzykiem. - Mówiąc to, wyciągnęła rękę i wskazującym palcem trąciła Jacka w nos. - Wszyscy twoi znajomi, włącznie ze mną, prosili, żebyś nie kupował nowego roweru. Ryzykujesz życie, nie ból głowy.

Zjawiała się winda i Laurie z Lou wsiedli. Jack zawahał się, ale w ostatniej chwili przecisnął się

do środka przez zamykające się już drzwi.

- Daj sobie spokój i nie mówmy więcej o tym -

zaprotestowała Laurie.

- W porządku - zgodził się, podnosząc dłoń w geście przysięgi. - Obiecuję, żadnych więcej rad.

W takim razie chciałbym się temu niezobowiązująco przyjrzeć. Dzisiaj mam papierkowy dzień, więc chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym popatrzył?

- Jeśli chcesz, możesz zrobić coś więcej, możesz pomóc - odparła Laurie.

- Nie chciałbym wściubiać nosa w wasze sprawy

- powiedział Jack, a ukryta w tym aluzja była oczywiście zamierzona.

Tym razem Lou roześmiał się, a Laurie zarumieniła, lecz milczenie było jedynym komentarzem.

- Wydaje mi się, że są jeszcze inne powody twojego zainteresowania tym przypadkiem.

Jeżeli nie jestem zbyt natarczywy, mogłabyś zaspokoić moją ciekawość?

Laurie posłała Lou szybkie spojrzenie. Jack zauważył je, lecz nie potrafił zinterpretować.

- Hmmm - mruknął. - Mam wrażenie, że chodzi

tu o coś, co nie jest moją sprawą.

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczył Lou. - Chodzi o niezwykle powiązanie. Ofiara, Carlo Franconi, zajął miejsce pewnego gangstera, niejakiego Pauliego Cerina. Miejsce Cenna było wolne od czasu, gdy wsadziliśmy go do paki, głównie dzięki uporowi i ciężkiej pracy Laurie.

- I twojej - dodała Laurie.

Winda stanęła i drzwi rozsunęły się.

- Tak, ale przede wszystkim twojej - powtórzył Lou.

Wszyscy troje wyszli na parter i skierowali się do biura kostnicy.

- Czy Cerino miał coś wspólnego z tą serią przedawkowań, o której wspominałaś? - zapytał Jack.

- Obawiam się, że tak. To było straszne. To wszystko wywarło na mnie wstrząsające wrażenie, a trzeba dodać, że niektórzy z bohaterów tamtej sprawy ciągle są w pobliżu, włączając w to Cerina, mimo że siedzi w więzieniu.

- I najpewniej nie opuści go tak szybko - dodał Lou.

- Chciałabym w to wierzyć - stwierdziła Laurie. -

W każdym razie sądziłam, że wyjaśnienie sprawy

Franconiego może jakoś zamknąć ten rozdział.

Ciągle miewam koszmarne sny.

- Zamknęli ją w sosnowej trumnie i wywieźli

stąd - wyjaśnił Lou. - Odjechali jednym z

furgonów do przewożenia zwłok.

- Mój Boże! - zawołał Jack. - Nigdy mi o tym nie

opowiadałaś.

- Staralam się o tym nie myśleć - odpowiedziała i

natychmiast dodała, nie tracąc spokoju: -

Poczekajcie tu, chłopcy.

Weszła do biura kostnicy po kopię listy zwłok

przyjętych w nocy, z numerami lodówek, w

których je umieszczono.

- Nie mogę sobie wyobrazić zamknięcia w

trumnie - powiedział Jack i wstrząsnął nim

dreszcz. Najbardziej bał się wysokości, ale czuł,

że zamknięta przestrzeń trumny to równie

dotkliwa fobia.

- Ani ja - zgodził się Lou. - Ale ona

nadzwyczajnie szybko wróciła do normy. W

godzinę po uwolnieniu miała na tyle trzeźwy

umysł, że potrafiła wymyślić sposób na

uratowanie nas obojga. To było szczególnie

bolesne, gdyż to ja ją miałem uratować i po to się tam zjawiłem.

- Jezu! - stęknął Jack, kręcąc głową. - Do tej chwili sądziłem, że najgorsze ze wszystkiego były moje przeżycia spod zlewozmywaka, do którego przykuła mnie para morderców, a potem kłóciła się o to, które z nich ma mnie wykończyć.

Laurie wyszła z biura, machając kartką.

- Przedział sto jedenasty. Miałam rację. Nie prześwietlili go w nocy.

Laurie szła niczym mistrzyni chodu, Jack i Lou musieli się nieźle natężyć, żeby za nią nadążyć.

Zmierzała wprost do właściwej lodówki. Przy drzwiczkach teczkę osobową denata wsunęła pod lewe ramię, prawą ręką zwolniła zamek.

Jednym ciągłym, wprawnym ruchem otworzyła drzwiczki i wysunęła półkę z denatem.

Zmarszczyła brwi.

- Dziwne! - zauważyła. Półka była pusta, nie licząc kilku plam krwi i zaschniętych śladów innych wydzielin.

Wsunęła z powrotem półkę i zamknęła drzwi.

Ponownie sprawdziła numer. Nie było pomyłki.

Sto jedenaście. Po ponownym sprawdzeniu na liście, czy nie popełniła jakiegoś błędu, otworzyła drzwiczki, osłoniła oczy od blasku wiszących pod sufitem lamp i wpatrzyła się w mroczną, pustą przestrzeń. Nie było wątpliwości, w lodówce nie było zwłok Franconiego.

- Co, do diabła! - zaklęła Laurie. Zatrzasnęła drzwiczki.

Żeby się upewnić, że nie doszło do jakiejś głupiej pomyłki w zapisie, sprawdziła po kolei wszystkie sąsiednie lodówki, jedną po drugiej. Tam, gdzie były zwłoki, sprawdzała z listą nazwiska i numery. Ale wkrótce stało się jasne - Carla Franconiego wśród nich nie było.

- Nie do wiary - stwierdziła ze złością i frustracją w głosie. - To cholerne ciało zniknęło!

Odkąd okazało się, że lodówka jest pusta, na ustach Jacka błąkał się lekki uśmiech. Teraz, widząc rosnące rozdrażnienie Laurie, nie mógł się powstrzymać i wybuchnął serdecznym śmiechem. Niestety to tylko jeszcze bardziej rozdrażniło koleżankę.

- Przepraszam - powiedział. - Intuicja

podpowiedziała mi, że ten przypadek przyprawi
cię o biurokratyczny ból głowy. Myliłem się. Ten
przypadek przyprawi o ból głowy całą
biurokrację.

ROZDZIAŁ 2

4 marca 1997 roku

godzina 13.30

Cogo, Gwinea Równikowa

Kevin Marshall odłożył długopis i popatrzył
przez okno znad biurka. W przeciwieństwie do
burzy, jaka targała jego wnętrzem, pogoda na
zewnątrz była raczej przyjemna. Po raz pierwszy
od wielu miesięcy Kevin dostrzegał
prześwitujące między chmurami plamy
błękitnego nieba. Pora sucha wreszcie się
zaczynała. Oczywiście nie znaczyło to, że będzie
sucho, znaczyło tylko, że nie będzie padać tyle ile
w porze deszczowej. Minusem było to, że
promienie słoneczne podnosiły temperaturę do
poziomu panującego normalnie w piekarniku. W
tej chwili było około czterdziestu sześciu stopni
w cieniu.

Kevin nie potrafił skupić się przy pracy, nie spał
też dobrze w nocy. Niepokój, który odczuwał

podczas kolejnych operacji, nie ustąpił. Prawdę powiedziałwszy, to nawet było jeszcze gorzej, szczególnie po zaskakującym telefonie od naczelnego z GenSys, Taylora Cabota. Wcześniej Kevin rozmawiał z nim tylko raz. Większość ludzi w kompanii wrażenie z takiej rozmowy przyrównywała do rozmowy z Bogiem.

Jakby tego wszystkiego było mało, z Isla Francesca w niebo wzbijała się kolejna smuga dymu. Zauważył ją wczesnym rankiem, zaraz po wejściu do gabinetu. O ile zdołał się zorientować, unosiła się z tego samego miejsca co ta z poprzedniego dnia: strome zbocze wapiennego grzbietu. To, że w tej chwili nie widział dymu, nie przywracało mu spokoju.

Rezygnując z dalszych prób podjęcia pracy, Kevin zdjął biały fartuch i przewiesił go przez krzesło. Właściwie nie był głodny, ale wiedział, że jego gosposia, Esmeralda, przygotowała lunch, więc czuł, że powinien się pokazać.

Zszedł półtora piętra w stanie dziwnego oszołomienia. Minęło go kilku współpracowników, każdy z nich powiedział coś na przywitanie, ale on szedł, jakby nikogo nie

widział i nie słyszał. Złe myśli zaprzętały mu umysł. Po ostatniej dobie doszedł do wniosku, że musi podjąć działania. Niestety, problem nie rozwiązał się sam, choć kiedy Kevin w zeszłym tygodniu zobaczył ogień po raz pierwszy, miał nadzieję, że tak się stanie.

Niestety, nie miał pojęcia, co mógłby zrobić.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest bohaterem, po wielu latach zaczął wręcz myśleć o sobie jak o tchórze. Nienawidził konfrontacji i unikał jej.

Jako chłopiec wzbraniał się nawet przed wszelką rywalizacją, pozwalając sobie jedynie na grę w szachy. Wyrósł na kompletnego samotnika.

Kevin zatrzymał się przed szklanymi drzwiami dzielącymi go od świata zewnętrznego. Po drugiej stronie placu widział te same grupki żołnierzy gwinejskich ukrytych w cieniu arkad ratusza. Oddawali się z pasją zwyczajowemu lenistwu, pozwalając, żeby czas płynął bez celu. Jedni siedzieli na starych trzciniowych krzesłach i grali w karty, inni stali oparci o ściany i kłócili się ze sobą piskliwymi głosami. Prawie wszyscy palili. Papierosy były częścią ich żołądka. Ubrani byli w zaplamione mundury w leśny kamuflaż z

wysokimi, wojskowymi butami i czerwonymi beretami. Wszyscy mieli przy sobie broń automatyczną; jedni przewiesili karabiny przez ramię, inni postawili je przy ścianie w zasięgu ręki.

Żołnierze przerażali Kevina od kiedy zjawił się w Cogo pięć lat temu. Cameron McIvers, szef ochrony, który oprowadzał go po okolicy, zapewnił, że GenSys wynajęło sporą część armii do ochrony kompanii. Później Cameron przyznał, że tak zwane zatrudnienie armii było niczym innym tylko dodatkowym opłaceniem się rządowi oraz osobno Ministerstwu Obrony i Ministerstwu Administracji Krajowej.

Z perspektywy Kevina żołnierze wyglądali raczej na grupę znudzonych nastolatków, a nie na ochronę czegokolwiek. Ich skóra miała kolor przypalonego hebanu. Ich obojętne spojrzenia i uniesione w charakterystycznym łuku brwi nadawały twarzom wyraz lekceważenia zmieszanego z nudą. Kevinowi ciągle towarzyszyło uczucie, że świerzbią ich ręce, aby z byle powodu użyć broni.

Pchnął skrzydło drzwi, wyszedł i przeszedł przez

plac. Nie spoglądał w stronę żołnierzy, ale z doświadczenia wiedział, że niektórzy z nich obserwują go i na samą myśl cierpła na nim skóra. Kevin nie znał ani słowa w lokalnym narzeczu fang, nie miał więc pojęcia, o czym rozmawiają.

Natychmiast gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku żołnierzy, poczuł ulgę i zwolnił kroku.

Połączenie upału i prawie stuprocentowej wilgotności sprawiało wrażenie przebywania w łaźni parowej. Najmniejszy wysiłek spływał po człowieku potem. Już po kilku minutach czuł przylepioną do pleców koszulę.

Dom Kevina znajdował się mniej więcej w połowie drogi między nadrzeczną dzielnicą a kompleksem szpitalno-laboratoryjnym.

Właściwie była to odległość trzech krótkich przecznic. Miasto było małe, ale pełne swoistego uroku. Domy zbudowano z cegieł pokrytych tynkiem w jaskrawych niegdyś kolorach i przykryto czerwonymi dachówkami. Teraz kolory wypłowiwały, nabierając pastelowych odcieni. Żaluzje zawieszane nad oknami były w opłakanym stanie, jedynie te na odnowionych

budynkach zostały zreperowane i prezentowały się przyzwoicie. Ulice tworzyły rozgałęzioną sieć, ale były brukowane przywiezioną przed laty kostką granitową, która niegdyś służyła na żaglowcach za balast. W czasach hiszpańskiego kolonializmu dobrobyt miasta brał się z rolnictwa, szczególnie z upraw kakao i kawy, wtedy też cieszyło się ono sporym zaludnieniem szacowanym na kilka tysięcy mieszkańców.

Historia miasta dramatycznie zmieniła się po roku 1959. Wtedy Gwinea Równikowa otrzymała niepodległość. Nowy prezydent, Macias Nguema, szybko przemienił się z popularnego przywódcy ludowego, wybranego na urząd przez mieszkańców, w sadystycznego dyktatora, jednego z najgorszych na kontynencie, którego okrucieństwa szybko przebiły nawet wyczyny Idiego Amina z Ugandy czy Jeana-Bedela Bokassy z Republiki Środkowoafrykańskiej. Skutki dla kraju były apokaliptyczne. Ponad pięćdziesiąt tysięcy osób zostało zamordowanych, jedna trzecia ludności uciekła, w tym wszyscy osadnicy hiszpańscy. Większość miast zdziesiątkowano, najbardziej właśnie

Cogo, które zostało całkowicie wyludnione.

Drogi łączące Cogo z resztą kraju zrujnowano i wkrótce stały się nieprzejezdne.

Przez wiele lat miasteczko było skazane na los ledwie ciekawostki turystycznej dla przypadkowych gości przyplływających tu motorówkami z nadmorskiego Acalayong. Kiedy siedem lat temu zjawili się tu przedstawiciele GenSys, dżungla zaczęła odbierać tereny, które niegdyś zajmowała. Właśnie to odosobnienie, izolacja Cogo, bezgraniczne zdawało się otoczenie wiecznie zielonych lasów uznano za idealne miejsce dla przedsięwzięcia planowanego przez kompanię. Po powrocie do Malabo, stolicy Gwinei Równikowej, przedstawiciel GenSys natychmiast rozpoczął rozmowy z odpowiednimi władzami kraju.

Wobec tego, że kraj należał do najuboższych w Afryce i rząd ciągle poszukiwał nowych źródeł pieniędzy, negocjacje postępowały szybko.

Kevin minął ostatnie skrzyżowanie i stanął przed własnym domem. Jak większość budynków w mieście był to dwupiętrowy dom, odnowiony przez firmę, aby nadać mu dawny miły wygląd.

W rzeczywistości był to jeden z najładniejszych budynków w mieście i źródło zazdrości innych pracowników GenSys, szczególnie szefa ochrony Camerona McIversa. Tylko kwatery Siegfrieda Spalleka, kierownika Strefy, i Bertrama Edwardsa, szefa służby weterynaryjnej, miały ten sam standard. Kevin podejrzewał, że swoje szczęście zawdzięcza wstawiennictwu doktora Raymonda Lyonsa, ale nie wiedział tego na pewno.

Dom postawił w połowie dziewiętnastego wieku zamożny kupiec. Była to typowa hiszpańska architektura. Jak w budynku ratusza, parter otaczały arkady. Pierwotnie mieściły się tutaj sklepy i składy towarów. Zasadnicza część mieszkalna z trzema sypialniami, trzema łazienkami, pokojem dziennym ciągnącym się na całą szerokość budynku, jadalnią, kuchnią i małą służbówką zajmowała pierwsze piętro. Z wszystkich czterech stron otaczała je weranda. Na drugim piętrze była tylko jedna olbrzymia sala z podłogą z szerokich desek, oświetlana dwoma wielkimi żyrandolami z lanego żelaza. Z łatwością pomieściłaby setkę ludzi, była więc

przeznaczona na spotkania towarzyskie.

Kevin wszedł do środka i centralnie usytuowanymi schodami udał się na piętro. Z małego holu przeszedł do jadalni. Tak jak się spodziewał, zastał stół nakryty do lunchu.

Dom był za duży dla Kevina, tym bardziej, że nie miał rodziny. Powiedział to, kiedy pokazano mu go zaraz po przyjeździe, ale Siegfried Spallek stwierdził, że decyzję podjęto w Bostonie i odradził narzekanie. Kevin przyjął więc oferowaną kwaterę, ale zazdrość współpracowników często wywoływała u niego złe samopoczucie.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawiała się Esmeralda. Zastanowił się, jak to robi. Zupełnie jakby cały czas stała przy oknie i czekała na jego pojawienie się. Była miłą kobietą w nieokreślonym wieku, o okrągłej twarzy i smutnych oczach. Ubrana była we wzorzystą koszulę i dobraną do niej chustę ciasno obwiązaną na głowie. Poza miejscowym językiem swobodnie mówiła po hiszpańsku i znośnie po angielsku, który codziennie doskonaliła.

Od poniedziałku do piątku Esmeralda mieszkała w służbówce. Na weekend zostawała z rodziną w wiosce zbudowanej przez GenSys na wschód od miasta nad brzegiem rzeki. Mieszkali tam licznie zatrudnieni w Strefie miejscowi robotnicy.

Strefą nazywano teren zajmowany przez gwinejski oddział GenSys na prowadzoną operację. Esmeralda i jej rodzina przeprowadzili się do wioski z Bata, głównego ośrodka miejskiego w środkowej części kraju. Stolica państwa, Malabo, leżała na wyspie Bioko.

Kevin zachęcał Esmeraldę, żeby wieczorami wracała do domu, do rodziny, jeśli ma na to ochotę, lecz odmawiała. A gdy nalegał, odpowiadała, że polecono jej zostawać cały dzień w Cogo.

- Był telefon do pana - poinformowała Esmeralda.

- Och - zareagował nerwowo Kevin. Serce mocniej mu zabiło. Dzwonek telefonu odzywał się rzadko, a Kevin w obecnym stanie nie potrzebował dodatkowych niespodzianek.

Telefon w środku nocy od Taylora Cabota w zupełności wystarczył.

- Dzwonił pan doktor Raymond Lyons z Nowego Jorku. Chce, żeby pan oddzwonił do niego.

To, że wiadomość przysłała zza oceanu, nie zaskoczyło Kevina. Dzięki łączności satelitarnej zainstalowanej w Strefie przez GenSys łatwiej było połączyć się z Europą czy Stanami niż z Bata, leżącym sześć mil na północ. Kontakt z Malabo był prawie niemożliwy.

Kevin ruszył w stronę pokoju dziennego, gdzie na biurku stał aparat telefoniczny.

- Będzie pan jadł lunch? - zapytała gosposia.

- Tak - odpowiedział. Nie czuł głodu, ale nie chciał urazić uczuć Esmeraldy.

Usiadł za biurkiem. Z ręką na słuchawce szybko policzył, że w Nowym Jorku jest mniej więcej ósma rano. Zastanawiał się, czego mógł chcieć doktor Lyons i zgadywał, że musiało to mieć coś wspólnego z jego krótką nocną rozmową z Taylorem Cabotem. Kevinowi bardzo nie podobał się pomysł z autopsją zwłok Franconiego i łatwo mógł sobie wyobrazić, że Lyonsowi także nie przypadł on do gustu.

Do ich pierwszego spotkania doszło sześć lat temu w czasie zjazdu Amerykańskiego

Stowarzyszenia Popierania Nauk w Nowym Jorku, na którym Kevin miał odczyt. Nie znosił referatów i niezwykle rzadko godził się na podobne wystąpienia, jednak wtedy został do tego zmuszony przez dyrektora wydziału z Uniwersytetu Harvarda. Pisząc doktorat, Kevin interesował się transpozycją chromosomów: procesem, w którym chromosomy wymieniają pozycję swoich fragmentów, aby wesprzeć i ułatwić przystosowanie gatunków, a co za tym idzie, ewolucję. Zjawisko to zachodzi szczególnie często w czasie podziału komórek rozrodczych, czyli mejozy.

Przypadkowo, w czasie tego zjazdu, kiedy Kevin przygotowywał się do wygłoszenia referatu, James Watson i Francis Crick odbyli publiczną rozmowę, która wzbudziła olbrzymie zainteresowanie. Była to akurat rocznica odkrycia przez nich struktury DNA. W efekcie bardzo niewielu słuchaczy zjawilo się na odczycie Kevina. Jednym z obecnych był Raymond. On pierwszy skontaktował się z Kevinem. Rozmowa zaowocowała odejściem z Harvardu i przejściem do GenSys.

Z lekkim drżeniem dłoni podniósł słuchawkę i wybrał numer. Raymond odpowiedział po pierwszym sygnale, zapewne więc czekał na telefon. Połączenie było tak krystalicznie czyste, jakby rozmówca znajdował się w pokoju obok.

- Dostałem dobrą wiadomość - powiedział

Raymond natychmiast, gdy zorientował się, że rozmawia z Kevinem. - Nie będzie autopsji.

Kevin nie odpowiedział. Miał mętlik w głowie.

- Nie ulżyło ci? - zapytał Raymond. - Wiem, że Cabot dzwonił do ciebie w nocy.

- W pewnym stopniu ulżyło, ale z autopsją czy bez niej mam wiele wątpliwości co do całej tej operacji.

Teraz Raymond zamilkł na chwilę. Dopiero co rozwiązał jeden problem, a już następny stanął na jego drodze.

- Może popełniliśmy błąd - kontynuował Kevin. -

To znaczy, może ja popełniłem błąd. Sumienie nie daje mi spokoju, zaczynam się bać. Jestem naukowcem. Zajmuje mnie teoria, a stosowanie jej w praktyce nie jest moją domeną.

- Och, proszę! - przerwał zirytowany Raymond. -

Nie komplikujmy spraw! Nie teraz. Masz

laboratorium, jakiego zawsze pragnąłeś.

Stawałem na głowie, żeby wystraszyć każde cholerne urządzenie, o które prosiłeś. Ponadto sprawy idą dobrze dzięki organizacji i sprawnemu werbunkowi. Do diabła, przecież z tym całym towarem, który nagromadziłeś, zostaniesz bogatym człowiekiem.

- Nigdy nie zamierzałem zostać bogatym człowiekiem.

- Mogłoby cię spotkać coś gorszego. No, dalej, Kevin! Nie rób mi tego.

- A co to za przyjemność być bogatym w tym sercu wiecznego mroku? - Nieoczekiwanie przed oczami stanął mu obraz szefa, Siegfrieda Spalleka i dreszcz przeszedł mu po grzbiecie. Bał się tego człowieka.

- To nie na zawsze - uspokajał Kevina Raymond.

- Sam mi powiedziałeś, że jesteś już prawie gotowy, że system działa niemal idealnie. Gdy przygotujesz kogoś dostatecznie i będzie mógł zająć twoje miejsce, wrócisz do nas. Z forszą, którą przywieziesz, zbudujesz laboratorium swych marzeń.

- Znowu widziałem dym nad wyspą. Jak w

zeszłym tygodniu.

- Zapomnij o dymie! Ponosi cię wyobraźnia.

Zamiast bez powodu popadać w szaleństwo, skoncentruj się na właściwych zadaniach, żebyś szybko je skończył. A jak będziesz miał wolną chwilę, to pofantazjuj sobie na temat laboratorium, jakie zbudujesz po powrocie do Stanów.

Kevin skinął głową. To, co mówił Raymond, miało sens. Częściowo obawy Kevina brały się stąd, że gdyby rozniosło się, w co wmieszał się w Afryce, nigdy nie mógłby wrócić do pracy naukowej. Nikt nie przyjąłby go do pracy, a już na pewno nie zaoferowałby stałego stanowiska i laboratorium. Ale gdyby zbudował własne i zapewnił sobie niezależne dochody, nie musiałby się o nic martwić.

- Słuchaj - odezwał się Raymond - przyjadę po kolejnego pacjenta, kiedy tylko będzie gotowy, a to powinno wkrótce nastąpić. Wtedy porozmawiamy. Tymczasem pamiętaj, że tkwimy w tym, a pieniążki wpływają strumieniem do naszych kieszeni.

- No dobrze - odparł niechętnie Kevin.

- W każdym razie nie rób niczego nie
przemyślanego - przestrzegł Raymond. - Obiecaj
mi!

- Obiecuję - odparł Kevin z nieco większym
entuzjazmem.

Odłożył słuchawkę. Raymond okazał się osobą o
sporej sile perswazji i po każdej rozmowie z nim
Kevin czuł się nieco lepiej.

Wstał od biurka i wrócił do jadalni. Idąc za
radami Raymonda, zastanowił się, gdzie
wybuduje własne laboratorium. Pewne ważne
względy przemawiały za Cambridge w stanie
Massachusetts, a to z powodu powiązań Kevina
zarówno z Uniwersytetem Harvarda, jak i z MIT.

Ale z drugiej strony może byłoby lepiej
zainstalować się na prowincji, na uboczu, dajmy
na to w New Hampshire.

Na lunch dostał białą rybę, której nie rozpoznał.
Kiedy zapytał o nią, Esmeralda podała jedynie
nazwę w miejscowym narzeczu, która dla Kevina
nic nie znaczyła. Zdziwił się, że zjadł więcej, niż
się spodziewał. Rozmowa z Raymondem
wpłynęła więc pozytywnie także na jego apetyt.

Pomysł stworzenia własnego laboratorium ciągle

zaprzętał myśli naukowca.

Po lunchu zmienił przepoconą koszulę na czystą, świeżo wyprasowaną. Niespodziewanie nabrał ochoty do pracy. Już na schodach zatrzymała go Esmeralda i zapytała, o której ma podać obiad.

Odpowiedział, że jak zwykle o dziewiętnastej.

Gdy spożywał lunch, znad oceanu nadciągnęły gęste, szare chmury. Zanim zdążył wyjść z domu, ulica zamieniła się w rwącą kaskadę płynącą w stronę pobliskiej rzeki. Spoglądając na południe, ponad Estuario del Muni, dostrzegł przebijające się przez chmury promienie słońca i pełny łuk tęczy. Pogoda w Gabonie ciągle była piękna.

Kevina to nie dziwiło. Zdarzało się przecież, że deszcz padał po jednej stronie ulicy, a po drugiej było zupełnie sucho.

Domyślając się, że deszcz potrwa przynajmniej godzinę, obszedł dom dookoła, kryjąc się pod arkadami, i wsiadł do swojej niezwykle w takich okolicznościach użytecznej, czarnej toyoty.

Chociaż droga do pracy była niezwykle krótka,

Kevin uznał, że to znacznie lepsze niż siedzieć do końca dnia w mokrym ubraniu.

ROZDZIAŁ 3

4 marca 1997 roku

godzina 8.45

Nowy Jork

- No i co zamierzasz zrobić? - zapytał Franco

Ponti, spoglądając na odbicie szefa, Vinniego

Dominicka, we wstecznym lusterku. Siedzieli w

lincolnie Vinniego, szef na tylnej kanapie.

Pochylił się do przodu, trzymając się prawą ręką

uchwyty nad drzwiami. Patrzył w stronę numeru

126 przy Sześćdziesiątej Czwartej Wschodniej

Ulicy. Budynek z piaskowca zbudowano w stylu

francuskiego rokoko z wysokimi łukami i

wieloczęściowymi oknami. Te na parterze były

dodatkowo chronione grubymi kratami.

- Wygląda na całkiem szykowną metę - zauważył

Vinnie. - Doktorek wie, jak sobie dogodzić.

- Mam zaparkować? - zapytał Franco. Stali na

środku ulicy, a taksówkarz za nimi zaczął

niecierpliwie trąbić.

- Parkuj! - polecił Vinnie.

Franco podjechał do hydrantu i zjechał w stronę

krawężnika. Taksówka przejechała, ale jej

kierowca, mijając lincolna, wyciągnął w

wymownym geście dłoń z wyprostowanym

środkowym palcem. Angelo Facciolo pokręcił głową i rzucił nieprzyjemną wiązkę pod adresem rosyjskich taksówkarzy. Angelo zajmował miejsce pasażera z przodu.

Vinnie wysiadł z auta. Franco i Angelo natychmiast poszli w ślady szefa. Wszyscy trzech mężczyźni ubrani byli w nieskazitelnie skrojone, długie płaszcze od Salvatore Ferragamy, różniące się jedynie odcieniem szarości.

- Myślisz, że możemy tak zostawić wóz? - zapytał Franco.

- Przeczuwam, że nie zabawimy długo - odpowiedział Vinnie. - Ale na wszelki wypadek połącz za szybą legitymację Policyjnego Towarzystwa Dobroczyńnego. Może uchronimy pięćdziesiąt dolców.

Vinnie podszedł do budynku numer 126. Franco i Angelo podążali za szefem swym zawsze czujnym krokiem. Vinnie spojrzał na domofon.

- Sublokatorski - stwierdził. - Doktorkowi więc nie wiedzie się tak dobrze, jak myślałem. -

Nacisnął przycisk przy nazwisku "doktor Raymond Lyons" i czekał.

- Słucham - odezwał się żeński głos.

- Chciałbym się zobaczyć z panem doktorem.

Nazywam się Vinnie Dominick.

Nastąpiła cisza. Czekając, Vinnie trącał
czubkiem buta od Gucciego leżący na chodniku
kapsel. Franco i Angelo lustrowali ulicę.

W domofonie coś zaszeleściło.

- Halo, doktor Raymond Lyons. Czym mogę
służyć?

- Wierzę, że wystarczy piętnaście minut
pańskiego czasu - odpowiedział Vinnie.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy się poznali,
panie Dominick - zauważył Raymond. - Może mi
pan powiedzieć, czemu mielibyśmy poświęcić
ów kwadrans?

- Ów kwadrans, panie Lyons, mielibyśmy
poświęcić przysłudze, którą wyrządziłem panu
zeszłej nocy. Prośba o nią wpłynęła do mnie za
pośrednictwem naszego wspólnego znajomego,
doktora Daniela Levitza.

Znowu zapadła cisza.

- Mam nadzieję, że jeszcze pan tam jest,
doktorze - odezwał się Vinnie.

- Tak, oczywiście.

Rozległo się delikatne buczenie. Vinnie pchnął

ciężkie drzwi i wszedł do budynku. Jego obstawa wsunęła się za nim.

- Zdaje się, że doktorek nie jest zachwycony naszą wizytą - stwierdził Vinnie, idąc w stronę małej windy osobowej. Trzej mężczyźni stali w niej stłoczeni niczym sardynki w puszcze.

Raymond przywitał gości przy wyjściu z windy. Był wyraźnie zdenerwowany, ściskając dłonie trzech mężczyzn. Gestem zaprosił do mieszkania i z holu wprowadził ich do wyłożonego mahoniem gabinetu.

- Mają panowie ochotę na kawę? - zapytał gospodarz.

Franco i Angelo spojrzeli na Vinniego.

- Nie odmówiłbym małej kawy z ekspresu, jeśli nie stanowi to dla pana kłopotu - odparł Vinnie.

Franco i Angelo poprosili o to samo.

Raymond zamówił przez telefon trzy kawy.

Kiedy zobaczył nieproszonych gości, odezwały się w nim najgorsze obawy. Według niego wyglądali na typowych przedstawicieli wiadomej profesji z filmów klasy B. Vinnie miał około metra osiemdziesięciu, śniadą cerę, przystojną twarz o wyraźnych rysach, ciemne włosy

zaczeseane do tyłu i pokryte brylantyną. Nie było wątpliwości, że gra w tym towarzystwie rolę szefa. Jego dwaj towarzysze mieli ponad metr osiemdziesiąt i dość posępne fizjonomie. Ich nosy i usta były wąskie, a oczy małe i głęboko osadzone. Mogli być braćmi. Różnili się jedynie cerą. Raymond pomyślał, że cera Angela wygląda jak druga strona Księżyca.

- Mogę zabrać panów okrycia? - zaproponował Raymond.

- Nie zamierzamy zostawać zbyt długo - odpowiedział Vinnie.

- Przynajmniej proszę usiąść.

Vinnie zajął wygodny skórzany fotel. Franco i Angelo przysiedli sztywno na pokrytej aksamitem kanapie. Raymond usiadł za biurkiem.

- Co mogę dla panów zrobić? - zapytał, starając się tonem głosu stworzyć przyjazną atmosferę.

- Przysługa, którą oddaliśmy panu ostatniej nocy, nie była łatwą rzeczą. Sądziiliśmy, że będzie pan chciał poznać szczegóły.

Raymond trochę się odprężył i słabo, ale z ulgą uśmiechnął. Uniósł ręce w geście obrony i

powiedział:

- To nie jest konieczne. Mam pewność, że...

- Nalegamy - przerwał Vinnie. - Tego wymaga zawodowe poczucie przyzwoitości. Nie chcemy, aby podejrzewał pan, iż coś zaniedbaliśmy.

- Nie pomyślałbym tak nawet przez chwilę - zapewnił Raymond.

- Tak, ale żeby mieć pewność... - Vinnie ciągnął swoje. - Widzi pan, wyciągnięcie ciała z kostnicy to nie jest proste zadanie. Pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę i cały czas mają mundurowego ochroniarza na posterunku.

- To naprawdę nie jest konieczne - bronił się Raymond. - Właściwie nawet nie chciałbym znać szczegółów, natomiast jestem niezwykle wdzięczny za panów wysiłki.

- Doktorze Lyons, niech pan się zamknie i słucha! - Ton Vinniego był zdecydowany.

Zamilkł na chwilę, by uporządkować myśli. -

Mieliśmy szczęście, bo Angelo, mój chłopak -

Vinnie spojrzał na mężczyznę siedzącego na kanapie - zna takiego jednego dzieciaka, który pracuje w kostnicy, Vinniego Amendolę. Mały miał pewne zobowiązania wobec Pauliego

Cerina, faceta, dla którego pracował Angelo.

Obecnie Cerino siedzi w pudle. Angelo pracuje więc dla mnie. Wiedziałem, co dzieciak był winny Cerinowi, i Angelo przekonał go, żeby wyjawiał nam, gdzie znajduje się Franconi.

Dostarczył nam także trochę innych informacji, dzięki którym mogliśmy się tam zjawić o północy.

W tej chwili weszła Darlene Polson z kawą na tacy. Raymond przedstawił ją jako swoją asystentkę. Natychmiast po rozstawieniu filiżanek dziewczyna zniknęła.

- Niezła asystentka - ocenił Vinnie.

- Tak, jest bardzo kompetentna - przyznał

Raymond. Odruchowo przetarł czoło.

- Mam nadzieję, że nie zakłócamy pańskiego spokoju - powiedział Vinnie.

- Nie, nie, skądże - Raymond odpowiedział trochę zbyt szybko.

- Więc wydostaliśmy ciało i pozbyliśmy się go.

Teraz go nie ma, zniknęło. Ale jak się pan domyśla, nie był to spacer po parku. Naprawdę, było to jak cholerny wrzód w dupie, mieliśmy na całą akcję niezwykle mało czasu.

- Cóż, jeśli jest jakaś przysługa, którą mógłbym się odwdzięczyć - po chwili męczącej ciszy zaczął Raymond i zawiesił znacząco głos.

- Dziękuję, panie doktorze - odrzekł Vinnie.

Wychylił filiżankę z kawą, jakby to był kieliszek wódki. Talerzyk i filiżankę odstawił na brzeg

biurka. - Powiedział pan dokładnie to, co miałem nadzieję usłyszeć. Po to przyszedłem.

Zapewne wie pan, że jestem klientem, tak jak był nim Franconi. Co ważniejsze, klientem jest także mój jedenastoletni syn, Vinnie junior. Właściwie on bardziej potrzebuje pańskich usług niż ja.

Mam więc do zapłacenia podwójne honorarium, jak wy to nazywacie. Moja propozycja jest taka, żebym w tym roku nic nie płacił. Co pan na to?

Raymond spuścił wzrok na biurko. - To, o czym mówimy, to tylko przysługa za przysługę. Czysta sytuacja, jak sędzę. Raymond chrząknął.

- Będę musiał porozmawiać o tym z decydentami - oznajmił.

- To pierwsza niemiła rzecz, jaką pan powiedział.

Z moich informacji wynika, że to pan jest tymi "decydentami". Takie kiepskie kłamstwa

obrażają mnie. Zmienię moją ofertę. Nie zapłacę

panu honorarium w tym roku i w następnym.

Mam nadzieję, że zorientował się pan, w jakim kierunku zmierza nasza rozmowa.

- Rozumiem - odpowiedział Raymond i z trudem przełknął ślinę. - Zajmę się tym.

Vinnie wstał. Franco i Angelo natychmiast zrobili to samo.

- O to chodzi. Spodziewam się, że będzie pan rozmawiał z doktorem Danielem Levitzem.

Proszę mu powiedzieć o naszym porozumieniu.

- Oczywiście - odparł Raymond. Także wstał.

- Dziękuję za kawę. Znakomita. Proszę przekazać słowa uznania pańskiej asystentce.

Raymond zamknął drzwi za gangsterami i oparł się o nie. Serce waliło mu jak młot. W drzwiach do kuchni stanęła Darlene.

- Było tak źle, jak się bałeś? - zapytała.

- Gorzej! - krzyknął. - Doskonale zagrali swoje role. Teraz muszę się układać z drobnymi gangsterami, którzy chcą się przejechać na mój koszt. Co jeszcze może się zdarzyć?

Odepchnął się od drzwi i skierował do gabinetu.

Po dwóch krokach zachwiał się. Darlene podeszła i podtrzymała go za ramię.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Raymond odczekał chwilę, zanim skinął głową.

- Tak, wszystko w porządku - potwierdził. -

Lekki zawrót głowy. Przez tego Franconiego nie zmrużyłem w nocy oka.

- Może powinieneś odłożyć spotkanie z tym nowym lekarzem - zaproponowała Darlene.

- Chyba masz rację. W tym stanie prawdopodobnie nie mógłbym nikogo przekonać do przyłączenia się do naszej grupy, nawet gdyby był na najlepszej drodze do bankructwa.

ROZDZIAŁ 4

4 marca 1997 roku

godzina 19.00

Nowy Jork

Laurie skończyła robić sałatkę warzywną, przykryła miskę papierowym ręcznikiem i wsunęła ją do lodówki. Teraz zabrała się za dressing z oliwy z oliwek, świeżego czosnku, winnego octu i odrobiny aromatu. Gotowy także włożyła do lodówki. Z kolei zajęła się jagnięcym combrem. Odkroiła drobne pasemka tłuszczu, pozostawione przez rzeźnika, umieściła mięso

we wcześniej przygotowanej marynacie i również schowała do lodówki obok pozostałych potraw. Ostatnim etapem było przygotowanie karczochów. Odcięcie łądyg i kilku największych, łykowatych liści zajęło chwilę. Wytarła ręce i spojrzała na zegar. Znajac zwyczaj Jacka, uznała, że to dobry moment na telefon. Sięgnęła po słuchawkę aparatu wiszącego na ścianie przy zlewozmywaku. Wybierając numer i czekając na połączenie, widziała w wyobraźni Jacka wspinającego się po zdewastowanych schodach zrujnowanego budynku. Chociaż zdawało jej się, że rozumie, dlaczego kiedyś wynajął to mieszkanie, miała jednak spore kłopoty ze zrozumieniem, dlaczego nadal w nim mieszka. Dom był taki przygnębiający. Z drugiej strony, kiedy rozejrzała się po własnym mieszkaniu, musiała przyznać, że jeśli chodzi o wnętrza, nie było wielkiej różnicy. No, może tylko taka, że jego mieszkanie było prawie dwa razy większe. Telefon dzwonił. Liczyła sygnały. Gdy doszła do dziesięciu, zwątpiła w swą znajomość zwyczajów przyjaciela. Miała właśnie odwiesić słuchawkę,

gdy odezwał się Jack.

- Tak? - zapytał bezceremonialnie. Ciężko dyszał.

- Dzisiaj jest twój szczęśliwy wieczór -

powiedziała Laurie.

- Kto mówi? Czy to ty, Laurie?

- Zdaje się, że brakuje ci powietrza. Znowu

grałeś w koszykówkę?

- Nie, biegłem dwa piętra, żeby odebrać telefon -

wyjaśnił Jack. - Co się stało? Tylko mi nie mów,

że ciągle jesteś w robocie?

- Na miłość boską, nie - zaprotestowała Laurie. -

Od godziny jestem w domu.

- No to dlaczego mam dzisiaj szczęśliwy

wieczór?

- Wracając do domu, zatrzymałam się przed

"Gristedem" i kupiłam wszystko do twojego

ulubionego dania. Tylko wkładać do piekarnika.

Musisz jedynie wziąć prysznic i przyjechać tu.

- I przeprosić cię za wybuch śmiechu z powodu

zgubionego mafioso. Jeżeli coś należy naprawić,

to powinienem zrobić to ja.

- Nikt nie musi odprawiać pokuty - oświadczyła

Laurie. - Po prostu lubię twoje towarzystwo. Ale

mam jeden warunek.

- Aha. Co takiego?

- Dzisiaj żadnego roweru. Przyjedziesz taksówką albo nie było rozmowy.

- Taksówki są bardziej niebezpieczne niż mój rower - odparł Jack.

- Bez kłótni - ucięła kategorycznie Laurie. -

Przyjmiesz warunek albo nie. Jeżeli wylądujesz

pod kołami autobusu i zaraz potem "na kanale", nie chcę mieć najmniejszych wyrzutów

sumienia. - "Na kanale" oznaczało w ich

żargonie na stole autopsyjnym. Laurie poczuła,

że się czerwieni. Na ten temat nie lubiła nawet

żartować.

- Okay - odparł pojednawczo Jack. - Będę za jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści minut. Mam przynieść wino?

- Byłoby wspaniale - przytaknęła Laurie.

Cieszyła się. Nie miała pewności, czy Jack

przyjmie zaproszenie. W zeszłym roku spotykali

się towarzysko i po kilku miesiącach Laurie

zorientowała się, że kocha Jacka. On jednak nie

wydawał się chętny do przeniesienia ich

wzajemnych stosunków na wyższy poziom

zażyłości. Kiedy Laurie starała się wziąć sprawy

w swoje ręce, Jack zdystansował się do

wszystkiego i odseparował. Poczula się odrzucona i wpadła w złość. Przez kilka następnych tygodni rozmawiali wyłącznie na tematy służbowe. W ubiegłym miesiącu stosunki między nimi znowu się poprawiły. Spotkali się kilka razy. Tym razem Laurie zrozumiała, że musi uzbroić się w cierpliwość. Problem polegał na tym, że w wieku trzydziestu siedmiu lat nie było to łatwe. Zawsze marzyła o tym, żeby zostać matką. Wobec nadchodzącej błyskawicznie czterdziestki czuła, że jej czas mija bezpowrotnie.

Kolacja była przygotowana, więc Laurie zakrzętała się i posprzątała swe niewielkie mieszkanie. Włożyła książki na swoje miejsce na półki, poukładała pisma medyczne, wyczyściła kuwetę Toma. Tom był jej sześciolatkiem burym kotem, tak samo nieposłusznym teraz jak wtedy, kiedy był kociakiem. Poprawiła wzorzyste zasłony przesuwane przez Toma codziennie w czasie rutynowego obchodu z półki na książki po zasłonach na karnisze nad oknem.

Potem wzięła szybki prysznic, przebrała się w

golf i dzinsy i zrobiła sobie lekki makijaż. Kiedy skończyła, zatrzymała wzrok na kurzych łapkach, które zaczęły pojawiać się w kącikach oczu. Nie czuła się ani trochę starsza niż w chwili rozpoczynania studiów, jednak nie było sensu zaprzeczać upływowi czasu.

Jack zjawił się zgodnie z obietnicą. Kiedy spojrzała przez wizjer, dojrzała tylko okrągłą, wręcz nadętą i szeroko roześmianą twarz przyjaciela, który stał przy samych drzwiach, nie dalej niż cal od wizjera. Roześmiała się na te jego błazeństwa i otworzyła drzwi.

- Wchodź, kłownie - zaprosiła Jacka.

- Chciałem mieć stuprocentową pewność, że mnie rozpoznasz - powiedział, przechodząc obok Laurie. - Ułamany lewy górny siekacz jest moją wizytówką.

Zamykając drzwi, Laurie rzuciła okiem w stronę sąsiadki, pani Engler, która uchyliła drzwi do swojego mieszkania, żeby zobaczyć, kto odwiedza Laurie. Laurie posłała jej piorunujące spojrzenie. Wścibskie babsko.

Kolacja okazała się pełnym sukcesem. Jedzenie było doskonałe, wino dobre. Jack przeprosił za

to, że sklep w sąsiedztwie nie specjalizował się w winach markowych, a najbliższy handlujący wyłącznie alkoholami wysokiej jakości był już zamknięty.

W ciągu tego wieczoru Laurie nieraz musiała ugryźć się w język, żeby nie sprowadzić konwersacji na drażliwe tematy. Pragnęła porozmawiać o ich wzajemnych stosunkach, ale nie ośmieliła się. Wyczuwała, że niepewność i wahanie Jacka najwyraźniej brały się z jego ogromnej osobistej tragedii. Sześć lat wcześniej żona Jacka i ich dwie córki zginęły w okropnej katastrofie lotniczej. Jack opowiedział o tym Laurie dopiero po kilku miesiącach bliskiej znajomości, ale potem odmówił wszelkich rozmów na ten temat. Laurie uświadomiła sobie, że strata była dla Jacka najpoważniejszym powodem do unikania życia towarzyskiego. To z kolei ułatwiło jej zrozumienie odmowy Jacka i jego niechęci nie brała już dłużej do siebie. Jack bez trudu utrzymywał lekką atmosferę w czasie pogawędki. Doskonale powiodło mu się tego dnia na boisku koszykówki i chętnie dzielił się wrażeniami. Przypadkowo znalazł się w

jednym zespole z Warrenem, budzącym podziw i szacunek okolicznych mieszkańców Afroamerykaninem, który był przywódcą lokalnego gangu i przy okazji najlepszym koszykarzem w okolicy. Drużyna Jacka i Warrena wygrywała przez cały wieczór.

- Co słysząc u Warrena? - zapytała Laurie. Ona i Jack często spotykali się z Warrenem i jego dziewczyną, Natalie Adams. Jednak od czasu rozstania z Jackiem Laurie nie widziała się z przyjaciółmi.

- Jak to u niego - odparł Jack. Wzruszył ramionami. - Ma takie wielkie możliwości. Robiłem, co w mojej mocy, żeby wepchnąć go na jakiś kurs do college'u, ale odmawia. Twierdzi, że mój system wartości nie jest jego systemem, więc w końcu ustąpiłem.

- A Natalie?

- Dobrze, jak sędzę. Nie widziałem jej również od naszego ostatniego wspólnego spotkania.

- Powinniśmy coś zaaranżować - stwierdziła Laurie. - Chętnie bym się z nimi spotkała.

- To jakiś pomysł - dość wykrętnie odparł Jack.

Zapadło milczenie. Laurie słyszała, że Jack cicho

mruczy z zadowolenia. Po zjedzeniu i posprzątaniu usiadł wygodnie na kanapie.

Laurie zajęła stojący naprzeciwko fotel w stylu art déco.

Westchnęła. Czuła się nieco sfrustrowana. To, że tak trudno przychodziła im rozmowa na ważne tematy związane z życiem uczuciowym, zakrawało na dziecinadę.

Jack spojrzał na zegarek.

- Ho, ho! - powiedział. Przesunął się do przodu tak, że siedział teraz na samej krawędzi kanapy.

- Za piętnaście jedenasta. Będę się zbierał. Jutro do pracy, więc łóżko się kłania.

- Jeszcze wina? - zapytała Laurie. Trzymała butelkę. Wypili ledwie jedną czwartą jej zawartości.

- Nie mogę - odmówił Jack. - Muszę utrzymać refleks na wysokim poziomie, skoro mam wracać do domu taksówką. - Wstał i podziękował za kolację.

Laurie odstawiła butelkę i także wstała.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to podjechałabym z tobą do kostnicy.

- Co? - Otworzył usta z niedowierzaniem. -

Chyba nie zamierzasz jechać do pracy o tej godzinie? Przecież nie masz dzisiaj dyżuru.

- Chcę porozmawiać z pracującymi w nocy technikami i ochroną - odpowiedziała, idąc po płaszcz.

- Po co?

- Chcę ustalić, jak mogło zniknąć ciało

Franconiego. - Podała Jackowi kurtkę. -

Rozmawiałam już ze zmianą popołudniową.

- I co ci powiedzieli?

- Nie wszystko, co chciałabym wiedzieć. Ciało przywieziono około dwudziestej czterdzieści pięć w obstawie policji i dziennikarzy. Bez wątpienia musiało to przypominać prawdziwy cyrk.

Domyślam się, że właśnie dlatego odłożono na później prześwietlenie. Identyfikacji dokonała matka; według wszystkich świadków scena pełna emocji. Jeszcze przed dwudziestą drugą czterdzieści pięć zwłoki zostały umieszczone w lodówce numer sto jedenaście. Jest więc dla mnie całkiem jasne, iż wykradziono je między jedenastą wieczorem a siódmą rano.

- Dlaczego zawracasz sobie tym głowę? - zapytał

Jack. - To problem tych z biurowca.

Laurie włożyła płaszcz i wzięła klucze.

- Powiedzmy, że jestem osobiście

zainteresowana tym przypadkiem.

Wychodząc z mieszkania, Jack spojrzał z

niecierpliwością na sufit.

- Laurie! - jęknął. - Wpakujesz się tylko w

kłopoty. Zapamiętaj moje słowa.

Nacisnęła przycisk windy i spojrzała na panią

Engler, która jak zwykle uchyliła drzwi.

- Ta kobieta mnie wkurza - powiedziała, kiedy

weszli do windy.

- Nie słuchasz mnie - zauważył Jack.

- Słucham - zapewniła Laurie. - Ale i tak

zamierzam wyjaśnić sprawę. Poza wszystkim

drażni mnie, kiedy pomyślę sobie, jak tacy spod

ciemnej gwiazdy sądzą, że wolno im wszystko, co

tylko przyjdzie im do głowy. Uważają, że prawo

jest dla innych. Pauli Cerino, o którym Lou

wspominał dziś rano, zabijał ludzi i nie musiał

zbyt długo czekać na przeszczep rogówki. Niech

ci to da jakieś wyobrażenie o ich etyce. Nie

podoba mi się, że mogą sobie wejść do naszej

kostnicy i zabrać ciało człowieka, którego

wcześniej zabili.

Wyszli na Dziewiętnastą Ulicę i skierowali się w stronę Pierwszej Avenue. Laurie podniosła kołnierz. Od East River wiał nieprzyjemny wiatr, temperatura wynosiła około minus pięciu stopni.

- Dlaczego uważasz, że są w to wplątani gangsterzy? - zapytał.

- Nie trzeba być noblistą, żeby to wywnioskować

- odpowiedziała. Pomachała ręką na przejeżdżającą taksówkę, ale samochód nawet nie zwolnił. - Franconi miał świadczyć w procesie jako świadek koronny. Szefowie organizacji Vaccarro wściekli się albo przestraszyli, a może jedno i drugie. To stara historia.

- Więc go zabili - powiedział Jack. - Po co wykradli ciało?

Laurie wzruszyła ramionami.

- Nie zamierzam twierdzić, że potrafię wyjaśnić każde posunięcie mafii. Nie wiem, dlaczego zabrali ciało. Może chcieli urządzić mu odpowiedni pogrzeb. Może obawiali się, że autopsja mogłaby naprowadzić na ślad prawdziwych morderców. Do diabła, nie wiem.

Ale koniec końców, nie ma znaczenia dlaczego.

- Mam przeczucie, że "dlaczego" jest ważne -

stwierdził Jack. - Mieszanie się w to, to

chodzenie po cienkim lodzie.

- Możliwe - odpowiedziała i znowu wzruszyła

ramionami. - Zostałam wciągnięta w sprawę, i

już. Poza tym, problem wziął się pewnie stąd, że

w tej chwili moim głównym obiektem

zainteresowań jest praca.

- Mamy wolną taksówkę - zauważył Jack,

starannie unikając podtrzymania rozmowy na

poruszony przez Laurie temat. Rozumiał, czym

to się mogło skończyć, a nie miał najmniejszej

ochoty na wywoływanie kwestii osobistych.

Jazda na róg Trzydziestej Ulicy i Pierwszej

Avenue nie trwała długo. Laurie wysiadła i z

zaskoczeniem zobaczyła, że Jack robi to samo.

- Nie musisz ze mną iść - powiedziała.

- Wiem. Ale i tak idę. Na wypadek, gdybyś nie

wiedziała dlaczego, powiem, że zainteresowałeś

mnie.

Jack zapłacił taksówkarzowi za kurs.

Kiedy przechodzili między furgonetkami

kostnicy, Laurie nadal tłumaczyła przyjacielowi,

że nie ma potrzeby, aby angażował się w sprawę.

Jednak rażeni weszli do budynku przez wejście od Trzydziestej Ulicy.

- Podobno łóżko wzywało - przypomniała Jackowi.

- Może poczekać. Od czasu gdy Lou opowiedział mi, jak wyjechałaś stąd w trumnie, uważam, że powinienem deptać ci po piętach.

- To była zupełnie inna sytuacja.

- O, czyżby? Wtedy również wmieszali się gangsterzy.

Chciała nadal protestować, ale uwaga Jacka była celna. Rzeczywiście, w tym względzie zachodziło wyraźne podobieństwo.

Pierwszą osobą, na którą się natknęli, był strażnik siedzący w swojej stróżówce. Carl Novak był starszym, siwiejącym, uprzejmym mężczyzną. W mundurze za dużym co najmniej o dwa numery wyglądał, jakby się niespodziewanie skurczył. Układał pasjansa, ale podniósł głowę, kiedy zobaczył wchodzących Laurie i Jacka. Zatrzymali się w otwartych drzwiach do stróżówki Carla.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał. Teraz dopiero

rozpoznał Laurie i przeprosił, że od razu się nie zorientował.

Laurie zapytała, czy poinformowano go o zniknięciu ciała Franconiego.

- Oczywiście - odparł. - Robert Harper, szef ochrony, przyszedł do mnie do domu. Był bardzo zły i zadawał mnóstwo pytań.

Laurie szybko się zorientowała, że Carl nie rzuci wiele światła na tę tajemnicę. Uparcie twierdził, że nic nadzwyczajnego nie wydarzyło się w nocy.

Przywozili i wywozili ciała tak jak co noc przez cały rok. Przyznał, że dwukrotnie opuścił posterunek, żeby skorzystać z toalety.

Podkreślał, że nie zabrało mu to więcej niż kilka minut i że za każdym razem informował o zejściu z posterunku technika, Mike'a Passana.

- A co z posiłkami? - zapytała Laurie.

Carl wysunął dolną szufladę biurka i pokazał duże pudełko na lunch.

- Jem na miejscu.

Laurie podziękowała i ruszyła dalej. Jack oczywiście poszedł za nią.

- W nocy wygląda tu zupełnie inaczej - powiedział, kiedy przemierzali duży hol,

zmierzając w stronę lodówek i sali autopsyjnej.

- Trochę tu ponuro bez dziennego zamieszania -
przyznała Laurie.

Zajrzeli do biura kostnicy i zastali tam Mike'a
Passano zajętego jakimiś dokumentami. Właśnie
przywieziono ciało wyłowione z oceanu przez
straż przybrzeżną. Mike podniósł wzrok znad
biurka, wyczuwając czyjąś obecność.

Dopiero co przekroczył trzydziestkę, mówił z
silnym akcentem z Long Island, a wyglądał na
typowego Włocha z południa Italii. Był drobnej
budowy, rysy twarzy jednak miał wyraźnie,
wręcz ostro zarysowane. Wizerunku dopełniały
ciemne włosy, ciemne oczy i śniada cera.

Chociaż oboje spotykali go przy wielu okazjach,
żadne z nich nigdy nie współpracowało z
Mike'em.

- Przyszliście państwo obejrzeć topielca? -
zapytał Mike.

- Nie - odpowiedział Jack. - A jest z nim jakiś
problem?

- Nie ma żadnego problemu. Facet ma tylko
niecodzienny wygląd.

- Przyszliśmy porozmawiać o zeszłej nocy -

wyjaśniła Laurie.

- A o co chodzi?

Laurie zadała mu te same pytania co Carlowi. Ku

swemu zaskoczeniu zauważyła, że Mike szybko

się zirytował. Już miała coś na ten temat

powiedzieć, gdy Jack położył jej rękę na

ramieniu i poprosił, żeby wyszli do holu.

- Odpuść sobie - poradził, kiedy znaleźli się poza

zasięgiem Mike'a.

- Odpuść sobie co? - zapytała. - Przecież nie

atakowałam go.

- Zgoda. Wiem, że jestem ostatnią osobą, która

może uchodzić za eksperta od stosunków

międzyludzkich i polityki personalnej, ale

według mnie Mike przyjął wybitnie defensywną

postawę. Jeśli chcesz wyciągnąć z niego jakieś

informacje, musisz to wziąć pod uwagę i podejść

do niego ostrożniej.

Laurie zastanowiła się przez chwilę i w końcu

skinęła głową.

- Może masz rację.

Wrócili do biura, ale zanim Laurie zdołała coś

powiedzieć, Mike odezwał się pierwszy.

- Gdyby pani nie wiedziała, to doktor

Washington zatelefonował do mnie rano i obudził mnie, a potem wypytał o wszystko.

Obstalował mnie dokładnie. Ale wykonywałem tylko moją robotę i z pewnością nie miałem nic wspólnego ze znikającym ciałem.

- Przepraszam, jeśli to, co mówiłam, sugerowało jakieś podejrzenia - powiedziała. - Chciałam jedynie stwierdzić, że moim zdaniem zwłoki zginęły w czasie pana zmiany. To oczywiście nie znaczy, że pan jest za to odpowiedzialny.

- Ale tak to zabrzmiało. Przecież oprócz ochrony i woźnego jestem jedyną osobą.

- Czy wydarzyło się coś niezwykłego? - zapytała Laurie.

Mike pokręcił przecząco głową.

- Zwykła noc. Przywieźli dwa ciała i dwa ciała wyjechały.

- A te, które przywieziono? Kto je dostarczył?

Nasi ludzie? - pytała dalej.

- Tak, naszą furgonetką. Jeff Cooper i Peter

Molina. Oba były ze szpitala miejskiego.

- A co z tymi, które wywieziono?

- Co ma być?

- Kto po nie przyjechał?

Mike sięgnął po dziennik kostnicy, leżący w

narożniku biurka i otworzył go. Wskazującym

palcem przesunął w dół kolumny i zatrzymał się.

- Dom Pogrzebowy Spoleto z Ozone Park i Dom

Pogrzebowy Dicksona z Summit w New Jersey.

- Jak nazywali się zmarli?

Mike znowu zerknął do książki.

- Frank Gleason i Dorothy Kline. Ich numery

identyfikacyjne 100385 i 101455. Coś jeszcze?

- Spodziewał się pan, że ktoś z tych domów

pogrzebowych przyjedzie po zwłoki?

- Jasne. Jak zwykle, uprzedzili telefonicznie, że

przyjadą.

- Więc wszystko czekało przygotowane?

- No pewnie. Papiery były wypisane. Musieli

tylko podpisać.

- A ciała? - pytała dalej Laurie.

- Jak zawsze czekały w chłodni, wyłożone na

wózkach.

Laurie spojrzała na Jacka.

- Przychodzi ci do głowy, o co jeszcze można by

zapytać?

Jack wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że uzyskałaś wszystkie podstawowe

informacje, z wyjątkiem tego, o której Mike zszedł z piętra.

- Racja! - Laurie odwróciła się w stronę technika. - Carl powiedział nam, że kiedy dwa razy wychodził do toalety, kontaktował się z panem. Czy pan robi tak samo?

- Zawsze. Często jesteśmy tu sami. Ktoś musi pilnować drzwi.

- Czy ostatniej nocy na długo opuszczał pan biuro?

- Nie - odpowiedział Mike. - Nie na dłużej niż zwykle. Dwa razy na początku i półgodzinna przerwa na lunch na piętrze. Mówiłem, że to była normalna noc.

- A co z woźnymi? Kręcili się wtedy tutaj?

- Nie w czasie mojej zmiany. Tu, na dole, są raczej wieczorem. W nocy pełnią służbę na górze, chyba że dzieje się coś niezwykłego, no to wtedy możemy ich wezwać.

Laurie zastanawiała się nad dalszymi pytaniami, ale nic nie przyszło jej już do głowy.

- Dziękuję za informacje - powiedziała w końcu.

- Drobiazg - odparł Mike.

Zatrzymała się jednak w drzwiach, odwróciła i

zapytała jeszcze:

- A tak w ogóle widział pan ciało Franconiego?

Przez sekundę zastanowił się i przyznał, że widział.

- W jakich okolicznościach?

- Kiedy zjawiam się w pracy, Marvin, technik z wieczornej zmiany, zawsze informuje mnie krótko, co się działo. Był zdrowo poruszony tym wszystkim. No bo tyle policji i rodzina Franconiego, i całe zamieszanie. W każdym razie pokazał mi ciało Franconiego.

- Kiedy je oglądaliście, było w lodówce sto jedenastej?

- Tak.

- Proszę mi szczerze powiedzieć - poprosiła Laurie - gdyby miał pan zgadywać, jak pańskim zdaniem ciało mogło zginąć z kostnicy?

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał Mike. - Jeżeli nie wyszedł o własnych siłach. - Roześmiał się, ale natychmiast skonfundowany zamilkł. - Nie zamierzałem żartować. Jestem tak samo zakłopotany jak wszyscy. Wiem jedynie to, że dwa ciała opuściły wczoraj kostnicę i sprawdziłem, że właściwe.

- Ale po tym jak Marvin pokazał panu Franconiego, nigdy więcej już go pan nie oglądał?

- Oczywiście, że nie. Po co miałbym to robić?

- Nie ma powodu. Zgoda. Wie pan może, gdzie znajdziemy kierowców furgonetek?

- Na górze, w stołówce. Tam zazwyczaj siedzą.

Laurie i Jack wsiedli do windy. Laurie zauważyła, że Jackowi kleją się oczy.

- Jesteś zmęczony - stwierdziła. - Wiem - odpowiedział.

- No to czemu nie jedziesz do domu?

- Wytrzymałem tak długo, to myślę, że dotrzymam do smutnego końca.

W jasno oświetlonej stołówce musieli zmrużyć oczy. Jeffa i Pete'a znaleźli przy stole w pobliżu automatu z gotowymi potrawami. Czytali gazety, zajadając chipsy. Ubrani byli w błękitne uniformy z naszywkami Health and Hospital Corporation. Obaj nosili kucyki.

Laurie przedstawiła się, wyjaśniła, że interesuje się zaginionymi zwłokami i zapytała, czy zeszłej nocy wydarzyło się coś niezwykłego, szczególnie jeśli chodzi o dwa ciała, które przywieźli do

kostnicy.

Kierowcy wymienili spojrzenia, po czym Pete odparł:

- Moje kiepsko wyglądało, straszny bajzel.

- Nie pytam o ciała jako takie - wyjaśniła Laurie.

- Ciekawi mnie, czy zdarzyło się coś dziwnego w całej procedurze? Czy spotkaliście w kostnicy kogoś, kogo nie rozpoznaliście? Czy zaszło coś, co się normalnie nie zdarza?

Pete znowu spojrzał na Jeffa i pokręcił głową.

- Nie. Było jak zawsze.

- A pamięta pan, do której lodówki wsunięto przywiezione przez pana ciało?

Pete podrapał się w głowę.

- Nie bardzo - przyznał.

- Czy gdzieś w pobliżu sto jedenastej?

Pete zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, to było z drugiej strony. Coś jak pięćdziesiąt pięć. Nie pamiętam dokładnie. Ale na dole mają zapisane.

Laurie zwróciła się do Jeffa.

- Moje ciało schowali pod dwadzieścia osiem.

Pamiętam, bo akurat tyle mam lat.

- Czy któryś z was widział Franconiego?

Kierowcy znowu wymienili spojrzenia.

Odpowiedział Jeff.

- Tak, widzieliśmy.

- O której to było godzinie?

- Mniej więcej jak teraz.

- W jakich okolicznościach? Normalnie przecież nie oglądacie ciał, których nie przywieźliście?

- Jak Mike opowiedział nam o tym, chcieliśmy rzucić okiem z powodu całego tego zamieszania.

Ale niczego nie dotykaliśmy.

- To trwało sekundę - wtrącił Pete. - Tylko otworzyliśmy drzwiczki i zajrzeliśmy do środka.

- Byliście z Mike'em?

- Nie, powiedział nam tylko, która lodówka.

- Czy doktor Washington rozmawiał z wami o zeszłej nocy?

- Tak, i pan Harper także - odparł Jeff.

- Powiedzieliście doktorowi Washingtonowi o tym, że oglądaliście ciała?

- Nie - przyznał Jeff.

- Dlaczego nie?

- Nie pytał. Przecież nie jesteśmy oskarżeni o to.

No, to znaczy, normalnie tak nie robimy. Ale, jak powiedziałem, przez to całe zamieszanie byliśmy

ciekawi.

- Może jednak powinniście powiedzieć

Washingtonowi, żeby znał wszystkie fakty, tylko
tyle.

Laurie odwróciła się i ruszyła z powrotem do
windy. Jack posłusznie poszedł za nią.

- Co sądzisz? - zapytała Jacka.

- Im bliżej północy, tym trudniej zebrać mi myśli

- odpowiedział. - Ale nie czepiałbym się tych
dwóch za to, że zerknęli na ciało.

- Mike nie powiedział o tym - przypomniała
Laurie.

- Prawda, pewnie dlatego, że wszyscy zdają sobie
sprawę z tego, że nagięli zasady. Ludzką rzeczą
jest w takich sytuacjach nie odsłaniać się
całkowicie.

- Może i tak - westchnęła Laurie.

- Dokąd teraz? - zapytał, kiedy znowu stanęli w
windzie.

- Skończyły mi się pomysły.

- Dzięki Bogu - powiedział Jack.

- Nie sądzisz, że powinnam zapytać Mike'a,
dlaczego nie powiedział, że kierowcy oglądali
zwłoki Franconiego?

- Mogłabyś, ale uważam, że tylko niepotrzebnie gmatwasz sprawę. Prawdę powiedziawszy, nie mogę sobie wyobrazić, żeby było to coś innego niż zwykła ciekawość.

- W takim razie niech noc ma swoje prawa - stwierdziła Laurie. - Także zaczynam tęsknić za łóżkiem.

ROZDZIAŁ 5

5 marca 1997 roku

godzina 10.15

Cogo, Gwinea Równikowa

Kevin włożył probówki z hodowlą tkanek do inkubatora i zamknął drzwi. Pracował od świtu.

Jego zadaniem było odnalezienie na chromosomie Y transferazy odpowiadającej za przenoszenie pojedynczego genu zgodności tkankowej. Cel wymykał się Kevinowi od ponad miesiąca mimo zastosowania nowoczesnej techniki, dzięki której odnalazł i wyizolował transferazy współpracujące z krótszym ramieniem chromosomu szóstego.

Zazwyczaj zjawiał się w laboratorium około ósmej trzydzieści, lecz tego dnia obudził się już o czwartej nad ranem i nie zdołał ponownie

zasnąć. Kręcił się i przewracał z boku na bok przez jakieś trzy kwadransy, w końcu doszedł do wniosku, że może spędzić czas bardziej pożytecznie. O piątej wszedł do laboratorium.

Na dworze panował jeszcze półmrok.

Sumienie nie dawało Kevinowi spać. Uporczywie wracała myśl, że popełnił błąd Prometeusza i że spotka go za to straszna zemsta. Chociaż doktor Lyons wspomniiał o budowie własnego laboratorium, uśmierając początkowe obawy, chwilowe uspokojenie minęło. Laboratorium marzeń czy nie, nie mógł zaprzeczyć, że strach, który odczuwał, wiązał się z Isla Francesca.

Uczucia Kevina nie miały nic wspólnego z widzianymi przez niego kolejnymi smugami dymu. Nie, to nie był powód, ale gdy świt nadszedł, świadomie unikał spoglądania przez okno w kierunku wyspy.

Zdał sobie sprawę, że nie może brnąć w to dalej.

Najbardziej racjonalnym zachowaniem będzie przekonać się, czy obawy są usprawiedliwione, zdecydował. A najlepszą do tego drogą, podsumował, będzie przedstawienie całej sytuacji komuś, kto potrafiłby wniesć nieco

optymizmu i rozwiać obawy Kevina. Ale nie czuł się swobodnie, rozmawiając z pracownikami ze Strefy. Nigdy nie należał do ludzi towarzyskich, szczególnie tu, w Cogo, gdzie był jedynym naukowcem. Jednak w Strefie pracował ktoś, w którym towarzystwie czuł się nieco swobodniej - Bertram Edwards, szef służby weterynaryjnej.

Pod wpływem impulsu wstał, zdjął fartuch, przewiesił go przez krzesło i opuścił gabinet.

Zszedł na dół i wyszedł na parking pod szpitalem. Przywitała go prawdziwa parówka - upalne i wilgotne powietrze. Rano pogoda był znakomita, czyste niebo z białymi, pierzastymi chmurkami nad głową. Teraz nadciągały ciemne chmury deszczowe, zbite w ciężką masę wzdłuż wybrzeża oceanicznego nad zachodnim horyzontem. Jeżeli mają przynieść deszcz, trzeba będzie na niego poczekać aż do popołudnia.

Wsiadł do swojej toyoty z napędem na cztery koła, skręcił w prawo i wyjechał z parkingu.

Przejeżdżając północną stroną miejskiego placu, minął stary kościół katolicki. GenSys odrestaurowało budynek i zaadaptowało na

centrum rekreacyjne. W piątkowe i sobotnie wieczory wyświetlano tam filmy, w poniedziałek wieczorem urządzano salon gry w bingo, a na co dzień znajdowała się tam kantyna, w której serwowano różne dania, na przykład amerykańskie hamburgery.

Gabinet Bertrama Edwardsa znajdował się w centrum weterynaryjnym, które było częścią olbrzymiego obszaru określanego jako Strefa Zwierząt lub Strefa Druga. Obszar Strefy Drugiej przekraczał powierzchnię całego Cogo.

Zorganizowano ją w głębokiej dżungli na północ od miasta i oddzielono od niego również szerokim pasem dziewiczego, tropikalnego lasu.

Kevin jechał na wschód w stronę garaży i warsztatów mechanicznych, za nimi skręcił na północ. Droga poprowadzona specjalnie do odległej od miasta Strefy, przypomniała Kevinowi, jak trudnym zadaniem było zorganizowanie tak wielkiego przedsięwzięcia.

Wszystko, począwszy od papieru toaletowego aż po wirówki laboratoryjne, musiało być importowane, a to oznaczało konieczność przewiezienia mnóstwa towarów. Większość

wyposażenia przyjechała ciężarówkami z Bata, gdzie znajdował się port morski zdolny do przyjmowania statków o dużej wyporności i sporych rozmiarów lotnisko. Estuario del Muni, połączone z Libreville w Gabonie, było obsługiwane jedynie przez łodzie motorowe.

Na granicy miasta brukowana kostką granitową droga przechodziła w szosę wylaną nowym asfaltem. Kevin odetchnął z ulgą. Hałas i wibracje, które przenosiły się do kabiny w czasie jazdy po bruku, stawały się naprawdę męczące.

Po piętnastu minutach jazdy w kanionie utworzonym przez ciemnozieloną roślinność zobaczył pierwsze zabudowania artystycznie wręcz zaprojektowanego kompleksu weterynaryjnego. Użyto zbrojonego betonu i bloków żuźlowych pokrytych sztukateriami, a wszystko pomalowano na biało. Projekt nawiązywał do kolonialnego, hiszpańskiego stylu miasta.

Główny budynek był ogromny i przypominał raczej terminal lotniczy niż ośrodek badań nad naczelnymi. Przedni segment gmachu był wysoki na dwa piętra i długi na jakieś sto

pięćdziesiąt metrów. Od tyłu wychodziły z niego zbudowane z wielu segmentów skrzydła, które wprost znikwały w ścianie zieleni. Kilka mniejszych budynków stało naprzeciwko największego. Poza dwoma środkowymi, Kevin nie znał ich przeznaczenia. Jeden służył jako kwatera gwinejskich żołnierzy. Podobnie jak ich koledzy z miasta, ci tutaj także kręcili się bez celu, palili papierosy i pili kameruńskie piwo. W drugim budynku mieszkali marokańscy najemnicy, których Kevin bał się nawet bardziej niż nastoletnich żołnierzy. Stanowili oni część oddziałów ochronnych gwinejskiego prezydenta. Jak się okazało, nawet prezydent nie miał całkowitego zaufania do własnej armii. Ci komandos, tworzący oddziały specjalnego przeznaczenia, ubrani byli w niestosowne do okoliczności i źle skrojone czarne ubrania i krawaty. Wybrzuszenia pod pachami marynarek wskazywały, gdzie nosili broń. Wszyscy mieli ciemną skórę, przenikliwe oczy i grube wąsy. Inaczej niż żołnierze prawie się nie pokazywali, ale ich obecność była wyczuwalna jak złowieszcza, diabelska siła.

Potężne rozmiary centrum weterynaryjnego GenSys były haraczem złożonym na poczet przyszłych sukcesów. Orientując się w trudnościach towarzyszących badaniom biomedycznym nad naczelnymi, GenSys zdecydowało się założyć bazę naukową w Gwinei Równikowej, gdzie zwierzęta były na miejscu, w dżungli. To sprytne posunięcie pozwoliło uniknąć krępujących restrykcji importowo-eksportowych obowiązujących na Zachodzie wobec badań nad naczelnymi, a równocześnie sprawiało, że nie narażali się na uciążliwe akcje obrońców praw zwierząt. Dodatkowo niezwykle zachęcające było to, że głodny obcej waluty miejscowy rząd i jego skorumpowani urzędnicy byli niezwykle podatni na oferty takich kompanii jak GenSys. Niewygodne prawa były omijane lub uchylane dla wygody firmy. Legislatywa okazała się tak przyjazna, że uchwaliła nawet prawo, według którego mieszanie się w sprawy GenSys miało być traktowane jako obraza państwa.

Operacja okazała się tak niewiarygodnie błyskotliwym sukcesem, że GenSys rozszerzyło ją w celu uzyskania wygodnej bazy do

współpracy z innymi kompaniami zajmującymi się biotechnologią, szczególnie z farmaceutycznymi gigantami, dla których można było poza kontrolą wykonywać testy na małpach. Rozwój zaszokował planistów GenSys.

Z każdego punktu widzenia Strefa stawała się imponującym sukcesem finansowym.

Kevin zaparkował samochód obok innego, również terenówki z napędem na cztery koła.

Poznał go po napisie na zderzaku: "Człowiek to małpa". Przeszedł przez podwójne oszklone drzwi oznaczone szyldem: CENTRUM

WETERYNARII. Za nimi właśnie znajdowały się gabinet Edwardsa i sale badań.

Przywitała go Martha Blummer.

- Doktor Edwards jest w skrzydle szympanów - poinformowała. Martha była sekretarką na weterynarii. Jej mąż pełnił funkcję kierownika jednego z warsztatów.

Kevin skierował się do szympaniarni. To było jedno z niewielu miejsc, z którymi dobrze się zaznajomił. Przeszedł przez kolejne drzwi i szedł długim, centralnym korytarzem do szpitala weterynaryjnego. Otoczenie wyglądało zupełnie

jak w normalnym szpitalu łącznie z personelem, ubranym w szpitalne uniformy, a u wielu osób zauważył nawet stetoskopy.

Niektórzy z mijanych witali go skinieniem głowy, inni uśmiechem, jeszcze inni serdecznym: "Jak się pan ma". Kevin, onieśmielony, odpowiadał na pozdrowienia.

Nikogo z tych ludzi nie znał z imienia.

Następne drzwi wprowadziły go do głównej części budynku zajmowanego przez małpy.

Powietrze przesycił łatwo wyczuwalny odór zwierząt. Na korytarzu dawało się słyszeć sporadyczne krzyki i piski. Przez drzwi ze zbrojoną szybą Kevin widział duże klatki z małpami. Po sali krzatali się ludzie w gumowych fartuchach i wysokich, gumowych butach, zmywający pomieszczenia zwierząt wodą z węży.

Szympansiarnia mieściła się w jednym z tych wysokich na dwa piętra skrzydeł, które wychodziły z tyłu budynku pod kątem prostym i niknęły w lesie. Kevin znajdował się teraz na parterze. Nagle odgłosy zmieniły się. Oprócz wycia do jego uszu zaczęły dochodzić pohukiwania.

Uchylił drzwi do sali i zwrócił się z pytaniem o doktora Bertrama Edwardsa do jednego z pracowników ubranych w odzież ochronną.

Dowiedział się, że weterynarz jest u małp bonobo.

Kevin wyszedł na klatkę schodową i wszedł na piętro. Pomyślał, że to niezwykle zbieg okoliczności, iż doktor Edwards znajduje się u bonobo. Właśnie w związku z tymi małpami mieli się spotkać.

Sześć lat wcześniej Kevin nie słyszał jeszcze o bonobo. Sytuacja zmieniła się gwałtownie, kiedy bonobo zostały wybrane jako materiał doświadczalny dla jego projektu. Teraz wiedział, że są to istoty wyjątkowe. Kuzyni szympansów, od ponad półtora miliona lat żyjący na izolowanym obszarze około dwudziestu pięciu tysięcy mil kwadratowych Zairu. W odróżnieniu od szympansów społeczność bonobo miała strukturę matriarchalną z wyraźnie słabszą samczą agresją. Z tego też powodu bonobo potrafiły żyć w większych grupach. Niektórzy nazywali je pigmejszympansami, ale w systematyce tworzyły osobny gatunek.

Kevin zastał doktora Edwardsa przed stosunkowo niedużą klatką aklimatyzacyjną. Wkładał rękę przez pręty, starając się nawiązać przyjacielski kontakt z dorosłą samicą bonobo. Inna samica siedziała pod przeciwległą ścianą klatki. Oczy nerwowo biegały po nowym dla niej otoczeniu. Kevin wręcz wyczuwał jej przerażenie.

Doktor Edwards pohukiwał delikatnie, naśladując dźwięki, którymi szympany i bonobo porozumiewały się. Był dość wysokim mężczyzną, dobre osiem, dziesięć centymetrów wyższym niż Kevin. Włosy miał szokująco jasne.

Tworzyły dramatyczny kontrast z prawie czarnymi brwiami i rzęsami. Ostro i wyraźnie zarysowane brwi oraz wiecznie zmarszczone czoło nadawały mu wygląd człowieka zawsze zdziwionego.

Kevin przyglądał się przez moment. Przyjazny stosunek Edwardsa do zwierząt od samego początku niezwykle ujął Kevina. Rozumiał, że musiało to być coś intuicyjnego, nie wyuczonego, i zawsze robiło na nim wrażenie.

- Przepraszam - odezwał się w końcu.

Doktor Edwards podskoczył jak oparzony.

Nawet samica bonobo wrzasnęła i pognęła w drugi koniec klatki.

- Najmocniej przepraszam - powtórzył Kevin.

Edwards uśmiechnął się i przyłożył rękę do piersi.

- Nie ma potrzeby przepraszać. Byłem tak pochłonięty, że nie usłyszałem, jak pan wchodzi.

- Naprawdę nie zamierzałem pana przestraszyć, doktorze Edwards - zaczął Kevin - ale...

- Kevin, proszę, mówiłem już raz, powtarzałem tuzin razy, na imię mi Bertram. Znamy się przecież od pięciu lat. Nie uważasz, że mówienie sobie po imieniu byłoby w takiej sytuacji bardziej na miejscu?

- Oczywiście - przyznał Kevin.

- Twoje zjawienie się jest niezwykle fortunate - stwierdził Bertram. - Możesz poznać nasze dwie nowe podopieczne. - Wskazał na małpy wierzące się nerwowo pod ścianą klatki. Nadejście Kevina zdenerwowało je, ale powoli górę brała ciekawość.

Kevin spojrzał w dramatycznie człowiecze oblicza dwóch przedstawicielek naczelnych. U

bonobo szczęki były mniej wysunięte do przodu niż u szympanów, a przez to ich twarze nabierały bardziej ludzkiego wyrazu. Gdy patrzył w oczy tych małp, czuł trudny do określenia niepokój.

- Wyglądają zdrowo - zauważył, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Dopiero co dostarczyli je z Zairu. Dzisiaj rano przyjechały ciężarówką. To jakieś tysiąc mil w prostej linii. Ale że musieli przejechać naokoło, przez granicę Konga i Gabonu, to pewnie pokonali dystans trzy razy dłuższy.

- To mniej więcej jak przejechać przez Stany Zjednoczone - stwierdził Kevin.

- Tak to pewnie będzie - zgodził się Bertram. -

Tylko że tutaj trafili najwyżej na krótkie odcinki utwardzonej nawierzchni. Jazda musiała być bardzo ciężka, jak by na to nie patrzeć.

- Wyglądają jednak na dość żywotne - stwierdził Kevin. Zastanowił się, jak on sam wyglądałby po takiej przejażdżce, zamknięty w klatce i zostawiony na pace ciężarówki.

- Udało mi się już dobrze wyszkolić kierowców.

Traktują te małpy lepiej niż własne żony.

Wiedzą, że jeśli zwierzęta zdechną, nie dostaną zapłaty. To wystarczająco dobra zachęta.

- Przy rosnącym zapotrzebowaniu mogą się przydać - powiedział Kevin.

- Obyś miał rację - odpowiedział Bertram. -

Zresztą na te dwie są już konkretne zamówienia, jak wiesz. Jeśli te mały przejdą wszystkie testy, a wierzę, że tak będzie, za kilka dni znajdą się w twoim laboratorium. Chcę to znowu zobaczyć.

Wiesz, myślę, że jesteś geniuszem. I Melanie...

Tak, jeszcze nigdy dotąd nie widziałem takiej koordynacji oka i ręki, nawet jeśli uwzględnię chirurga okulistę, którego znałem w Stanach.

Kevin zarumienił się, słysząc takie pochwały pod swoim adresem.

- Melanie jest bardzo utalentowana - stwierdził, chcąc zmienić temat. Melanie Becket była technologiemi od reprodukcji. GenSys zatrudniło ją głównie ze względu na projekt Kevina.

- Jest dobra - potwierdził Bertram. - Ale wielu z nas, szczęśliwie wybranych do twojego przedsięwzięcia wie, że to ty jesteś bohaterem. -

Bertram rozejrzał się po korytarzu i upewnił się, że nikogo z obsługi nie ma w zasięgu głosu. -

Wiesz, kiedy zdecydowałem się tu przyjechać, żona i ja byliśmy przekonani, że postępujemy właściwie. Z finansowego punktu widzenia propozycja wydała się tak lukratywna jak praca w Arabii Saudyjskiej. Ale rzeczywistość przekroczyła nasze oczekiwania. Dzięki twojemu projektowi i wszystkim możliwościom, jakie się przy tym otworzyły, zostaniemy bogaczami. Nie dalej jak wczoraj Melanie mówiła, że mamy dwóch kolejnych klientów z Nowego Jorku. Zapłacą ponad setkę.

- Nie słyszałem o tym - zaprzeczył Kevin.

- Nie? To prawda. Melanie powiedziała mi zeszłej nocy, kiedy natknąłem się na nią w centrum rekreacyjnym. Mówiła, że rozmawiała z Raymondem Lyonsem. Cieszę się, że mnie o tym poinformowała, bo mogłem zawczasu wysłać kierowców do Zairu po kolejny ładunek.

Pozostaje mi tylko wyrazić nadzieję, że nasi kooperanci z Lomako zdołają nadal wywiązywać się ze swojej części interesu.

Kevin znowu spojrzął na dwie małpy zamknięte w klatce. Odwzajemniły spojrzenie z tak błagalnym wyrazem oczu, że aż coś ścisnęło go

za serce. Chciałby im powiedzieć, że nie muszą się niczego obawiać. Groziło im jedynie to, że w ciągu miesiąca zajdą w ciążę. W czasie ciąży będą trzymane w pomieszczeniu i traktowane w specjalny sposób. Przede wszystkim zapewni się im bardzo pożywną dietę. Kiedy małe przyjdą na świat, małpy zostaną przeniesione na olbrzymi, choć zamknięty wybieg, gdzie zajmą się wychowaniem potomstwa. Gdy młode osiągną wiek trzech lat, cykl powtórzy się.

- Bez wątplenia mają ludzkie spojrzenie -

Bertram przerwał zamyślenie Kevina. - Czasami nie można się powstrzymać od pytania, o czym też myślą.

- Albo od obaw wywołanych tym, co mogą sobie pomyśleć ich dzieci - dodał Kevin.

Bertram spojrział na niego. Jego czarne brwi uniosły się bardziej niż zwykle.

- Nie nadążam - stwierdził.

- Słuchaj, Bertram - zaczął niepewnie Kevin. -

Właściwie przyszedłem tu specjalnie, żeby porozmawiać z tobą o projekcie.

- Co za cudowny zbieg okoliczności - uznał

Bertram. - Miałem zamiar zadzwonić dzisiaj do

ciebie i prosić, żebyś przyszedł zobaczyć nasze

postępy. A ty sam się zjawiasz. Chodź!

Bertram pchnął najbliższe drzwi i wyszedł na

korytarz, zachęcając gestem Kevina, żeby

poszedł za nim. Bertram stawiał długie kroki,

więc Kevin musiał się nieźle starać, by nie zostać

w tyle.

- Postępy? - zapytał Bertrama. Chociaż podziwiał

Edwarda, to jednocześnie wyczuwał u niego

niepokojącą skłonność do zachowań

maniakalnych. W najlepszym razie podczas

rozmowy na tematy zawodowe Bertram miał

trudności ze zrozumieniem, co Kevin ma na

myśli. Zresztą poruszane zagadnienia były

trudne i Bertram nie mógł mu pomóc. Było to

zupełnie niemożliwe.

- Jeszcze jakie! - odpowiedział pełen

entuzjazmu. - Rozwiązaliśmy techniczne

problemy z siecią czujników na wyspie.

Wszystko działa, sam zobaczysz. Możemy

zlokalizować każde stworzenie, naciskając

odpowiedni guzik. W samą porę, mogę dodać.

Mamy tu sto osobników na dwunastu milach

kwadratowych. Szybko okazałoby się, że

tropienie ich na piechotę jest niemożliwe. Kłopot
wziął się częściowo stąd, że nie mogliśmy
przewidzieć, iż zwierzęta podzielą się na dwie
osobno żyjące społeczności. Liczyliśmy, że
stworzą jedną, dużą, szczęśliwą rodzinę.

- Bertram - Kevin odezwał się, kiedy tamten
zamilkł, aby zaczerpnąć oddechu. - Chciałem z
tobą porozmawiać, ponieważ jestem pełen
niepokoju...

- Nic dziwnego - wtrącił Bertram. - Ja także
byłbym niespokojny, gdybym pracował tyle
godzin co ty bez żadnego odpoczynku czy
relaksu. Do diabła, przecież czasami widzę
światło w twoim laboratorium, kiedy o północy
wychodzimy z żoną z kina. Nawet
rozmawialiśmy o tym. Zapraszaliśmy cię do nas
na obiad wiele razy. Dlaczego nigdy nie
przyszedłeś?

Kevin chrząknął zakłopotany. Rozmowa nie
potoczyła się tak, jak zamierzał.

- Dobra, nie musisz odpowiadać - powiedział
Bertram. - Nie chcę się jeszcze dokładać do
twoich niepokojów. Z radością się z tobą
spotkamy, więc umówmy się, że jak będziesz

miał chwilę czasu i ochotę, zadzwonisz. Ale co z salą gimnastyczną, centrum rekreacyjnym czy choćby basenem? Nigdy cię tam nie widziałem. Siedzenie w tym afrykańskim kotle jest samo w sobie dość nieprzyjemne, więc robienie z siebie jeszcze więźnia laboratorium albo domu wykracza poza granice zdrowego rozsądku.

- Bez wątpienia masz rację - zgodził się Kevin. -

Ale...

- Oczywiście, że mam rację. A co do twojego ale... to muszę jeszcze dodać jedną uwagę.

Ludzie zaczynają gadać.

- Co masz na myśli? - zapytał Kevin. - O czym gadają?

- Ludzie mówią, że jesteś samotnikiem, bo uważasz się za kogoś lepszego. No wiesz, naukowiec, z tymi wszystkimi tytułami z Harvardu i MIT. Łatwo opacznie odczytać twoje zachowanie, szczególnie jeśli się jest zazdrosnym.

- A dlaczego ktokolwiek miałby być zazdrosny? -

To, co usłyszał, zaszokowało go.

- Mnóstwo powodów. Jesteś specjalnie traktowany przez górę. Co dwa lata dostajesz

nowy samochód, zajmujesz tak komfortową
kwaterę jak Siegfried Spallek, szef całej operacji.

To wystarczy, aby niektórzy zaczęli się
zastanawiać, szczególnie ludzie pokroju
Cameron McIversa, który był dostatecznie
głupi i sprowadził tutaj całą swoją cholerną
rodzinkę. Do tego dostałeś magnetyczny
rezonans jądrowy. Dyrektor szpitala i ja staramy
się o zwykły od pierwszego dnia i do dzisiaj nic.

- Staralem się powiedzieć im, żeby nie
przydzielali mi takiego domu - tłumaczył się
Kevin. - Mówiłem, że jest za duży.

- Ależ nie musisz mi tego tłumaczyć, stary.

Rozumiem wszystko, bo jestem wprowadzony w
twój projekt, jednak niewielu wie, o co w tym
wszystkim chodzi, i niektórzy nie są zadowoleni.

Nawet Spallek nie całkiem rozumie, chociaż z
radością partycypuje w zyskach, jakie twój
projekt przynosi tym wszystkim, którzy mieli
dość szczęścia, aby ci pomagać.

Zanim Kevin zdołał odpowiedzieć, Bertram
został kilkakrotnie zatrzymany na krótkie
konsultacje. Przechodzili przez szpital
weterynaryjny. W tych niespodziewanych

przerwach w rozmowie Kevin zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Zawsze zdawało mu się, że jest raczej niewidzialny, że nikt go nie dostrzega. Świadomość, że jest źródłem animozji, była trudna do zaakceptowania.

- Przepraszam - powiedział Bertram po kolejnej rozmowie. Pchnął ostatnie z podwójnych drzwi. Kevin podążał za nim.

Mijając Marthę, swoją sekretarkę, Bertram wziął z biurka stos telefonicznych informacji. Przejrzał je w drodze do gabinetu. Machnął na Kevina, żeby wszedł, i zamknął za nim drzwi.

- Będziesz zachwycony - stwierdził Bertram, odkładając karteczki na bok. Usiadł przed komputerem i wywołał na ekranie mapę Isla Francesca. - A teraz podaj mi numer zwierzaka, którego chcesz zlokalizować.

- O rety. Niech będzie numer jeden.

- Szukamy - zawołał Bertram. Wprowadził informację i kliknął. Nagle na mapie wyspy pojawił się czerwony, świecący punkt. Znajdował się na północ od wapiennego grzbietu, ale na południe od strumyka nazwanego dowcipnie Rio

Diviso. Strumień, płynąc ze wschodu na zachód, dzielił wyspę wzdłuż na dwie części. Isla Francesca miała sześć mil długości i dwie szerokości. W samym środku znajdowało się bajoro z oczywistych względów nazwane przez nich Lago Hippo.

- Całkiem szybko, co? - zapytał dumny Bertram.

Kevin był zafascynowany. Nie tyle z powodu zaawansowanej techniki, chociaż i to go zainteresowało. Przede wszystkim dlatego, że czerwone światełko zapaliło się w tym miejscu, z którego, jak sobie wyobrażał, unosił się dym.

Bertram wstał i otworzył jedną z szafek.

Wypełniona była małymi, ręcznymi urządzeniami elektronicznymi przypominającymi z wyglądu miniaturowe notesy z ekranami z ciekłych kryształów. Z każdego wystawała wysuwana antena.

- To działa w podobny sposób - powiedział

Bertram. Jedno z urządzeń wręczył Kevinowi. -

Nazywamy je lokatorami. Oczywiście są

przenośne, więc można je zabrać w teren. To

prawdziwa rewelacja w porównaniu z tym, co

mieliśmy na początku.

Kevin spróbował uruchomić urządzenie. Z

pomocą Bertrama szybko uzyskał obraz wyspy z

czerwonym, migającym punktem. Edwards

pokazał jeszcze, jak zejść z mapy ogólnej,

pomniejszając skalę, aż uzyska się obraz

kwadratu o boku około piętnastu metrów.

- Kiedy jesteś tak blisko, używasz tego -

powiedział Bertram i wręczył Kevinowi

instrument wyglądający jak lampa błyskowa z

panelem cyfrowym niczym z pilota

telewizyjnego. - Wpisujesz w to te same dane. To

działa jak kierunkowa radiolatarnia. Im bliżej

znajdujesz się poszukiwanego zwierzęcia, tym

głośniej popiskuje. Kiedy obraz obiektu jest

czysty, dźwięk będzie jednostajny. W takiej

sytuacji musisz jedynie użyć pistoletu z nabojem

usypiającym.

- Jak działa ten system? - zapytał Kevin.

Zatopiwszy się całkowicie w biomolekularnych

aspektach swojego projektu, zupełnie nie

zwracał uwagi na zagadnienia logistyczne.

Odwiedził wyspę raz, pięć lat temu, kiedy

rozpoczynano przedsięwzięcie, ale to było

wszystko. Nigdy nie wypytywał o wszystkie

szczegóły prowadzonych prac.

- To system satelitarny - wyjął Bertram. -

Oczywiście nie zamierzam twierdzić, że znam detale. Każde zwierzę ma wszczepiony pod skórę mikroprocesor z wysokiej jakości baterią o wydłużonym czasie działania. Sygnał wysyłany z mikroprocesora jest słaby, ale wyłapuje go sieć założona na wyspie, sygnał ulega wzmocnieniu i jest transmitowany w postaci mikrofal.

Kevin chciał oddać Bertramowi urządzenia, ale weterynarz podniósł ręce i powiedział:

- Nie, nie, zatrzymaj je, Kevin. Mamy tego sporo.

- Ale ja tego nie potrzebuję - zaprotestował Kevin.

- Coś ty, Kevin - połajał go żartobliwie Bertram, klepiąc jednocześnie po plecach. Uderzenie było jednak na tyle silne, że Kevin zrobił krok do przodu. - Wyluzuj się, stary! Jesteś stanowczo zbyt poważny. - Bertram usiadł przy biurku, sięgnął po informacje telefoniczne i zaczął je przeglądać, jakby był w gabinecie sam.

Kevin spojrzął na elektroniczne gadżety, które trzymał w rękach, i zastanawiał się, co ma z nimi zrobić. Bez wątplenia były drogimi

urządzeniami.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać w związku z projektem? - zapytał nagle Bertram.

Spojrzał znad karteczek. - Ludzie zawsze narzekają, że nie dopuszczam ich do słowa. Co ci chodzi po głowie?

- Jestem zaniepokojony - przyznał Kevin.

- Czym? Sprawy nie mogłyby iść lepiej.

- Znowu widziałem dym.

- Co? Masz na myśli taką smugę dymu, o której wspominałeś w zeszłym tygodniu?

- Rzeczywiście - przyznał Kevin. - I z tego samego rejonu wyspy.

- Ach, to nic poważnego - zlekceważył informację Bertram i machnął ręką. - Właściwie co noc mamy burze z wyładowaniami elektrycznymi. Każdy wie, że pioruny mogą wywoływać pożary.

- W tak mokrym środowisku? - zapytał Kevin. - Sądziłem, że pioruny wywołują pożary na sawannie, w porze suchej, a nie w czasie deszczów w tropikalnej dżungli.

- Piorun może wzniecić ogień wszędzie - twierdził uparcie Bertram. - Pomyśl o

temperaturze, jaka towarzyszy takiemu
wyładowaniu. Pamiętaj, że piorun to nic innego
jak wypromieniowana energia o niesamowicie
wysokiej temperaturze. To niewiarygodne
zjawisko.

- Cóż, może - Kevin nie był przekonany. - Ale
nawet gdyby ten ogień pochodził od pioruna, czy
długo by się utrzymał?

- Ależ ty jesteś zawzięty - stwierdził Bertram. -
Dzieliłeś się z kimś swoimi strachami?

- Rozmawiałem tylko z Raymondem Lyonsem.
Dzwonił wczoraj w innej sprawie.

- I co odpowiedział?

- Żebym nie puszczał wodzy fantazji - przyznał
Kevin.

- Powiedziałbym, że to dobra rada. Popieram
wniosek.

- No, nie wiem. Może powinniśmy tam pójść i
sprawdzić - zaproponował Kevin.

- Nie! - Bertram aż sapnął. Na krótką, ulotną
chwilę usta ułożyły mu się w cienką kreskę, a
jego niebieskie oczy spojrzały przeszywająco.
Natychmiast jednak twarz mu się rozluźniła. -
Nie chcę iść na wyspę, chyba że po to, co tam

trzymamy. Takie były założenia planu i, do cholery, będziemy się ich trzymać. Dopóki wszystko dobrze się układa, nie chcę ryzykować.

Zwierzęta mają pozostać w izolacji, nie niepokojone. Jedynie Pigmej Alphonse Kimba, może tam chodzić, i to wyłącznie po to, aby rozłożyć na wyspie dodatkowe pożywienie.

- Może mógłbym tam pójść sam - zasugerował Kevin. - Nie zabierze mi to wiele czasu i może uspokoi moje obawy.

- Absolutnie nie! - powiedział Bertram z naciskiem. - Ta część projektu jest pod moją ochroną i zabraniam tobie i wszystkim innym wchodzenia na wyspę.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało aż tak wielkie znaczenie - Kevin obstawał przy swoim. - Nie chcę przecież niepokoić zwierząt.

- Nie! - kategorycznie rzucił Bertram. - Nie będzie żadnych wyjątków. Chcemy, żeby to były dzikie zwierzęta, a to oznacza ograniczenie kontaktów do minimum. Poza tym tworzymy tak małą społeczność, że podobne wizyty wywołają plotki, a tego także nie chcemy. No i wreszcie, taka wyprawa mogłaby się okazać

niebezpieczna.

- Niebezpieczna? Trzymałbym się z daleka od hipopotamów i krokodyli. Bonobo przecież nie są groźne.

- Nie chciałem o tym wspominać z oczywistych względów - powiedział Bertram - ale w czasie ostatniego odłowu jeden z naszych tragarzy, Pigmej, został zabity.

- Jak to się mogło stać? - zapytał zaskoczony Kevin.

- Któraś małpa rzuciła kamieniem.

- Czy to nie jest niezwykle?

Bertram wzruszył ramionami.

- Szympansy czasami rzucają gałęziami, kiedy są zaniepokojone czy przestraszone. Nie, nie uważam, że to niezwykle zachowanie.

Prawdopodobnie był to odruch bezwarunkowy.

Pod ręką był kamień, więc małpa nim rzuciła.

- Ale to objaw agresji - stwierdził Kevin. - To niezwykle u bonobo, szczególnie naszych.

- Wszystkie małpy bronią swojej grupy, gdy zostaje zaatakowana - upierał się Bertram.

- Ale dlaczego miałyby sądzić, że zostały zaatakowane?

- To była już czwarta wyprawa - odpowiedział Edwards. Wzruszył ramionami. - Pewnie nauczyły się, że może je spotkać coś złego. Ale jakkolwiek byłby powód, nie chcemy, żeby ktokolwiek chodził na wyspę. Spallek i ja przedyskutowaliśmy całą sprawę i zgadzamy się co do tego.

Bertram wstał zza biurka i objął Kevina ramieniem. Kevin chciał się wyzwolić z uścisku, ale Edwards przytrzymał go.

- No, Kevin! Zrelaksuj się! Takie niezdrowe objawy wybujałej wyobraźni to skutek tego, o czym wcześniej mówiłem. Wyjdź z tego laboratorium i zajmij się czymś przyjemnym, co odciągnie złe myśli. Inaczej wpadniesz w obsesję, zwariujesz. Mówię ci, że ten główniany ogień to nic ważnego. Program rozwija się wspaniale. A co do zaproszenia na obiad, to jak? Przemyślisz to jeszcze raz? Oboje z Trish będziemy zachwyceni.

- Poważnie się nad tym zastanowię - obiecał Kevin. Czuł się niezwykle skrępowany w uścisku Bertrama, który tymczasem chwycił go dłonią za kark.

- Dobrze - odparł Edwards i jeszcze raz klepnął Kevina w plecy. - Może moglibyśmy pójść w trójkę do kina. W tym tygodniu zapowiedzieli aż dwa pełnometrażowe filmy. Weź pod uwagę, że mamy tu najnowsze produkcje. Powinieneś z tego skorzystać. GenSys bardzo się stara, przysyłając je samolotem co tydzień. Co ty na to?

- Zastanowię się - odpowiedział Kevin wymijająco.

- Dobrze. Wspomnę o tym Trish, zadzwoni do ciebie. Okay?

- Okay - zgodził się Kevin. Uśmiechnął się słabo.

Kiedy pięć minut później Kevin wsiadał do samochodu, był bardziej zakłopotany niż wtedy, gdy zdecydował się odwiedzić doktora Edwardsa. Nie wiedział, co myśleć. Może to tylko wybujała wyobraźnia... To było możliwe, ale mógł się o tym przekonać jedynie, udając się na Isla Francesca. A na dodatek martwiły go nieprzychylnie uczucia innych ludzi wobec jego osoby.

Przy wyjeździe z parkingu zatrzymał się i rozejrzał w górę i w dół drogi biegnącej przed Strefą Zwierząt. Przepuścił przejeżdżającą

ciężarówkę. Kiedy miał zdjąć nogę z hamulca, kątem oka dostrzegł mężczyznę stojącego nieruchomo w oknie kwatery Marokańczyków. Kevin nie mógł go dobrze widzieć, bo słońce odbijało się od szyby, ale z pewnością był to jeden z wąsatych ochroniarzy. I z pewnością przyglądał się właśnie jemu.

Nie wiedzieć dlaczego, dreszcz przeszedł mu po grzbiecie.

Droga powrotna minęła szybko i bez przygód, jednak nieprzeniknione ściany zieleni wywołały u Kevina niespodziewane uczucie klaustrofobii.

W odpowiedzi nacisnął pedał gazu. Z ulgą wjechał do miasta.

Zaparkował na swoim miejscu. Otworzył drzwi, ale zawahał się. Dochodziło południe i rozważał, czy pojechać do domu na lunch, czy też wpaść jeszcze na godzinkę do laboratorium. Praca wygrała. Esmeralda nigdy nie oczekiwała go przed pierwszą.

Krótki spacer z samochodu do szpitala dał mu pełne wyobrażenie o tym, czym jest południowe słońce. Było jak ciężki koc, który krępował wszelkie ruchy, nawet oddychanie. Przed

przyjazdem do Afryki nigdy nie doświadczył prawdziwego tropikalnego upału. Wewnątrz, w chłodnym, klimatyzowanym pomieszczeniu, natychmiast rozpiął kołnierzyk i odlepił koszulę od ciała.

Ruszył schodami na górę, ale nie zaszedł daleko.

- Doktorze Marshall! - dobiegło go wołanie.

Kevin obejrzał się za siebie. Nie był przyzwyczajony, aby nagabywano go na schodach.

- Wstyd, panie doktorze! - powiedziała kobieta stojąca u podnóża schodów. W jej głosie było coś wesołego, co sugerowało, że nie mówi całkiem serio. Ubrana była w odzież ochronną. Rękawy fartucha miała podwinięte prawie po łokcie.

- Przepraszam? - odparł Kevin. Kobieta wyglądała znajomo, ale nie potrafił sobie przypomnieć, kto to jest.

- Nie przyszedł pan zobaczyć pacjenta. Przy innych przypadkach zjawiał się pan codziennie.

- Tak, rzeczywiście, ma pani rację - odpowiedział półprzytomny. Wreszcie rozpoznał kobietę. To była pielęgniarka, Candace Brickmann. Należała do zespołu chirurgicznego przydzielonego

pacjentowi. To była jej czwarta podróż do Cogo.

Kevin widywał ją przy trzech poprzednich przypadkach.

- Uraził pan uczucia pana Winchestera -
powiedziała Candace, grożąc Kevinowi palcem.

Była pełną werwy, atrakcyjną,
dwudziestokilkuletnią kobietą o chłopięcej
posturze i krótkich, bardzo jasnych włosach. Na
jej twarzy zawsze gościł uśmiech.

- Nie sądziłem, że zauważy - zająknął się.

Candace odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się.

Nagle zasłoniła usta dłonią, aby ukryć
rozbawienie, gdyż spostrzegła na twarzy Kevina
prawdziwe zakłopotanie.

- Tylko żartuję - zapewniła go. - Nie jestem
nawet pewna, czy pan Winchester pamięta
spotkanie z panem w dniu przyjazdu.

- Miałem zamiar przyjść i zapytać, jak się czuje,
ale byłem zbyt zajęty.

- Zbyt zajęty w tym miejscu, w samym środku

"nie-wiadomo-gdzie"? - zapytała z

niedowierzaniem Candace.

- No, może należało powiedzieć zapracowany.

Zaszło wiele okoliczności.

- Jakiego rodzaju? - Pytanie okrasza kolejnym uśmiechem. Lubiła tego nieśmiałego, skromnego naukowca.

Kevin wykonał jakieś nieskoordynowane ruchy rękoma i zarumienił się.

- Różne - wykrztusił w końcu.

- Och, wy, naukowcy, załamujecie mnie. No, ale żarty na bok. Cieszę się, że mogę poinformować o dobrym samopoczuciu pana Winchestera, a ze słów chirurga wynika, że zawdzięcza je przede wszystkim pańskim staraniom.

- Aż tak to znowu nie - zaprzeczył Kevin.

- Ach, i do tego skromny! - skomentowała Candace. - Inteligentny, miły i skromny. Toż to zabójcza kombinacja. Kevin zająknął się, ale w końcu nic nie odpowiedział.

- Czy byłoby z mojej strony nietaktem zaprosić pana na lunch? - zapytała Candace. - Chciałam wyskoczyć na hamburgera. Trochę już mnie znudziło jedzenie podawane w szpitalnej stołówce, a poza tym chętnie wyjdę na powietrze. Słońce, zdaje się, zaszło. Co pan na to?

W głowie Kevina kłębiły się myśli. Zaproszenie

było zupełnie niespodziewane i w normalnych warunkach znalazłby powód, aby odmówić i jakoś to uzasadnić. Ale ciągle miał w pamięci uwagi Bertrama, więc wahał się.

- Co się stało? Zgubił pan język? - Pochyliła głowę i zalotnie spojrzała spod uniesionych uroczo brwi.

Kevin wskazał na laboratorium, wymamrotał też coś czekającej na niego Esmeraldzie.

- Nie może pan do niej zadzwonić? - Intuicyjnie wyczuwała, że Kevin chciałby z nią pójść, więc nalegała konsekwentnie.

- Tak - przyznał - mogę zadzwonić z gabinetu.

- Świetnie - uznała Candace. - Mam poczekać tutaj czy pójść z panem na górę?

Kevin nigdy jeszcze nie spotkał tak otwartej i rzutkiej kobiety, zresztą nie miał w tym względzie ani licznych doświadczeń, ani nawet okazji do ich zdobycia. Jego ostatnią i jedyną miłością, nie licząc szkolnych sympatii, była doktorantka, Jacqueline Morton. Ich związek dojrzewał miesiącami podczas długich godzin wspólnie spędzanych przy pracy. Jacqueline była równie nieśmiała jak on.

Candace pokonała pięć stopni i stanęła przy

Kevinie. Miała około metra sześćdziesięciu.

- Jeśli nie może pan zdecydować, a nie sprawi to panu różnicy, to może wejść?

- Tak, oczywiście - zgodził się.

Nerwowość Kevina szybko ustępowała.

Normalnie w towarzyskich kontaktach z kobietami w szczególne zakłopotanie wprawiało go ciągłe szukanie tematu do rozmowy. Przy Candace nie miał czasu na takie rozmyślenia, bo to ona wzięła na siebie obowiązek podtrzymywania rozmowy. W drodze na drugie piętro omówili temat pogody, miasta, szpitala i operacji chirurgicznej.

- Oto moje laboratorium - powiedział Kevin, otwierając drzwi.

- Fantastyczne! - zawołała szczerze zaskoczona Candace.

Kevin uśmiechnął się. Widział, że naprawdę zrobiło na niej wrażenie.

- Niech pan idzie zadzwonić, a ja się trochę rozejrzę - zaproponowała.

- Jak pani sobie życzy - zgodził się.

Bał się, że zbyt późno informuje Esmeraldę o

tym, że nie przyjdzie na lunch, więc z

zadowoleniem przyjął jej spokój. Zapytała tylko,
o której przyjdzie na obiad.

- Jak zwykle - odparł. Nagle, ku własnemu
zaskoczeniu dodał: - Może będzie ze mną jeszcze
ktoś. Czy to nie sprawi kłopotu?

- Żadnego. Ile osób?

- Tylko jedna - odpowiedział, odłożył słuchawkę
i wytarł lekko spocone dłonie.

- Możemy iść na lunch?! - zawołała z
laboratorium Candace.

- Chodźmy - odpowiedział.

- To dopiero laboratorium! - z uznaniem
powiedziała Candace. - Nigdy bym nie
przypuszczała, że tu, w sercu tropikalnej Afryki,
można znaleźć coś takiego. Proszę mi
powiedzieć, do czego panu służy całe to
fantastyczne wyposażenie?

- Próbuję udoskonalić świat.

- Mógłby pan być trochę bardziej dokładny?

- Naprawdę chce pani wiedzieć?

- Tak. Jestem tym szczerze zainteresowana.

- Na obecnym etapie zajmuję się pojedynczymi
antygenami odpowiedzialnymi za zgodność

tkankową. Rozumie pani, białka, które definiują panią jako osobnika unikatowego, jedyne w swoim rodzaju.

- I co pan z nimi robi?

- Lokalizuję odpowiadające im geny na właściwym chromosomie. Następnie szukam transferazy współpracującej z danym genem, jeśli jakaś jest, po to, abym mógł go przenosić.

Candace lekko się roześmiała.

- Obawiam się, że już się pogubiłam - przyznała.

- Nie mam zielonego pojęcia, co to takiego transferaza. Prawdę powiedziawszy, cała biologia molekularna znajduje się chyba poza moim zasięgiem.

- Na pewno nie - stwierdził z przekonaniem Kevin. - Podstawy nie są tak bardzo skomplikowane. Sprawą zasadniczą, z której nieliczni zdają sobie naprawdę sprawę, jest to, że niektóre geny mogą wędrować w obrębie swego chromosomu. Dzieje się tak szczególnie w limfocytach B, co zwiększa różnorodność przeciwciał. Niektóre geny są bardziej mobilne i potrafią zmieniać pozycję ze swoim genem bliźniaczym. Pamiętaj zapewne pani, że

posiadamy dokładną kopię każdego genu.

- Tak - przytaknęła Candace. - Mamy też po dwa identyczne chromosomy. Nasze komórki zawierają dwadzieścia trzy pary chromosomów.

- Dokładnie - potwierdził Kevin. - Jeżeli geny zmieniają pozycję w obrębie swojej pary chromosomów, nazywamy to transpozycją homologiczną. Jest to niezwykle ważny proces podczas powstawania komórek rozrodczych, zarówno jaja, jak i plemnika. Zjawisko podnosi stopień genetycznej różnorodności i w efekcie umożliwia ewolucję gatunków.

- To znaczy, że transpozycja homologiczna bierze udział w ewolucji - skonstatowała Candace.

- Jak najbardziej - przytaknął Kevin. - Precyzując, segment z genami, który się przemieścił, to transpozon, a enzymy katalizujące proces przemieszczania nazywane są trasferazami.

- W porządku - powiedziała dziewczyna. - Jak dotąd łapię.

- No więc obecnie interesuję się traspozonami zawierającymi geny dla antygenów zgodności

komórkowej - wyjaśnił Kevin.

- Rozumiem - przytaknęła Candace. - Rysuje mi się obraz całości. Twoim celem jest przesunięcie genu odpowiedzialnego za antygen zgodności tkankowej z jednego chromosomu do innego.

- O to właśnie chodzi! - potwierdził Kevin. - Cała sztuka w znalezieniu i wyizolowaniu transferazy.

To trudny etap. Ale gdy tylko znajdę transferazę, stosunkowo łatwo będzie odszukać sam gen. A kiedy znajdę i wyizoluję gen, będę mógł użyć standardowej procedury do rekombinacji DNA do jego produkcji.

- To znaczy kazać bakterii pracować na twoje potrzeby - zgodła Candace.

- Bakterii albo kulturom tkankowym jakiegoś ssaka, zależy, co się lepiej do tego nada.

- Phii! - skomentowała Candace. - Ta umysłowa rozrywka pobudziła tylko mój apetyt. Zjedzmy po hamburgerze, bo poziom cukru we krwi osiągnie u mnie stan krytyczny.

Kevin uśmiechnął się. Ta kobieta spodobała mu się. Nawet nieco się rozluźnił i odprężył.

Schodząc po schodach szpitalnych, Kevin odczuwał lekki zawrót głowy, wywołany

nieustającym potokiem pytań i komentarzy

Candace. Ciągłe nie mógł uwierzyć, że oto idzie na lunch z tak atrakcyjną i ujmującą kobietą.

Miał wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku dni wydarzyło się w jego życiu więcej niż przez poprzednie pięć lat pobytu w Cogo. Był tak zaprzątnięty myślami, że nie zwrócił nawet uwagi na gwinejskich żołnierzy, kiedy wraz z Candace przechodził przez plac.

Od początku pobytu ani razu nie był w centrum rekreacyjnym. Zapomniał też, jakim bluźnierstwem było zamienienie kościoła na centrum światowych rozrywek. Ołtarz zniknął, ale ambona ciągle była na swoim miejscu, po lewej stronie. Używali jej lektorzy, a prowadzący grę w bingo odczytywali z niej numery. W miejscu ołtarza umieszczono kinowy ekran, ot, taki znak czasów.

Kantyna mieściła się w suterenie, do której wchodziło się po schodach przez kruchtę. Kevina zaskoczył tłok panujący w sali. Gwar rozmów odbijał się echem od szorstkiego, tynkowanego sufitu. Musieli stanąć w długiej kolejce, zanim udało im się złożyć zamówienie. A kiedy

otrzymali dania, zaczęli intensywne poszukiwania miejsca przy stole. Były to długie, drewniane stoły z ławami, jak na amerykańskich piknikach.

- Tam są wolne miejsca! - zawołała Candace, przekrzykując hałas rozmów. Tacą wskazała na drugi koniec sali. Kevin skinął głową. Idąc za swoją nową znajomą, ukradkiem zerkał na twarze siedzących w kantynie gości.

Onieśmielony, mając w pamięci opinię Bertrama na swój temat, stwierdził, że jednak nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

Przecisnął się tuż za Candace między dwoma stołami. Trzymał tacę wysoko, aby nikogo nie zahaczyć, teraz wreszcie mógł ją postawić na wolnym miejscu. Musiał się nieźle nagimnastykować, żeby przełożyć nogi na drugą stronę ławy i siadając, schować je pod stół.

Zanim się uporał ze wszystkim, Candace już zdążyła zawrzeć znajomość z dwoma osobami siedzącymi w przejściu. Kevin także kiwnął im głową. Nikogo jednak nie rozpoznał.

- Urocze miejsce - zagaiła Candace. Sięgnęła po ketchup. - Często pan tu przychodzi?

Zanim zdążył odpowiedzieć, ktoś zawołał go po imieniu. Odwrócił się i ujrzał znajomą twarz. To była Melanie Becket, technolog, specjalistka od reprodukcji.

- Kevin Marshall! - zawołała jeszcze raz. -

Jestem wstrząśnięta. Co ty tu robisz?

Melanie była mniej więcej w tym samym wieku co Candace, w zeszłym miesiącu obchodziła uroczyste swoje trzydzieste urodziny. Candace była blondynką, Melanie brunetką, miała śniadą cerę, typową dla mieszkańców basenu Morza Śródziemnego. Jej ciemnobrązowe oczy wydawały się niemal czarne.

Kevin chciał przedstawić swoją towarzyszkę i przez chwilę przeżył horror, nie mogąc przypomnieć sobie jej imienia.

- Jestem Candace Brickmann - przedstawiła się dziewczyna, nie tracąc rezonu. Wyciągnęła rękę na powitanie. Melanie także się przedstawiła i zapytała, czy może do nich dołączyć.

- No jasne - odparła Candace.

Candace i Kevin siedzieli obok siebie, Melanie zajęła miejsce naprzeciwko.

- To ty jesteś odpowiedzialna za zwabienie

naszego miejscowego geniusza do jaskini zła i zepsucia? - zapytała Melanie. Była bystrą, inteligentną kobietą traktującą wszystko z żartobliwym lekceważeniem. Wychowała się na Manhattanie.

- Zdaje się - odparła Candace. - A to coś niezwykłego?

- To wydarzenie roku. Zdradź mi swój sekret. Tyle razy bez skutku prosiłam go, żeby ze mną przyszedł, że w końcu poddałam się, a to było kilka lat temu.

- Nigdy jakoś szczególnie mnie nie prosiłaś - wtrącił Kevin we własnej obronie.

- Och, naprawdę? A co miałam takiego szczególnego zrobić? Narysować ci mapę, jak tu trafić? Pytałam, czy nie chcesz wrzucić na ruszt małego hamburgera. Czy to nie było wystarczająco szczególne zaproszenie?

- No, no - Candace aż się wyprostowała. - Zdaje się, że to mój szczęśliwy dzień.

Melanie i Candace z łatwością nawiązały kontakt. Opowiedziały sobie, czym się zajmują. Kevin słuchał, ale uwagę skoncentrował na hamburgerze.

- Więc wszyscy jesteśmy częścią tego samego projektu - stwierdziła Melanie, kiedy dowiedziała się, że Candace jest pielęgniarką z zespołu chirurgicznego z Pittsburgha, pracującą na oddziale intensywnej opieki medycznej. -

Trzy ziarenka groszku w strączku.

- Jesteś wspaniałomyślna - odparła Candace. -

Jestem tylko jednym z mniejszych trybików pracujących na etapie terapeutycznym. Nie mogłabym stawiać siebie na tym samym poziomie co wy, moi drodzy. To wy sprawiacie, że całe przedsięwzięcie jest możliwe. Jeśli mogę zapytać, jak wy to na miłość boską robicie?

- Ona jest tutaj numer jeden - odezwał się Kevin i wskazał na Melanie.

- Coś ty, Kevin! - zaprotestowała pochwalona. -

To ty jesteś nie zastąpiony. To, co ja robię, może wykonać wielu innych ludzi, ale twoją część możesz wykonać tylko ty sam. To twoje osiągnięcia stały się kluczem do sukcesu.

- Nie spierajcie się - wtrąciła się Candace. - Po prostu powiedzcie, jak to działa. Umieram z ciekawości od pierwszego dnia, ale wszystko trzymane jest w takiej tajemnicy. Kevin wyjaśnił

mi podstawy teoretyczne, ale ciągle nie wiem,

jak to jest zastosowane w praktyce.

- Kevin pobiera szpik kostny pacjenta - zaczęła

Melanie. - Z niego wyodrębnia komórkę

przygotowaną do podziału, jeśli się orientuję,

najlepiej tak zwaną komórkę macierzystą, w

której podczas podziału jądra następuje

wyróżnicowanie się chromosomów.

- Bardzo rzadko udaje się znaleźć komórkę

macierzystą - wtrącił Kevin.

- Lepiej ty jej wyjaśnij, co robisz - powiedziała

Melanie, machając z rezygnacją ręką. - Ja bym

to wszystko zaraz pomieszała.

- Pracuję z transferazą, którą odkryłem jakieś

siedem lat temu. Katalizuje homologiczne

transpozycje i wzajemną wymianę segmentów

między chromosomami krótkich ramion

chromosomu szóstego.

- Co to takiego krótkie ramię chromosomu

szóstego? - zapytała Candace.

- Chromosomy mają coś, co nazywamy

centromerem, który dzieli je na dwa segmenty -

objaśniła znowu Melanie. - Chromosom szósty

ma dwa nierówne segmenty. Mniejszy nazywa

się krótkim ramieniem.

- Dziękuję - powiedziała Candace.

- No więc - Kevin zawiesił głos, chcąc uporządkować własne myśli. - Ja dodaję moją sekretną transferazę do pobranej od pacjenta komórki przygotowanej do podziału. Ale nie prowadzę do rekombinacji kompletnej.

Zatrzymuję cały proces w chwili oderwania się krótkich ramion od ich własnych chromosomów.

Wtedy je ekstrahuję, wyciągam.

- O rety! - zawołała Candace. - Wyciągasz te drobiny, te mikroskopijne niteczki z jąder komórkowych? Jak to możliwe?

- To zupełnie inna historia - odparł Kevin. -

Wykorzystuję system antyciał monoklonalnych, który rozpoznaje ukryty enzym, transferazę.

- To już wykracza poza moje możliwości zrozumienia - oświadczyła zrezygnowana

Candace.

- Jasne, zapomnij, jak dobiera się do krótkiego ramienia - zaproponowała Melanie - i przyjmij jedynie, że tak jest.

- Zgoda. Co robisz z tymi oderwanymi ramionami?

Kevin wskazał na Melanie.

- Czekam, aż ona wykona swoje magiczne sztuczki.

- To nie magia. Jestem jedynie technikiem.

Wykorzystuję technikę zapłodnienia in vitro u

bonobo, tę samą, którą stosowano do

zapładniania goryli górskich trzymanyh w

niewoli. Dokładniej mówiąc, Kevin i ja musimy

skoordynować nasze wysiłki, ponieważ on

potrzebuje zapłodnionego jaja, które zacznie się

dzielić. Czynnikiem czasu jest niezwykle ważny.

- Chcę, żeby było gotowe do podziału - wtrącił

Kevin. - Tak więc rozkład czynności Melanie

determinuje moje działania. Nie zacznę swojej

pracy, dopóki Melanie nie zapali zielonego

światła. Kiedy dostarczy zygotę, wykonuję

wszystko według tej samej procedury, którą

stosowałem w wypadku komórek pacjenta. Po

pobraniu krótkiego ramienia z chromosomu

bonobo umieszczam w zygocie krótkie ramię

chromosomu pacjenta. Dzięki transferazie łączą

się dokładnie w tym miejscu, w którym

oczekujemy.

- I to wszystko? - zapytała Candace.

- No cóż, nie do końca - stwierdził Kevin. -

Właściwie używam czterech transferaz, nie jednej. Krótkie ramię chromosomu szóstego jest najważniejszym segmentem, który transferujemy, ale przenosimy również relatywnie mniejsze fragmenty chromosomów dziewiątego, dwunastego i czternastego.

Zawierają geny grup krwi ABO i kilka mniej ważnych antygenów zgodności tkankowej jak CD-31 adhezji cząsteczkowej. Ale to już zbyt skomplikowane. Miej na uwadze jedynie chromosom szósty. To najważniejsza część operacji.

- Dlatego, że chromosom szósty zawiera geny w największym stopniu odpowiedzialne za cały splot procesów związanych ze zgodnością tkankową - stwierdziła celnie Candace, dając do zrozumienia, że zorientowała się, w czym rzecz.

- Dokładnie o to chodzi - pochwalił ją Kevin. Był pod olbrzymim wrażeniem. Okazała się nie tylko duszą towarzystwa, ale także osobą inteligentną i żądną wiedzy.

- Czy takie postępowanie można zastosować także wobec innych zwierząt? - zapytała

Candace.

- Co masz na myśli? - Kevin nie zrozumiał pytania.

- Świnie. Wiem, że w niektórych ośrodkach amerykańskich i angielskich próbują zredukować niebezpieczeństwo odrzutu przeszczepu, używając świńskich organów po wszczepieniu ludzkich genów.

- Nie, to stara metoda, która reaguje na skutki, a nie likwiduje przyczyn - wyjaśniła Melanie.

- To prawda. W naszej metodzie nie ma żadnych obaw związanych reakcją immunologiczną.

System zgodności tkankowej, który oferujemy, jest inteligentny, daje podwójne zabezpieczenie immunologiczne, szczególnie że potrafię włączać więcej antygenów.

- Nie rozumiem, po co się nad tym męczysz - zauważyła Melanie. - U naszych trzech pierwszych pacjentów z przeszczepami nie było żadnych reakcji sygnalizujących odrzucenie.

Zero kłopotów!

- Chcę, żeby system był doprowadzony do perfekcji - stwierdził Kevin.

- Pytałam o świnie z kilku powodów - wróciła do

tematu Candace. - Po pierwsze sędzę, że

wykorzystywanie małp bonobo może niepokoić

wielu ludzi. Po drugie domyślam się, że nie są

one zbyt liczne.

- To prawda - zgodził się Kevin. - Cała światowa

populacja bonobo liczy sobie tylko około

dwudziestu tysięcy osobników.

- O tym właśnie mówię, podczas gdy świnie

zabija się dla szynki w setkach tysięcy sztuk.

- Nie sędzę jednak, żeby mój system zadziałał w

wypadku świń - wyznał Kevin. - Nie wiem tego

na pewno, ale wątpię. Bonobo i szympansy mają

genotyp niezwykle podobny do naszego. Tak

naprawdę różnimy się pod tym względem tylko o

jakieś półtora procent. Dlatego wszystko tak

dobrze się udaje.

- Tylko tyle? - zapytała Candace z

niedowierzaniem.

- To upokarzające, czyż nie?

- To więcej niż upokarzające.

- To pokazuje, jak blisko siebie w procesie

ewolucji znalazły się bonobo, szympansy i ludzie

- stwierdziła Melanie. - To dowodzi, że my i nasi

prymitywni kuzyni mieliśmy wspólnego przodka

około siedmiu milionów lat temu.

- Ale i stawia poważne pytania natury etycznej

co do wykorzystania istot tak blisko z nami

spokrewnionych i wyjaśnia, dlaczego ten

proceder niepokoi wielu ludzi - zauważyła

Candace. - Te małpy wyglądają tak ludzko. Nie

macie wyrzutów, kiedy musicie je zabić?

- Ta, której wątrobę wszczepiliśmy panu

Winchesterowi, była dopiero drugą uśmierconą -

odpowiedziała Melanie. - Od dwóch

poprzednich pobraliśmy nerki i obecnie mają się

całkiem dobrze.

Kevin popatrzył na Melanie. W ustach miał

sucho. Candace zmusiła go do spojrzenia prosto

w twarz problemowi, od którego ze wszystkich

sił pragnął uciec. Między innymi dlatego dym

unoszący się nad Isla Francesca tak bardzo go

niepokoił.

- Tak, trochę mnie to porusza - przyznała

Melanie. - Ale jestem tak podekscytowana

zawiłościami naukowymi i tym, co możemy

zrobić dla pacjentów, że staram się nie myśleć o

innych trudnościach. Poza tym nigdy nie

zakładaliśmy, że będziemy musieli wszystkie

wykorzystać. To raczej rodzaj ubezpieczenia, na wypadek gdyby klient ich potrzebował. Nie przyjmujemy ludzi, którzy wymagali transplantacji natychmiast i nie mogą czekać trzech lat, aż nasz dawca osiągnie optymalny wiek. Nie musimy także obcować ze zwierzętami. Żyją same na wyspie. Tak to zostało zaplanowane, żeby nikt nie zdołał się do nich przywiązać.

Kevin miał trudności z przełykaniem. Oczami wyobraźni widział smużkę dymu leniwie wijącą się w stronę ciężkiego, ołowianego nieba.

Widział wystraszoną bonobo chwytającą za kamień i rzucającą nim ze śmiertelną precyzją w Pigmeja, który wyruszył na łowy.

- Jak to się nazywa, kiedy zwierzę nosi w sobie ludzkie geny? - zapytała Candace.

- Transgeniczność - odparła Melanie.

- No właśnie. Chciałabym, żeby można było używać transgenicznych świń zamiast bonobo.

Ta cała procedura nie daje mi spokoju. Chociaż bardzo lubię pieniądze i podobają mi się warunki, jakie stworzyło GenSys, to jednak nie jestem pewna, czy dalej będę pracować przy tym

programie.

- To z pewnością nie spodoba się firmie -
zauważyła Melanie. - Pamiętaj, że podpisałaś
kontrakt. Jest dla mnie jasne, że będą chcieli
zatrzymać pracownika zgodnie z wcześniej
podjętymi zobowiązaniami.

Candace wzruszyła ramionami.

- Zwrócę im wszystko. Mogę bez tego żyć. Przede
wszystkim muszę zachować dobre
samopoczucie. Czułabym się lepiej, gdyby
używali do tego świń. Kiedy usypialiśmy ostatnią
bonobo, mogłabym przysiąc, że próbowała się z
nami porozumieć. Musieliśmy zastosować
dodatkową dawkę środka uspokajającego.

- Och, dajmy już temu spokój! - zareagował
niespodziewanie energicznie Kevin. Twarz mu
płonęła.

Melanie szeroko otworzyła oczy.

- A w ciebie co za diabeł wstąpił?

Kevin natychmiast się uspokoił i przeprosił za
wybuch.

- Przepraszam. - Serce ciągle mu waliło. Nie
znosił tego, że zawsze był w swych odruchach tak
szczerzy i łatwy do przejrzania, a w każdym razie

zdawało mu się, że tak jest. Melanie spojrzała znacząco na Candace, ale ta zdawała się tego nie dostrzegać. Patrzyła na Kevina.

- Mam wrażenie, że czujesz to samo co ja -
zauważyła Candace.

Kevin głośno wypuścił powietrze i szybko ugryzł hamburgera, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mógłby potem żałować.

- Dlaczego nie chcesz o tym porozmawiać? -
naciskała Candace.

Kevin pokręcił głową, przeżuwając kęs hamburgera. Domyślał się, że jest czerwony jak burak.

- Nie martw się nim. Wróci do siebie - pocieszyła koleżankę Melanie.

Candace spojrzała teraz na nią.

- Bonobo są tak ludzkie - powiedziała, wracając do przerwanej rozmowy - że właściwie nie powinniśmy się dziwić tej maleńkiej, półtoraprocentowej różnicy w genotypie. Ale coś mi przyszło do głowy. Moi drodzy, jeżeli tak łatwo przenosicie krótsze ramię chromosomu szóstego czy inne małe segmenty ludzkiego DNA do komórek bonobo, to jak wam się zdaje, z

jakim procentem mamy wtedy do czynienia?

Melanie spojrzała na Kevina, robiąc równocześnie rachunek w myślach. Zmarszczyła czoło.

- Hmmm - mruknęła pod nosem. - To ciekawe pytanie. W grę wchodzi pewnie ponad dwa procent.

- Tak, ale te półtora procent nie mieści się wyłącznie w krótkim ramieniu szóstego chromosomu - niemal warknął Kevin.

- Hola, miły panie, wyluzuj się - Melanie starała się lekkim tonem pohamować coraz bardziej zdenerwowanego Kevina. Odstawiła sok i po przyjacielsku położyła dłoń na ramieniu kolegi. -

Nie trać panowania nad sobą. My jedynie rozmawiamy. No wiesz, wymiana poglądów, taka rozrywka normalnych ludzi, siedzieć i mówić. Wiem, że dla kogoś, kto cały czas spędza z wirującymi w maszynach próbkami, takie kontakty stają się irytujące, ale mimo wszystko nie rozumiem, co takiego się stało.

Kevin westchnął. Chociaż było to wbrew jego naturze, postanowił zwierzyć się tym dwóm miłym, godnym zaufania kobietom. Przyznał, że

się zdenerwował.

- Tak jakbyśmy tego nie widziały! - odparła

Melanie, wywracając oczami. - A nie mógłbyś

być nieco bardziej dokładny? Co cię tak

wkurzyło?

- Właśnie to, o czym mówiła Candace - wyznał.

- Mówiła mnóstwo rzeczy.

- I wszystkie one świadczyć mogą, że popełniłem
piramidalną pomyłkę.

Melanie cofnęła dłoń i zajrzała głęboko w

ciemnobłękitne oczy Kevina.

- W jakiej sprawie?

- W dodawaniu tak dużej porcji ludzkiego DNA.

Krótkie ramię szóstego chromosomu zawiera

setki genów nie mających nic wspólnego z

zespołem zgodności tkankowej. Powinienem

raczej wyizolować wyłącznie potrzebny

kompleks, a nie iść drogą na skróty.

- A więc te stworzenia otrzymują nieco więcej

ludzkich protein - dopowiedziała Melanie. - A to

ci dopiero historia!

- Tak się właśnie poczułem w pierwszej chwili -

przyznał Kevin. - Przynajmniej do momentu, w

którym wszedłem do Internetu, aby się

dowiedzieć, czy ktokolwiek wie coś na temat zawartości krótkiego ramienia chromosomu szóstego. Niestety, jeden z badaczy poinformował mnie, że znajduje się tam spory segment genów ewolucyjnych. No i teraz zupełnie nie wiem, co stworzyłem.

- Ależ oczywiście, że wiesz - zaprzeczyła

Candace. - Stworzyłeś transgeniczną małpę.

- To wiem - odpowiedział Kevin, a jego oczy płonęły. Zaczął szybko oddychać, na jego czole pojawiły się krople potu. - Ale obawiam się, że przekroczyłem granicę.

ROZDZIAŁ 6

5 marca 1997 roku

godzina 13.00

Cogo, Gwinea Równikowa

Bertram wjechał swoim trzyletnim jeepem cherokee na parking za ratuszem i ostro nacisnął na hamulce. Samochód sprawiał mu spore kłopoty i Bertram mnóstwo czasu spędzał w warsztatach samochodowych, naprawiając coraz to nowe usterki. Problemy jednak nie znikwały, więc myśląc o Kevinie Marshallu, który dostając co dwa lata nową toyotę, nie wiedział, co to

psujący się samochód, czuł rosnącą irytację. On na nowy samochód musiał poczekać jeszcze rok.

Wszedł na schody prowadzące spod arkad na werandę otaczającą budynek na wysokości pierwszego piętra. Z niej wszedł do głównego biura. Zgodnie z wolą Siegfrieda Spalleka nie było tutaj klimatyzacji. Podwieszony pod sufitem potężny wentylator obracał się leniwie, wydając przy tym modulowany warkot. Długie, płaskie skrzydła poruszały ciepłym i wilgotnym powietrzem w dużej sali.

Bertram głośno zawołał zaraz po wejściu, więc sekretarz Siegfrieda, Aurielo, spodziewał się gościa i gestem zaprosił go do gabinetu. Aurielo był mieszkańcem wyspy Bioko, czarnoskórym mężczyzną o szerokiej twarzy. Uczył się we Francji na nauczyciela, ale dopiero kiedy GenSys znalazło teren na Strefę, podjął swoją pierwszą pracę.

Gabinet był większy niż biuro, przez które Bertram wszedł. Zajmował całą szerokość budynku. Okna wychodzące na parking z tyłu i na plac od frontu osłonięte były okiennicami. Z frontowych okien roztaczał się imponujący

widok na nowoczesny kompleks szpitalno-laboratoryjny. Z miejsca, w którym stał, Bertram mógł zobaczyć także okna pracowni Kevina.

- Siadaj - powiedział Siegfried, nie podnosząc nawet wzroku. Jego głos był chropowaty, gardłowy, z lekkim niemieckim akcentem. Spallek miał wyjątkowo despotyczny charakter.

Podpisywał cały stos korespondencji. - Za moment skończę.

Bertram rozejrzał się po pokoju. Panował w nim bałagan. Nigdy nie czuł się w tym miejscu dobrze. Jako weterynarz i umiarkowany zwolennik programu ochrony środowiska, nie akceptował dekorowania pomieszczeń trofeami myśliwskimi.

Tymczasem tutaj wszystkie ściany, każdy kawałek wolnej powierzchni, przykryte zostały wypchanymi głowami zwierząt, nierzadko gatunków zagrożonych, spoglądających na ludzi swymi szklistymi oczami. Było tu wiele kotów, jak lwy, pantery, gepardy, a także pełen przekrój antylop - Bertram nawet nie sądził, że tyle ich tu może żyć. Kilka potężnych łbów nosorożców spoglądało tępo zza pleców Siegfrieda. Nad

biblioteczką znajdowały się węże, wśród nich nawet szykująca się do ataku kobra. Na podłodze leżał krokodyl z otwartą paszczą, strasząc swymi ostrymi jak igły zębiskami. Obok krzesła, na którym usiadł Bertram, stał mahoniowy stolik ze słoniową nogą. W kącie stały skrzyżowane dwa ciosy słoniowe.

Bardziej jeszcze od myśliwskich zdobyczy zdobiących gabinet, niepokoiły Bertrama trzy czaszki leżące na biurku Siegfrieda. Wszystkie były otwarte, bez górnej części. Jedna miała w skroni otwór po kuli. Służyły za pojemnik do spinaczy, popielniczkę i świecznik do grubej świecy. Chociaż sieć elektryczna Strefy należała do najbardziej niezawodnych w całym kraju, czasami zdarzały się awarie, głównie za sprawą częstych i gwałtownych wyładowań elektrycznych.

Większość osób odwiedzających gabinet szefa GenSys w Afryce uznawała czaszki za małpie, Bertram jednak znał prawdę. Były to czaszki ludzkie, pochodziły od skazańców zabitych przez żołnierzy gwinejskich. Cała trójka to były ofiary skazane za obrazę państwa. Przeszkadzali

GenSys w prowadzeniu operacji. Prawdę powiedziałwszy, to złapano ich na kłusownictwie. Polowali nielegalnie na szympansy w Strefie. Siegfried traktował ten obszar jak swój prywatny teren łowów.

Kilka lat temu, kiedy Bertram delikatnie zakwestionował potrzebę eksponowania czaszek, Siegfried odparł, że utrzymują miejscowych robotników w ryzach.

- To ten rodzaj komunikatu, który oni doskonale rozumieją - wyjaśnił. - Takie symbole przemawiają do nich.

Bertram nie dziwił się, że miejscowi rozumieją informację. Żyli przecież w kraju cierpiącym na nadmiar straszliwych, diabolicznie okrutnych dyktatorów. Bertram doskonale pamiętał uwagę Kevina na temat czaszek. Powiedział, że przypominają mu o obłąkanym Kurtzu z Jądra ciemności Josepha Conrada.

- No - odezwał się Siegfried, odsuwając stos papierów na stronę. - Co cię niepokoi, Bertram?

Mam nadzieję, że nie pojawiły się żadne kłopoty z nowymi bonobo?

- Nie, absolutnie żadnych kłopotów z nimi nie

ma. Obie samice są doskonałe. - Wpatrywał się w szefa Strefy. Najbardziej rzucającą się w oczy cechą fizyczną była blizna nadająca twarzy Siegfrieda groteskowy wyraz. Ciągnęła się spod lewego ucha, przez policzek aż do nosa. Z upływem lat blizna ściągnęła się nieco i podniosła jeden z kącików ust Siegfrieda, powodując, że jego twarz wykrzywiał ciągły niby-szyderczy uśmiech.

Formalnie rzecz biorąc, Bertram nie podlegał Siegfriedowi. Jako szef weterynarii największego na świecie ośrodka badawczego i reprodukcyjnego dla naczelnych, Bertram porozumiewał się bezpośrednio z wiceprezydentem odpowiedzialnym w GenSys za całą operację, który z kolei miał bezpośredni dostęp do Taylora Cabota. Jednak w codziennej praktyce, szczególnie jeśli chodziło o udział w projekcie bonobo, w najlepiej pojętym własnym interesie Bertram starał się utrzymywać serdeczne stosunki z szefem Strefy. Problem polegał na tym, że Siegfried był człowiekiem porywczym i trudno się z nim współpracowało. Swoją afrykańską karierę zaczął jako biały

myśliwy, który za odpowiednie pieniądze potrafił dostarczyć klientowi wszystko, czego sobie zażyczył. Taka reputacja zmusiła go do opuszczenia wschodniej Afryki i przeniesienia się do zachodniej części kontynentu, gdzie prawa nie zawsze były tak kategorycznie przestrzegane. Siegfried stworzył silną organizację i interesy szły doskonale, aż tropiciele pewnego razu zawiedli go i postawili w niezwykle niebezpiecznej sytuacji. W rezultacie został poturbowany przez potężnego słonia, a dwoje klientów poniosło śmierć.

Wydarzenie to zakończyło definitywnie karierę Siegfrieda jako białego myśliwego. Poza tym zostawiło bliznę na twarzy i paraliż prawego ramienia. Kończyna zwisała teraz bezwładnie i bezużytecznie wzdłuż boku.

Wściekłość wywołana niefortunnym zdarzeniem uczyniła z niego człowieka zgorzkniałego i mściwego. GenSys jednak doceniło jego zdolności organizacyjne, znajomość zwyczajów zwierzęcych i jego bezwzględny, ale i niezwykle efektywny sposób postępowania z Afrykańczykami. Uznali, że idealnie nadaje się

do pokierowania wielomilionową afrykańską operacją.

- Mamy inne problemy z bonobo - powiedział Bertram.

- Czy chodzi o coś więcej niż twoje wcześniejsze zmartwienie z powodu podzielenia się zwierząt na dwie grupy? - zapytał z wyraźnym lekceważeniem Siegfried.

- Rozpoznanie zmiany w zachowaniach społecznych może powodować, do cholery, upoważnioną obawę - odparł Bertram. Na twarzy pojawiły mu się rumieńce.

- Skoro tak mówisz - zgodził się Siegfried. - Ale myślałem o tym i nie bardzo rozumiem, w czym rzecz. Czy przebywają w jednej grupie, czy w dziesięciu, co to dla nas za różnica? My wymagamy od nich jedynie, żeby pozostawały na miejscu i były zdrowe.

- Nie zgadzam się - zaproponował Bertram. -

Podział świadczy o tym, że nie dają sobie rady.

To nie jest ich typowe zachowanie i może wraz z upływem czasu rodzić kolejne problemy.

- Takie zmartwienia pozostawiam wam, profesjonalistom - powiedział Siegfried. Rozparł

się w fotelu, aż ten skrzyknął. - Ja osobiście nie dbam o te mały tak długo, jak długo nic nie zatrzymuje strumienia pieniędzy i sprzętu. Na razie projekt zamienia się w kopalnię złota.

- Trudności, o których wspomniałem, dotyczą Kevina Marshalla - zmienił temat Bertram.

- A co, na miłość boską, ten chudy głupek zrobił, żebyś się tak martwił? Dobrze, że ty z tą swoją wieczną paranoją nie musisz wykonywać mojej roboty.

- Ten bałwan sam wywołał problem, bo zobaczył dym nad wyspą. Był u mnie dwa razy. Najpierw w zeszłym tygodniu i drugi raz dziś rano.

- A co to za historia z tym dymem? Dlaczego mamy się tym przejmować? Zdaje się, że on jest jeszcze gorszy niż ty.

- Sądzi, że to bonobo używają ognia - wyjaśnił Bertram. - Nie powiedział tego wprost, ale jestem pewny, że to właśnie miał na myśli.

- Co masz na myśli, mówiąc "używają ognia"? -

Siegfried pochylił się do przodu. - Że niecą ogniska po to, by się ogrzać lub coś ugotować? -

Roześmiał się na głos. - Nie znam się dobrze na was, amerykańskich mieszcuchach, ale tu, w

buszu, zaczynacie się bać własnego cienia.

- Wiem, że to niedorzeczne. Oczywiście nikt inny tego nie widział, a jeżeli, to i tak pewnie ogień wziął się od piorunów. Problem polega na tym, że on chce tam pójść.

- Nikt nie będzie się zbliżał do wyspy! - warknął Siegfried. - Tylko w czasie planowanego połowu i wyłącznie wyznaczona grupa! Takie są dyrektywy z samej góry. Nie ma wyjątków poza Kimbą, który dostarcza na wyspę dodatkowe pożywienie.

- Powiedziałem mu to samo - przyznał Bertram.

- I nie wydaje mi się, aby zamierzał zrobić coś na własną rękę. Niemniej jednak uznałem, że powinienem i tak o wszystkim poinformować ciebie.

- Dobrze zrobiłeś - odparł rozłoszczony

Siegfried. - Mały kutas. Jest jak cholerny kolec w dupie.

- I jeszcze jedno - dodał Bertram. - Opowiedział o dymie Raymondowi Lyonsowi.

Siegfried trzasnął dłonią w blat stołu z takim hukiem, że Bertram podskoczył. Poderwał się z fotela i podszedł do okna wychodzącego na plac.

Patrzył w stronę szpitala. Od pierwszego spotkania poczuł antypatię do tego mola książkowego, cholernego badacza. Rozpieszczali go tu. Dostał drugi co do jakości dom w mieście. W Siegfriedzie zagotowało się na samą myśl.

Chciał w tym domu urządzić kwaterę dla jednego z zaufanych współpracowników.

Zacisnął zdrową dłoń w pięść i zacisnął zęby.

- Jak pieprzony wrzód w dupie.

- Jego badania są prawie skończone - odezwał się znowu Bertram. - Zdziwiłbym się, gdyby zdecydował się zaprzepaścić wszystko to, co tak dobrze idzie.

- Co powiedział Lyons?

- Nic. Kazał Kevinowi się odprężyć i pozbyć tych głupich imaginacji.

- Może będę musiał spotkać się z Kevinem - powiedział Siegfried. - Nie pozwolę nikomu zniszczyć programu. Wszystko jest temu podporządkowane. To zbyt lukratywne przedsięwzięcie.

Bertram wstał.

- To twoja działka - stwierdził. Ruszył w stronę drzwi, zadowolony, że posiał dobre ziarno.

ROZDZIAŁ 7

5 marca 1997 roku

godzina 7.25

Nowy Jork

Tanie czerwone wino i krótki sen zdecydowanie spowolniły ranną jazdę rowerem. Jack zwykle zjawiał się w Zakładzie Medycyny Sądowej o godzinie siódmej piętnaście. Tym razem jednak, kiedy wychodził z windy, na zegarze ściennym była godzina siódma dwadzieścia pięć. Trochę go to zaniepokoiło. Nie dlatego, że się spóźnił, po prostu lubił, gdy wszystko biegło zgodnie z harmonogramem. Dyscyplinę w pracy uważał za jeden z najlepszych sposobów chroniących przed depresją.

Pierwszy punkt porządku dziennego nakazywał nalać sobie kubek kawy ze wspólnego ekspresu. Już nawet sam zapach miał zbawczy wpływ, co Jack uznał za odruch Pawłowa. Wziął pierwszy łyk. To było niebiańskie doświadczenie. Chociaż nie sądził, że kofeina może działać tak szybko, czuł, jak krążący nad nim od rana ból głowy znalazł się nagle w defensywie i zaczął ustępować pola.

Podszedł do Vinniego Amendoli, technika medycznego zatrudnionego w kostnicy, którego nocna zmiana zazębiła się z dzienną. Jak zwykle czaił się za jednym z metalowych biurków. Nogi położył na blacie, a twarz ukrył za poranną gazetą.

Jack pociągnął w dół górną krawędź gazety, odsłaniając przed światem twarz młodego człowieka o wybitnie włoskich rysach. Miał dwadzieścia kilka lat, blisko trzydzieści, był mało imponującej budowy, ale przystojny. Jego ciemne, gęste włosy budziły zawsze zazdrość Jacka. On sam zauważył z niepokojeni, że w ostatnim roku nie tylko posiwiał, ale na czubku głowy pojawiły się także pierwsze oznaki łysiny.

- Hej, Einstein, co tam poranna prasa podaje na temat Franconiego? - zapytał Jack.

Vinnie i Jack często współpracowali ze sobą i obaj nawzajem doceniali swoje swobodne zachowanie, szybkie riposty i czarny humor.

- Nie wiem - krótko stwierdził Vinnie. Próbował uwolnić swoją gazetę z garści Jacka. Pochłonięty był analizowaniem statystyk Knicksów po ostatniej koszykarskiej kolejce w NBA.

Jack zmarszczył czoło. Vinnie może i nie był typem akademickiego geniusza, ale w sprawach bieżących informacji uchodził w gronie pracowników za autorytet. Czytał codziennie gazety od deski do deski, a ponadto miał znakomitą pamięć.

- Niczego nie napisali? - zapytał z niedowierzaniem Jack. Był naprawdę zaskoczony. Sądził, że media urządzają sobie ostre strzelanie ich kosztem. Nie co dzień zdarzało się przecież, żeby z kostnicy znikało ciało, i to tak sławne. Kłopoty biurokracji miejskiej zawsze były wdzięcznym tematem dla prasy.

- Nie zauważyłem - odparł Vinnie. Pociągnął mocniej, uwolnił gazetę i ponownie ukrył za nią twarz.

Jack pokręcił głową. Był szczerze zdziwiony i ciekawy, jak Harold Bingham, główny inspektor Zakładu Medycyny Sądowej, zdołał nakłonić prasę do milczenia. W chwili kiedy miał zamiar odwrócić się na pięcie i odejść, w oczy wpadł mu tytuł z pierwszej strony gazety trzymanej przez Vinniego. Grubą czcionką napisano:

GANGSTERZY ZAGRALI NA NOSIE

WŁADZOM MIEJSKIM. Podtytuł głosił:

"Przestępcza rodzina Vaccarro zabiła jednego ze swoich ludzi, a następnie wykradła jego ciało wprost spod nosa urzędników miejskich".

Jack wyrwał całą gazetę z rąk Vinniego.

- Hej, co jest! - zawołał tamten zaskoczony.

Jack złożył gazetę, a następnie odwrócił tak, że

Vinnie musiał spojrzeć na pierwszą stronę.

- Zdawało mi się, że według ciebie niczego w gazecie nie napisali - zauważył Jack.

- Nie powiedziałem, że nie napisali, tylko że nie zauważyłem - przypomniał Vinnie.

- Na miłość boską, przecież to jest na pierwszej stronie! - Jack w podnieceniu wskazał wielkie litery kubkiem z kawą.

Vinnie gwałtownym ruchem spróbował wydrzeć gazetę, ale Jack równie szybko ją cofnął.

- No co ty! - rzucił coraz bardziej poirytowany

Vinnie. - Kup sobie własną gazetę!

- Zaczynasz mnie zastanawiać - stwierdził Jack. -

Znam cię i jestem pewien, że ten artykuł przeczytałeś jeszcze w metrze. O co chodzi,

Vinnie?

- O nic! Po prostu zacząłem od wiadomości

sportowych.

Jack przez moment dokładnie przyglądał się twarzy Vinniego. Ten jednak uciekł wzrokiem.

- Jesteś chory? - zapytał żartobliwym tonem

Jack.

- Nie! - sapnął Vinnie. - Po prostu oddaj mi gazetę.

Jack oddał stronę z wiadomościami sportowymi i podał ją Vinniemu. Sam zaś z resztką gazety podszedł do innego biurka, usiadł i zaczął czytać. Artykuł zaczynał się na pierwszej stronie, a dokończenie zamieszczono na trzeciej.

Jak przypuszczał, napisany był w tonie sarkastycznym, prześmiewczym. Autor dokładał po równo departamentowi policji i Zakładowi Medycyny Sądowej. Stwierdzono, że cała ta brudna i niejasna sprawa jest kolejnym jaskrawym dowodem rażącej niekompetencji obu instytucji.

Do pokoju wpadła Laurie i od razu przerwała Jackowi. Zdejmując płaszcz, wyraziła nadzieję, że Jack czuje się lepiej niż ona.

- Prawdopodobnie nie - przyznał Jack. -

Kupiłem tanie wino. Przepraszam.

- Ale i pospaliśmy ledwie pięć godzin.

Wstawanie było prawdziwą makabrą. -

Przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła. - Dzień dobry, Vinnie - zawołała.

Vinnie jednak nie odpowiedział.

- Gniewa się, bo mu podarłem gazetę - wyjaśnił

Jack. Wstał, ustępując miejsca Laurie. W tym tygodniu na niej spoczywał obowiązek rozdziału

pracy, w tym przydzielania poszczególnych

autopsji patologom. - Czołówka i artykuł

redakcyjny poświęcone są Franconiemu.

- Nie dziwi mnie to. We wszystkich lokalnych

wiadomościach trąbili o tym cały dzień i

słyszałam, że zapowiadali Bingham w "Dzień

dobry, Ameryko".

- Ma teraz pełne ręce roboty - przyznał Jack.

- Zaglądałeś do dzisiejszych spraw? - zapytała

Laurie. Spojrzała na stos około dwudziestu

teczek osobowych.

- Dopiero co przyszedłem - odpowiedział Jack i

wrócił do lektury. Po chwili odezwał się,

komentując przeczytany fragment. - O, to jest

dobrze! Twierdzą, że my i policja uknuliśmy

spisek. Według nich świadomie pozbyliśmy się

ciała, bo było to korzystne dla policji. Możesz sobie to wyobrazić? Ci dziennikarze opanowani są taką paranoją, że wszędzie dookoła widzą konspirację!

- To społeczeństwo cierpi na paranoję - stwierdziła Laurie. - Media dają jedynie to, co ludzie chcą otrzymać. Ale taka szalona teoria utwierdza mnie w przekonaniu, że powinniśmy prowadzić nasze dociekania na temat zniknięcia zwłok. Społeczeństwo musi wiedzieć, że jesteśmy bezstronni.

- A miałem nadzieję, że po zarwanej nocy zmieniłaś zdanie i zrezygnowałaś z wyprawy po prawdę - mruknął Jack, nie przerywając lektury.

- W żadnym wypadku - odparła Laurie.

- To idiotyczne! - zawołał, uderzając ręką w gazetę. - Najpierw sugerują, że jesteśmy odpowiedzialni za zniknięcie ciała, a teraz utrzymują, że gangsterzy na pewno pogrzebali szczątki w dzikich okolicach Westchester, więc nigdy już nie zostaną odnalezione.

- W tym fragmencie mają chyba rację - uznała Laurie. - Chyba że ciało wypłynie po wiosennych roztopach. Przy tym mrozie trudno kopać głębiej

jak na trzydzieści, czterdzieści centymetrów.

- Rany, co za bzdury! - skomentował Jack po przeczytaniu całego artykułu. - Masz, chcesz przeczytać? - podsunął Laurie pierwszą stronę gazety.

Machnęła od niechcienia ręką.

- Dziękuję, ale przeczytałam już wersję "Timesa". Była wystarczająco złośliwa. Nie muszę już zapoznawać się z punktem widzenia "New York Post".

Jack podszedł do Vinniego i oddając oderwane strony, powiedział, że chciałby przywrócić gazecie jej pierwotny wygląd. Vinnie odebrał swoją własność bez komentarza.

- Jesteś dzisiaj okropnie drażliwy - powiedział do niego Jack.

- To zostaw mnie w spokoju - zaproponował sucho Vinnie.

- Ho, ho, uważaj, Laurie! Zdaje się, że Vinnie cierpi na napięcie przedmyślowe.

Prawdopodobnie zaplanował sobie pomyśleć nad czymś i teraz hormony mu się burzą.

- U-ha - odezwała się Laurie. - Mamy tu tego "topielca", o którym wspomniał wczoraj Mike

Passano. Komu powinnam go przydzielić?

Kłopot z tym, że do nikogo w tej chwili nic nie mam i w efekcie pewnie sama z nim zostanę.

- Daj go mnie - zaoferował się Jack.

- Nie rusza cię? - zapytała. Sama bardzo nie lubiła topielców, szczególnie jeśli dłużej leżeli w wodzie. Taka autopsja była zwykle bardzo nieprzyjemną i trudną pracą.

- Ech - odparł Jack. - Jak się przyzwyczaisz do zapachu, to palce lizać.

- Błagam - mruknęła Laurie. - To obrzydliwe!

- Poważnie. Topielcy stanowią zazwyczaj prawdziwe wyzwanie. Wolę takich niż z postrzałem.

- Ten to jedno i drugie - stwierdziła i przypisała Jacka do topielca.

- Uroczo! - uznał Jack. Podeszedł do biurka i zajrzał Laurie przez ramię.

- Strzał oddany w górną prawą część ciała, przypuszczalnie z bliskiej odległości.

- Brzmi coraz ciekawiej. Jak się nazywa ofiara?

- Nie wiemy. Prawdę powiedziawszy, to część twojego zadania. Głowa i ręce zniknęły.

Wręczyła Jackowi teczkę osobową. Oparł się o

krawędź biurka i zaczął przerzucać jej zawartość.

Nie było tego dużo. To, co znalazł, pochodziło od asystentki z ich dochodzeniówki, Janice Jaeger.

Janice podała, że ciało zostało znalezione w Atlantyku niedaleko Coney Island. Przypadkowo trafiła na nie łódź patrolowa straży przybrzeżnej, która zaczęła się na spodziewanych przemytników narkotyków. Straż wypłynęła w morze po otrzymaniu anonimowego sygnału. Łódź stała nieruchomo na wodzie z wyłączonymi światłami i włączonym radarem i dosłownie uderzyła w ciało. W pierwszej chwili przypuszczali, że to informator, którego handlarze nakryli i zostawili straży jako cały łup.

- Niewiele tego - powiedział Jack.

- Na szczęście ty lubisz trudne zadania - dokuczyła mu z uśmiechem Laurie.

Jack ruszył do windy.

- Chodź, zrędo! - zawołał Vinniego. Trzepnął w gazetę i przechodząc obok, dał mu szturchańca. -

Szkoda czasu. - Ale w drzwiach dosłownie wpadł na Lou Soldano. Porucznik zmierzał wprost do celu: ekspresu z kawą.

- Jezu - stęknął Jack, wylewając kawę z kubka. -

Powinieneś spróbować sił w nowojorskich

Gigantach*. [przyp.: New York Giants (ang.) -

drużyna futbolu amerykańskiego (przyp. tłum.)]

- Przepraszam - powiedział Lou. - Gwałtownie

potrzebuję uzupełnienia poziomu kofeiny w

organizmie.

Obaj mężczyźni podeszli do ekspresu. Jack

oderwał kawałek papierowego ręcznika, żeby

zetrzeć plamę z kawy ze sztruksowej marynarki.

Lou napełnił kubek prawie po brzeg. Ręce

bardzo mu drżały. Wsypał mnóstwo cukru i wlał

śmietankę.

Westchnął ciężko.

- Ostatnie dni są porażające.

- Znowu się bawiłeś całą noc? - zapytał Jack.

Policzki Lou porastał gęsty, dawno nie golony

zarost. Miał na sobie wygniecioną, niebieską

koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, poluzowany

i przekrzywiony krawat. Jego prochowiec w

stylu porucznika Colombo wyglądał jak łachy,

które zwykle nosili bezdomni.

- Chciałbym - jęknął. - Przez ostatnie dwie noce

udało mi się zamknąć oczy na trzy godziny. -

Przeszedł ciężkim krokiem, przywitał się z

Laurie i z ulgą siadł na krześle przy jej biurku.

- Jakiś postęp w sprawie Franconiego? -

zapytała Laurie.

- Nic, co by ucieszyło kapitana, dowódcę okręgu

czy komisarza policji - odpowiedział

przygnębiony. - Ale bajzel. Obawiam się, że

potoczą się głowy. Kiedy chodzi o zabójstwo,

boimy się, że zrobią z nas kozły ofiarne, jeżeli

szybko nie dojdzie do zwrotu w sprawie.

- To przecież nie wasza wina, że zabili

Franconiego - stwierdziła oburzona Laurie.

- Powiedz to komisarzowi. - Lou głośno upił

spory łyk kawy. - Mogę zapalić? - popatrzył na

Laurie i Jacka. - Dobra, zapomnijcie o tym -

dodał, widząc wyraz ich twarzy. - Nie wiem

nawet, po co pytałem. Przez moment musiałem

znaleźć się w szponach obłądu.

- Czego się dowiedzieliście? - zapytała Laurie.

Wiedziała, że Lou jest członkiem zespołu do

zwalczania przestępczości zorganizowanej. Z

jego doświadczeniem był najlepszym

kandydatem do prowadzenia dochodzenia w tej

sprawie.

- Bez wątpienia to sprawka rodziny Vaccarro.

Nasi informatorzy potwierdzili to. Ale tego się domyślaliśmy, odkąd Franconi zdecydował się świadczyć. Jedyńm tropem jest broń, z której został zamordowany.

- To powinno pomóc - stwierdziła Laurie.

- Nie tak bardzo, jak można by oczekiwać - zaprzeczył Lou. - Gangsterzy dość często zostawiają broń po wykonanej robocie.

Znaleźliśmy ją na dachu kamienicy naprzeciwko restauracji "Positano". To 30-30 remington z lunetą. W magazynku brakowało dwóch nabojów. Na dachu leżały dwie łuski.

- Odciski palców? - zapytała Laurie.

- Wyczyszczone, ale chłopaki z kryminalistyki ciągle nad tym pracują.

- Pochodzenie? - tym razem zapytał Jack.

- Tak, udało nam się to sprawdzić. Karabin należał do jakiegoś dziwaka z Menlo Park. Ale trop okazał się ślepy. Na jego dom napadli dzień wcześniej i jedyną rzeczą, którą ukradli, była właśnie broń.

- Więc co teraz? - zastanowiła się Laurie.

- Ciągle szukamy śladów. Mamy też następnych informatorów. Ale najmocniej ściskamy kciuki,

aby nastąpił wreszcie przełom w dochodzeniu. A co u was? Macie jakieś sugestie, jak ciało mogło stąd zniknąć?

- Na razie nie, ale nadal szukam rozwiązania - przyznała Laurie.

- Psiakrew, mam pomysł - odezwał się nagle Jack. - Mówiliście, że kiedy ostatnim razem Laurie wmieszała się w historię z bandytami, wywieźli ją stąd w trumnie. Teraz też tak mogli zrobić.

- Tamto było wtedy, a teraz jest teraz - powiedziała Laurie. - Poza tym nie jestem wplątana w tę sprawę, jak byłam w tamtą. Myślę jednak, że niezwykle ważne jest wyjaśnienie, w jaki sposób ciało mogło stąd zniknąć, i muszę dodać, że nie wierzę, aby Bingham albo Washington zrobili wszystko co w ich mocy. Z ich punktu widzenia im szybciej epizod pójdzie w niepamięć, tym lepiej.

- Mogę to zrozumieć - stwierdził Lou. - Prawdę powiedziawszy, jak tylko media przestaną o tym mówić, może nawet komisarz nieco nam odpuści. Kto wie?

- Mam zamiar dowiedzieć się, jak to się stało -

powtórzyła Laurie z uporem.

- No cóż, gdybym wiedział, kto i jak wywiózł stąd ciało, miałbym łatwiejsze zadanie - przyznał

Lou. - Najbardziej prawdopodobne jest, że zrobili to ci sami ludzie z organizacji Vaccarro.

To właściwie jest oczywiste.

Jack podniósł bezradnie ręce.

- Wynoszę się stąd. Jedno mogę powiedzieć na pewno, żadne z was nie posłucha zdrowego rozsądku. - Idąc do drzwi, pociągnął Vinniego za rękaw. Po drodze zajrzał jeszcze do biura Janice.

- Jest coś, co powinienem wiedzieć o topielcu, a czego nie ma w papierach? - zapytał koleżankę.

- Zdobyłam niewiele informacji i wszystkie są w teczce. Poza współrzędnymi miejsca, w którym znaleziono ciało. Ci ze straży przybrzeżnej powiedzieli, żeby zadzwonić i dowiedzieć się, czy nie znajdują jeszcze czegoś, ale nie sądzę, żeby to było ważne. Mało prawdopodobne, aby ktoś tam znowu popłynął i odnalazł głowę albo ręce.

- Ja też tak sądzę - zgodził się Jack. - Jednak mimo to ktoś mógłby zadzwonić. Ot, dla świętego spokoju.

- Zostawię notatkę Bartowi - obiecała Janice.

Bart Arnold był przełożonym wszystkich asystentów odpowiedzialnych za zbieranie informacji o ofiarach.

- Dzięki, Janice. Teraz wynoś się stąd i wskakuj do łóżka. - Janice należała do tych sumiennych pracowników, którzy zawsze zostają po godzinach.

- Zaraz, zaraz - przypomniała sobie Janice. - Jest jedna sprawa, o której nie wspomniałam w notatkach. Kiedy wyłowili ciało, było zupełnie nagie, ani jednej niteczki.

Jack skinął głową. To była dziwna informacja.

Rozebranie ciała stanowiło dla morderców dodatkowy wysiłek. Zastanowił się chwilę i doszedł do wniosku, że musiało mieć to związek z chęcią ukrycia tożsamości ofiary, a ta, wobec braku głowy i rąk, była oczywista. Pomachał Janice na do widzenia i poszedł dalej.

- Tylko mi nie mów, że robimy tego topielca - rzucił Vinnie, kiedy zbliżali się do windy.

- Wyłączyłeś zapewne odbiór, gdy czytałeś wiadomości sportowe, co? - zapytał Jack. -

Rozmawiałem o tym z Laurie przez dobre dziesięć minut.

Weszli do windy i zjechali na poziom, na którym mieściły się sale autopsyjne. Vinnie cały czas unikał kontaktu wzrokowego z Jackiem.

- Jesteś w kiepskim nastroju - zauważył Stapleton. - Tylko mi nie mów, że tak się przejąłeś zniknięciem Franconiego.

- Odwał się - warknął Vinnie.

Podczas gdy technik włożył kombinezon ochronny, przygotował narzędzia do autopsji, a następnie przewiózł ciało z kostnicy i ułożył na stole autopsyjnym, Jack jeszcze raz dokładnie przejrzał zawartość teczek, aby mieć stuprocentową pewność, że niczego nie przeoczył. Potem poszedł do biura i wyjął zdjęcia rentgenowskie.

Po sprawdzeniu wszystkiego włożył swój skafander, odłączył ładowanie akumulatorów filtrów powietrza i nałożył kask. Nie cierpiał tego księżycowego przebrania, ale perspektywa pracy nad pokawałkowanym topielcem osłabiła niechęć. Chociaż wcześniej żartował sobie na ten temat z Laurie, w podobnych przypadkach odór był najgorszy ze wszystkiego.

O tej porze Jack i Vinnie byli sami w sali

autopsyjnej. Ku zmartwieniu Vinniego Jack niezmiennie nalegał, aby zaczynać dzień jak najszybciej. Bardzo często Jack kończył pierwszą robotę, kiedy inni patolodzy zaczynali dopiero pracę.

Pierwszą czynnością było dokładne przyjrzenie się zdjęciom rentgenowskim, więc Jack przypiął je do podświetlanego ekranu. Ręce oparł na biodrach, odsunął się o krok do tyłu i przyjrzał się zdjęciu korpusu. Bez głowy i rąk obraz prezentował się zdecydowanie dziwnie, jakby Jack miał przed sobą zdjęcie rentgenowskie jakiegoś stwora, nie człowieka. Ciekawie też wyglądała jasna, zwarta plama złożona z wielu punktów w górnej, prawej części ciała.

Wyglądało, jakby zabity nie został trafiony jednym pociskiem śrutowym, ale dwoma, a rany znajdowały się bardzo blisko siebie. Stanowczo za dużo punkcików, orzekł w myślach Jack. Śrut nie przepuszczał oczywiście promieni X, więc nie pozwalał obejrzeć tych fragmentów, które znalazły się pod nim, a sam był widoczny na kliszy w postaci białych plam.

Jack chciał już przejść do następnych zdjęć,

kiedy przyszło mu do głowy coś w związku z białymi plamami. Okolice ran postrzałowych wyglądały dziwnie, jakoś bardziej gruzelkowato niż zwykle w przypadku ran po śrucie.

Jack obejrzał zdjęcia boczne i zauważył to samo zjawisko. W pierwszej chwili pomyślał, że siła podmuchu mogła wprowadzić do rany jakieś drobiny materiału nie przepuszczającego promieni X. Może były to fragmenty z ubrania ofiary.

- Maestro, gotowe - oznajmił Vinnie, kiedy przygotował wszystko do pracy.

Jack odwrócił się od ekranu ze zdjęciami i podszedł do stołu autopsyjnego. We fluoryzującym świetle lamp ciało było blade jak przysłowiowa ściana. Kimkolwiek był nieboszczyk, był otyły i na pewno ostatnio nie opalał się na Karaibach.

- Używając twojego ulubionego powiedzenia - odezwał się Vinnie - trzeba stwierdzić, że nie wygląda, jakby wybierał się na potańcówkę.

Jack uśmiechnął się w odpowiedzi na czarny dowcip Vinniego. Oznaczał, że technik odzyskuje dobre samopoczucie po porannej chandrze.

Ciało było w kiepskim stanie, chociaż woda obmyła je do czysta. Na szczęście trup nie pływał w oceanie zbyt długo. Okaleczenia były o wiele potworniejsze niż rany postrzałowe. Nie tylko odcięto mu głowę i ręce, miał także mnóstwo szerokich, głębokich nacięć na brzuchu, klatce piersiowej i udach, które odsłaniały grubą warstwę tkanki tłuszczowej. Krawędzie wszystkich ran były poszarpane.

- Wygląda na to, że ryby miały bankiet - powiedział Jack.

- Prostack! - skomentował Vinnie.

Pociski odsłoniły i uszkodziły kilka organów wewnętrznych. Widać było fragmenty jelit i naderwaną nerkę.

Jack podniósł jedno z ramion i spojrział na wystające kości.

- Podejrzewam piłę łańcuchową - zgadywał.

- Po co te wszystkie nacięcia? - zapytał Vinnie. -

Chcieli go podzielić jak świątecznego indyka?

- Nie, sądzę, że dostał się pod łódź motorową.

Rany wyglądają jak od śruby napędowej.

Jack rozpoczął teraz wnikliwe oględziny zewnętrzne zwłok. Zdawał sobie sprawę, że przy

tak wielu poważnych urazach, łatwo można przeoczyć delikatniejsze ślady. Pracował powoli, często przerywał oględziny i fotografował patologiczne zmiany. Ta drobiazgowość opłacała się. Na poszarpanej krawędzi nacięcia na szyi, tuż nad obojczykiem znalazł małą, okrągłą ranę. Następną, taką samą, odkrył po lewej stronie na wysokości dziesiątego żebra.

- Co to jest? - zapytał Vinnie.

- Nie wiem. Jakieś rany klute.

- Jak sądzisz, ile razy do niego strzelili?

- Trudno powiedzieć.

- Nie ryzykowali. Chcieli być diabelnie pewni, że facet nie żyje - uznał Vinnie.

Jakieś pół godziny później, kiedy Jack miał zamiar zabrać się do badania organów wewnętrznych denata, do sali weszła Laurie.

Miała na sobie biały kitel i maskę na twarzy. Nie włożyła skafandra. Jacka zaskoczył jej strój, tym bardziej, że była niezwykle dokładna w przestrzeganiu przepisów. Nawet jeśli nie chciała wkładać całego skafandra, mogła włożyć tylko górę.

- Przynajmniej nie pływał długo w wodzie -

powiedziała, spoglądając na ciało. - Nawet nie zaczęło się rozkładać.

- Nie, wziął tylko odświeżającą kąpiel -
zażartował Jack.

- Jakie rany postrzałowe! - dziwiła się,
przyglądając się okropnym okaleczeniom.

Zobaczyła też liczne rany szarpane i dodała: -

Wygląda, jakby zrobili to śrubą.

Jack wyprostował się.

- Laurie, o co chodzi? Chyba nie przyszłaś tu,
żeby nam pomóc?

- Nie - przyznała. Maską tłumiła nieco jej słowa.

- Zdaje się, że potrzebuję odrobiny moralnego
wsparcia.

- W związku z czym? - zapytał Jack.

- Calvin mnie zrugął - poinformowała. -

Najwidoczniej Mike Passano naopowiadał mu,
że ostatniej nocy oskarżałam go o współudział w
uprowadzeniu ciała Franconiego. Możesz
uwierzyć? No, w każdym razie Calvin był
naprawdę wściekły, a przecież wiesz, jak nie
znoszę konfliktów. Skończyło się na tym, że
zaczęłam płakać, a to z kolei sprawiło, że
zezłościłam się na siebie.

Jack prychnął lekko przez zaciśnięte wargi.

Próbował wymyślić coś, co mogłoby ją pocieszyć, ale poza "A nie mówiłem" nic nie przychodziło mu do głowy.

- Przykro mi - powiedział miękko.

- Dzięki - odparła Laurie.

- Więc uroniłaś kilka łez. Cóż, nie ma się czego wstydzić.

- Ale nienawidzę tego. To takie nieprofesjonalne.

- Ach, o to wcale bym się nie martwił. Czasami sam mam ochotę się rozplakać. Może gdybyśmy byli w stanie wymienić się niektórymi cechami usposobienia, oboje stalibyśmy się znacznie lepsi.

- Zawsze do usług! - odpowiedziała Laurie z gotowością. Długo czekała na to wynurzenie.

Jego tłumiony żal stanowił najpoważniejszą przeszkodę w szukaniu własnego szczęścia.

Chętnie by mu ulżyła.

- Tak więc w końcu zrezygnujesz ze swojej minikrucjaty - stwierdził Jack.

- Wielkie nieba, nie! - zaprzeczyła. - Rozmowa z Calvinem tylko wzmocniła we mnie przekonanie, że moje obawy mogą być słuszne.

Calvin i Bingham próbują całą sprawę

zatuszować. To nie jest w porządku.

- Och, Laurie! - jęknął Jack. - Proszę! Ta mała

utarczka z Calvinem to tylko początek. Nie

zyskasz nic oprócz zszarpanych nerwów.

- To sprawa zasad - uparła się Laurie. - Więc

mnie nie pouczaj. Przyszłam do ciebie po

wsparcie.

Jack westchnął i uniósł na moment maskę z

pleksi.

- Okay. Czego ode mnie oczekujesz?

- Niczego szczególnego. Po prostu bądź po mojej

stronie.

Piętnaście minut później Laurie wyszła z sali

autopsyjnej. Jack pokazał jej wszystkie

zewnątrzne obrażenia, w tym obie rany kłute.

Słuchała jednym uchem, najwyraźniej

pochłonięta sprawą Franconiego. Jack musiał

się cały czas powstrzymywać, żeby znowu nie

powiedzieć, co o tym myśli.

- Dość tego oglądania - powiedział do Vinniego.

- Zobaczmy, co tam mamy w środku.

- Najwyższy czas - uznał pomocnik. Minęła ósma

i na innych stołach także leżały ciała, przy

których pracowały zespoły złożone z techników i patologów. Pomimo że wcześniej zaczęli, nie wyprzedzali innych w znaczący sposób.

Jack zignorował przyjacielskie kpiny, pochłonięty pracą nad nieszczęsnymi szczątkami. Wobec tak licznych i nietypowych obrażeń musiał zrezygnować z tradycyjnej techniki otwierania zwłok i poważnie się skoncentrować na każdym ruchu. W przeciwieństwie do Vinniego Jack nie miał świadomości upływającego czasu. I znowu drobiazgowość się opłaciła. Chociaż wątroba została zasadniczo zniszczona przez pocisk, Jack odkrył coś niezwykłego, coś, co mogłoby zostać przeoczone przy bardziej pobieżnych, niedbałych oględzinach. Zauważył drobne ślady po szyciu chirurgicznym na żyłę głównej i na poszarpanej krawędzi urwanej tętnicy dochodzącej do wątroby. Blizny pooperacyjne w tym miejscu nie należały do często spotykanych. Ta tętnica dostarczała czystą krew do wątroby, natomiast żyła wątrobową była największą z żył w jamie brzusznej. Nie znalazł natomiast żadnych śladów szwów na żyłę wrotnej,

ponieważ prawie cała została usunięta.

- Chet, podejdź tu! - zawołał Jack. Chet

McGovern dzielił z Jackiem pokój w zakładzie.

Teraz intensywnie pracował przy sąsiednim stole.

Chet odłożył skalpel i podszedł. Vinnie przesunął się na szczyt stołu, ustępując miejsca drugiemu patologowi.

- Co masz? Coś interesującego? - Chet spojrzał w otwór w ciebie.

- Bez wątpienia. Znalazłem całą garść śrutu, ale odkryłem też szwy na naczyniach krwionośnych.

- Gdzie? - Chet pochylił się, ale nie potrafił odnaleźć żadnych anatomicznych punktów orientacyjnych.

- Tutaj - Jack wskazał końcem uchwytu skalpela.

- Tak, widzę je - w tonie Cheta dawał się słyszeć podziw. - Ładnie zacerowane. Niewiele śródbłonka. To może oznaczać, że są świeże.

- Tak też sobie pomyślałem - powiedział Jack. - Prawdopodobnie miesiąc lub dwa. Pół roku to absolutnie górna granica.

- I co to twoim zdaniem oznacza?

- Moim zdaniem szansę na identyfikacje wzrosły

o tysiąc procent - stwierdził Jack. Wyprostował się i przeciągnął z zadowoleniem.

- Wiemy, że ofiara przeszła operację jamy brzusznej - wyciągał wnioski Chet. - Ale mnóstwo ludzi ma operacje brzucha.

- Lecz nie takiego rodzaju jak u naszego faceta.

Założę się, że z tymi szwami na tętnicy wątrobowej i żyły wątrobowej kwalifikuje się do elitarnej grupy. Według mnie całkiem niedawno miał przeszczepioną wątrobę.

ROZDZIAŁ 8

5 marca 1997 roku

godzina 10.00

Nowy Jork

Raymond Lyons podciągnął mankiet koszuli spięty elegancką spinką i spojrzał na swojego cienkiego jak opłatek piageta. Była dokładnie dziesiąta. Odczuwał zadowolenie. Lubił być punktualny, szczególnie jeśli chodziło o spotkania w interesach, ale nie znosił przychodzenia przed czasem. Wcześniejsze przyjście mogło zostać odczytane jak oznaka desperacji, a Raymond uznawał wyłącznie negocjacje z pozycji siły.

Przez ostatnie kilka minut stał na narożniku Park Avenue i Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy, czekając na umówioną godzinę. Teraz, gdy nadeszła, poprawił krawat, kapelusz typu fedora i ruszył w stronę budynku przy Park Avenue numer 972.

- Szukam biura doktora Andersona - wyjaśnił zażywnemu jegomościowi, który otworzył ciężkie frontowe drzwi z żelazną, misternie kutą kratownicą i grubą szybą.

- Gabinet pana doktora ma osobne wejście - odparł mężczyzna. Wyszedł na chodnik i wskazał drogę.

Raymond dotknął palcami runda kapelusza, dziękując za informacje, i ruszył w stronę prywatnego wejścia doktora Andersona. Napis na mosiężnej tabliczce zalecał: PROSZE DZWONIC I WEJŚĆ PO SYGNALE. Raymond zastosował się do polecenia.

Natychmiast gdy drzwi zamknęły się za nim, Raymond poczuł dojmujące uczucie zadowolenia. Wystrój wnętrza i zapach unoszący się w powietrzu przywoływały na myśl pieniądze. Z przepychem wyposażono

pomieszczenie w antyki i grube, orientalne

dywany. Na ścianach wisały obrazy

dziewiętnastowiecznych malarzy.

Zbliżył się do inkrustowanego francuskiego

biurka. Elegancko ubrana, dostojnie

wyglądająca recepcjonistka spojrzała na niego

znad okularów do czytania. Na biurku, przodem

do Raymonda, stała wizytówka: Mrs. ARTHUR

P. AUCHINCLOSS.

Raymond przedstawił się i z rozmysłem

podkreślił fakt, że także jest lekarzem.

Doskonale się orientował, że recepcjonistki

lekarzy stają się nieznośnie impertynenckie,

wiedząc, że nie mają do czynienia z kimś z

branży.

- Pan doktor oczekuje pana - powiedziała i zaraz

niezwykle uprzejmie poprosiła Raymonda, aby

chwilkę jeszcze poczekał w poczekalni.

- To pięknie urządzone pomieszczenie -

pochwalił Raymond.

- Rzeczywiście - powiedziała pani Auchincloss.

- Czy to duży gabinet? - zapytał.

- Tak, oczywiście - odparła kobieta. - Doktor

Anderson jest bardzo zapracowanym

człowiekiem. Mamy cztery w pełni wyposażone gabinety lekarskie i własny aparat do zdjęć rentgenowskich.

Raymond uśmiechnął się. Łatwo się domyśli jakich nadużyć Anderson musiał dokonywać w najlepszych latach "opłat lekarskich" za tak zwane diagnozy specjalistyczne. Z punktu widzenia Raymonda doktor Anderson stanowił doskonałą zdobycz jako partner w ich przedsięwzięciu. Chociaż Anderson ciągle miał pewną, niewielką liczbę dostatecznie zamożnych pacjentów gotowych płacić gotówką i mógł wykorzystać stare dobre koneksje, to jednak musiał być poważnie przyciśnięty narastającymi kłopotami związanymi z utrzymaniem praktyki.

- Domyślam się, że to oznacza spory personel - powiedział Raymond.

- Zatrudniamy tylko jedną pielęgniarkę - wyjaśniła pani Auchincloss. - Niezwykle trudno znaleźć dzisiaj pomoc na odpowiednim poziomie.

Tak, pewnie, zadumał się Raymond. Jedna pielęgniarka na cztery gabinety oznacza, że lekarz musi mieć olbrzymie kłopoty. Ale nie

podzielił się swymi wątpliwościami z

recepjonistką. Zamiast tego powłóczył

wzrokiem po wytapetowanych starannie

ścianach i powiedział:

- Zawsze podziwiałem tę starą szkołę, biura przy

Park Avenue. Są takie ucywilizowane i spokojne.

Człowiek nie potrafi się wstrzymać, by nie

obdarzyć ich natychmiast zaufaniem.

- Jestem przekonana, że nasi pacjenci tak to

właśnie odczuwają - przytaknęła pani

Auchincloss.

Otworzyły się drzwi do gabinetu i stanęła w nich

starsza kobieta cała w klejnotach, w sukni od

Gucciego. Weszła do biura. Była przerażająco

chuda, a na twarzy miała tyle makijażu, że usta

zastygły jej w niezmiennym, sztywnym,

afektowanym uśmiechu. Za nią pojawił się

doktor Anderson.

Spojrzenia obu mężczyzn skrzyżowały się na

ułamek sekundy, kiedy doktor kierował

pacjentkę do biurka recepcjonistki i umawiał się

na następną wizytę.

Raymond otaksował lekarza wzrokiem. Był

wysokim mężczyzną o dystyngowanym

wyglądzie, takim jakim Raymond według siebie także się cieszył. Ale Waller nie był opalony.

Wręcz przeciwnie, jego cera miała szarawy odcień, a smutne oczy i zapadłe policzki nadawały mu wygląd człowieka przemęczonego.

O ile Raymond znał się na tym, ciężkie czasy wypisane były na jego twarzy.

Po serdecznym pożegnaniu z pacjentką Waller skinął ręką na Raymonda, aby poszedł za nim.

Poszli długim korytarzem, z którego wchodziło się do gabinetów lekarskich. Weszli jednak do prywatnego gabinetu Andersona.

Waller przedstawił się z serdecznym tonem, ale i z wyraźną rezerwą. Odebrał od Raymonda płaszcz i kapelusz, które ostrożnie zawiesił na wieszakach w wąskiej szafie.

- Kawy? - zapytał Waller.

- Chętnie - odparł Raymonds.

Kilka minut później obaj usiedli z kawą, Waller za biurkiem, Raymond w fotelu dla gości. On pierwszy zaczął rozmowę.

- To ciężkie czasy dla praktykującego lekarza - zagał.

Waller wydał z siebie głos, który miał uchodzić

za śmiech, ale całkowicie pozbawiony radości.

Nie ulegało wątpliwości, że uwaga Raymonda nie rozbawiła go.

- Możemy zaoferować panu możliwości znaczącego podniesienia dochodów oraz świadczenia usług na najwyższym poziomie dla wybranych klientów. - Był to wstęp doskonale wyćwiczony wieloletnią praktyką.

- Czy jest w tym przedsięwzięciu coś nielegalnego? - przerwał Waller. Ton jego głosu był poważny, niemal irytujący. - Jeżeli tak, to nie jestem zainteresowany.

- Nic nielegalnego - zapewnił Raymond. - Po prostu sprawa jest nadzwyczajnie poufna. Przez telefon zobowiązał się pan, że oprócz pana, mnie i doktora Levitza nikt się nie dowie o tej rozmowie.

- Tak długo, jak długo moje milczenie samo w sobie nie okaże się przestępstwem -

odpowiedział Waller. - Nie chcę zostać wystrychnięty na dudka przez nierozważne włączenie się w niepewny interes.

- Nie ma powodu do obaw - jeszcze raz zapewnił Raymond. Uśmiechnął się. - Ale jeżeli zdecyduje

się pan dołączyć do naszej grupy, poprosimy o podpisanie przysięgi o zachowaniu tajemnicy.

Dopiero potem zostanie pan wprowadzony w szczegóły.

- Nie widzę żadnych problemów z podpisaniem oświadczenia, jeżeli nie łamię przy tym prawa - powtórzył swe zastrzeżenie doktor Anderson.

- Doskonale. - Raymond odstawił filiżankę z kawą na biurko, aby mieć wolne ręce. Gorąco wierzył, że odpowiednie gestykulowanie ma niezwykle znaczenie dla wywarcia wrażenia. Na początek przywołał wspomnienie swojego przypadkowego spotkania sprzed siedmiu lat z Kevinem Marshalllem, który na krajowej konferencji wygłosił niemal nie zauważony referat na temat homologicznych transpozycji chromosomowych fragmentów pomiędzy komórkami.

- Homologiczne transpozycje? - zapytał Waller. -

A co to, u diabła, takiego? - Medycynę skończył jeszcze przed rewolucją biomolekularną, więc terminy brzmiały dla niego zupełnie obco.

Raymond cierpliwie wyjaśnił, w czym rzecz, posługując się przykładem krótkiego ramienia

chromosomu szóstego.

- Więc ten Kevin Marshall opracował sposób na pobieranie kawałka chromosomu z jednej komórki i wymienienie go z analogicznym kawałkiem analogicznego chromosomu w innej komórce - powtórzył Waller, jakby sprawdzając, czy dobrze zrozumiał.

- W rzeczy samej - potwierdził Raymond. - Dla mnie było to jak objawienie. Natychmiast dostrzegłem możliwości klinicznego zastosowania. Nagle pojawiła się możliwość tworzenia immunologicznego duplikatu osobnika. Jestem pewien, że zdaje pan sobie sprawę, iż krótkie ramię chromosomu szóstego zawiera zespół odpowiedzialny za zgodność tkankową.

- Coś jak bliźniak jednojajowy - powiedział Waller z rosnącym zainteresowaniem.

- Nawet lepiej niż bliźniak. Immunologiczny duplikat jest tworzony w odpowiednich rozmiarów zwierzęciu z gatunku, którego życie można w razie potrzeby poświęcić. Niewielu ludzi mogłoby liczyć na to, że ich brat lub siostra poświęci się w razie potrzeby.

- Dlaczego tego nie opublikowano? - zapytał

Waller.

- Doktor Marshall oczywiście pragnie

opublikować wyniki swoich badań, ale są jeszcze

pewne detale, które musi opracować, zanim

zdecyduje się na ich ujawnienie. Do wygłoszenia

referatu został zmuszony przez szefa swojego

wydziału. Szczęśliwie dla nas! Po referacie i

krótkiej dyskusji podszedłem do niego i

zapropnowałem prywatne spotkanie. Nie było

łatwo i tym, co go ostatecznie przekonało, była

obietnica zbudowania dla niego laboratorium

marzeń, bez jakichkolwiek ingerencji świata

akademickiego. Zapewniłem go, że będzie miał

dostęp do każdego urzędnika, jakiego

zapragnie.

- Macie takie laboratorium? - zapytał Waller.

- Nie w tej chwili - przyznał Raymond. - Kiedy

tylko otrzymałem jego zgodę, skontaktowałem

się z pewnym międzynarodowym gigantem w

zakresie biotechnologii, dopóki nie zdecyduje się

pan przyłączyć do naszego projektu, firma

pozostanie anonimowa, i udało mi się, choć z

trudnościami, sprzedać pomysł nadania całemu

zagadnieniu wymiaru komercyjnego.

- I jak to działa?

Raymond pochylił się w swym krześle i spojrzał prosto w oczy Wallera.

- Za pieniądze tworzymy duplikat

immunologiczny klienta. Jak może sobie pan łatwo wyobrazić, cena jest znaczna, lecz niewygórowana dla tych, którzy się na to decydują. Klient musi wpłacać roczne honorarium, które pokrywa koszty utrzymania jego duplikatu.

- Coś jak wpisowe, a później raty - stwierdził Waller.

- Tak, tak też można to widzieć - przytaknął Raymond.

- W jaki sposób ja bym z tego skorzystał?

- Na mnóstwo sposobów. Ten interes działa na zasadzie piramidy. Za każdego klienta, którego pan zwerbujecie, płacimy procent, nie tylko z wpisowego, ale z corocznie wnoszonej opłaty.

Dodatkowo upoważnimy pana do rekrutacji następnych lekarzy takich jak pan, z kurczącą się liczbą pacjentów, ale mających ciągle kontakt z osobami zatroskanymi o swoje zdrowie i

jednocześnie dostatecznie bogatymi, aby płacić gotówką. Ód każdego zwербowanego lekarza płacimy procent z jego honorarium. Wyjaśnię to na przykładzie: jeżeli przystąpi pan do nas, to doktor Levitz, który pana zarekomendował, będzie otrzymywał swój udział od każdego pacjenta skierowanego na zabieg przez pana.

Nie trzeba być księgowym, żeby zrozumieć, że przy niewielkim wysiłku uzyska się znaczące przychody. Dla dodatkowej zachęty mogę dodać, że korzystamy z gościnności innego kraju, więc pieniądze są wolne od podatku w Stanach.

- Po co zachowywać to w sekrecie?

- Z oczywistych powodów, jeśli chcemy utrzymać zagraniczne konta. A co do całości programu, mamy tu do czynienia z delikatnym problemem etycznym. Tymczasem firma, która umożliwia realizację przedsięwzięcia, jest niezwykle czuła na punkcie złej prasy. Szczerze powiedziawszy, użycie organów zwierzęcych do transplantacji uraża uczucia niektórych ludzi, a bezwzględnie chcemy uniknąć kontaktów z bojownikami o prawa zwierząt. Poza tym to kosztowna operacja i korzyści medyczne z niej płynące dostępne są

tylko dla wąskiego grona zamożnych osób.

Gwałcimy więc zasadę równości.

- Mogę się dowiedzieć, ilu ludzi jest włączonych w przedsięwzięcie? - zapytał Waller.

- Lekarzy czy pozostałych osób?

- Poza lekarzami.

- Około setki.

- Czy ktoś skorzystał już z usług?

- Czterech pacjentów. Przeszczepiono dwie nerki

i dwie wątroby. Wszystkie zabiegi poszły

znakomicie, bez konieczności stosowania

specjalnych leków i bez śladów odrzucenia. I,

jeśli mogę dodać, otrzymaliśmy pewną

dodatkową sumę za transplantacje, z której

procent przypadł także lekarzom.

- Ilu lekarzy weszło do spółki?

- Niespełna pięćdziesięciu. Na początku

rekrutacja szła nam wolno, ale teraz

przyspieszamy.

- Od jak dawna realizowany jest program?

- Od około sześciu lat. Poniesiono spore wydatki

i olbrzymi wysiłek, lecz teraz zaczyna się to

zwracać z nawiązką. Powiniennem panu

uświadomić, że włącza się pan do naszej grupy

stosunkowo wcześniej, więc rozbudowana

piramida przyniesie panu olbrzymie zyski.

- Brzmi to wszystko interesująco - stwierdził

Waller. - Dodatkowy dochód mógłbym

zainwestować w upadającą praktykę. Muszę coś

zrobić, bo inaczej stracę gabinet.

- Byłaby wielka szkoda - zauważył Raymond.

- Mogę przez dzień lub dwa zastanowić się nad

odpowiedzią?

Raymond wstał. Doświadczenie podpowiadało

mu następne posunięcie.

- Ależ oczywiście. Proponowałbym nawet

skontaktować się z doktorem Levitzem. To w

końcu on pana rekomendował i bardzo cieszył

się z naszego spotkania.

Pięć minut później Raymond wyszedł i skierował

się na południe. Spacer sprawiał mu prawdziwą

przyjemność. Nad głową miał czyste niebo,

wdychał świeże powietrze przesycone zapachem

wiosny i czuł się, jakby cały świat miał pod

stopami. Zawsze tak się czuł, kiedy radość z

zakończonej sukcesem rekrutacji pobudzała

wydzielanie adrenaliny. W tej chwili nawet

nieprzyjemności dwóch ostatnich dni stały się

nieistotne. Przyszłość malowała się w jasnych, obiecujących barwach.

Niespodziewanie pojawiło się przecucie nadciągającego nieszczęścia. Zauroczony dopiero co osiągniętym sukcesem Raymond wszedł niemal prosto pod koła jadącego autobusu miejskiego. Pęd powietrza dosłownie zdmuchnął kapelusz z jego głowy, a brudna woda spod kół obryzgała przód kaszmirowego płaszcza.

Raymond cofnął się gwałtownie, oszołomiony nagłym obrazem przerażającej śmierci, o którą otarł się o włos. Nowy Jork znowu okazał się miastem uderzających skrajności.

- Co, chłopie, w porządku? - zapytał jakiś przechodzień i podał Raymondowi nieco zdefasonowany kapelusz.

- Tak, świetnie, dziękuję - odpowiedział. Pochylił się i spojrzał na płaszcz. Ciarki przeszły mu po grzbiecie. Cały epizod zdawał się nabierać metaforycznego charakteru, przywołał niepokój spowodowany niefortuną historią Franconiego. Błoto przypomniało mu o układzie zawartym z Vinnim Dominickiem.

Czując, że został skarcony, z większą uwagą podjął kolejną próbę przejścia na drugą stronę ulicy. Życie niosło ze sobą tyle zagrożeń. Kiedy szedł w stronę Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, zaczął się niepokoić o dwa pozostałe przypadki transplantacji. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że sekcja zwłok mogłaby zagrozić projektowi.

Dopiero ten kłopot z Franconim ukazał nowe zagrożenie.

W każdym razie lepiej będzie sprawdzić stan innych pacjentów, uznał. Nie miał żadnych wątpliwości, że obawy Taylora Cabota nie były bezpodstawne. Gdyby któryś z pacjentów w przyszłości miał zostać poddany autopsji, a media dowiedziałyby się o wynikach, mogło to wywołać wielce niepożądane zamieszanie.

GenSys zapewne zrezygnowałoby z całego projektu.

Raymond przyspieszył kroku. Jeden z operowanych mieszkał w New Jersey, drugi w Dallas. Pomyślał, że najlepiej zrobi, jeśli zatelefonuje do prowadzących tych pacjentów lekarzy.

ROZDZIAŁ 9

5 marca 1997 roku

godzina 17.45

Cogo, Gwinea Równikowa

- Halo! - rozległ się głos Candace. - Czy jest tu ktoś?

Ręka Kevina drgnęła na dźwięk nieoczekiwanego wołania. Technicy laboratoryjni dawno zakończyli dzień pracy i w laboratorium panowała cisza. Jedyne delikatny szum pracujących lodówek sygnalizował, że pomieszczenie żyje. Kevin został w pracowni i właśnie zajmował się krzyżowaniem Southerna, identyfikacją określonej sekwencji DNA, oddzieleniem fragmentów i przeniesieniem ich na żel, w którym zostaną przetransferowane do pożywki testowej, gdzie będzie można je oznaczyć. Wołanie Candace zaskoczyło Kevina i nie trafił pipetą do naczynia. Płyn rozlał się na powierzchni pożywki. Test został zniszczony.

Teraz musiał zaczynać wszystko od nowa.

- Tutaj! - zawołał. Odłożył pipetę i wstał. Ponad butelkami z odczynnikami, ustawionymi na półce nad stołem laboratoryjnym, dojrzał stojącą w drzwiach dziewczynę.

- Czy przyszedłam nie w porę? - zapytała, gdy

zbliżył się do niej.

- Nie, właśnie kończyłem - odparł z nadzieją, że

nie przejrzy jego kłamstwa.

Miał mieszane uczucia. Z jednej strony irytowało

go, że stracił bezskutecznie wiele czasu na

przeprowadzenie doświadczenia, z drugiej

cieszył się, widząc swego gościa. W czasie

tamtego lunchu ośmielił się na tyle, że zaprosił

Melanie i Candace do domu na herbatę. Obie

skwapliwie przyjęły zaproszenie. Melanie

przyznała przy tym, że zawsze paliła ją

ciekawość, jak też dom wygląda wewnątrz.

Popołudnie było bardzo przyjemne. Bez

wątpienia przyczyniły się do tego nieprzeciętne

osobowości obu pań. Rozmowa toczyła się bez

przerwy. Dodatkowo atmosferę poprawiało

wino, które przedłożyli ostatecznie nad herbatę.

Jako członek miejscowej elity, Kevin regularnie

zaopatrywany był we francuskie wino, chociaż

sam z niego raczej nie korzystał. W efekcie

dysponował doskonale zaopatrzoną piwnicą.

Głównym tematem konwersacji okazały się

Stany Zjednoczone, a dokładniej minione

przyjemności w ojczyźnie tymczasowych emigrantów. Każde z nich wychwalało rodzinne strony i gotowe było nawet toczyć spory o swe racje. Melanie wyjawiała, że uwielbia Nowy Jork, jak twierdziła, miasto będące klasą samo dla siebie. Candace twierdziła, że poziom życia w Pittsburghu może uchodzić za jeden z najwyższych. Kevin zachwalał niezwykle stymulującą atmosferę Bostonu. Natomiast wszyscy jak jeden mąż skrzętnie unikali rozmowy na temat wybuchu Kevina podczas lunchu.

W pewnym momencie dziewczyny nie wytrzymały i zapytały go, co miał na myśli, mówiąc, iż obawia się, czy nie przekroczył granic. Nie nalegały jednak, gdy okazało się, że zmarkotniał i zdecydowanie nie ma ochoty na wyjaśnianie swych obaw. Intuicyjnie wyczuły potrzebę szybkiej zmiany tematu i nie wracały do tego.

- Przyszłam, aby namówić cię na spotkanie z panem Horace'em Winchesterem - oznajmiła Candace. - Opowiedziałam mu o tobie i zapragnął osobiście podziękować za wszystko.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł -

odparł Kevin. Czuł, że jest lekko

podenerwowany.

- Wręcz przeciwnie - zapewniła go Candace. - Po

tym co powiedziałaś podczas lunchu, myślę, że

powinieneś zobaczyć jasną stronę swych

dokonań. Przykro mi, że tak bardzo wzięłaś

sobie do serca moje słowa i zepsułaś sobie

humor.

Była to pierwsza uwaga tego wieczoru

przypominająca niefortunne zachowanie Kevina

w kantynie. Serce gospodarza zaczęło bić

szybciej.

- To nie była twoja wina. Niepokój odczuwałem

już wcześniej, zanim się spotkaliśmy.

- W takim razie odwiedź pana Winchestera. Jego

rekonwalescencja przebiega fantastycznie. Czuje

się tak świetnie, że właściwie pielęgniarka

specjalizująca się w intensywnej terapii, jak ja, w

ogóle nie jest tu potrzebna.

- Nie wiedziałbym, co powiedzieć - mamrotał

zakłopotany Kevin.

- Och, przecież to nieważne, co powiesz. Twój

pacjent jest taki wdzięczny. Jeszcze kilka dni

temu sądził, że umrze, tak źle się czuł. A teraz mówi, że chyba ktoś podarował mu drugie życie. No dalej! To niczym nie grozi, może tylko pomóc ci poczuć się lepiej.

Gdy Kevin w panice szukał jakiegoś usprawiedliwienia, by odmówić, z pomocą przyszła mu Melanie.

- Ach, para moich ukochanych, lubiących wino przyjaciół - powiedziała, wchodząc do pokoju.

Dojrzała ich przez otwarte drzwi. Melanie była właśnie w drodze do swojego laboratorium na końcu korytarza. Miała na sobie niebieski fartuch. Na górnej kieszeni widniała naszywka: OŚRODEK ZWIERZĄT.

- Macie kaca? - zapytała Melanie. - Mnie ciągle jeszcze szumi w głowie. Boże, obaliliśmy dwie butelki wina. Niewiarygodne.

Ani Candace, ani Kevin nie odpowiedzieli.

Melanie popatrzyła na niego, na nią, potem znowu na niego. Wyczuła, że coś jest nie tak.

- Co jest? Zmarł ktoś? - zapytała.

Candace uśmiechnęła się. Lubiła u Melanie ten zupełny brak szacunku dla świętości.

- Prawie. Znaleźliśmy się z Kevinem w

krytycznym punkcie. Próbuję namówić go, aby poszedł do szpitala i spotkał się z panem Winchesterem. Wstał już z łóżka i czuje, że odmłodniał. Mówiłam mu o was i chciałby was oboje poznać.

- Słyszałam, że ma sieć hoteli - powiedziała Melanie, puszczając oko. - Może udałoby się nam załatwić rabat na parę drinków u niego. - Mając na uwadze jego wdzięczność i stan majątkowy, uda ci się załatwić znacznie więcej - odparła Candace. - Kłopot w tym, że Kevin nie chce iść.

- Co ty na to, chłopie? - zapytała Melanie. - Pomyślałam sobie, że dobrze by było, gdyby zobaczył jasną stronę całego przedsięwzięcia - dodała Candace.

Candace zauważyła mrugnięcie Melanie. Ta zaś w mgnieniu oka pojęła intencje Candace.

- Tak. Moglibyśmy uzyskać coś od prawdziwego, żywego pacjenta. To byłoby uczciwe wynagrodzenie za ciężką pracę i niezłe doładowanie.

- Podejrzewam, że poczułbym się jeszcze gorzej - odezwał się Kevin. Po powrocie do laboratorium

usiłował skoncentrować się na doświadczeniach,

aby odpędzić zaglądnący mu w oczy strach.

Pracował, aż ciekawość zmusiła go do wywołania

na swoim komputerze mapy Isla Francesca.

Obraz na monitorze spowodował jednak efekt

równie zły jak dym nad wyspą.

Melanie położyła dłonie na biodrach.

- Dlaczego? Nie rozumiem tego.

- To trudno wyjaśnić - odparł wymijająco.

- Spróbuj - zachęciła go.

- Jego widok będzie mi przypominał o sprawach,

o których staram się nie myśleć. Na przykład co

stało się z drugim z pacjentów.

- Masz na myśli jego duplikat? Bonobo?

Kevin skinął. Policzki płonęły mu rumieńcem

prawie tak samo jak wtedy w kantynie.

- Traktujesz prawa tych zwierząt prawie tak

samo poważnie jak ja - wtrąciła Candace.

- Obawiam się, że to wykracza poza prawa

zwierząt - zauważył Kevin.

Nastąpiła krępująca cisza. Melanie spojrzała na

Candace. Ta wzruszyła ramionami, sugerując, że

jest w kłopotcie.

- No dobra, dość tego! - powiedziała nagle

Melanie. Wyciągnęła ręce, położyła dłonie na ramionach Kevina i naciskając nieznacznie, posadziła go na taborecie przy stole laboratoryjnym.

- Aż do dzisiejszego popołudnia myślałam, że jesteśmy kolegami. - Pochyliła się i zbliżyła swą twarz o ostrym, zdecydowanym wyrazie do twarzy Kevina. - Teraz jednak mam inne wrażenie. Troszeczkę cię poznałam, co, muszę przyznać, schlebia mi, i nigdy więcej nie będę myślała o tobie jako o zimnym, stroniącym od ludzi, przeintelektualizowanym snobie. Teraz, myślę, jesteśmy przyjaciółmi. Mam rację?

Kevin skinął głową. Był zmuszony patrzeć prosto w ciemne oczy Melanie.

- Przyjaciele rozmawiają ze sobą - ciągnęła Melanie. - Porozumiewają się. Nie ukrywają swych uczuć i nie wprawiają się nawzajem w zakłopotanie. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak myślę. - Nigdy nie sądził, że jego postawa może wprowadzić kogokolwiek w zakłopotanie.

- Myślisz? Jak mam to powiedzieć, żebyś był pewny?

Kevin przełknął z trudem ślinę.

- Sądzę, że jestem pewny.

Melanie wywróciła z irytacją oczami.

- Wkurza mnie, jak się tak wijesz. Ale dobra.

Przyjmuję to. Nie mogę jednak przyjąć do wiadomości twojego wybuchu w czasie lunchu.

A kiedy próbowałam zapytać, w czym rzecz, bąknąłeś wymijająco o "przekraczaniu granic" i zaciąłeś się, niezdolny do konkretnych wyjaśnień. Nie możesz pozwolić, aby to cię gnębiło, cokolwiek to jest. Będzie cię tylko bolało i zniszczy każdą przyjaźń.

Candace skinęła głową na znak aprobaty dla słów Melanie.

Kevin spoglądał to na jedną, to na drugą kobietę.

Stały twardo przy sobie. Chociaż nie chciał ujawniać swych obaw, nie widział wielkich szans na ich ukrycie wobec wpatrujących się w niego z odległości kilku centymetrów oczu Melanie. Nie wiedząc, jak zacząć, powiedział:

- Widziałem dym unoszący się nad Isla

Francesca.

- Co to jest Isla Francesca? - zapytała Candace.

- To wyspa, na którą przenoszone są transgeniczne bonobo po osiągnięciu trzeciego roku życia - wyjaśniła Melanie. - O co chodzi z

tym dymem?

Kevin wstał i skinął na dziewczyny, żeby poszły za nim. Podeszedł do swojego biurka. Popatrzył przez okno i wskazującym palcem wskazał w stronę wyspy.

- Trzykrotnie widziałem dym. Zawsze w tym samym miejscu, po lewej stronie tych skał wapiennych. To tylko wąła smużka wznosząca się w niebo, niemniej zjawisko powtarza się.

Candace zmrużyła oczy. Była krótkowidzem, ale uznawała, że nie do twarzy jej w okularach i nie nosiła ich.

- Czy to ta dalsza wyspa? - Zdawało jej się, że widzi brązowiejące pasma, które mogły być skałami. W popołudniowym słońcu łańcuch pozostałych wysp wyglądał jak pas pojedynczych kęp ciemnozielonego mchu.

- Tak, to właśnie ta - potwierdził Kevin.

- Też problem! - skwitowała Melanie. - Kilka małych ognisk. Po tych wszystkich burzach z piorunami, jakie tu mamy bez przerwy, nic dziwnego.

- Tak też uważa Bertram Edwards. Ale to nie może być od piorunów - stwierdził Kevin.

- Kim jest Bertram Edwards? - zapytała

Candace.

- Dlaczego nie? - zapytała Melanie, ignorując pytanie. - Może skały zawierają rudę jakiegoś metalu?

- Nie słyszałem jeszcze, żeby piorun uderzył dwa razy dokładnie w to samo miejsce - stwierdził Kevin. - Ogień nie wziął się od wyładowań atmosferycznych. Poza tym dym wzbijał się strużką w niebo i nie przesunął się jak przy pożarze.

- Może mieszkają tam jacyś tubylcy - zgadywała Candace.

- Zanim GenSys zdecydowało się na tę wyspę, dokładnie sprawdzono, że nie ma takiego zagrożenia - poinformował Kevin.

- No to może jacyś miejscowi rybacy odwiedzają ten teren - Candace dalej starała się znaleźć rozwiązanie.

- Wszyscy tubylcy doskonale wiedzą, że to zakazane. Zgodnie z nowym zarządzeniem władz byłoby to przestępstwo przeciwko państwu. Nie ma tam nic, dla czego warto by ryzykować życie.

- No to kto w takim razie rozpala ogniska? -

zapytała zrezygnowana Candace.

- Dobry Boże, Kevin! - wykrzyknęła nagle

Melanie. - Zaczynam rozumieć, o czym myślisz.

Ale pozwól mi powiedzieć, że to niedorzeczne.

- Co znowu jest niedorzeczne? - Candace była coraz bardziej zagubiona. - Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi?

- Pozwól, że jeszcze coś wam pokażę -

zapropozował Kevin. Odwrócił się do komputera i po kilku uderzeniach w klawisze na ekranie pojawiła się mapa wyspy. Objął obu paniom, jak działa system, i dla demonstracji odszukał dawcę dla Melanie. Mały, czerwony punkcik zaczął mrugać na północ od urwiska, bardzo niedaleko miejsca, w którym jego własny bonobo był poprzedniego dnia.

- Masz swojego dawcę? - zapytała zaskoczona Candace.

- Kevin i ja jesteśmy królikami doświadczalnymi.

Nasze genetyczne duplikaty były pierwsze.

Musielismy udowodnić, że technologia się sprawdza.

- Dobrze, teraz już wiecie, jak działa system lokalizacji bonobo. Pozwólcie, że zademonstruję

wam, co odkryłem godzinę temu, i zastanowimy się, czy są powody do niepokoju. - Kevin znowu zajął się klawiaturą. - Poleciałem komputerowi, aby zlokalizował wszystkie siedemdziesiąt trzy bonobo i wyświetlił je kolejno. Numery porządkowe zwierząt będą się pokazywały w górnym prawym narożniku zaraz po zaświeceniu się czerwonego punktu. Patrzcie - powiedział i wcisnął start.

System pracował gładko, jedynie krótkie chwile przerwy następowały między kolejnym włączaniem punktem a pojawieniem się odpowiedniego numeru.

- Zdawało mi się, że macie tu ze sto tych zwierząt

- zauważyła Candace.

- Tak też jest, ale ponad dwadzieścia nie ma

jeszcze trzech lat i przetrzymywane są na

zamkniętym terenie w centrum weterynaryjnym.

- Okay - Melanie odezwała się po kilku minutach

uwważnego wpatrywania się w ekran. - System

pracuje dokładnie tak jak mówiłeś. Co w tym

takiego niepokojącego?

- Po prostu obserwuj - zaproponował Kevin.

Nagle pojawił się numer trzydzieści siedem, lecz

nie towarzyszyło mu czerwone światełko. Po chwili na ekranie pojawił się napis: BRAK LOKALIZACJI ZWIERZĘCIA. WCIŚNIJ KLAWISZ DLA PONOWIENIA PROCEDURY.

Melanie spojrzała zaskoczona na Kevina.

- Gdzie jest numer trzydziesty siódmy?

Kevin westchnął.

- Jego resztki zostały spopielone. Trzydziesty siódmy był przeznaczony dla pana Winchestera.

Ale nie to chciałem wam pokazać. - Wcisnął przycisk i program przeszukiwał dalej. Nagle znowu się zatrzymał, tym razem przy numerze czterdziestym drugim.

- Czy to duplikat pana Franconiego? Ta wcześniejsza transplantacja wątroby? - zapytała Melanie.

Kevin pokręcił przecząco głową. Wystukał coś na klawiaturze i komputer oznajmił, że czterdziesty drugi przeznaczony jest dla Warrena Prescottta.

- No to gdzie jest czterdziesty drugi? - zapytała znowu Melanie.

- Nie wiem na pewno, ale wiem, czego się obawiam. - Włączył program, który kontynuował poszukiwania, następne numery i światełka

pojawiwały się na ekranie. Kiedy cała procedura dobiegła końca, okazało się, że nie można zlokalizować siedmiu bonobo, nie licząc duplikatu Franconiego, który zaraz po operacji został skremowany.

- Właśnie to odkryłeś wcześniej? - spytała Melanie.

Kevin skinął głową.

- Ale brakowało nie siedmiu, a dwunastu. I chociaż wielu z nich nadal nie ma, większość z tamtej dwunastki jednak wróciła.

Melanie poczuła się zakłopotana.

- Nie rozumiem. Jak to możliwe?

- Kiedy obchodziłem wyspę, zanim jeszcze zaczęliśmy realizować projekt, pamiętam, że zauważyłem w ścianie wapiennego klifu jakieś jaskinie. Myślę, że nasze stworzenia chowają się w nich, a może nawet tam zamieszkały. Tylko w ten sposób potrafię wytłumaczyć, dlaczego siatka elektronicznych czujników nie wyłapuje ich sygnału.

Melanie uniosła ręce i przyłożyła dłonie do ust.

Jej oczy zdradzały przerażenie i konsternację.

Widząc reakcję Melanie, Candance zorientowała

się, że coś jest nie w porządku.

- No co wy? Co się stało? O czym myślicie?

Melanie bezradnie opuściła ręce. Patrzyła na Kevina.

- Mówiąc, że być może przekroczył granicę,

Kevin miał na myśli, że obawia się, iż stworzył człowieka - zaczęła wyjaśniać wolnym, rozważnym głosem.

- Żartujecie sobie ze mnie! - zawołała Candace,

jednak krótkie, szybkie spojrzenia na Kevina i

Melanie dały jej do zrozumienia, że to nie żarty.

Przez całą minutę nikt nie odezwał się ani

słowem. W końcu Kevin przerwał milczenie.

- Nie chcę powiedzieć, że w skórze małpy znalazł

się prawdziwy człowiek. Myślę jedynie, że

nieopatrznie stworzyłem praczłowieka. Może

kogoś bliskiego naszym dalekim przodkom, jak

stworzenie, które cztery, pięć milionów lat temu

zaczęło się z małpy przekształcać w małpoluda.

Być może na powrót uruchomiłem geny

odpowiedzialne za decydującą fazę ewolucji.

Przecież mogły się znajdować krótkim ramieniu

chromosomu szóstego.

Candace spoglądała niewidzącym wzrokiem w

okno, pamięcią zaś wróciła do sali operacyjnej, gdzie dwa dni wcześniej bonobo było usypiane przed zabiegiem. Małpa wydawała dziwnie ludzkie odgłosy i desperacko próbowała utrzymać ręce wolne, aby wykonywać wciąż te same, dzikie gesty. Nieustannie zaciskała i rozwierała palce i wyrzucała w przód ramiona.

- Mówisz o istocie człowiekowatej, o kimś poprzedzającym Homo erectus - odezwała się Melanie. - Tak. Z naszych obserwacji rzeczywiście wynika, że transgeniczne potomstwo bonobo rozwija się lepiej niż ich matki. Sądziłyśmy, że są po prostu sprytne.

- Dopóty nie można ich uznać za hominidy, dopóki nie potrafią używać ognia - stwierdził Kevin. - Tylko prawdziwy praczłowiek używał ognia. I tego właśnie się obawiam, widząc dym nad wyspą, dym ognisk.

Candace odwróciła się od okna.

- Więc mówiąc krótko, mamy na wyspie szczep jaskiniowców jak w czasach prehistorycznych.

- Mniej więcej - zgodził się Kevin. Jak się spodziewał, obie panie były osłupiałe ze zdumienia. Sam natomiast poczuł się znacznie

lepiej, kiedy opowiedział o swoich obawach.

- Co z tym zrobimy? - zapytała Candace. - Ja z pewnością nie zamierzam brać udziału w zabiciu ani jednej z tych istot, dopóki sprawa nie wyjaśni się tak lub inaczej. Miałam dostatecznie silne wyrzuty sumienia, nawet gdy chodziło tylko o małpy.

- Poczekajcie - wtrąciła Melanie. Uniosła ręce, palce dłoni miała szeroko rozwarte. W jej oczach pojawił się błysk nadziei. - Może posunęliśmy się za daleko z wnioskami. Nie mamy przecież żadnych dowodów. Wszystko, o czym mówimy, to są w najlepszym razie przypuszczenia.

- Prawda, ale jest jeszcze coś - powiedział Kevin i znowu odwrócił się do komputera. Poleciał pokazać wszystkie bonobo na wyspie równocześnie.

Po sekundzie na ekranie zaczęły pulsować dwa ogniska czerwonych punktów. Jedno znajdowało się w pobliżu miejsca, w którym wcześniej zlokalizowali małpę Melanie. Drugie zauważyli na północ od jeziora.

Kevin spojrzał na Melanie i zapytał:

- Co sugerują dane?

- Że małpy podzieliły się na dwie grupy. Myślisz, że to trwały podział?

- Wcześniej było tak samo. Myślę, że to stałe zjawisko. Nawet Bertram o tym wspomniał. To nietypowe zachowanie u bonobo. Zwykle trzymają się w większych skupiskach niż szympansy, a do tego nasze bonobo są stosunkowo młodymi zwierzętami. Wszystkie powinny przebywać w jednej grupie.

Melanie skinęła głową. Przez ostatnie pięć lat także sporo dowiedziała się o zachowaniach tego gatunku.

- Ale jest coś jeszcze bardziej niepokojącego - dodał Kevin, jakby mało było tego, co już odkrył.

- Bertram powiedział mi, że któraś z małąp zabiła jednego z naszych Pigmejów, kiedy znalazł się na wyspie. To nie był wypadek. Celowo rzuciła kamieniem. Taki typ agresji zdecydowanie bardziej pasuje do zachowania człowieka niż bonobo.

- Muszę się z tym zgodzić - Melanie potwierdziła wnioski Kevina. - Ale i tak nadal to tylko przypuszczenia.

- Przypuszczenia czy nie, nie chcę tego mieć na

sumieniu - stwierdziła Candace.

- Ja też tak to widzę. Poświęciłam dzisiaj wiele czasu na przygotowanie dwóch samic bonobo do pobrania komórek jajowych. Lecz wobec tego, co tu usłyszałam, nie zamierzam dalej nad tym pracować aż do wyjaśnienia, czy nasze przypuszczenia okażą się prawdziwe, czy też nie.

- Sprawa nie jest prosta. Żeby to udowodnić, ktoś będzie musiał pójść na wyspę. Kłopot w tym, że tylko dwóch ludzi ma do tego upoważnienie: Bertram Edwards i Siegfried Spallek. Próbowałam już porozmawiać z Bertramem i chociaż zwróciłam mu uwagę na ogień, bardzo dosadnie poinformował mnie, że nikt nie upoważniony nie ma prawa pojawiać się w pobliżu wyspy. Może to być jedynie Pigmej, który dostarcza małpom dodatkowy pokarm.

- Powiedziałaś mi, co cię niepokoi? - zapytała Melanie.

- Nie tak dokładnie. Ale domyślił się. Jestem tego pewny. Nie był zainteresowany. Rzecz w tym, że on i Siegfried widzą przede wszystkim korzyści płynące z realizacji projektu. W konsekwencji gotowi są zrobić wszystko, żeby

nie nie zakłóciło prac. Obawiam się, że są tak skorumpowani, iż w ogóle ich nie obchodzi, co się dzieje na wyspie. A na dodatek Siegfried jest ewidentnym przykładem socjopaty.

- Naprawdę jest taki zły? Słyszałam jakieś plotki

- wtrąciła Candace.

- Cokolwiek słyszałaś, jest i tak dziesięć razy

gorzej - zapewniła Melanie. - To najbardziej

marna kreatura. Żeby dać ci pełen obraz

sytuacji, powiem, że kazał zabić trzech biednych

Gwinejczyków, którzy kłusowali w Strefie, gdzie

sam Siegfried lubi polować.

- Zabił ich osobiście? - zapytała zaszokowana

Candace.

- Osądził ich bez procesu, bez obrońców, a

następnie żołnierze gwinejscy, których ma na

swoje usługi, wykonali na boisku do gry w piłkę

publiczną egzekucję - poinformowała Melanie.

- I żeby ich jeszcze dodatkowo znieważać, kazał

im obciąć głowy, a z czaszek zrobił pojemniki na

różne przybory, które trzyma na swoim biurku -

dodał Kevin.

- Żałuję, że pytałam - powiedziała Candace z

dreszczem.

- A może by tak spróbować z doktorem

Lyonsem? - zasugerowała Melanie.

Kevin roześmiał się.

- Zapomnij o nim. Jest jeszcze bardziej
zaślepiony żądzą zarabiania pieniędzy niż

Bertram. Cała operacja to przecież jego dziecko.

Z nim także próbowałem rozmawiać o dymie.

Nawet jeszcze mniej się tym przejął. Upierał się,

że to moja chora wyobraźnia. Szczerze

powiedziawszy, nie ufam mu, chociaż muszę

również być mu wdzięczny za premie i sprzęt,

który mi dostarczył. Postąpił bardzo sprytnie i

każdemu, kogo włączył do operacji, zaoferował

poważne sumy, szczególnie Bertramowi i

Siegfriedowi.

- W takim razie musimy polegać tylko na sobie.

Sprawdźmy, czy to wyłącznie twoja imaginacja,

czy coś więcej. Co powiesz na szybką wycieczkę

naszej trójki na Isla Francesca? - zaproponowała

Melanie.

- Żartujesz! Bez zezwolenia? Potraktują to jak

zdradę stanu.

- To zdrada stanu dla tubylców. Nas nie może

dotyczyć. W naszym wypadku Siegfried będzie

musiał odpowiedzieć przed GenSys.

- Bertram wyraźnie zakazał wszelkich wizyt -
upierał się Kevin. - Zaproponowałem, że sam
pójdę, i nie zgodził się.

Melanie wzruszyła ramionami.

- Wielkie mi co. Najwyżej się wścieknie, i tyle.

Nic nie robi. Wyleje nas z roboty? Jestem tu już
tak długo, że wcale mnie to nie przeraża. Poza
tym nie poradzą sobie bez nas. Tak się sprawy
mają naprawdę.

- Myślisz, że to może być niebezpieczne? -
zapytała Candace.

- Bonobo są spokojnymi istotami. O wiele
spokojniejszymi niż szympany, a i one nie są
niebezpieczne, jeżeli nie poczują bezpośredniego
zagrożenia - odpowiedziała Melanie.

- Jak w takim razie rozumieć zabicie tego
człowieka?

- To się wydarzyło w czasie odłowu małpy -
wyjaśnił Kevin. - Trzeba podejść dostatecznie
blisko, aby trafić nabojem usypiającym. Poza
tym to był już czwarty odłów.

- My musimy jedynie przeprowadzić obserwacje

- stwierdziła Melanie.

- No dobra, jak się tam dostaniemy? - spytała

Candace.

- Samochodem. Tak dostają się na wyspę inni, musi więc być jakiś most - uznała Melanie.

- Równoległe do wybrzeża biegnie droga na wschód - poinformował Kevin. - Prowadzi do wioski tubylców, następnie zmienia się w leśny dukt. Tamtędy dojechałem na wyspę, kiedy oglądaliśmy ją jeszcze przed rozpoczęciem realizacji programu. Na długości około trzydziestu kilku metrów wyspę od stałego lądu oddziela wąski, około dziesięciometrowy kanał. Pomiędzy dwoma mahoniami rozwieszono most na stalowych linach.

- Może uda nam się pooglądać zwierzęta bez przechodzenia na drugą stronę - wyraziła nadzieję Candace. - Spróbujmy.

- Kobiety, wy się niczego nie boicie - stwierdził Kevin.

- Prawie niczego - sprostowała Melanie. - Ale nie widzę żadnego problemu w podjechaniu tam i ocenieniu sytuacji. Jeśli będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia, łatwiej przyjdzie nam zdecydować, co chcemy osiągnąć.

- Kiedy chcecie jechać? - zapytał Kevin.

- Proponowałabym teraz - odparła Melanie i spojrzała na zegarek. - Nie będzie lepszego momentu. Dziewięćdziesiąt procent mieszkańców miasta spędza czas w barze nad brzegiem, kąpie się albo wyciska siódme poty w centrum sportowym.

Kevin westchnął, opuścił ręce w geście kapitulacji i zapytał:

- Czyj samochód powinniśmy wziąć?

Melanie odpowiedziała bez wahania:

- Twój. Mój nawet nie ma napędu na cztery koła.

Kiedy schodzili ze schodów, a potem w piekącym słońcu przechodzili przez parking, Kevina nie opuszczało przeczucie, że popełniają błąd.

Jednak wobec zdecydowania kobiet poczuł się bezsilny i zrezygnował ze zgłaszania swych obiekcji.

Opuszczając miasto wschodnią drogą, minęli centrum sportowe z kortami tenisowymi zatłoczonymi chętnymi do gry. Wobec upału i niesamowitej wilgotności powietrza, gracze wyglądali, jakby dopiero co wyszli z basenu, w którym zanurzyli się, nie zdejmując sportowych

strojów.

Kevin prowadził. Obok kierowcy siedziała Melanie, a z tyłu Candace. Temperatura spadła teraz do około dwudziestu sześciu stopni, więc pootwierali wszystkie okna w samochodzie.

Słońce wisiało nisko na zachodzie, dokładnie za nimi, to chowając się, to wynurzając zza chmur płynących nad horyzontem.

Tuż za boiskiem piłkarskim rośliny niemal zamknęły się nad drogą. Z głębokiego cienia od czasu do czasu wyskakiwały w niebo wielobarwne ptaki. Potężne owady rozbijały się o przednią szybę samochodu niczym miniaturowi kamikadze.

Candace, która nigdy nie wyjeżdżała z miasta tą drogą, odezwała się pierwsza:

- Dżungla wygląda na bardzo gęstą.

- Nawet nie masz pojęcia jak bardzo. - Kevin

zaraz po przyjeździe próbował parę razy pójść na spacer w głąb lasu, lecz pnącza i zarośla rosły tak gęsto, że bez maczety nie był w stanie posuwać się przed siebie.

- Tak sobie myślę o tych agresywnych

zachowaniach - wtrąciła Melanie. - Pasywność

jest tą zaletą bonobo, która pozwala w ich społeczności utrzymywać matriarchat. Ponieważ zamówienia obejmowały najczęściej osobniki męskie, nasz program opiera się głównie na męskiej populacji. To musi powodować mnóstwo zatargów o nieliczne samice.

- Słuszna uwaga - zgodził się Kevin. Zastanawiał się, dlaczego Bertram o tym nie pomyślał.

- To brzmi jak opowiadanie o moim ulubionym zakątku na ziemi - zażartowała Candace. - Może w następne wakacje powinnam zrezygnować z Klubu Medyka i przyjechać na Isla Francesca.

Melanie roześmiała się.

- Wobec tego wpadniemy tu razem.

Po drodze minęli wielu Gwinejczyków wracających z pracy w Cogo do wioski.

Większość kobiet dźwigała na głowach dzbanki i paczki. Mężczyźni najczęściej szli z pustymi rękoma.

- To dziwna kultura - skomentowała obrazek Melanie. - Kobiety wykonują lwią część pracy, uprawiają polećka, noszą wodę, wychowują dzieci, gotują pożywienie, dbają o dom.

- To co robią mężczyźni? - zapytała Candace.

- Siadają w kupie i prowadzą dyskusje

filozoficzne - odparła Melanie.

Nagle do rozmowy wtrącił się Kevin.

- Mam pomysł. Aż dziwne, że wcześniej na to nie

wpadłem. Może najpierw powinniśmy

porozmawiać z Pigmejem, który nosi na wyspę

pożywienie i posłuchać, co on ma do

powiedzenia.

- Dla mnie brzmi to dość rozsądnie - zgodziła się

Melanie. - Wiesz, jak się nazywa?

- Alphonse Kimba.

Gdy dotarli do wioski, zatrzymali się przed

pełnym ludzi głównym sklepem i wysiedli. Kevin

wszedł do środka zapytać o Pigmeja.

- To miejsce jest niemal zbyt czarujące -

zauważyła Candace. - Wygląda po afrykańsku,

ale jakby na modłę tego, co można zobaczyć w

Disneylandzie.

Wioskę wybudowało GenSys z pomocą

Ministerstwa Administracji. Domy były okrągłe,

z cegieł z wypalonego na słońcu mułu i

pomalowane na biało. Dachy zrobiono z trzciny,

a ogrodzenia przydomowe dla zwierząt z

trzcinowych mat przywiązanych do drewnianych

pali. Zabudowa wydawała się tradycyjna, ale wszystko było nowe, bez jednej plamki. We wsi była także elektryczność i bieżąca woda. Całą sieć, zarówno energetyczną, jak i wodociągową, poprowadzono pod ziemią. Kevin wrócił szybko.

- Nie ma problemu. Mieszka niedaleko. Możemy iść pieszo. Wioska tętniła życiem. Wszędzie kręciło się wiele osób, mężczyzn, kobiety i dzieci.

Właśnie rozpalano tradycyjne ogniska do gotowania. Wszyscy krzżeli się radośnie, z uśmiechem, ciesząc się, że wreszcie minęła nieprzyjemna pora deszczowa. Alphonse Kimba miał około stu pięćdziesięciu centymetrów wzrostu i skórę czarną jak onyks. Jego szeroką, płaską twarz zdobił nie schodzący z ust uśmiech, którym przywitał niespodziewanych gości.

Próbował przedstawić swoją żonę i dzieci, ale wszyscy natychmiast zniknęli w cieniu.

Alphonse zaprosił gości, aby usiedli na trzciniowych matach. Sam zaś podał cztery szklanki i wlał do nich spore porcje przezroczystego płynu ze starej, zielonej butelki pierwotnie zawierającej olej silnikowy.

Cała trójka niezwykle ostrożnie i z obawami

spróbowała pynu. Nie chcieli wydać się niegrzeczni, ale też nie mieli ochoty na picie czegokolwiek.

- Alkohol? - zapytał Kevin.

- O tak! - przytaknął Alphonse. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - To lotoko z kukurydzy. Bardzo dobre! Przywiozłem je z mojego domu w Lomako. - Siorbnął z wielkim ukontentowaniem. Inaczej niż u większości mieszkańców Gwinei Równikowej, angielski Alphonse'a zabarwiony był francuskim akcentem, nie hiszpańskim. Był członkiem ludu Mongandu z Zairu. Przybył do Strefy z pierwszym transportem bonobo.

Skoro napój zawierał alkohol, który prawdopodobnie zabił wszystkie mikroorganizmy, goście nieco śmieiej skorzystali z poczęstunku. Wszystkim wykrzywiło twarze, mimo że bardzo się starali opanować. Trunek był niezwykle mocny.

Kevin wyjaśnił, że przyszli zapytać go o bonobo mieszkające na wyspie. Oczywiście nie wspomniał o swych obawach, że niektóre z nich mogą być istotami człowiekowatymi. Zapytał tylko, czy Alphonse sądzi, że zachowują się tak

samo jak bonobo w jego prowincji w Zairze.

- One wszystkie są bardzo młode. Dlatego

zachowują się dziko i inaczej.

- Często chodzisz na wyspę?

- Nie, to zabronione. Tylko kiedy je odławiamy

albo przenosimy tam, ale wtedy zawsze z

doktorem Edwardsem.

- Jak dostarczasz dodatkowe jedzenie na wyspę?

- spytała Melanie.

- Jest mała tratwa na linie. Przeciągam ją na

wyspę, a potem z powrotem.

- Czy bonobo są bardzo agresywne, kiedy dostają

jedzenie, czy dzielą się nim? - pytała dalej

Melanie.

- Bardzo agresywne. Walczą jak szalone.

Szczególnie o owoce. Raz widziałem, jak jedna

małpa zabiła inną.

- Dlaczego? - zaciekał się Kevin.

- Chyba żeby ją zjeść. Jak pożywienie, które

przewiozłem, się skończyło, samiec zabił małpę i

zabrał ją ze sobą.

- Tak zachowują się raczej szympany -

powiedziała Melanie do Kevina. Skinął

twierdząco głową i spytał Alphonse'a:

- W którym miejscu odławia się zwierzęta?
- Wszystkie złapaliśmy po tej stronie jeziora i strumienia.
- Żadna nie znalazła się po stronie klifu?
- Nie, nigdy - zaprzeczył Pigmej.
- Jak dostajesz się na wyspę, kiedy idziesz złapać małpę? Wszyscy używają wtedy tratwy?

Alphonse roześmiał się szczerze. Aż oczy przecierał kłykciami.

- Tratwa jest za mała. Wszyscy staliby się kolacją dla krokodyli. Idziemy przez most.

- A dlaczego nie idziesz przez most, kiedy niesiesz jedzenie? - zapytała Melanie.

- Bo doktor Edwards musi zrobić, że most urósł.

- Urósł? - powtórzyła zaskoczona Melanie.

- Tak - odparł Alphonse.

Cała trójka wymieniła między sobą spojrzenia.

Nie wiedzieli, co myśleć.

- Widziałeś jakiś ogień na wyspie? - zapytał

Kevin, zmieniając temat.

- Żadnego ognia - odparł Alphonse. - Ale

widziałem dym.

- I co myślisz?

- Ja? Ja nic nie myślę.

- Czy widziałeś kiedykolwiek, żeby któraś z małp

tak robiła? - po raz pierwszy zapytała Candace.

Jednocześnie zaciskała i otwierała palce i

rozkładała ramiona tak jak bonobo przed

operacją.

- Tak - odpowiedział Alphonse. - Wiele z nich

tak robi, kiedy kończą rozdzielać między siebie

jedzenie.

- A wydają jakieś odgłosy? - wtrąciła Melanie. -

Czy w ogóle bardzo hałasują?

- No, bardzo.

- Tak jak bonobo w Zairze?

- Bardziej. Ale tam, w Zairze, nie widziałem tak

często bonobo jak tu i nie karmiłem ich. W

domu one miały swoje jedzenie w dżungli.

- Jakiego rodzaju odgłosy wydają? - spytała

Candace. - Możesz nam dać przykład?

Alphonse roześmiał się, zażenowany. Rozejrzał

się, aby mieć pewność, że żona go nie usłyszy.

Wtedy nieśmiało zaczął zawodzić: "Eeee, ba da,

loo loo, tad tat". Znowu się roześmiał. Był

zawstydzony.

- Czy pohukują jak szympany? - spytała

Melanie.

- Niektóre.

Znowu popatrzyli na siebie. Na razie nie mieli więcej pytań. Kevin wstał. Obie panie zrobiły to samo. Podziękowali Alphonse'owi za gościnność i odstawili nie dokończony drinki. Jeżeli Pigmej poczuł się obrażony, nie dał tego poznać po sobie. Jego uśmiech nie zgasł.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedział Alphonse, zanim jego goście wyszli. - Bonobo z wyspy lubią pozować. Ile razy przychodzą po jedzenie, stają wyprostowane.

- Za każdym razem? - zapytał Kevin.

- Przeważnie.

Cała trójka wróciła przez wioskę do samochodu.

Milczeli do czasu, aż Kevin włączył silnik.

- No i co o tym sądzicie? - zapytał. - Powinniśmy jechać dalej? Słońce prawie już zaszło.

- Ja głosuję za - odpowiedziała Melanie. -

Doszliśmy już tak daleko.

- Zgadzam się - przytaknęła Candace. - Strasznie jestem ciekawa zobaczyć most, który urósł.

Melanie roześmiała się.

- Ja także. Cóż za uroczy człowiek.

Kevin odjechał spod sklepu, który był teraz

nawet bardziej zatłoczony niż przedtem. Jednak

nie był pewny co do dalszego kierunku jazdy.

Droga prowadziła prosto na parking przed

sklepem, ale dalej nie było żadnego

drogowskazu na wschód. Nie widział drogi,

duktu, nawet przecinki. Musiał okrążyć cały

plac. I nagle znalazł się na właściwym szlaku.

Kiedy już się na nim znaleźli, nie mogli wyjść z

podziwu, jak łatwo im to przyszło. Dukt był

wąski, wyboisty i grząski. Rosła na nim niemal

metrowa trawa. Wiele gałęzi zagradzało drogę,

uderzając w przednią szybę samochodu,

zaglądając do środka przez boczne okna. Żeby

uniknąć zranienia, musieli podnieść szyby.

Kevin włączył klimatyzację i reflektory. Snop

światła wydobył z mroku ciemnozieloną ścianę

roślinności i stworzył wrażenie, że jadą przez

tunel.

- Długo jeszcze będziemy się tłuc po tych

wertepach? - spytała Melanie.

- Tylko trzy, może cztery mile.

- To był dobry pomysł, żeby zabrać wóz

terenowy - zauważyła Candace. Trzymała się

mocno uchwyty nad drzwiami, ale mimo to

podskakiwała jak piłeczka. Zapięty pas niewiele pomagał. - Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to utknąć w takim miejscu. - Popatrzyła w atramentowoczarny gąszcz i dreszcz przeszedł jej po plecach. Dżungla była groźna. Candace nie widziała niczego poza wąskimi skrawkami nieba w szczelinach między drzewami. I wtedy usłyszała hałas. Nocne stworzenia zaczęły swój wieczorny chór.

- Co sądzicie o tym, co powiedział Alphonse? - zapytał w końcu Kevin.

- Powiedziałabym, że ciągle nie mamy ostatecznej odpowiedzi - odparła Melanie. -

Jednak to, co usłyszeliśmy, warte jest rozważenia.

- Uważam, że jego informacje o tym, że bonobo przychodzą po jedzenie wyprostowane, są bardzo niepokojące. W ten sposób doszedł nam jeszcze jeden dowód pośredni.

- Sugestia, że się porozumiewają, robi na mnie wrażeniestwierdziła Candace.

- Tak, ale szympansy i goryle uczy się języka migowego - przypomniała Melanie. - Poza tym wiemy, że bonobo łatwiej poruszają się na

dwóch kończynach niż inne małpy. Największe
wrażenie robi na mnie ich agresywne
zachowanie, chociaż na razie trwam przy swojej
wersji, że może ono być wynikiem pomyłki i
zachwiania równowagi między liczbą samic i
samców.

- Czy szympansy mogą wydawać dźwięki
podobne do tych, które imitował Alphonse? -
zapytała Candace.

- Nie sądzę. A to ważny szczegół. To sugeruje, że
być może mają inaczej rozwinięte narządy krtani
- rozważał Kevin.

- Czy szympansy naprawdę zabijają inne małpy?
- dopytywała się Candace.

- Zdarza się tak czasami, jednak nigdy nie
słyszałam, żeby robiły to bonobo - przyznała
Melanie.

- Trzymajcie się! - krzyknął Kevin i nacisnął na
hamulce.

Samochód podskoczył gwałtownie na leżącym w
poprzek drogi pniu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Candace,
spoglądając jednocześnie we wsteczne lusterko.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała, mimo

że potężnie nią szarpnęło. Szczęśliwie tym razem pasy zadziałały, co uchroniło dziewczynę od uderzenia głową w dach samochodu.

Kevin zwolnił, obawiając się najechania na kolejny konar czy pień. Po piętnastu minutach wyjechali na otwartą przestrzeń, która zwiastowała koniec duktu. Kevin zatrzymał wóz.

Tuż przed nimi w świetle reflektorów stał parterowy budynek zbudowany z żużlowych bloków z podnoszonymi drzwiami garażowymi.

- Czy to tu? - spytała Melanie.

- Tak sądzę. Przedtem nie było tego budynku. W każdym razie ja widzę go po raz pierwszy - stwierdził Kevin.

Wyłączył światła i silnik. Na otwartej przestrzeni naturalne światło było wystarczające. Przez chwilę nikt się nie poruszył.

- Jaki jest ciąg dalszy scenariusza? Mamy zamiar to sprawdzić czy co? - odezwał się Kevin.

- Możemy. Skoro już tu jesteśmy. - Melanie otworzyła drzwi i wysiadła. Kevin zrobił to samo.

- Myślę, że zostanę w samochodzie - powiedziała Candace.

Kevin podszedł do budynku i spróbował

otworzyć drzwi. Były zamknięte. Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, co tam może być. - Uderzył dłonią w czoło, zabijając komara.

- Jak dostaniemy się na wyspę? - zainteresowała się Melanie.

Kevin wskazał ręką w prawo.

- Tam jest droga. Do brzegu jest najwyżej czterdzieści kilka metrów.

Melanie spojrzała w górę. Zobaczyła blade, lawendowe niebo.

- Wkrótce zapadnie mrok. Masz w samochodzie latarkę?

- Chyba tak. Przede wszystkim mam płyn przeciw komarom. Jeśli go nie użyjemy, zjedzą nas tu żywcem.

Kiedy zbliżyli się do samochodu, Candace właśnie z niego wysiadała.

- Nie mogę tu zostać sama. Jest zbyt strasznie.

Kevin wyjął spray przeciw komarom. Kiedy kobiety spryskiwały się nim, on szukał latarki.

Znalazł ją w schowku przed siedzeniem pasażera. Teraz sam posmarował się płynem i skinął na swe towarzyszek, aby poszły za nim.

- Trzymajcie się blisko. W nocy z wody wychodzą krokodyle i hipopotamy.

- Czy on żartuje? - Candace spytała Melanie.

- Nie wydaje mi się.

Gdy tylko weszli na ścieżkę, zdecydowanie pociemniało, chociaż ciągle jeszcze było dość jasno, żeby iść bez włączonej latarki. Prowadził Kevin, obie panie deptały mu niemal po piętach. Im bardziej zbliżali się do wody, tym głośniejszy był koncert owadów i żab.

- Jak mogłam się w to wplątać? - Candace pytała samą siebie. - Nie jestem zwolenniczką ćwiczeń na świeżym powietrzu. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie krokodyla czy hipopotama poza zoo. Do diabła, przecież przeraża mnie każdy robak większy od paznokcia, a pająki... Ach, lepiej nie mówić.

Nagle z lewej strony rozległ się głośny trzask.

Candace wydała stłumiony okrzyk i złapała Melanie, która w tej chwili zrobiła to samo.

Kevin jęknął i natychmiast zapalił latarkę.

Skierował światło w stronę, z której doszedł hałas, ale udało mu się oświetlić tylko kilkadziesiąt centymetrów w głąb dżungli.

- Co to było? - Candance wreszcie odzyskała głos.

- Pewnie dujker. To odmiana bardzo drobnej antylopy - domyślił się Kevin.

- Antylopa czy słoń, przeraża mnie jednakowo - przyznała Candace.

- Mnie także - powiedział Kevin. - Może powinniśmy zawrócić i przyjechać jeszcze raz w dzień.

- Na miłość boską, przejechaliśmy taki kawał drogi. Już prawie jesteśmy na miejscu. Słyszę wodę - wtrąciła Melanie.

Przez moment nikt nie wykonał najmniejszego ruchu. Rzeczywiście słychać było plusk wody o brzeg.

- Dlaczego te zwierzęta umilkły? - zastanowiła się głośno Candace.

- Dobrze pytanie. Je także musiała wystraszyć antylopażgadywał Kevin.

- Zgaś latarkę - poprosiła Melanie.

W mroku od razu dostrzegli wodę połyskującą za roślinami. Wyglądała jak płynne srebro.

Melanie ruszyła w tamtą stronę. Odpowiedział jej znowu ożywiony chór nocnych stworzeń.

Ścieżka wyszła na otwartą przestrzeń tuż nad brzegiem wody. Na środku stał budynek podobny do tego, przed którym zatrzymali samochód. Kevin podszedł do niego. Nietrudno było się domyślić, co ma przed sobą. Stał przy moście.

- To mechanizm teleskopowy. Dlatego Alphonse mówił, że most może rosnać - zauważył Kevin.

Mniej więcej dziesięć metrów od brzegu stałego lądu rysowała się linia Isla Francesca. W gasnącym świetle jej gęsta roślinność wydawała się granatowa. Dokładnie po przeciwnej stronie dostrzegli betonową platformę, która na pewno służyła jako wspornik dla mostu przerzuconego przez wodę. Dalej znajdowała się dość rozległa polana ciągnąca się na wschód.

- Spróbuj rozsunać most - zasugerowała Melanie.

Kevin włączył latarkę. Znalazł tablicę kontrolną z dwoma przyciskami: czerwonym i zielonym.

Wcisnął czerwony. Nic się nie stało, więc spróbował z zielonym. Gdy i tym razem nie było efektu, przyjrzał się dokładniej tablicy i dopiero teraz zobaczył otwór na klucz i kreskę

wskazującą na napis: WYŁĄCZONE.

- Musimy mieć klucz! - zawołał.

Melanie i Candace podeszły do brzegu.

- Tu jest lekki prąd - zauważyła Melanie.

Rzeczywiście, liście i małe kawałki roślin

przepływały powoli obok nich.

Candace popatrzyła w górę. Gałęzie niektórych

drzew stykały się nad wodą.

- Dlaczego nie próbują uciec z wyspy? - zapytała.

- Małpy nie wchodzą do wody, szczególnie do

głębokiej.

Dlatego w ogrodach zoologicznych wystarczy ich

wybieg otoczyć fosą. Szczególnie dotyczy do

małp człekokształtnych - wyjaśniła Melanie.

- A nie mogą przejść górą, po drzewach?

Kevin, który stanął obok nich. Usłyszał pytanie.

- Bonobo są względnie ciężkie, a już ha pewno

nasze bonobo. Większość z nich waży nawet

ponad pięćdziesiąt kilo. Gałęzie nad wodą nie są

dostatecznie wytrzymałe, aby udźwignąć taki

ciężar. Ale na wyspie było kilka niepewnych

miejsz i tam drzewa zostały wycięte, zanim

wpuściliśmy zwierzęta. Na przykład małpki

colobus ciągle przeskakują tam i z powrotem.

- Co to za kwadratowe przedmioty leżą na trawie? - spytała Melanie.

Kevin skierował strumień światła na przeciwległy brzeg. Latarka okazała się jednak zbyt słaba i nie świeciła wystarczająco, jak na taką odległość. Wyłączył ją i przyjrzeni się tajemniczemu obiektom przy gasnącym świetle dnia.

- Przypominają skrzynie transportowe z centrum weterynaryjnego.

- Ciekawe, co tu robią? Strasznie ich dużo.

- Nie mam pojęcia - przyznał Kevin.

- Co zrobimy, żeby pokazały nam się jakieś bonobo? - zapytała Candace.

- O tej porze pewnie przygotowują się do nocnego spoczynku. Nie sądzę, żebyśmy mogli je zwabić.

- Może wykorzystać tratwę? - zasugerowała Melanie. - Mechanizm, który przeciąga ją przez przesmyk, działa na pewno tak jak sznur do bielizny. Jeżeli robi hałas, to go usłyszą. Coś jak dzwonek na obiad. To może je wyciągnąć z ukrycia.

- Myślę, że warto spróbować - uznał Kevin.

Popatrzył w górę i w dół brzegu. - Kłopot w tym, że kompletnie nie wiemy, gdzie może się znajdować tratwa.

- Nie wierzę, żeby to było daleko stąd - stwierdziła Melanie. - Ty pójdziesz na wschód, a ja na zachód.

Kevin i Melanie rozeszli się w przeciwne strony, a Candace została w miejscu, żałując w duchu, że nie znajduje się teraz u siebie w pokoju, w hotelowej części szpitala.

- Tu jest! - zawołała Melanie. Szła ścieżką wydeptaną w gęstych zaroślach i już po kilku metrach natrafiła na bloczek przytwierdzony do grubego drzewa. Wokół niego przeciągnięta była solidna lina. Jeden koniec ginął w wodzie, drugi był przywiązany do kwadratowej tratwy osadzonej na brzegu. Była nieduża, może metr na metr. Do Melanie dołączyła pozostała dwójka. Kevin poświecił na wyspę. Po drugiej stronie podobny bloczek przymocowano do podobnego drzewa. Kevin podał latarkę Melanie, a sam chwycił za zatopiony koniec liny i pociągnął. Zobaczył, że lina naprężyła się. Ciągnął dalej. Koło zgrzytnęło ciężko,

zapiszczało wysokim tonem i nagle platforma zsunęła się z brzegu do wody.

- To rzeczywiście może zadziałać - przyznał Kevin. Podczas gdy on ciągnął, Melanie oświetlała brzeg wyspy latarką. Gdy tratwa znalazła się mniej więcej w połowie drogi z ich prawej strony rozległ się plusk, jakby do wody wpadło coś ciężkiego.

Melanie natychmiast skierowała światło w tę stronę. Zobaczyli dwie połyskujące szczeliny, unoszące się tuż nad wodą. Przyjrzeni się dokładnie i po chwili byli pewni, że w wodzie pływa obserwujący ich krokodyl.

- Dobry Boże! - powiedziała z przerażeniem Candace i cofnęła się.

- W porządku - uspokoił ją Kevin. Puścił linę i podniósł kawał gałęzi. Rzucił nią w krokodyla. Po kolejnym głośnym plusku zwierzę zniknęło pod wodą.

- No, świetnie! Teraz w ogóle nie wiemy, gdzie jest - zmartwiła się Candace.

- Odpłynął. Nie są niebezpieczne, dopóki nie jesteś w wodzie, a one nie są głodne - uspokoił ją Kevin.

- A skąd wiadomo, że ten nie jest głodny? -

odparła nadal niespokojna dziewczyna.

- Mają tu mnóstwo pożywienia - powiedział

Kevin, podniósł linę i ciągnął dalej. Kiedy tratwa

uderzyła o przeciwległy brzeg, zmienił linę i

zaczął ciągnąć ją z powrotem.

- Jest za późno - powiedział. - Nie zadziała.

Najbliższe siedlisko bonobo, które widzieliśmy w

komputerze, jest o milę stąd. Będziemy musieli

spróbować za dnia.

Jeszcze nie zdążył wypowiedzieć ostatniego

słowa, a ciszę zapadającego wieczoru rozdarły

przeraźliwe wrzaski. Równocześnie w zaroślach

na wyspie dało się zauważyć dzikie poruszenie,

jakby za chwilę miał się z nich wyłonić

rozjuszony słoń.

Kevin puścił linę. Obie kobiety wycofały się

szybko o kilka metrów i zatrzymały. Z walącymi

sercami zastygły, czekając na następne krzyki.

Melanie trzymała w drżącej dłoni latarkę, którą

starła się oświetlić miejsce tajemniczego

poruszenia. Trwała kompletna cisza. Nie

poruszył się ani jeden listek.

Minęło dziesięć pełnych napięcia sekund.

Oczekującym na wydarzenia przyjaciołom

zdawało się, że to dziesięć długich minut.

Strzygli uszami, żeby wylapać choćby najlżejszy

szelest. Nic się nie działo. Panowała dojmująca

cisza. Zupełnie jakby cała dżungla oczekiwała na

nieuchronną katastrofę.

- Rany boskie, co to było? - szeptała Melanie

przerwał wreszcie ciszę.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym się

dowiedzieć. Chodźmy stąd - zaproponowała

Candace.

- To musiały być bonobo - stwierdził Kevin.

Podniósł linę. Tratwa znajdowała się na środku

przesmyku między lądem a wyspą. Szybko ją

przyciągnął.

- Candace ma chyba rację - podchwyciła

Melanie. - Zrobiło się za ciemno, żeby cokolwiek

dojrzeć, nawet gdyby się pojawiły. Zaczyna mnie

to przerażać. Chodźmy stąd!

- Ja się na pewno nie będę sprzeciwiać - dodał

Kevin. - Sam nie wiem, co my tu robimy o tej

porze. Wrócimy za dnia.

Ruszyli ścieżką tak szybko, jak potrafili.

Prowadziła Melanie z latarką w ręku. Za nią,

trzymając się koleżanki, szła Candace. Kevin

zamykał pochód.

Kiedy mijali most, powiedział:

- Byłoby świetnie zdobyć klucz do mostu.

- Jak według ciebie można by to zrobić? -

zapytała Melanie.

- Pożyczyć od Bertrama - zaproponował.

- Ale przecież powiedziałaś, że zabronił zbliżać się komukolwiek do wyspy, więc z pewnością nie zechce go pożyczyć - domyśliła się Melanie.

- Więc będziemy musieli go pożyczyć bez jego wiedzy - stwierdził Kevin.

- Ach, no jasne, tak będzie najlepiej -

sarkastycznie odpowiedziała Melanie.

Weszli w zielony tunel prowadzący do samochodu. W połowie drogi odezwała się

Melanie:

- Boże, jak ciemno. Dobrze oświetlam drogę?

- Może być - orzekła Candace.

Melanie zwolniła, wreszcie zatrzymała się.

- Co się stało? - zapytał Kevin.

- Coś dziwnego - powiedziała. Przechyliła głowę i nasłuchiwała.

- Przestań mnie straszyć - odezwała się cicho

Candace.

- Znowu nie słysząc ani żab, ani świerszczy -

zauważyła Melanie.

W następnej sekundzie otwarły się wrota piekieł.

Głośny, powtarzający się ryk przegnał ciszę w mgnieniu oka. Konary, gałązki, liście posypały się gradem na trójkę zapóźnionych wędrowców.

Kevin rozpoznał hałas i zareagował instynktownie. Wyciągnął ramiona i objął obie kobiety, ciągnąc je za sobą. Wszyscy troje padli na ziemię, gdzie aż roiło się od robactwa.

Kevinowi udało się poznać ten dźwięk, ponieważ kiedyś był przez przypadek świadkiem ćwiczeń żołnierzy Gwinei Równikowej. Były to serie z pistoletów maszynowych.

ROZDZIAŁ 10

5 marca 1997 roku

godzina 14.15

Nowy Jork

- Przepraszam, Laurie - w drzwiach biura stanęła Cheryl Myers. Cheryl była jedną z asystentek zajmujących się zbieraniem informacji o denatach. - Dostaliśmy to zeszłego wieczoru i pomyślałam, że zechcesz przejrzeć.

Laurie wstała i odebrała przesyłkę, Zaciekawilo ją, co też mogło się w niej znajdować. Spojrzała na nadawcę. CNN.

- Dziękuję, Cheryl. - Była zdumiona. Nie miała zielonego pojęcia, co CNN może jej przysłać.

- Widzę, że nie ma doktor Mehty, a mam dla niej kartotekę ze szpitala uniwersyteckiego. Czy mogę zostawić na jej biurku? - Doktor Mehta była koleżanką Laurie. Obie dzieliły to samo biuro. Taki stan trwał już sześć i pół roku, czyli od chwili, w której obie zaczęły pracować w Zakładzie Medycyny Sądowej.

- Jasne - odpowiedziała Laurie, zajęta swoją przesyłką. Włożyła palec pod zakładkę i rozdarła kopertę. Wewnątrz znalazła kasetę wideo.

Spojrzała na etykietę: ZABÓJSTWO CARLA FRANCONIEGO. 3 MARCA 1997.

Po skończeniu ostatniej tego ranka autopsji, Laurie zaszyła się w biurze, żeby skompletować dokumentację dwudziestu kilku spraw, które ostatnio badała. Była bardzo zajęta studiowaniem preparatów mikroskopowych, wyników badań laboratoryjnych, kartotek szpitalnych i policyjnych raportów. W efekcie od

kilku godzin nie myślała o sprawie Franconiego.

Taśma wideo znowu przywołała nie wyjaśnioną sprawę. Niestety, kasetę bez ciała nie miała wielkiego znaczenia.

Laurie wrzuciła taśmę do teczki i próbowała wrócić do pracy. Jednak po piętnastu minutach bezowocnych starań wyłączyła światło pod mikroskopem. Nie potrafiła się skoncentrować.

Umysł miała zajęty szukaniem odpowiedzi na dręczące pytanie, jak zniknęły zwłoki. Wyglądało to na magiczną sztuczkę. W jednej minucie ciało bezpiecznie spoczywało w lodówce numer sto jedenaście i oglądało je trzech pracowników, w następnej, puff, wyparowało. Musiało oczywiście istnieć wyjaśnienie, jednak choć z całych sił próbowała, nie zdołała go znaleźć.

Zdecydowała się zjechać na dół i odwiedzić biuro kostnicy. Spodziewała się, że zastanie przynajmniej jednego z techników, ale kiedy weszła do pokoju, nikogo w nim nie było. Bez obaw podeszła do biurka i sięgnęła po wielką, oprawną w skórę księgę, którą zeszłej nocy pokazał jej Mike Passano. Przerzucając strony, z łatwością odnalazła poszukiwane zapisy. Wzięła

jeden z długopisów stojących w kubku po kawie, oderwała karteczkę z bloczku i zapisała nazwiska i numery przyjęcia dwóch ciał przywiezionych w nocy. Były to zwłoki Dorothy Kline nr 101455 i Franka Gleasona nr 100385. Zapisała sobie również nazwy dwóch domów pogrzebowych: Spoletta w Ozone Park w Nowym Jorku i Dicksona w Summit w New Jersey.

Już miała wyjść, kiedy spostrzegła leżący w narożniku biurka kołonośnik z numerami telefonów. Z łatwością odnalazła oba zakłady pogrzebowe i postanowiła do nich zadzwonić. Przedstawivszy się, poprosiła o rozmowę z kierownikiem.

Tym, co kazało jej telefonować, była nikła nadzieja, że odbiór zwłok w jednym z wypadków okaże się oszustwem. Szansa była niewielka, skoro, jak stwierdził Mike Passano, domy pogrzebowe anonsowały telefonicznie przyjazdy, a Mike najprawdopodobniej znał pracowników tych firm.

Jak się spodziewała, obie firmy potwierdziły odbiór ciał i kierownicy dodali, że nie tylko zwłoki przybyły na czas, ale zostały także

wystawione dla rodziny.

Laurie wróciła do książki przyjęć i dla porządku sprawdziła jeszcze imiona oraz numery osób przyjętych do kostnicy i te informacje także przepisała. Nazwiska nie brzmiały obco.

Autopsję obu osób zleciła tego ranka Paulowi Plodgettowi. Jednak ciała, które przywieziono, nie interesowały jej tak bardzo jak te, które wywieziono. Przecież zwłoki do kostnicy dostarczali od dawna zatrudnieni w niej ludzie, natomiast wywozili pracownicy obcy.

Czując bezradność, uderzała ołówkiem w blat biurka. Była pewna, że coś przeoczyła. Jeszcze raz spojrzała na kołonoatnik z telefonami otwarty na Domu Pogrzebowym Spoletto. Ta nazwa zaczęła jej się z czymś kojarzyć. Przez chwilę mocowała się z własną pamięcią. Skąd mogła znać nazwisko Spoletto? No oczywiście! Przypomniała sobie wreszcie. Pojawiło się w czasie sprawy z Cerinem. Pewien mężczyzna został zamordowany w Domu Pogrzebowym na polecenie Pauliego Cerina, poprzednika Franconiego.

Schowała kartkę z notatkami do kieszeni i

wróciła na czwarte piętro. Poszła prosto do pokoju Jacka. Drzwi były uchylone. Zapukała w futrynę. Obaj, Jack i Chet spojrzeli w stronę drzwi znad swoich biur.

- Mam pomysł - oświadczyła Laurie.

- Tylko jeden? - zapytał Jack.

Rzuciła w niego ołówkiem, ale z łatwością się uchylił. Opadła na krzesło stojące po prawej stronie biurka i opowiedziała Jackowi o dziwnym zbiegu okoliczności z morderstwem u Spoletta.

- Rany boskie, Laurie, to że w domu pogrzebowym został kiedyś zastrzelony jakiś gangster, nie oznacza, że istnieje powiązanie w sprawie Franconiego.

- Tak sądzisz? - zapytała. Jack nie musiał odpowiadać. Z wyrazu jego twarzy łatwo się było domyślić, co sądzi na ten temat. Teraz, kiedy zastanowiła się nad własnym pomysłem, zrozumiała, że był śmieszny. Po prostu chwytala się najmniejszej szansy.

- A poza tym, dlaczego nie zostawisz tego w spokoju? - zapytał Jack.

- Już raz ci powiedziałam. To sprawa osobista.

- Może mógłbym skierować twoje wysiłki w bardziej pozytywnym kierunku - powiedział Jack i wskazał na mikroskop. - Zerknij na preparat i powiedz mi, co o tym sądzisz.

Laurie podniosła się z krzesła i pochyliła nad mikroskopem.

- Co to jest? Włot rany postrzałowej?

- Bystra jak zawsze - skomentował Jack. - Nie mylisz się.

- Cóż, to nie było trudne. Powiedziałabym, że lufa znajdowała się o centymetry od skóry.

- Dokładnie to samo uważam. Coś jeszcze?

- A to ciekawe! Nie ma żadnych krwawych wybroczyn! - zauważyła Laurie. - Zupełnie żadnych. To znaczy, że ranę zadano po śmierci. -

Podniosła głowę i popatrzyła na Jacka. Była zdumiona. Wcześniej założyłaby się, że to była rana śmiertelna.

- Ot i cała potęga nowoczesnej nauki -

skomentował Jack. - Ten "topielec", którego mi przydzieliłaś, zamienia się w cholerną sprawę.

- Hej, byłeś ochotnikiem - przypomniała Laurie.

- Żartuję. Cieszę się, że go dostałem. Rany postrzałowe bez wątpienia zostały zadane po śmierci, podobnie jak obcięcie głowy i rąk.

Oczywiście uszkodzenia od śruby napędowej

także są późniejsze.

- Co w takim razie spowodowało śmierć? -

zapytała Laurie. - Dwie inne rany postrzałowe.

Jedna w nasadę szyi - wskazał palcem tuż nad

obojczyk z prawej strony. - I druga w plecy na

wysokości dziesiątego żebra. Obie kule znalazły

się w masie śrutu po wystrzałach w klatkę

piersiową, więc trudno je było wykryć na zdjęciu

rentgenowskim.

- Pierwszorządnie. Kule schowane w śrucie.

Zadziwiające! Naprawdę pociągające w tej

robocie jest to, że każdego dnia możesz zobaczyć

coś zupełnie nowego i nieoczekiwanego.

- Najlepsze przed nami - obiecał Jack.

- To dopiero "cacko" - wtrącił Chet. Cały czas przysłuchiwał się rozmowie kolegów. - Byłoby

doskonałe na wykład przy obiedzie u jakiegoś

patologa sądowego.

- Myślę, że rany postrzałowe zostały zadane dla

ukrycia tożsamości ofiary, podobnie zresztą jak

obcięcie głowy i rąk.

- Ale po co? - zapytała Laurie.

- Jestem pewny, że denat przeszedł niedawno

transplantację wątroby. Morderca musiał

wiedzieć, że taki zabieg umieszcza pacjenta w stosunkowo wąskiej grupie osób i radykalnie zwiększa niebezpieczeństwo zidentyfikowania zwłok.

- Jaki kawałek wątroby pozostał?

- Bardzo mały. Prawie cała została zniszczona wystrzałem.

- A rybki zadbały o resztę - dodał Chet. Laurie skrzywiła się.

- Ale udało mi się odnaleźć fragmenty tkanki wątrobowej. Wykorzystamy ją do potwierdzenia teorii o przeszczepie. Teraz, kiedy rozmawiamy, Ted Lynch wykonuje test DQ alfa. Mniej więcej za godzinę będziemy mieć wyniki. Ale dla mnie rozstrzygające były ślady szwów na żyłę głównej i tętnicy wątrobowej.

- Co to jest DQ alfa? - zapytała Laurie. Jack roześmiał się.

- Cieszę się, że nie wiesz, bo i ja musiałem o to samo spytać Teda. Wyjaśnił, że to wygodny i szybki sposób oznaczania DNA dla dwóch różnych organizmów. Porównuje obszar DQ w zespole zgodności tkankowej chromosomu szóstego.

- Co z żyłą wrotną? Tam też były szwy?

- Niestety wrotną została niemal doszczętnie zniszczona, jak większość organów wewnętrznych.

- No cóż, w takim razie identyfikacja nie powinna być taka trudna - uznała Laurie.

- Też tak sędzę - zgodził się Jack. - Zresztą uruchomiłem Barta Arnolda. Jest już w kontakcie z krajowym centrum narządów do transplantacji UNOS. Wydzwania też po wszystkich ośrodkach dokonujących przeszczepów wątroby, szczególnie w Nowym Jorku.

- Lista nie jest długa - stwierdziła Laurie. -

Dobra robota, Jack.

Jack lekko się zaczerwienił i Laurie poczuła się zaskoczona. Sądziła, że jest odporny na podobne komplementy.

- A co z kulami? Wystrzelone z tej samej broni?

- Wysłaliśmy je do laboratorium policyjnego do ekspertyzy balistycznej. Trudno było powiedzieć, czy pochodzą z tej samej broni, czy nie, bo zostały poważnie zdeformowane. Jedna uderzyła prosto w żebro i uległa spłaszczeniu, a druga

zahaczyła o stos pacierzowy i też została

uszkodzona.

- Jaki kaliber? - zapytała Laurie.

- Trudno orzec po powierzchownym oglądzie -
stwierdził Jack.

- A co powiedział Vinnie? Jest całkiem dobry w
takich zagadkach.

- Vinnie jest dzisiaj bezużyteczny - powiedział
Jack. - Nigdy nie widziałem go w gorszym
nastroju. Odpowiedział, że to moja praca i że nie
płacą mu tyle, aby bez przerwy dzielił się swoimi
opiniami.

- Wiesz, w czasie tamtej sprawy z Cerinem
miałam podobny przypadek - powiedziała
Laurie. Nagle ze zdziwieniem szeroko otworzyła
oczy. - Ofiarą była sekretarka pewnego lekarza,
który uczestniczył w spisku. Oczywiście nie
miała przeszczepionej wątroby, ale głowę i ręce
także jej odcięto. Zidentyfikowałam ją również
dzięki operacji, którą przeszła.

- Któregoś dnia opowiesz mi tę całą przerażającą
historię. A póki co będziesz sączyła po
kawałeczku, dodając coraz to nowe,
podniecające szczegóły - przerwał jej Jack.

Laurie westchnęła.

- Osobiście wolałabym zapomnieć o tamtej sprawie. Ciągle wraca do mnie w nocnych koszmarach.

Otwierając drzwi do gabinetu doktora Daniela Levitza przy Piątej Avenue, Raymond zerknął na zegarek. Była czternasta czterdzieści pięć. Starał się skontaktować z Levitzem telefonicznie, po jedenastej dzwonił trzykrotnie, ale bez rezultatu. Za każdym razem recepcjonistka obiecywała, że doktor oddzwoni, ale nie zadzwonił. Raymond był w stanie wyjątkowego pobudzenia i takie niegrzeczne zachowanie wprawiało go w paskudny nastrój. Wobec tego, że gabinet Levitza znajdował się tuż za rogiem ulicy, przy której mieszkał Raymond, postanowił się przejść i porozmawiać w cztery oczy.

- Doktor Raymond Lyons - przedstawił się pewnym głosem recepcjonistce. - Chciałbym się zobaczyć z doktorem Levitzem.

- Tak, panie doktorze - odpowiedziała recepcjonistka. Miała ten sam kulturalny, dostojny wygląd co recepcjonistka doktora Andersona. - Przykro mi, ale nie mam pana w

terminarzu spotkań. Czy pan doktor oczekuje pana?

- Niezupełnie - odparł wymijająco.

- Rozumiem, poinformuję pana doktora o pańskim przybyciu - powiedziała dyplomatycznie.

Raymond usiadł w zatłoczonej poczekalni. Wziął jeden z magazynów, które leżą w każdej lekarskiej poczekalni, i bez zwracania szczególnej uwagi zaczął przerzucać strony. Jego pobudzenie graniczyło z irytacją. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie popełnił błędu, przychodząc do gabinetu doktora Levitza.

Sprawdzenie pierwszego z pozostałych pacjentów po transplantacji okazało się łatwe.

Wystarczył jeden telefon do Dallas w Teksasie i krótka rozmowa z doktorem odpowiedzialnym za rekrutację klienta. Lekarz zapewnił

Raymonda, że pacjent po przeszczepie nerki, miejscowy biznesmen, czuje się świetnie i nie ma obawy, iż może znaleźć się na stole

autopsyjnym. Przed pożegnaniem lekarz obiecał poinformować Raymonda, gdyby kiedykolwiek sytuacja uległa zmianie.

Ale wobec braku odpowiedzi od doktora Levitza,

Raymondowi nie udało się sprawdzenie

następnego pacjenta. Sytuacja stała się

frustrująca i niepokoiła go.

Oczy Lyonsa błędziły po pokoju. Urządzony był z

przepychem, tak jak poczekalnia u doktora

Andersona, z olejnymi obrazami, ścianami w

kolorze głębokiego burgunda i orientalnymi

dywanami na podłodze. Czekający cierpliwie

pacjenci, sądząc po ubraniu, zachowaniu i

bizuterii byli ludźmi dobrze sytuowanymi.

Minuty mijały, a irytacja Raymonda rosła.

Dodatkowo jątrzył ranę ewidentny sukces

zawodowy doktora Levitza. To przypominało mu

o jego własnej sytuacji, o tym, jak bezsensownie

zabrano mu licencję lekarską za nadużycia w

Towarzystwie Opieki Zdrowotnej. A tutaj

kwitnący interes doktora Levitza; przynajmniej

część dochodów pochodziła od członków

przestępczych rodzin. Raymond nie miał

wątpliwości, że wszystko, co tu widzi, zostało

kupione za brudne pieniądze. A na dodatek był

pewny, że Levitz także oszukuje swoje

Towarzystwo Opieki Zdrowotnej. Do diabła,

przecież wszyscy tak robią.

W poczekalni pojawiła się pielęgniarka.

Chrząknęła. Raymond z nadzieją przesunął się na krawędź fotela. Pielęgniarka wymieniła jednak inne nazwisko. Kiedy wywołany pacjent wstał, odłożył swój magazyn i zniknął za drzwiami gabinetu, Raymond cofnął się w fotelu i aż w nim zakipiało. Pozostawanie na łasce takich ludzi jeszcze bardziej mobilizowało go do uzyskania niezależności finansowej.

Realizowany obecnie program "duplikatów" bardzo zbliżył go do celu. Nie mógł pozwolić przedsięwzięciu rozpaść się z jakiegoś głupiego, niespodziewanego, łatwego do uniknięcia powodu.

Zegar pokazywał kwadrans po piętnastej, kiedy został wpuszczony do świątyni doktora Levitza.

Był to niski mężczyzna, łysy, z nerwowymi tikami. Nosił wąsiki, ale rzadkie, zdecydowanie niemęskie. Ilekroć Raymond go widział, tyle razy zastanawiał się, co jest takiego w tym człowieku, że budzi u wielu pacjentów zaufanie.

- To jeden z tych trudnych dni - wyjaśnił na wstępie Daniel. - Nie spodziewałem się, że

wpadniesz.

- Ja też tego nie planowałem. Ale skoro nie odpowiadałeś na moje telefony, pomyślałem, że nie mam wyboru.

- Telefony? - zapytał zaskoczony Daniel. - Nie miałem od ciebie żadnych telefonów. Będę musiał jeszcze raz porozmawiać z recepcjonistką. Tak trudno dzisiaj o dobrą pomoc.

Raymond miał wielką ochotę powiedzieć mu, żeby przestał pieprzyć, ale powstrzymał się. W końcu doszło do rozmowy, a rozpoczęcie jej od konfrontacji niczego by nie załatwiło.

Należało też pamiętać, że Levitz może i jest irytujący, ale świetnie rekrutuje pacjentów dla programu. On sam namówił dwanaście osób do podpisania deklaracji. Zrobił tyle, ile czterech innych lekarzy.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał Daniel.

Głowa podskoczyła mu kilkanaście razy w sposób, który zawsze deprimował jego rozmówców.

- Po pierwsze chciałem ci gorąco podziękować za pomoc w załatwieniu problemu. Na samym

szczyście uznano to za niezbędne i skuteczne działanie. Opinia publiczna zniszczyłaby nasze przedsięwzięcie.

- Cieszę się, że mogłem okazać się przydatny i że pan Vincent Dominick zechciał dopomóc w ochronie własnych pieniędzy.

- Skoro mowa o panu Dominicku - podchwycił Raymond. - Wczorajszego ranka złożył mi nieoczekiwaną wizytę.

- Mam nadzieję, że przyjacielską. - Daniel Levitz był tak dobrze zorientowany w karierze Dominicka jak w swojej własnej, więc podejrzenia o wymuszenie nie mogły być zaskoczeniem.

- Tak i nie - odparł Raymond. - Najpierw nalegał, żebym wysłuchał wszystkich szczegółów akcji, których nie miałem ochoty poznawać. Następnie domagał się zwolnienia z honorarium za dwa następne lata.

- Mogło być znacznie gorzej - stwierdził Daniel. - Jakie to ma znaczenie dla mojego udziału?

- Udział pozostaje bez zmian. Tyle tylko, że teraz jest to udział w niczym.

- Więc najpierw pomogłem, a później zostałem

za to ukarany! To nie fair! - zaprotestował

Levitz.

Raymond zamilkł. Nie myślał wcześniej o stracie

Daniela wynikającej z rezygnacji z honorarium

Dominicka, dopiero teraz uświadomił sobie i ten

aspekt sprawy. Raymond nie miał w tej chwili

ochoty denerwować Daniela.

- Źle to widzisz - odparł w końcu. -

Porozmawiamy o tym później. Teraz moją

uwagę zaprzęta co innego. Jak się ma Cindy

Carlson?

Cindy Carlson była córką Albrighta Carlsona,

poważnego finansisty z Wall Street. To Daniel

włączył Albrighta i jego córkę do programu.

Cindy jako dziecko zachorowała na kłębkowe

zapalenie nerek. Choroba pogłębiała się, gdy

dziewczynka zaczęła dorastać, i w końcu jedna z

nerek przestała pracować. Tak oto Daniel stał się

nie tylko rekordzistą, jeśli chodzi o liczbę

zwerbowanych klientów, ale i miał na koncie

rekordowe kontrakty: Carla Franconiego i Cindy

Carlson.

- Dobrze. Przynajmniej ogólnie rzecz biorąc.

Dlaczego pytasz?

- Przypadek Franconiego uzmysłowił mi, jak łatwo zniszczyć całe przedsięwzięcie - wyznał Raymond. - Chcę mieć pewność, że nie grożą nam żadne inne komplikacje.

- O Carlsonów nie musisz się martwić. Oni na pewno nie sprawią nam kłopotów. Nie mogliby być bardziej wdzięczni. Prawdę powiedziawszy, nie dalej jak w zeszłym tygodniu wysłał żonę na Bahamy dla pobrania próbki szpiku kostnego, więc może i ona zostanie naszą klientką.

- To zachęcające. Zawsze możemy przyjąć kolejnych pacjentów. Lecz nie ta strona przedsięwzięcia mnie niepokoi. Z finansowego punktu widzenia trudno oczekiwać lepszej sytuacji. Powodzenie przeszło nasze oczekiwania. Niepokoją mnie wydarzenia niespodziewane, jak to z Franconim.

Daniel skinął i zamrugał nerwowo.

- Zawsze są jakieś niewiadome. Takie jest życie - stwierdził filozoficznie.

- Im mniej niewiadomych, tym lepiej się czuję.

Kiedy zapytałem o stan Cindy Carlson, odparłeś, że jest dobry, przynajmniej ogólnie rzecz biorąc.

Dlaczego?

- No bo psychicznie jest nieco trudna.

- Co masz na myśli? - Puls Raymonda wyraźnie przyspieszył.

- Trudno sobie wyobrazić, żeby dzieciak dorastający przy takim ojcu był całkiem normalny. Weź to pod uwagę. A dodaj jeszcze przewlekłą chorobę. Czy miała ona wpływ na jej otyłość, nie wiem. Dziewczyna ma sporą nadwagę. To by dopiekło każdemu, a nastolatce szczególnie. Biedny dzieciak jest w zrozumiałej depresji.

- Jak głębokiej?

- Wystarczająco głębokiej, aby dwukrotnie próbować samobójstwa. Nie były to szczeniackie próby zwrócenia na siebie uwagi. Miała najbardziej szczerzy zamiar odebrać sobie życie, a to, że ciągle jest wśród nas, zawdzięcza niemal natychmiastowemu odkryciu, bo za pierwszym razem sięgnęła po narkotyki, a za drugim chciała się powiesić. Gdyby miała pod ręką broń, na pewno udałoby jej się.

Raymond ciężko stęknął.

- Co się stało? - zapytał Daniel.

- Wszystkie przypadki samobójcze podlegają z

zasady autopsji.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Levitz.

- Oto i przykład niespodziewanych komplikacji,
o których mówiłem. Cholera! Takie nasze
szczęście!

- Przykro mi, że przynoszę złe wieści -
powiedział Daniel.

- Cóż, to przecież nie twoja wina. Ważne, że
rozpoznaliśmy zagrożenie i teraz nie będziemy
siedzieć z założonymi rękami i czekać na
katastrofę.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiś wybór -
stwierdził doktor Levitz.

- A może znowu Vincent Dominick? -
zapropował Raymond. - Raz nam pomógł, a
jako że jego własne dziecko także jest chore,
powinien być szczerze zainteresowany
zapewnieniem przyszłości naszemu
przedsięwzięciu.

Levitz przyjrzał się wnikliwie Raymondowi.

- Czy ty sugerujesz...?

Nie otrzymał odpowiedzi.

- Stanowczo się temu sprzeciwiam -
zdecydowanie stwierdził Daniel. - Przepraszam,

ale poczekalnię mam pełną pacjentów.

- Nie mógłbyś przynajmniej zadzwonić do pana

Dominicka i spytać? - Raymond poczuł, że

ogarnęła go fala desperacji.

- Zdecydowanie nie. Mogę opiekować się

zdrowiem tych kryminalistów, ale nigdy nie

uznam ich metod działania za swoje.

- Ale z Franconim pomogłeś - napierał

Raymond.

- Franconi był zmrożonym sztywniakiem w

lodówce prosektorium - przypomniał Daniel.

- W takim razie daj mi numer telefonu do

Dominicka. Sam zadzwonię. Potrzebuję też

adresu Carlsonów.

- Zapytaj o to moją recepcjonistkę. Po prostu

powiedz, że jesteś moim przyjacielem.

- Dziękuję.

- Ale pamiętaj - dodał Daniel na pożegnanie -

zasłużyłem na udziały uzgodnione w umowie i

chcę je otrzymać bez względu na twoje

konszachty z Vincentem Dominickiem.

Początkowo recepcjonistka nie była chętna do

udzielania informacji o telefonach i adresach

pacjentów, ale po krótkiej rozmowie z szefem

ustąpiła. Bez słowa napisała na odwrocie karty informacyjnej o godzinach przyjęć doktora Levitza potrzebne informacje i wręczyła notatkę Raymondowi.

Nie tracił czasu i wrócił prosto do mieszkania przy Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy. Kiedy Darlene otworzyła drzwi, zapytała, jak minęło spotkanie z doktorem.

- Nie pytaj - odpowiedział szorstko. Wszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i usiadł za biurkiem. Nerwowo wybrał numer Dominicka.

W wyobraźni widział Cindy Carlson kręcącą się wokół domowej apteczki w poszukiwaniu pigułek nasennych mamy albo po sklepie z narzędziami w nadziei kupienia grubej liny.

- Tak, o co chodzi? - odezwał się głos po drugiej stronie.

- Chciałbym rozmawiać z panem Vincentem Dominickiem - odparł Raymond tonem tak pewnym siebie, na jaki było go w tym momencie stać. Nie mógł ścierpieć, że okoliczności zmusiły go do układania się z ludźmi tego pokroju, lecz nie miał innego wyboru. Siedem lat ciężkiej pracy i osobistego zaangażowania wisiało na

włosku, nie wspominając o jego własnej

przyszłości.

- Kto mówi?

- Doktor Raymond Lyons.

Nastąpiła cisza, po której mężczyzna powiedział:

- Chwilę!

Ku swemu zaskoczeniu usłyszał w tle jedną z sonat Beethovena. Dla Raymonda zabrzmiało to jak oksymoron.

Po minucie usłyszał melodyjny głos Vincenta Dominicka. Raymond potrafił sobie wyobrazić wyćwiczony, wprowadzający w błąd ton, którym posługuje się niczym dobrze ubrany aktor grający samego siebie.

- Jak zdobył pan ten numer, doktorze? - zapytał

Vinnie. Głos brzmiał nonszalancko, lecz przez to jakby jeszcze bardziej przerażająco.

Raymondowi zaschło w gardle. Musiał

odkaszlnąć. - Dostałem od doktora Levitza - wyznał szczerze.

- Co mogę dla pana zrobić, doktorze?

- Pojawił się kolejny problem. - Raymond znowu chrząknął. - Chciałbym się z panem zobaczyć i przedyskutować to.

Nastąpiła przerwa dłuższa niż Raymond mógł spokojnie znieść. Już miał zapytać, czy Vinnie ciągle jeszcze tam jest, lecz gangster odezwał się.

- Kiedy wchodziłem z wami w układ, sądziłem, że nic mi nie będzie zaprzętać głowy. Nie przypuszczałem, że moje życie zacznie się komplikować.

- To są tylko drobne niedogodności.

Najważniejsze, że realizacja projektu przebiega wspaniale.

- Spotkam się z panem w "Restauracji Neapolitańskiej" na Corona Avenue w Elmhurst za pół godziny. Znajdzie ją pan?

- Oczywiście - zapewnił Raymond. - Wezmę taksówkę. Ruszam bez zwłoki.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział Vinnie i odłożył słuchawkę.

Raymond wywrócił do góry nogami górną szufladę biurka w poszukiwaniu mapy Nowego Jorku, która zawierała wszystkie dzielnice. Rozłożył plan na biurku i używając indeksu, zlokalizował Corona Avenue w Elmhurst.

Doszedł do wniosku, że jeżeli korki na Queensborough Bridge nie będą duże, bez

problemu zdąży w pół godziny. Obawiał się

jednak o ruch uliczny, gdyż zbliżała się

szesnasta, początek popołudniowego szczytu.

Wypadł ze swego gabinetu, błyskawicznie

zarzucił płaszcz na ramiona i tłumacząc Darlene,

że nie ma czasu wyjaśniać, dokąd idzie, wyszedł

z mieszkania. Zdążył jeszcze rzucić za siebie, że

wróci mniej więcej za godzinę.

Prawie pobiegł na Park Avenue, gdzie złapał

taksówkę. Pomysł z zabraniem mapy okazał się

zbawienny, gdyż taksówkarz, z pochodzenia

Afgańczyk, nie miał pojęcia, gdzie jest Elmhurst,

a tym bardziej Corona Avenue.

Jazda nie była łatwa. Sam przejazd przez East

Side zabrał prawie kwadrans. A później jazda

przez most okazała się ustawicznym

zatrzymywaniem i ruszaniem. W czasie, kiedy

miał już być w restauracji, jego taksówka dotarła

dopiero do Queens. Na szczęście stąd było już

łatwiej. W efekcie miał piętnaście minut

spóźnienia, kiedy wchodził do restauracji,

odsłaniając ciężką aksamitną kotarę,

odgradzając wejście od sali.

Natychmiast zorientował się, że lokal nie został

otwarty dla gości. Większość krzeseł spoczywała nogami do góry na blatach stolików. Vinnie Dominick siedział przy jednym ze stolików pod ścianą, na narożnikowej kanapie obitej czerwonym pluszem. Przed nim stała filiżanka kawy, na szklanej popielniczce leżało żarzące się cygaro, a w rękach trzymał jakiś magazyn.

Na wysokich stołkach przy barze siedziało czterech mężczyzn i popijało drinki. Dwóch z nich Raymond rozpoznał, to oni towarzyszyli Dominickowi w czasie porannej wizyty. Za kontuarem tęgi, brodaty mężczyzna mył szkło.

Poza tym restauracja była pusta.

Vinnie gestem ręki zaprosił Raymonda do swojego stolika.

- Niech pan siada, doktorze. Kawy?

Raymond skinął, wślizgując się między stół a oparcie kanapy, co ze względu na meszek pluszowego obicia okazało się dość trudne. W sali panowały chłód, wilgoć i zapach czosnku z wczorajszych potraw oraz tanich cygar.

Raymond cieszył się, że nie musi zdejmować płaszcza i kapelusza.

- Dwie kawy! - zawołał Vinnie do grubego

barmana.

Mężczyzna bez słowa podszedł do maszyny i zaczął przygotowywać kawę.

- Zaskakujesz mnie, doktorze - zaczął Vinnie. -

Naprawdę nie spodziewałem się, że jeszcze cię usłyszę.

- Jak powiedziałem przez telefon, mamy inny problem. - Pochylił się do przodu i powiedział to ściszym głosem, niemal szeptem.

- Zamieniani się w słuch - odparł Vinnie.

Tak zwięźle, jak tylko potrafił, Raymond wyjaśnił, na czym polega problem z Cindy Carlson. Nacisk położył na to, że wszystkie samobójstwa z zasady podlegają autopsji. Nie ma od tego wyjątku.

Barman wyszedł zza kontuaru i podał dwie kawy. Vinnie nie przerywał monologu Raymonda, dopóki brodacznik nie znalazł się z powrotem za barem.

- Czy ta Cindy Carlson jest córką Albrighta Carlsona? Legendy Wall Street?

Raymond potwierdził skinieniem.

- Między innymi dlatego sytuacja jest tak poważna. Jeżeli uda jej się popełnić

samobójstwo, bez wątpienia skupi na sobie uwagę mediów. Patolodzy w kostnicy będą szczególnie uważni w swojej robocie.

- Tak, rozumiem, w czym rzecz - powiedział

Vinnie i popił mały łyk kawy. - Dokładnie czego pan oczekuje od nas?

- Nie chciałbym niczego konkretnego sugerować

- odparł zdenerwowany Raymond. - Ale z pewnością rozumie pan, że jest to problem analogiczny do przypadku pana Franconiego.

- Więc chciałby pan, aby ta szesnastolatka zniknęła bez wywoływania kłopotów?

- No cóż, próbowała się sama zabić aż dwa razy - powiedział słabym głosem Raymond. - W pewnym sensie wyświadczylibyśmy jej przysługę.

Vinnie roześmiał się. Sięgnął po cygaro, zaciągnął się i przyglądał dłonią włosy. Były zaczesane do tyłu i przylegały gładko do głowy od samego czoła. Zlustrował Raymonda swymi ciemnymi oczami.

- Niezły z ciebie numer, doktoru - powiedział. - Dam ci kredyt w tej sprawie.

- Może mógłbym ofiarować w zamian zwolnienie

z honorarium za kolejny rok? - zaproponował

Raymond.

- To niezwykle hojne z pańskiej strony. Ale wiesz

pan co, mam już trochę dość tej całej operacji,

więc taka oferta nie wystarczy. Powiem krótko,

gdyby nie chodziło o nerkę dla mojego dzieciaka,

zażądałbym forsy z powrotem i nasze drogi

rozeszłyby się. Widzisz, człowieku, po naszej

pierwszej przysłudze dla ciebie zacząłem

dostrzegać potencjalne zagrożenia. Miałem

telefon od brata mojej żony, który prowadzi

Dom Pogrzebowy Spoleto. Był zdenerwowany,

ponieważ jakaś doktor Laurie Montgomery

dzwoniła do nich i zadawała kłopotliwe pytania.

Powiedz mi, doktorze, znasz tę Laurie

Montgomery?

- Nie, nie znam. - Głośno przełknął ślinę.

- Hej, Angelo, podejdź do nas! - zawołał Vinnie.

Angelo zsunął się z taboretu i podszedł do

stolika.

- Siadaj, Angelo. Chcę, żebyś opowiedział

naszemu dobremu doktorowi o Laurie

Montgomery.

Raymond musiał przesunąć się głębiej pod

ścianę, żeby zrobić nieco miejsca dla Angela.

Poczuł się dość niewyraźnie między dwoma mężczyznami.

- Laurie Montgomery to sprytna i uparta osoba - powiedział Angelo niskim, ochrypłym głosem. -

Mówiąc wprost, to istny wrzód na dupie.

Raymond unikał patrzenia w stronę Angela.

Twarz miał całą w bliznach, oczy kaprawe, przekrwione.

- Angelo miał pecha zetknąć się z panią Laurie

Montgomery kilka lat wcześniej - wyjaśnił

Vinnie. - Angelo, powiedz, czego się dzisiaj

dowiedziałeś po telefonie z Domu Pogrzebowego

Spoletto.

- Rozmawiałem z Vinniem Amendola, naszym informatorem z kostnicy. Powiedział, że Laurie

Montgomery uznała ustalenie, w jaki sposób

zniknęło ciało Franconiego, za swój osobisty

problem. Nie ma chyba potrzeby dodawać, że

chłopak jest poważnie zaniepokojony.

- Rozumiesz, co mam na myśli - odezwał się

znowu Vinnie. - Pojawiło się potencjalne

zagrożenie dla nas, dlatego że wyświadczyliśmy

tobie przysługę.

- Bardzo mi przykro - odparł nieprzekonująco

Raymond. Nie potrafił jednak wymyślić żadnej innej odpowiedzi.

- No i w ten sposób wróciliśmy do tematu honorarium. Wobec zaistniałych warunków uważam, że honorarium powinno zostać w całości umorzone. Innymi słowy, żadnej opłaty za usługę dla mnie i Vinniego juniora teraz ani nigdy.

- Będę musiał poprosić o to szefów korporacji - prawie zapiszczał Raymond. Głośno chrząknął.

- Świetnie. I nie zawracaj mi więcej głowy.

Wyjaśnij im, że to uzasadniony wydatek. Hej, sprawdź to, ale może będziesz mógł odliczyć sobie te pieniądze od podatku jako darowiznę. -

Vinnie roześmiał się serdecznie ze swojego dowcipu.

Raymond wzdrygnął się niedostrzegalnie.

Doskonale wiedział, że został nieuczciwie przymuszony, że nie miał wyboru.

- Okay - wykrztusił.

- Dziękuję. Boże, mam nadzieję, że sprawy w końcu się ułożą. Zostaliśmy swego rodzaju partnerami w interesach. Ufam, że zdobył pan

również adres Cindy Carlson.

Raymond pogrzebał w kieszeni i wyciągnął kartkę z adresem. Vinnie wziął ją, przepisał informację i oddał mu. Podał adres Angelowi.

- Englewood, New Jersey - Angelo przeczytał na głos.

- Czy to problem? - zapytał Vinnie.

Angelo pokręcił przecząco głową.

- W takim razie załatwione - powiedział Vinnie i popatrzył na Raymonda. - Tyle jeśli chodzi o twój ostatni problem. Radziłbym jednak nie przychodzić do mnie z niczym więcej. Wobec naszej umowy w sprawie honorarium nie masz nam do zaoferowania nic wartościowego.

Kilka chwil później Raymond znalazł się na ulicy. Kiedy spoglądał na zegarek, uświadomił sobie, że cały drży. Zbliżała się siedemnasta i zaczął zapadać mrok. Podeszedł do krawężnika i machnął na taksówkę. Co za katastrofa, pomyślał. Jakoś musiał załatwić sprawę zapłaty za Vinniego Dominicka i jego syna.

Taksówka zatrzymała się. Wsiadł i podał domowy adres. Gdy wyszedł z "Restauracji Neapolitańskiej", natychmiast poczuł się lepiej.

Właściwie utrzymywanie dwóch zwierząt nie było zbyt kosztowne, skoro żyły na bezludnej wyspie. Sytuacja nie była więc tak beznadziejna, tym bardziej, że potencjalny problem z Cindy Carlson wyglądał na rozwiązany.

Kiedy otwierał drzwi do mieszkania, nastrój znacznie mu się poprawił.

- Były dwa telefony z Afryki - przywitała go Darlene.

- Kłopoty? - zapytał. W tonie Darlene było coś, co uruchomiło dzwonek alarmowy.

- Dobra wiadomość i zła. Dobra to informacja, że Horace Winchester ma się po operacji znakomicie i że w związku z tym powinieneś zająć się przetransportowaniem jego i zespołu chirurgicznego.

- A zła wiadomość?

- Dzwonił także Siegfried Spallek. Wyrażał się niejasno. Powiedział tylko, że są jakieś problemy z Kevinem Marshalllem.

- Jakiego rodzaju problemy?

- Nie wyjaśnił.

Raymond przypomniał sobie, że prosił Kevina, aby nie robił niczego nie przemyślanego.

Zastanowił się, czy Kevin usłuchał jego rady. Te problemy musiały dotyczyć głupiego dymu, który widział nad wyspą.

- Czy Spallek chciał, żebym jeszcze dziś oddzwonił?

- Kiedy dzwonił, u nich była jedenasta.

Powiedział, że może porozmawiać z tobą jutro.

Raymond stęknął w duchu. Teraz będzie musiał spędzić całą noc, wyobrażając sobie Bóg wie co.

Zastanowił się, kiedy wreszcie skończą się wszystkie jego troski.

ROZDZIAŁ 11

5 marca 1997 roku

godzina 23.30

Cogo, Gwinea Równikowa

Kevin usłyszał odgłos otwieranych ciężkich metalowych drzwi na szczycie schodów, a zaraz potem do pomieszczenia wdarł się strumień światła. Dwie sekundy później zapalił się ciąg żarówek w korytarzu. Przez kraty widział

Melanie i Candace siedzące w swoich celach. Tak jak i on poruszyły się, gdy nagle zapłonęło światło.

Po ciężkich krokach na granitowych schodach

poznali Spalleka. Towarzyszyli mu Cameron

McIvers i Mustapha Aboud, szef ochrony

marokańskiej.

- Najwyższy czas, panie Spallek! - odezwała się

Melanie. - Żądam, aby natychmiast mnie stąd

wypuszczono albo znajdzie się pan w

prawdziwych tarapatach.

Kevin skrzywił się. To nie był dobry sposób na

rozmowę ze Spallekiem w żadnej sytuacji, a w

tych okolicznościach szczególnie.

Kevin, Melanie i Candace zostali zamknięci w

całkiem ciemnych celach dojmująco gorącego,

wilgotnego więzienia znajdującego się w

piwnicach ratusza. Każda cela miała małe,

łukowate okienko wychodzące na tyły budynku.

Okna były okratowane, ale nie oszklone, więc

robactwo bez przeszkód wchodziło do środka.

Cała trójka więźniów z przerażeniem

nasłuchiwała chrzęstu i drapania różnych

stworzeń, tym bardziej że przed wyłączeniem

światła widzieli kilka tarantul. Jedyнным

luksusem była możliwość swobodnego

rozmawiania.

Najgorzej było na początku. Natychmiast gdy

ucichły serie z broni maszynowej, Kevin i obie kobiety zostali oślepieni światłem ręcznych latarek. Kiedy oczy przyzwyczały się, zorientowali się, że wpadli w zasadzkę. Otaczali ich szyderczo uśmiechnięci, młodzi żołnierze gwinejscy, celujący w nich z wyraźną przyjemnością ze swoich AK-47. Kilku było do tego stopnia bezczelnych, że lufami zaczęło trącać kobiety.

Okropnie przerażeni Kevin i jego towarzyszki zastygli w bezruchu. Bali się nieprzytomnie jakiejś zbłąkanej kuli, bali się, że najmniejszy ruch sprowokuje żołnierzy. Dopiero pojawienie się kilku marokańskich ochroniarzy zmusiło niezdyscyplinowanych żołnierzy do odstąpienia od więźniów. Kevin nigdy nie przypuszczał, że ci onieśmielający go Arabowie mogą okazać się ratunkiem. Marokańczycy przejęli aresztantów z rąk żołnierzy. Najpierw samochodem Kevina przewieźli ich do swoich koszar po drugiej stronie centrum weterynaryjnego, gdzie zostali zamknięci na kilka godzin w pokoju bez okien. Wreszcie przetransportowano ich do miasta i zamknięto w starym więzieniu.

- Takie traktowanie jest oburzające -

zaprotestowała Melanie.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Siegfried. -

Zostałem zapewniony przez Mustaphę, że
traktowano was z całym należnym szacunkiem.

- Szacunkiem! - prychnęła Melanie. - Strzelali z
karabinów maszynowych! Trzymają nas w
jakiejś ciemnej norze! To się nazywa szacunek?

- Nikt do was nie strzelał - poprawił ją Siegfried.

- Oddano ledwie kilka strzałów ostrzegawczych, i
to w powietrze. W końcu złamaliście jedno z
podstawowych praw panujących w Strefie. Isla
Francesca jest terenem zakazanym dla nie
upoważnionych. Wszyscy o tym wiedzą.

Siegfried skinął na Camerona, wskazując
Candace. Cameron wielkim kluczem otworzył
cełę pielęgniarki. Candace nie traciła czasu i
natychmiast opuściła więzienie. Dokładnie
otrzepała ubranie, by się upewnić, że nie ma w
nim żadnych owadów. Ciągle miała na sobie
fartuch pielęgniarki.

- Bardzo panią przepraszam - odezwał się do
niej Siegfried. - Domyślam się, że została pani
wprowadzona w błąd przez naszych badaczy.

Być może nawet nie ostrzegli pani o zasadach dotyczących zakazu odwiedzania wyspy.

Cameron otwierał teraz cele Melanie i Kevina.

- Natychmiast, gdy usłyszałem o waszym zatrzymaniu, starałem się dodzwonić do doktora

Lyonsa - powiedział Siegfried. - Chciałem, żeby zaproponował możliwie najlepsze wyjście z tej sytuacji. Jednak wobec nieobecności doktora musiałem wziąć odpowiedzialność na siebie.

Wypuszczam was wszystkich na złożone osobiście zobowiązanie przestrzegania reguł.

Mam nadzieję, że teraz zdajecie sobie sprawę z powagi podjętych przez was działań. Według prawa Gwinei Równikowej takie zachowanie można zakwalifikować jako zdradę stanu.

- Och, bzdury! - rzuciła Melanie.

Kevin aż się skurczył. Bał się, że Melanie rozzłości Siegfrieda i zamkną ich z powrotem w celach. Życzliwość nie należała do zalet szefa Strefy.

Mustapha wręczył Kevinowi kluczyki do samochodu.

- Pański wóz stoi z tyłu - powiedział z wyraźnym francuskim akcentem.

Kevin odebrał klucze. Ręka tak mu drżała, że wywołał tym uśmiechy na twarzach mężczyzn.

Szybko włożył ją do kieszeni.

- Jestem pewien, że z doktorem Lyonsem porozmawiam jutro. Skontaktuję się z wami osobiście. Możecie iść - powiedział Siegfried.

Melanie miała coś powiedzieć, gdy Kevin, niespodziewanie nawet dla siebie samego, chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę schodów.

- Mam dość spacerów pod rękę z mężczyznami - warknęła, jednocześnie próbując uwolnić ramię z uścisku Kevina.

- Podejźmy tylko do wozu - szepnął Kevin chrypliwie, przez zaciśnięte zęby. Siłą prowadził Melanie obok siebie.

- Co za noc - narzekała. U stóp schodów udało jej się wreszcie uwolnić rękę. Poirytowana, ale bez dalszego oporu, ruszyła w górę. Kevin poczekał, aż wyprzedzi go Candace i poszedł za paniami na parter budynku ratusza. Weszli do sali zajmowanej przez żołnierzy gwinejskich, stojących zazwyczaj na zewnątrz budynku. Teraz w pomieszczeniu było ich czterech.

W obecności dyrektora placówki, szefa bezpieczeństwa oraz dowódcy Marokańczyków żołnierze zachowywali się znacznie powściągliwiej niż zwykle. Cała czwórka stała w postawie, którą najwidoczniej uznawali za postawę "na baczność", z bronią na ramionach. Kiedy pojawiły się obie kobiety i Kevin, na twarzach Gwinejczyków pojawiło się wyraźne zaskoczenie.

Gdy Kevin wypychał panie przez drzwi na parking, Melanie odwróciła się i pokazała im palec.

- Proszę, Melanie! Nie prowokuj ich! - odezwał się Kevin błagalnym głosem.

Nie wiadomo, czy żołnierze nie zrozumieli gestu kobiety, czy też byli onieśmieleni niezwykłymi okolicznościami. Jakikolwiek był powód, nie wyszli za nimi, czego obawiał się Kevin.

Podeszli do samochodu. Kevin otworzył drzwi dla pasażerów. Candace wsiadła pośpiesznie, lecz Melanie odwróciła się w stronę Kevina. Jej oczy błyszczały w bladym świetle.

- Daj kluczyki - zażądała.

- Co? - zapytał Kevin, choć doskonale zrozumiał,

co powiedziała.

- Powiedziałam, żebyś dał mi kluczyki -

powtórzyła.

Skonfundowany nieoczekiwanym żądaniem, ale równocześnie nie mając najmniejszej ochoty na podgrzewanie nastroju, wręczył jej kluczyki.

Melanie natychmiast obeszła samochód i usiadła za kierownicą. Kevin usiadł obok niej. Prawdę mówiąc, nie dbał o to, kto prowadzi, byleby tylko szybko znaleźć się jak najdalej stąd. Melanie przekręciła kluczyk w stacyjce, dodała ostro gazu, aż zapiszczały opony, i szybko wyjechała z parkingu.

- Jezu, Melanie! Zwolnij! - jęknął Kevin.

- Jestem wściekła - odpowiedziała.

- Jak gdybym nie widział.

- Jeszcze nie wracam do domu. Ale was mogę podwieźć do domu, jeśli chcecie.

- A dokąd ty się jeszcze wybierasz? Przecież już prawie północ - przypomniał Kevin.

- Jadę do centrum weterynaryjnego. Nie zamierzam akceptować takiego traktowania bez wyjaśnienia, o co w tym wszystkim chodzi.

- A co się znajduje w centrum? - zapytał.

- Klucz do tego cholernego mostu -

odpowiedziała. - Muszę go zdobyć, ponieważ sprawy wykraczają już poza zwykłą ciekawość.

- Może powinniśmy się zatrzymać i porozmawiać o tym - zasugerował Kevin.

Melanie wcisnęła hamulec. Kevin i Candace gwałtownie pochyłili się do przodu i równie gwałtownie wrócili do poprzednich pozycji.

- Jadę do centrum weterynaryjnego. Wy możecie jechać ze mną albo podrzucę was do domu.

Wolny wybór.

- Dlaczego dzisiaj? - zapytał Kevin.

- Dlatego, że właśnie w tej chwili jestem naprawdę wściekła, a po drugie, dlatego, że teraz się nie spodziewają. Oczywiście sądzą, że szybko pojedziemy do domu i schowamy się w pościeli.

Dlatego byliśmy tak źle traktowani. Ale coś wam powiem, to nie w moim stylu.

- Ale w moim - odparł Kevin.

- Zdaje mi się, że Melanie ma rację - odezwała się pierwszy raz Candace. - Nie mam

wątpliwości, że próbowali nas przestraszyć.

- I wykonali swoją robotę cholernie dobrze -

stwierdził z rozbrajającą szczerością Kevin. - A

może jestem w tym zespole jedynym

człowiekiem przy zdrowych zmysłach?

- Zróbmy to - zdecydowała Candace.

- Och nie! - niemal zaskamlał Kevin. - Na mnie nie liczcie.

- Podrzucimy cię do domu - zaoferowała się Melanie. - To nie problem. - Zaczęła zawracać.

Kevin wyciągnął dłoń i powstrzymał rękę

Melanie.

- W jaki sposób zamierzasz zdobyć klucz? Nawet nie wiesz, gdzie jest.

- To całkiem jasne, że muszą się znajdować w biurze Bertrama. Przecież on jest szefem

zespołu, który opiekuje się bonobo

wprowadzonymi do programu. Poza tym sam

mówiłeś, że on je ma.

- No dobra, są w biurze Bertrama. Ale co z ochroną? Biura są pozamykane.

Melanie sięgnęła do górnej kieszeni fartucha,

który ciągle miała na sobie, i wyjęła z niej kartę magnetyczną.

- Zapomniałeś, że należę do kierownictwa centrum weterynaryjnego. To nie jest VISA. Tym kawałkiem plastyku mogę o każdej porze

otworzyć każde drzwi w centrum. Pamiętaj, że moja praca w ramach projektu z bonobo tylko w części dotyczy kwestii zapłodnienia.

Kevin odwrócił się i popatrzył na Candace. Jej blond włosy wydawały się świecić w słabym świetle wnętrza samochodu.

- Jeśli ty, Candace, wchodzisz do gry, to chyba i ja się dołączę - stwierdził.

- Jazda! - krótko odparła dziewczyna.

Melanie wcisnęła gaz i ruszyła drogą na północ, mijając warsztaty i garaże. W warsztatach pracowała pełną parą, potężne reflektory oświetlały cały teren. Odkąd nasilił się transport ciężarowy między Bata i Strefą, nocne zmiany w warsztatach były znacznie większe niż dzienne czy wieczorne.

Melanie minęła wiele traktorów z przyczepami, aż przejechała skrzyżowanie z drogą do Bata. Od tego miejsca do samego centrum nie zauważyli ani jednego pojazdu.

W centrum, jak w warsztatach, pracowano na trzy zmiany, z tą różnicą, że tu zmiana nocna była najmniej liczna. Większość pracowników znajdowała się teraz w szpitalu weterynaryjnym.

Melanie wykorzystała ten fakt i zajęła toyotą

Kevina przed drzwi szpitala, aby ukryć

samochód wśród innych stojących tam wozów.

Wyłączyła silnik i popatrzyła na wejście do

szpitala. Bębniła lekko palcami w kierownicę.

- No? - odezwał się Kevin. - Jesteśmy na

miejscu. Jaki mamy plan?

- Myślę. Nie mogę się zdecydować, co jest lepsze:

czy powinniście tu poczekać, czy pójść ze mną.

- To wielki gmach - stwierdziła Candace.

Pochyliła się do przodu i oglądała ogromny

budynek stojący przed nimi. Od ulicy, którą

podjechali, pawilon ciągnął się aż do ściany

dżungli, w której niknął. - Tyle razy byłam w

Cogo, ale tu nigdy nie zajrzałam. Nie miałam

pojęcia, że to takie rozległe. Czy to, co mamy

przed sobą, to szpital?

- Tak. Całe to skrzydło - potwierdziła Melanie.

- Chętnie bym obejrzała. Nigdy nie byłam w

szpitalu dla zwierząt, tym bardziej takim

wspaniałym.

- Jest supernowoczesny. Powinnaś zobaczyć sale

operacyjne - powiedziała Melanie.

- O mój Boże - westchnął Kevin i wywrócił

oczami. - Znalazłem się w szponach obłądu.

Właśnie przeżyliśmy najbardziej wyczerpujące doświadczenia naszego życia, a wy planujecie ruszać na dalszą wycieczkę.

- To nie ma być wycieczka - stwierdziła Melanie, wychodząc z samochodu. - Chodź Candace.

Twoja pomoc z pewnością się przyda. Ty, Kevin, możesz tutaj na nas poczekać.

- Tak będzie najlepiej - odparł, ale tylko przez kilka chwil mógł spokojnie przypatrywać się obu kobietom zmierzającym w stronę wejścia. Potem także wysiadł i ruszył za nimi. Zdecydował, że niepokój oczekiwania będzie gorszy niż to, co może go spotkać w środku.

- Poczekajcie! - zawołał i nawet podbiegł kilka kroków, żeby się z nimi zrównać.

- Tylko nie chcę wysłuchiwać żadnych narzekań

- ostrzegła go Melanie.

- Nie bój się. - Poczul się jak nastolatek, któremu matka natarła uszu.

- Nie przewiduję żadnych kłopotów. Biuro

Bertrama Edwardsa znajduje się w części

administracyjnej budynku, która o tej porze jest

pusta. Ale żeby mieć pewność, że nie wzbudzimy

żadnych podejrzeń, gdy znajdziemy się w środku, natychmiast idziemy do szatni. Macie się przebrać w fartuchy centrum. Jasne? To nie jest pora na składanie wizyt, więc lepiej wyglądać na pracowników.

- Według mnie brzmi to bardzo rozsądnie - zgodziła się Candace.

- W porządku - powiedział Bertram do słuchawki. Kątem oka dostrzegł podświetlaną tarczę budzika. Był kwadrans po północy. - Będę w twoim biurze za pięć minut.

Zwiesił nogi za krawędź łóżka, usiadł i rozchylił moskitierę.

- Jakieś problemy? - zapytała Trish, jego żona. Podniosła się i wsparła na łokciu.

- Jedyne drobna niedogodność. Spij spokojnie! Wrócę mniej więcej za pół godziny. - Zamknął drzwi sypialni i dopiero teraz włączył światło w pokoiku obok, pełniącym rolę szafy i przebieralni zarazem. Szybko się ubrał. Chociaż wobec Trish zlekceważył problem, odczuwał rosnące zaniepokojenie. Nie miał pojęcia, co się działo, ale czuł, że zbierają się ciemne chmury. Siegfried nigdy jeszcze nie dzwonił do niego o

północy z prośbą o natychmiastowe spotkanie w jego biurze.

Na dworze było prawie tak jasno jak w dzień. To za sprawą wschodzącego księżyca w pełni. Niebo powoli zakrywały srebrzystoróżowe cumulusy.

Nocne powietrze było ciężkie, wilgotne i całkowicie nieruchome. Odgłosy dżungli zamieniły się w jednostajną kakofonię bzyczenia, ćwierkania, szczebiotu przerywaną od czasu do czasu krótkim wrzaskiem. Bertram przez lata tak się z tym oswoił, że przestał zwracać uwagę na głosy natury.

Chociaż odległość do ratusza nie przekraczała pięciuset metrów, Bertram wsiadł do samochodu. Tak było szybciej, a z każdą minutą jego ciekawość rosła. Kiedy wjechał na parking, natychmiast się zorientował, że zwykle ospali żołnierze są dziwnie pobudzeni, chodzą wokół posterunków, trzymając broń w pogotowiu.

Spoglądali na niego nerwowo, gdy wysiadał. Podchodząc do budynku, Bertram zauważył słabe światło migające zza zamkniętych okiennic biura Siegfreda na piętrze. Wszedł po schodach, przeszedł przez pokój zajmowany normalnie

przez Auriela i wszedł do biura Siegfrieda.

Spallek siedział za biurkiem z nogami opartymi na krawędzi blatu. W zdrowej ręce trzymał kieliszek brandy. Taki sam kieliszek trzymał siedzący na trzciniowym krześle Cameron McIvers, szef ochrony. Jedyne oświetlenie pokoju stanowiła świeczka umocowana w czaszce. Przyćmione światło drgającego płomienia pograżało część biura w głębokim cieniu, wywołując przy tym wrażenie, jakby myśliwskie trofea ożywały.

- Dziękuję za przyjsście o tak niedogodnej porze -

Siegfried Spallek przywitał Bertrama swym szorstkim, niemieckim akcentem. - Łyczek brandy?

- Będę go potrzebował? - zapytał Bertram, siadając na drugim trzciniowym krześle.

Siegfried roześmiał się.

- Zaszkozić nie może.

Cameron nalał drinka. Szef ochrony był muskularnym mężczyzną z gęstą brodą i bulwiastym, czerwonym nosem. Miał silne skłonności do alkoholu wszelkiego rodzaju, chociaż szkocka brandy była ze zrozumiałych

względom ulubionym napitkiem. Podlał

koniakówkę Bertramowi i wrócił na swoje

miejsce i do swojego kieliszka.

- Normalnie, kiedy jestem wzywany

telefonicznie w środku nocy, chodzi o

natychmiastową pomoc medyczną dla zwierząt -

powiedział Bertram. Spróbował brandy i

głęboko odetchnął. - Tym razem jednak mam

wrażenie, że chodzi o coś całkiem innego.

- W rzeczy samej - potwierdził Siegfried. -

Przede wszystkim muszę cię pochwalić. Twoje

dzisiejsze ostrzeżenie co do Kevina Marshalla

okazało się trafne i w samą porę. Poprosiłem

Camera, żeby Marokańczycy mieli na niego

oko. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

Wieczorem on, Melanie Becket i jedna z

pielęgniarek, które przyjeżdżają z pacjentami,

pojechali na plażę łączącą ląd z Isla Francesca.

- O do cholery! - zaklął Bertram. - Dostali się na

wyspę?

- Nie. Jedynie próbowali kombinować coś z

tratwą. Po drodze zatrzymali się jeszcze w

wiosce i rozmawiali z Alphonse'em Kimbą.

- To mnie już naprawdę wkurza! - wykrzyknął

Bertram. - Nie ścierpię, żeby ktokolwiek zbliżał się do wyspy, i nie życzę sobie żadnych rozmów z tym Pigmejem.

- Ani ja - przytaknął Siegfried.

- Gdzie są teraz? - zapytał Bertram.

- Puściliśmy ich do domu. Ale przedtem porządnie nastraszyliśmy. Nie sądzę, aby chciało im się robić coś podobnego drugi raz, przynajmniej na razie.

- To nie jest sytuacja, której życzyłbym sobie najbardziej! - Bertram wyraził swe niezadowolenie. - Nie dość, że muszę się martwić o bonobo żyjące w dwóch grupach, to na dodatek oni.

- Oni są znacznie gorsi niż małpy podzielone na dwie grupy - stwierdził Siegfried.

- Obie sprawy są niebezpieczne. Obie mogą potencjalnie zagrozić realizacji programu, a niewykluczone, że przerwać go całkowicie.

Sądzę, że mój pomysł z umieszczeniem wszystkich zwierząt w klatkach w centrum weterynaryjnym powinien zostać poważnie rozpatrzony. Mam odpowiednie klatki. Trudne by to nie było, a poza tym nie byłoby kłopotu z

odławianiem potrzebnych osobników.

Od pierwszej chwili, kiedy Bertram zorientował się, że bonobo żyją w dwóch oddzielnych grupach, myślał, że najlepiej będzie zebrać zwierzęta i umieścić je w oddzielnych klatkach, gdzie łatwiej poddawałyby się obserwacji.

Spotkał się jednak z twardym sprzeciwem Siegfrieda. Wówczas Bertram rozważał nawet możliwość skontaktowania się za plecami

Siegfrieda z szefem w Cambridge, w Massachusetts, lecz ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Robiąc tak, mógł nieopatrznie wśród szefostwa GenSys wzbudzić obawy o bezpieczną realizację programu z bonobo.

- Nie dyskutujemy tej kwestii! - odparł dobitnie Siegfried. - Jeszcze nie zrezygnowaliśmy z utrzymywania ich w odosobnieniu na wyspie.

Zdecydujemy inaczej, jeżeli okaże się, że tak będzie najlepiej. Ciągle się nad tym zastanawiam. Jednak w związku z tym epizodem z Kevinem Marshalllem, martwi mnie most.

- Dlaczego? Jest zamknięty - zdziwił się Bertram.

- Gdzie są klucze?

- W moim biurze.

- Powinny być tutaj, w głównym sejfie.

Większość twojego personelu ma dostęp do biura, w tym także Melanie Becket.

- Może masz rację - zgodził się Bertram.

- Cieszę się, że podzielasz moje zdanie. W takim razie chciałbym, żebyś je wziął. Ile ich jest?

- Dokładnie nie pamiętam. Cztery czy pięć.

- Chcę je tu mieć - powiedział Siegfried.

- Dobra - zgodził się Bertram. - Nie widzę problemu.

- Doskonale - odpowiedział Siegfried i spuścił nogi z biurka. Wstał. - Chodźmy. Pojadę z tobą.

- Chcesz jechać teraz? - zapytał z niedowierzaniem Bertram.

- Po co odkładać do jutra coś, co można zrobić dziś? - odpowiedział pytaniem Siegfried. - Czy to nie wy, Amerykanie, często powtarzacie to powiedzenie? Wiem, że jeśli zabezpieczymy klucze, lepiej będzie mi się spało w nocy.

- Chcesz, żebym także jechał z wami? - zapytał Cameron.

- Niekoniecznie. Jestem pewny, że sami doskonale sobie poradzimy.

Kevin spoglądał na własne odbicie w dużym lustrze wiszącym na końcu szeregu szafek w męskiej przebieralni.

Kłopot z przebraniem polegał na tym, że małe ubranie było zbyt małe, a średnie nieco za duże.

Musiał podwinąć rękawy i wywinąć mankiety przy nogawkach.

- Co ty na miłość boską tu robisz tak długo? -

zapytała Melanie, uchylając drzwi do męskiej szatni.

- Już idę - odparł Kevin. Zamknął szafkę, w której zostawił swoje ubranie, i szybko wyszedł na korytarz.

- A mi się wydawało, że to kobiety tracą mnóstwo czasu na przebieranie - rzuciła Melanie.

- Nie mogłem zdecydować, jaki rozmiar będzie najlepszy.

- Czy wchodził ktoś, kiedy byłeś w szatni? - zapytała.

- Ani żywej duszy - odparł.

- To dobrze. U nas też nikogo. Chodźmy!

Melanie skinęła ręką, aby poszli za nią na piętro.

- Żeby dostać się stąd do administracji, musimy

przejść przez jeden z oddziałów szpitala weterynaryjnego. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ominiemy główną część z izbą przyjęć nagłych wypadków i posterunkiem ochrony. Tam jest zawsze spory ruch. Pójdziemy więc na piętro i przejdziemy przez oddział zapłodnień. Gdyby ktoś pytał, będę mogła powiedzieć, że sprawdzam, co z moimi pacjentami.

- Uspokójmy się - powiedziała Candace.

Przeszli korytarz na parterze i weszli na piętro.

Wychodząc na główny korytarz, spotkali pierwszego pracownika centrum weterynaryjnego. Nawet jeżeli mężczyzna uznał, że obecność Kevina i Candace w tym miejscu w środku nocy była czymś nienormalnym, nie dał po sobie tego poznać. Minął ich z lekkim skinieniem.

- To było proste - powiedziała Candace.

- To dzięki ubraniom - stwierdziła Melanie.

Skręcili w lewo, przeszli przez duże, podwójne drzwi i znaleźli się w jasno oświetlonym, wąskim korytarzu z licznymi, nie opisanymi drzwiami.

Melanie uchyliła jedno z nich i wsunęła głowę do środka. Po chwili po cichu zamknęła drzwi.

- To jeden z moich pacjentów. Gorylica, która jest niemal gotowa do pobrania komórki jajowej. Stają się dość wrzaskliwe, kiedy osiągają poziom hormonów niezbędny dla nas, ale teraz śpi zdrowo.

- Mogę popatrzeć? - zapytała Candace.

- Tak sądzę. Ale bądź cicho i nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów.

Candace przytaknęła. Melanie otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. Candace wsunęła się za nią. Kevin został przy drzwiach i trzymał je otwarte.

- Czy nie powinniśmy raczej zrobić tego, po co tu przyszliśmy? - zapytał szeptem.

Melanie przyłożyła palec do ust.

W sali stały cztery duże klatki, ale tylko jedna była zajęta. Na posłaniu ze słomy spał duży goryl. Oświetlenie z lampy pod sufitem było tak przyćmione, że panował półmrok.

Candace, chcąc lepiej widzieć, pochyliła się do przodu i delikatnie dotknęła prętów klatki.

Nigdy przedtem nie była tak blisko goryla.

Gdyby nachyliła się jeszcze bardziej, mogłaby dotknąć potężnego zwierzęcia.

Z szybkością, o którą trudno byłoby ją podejrzewać, obudzona gorylica przyskoczyła do prętów. W następnej sekundzie uderzyła pięściami w podłogę niczym w bęben i wrzasnęła.

Candace w odpowiedzi także krzyknęła ze strachu i błyskawicznie oderwała się od klatki.

Melanie złapała ją.

- W porządku - uspokoiła koleżankę.

Małpa po raz drugi zbliżyła się do prętów.

Zamachnęła się łapą pełną ekskrementów i rzuciła zawartością w ścianę.

Melanie wyprowadziła Candace z sali, a Kevin zamknął drzwi.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Melanie do Candace. Jasna cera dziewczyny była bledsza niż zwykle. - Dobrze się czujesz?

- Chyba tak - odpowiedziała zapytana. Obejrzała swoje ubranie.

- Lekkie napięcie przedmiesiączkowe - stwierdziła Melanie. - Mam nadzieję, że nie trafiła w ciebie, co?

- Zdaje się, że nie. - Candace sprawdziła włosy, przeczesując je palcami.

- Weźmy już klucze - przynaglał Kevin. - Kusimy los.

Przeszli przez cały oddział zapłodnień in vitro, minęli kolejne drzwi wahadłowe i weszli do sporych rozmiarów sali, podzielonej na boksy. W każdym znajdowało się kilka klatek. Prawie wszystkie były zajęte przez młode zwierzęta różnych gatunków.

- To oddział pediatryczny - szepnęła Melanie. - Zachowujcie się po prostu normalnie.

Pracowało tu czworo ludzi. Ubrani byli w chirurgiczne fartuchy, na szyjach zawieszzone mieli stetoskopy. Sprawiali wrażenie przyjaźnie nastawionych, ale zapracowanych i pochłoniętych swoimi zajęciami, cała trójka mogła więc przejść spokojnie, wymieniając jedynie kilka zdawkowych uśmiechów i skinień głową.

Po minięciu następnych drzwi wahadłowych i krótkiego korytarza dotarli do ciężkich, zamkniętych drzwi ognioodpornych. Do ich otwarcia Melanie musiała użyć karty magnetycznej.

- No i jesteśmy! - szepnęła, kiedy drzwi

zamknęły się za nimi po cichu. Po krzątaniu,
której świadkami byli przed chwilą, cisza i
ciemność, jakie ich otoczyły, były niemal
absolutne. - Oto dział administracyjny. Klatka
schodowa jest przed nami po lewej stronie.

Trzymajcie się mnie.

W ciemności zapanowało lekkie zamieszanie,
zanim Candace położyła swoją dłoń na ramieniu
Melanie, a Kevin swoją na ramieniu Candace.

- Idziemy! - zdecydowała Melanie.

Ostrożnie ruszyła przed siebie korytarzem,
wolną ręką wodząc po ścianie. Pozostali poszli za
przewodniczką. Stopniowo oczy przyzwyczajały
się do ciemności i w chwili, kiedy dotarli do
drzwi prowadzących na klatkę schodową,
dostrzegli blade smużki światła przenikające
przez szpary.

Na schodach było względnie jasno. Na każdym
piętrze przez duże okno wpadało światło
księżycy.

Dzięki oszklonym drzwiom wejściowym
przejście przez hol na parterze było o wiele
łatwiejsze niż przez korytarz na piętrze.

Melanie podprowadziła ich pod biuro Bertrama.

- Czas na próbę ogniową - powiedziała i spróbowała otworzyć zamek swoją kartą magnetyczną.

Usłyszeli natychmiastowe, jednoznaczne kliknięcie. Drzwi stały otworem.

- Bez problemów - stwierdziła z buńczucznym optymizmem.

Weszli do środka i znowu ogarnęła ich ciemność. Jedynie blady blask księżyca oświetlał sąsiednie pomieszczenie, do którego drzwi były otwarte na oścież.

- Co teraz? - zapytał Kevin. - W takich ciemnościach niczego nie znajdziemy.

- Racja - przytaknęła Melanie. Przesunęła się ku ścianie, żeby znaleźć włącznik światła. Gdy tylko dotknęła go palcem, w pokoju zrobiło się jasno.

Przez chwilę mrugali szybko powiekami.

- No i nastąpiła przerażająca jasność - powiedziała Melanie.

- Mam nadzieję, że nie obudzi to Marokańczyków mieszkających po przeciwnej stronie ulicy - odezwał się z obawą Kevin.

- Nawet nie żartuj na ten temat - odparła Melanie. Weszła do drugiego pomieszczenia i tu

także zapaliła światło.

Kevin z Candace dołączyli do niej. Znaleźli się w biurze Bertrama.

- Powinniśmy postępować metodycznie -

powiedziała Melanie. - Ja zajmę się biurkiem.

Candace, ty sprawdź w szufladach z dokumentami, a Kevin... może byś wrócił do tamtego pokoju i miał oko na korytarz. Dasz znać, gdyby ktoś się pojawił.

- Świetny pomysł - odparł.

Przy warsztatach Siegfried skręcił w lewo i przyspieszył na drodze prowadzącej do centrum weterynaryjnego. Jechali jego nową toyotą landcruiser. Samochód odpowiednio przerobiono, tak że mógł prowadzić jedną ręką.

- Czy Cameron podejrzewa, dlaczego jesteśmy tak wyczuleni na bezpieczeństwo Isla Francesca?

- zapytał Bertram.

- Nie, zupełnie nie - odparł Siegfried.

- A pytał?

- Nie, to nie ten typ człowieka. Wykonuje rozkazy. Nie pyta, po co.

- A może mu powiedzieć i zaproponować mały udział? Mógłby okazać się wielce pożyteczny -

zapropował Bertram.

- Z mojej części nie zamierzam rezygnować! -

stwierdził Siegfried. - Nawet mi tego nie proponuj. Poza tym Cameron i bez tego jest użyteczny. Zrobi wszystko, co mu każę.

- Najbardziej niepokoi mnie w tej historii z Kevinem Marshalllem to, że mógł coś nagadać kobietom. Nie chciałbym, żeby i one zaczęły roztrząsać ten problem. Jeżeli to się wydostanie na zewnątrz, tylko patrzeć, jak zlecą się tu nieproszone chmary obrońców praw zwierząt. GenSys zamknie cały program, zanim zdążysz mrugnąć.

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? -

zapytał Siegfried. - Mogę zaaranżować zniknięcie całej trójki.

Bertram spojrzał na Siegfrieda i poczuł, jak dreszcz przechodzi mu po plecach. Wiedział, że ten człowiek nie żartuje.

- Nie, to by było jeszcze gorsze. - Patrzył przed siebie na drogę. - Przyjechaliby z kraju i rozpoczęli dochodzenie. Powtarzam ci, myślę, że powinniśmy szybko wziąć bonobo z wyspy, pozamykać je w klatkach, które mam u siebie, i

tam je trzymać. Pewne jak śmierć, że w centrum
weterynaryjnym nie będą używać ognia.

- Do cholery z tym, nie! - sapnął Siegfried. -

Zwierzaki zostaną na wyspie. Jeśli je tu
sprowadzisz, nie uda się niczego utrzymać w
tajemnicy. Nawet jeżeli nie używają ognia, to po
kłopotach, jakie mieliśmy podczas ostatniego
odłowu, wiemy, że to małe, chytre sukinsyny.

Poza tym mogą zacząć robić coś równie
niesamowitego. Pracownicy zaczną gadać.

Znajdziemy się w jeszcze większych kłopotach.

Bertram westchnął i zdenerwowany przeczesał
siwe włosy drżącą dłonią. Niechętnie musiał
przyznać sam przed sobą, że w tym, co mówił
Siegfried, było sporo racji. Mimo wszystko nadal
uważał, że zwierzęta należy przenieść i trzymać
odizolowane jedno od drugiego.

- Jutro porozmawiam z Raymondem Lyonsem.

Próbowałem połączyć się z nim wcześniej.

Uznałem, że skoro przedtem rozmawiał z nim
Kevin Marshall, to i my możemy zapoznać się z
jego opinią. Koniec końców, cała operacja jest
jego dziełem. Chce umknąć trudności nie mniej
niż my.

- Prawda - przyznał Bertram.

- Powiedz mi, jeśli to prawda, że małpy używają ognia, jak to robią? Ciągłe sądzisz, że pochodzi on z pioruna?

- Nie jestem pewien. Mógłby pochodzić od uderzenia pioruna. Ale z drugiej strony udało im się ukraść skrzynkę z narzędziami, linę i inne przedmioty, kiedy na wyspie przebywała ekipa budująca most. Nikt nawet nie pomyślał o możliwości kradzieży. W skrzynce nie było niczego niebezpiecznego. W każdym razie zapalki też mogły jakoś zdobyć. Oczywiście nie mam zielonego pojęcia, jak mogłyby się nauczyć z nich korzystać.

- Właśnie coś mi podpowiedziałeś. Może opowiemy Kevinowi i tym babkom, że na wyspie w zeszłym tygodniu była ekipa sprawdzająca jakieś urządzenia i dowiedzieliśmy się, że to właśnie oni rozniecili ogień.

- Psiakrew, dobry pomysł! - pochwalił Bertram. - To ma sens. Może rozważaliśmy nawet przerzucenie mostu nad Rio Diviso.

- Czemu, u diabła, wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? - zapytał sam siebie Siegfried. -

To takie oczywiste.

Światła samochodu oświetliły pierwsze

zabudowania centrum weterynaryjnego.

- Gdzie mam zaparkować? - zapytał Siegfried.

- Podjedź od frontu. Możesz poczekać w wozie.

Za sekundę wracam.

Siegfried zdjął nogę z gazu i zaczął hamować.

- O do diabła! - zawołał Bertram.

- Co się stało?

- W moim gabinecie pali się światło.

- To wygląda obiecująco - powiedziała Candace,

wyciągając z górnej szuflady sporych rozmiarów

teczkę. Była granatowa, zamknięta elastyczną

taśmą, a w górnym prawym rogu widniał napis:

ISLA FRANCESCA.

Melanie zostawiła szufladę w biurku, którą

właśnie przeszukiwała, i podeszła do Candace. Z

drugiego pokoju wszedł nawet Kevin i także się

zbliżył.

Candace otworzyła teczkę i wysypała zawartość

na stolik przy biblioteczce. Znaleźli

elektroniczne diagramy, wydruki komputerowe i

wiele map. Była także duża, pękata, szara

koperta z napisem MOST STEVENSON.

- Jesteśmy w domu - powiedziała zadowolona

Candace. Otworzyła kopertę, włożyła rękę i wyciągnęła pięć identycznie wyglądających kluczy spiętych jednym kółkiem.

- Voila - stwierdziła Melanie. Wzięła kółko i zaczęła odłączać jeden z kluczy.

Kevin przeglądał mapy; największą uwagę przyciągnęła mapa konturowa z wieloma szczegółowo oznaczonymi detalami. Częściowo ją rozwinął, gdy kątem oka dostrzegł przez żaluzje blask reflektorów samochodowych.

Podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

- Rany! - jęknął. - To samochód Siegfrieda.

- Szybko! - zakomenderowała Melanie. -

Wkładamy wszystko z powrotem do szuflady.

Melanie i Candace w pośpiechu wrzuciły wszystko do teczki, tę włożyły na miejsce do szuflady i zamknęły ją. W tej samej chwili usłyszały odgłos gwałtownie otwieranych drzwi frontowych.

- Tędy! - szepnęła przestraszona Melanie i wskazała na drzwi za biurkiem. Błyskawicznie opuścili gabinet. Kiedy Kevin zamykał za sobą

drzwi, usłyszał pchnięte zdecydowanym ruchem drzwi do pierwszego pomieszczenia.

Weszli do jednego z gabinetów lekarskich Bertrama. Wyłożony był białymi kafelkami, a na środku stał stalowy stół do badań. Tak jak w biurze Bertrama tu także okno zasłonięte było żaluzjami. Wpadało przez nie akurat tyle światła, że mogli bezpiecznie przesuwając się powoli w stronę drzwi prowadzących na korytarz.

Niestety, Kevin niechcący potrącił nogą metalowe wiadro stojące przy stole. Wiadro uderzyło o nogę stołu. W panującej dookoła ciszy odgłos zabrzmiał jak gong w wesołym miasteczku. Melanie zareagowała na hałas szybkim otwarciem drzwi na korytarz i ucieczką w stronę klatki schodowej. Candace biegła za nią. Kevin, wybiegając z gabinetu, usłyszał jeszcze otwierane z trzaskiem drzwi biura Bertrama. Nie miał pojęcia, czy został rozpoznany, czy nie.

Melanie biegła po schodach tak szybko, jak tylko pozwalało na to blade światło księżyca. Za sobą słyszała Candace i Kevina. Na końcu schodów zwolniła i po omacku skierowała się do drzwi.

Otworzyła je, chociaż zabrało to nieco czasu.

Usłyszała nad głową trzask otwieranych drzwi na klatkę schodową i zaraz potem tupot nóg na metalowych stopniach.

U podstawy schodów znowu znaleźli się w całkowitych ciemnościach. Jedyne zarys blado świecącego prostokąta w pewnej odległości stał się drogowskazem. Trzymając się jedno drugiego, ruszyli w tę stronę. Dopiero kiedy podeszli zupełnie blisko, zorientowali się, że stoją przed drzwiami ewakuacyjnymi, a świeci ich obramowanie, aby w razie potrzeby ułatwić dotarcie do nich. Melanie musiała je otworzyć kartą.

Za wyjściem ewakuacyjnym znaleźli jasno oświetlony korytarz. Ruszyli biegiem. Melanie ostro zahamowała w połowie drogi i pchnęła przyjaciół w bok do wąskiego przejścia.

Otworzyła drzwi oznaczone napisem
PATOLOGIA.

- Do środka - zakomenderowała. Bez słowa zastosowali się do polecenia.

Melanie zamknęła za sobą drzwi, blokując je dodatkowo zasuwą. Stali w przedsionku, z

którego wchodziło się do dwóch sal autopsyjnych. Było tu kilka umywalek, biurka i ogromne, hermetyczne drzwi prowadzące do chłodni.

- Po co tu wchodziliśmy? - zapytał Kevin głosem, w którym brzmiała panika. - Teraz jesteśmy w pułapce.

- Nie całkiem - odpowiedziała zadyszana Melanie. - Tędy. - Skinęła ręką, żeby poszli za nią za róg. Ku swemu zaskoczeniu Kevin zobaczył windę. Melanie wcisnęła przycisk i w odpowiedzi usłyszeli zgrzyt ruszającej maszyny. W tej samej chwili wskaźnik pięter zapalił się i pokazał, że winda zjeżdża z drugiego piętra.

- Szybciej! - błagała Melanie, jakby mogła w ten sposób przynaglić urządzenie. Jak zwykle w wypadku wind towarowych, ta również jeździła nieprzyzwoicie wolno. Mijała pierwsze piętro, kiedy drzwi wejściowe zatrzeszczały i usłyszeli stłumione okrzyki.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem w oczach.

- Będą tu za kilka sekund. Czy jest stąd jakieś inne wyjście? - zapytał Kevin.

Melanie zaprzeczyła głową.

- Tylko winda.

- Musimy się ukryć - stwierdził Kevin.

- Może chłodnia? - zasugerowała Candace.

Nie tracąc czasu na dyskusję, podbiegli do wielkiej lodówki. Kevin otworzył drzwi. Zimna mgła okryła podłogę przy wejściu cienką warstwą szronu. Pierwsza weszła Candace, za nią Melanie i Kevin, który pociągnął drzwi.

Zamek głośno zaskoczył.

Pomieszczenie było kwadratowe, o boku mniej więcej sześciu, może siedmiu metrów. Od podłogi do sufitu sięgały stalowe półki, tworząc na środku coś na kształt metalowej wyspy. Na półkach leżały korpusy licznych naczelnych.

Najbardziej imponujący był potężny, srebrzysty samiec goryla leżący na środkowej półce regału wypełnionego eksponatami. Pomieszczenie oświetlały żarówki zamknięte w odratowanych, hermetycznie zamykanych kloszach, podwieszonych pod sufitem w przejściach dookoła centralnie usytuowanych półek.

Trójka uciekinierów instynktownie okrążyła regały i przycupnęła za nimi. Ciężkie oddechy

zamieniały się w mgiełkę. W pomieszczeniu panował prawdziwy chłód. Mimo to zapach przesycony amoniakiem nie był przyjemny, choć do zniesienia.

Otoczeni przez grube ściany nie mogli usłyszeć żadnych odgłosów z zewnątrz, nawet zgrzytów windy towarowej. Aż do chwili, w której nieomylnie rozpoznali dźwięk otwieranych drzwi do chłodni.

Słyszając to, Kevin miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Przygotowując się na spotkanie w cztery oczy z szyderczo uśmiechniętą twarzą Siegfrieda, podniósł powoli głowę, aby zerknąć ponad ciałem martwego goryla. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że to nie Siegfried. Dwóch mężczyzn w służbowych kombinezonach wniosło ciało martwego szympansa.

Bez słowa położyli małpę na półce na prawo od drzwi i zaraz wyszli. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Kevin spojrzał w dół na Melanie i głośno wypuścił powietrze.

- To musi być najgorszy dzień mojego życia.

- Jeszcze się nie skończył - odparła Melanie. -

Musimy znaleźć jakieś wyjście. No, ale mamy, czego chcieliśmy.

Otworzyła zaciśniętą dłoń. Trzymała w niej klucz. Światło błysnęło na jego srebrzystej powierzchni. Kevin spojrzał na swoją rękę. Nie zdając sobie z tego sprawy, cały czas ścisnął w niej mapę topograficzną Isla Francesca.

Bertram włączył światło w korytarzu, kiedy wyszedł z klatki schodowej. Wszedł na piętro do oddziału pediatrycznego. Zapytał personel, czy ktoś tędy przechodził. Odpowiedź brzmiała "nie".

Po wejściu do gabinetu także zapalił światło. W drzwiach biura stanął Siegfried.

- No i? - zapytał.

- Nie wiem, czy ktoś tu był, czy nie. - Spojrzał na metalowe wiadro, które nie stało na swoim zwykłym miejscu tuż pod krawędzią stołu.

- Widziałeś kogoś? - zapytał Siegfried.

- Nie. - Pokręcił bezradnie głową. - Może woźny zostawił włączone światło.

- No cóż, to tylko potęguje moją chęć zabezpieczenia kluczy - stwierdził Siegfried.

Bertram skinął. Stopą przyciągnął wiadro na

swoje miejsce. Zgasił światło w gabinecie i wrócił za Siegfriedem do biura.

Podszedł do szafki z dokumentami, otworzył górną szufladę i wyjął teczkę ISLA FRANCESCA.

Otworzył ją i zajrzał do środka.

- O co chodzi? - zapytał Siegfried.

Bertram zawahał się. Jako człowiek niezwykle pedantyczny nie potrafił sobie wyobrazić, aby mógł wrzucić wszystko do teczki tak przypadkowo. Bojąc się najgorszego, z ulgą sięgnął po kopertę MOST STEVENSON i wyczuł w niej zgrubienie kółka z kluczami.

ROZDZIAŁ 12

5 marca 1997 roku

godzina 18.45

Nowy Jork

- Co za cholera - klnął Jack. Wpatrywał się w okular mikroskopu, analizując pewien szczególny preparat, i to już od około pół godziny. Chęt próbował nawet z nim o tym porozmawiać, ale w końcu dał za wygraną. Kiedy Jack się na czymś skoncentrował, nie było sposobu odwrócić jego uwagi.

- Cieszę się, że się dobrze bawisz - powiedział

Chet. Wstał i zbierając się do wyjścia, sięgnął po teczkę.

Jack wyprostował się i pokręcił głową.

- Wszystko w tej sprawie jest pokręcone. -

Spojrzał na Cheta i ze zdziwieniem zauważył, że przyjaciel wkłada palto. - O, wychodzisz?

- A owszem. Przez ostatnie piętnaście minut starałem się nawet powiedzieć "cześć".

- Zanim pójdziesz, rzuć jeszcze na to okiem -

poprosił Jack. Wskazał na swój mikroskop i odsunął się od biurka, robiąc koledze miejsce.

Chet zastanowił się. Spojrzał na zegarek. O siódmej zaczynał się trening aerobiku. Miał oko na jedną dziewczynę, która zawsze przychodziła punktualnie. Tak bardzo mu na niej zależało, że zapisał się na gimnastykę. Jednak dziewczyna była w o wiele lepszej kondycji niż on i pod koniec zajęć zawsze był zbyt zadyszany, aby zdecydować się na rozmowę.

- No, dalej, chłopie. Uracz mnie swoją bezcenną opinią.

Chet odłożył teczkę, pochylił się nad mikroskopem i spojrzał na preparat. Jack nie dał mu żadnych wyjaśnień. Sam musiał odkryć, co

ma przed sobą.

- Więc cały czas wpatrywałeś się w te zamrożone fragmenty wątroby - powiedział po chwili.

- Tak, zapewniały mi rozrywkę przez całe popołudnie - przyznał Jack.

- Dlaczego nie poczekaasz na fachowo utrwalone preparaty? Te mrożone dają przecież dość ograniczone możliwości analizy - zauważył Chet.

- Poprosiłem Maureen, żeby dostarczyła je, jak tylko będą gotowe. Tymczasem korzystam z tego, co mam. Co sądzisz o obszarze zaznaczonym?

Chet poprawił ostrość obrazu. Trudność z tak zamrożonymi preparatami polegała między innymi na tym, że były grube i struktura komórki wydawała się dość zamazana.

- Powiedziałbym, że wygląda jak ziarnina - stwierdził Chet.

Ziarnina była wynikiem przewlekłego zapalenia śródkomórkowego.

- Też tak pomyślałem - przyznał Jack. - Teraz przesunij się nieco w prawo. Zobaczysz fragment wątroby. Co tam dostrzegasz?

Chet zrobił, jak mu kazano. Jednocześnie

pomyślał, że spóźni się na gimnastykę i nie znajdzie miejsca w sali. Jego instruktorka należała do najbardziej lubianych.

- Widzę coś, co wygląda na dużą, zabliźnioną torbiel.

- Czy przypomina ci to coś znajomego?

- Nie, raczej nie. Prawdę powiedziawszy, wygląda dość tajemniczo.

- No właśnie. Pozwól, że zapytam cię jeszcze o coś.

Chet podniósł głowę znad mikroskopu i popatrzył na kolegę. Jack zmarszczył czoło.

Najwyraźniej był w kropce.

- Czy tak powinna wyglądać wątroba po stosunkowo świeżym przeszczepie?

- Do diabła, nie! - kategorycznie stwierdził Chet.

- Można by oczekiwać śladów nawet ostrego zapalenia, ale nie ziarniny. Szczególnie jeżeli zabieg wykonano dość ordynarnie, co może sugerować pokryta bliznami powierzchnia torbieli.

Jack westchnął.

- Serdecznie dziękuję! Zaczynałem już wątpić we własną diagnozę. To budujące usłyszeć, że

doszedłeś do takich samych wniosków.

- Puk, puk! - dobiegł ich uszu czyjś głos.

Odwrócili głowy i zobaczyli w drzwiach Teda Lyncha, kierownika laboratorium DNA. Był postawnym mężczyzną, mógł się równać nawet z Calvinem Washingtonem. Zanim ukończył Princeton, grał na pozycji obrońcy w drużynie futbolowej.

- Jack, mam dla ciebie wyniki, ale obawiam się, że to nie to, co chciałbyś usłyszeć, więc przyszedłem osobiście. Wiem, że spodziewałeś się informacji o dawcy przeszczepionej wątroby, a tymczasem test DQ alfa wykazał, że to własna wątroba pacjenta.

Jack wyrzucił ręce w górę.

- Poddaję się! - oznajmił zrezygowany.

- Ale ciągle jeszcze był cień szansy, że mamy jednak do czynienia z transplantacją - od razu dodał Ted. - Istnieje dwadzieścia jeden możliwych genotypów sekwencji DQ alfa i test zawodzi w rozpoznaniu około siedmiu procent.

Poszedłem więc dalej i wykonałem test ABO na grupę krwi w chromosomie dziewiątym i także wszystko doskonale pasuje. Biorąc pod uwagę

wyniki obu badań, szansa, że to nie jest wątroba pacjenta, pozostaje znikoma.

- Jestem załamany - oświadczył Jack. Splótł palce i położył dłonie na głowie. - Rozmawiałem już nawet ze znajomym chirurgiem i zapytałem, czy ślady szwów na żyłach i tętnicy wątrobowej mogą oznaczać jakiś inny zabieg niż przeszczep i odpowiedział, że w żadnym wypadku.

- Cóż mogę powiedzieć? - odezwał się Ted. - Oczywiście, dla ciebie mógłbym nieco pokombinować z wynikami - roześmiał się, a Jack uczynił ruch, jakby chciał pokazać, gdzie ma taką przysługę.

Nagle rozległ się ostry dzwonek telefonu. Jack skinął na Teda, aby jeszcze nie odchodził, podniósł słuchawkę i dość grubiańsko zapytał:

- No?

- Wychodzę stąd - powiedział Chet i przecisnął się obok Teda.

Jack słuchał uważnie. Powoli jego oblicze zmieniało wyraz, przechodząc od irytacji do zainteresowania. Skinął kilka razy, patrząc przy tym na Teda. Uniósł palec i szepnął do niego:

- Jedną chwileczkę. Tak, oczywiście - powiedział

do słuchawki. - Jeżeli UNOS* [przyp.: UNOS

(ang.) - United National Organ Sharing (przyp.

tłum.)] sugeruje, żebyśmy sprawdzili w Europie,

zróbmy tak. - Spojrzał na zegarek. - Oczywiście,

tam jest teraz po północy, ale zrób, co możesz. -

Odłożył słuchawkę. - Dzwonił Bart Arnold.

Zaprząłem cały wydział do poszukiwania

śladów tajemniczej transplantacji.

- Co to jest UNOS? - zapytał Ted.

- Państwowy Bank Organów do Transplantacji.

- Jakież dobre wieści?

- Nic. Bez rezultatu. Bart sprawdził wszystkie

duże centra zajmujące się przeszczepami.

- Może to nie był przeszczep. Daję ci słowo, że

prawdopodobieństwo zgrania, jakie potwierdziły

oba testy, jest naprawdę minimalne.

- Jestem przekonany, że mamy do czynienia z

transplantacją. Nie ma żadnych powodów do

wycinania człowiekowi wątroby i wszywania jej z

powrotem.

- Jesteś pewny?

- Całkowicie - odparł Jack.

- Zdaje się, że ten przypadek cię wciągnął -

zauważył Ted.

Jack zaśmiał się szyderczo.

- Postanowiłem rozwikłać tajemnicę bez względu na skutki, jakie to wywoła. Jeżeli nie dam rady, stracę cały szacunek do siebie. Nie zdarza się przecież tak wiele transplantacji wątroby. Albo rozwikłam sprawę, albo rzucę wszystko w diabły.

- Rozumiem. Powiem ci, co ja bym zrobił.

Skorzystałbym z polimerów i porównał obszary w obrębie chromosomów czwartego, szóstego, siódmego, dziewiątego, jedenastego i trzynastego. Szansa zgodności jest jak jeden do wielu miliardów. I dla własnego spokoju, przebadam DQ alfa wątroby i pacjenta i spróbuję dowiedzieć się, jak mogłoby dojść do zgodności.

- Będę wdzięczny za wszystko, co zrobisz w tej sprawie - powiedział Jack.

- Zaczęję jeszcze dzisiaj wieczorem. W ten sposób wyniki będą już jutro.

- Równy z ciebie gość! - stwierdził Jack i wyciągnął rękę.

Ted przybił piątkę i poszedł do siebie na górę.

Jack wyłączył lampkę pod mikroskopem. Czuł, jakby preparat żartował sobie z niego. Tak długo

wpatrywał się w okular mikroskopu, że rozbolały go oczy.

Siedział za biurkiem przez kilka chwil, wpatrując się w leżące przed nim w nieładzie teczki innych, nie załatwionych przypadków. Nawet ostrożnie szacując, było tego jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści spraw. Więcej niż zwykle.

Papierkowa robota nigdy nie należała do mocnych stron zawodowej aktywności Jacka, a stawało się jeszcze gorzej, gdy wpadał w sieci jakiejś szczególnie zagmatwanej historii.

Klnąc pod nosem ze złości na swoją bezradność, wstał od biurka i sięgnął po kurtkę, wiszącą na wieszaku przymocowanym do drzwi. Siedział i rozmyślał tak długo, jak długo dał radę. Teraz, żeby dać umysłowi odpoczynek, potrzebował wysiłku fizycznego, więc boisko koszykówki w pobliżu domu stało się jego celem.

Widok Nowego Jorku z mostu Waszyngtona zapierał dech w piersiach. Franco Ponti spróbował odwrócić głowę, żeby w całości docenić jego piękno, ale wobec panującego tu ruchu ulicznego okazało się to trudne. Siedział za kierownicą skradzionego forda sedana. Jechał

do Englewood w New Jersey. Obok niego

siedział Angelo Facciolo. Patrzył przed siebie.

Obaj mężczyźni mieli rękawiczki.

- Popatrz w lewo. Co za widok. Te wszystkie światła. Widać stąd całą tę niesamowitą wyspę, nawet Statuę Wolności.

- Tak, już to widziałem - odpowiedział markotnie Angelo.

- Co z tobą? Zachowujesz się, jakby cię coś ugryzło.

- Nie lubię takiej roboty. Przypomina mi się, jak Cerino wpadł w szal i wysłał mnie i Tony'ego Ruggeria przez całe cholerne miasto, żebyśmy wykonali taką samą głównianą robotę.

Powinniśmy trzymać się swojego, robić interesy z normalnymi ludźmi.

- Vinnie Dominick to nie Pauli Cerino. A poza tym, cóż złego w zarobieniu kilku dolców ekstra?

- Forsa może być. Nie podoba mi się tylko to ryzyko.

- O czym ty mówisz? Nie ma żadnego ryzyka.

Jesteśmy zawodowcami. Niczego nie będziemy ryzykować.

- Zdarzają się niespodzianki, a jeżeli o mnie

chodzi, niespodzianki zawsze się pojawiają.

Franco spojrzał na rysujący się w mdłym świetle profil pokrytej bliznami twarzy swojego towarzysza. Z całą pewnością Angelo był śmiertelnie poważny.

- O czym ty gadasz? - zapytał.

- O tym, że ta Laurie Montgomery jest wplątana w sprawę. Mam przez nią koszmary. Tony i ja próbowaliśmy ją zlikwidować i nie udało się. Zupełnie jakby chronił ją sam Bóg.

Mimo powagi Angela Franco roześmiał się.

- Ta Montgomery może czuć się zaszczycona, że ktoś z twoją reputacją miewa przez nią koszmarne sny. To śmieszne.

- Nie widzę w tym nic zabawnego - stwierdził Angelo.

- Nie wkurzaj się na mnie. Poza tym ona nie jest wplątana w to, co mamy akurat teraz zrobić.

- To względne. Powiedziała Vinniemu Amendoli, że traktuje sprawę jako osobistą i musi się dowiedzieć, w jaki sposób ciało Franconiego mogło zniknąć z kostnicy.

- No i jak zamierza to zrobić? - zapytał Franco. -

A jeżeli dojdzie do najgorszego, wyślemy

Freddiego Capusa i Richiego Hernsa i zajmą się mokrą robotą. Wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

- O, czyżby? Nie znasz tej baby. To jedyna w swoim rodzaju upierdliwa dziwka.

- Dobra, dobra! - odpowiedział z rezygnacją Franco. - Chcesz się zamartwiać, twoja sprawa.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie mostu, w New Jersey, Franco skręcił w prawo w międzystanową Palisades Parkway. Franco, widząc, że Angelo dalej siedzi naburmuszony, sięgnął do radia i wybrał stację nadającą "stare dobre przeboje". Podkręcił głośność i zaczął razem z Neilem Diamondem śpiewać Sweet Caroline.

Przy drugim refrenie Angelo pochylił się i wyłączył radio.

- Wygrałeś - powiedział. - Obiecuję się uśmiechać, jeśli tylko przestaniesz śpiewać.

- Nie podoba ci się ta piosenka? - zapytał Franco, jakby poczuł się dotknięty. - Wywołuje u mnie słodkie wspomnienia. - Mlasnął ze smakiem ustami. - Pamiętam, jak radziłem sobie z Marią Provolone.

- Nie zamierzam jej tknąć - Angelo roześmiał się wbrew sobie. Cenił sobie współpracę z Pontim. Franco był zawodowcem. Miał także poczucie humoru, którego jemu brakowało, o czym doskonale wiedział.

Franco zjechał w Palisades Avenue, minął Route 9 W i skierował się na zachód wzdłuż wzgórza do Englewood. Otoczenie szybko zmieniało swój wygląd: firmowe bary z fast food i stacje obsługi ustępowały podmiejskim restauracjom o wyższym poziomie.

- Masz pod ręką mapę i adres? - zapytał Franco.

- Mam - odpowiedział Angelo, wyciągnął mapę i skierował na nią światło. - Szukamy Overlook Place. Będzie po lewej.

Overlook Place okazała się łatwa do odnalezienia

- już pięć minut później jechali wijącą się ulicą wysadzaną drzewami. Trawniki wznoszące się po obu stronach ku bogatym, wielkim domom, wyglądały jak starannie utrzymane tory na polu golfowym.

- Możesz sobie wyobrazić mieszkanie w takim miejscu? - pytał Franco i kręcił z niedowierzaniem głową. - Do diabła, nie

trafiłbym na ulicę od drzwi wejściowych.

- Nie podoba mi się. Za spokojnie. Jesteśmy
wystawieni jak kaczkę.

- Daj już spokój z tym krakaniem. Przecież
mamy jedynie rozpoznać teren. Jakiego numeru
szukamy?

Angelo sprawdził na skrawku papieru
trzymanym w dłoni.

- Overlook Place numer osiem.

- To znaczy, że dom jest po lewej. - W tej chwili
przejeżdżali obok dwunastki.

Kilka chwil później Franco zwolnił i zjechał na
prawo. Obaj przyjrzeni się serpentynie podjazdu

wyznaczonego latarniami i prowadzącego do
potężnej bryły domu zbudowanego w stylu

Tudorów, osłoniętego kurtyną wysokich sosen.

W większości okien paliło się światło. Cała
posesja była wielkości boiska futbolowego.

- Wygląda jak pieprzona forteca - stwierdził
Angelo.

- Muszę przyznać, że nie tego się spodziewałem -
dodał Franco.

- No i co robimy? Nie możemy tak tu siedzieć.

Odkąd się zatrzymaliśmy, nie widziałem ani

jednego samochodu.

Franco wrzucił bieg. Zdawał sobie sprawę, że Angelo ma rację. Nie mogli tu czekać. Bez wątplenia ktoś zauważyłby ich obecność, nabrał podejrzeń i zawiadomił policję. Minęli już jeden z tych głupich posterunków Sąsiedzkiej Ochrony i widzieli mężczyznę z opaską na rękawie.

- Dowiedzmy się czegoś więcej o tej szesnastoletniej podfruwajce - zaproponował Angelo. - No, gdzie chodzi do szkoły, co lubi robić, jakich ma przyjaciół. Nie możemy ryzykować wejścia do domu. Absolutnie.

Franco mruknął na zgodę. Kiedy miał już wcisnąć gaz, zobaczył postać wychodzącą z domu. Z tej odległości nie potrafił jednak powiedzieć, czy to chłopak, czy dziewczyna.

- Ktoś wyszedł - powiedział.

- Zauważyłem - odparł Angelo.

Obaj mężczyźni patrzyli, jak osoba schodzi po kilku kamiennych stopniach i idzie podjazdem w stronę ulicy.

- Ktokolwiek to jest, z pewnością jest gruby - zauważył Franco.

- Mają też psa - dodał Angelo.

- Święta Panienko, przecież to ta dziewczyna -
zawołał po kilku sekundach zaskoczony Franco.

- Nie wierzę. Naprawdę sądzisz, że to Cindy
Carlson? Nie jestem przyzwyczajony do tego, że
wszystko idzie tak łatwo.

Zdumieni śledzili wzrokiem zbliżającą się
dziewczynę, jakby szła im na spotkanie. Tuż
przed nią biegł mały, karmelowy pudel z
krótkim, sterczącym ogonkiem z pomponem na
końcu.

- Co powinniśmy teraz zrobić? - zapytał Franco.

Nie oczekiwał odpowiedzi, po prostu głośno
myślał.

- Może zagramy gliny? - zasugerował Angelo. -

Jak jestem z Tonym, to zawsze działa.

- Niezła myśl. - Franco odwrócił się do partnera i
wyciągnął rękę. - Daj mi swoją odznakę
policyjną.

Angelo sięgnął do wewnętrznej kieszeni
marynarki i wyjął odznakę schowaną w czymś,
co przypominało portfel.

- Na razie zostań w wozie. Nie ma co jej straszyć
tą twoją pokancerowaną gębą.

- Dziękuję za komplement - odparł kwaśno

Angelo. Aż do przesady dbał o swój wygląd, by zrekompensować fatalnie oszpeconą twarz, jednak na próżno. Pokrywały ją blizny po dziecięcej ospie, młodzieńczym trądziku i poparzeniach, którym uległ pięć lat temu w eksplozji. Jak na ironię, wywołała ją właśnie Laurie Montgomery.

- Och, nie bądź taki wrażliwy - Franco drażnił się z nim. Chwycił dłonią za kark Angela. - Wiesz, że cię kochamy, pomimo że wyglądasz jak bohater prawdziwego horroru.

Angelo odepchnął rękę Franca. Tylko dwóm osobom pozwalał na robienie aluzji do swojej twarzy: Francowi i bossowi, Vinniemu Dominickowi. Ale to wcale nie znaczyło, że mu się takie żarty podobają.

Dziewczyna dochodziła już do ulicy. Ubrana była w różową, długą kurtkę narciarską, przypominającą okrycia Eskimosów, przez co wyglądała na jeszcze grubszą. Twarz miała pyzată, z lekkim trądzikiem, włosy proste, uczesane z grzywką i przedziałkiem.

- Czy nie przypomina trochę Marii Provolone? - zapytał Angelo, chcąc chociaż trochę odgryźć się

Francowi.

- Bardzo śmieszne - skomentował przyjaciel.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

- Przepraszam! - zagadnął tak słodko, jak potrafił. Głos miał zachrypnięty od papierosów, które palił od ósmego roku życia. - Czy ty nie jesteś czasami słynną Cindy Carlson?

- Może - odparła nastolatka. - A kto pyta? -

Stanęła tuż przyjezdni, na końcu podjazdu.

Piesek tymczasem zatrzymał się przy słupie bramy i podniósł łapę.

- Jesteśmy z policji - Franco przedstawił siebie i kolegę w samochodzie. Wyciągnął odznakę i tak ją odsłonił, że padające z ulicznej lampy światło zamigotało na wyszlifowanej powierzchni. -

Prowadzimy śledztwo w sprawie kilku chłopaków z okolicy i mamy nadzieję, że może zdołasz nam pomóc.

- Naprawdę? - zapytała Cindy.

- Jasne. Proszę, podejdźmy, żeby kolega mógł z tobą porozmawiać.

Cindy spojrzała w lewo i w prawo, chociaż od pięciu minut ulicą nie przejechał żaden samochód. Przeszła przez jezdnię, ciągnąc za

sobą psa, który postanowił obwąchać

przydrożny wiąz.

Franco przesunął się tak, że Cindy mogła się

schylić i zajrzeć przez okno do wnętrza

samochodu i zobaczyć Angela. Zanim

ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, popchnął

dziewczynę. Wpadła do środka, głową naprzód.

Zwinnym ruchem wykręcił rękę porwanej, a

nogą odegnał pudła.

Wcisnął się na przednie siedzenie, przyciskając

dziewczynę do Angela. Wrzucił bieg, wcisnął gaz

i odjechali.

Laurie zaskoczyła samą siebie. Zamiast biec do

domu i obejrzeć taśmę z Franconim, zajęła się

papierkową robotą. Pracując wydajnie, załatwiła

naprawdę sporą część dokumentacji. Całkiem

wysoki stos teczek leżący w narożniku biurka

stanowił satysfakcjonującą gratyfikację za

wysiłek.

Przysunęła tacę z preparatami mikroskopowymi

i przystąpiła do analizy ostatniej sprawy.

Wszystko miała już skompletowane, pozostały

tylko te badania. Kiedy spojrzała w okular

mikroskopu, ktoś zapukał w drzwi. Okazało się,

że to Lou Soldano.

- Co tu robisz tak późno? - zapytał zaskoczony.

Usiadł ciężko na krześle stojącym obok biurka

Laurie. Nie wykonał najmniejszego gestu, by

zdejmując prochowiec czy zsunięty na tył głowy

kapelusz.

Laurie spojrzała na zegarek.

- Rety! Nie miałam pojęcia, która godzina!

- Przejeżdżając przez Queensborough Bridge,
próbowałem się z tobą połączyć, a ponieważ w
domu cię nie było, postanowiłem zajrzeć tutaj.

Coś mi mówiło, że zastanę cię jeszcze w pracy.

Wiesz, chyba za ciężko pracujesz.

- I kto to mówi! - odparła z sarkazmem. -

Popatrz na siebie! Kiedy po raz ostatni się
wyspałeś? No, oczywiście nie mówię o czujnej
drzemce przy biurku.

- Porozmawiajmy o przyjemniejszych rzeczach -
zapropozował Lou. - Może byśmy tak poszli coś
przekąsić? Muszę jeszcze wskoczyć do komendy
i jakąś godzinkę poświęcić na zaplanowanie
dalszej pracy i rozkazy, ale potem z ochotą
poszedłbym w jakieś przyjemne miejsce.

Dzieciaki są z ciotką, niech jej Bóg błogosławi.

Co powiesz na włoską kuchnię?

- Jesteś pewny, że masz ochotę na restaurację? -

zapytała. Worki pod oczami prawie zlewały się z policzkami. Zarost wyglądał na nie golony od dłuższego czasu.

- Muszę coś zjeść. Zamierzasz jeszcze długo pracować?

- Już kończę. Ostatni przypadek. Zajmie mi może z pół godziny.

- Ty też musisz coś przegryźć.

- Jest jakiś postęp w sprawie Franconiego? -

zapytała. Lou głośno wypuścił powietrze z płuc.

Był wyraźnie poirytowany.

- Żałuję, ale nie. Problem w tym, że jak się od razu nie złapie odpowiedniego tropu, to w przypadku takich gangsterów, ślady mogą zniknąć szybko. W każdym razie przełomu w śledztwie, na który liczyłem, nie mamy.

- Przykro mi.

- Dzięki. A co u ciebie? Masz jakieś nowe pomysły na wyjaśnienie zniknięcia Franconiego?

- U nas trop wydaje się równie zimny jak u was.

Calvin nawet mnie zbeształ za to, że niepokoję dokuczliwymi pytaniami pracowników z nocnej

zmiany. A ja jedynie porozmawiałem z technikiem. Obawiam się, że kierownictwo chce zatuszować całą sprawę.

- Więc Jack miał rację, sugerując, żebyś sobie darowała tę historię.

- Zdaje się, że tak - przyznała niechętnie. - Ale nie mów mu tego.

- Chciałbym, żeby komisarz też zamierzał zatuszować sprawę. Cholera, może mnie to kosztować degradację.

- Szczerze powiedziawszy, coś mi wpadło do głowy. Jeden z domów pogrzebowych, które odbierały zwłoki tamtej nocy, nazywa się Spoleto. Z Ozone Park. Nazwa była mi jakoś znajoma. Wtedy przypomniałam sobie z tamtej sprawy z Cerinem jedno z bardziej przerażających morderstw na młodym gangsterze. Dokonano go właśnie tam. Twoim zdaniem to zwykły zbieg okoliczności, że właśnie oni odbierali zwłoki w nocy, kiedy zginęło ciało Franconiego?

- Tak - odparł Lou. - I powiem ci dlaczego. Znam ten zakład, bo od lat walczę ze zorganizowaną przestępczością w Queens. To przypadkowe i

niewinne powiązanie z Domem Pogrzebowym
Spoleto i nowojorskim światem przestępczym
przez małżeństwo. Zresztą to nie ta rodzina.

Franconiego zabili ludzie Vaccarro, nie Lucia.

- Ach tak. Cóż, tak tylko skojarzyłam.

- Nigdy nie lekceważę twoich uwag. Twoja
pamięć mi imponuje. Nie jestem pewien, czy
sam bym wpadł na taki ślad. Zostawmy to na
razie. Co z kolacją?

- Jeśli jesteś tak zmęczony, jak wyglądasz, to
może zrobimy sobie spaghetti u mnie? -

zapropozowała Laurie, Lou i Laurie od lat byli
dobrymi przyjaciółmi. Przy okazji sprawy Cerina
nawiązali krótki romans, ale nie udało się.

Postanowili zostać przyjaciółmi. Od tamtej pory
często urządzali sobie wspólne kolacje.

- Nie sprawi ci to kłopotu? - Myśl o wyciągnięciu
nóg na wygodnej kanapie u Laurie wydawała się
obietnicą raju.

- Ależ skąd - zapewniła. - Właściwie nawet tak
wolę. Mam w lodówce sos i jakieś sałatki.

- Świetnie! Kupię chianti. Zadzwoń, kiedy będę
wyjeżdżał z komendy.

- Znakomicie.

Po wyjściu Lou Laurie wróciła do mikroskopu.

Jednak wizyta przyjaciela rozproszyła jej

koncentrację i znowu wróciła myślami do

Franconiego. Poza tym była już zmęczona

wpatrywaniem się w preparaty mikroskopowe.

Oparła się wygodnie i przetarła oczy.

- Do diabła z tym! - mruknęła. Westchnęła i

spojrzała na sufit, z którego tu i ówdzie zwisały

pajęczyny. Ile razy zadawała sobie pytanie, jak

ciało mogło opuścić kostnicę nie zauważone, tyle

razy cierpiała prawdziwe katusze. Miała też

poczucie winy, że nie potrafi pomóc Lou.

Wstała, narzuciła płaszcz, zatrzasnęła teczkę i

wyszła z biura. Nie opuściła jednak kostnicy.

Wręcz przeciwnie, postanowiła zejść na dół z

kolejną wizytą. Dręczyło ją jeszcze jedno

pytanie, które zapomniała zadać technikowi z

wieczornej zmiany z poprzedniego dnia,

Marvinowi Fletcherowi.

Zastała go przy biurku, zajętego wypisywaniem

formularzy niezbędnych do wydawania zwłok

zgodnie z wieczornym planem. Marvin był

jednym z najwyżej cenionych przez Laurie

współpracowników. Był na dziennej zmianie tuż

przed tragicznym zamordowaniem Bruce'a Pomowskiego w czasie sprawy Cerina. Po tamtym wydarzeniu przeszedł na wieczorne zmiany. To był awans, gdyż technicy dzienni ponosili sporą odpowiedzialność, a praca w nocy była o wiele spokojniejsza.

- Cześć, Laurie! Co cię sprowadza? - zapytał, gdy kątem oka dostrzegł niespodziewanego gościa.

Marvin był przystojnym, czarnoskórym mężczyzną, z cerą tak idealną, jakiej Laurie nie widziała jeszcze u nikogo innego. Jego skóra zdawała się błyszczeć, jakby jakieś światło rozświetlało ją od wewnątrz.

Przez chwilę poplotkowała z nim, zajmując się jakimiś mało ważnymi informacjami, zanim przeszła do właściwej sprawy.

- Marvin, muszę cię o coś zapytać, ale nie chciałabym, żebyś poczuł się atakowany. -

Laurie nie mogła zapomnieć reakcji Mike'a Passana, a nie chciała, aby Marvin również poskarżył się Calvinowi.

- O co?

- O Franconiego. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie zrobiłeś wieczorem rentgena.

- Co ty mówisz? - zapytał zaskoczony Marvin.

- To, co usłyszałeś. W teczce denata nie było wyników prześwietlenia, nie znalazłam też kliszy, kiedy zajrzałam tu po zniknięciu ciała.

- Zrobiłem prześwietlenie. - Poczul się dotknięty, że Laurie mogła posądzić go o podobne zaniedbanie. - Zawsze robię prześwietlenie zwłok, kiedy je przywożą, chyba że któryś z patologów nie życzy sobie tego w danej chwili.

- No to w takim razie gdzie są zdjęcia i filmy?

- Nie mam pojęcia co się stało ze zdjęciami, ale filmy... Bingham je wziął.

- Bingham wziął filmy? - zapytała Laurie.

Chociaż wyglądało to dziwnie, domyśliła się, że Bingham pewnie zamierzał wykonać autopsję następnego ranka.

- Powiedział mi, że zabiera to do siebie. Co miałem zrobić, powiedzieć szefowi, że nie wolno zabierać filmów? Nigdy! Nie temu mądrali.

- Jasne, oczywiście - odparła Laurie bez przekonania. Zamyśliła się. To była niespodzianka. Zdjęcia rentgenowskie zwłok Franconiego istnieją! Oczywiście bez ciała niewiele to znaczyło, jednak zastanawiało

Laurie, dlaczego nie została o tym

poinformowana. Z drugiej jednak strony od zniknięcia ciała nie widziała się z Binghamem.

- No cóż, cieszę się, że porozmawialiśmy - powiedziała Laurie, otrząsając się z chwilowego zamyślenia. - Przepraszam za podejrzenie, że nie zrobiłeś zdjęć.

- Zapomniane - odparł Marvin.

Laurie miała już zamiar wyjść, kiedy pomyślała jeszcze o Domu Pogrzebowym Spoleto. Ot tak, na wszelki wypadek zapytała o niego Marvina.

Wzruszył ramionami.

- Co byś chciała wiedzieć? Niewiele mogę powiedzieć. Nigdy tam nie byłem, no wiesz, co mam na myśli.

- Jacy są ci ludzie, którzy do nas przyjeżdżają?

- Zwyczajni - odparł, ponownie wzruszając ramionami. - Widziałem ich chyba ze dwa razy.

No, właściwie nie wiem, co chciałabyś usłyszeć.

Laurie skinęła głową.

- To było niemądre pytanie. Sama nie wiem, czego chciałam się dowiedzieć.

Wyszła z kostnicy przez wyjście prowadzące na podjazd, a stąd na Trzydziestą Ulicę. Miała

wrażenie, że w przypadku Franconiego nic nie
działo się według utartych schematów.

Gdy ruszyła spacerem w dół Pierwszej Avenue,
coś jeszcze przyszło jej do głowy. Nagle wizyta w
Domu Pogrzebowym Spoleto wydawała się
wielce sensownym posunięciem. Przez sekundę
zawahała się, rozważając pomysł, po czym
podeszła do krawężnika, aby zatrzymać
taksówkę.

- Dokąd pani sobie życzy? - zapytał taksówkarz.

Laurie przeczytała z licencji, że nazywa się
Michael Neuman.

- Wie pan, gdzie jest Ozone Park? - spytała.

- Jasne, w Queens - odrzekł Michael. Był
starszym mężczyzną, zdaniem Laurie po
sześćdziesiątce. Siedział na grubej poduszce z
pianki, której spory kawał wystawał z boku.

Oparcie miał zrobione z drewnianych listewek.

- Ile czasu zabierze nam dojechanie tam? -
zapytała. Gdyby miało to trwać godzinę czy
dłużej, zrezygnowałaby.

Michael zrobił tajemniczą minę, ściągając usta, i
pomyślał chwilę.

- Niedługo - powiedział bez przekonania. -

Ruchu wielkiego nie ma. Dopiero co byłem na lotnisku Kennedy'ego.

- Jedziemy - zdecydowała.

Jak Michael obiecał, jechali szybko, szczególnie gdy znaleźli się na autostradzie Van Wyck.

Laurie dowiedziała się, że Michael prowadzi taksówkę już ponad trzydzieści lat. Okazał się człowiekiem gadatliwym i przywiązany do swego zdania, który do tego roztaczał wokół siebie ojcowski urok.

- Wie pan gdzie w Ozone Park jest Gold Road?

Miała szczęście trafić na doświadczonego taksówkarza. Adres zakładu Spoleto pamiętała z notatnika w biurze kostnicy. Nazwa ulicy dobrze określała interes, który prowadzono w zakładzie*. [przyp.: Gold Road (ang.) - Złota Droga (przyp. tłum.).]

- Gold Road - powtórzył Michael. - Żaden problem. To przedłużenie Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Czego pani szuka?

- Domu Pogrzebowego Spoleto.

- Będziemy tam w mgnieniu oka - obiecał.

Laurie rozsiadła się wygodnie i z zadowoleniem jednym uchem słuchała nie kończącego się

potoku słów kierowcy. Przez moment szczęście zdawało się być po jej stronie. Zdecydowała się odwiedzić dom pogrzebowy, ponieważ sądziła, że Jack nie ma racji. Zakład miał powiązania ze światem przestępczym i chociaż chodziło o inną rodzinę, jak utrzymywał Lou, fakt, że istniały takie związki, wzbudzał podejrzenia Laurie.

Zgodnie z przyrzeczeniem Michael nadspodziewanie szybko zajechał pod wykładany białymi płytkami dom z trzema oknami wystawowymi, który stał w otoczeniu budynków z cegły. Dach nad szerokim gankiem podtrzymywały kolumny w stylu greckim.

Na trawniku niewiele większym od znaczka pocztowego, stał neon z napisem "Dom Pogrzebowy Spoleto, zakład rodzinny z dwupokoleniową tradycją".

Firma była w pełnym ruchu. Światła paliły się we wszystkich oknach. Kilku mężczyzn z cygarami stało na ganku. Innych widać było przez okna na parterze.

Michael miał już zamiar skasować licznik, gdy Laurie go powstrzymała.

- Mógłby pan na mnie poczekać? Nie zabierze mi

to więcej niż kilka minut, a złapanie tutaj

taksówki może okazać się trudne.

- Jasne, proszę pani. Czekam.

- Mogę zostawić teczkę? Nie ma w niej niczego

wartościowego - zapewniła Laurie.

- To nie ma znaczenia, będzie tu bezpieczna -

zgodził się.

Laurie wyszła z wozu i ruszyła w stronę zakładu.

Była podenerwowana. Wydawało jej się, że to

wczoraj, a nie pięć lat temu doktor Dick

Katzenburg przedstawiał sprawę na środowej

popołudniowej konferencji. Młody,

dwudziestokilkuletni mężczyzna został żywcem

zabalsamowany w Domu Pogrzebowym

Spoletto, kiedy okazało się, że jest zamieszany w

oblanie twarzy Cerina kwasem z akumulatora.

Po plecach przeszedł jej dreszcz, ale zmusiła się i

weszła na stopnie. Nigdy nie uwolniła się do

końca od zmory, która nawiedzała ją po tamtych

wydarzeniach.

Mężczyźni palący cygara zignorowali ją. Przez

zamknięte drzwi frontowe dobiegała łagodna,

spokojna muzyka organowa. Laurie nacisnęła

klamkę. Drzwi były otwarte, więc weszła do

środką.

Oprócz muzyki nie słychać było innych dźwięków. Podłogi przykrywały grube dywany. W holu stała grupa ludzi, ale rozmawiali bardzo cichym szeptem.

Po lewej stronie była wystawa trumien i urn. Po prawej znajdował się pokój, w którym na składanych krzesłach siedzieli ludzie. Pod ścianą przed nimi, na łożu z kwiatów stała odkryta trumna.

- W czym mogę pomóc? - zapytał cichy głos.

Podszedł do niej chudy mężczyzna w jej wieku.

Twarcz miał ascetyczną, malował się na niej smutek. Biała koszula kontrastowała z czernią stroju. Bez wątplenia należał do personelu. Dla Laurie był żywym wcieleniem jej wyobrażenia o purytańskim kaznodziei.

- Czy szanowna pani przyszła może pożegnać Jonathana Dibartola? - zapytał mężczyzna.

- Nie. Franka Gleasona.

- Przepraszam? - zapytał mężczyzna, jakby nie zrozumiał.

Laurie powtórzyła nazwisko. Zapadła chwila milczenia.

- Pani godność?

- Doktor Laurie Montgomery.

- Jedną chwileczkę, jeśli pani pozwoli -
powiedział mężczyzna i dosłownie zniknął.

Laurie przyjrzała się żałobnikom. Z tym
obliczem śmierci zetknęła się tylko raz. Kiedy
miała piętnaście lat, jej dziewiętnastoletni brat
zmarł z przedawkowania. To było przerażające
doświadczenie, szczególnie, że to właśnie ona go
znalazła.

- Doktor Montgomery - głos był łagodny i pełen
obłudy. - Jestem Anthony Spoleto. Jak
zrozumiałem, przyszła pani pożegnać świętej
pamięci Franka Gleasona.

- Rzeczywiście - potwierdziła Laurie. Spoglądała
na kolejnego mężczyznę ubranego na czarno. Był
otyły i służalczy jak ton jego głosu. W łagodnym
świecie czoło mężczyzny błyszczało.

- Obawiam się, że to będzie niemożliwe -
powiedział.

- Dzwoniłam dzisiaj i zostałam poinformowana,
że zwłoki zostały wystawione - odparła.

- Tak, oczywiście. Ale to było po południu. Na
życzenie rodziny od szesnastej do osiemnastej.

Później zwłoki zostały wyniesione.

- Rozumiem - powiedziała zakłopotana. Nie miała żadnego konkretnego planu i pożegnanie Franka Gleasona było jedynym pretekstem.

Teraz, kiedy okazało się, że nie może zobaczyć ciała, nie wiedziała, co robić.

- Może pozwoli mi pan chociaż wpisać się do książki kondolencyjnej - zapytała.

- Obawiam się, że i to nie jest możliwe. Rodzina już ją zabrała.

- Cóż, w takim razie myślę, że to wszystko - stwierdziła, rozkładając bezradnie ręce.

- Niestety, chyba tak.

- Czy wie pan, kiedy ma się odbyć pogrzeb?

- W tej chwili jeszcze nie.

- Dziękuję panu.

- Bardzo proszę. - Odprowadził Laurie do drzwi i otworzył je przed nią.

Laurie wyszła i wsiadła do taksówki.

- Teraz dokąd? - zapytał Michael.

Podawała swój adres przy Dziewiętnastej Ulicy i kiedy auto ruszało, pochyliła się do przodu, patrząc przez okno w stronę zakładu pogrzebowego. Wycieczka okazała się stratą

czasu. Ale czy na pewno? Po krótkiej rozmowie ze Spolettem zorientowała się, że mężczyzna poci się, mimo że temperatura wewnątrz była raczej niska, żeby nie powiedzieć, iż panował tam chłód. Podrapała się w głowę, zastanawiając się, czy to coś znaczy, czy trafiła w kolejny ślepy zaułek.

- To był przyjaciel? - zapytał kierowca.

- Kto taki? - odpowiedziała pytaniem.

- Zmarły.

- Nie bardzo - powiedziała, śmiejąc się wesoło.

- Rozumiem, co ma pani na myśli - stwierdził, spoglądając równocześnie na odbicie Laurie we wstecznym lusterku. - W dzisiejszych czasach stosunki między ludźmi są bardzo skomplikowane. I powiem pani, dlaczego tak...

Laurie uśmiechnęła się i rozsiadła, aby wysłuchać kolejnej tyrady. Uwielbiała filozofujących taksówkarzy, a Michael był wśród nich prawdziwym Platonem.

Kiedy samochód zajechał przed budynek, zobaczyła w foyer znajomą postać. Lou Soldano stał oparty o skrzynki pocztowe; w ręku ścisnął butelkę wina. Laurie zapłaciła Michaelowi

należność ze sporym napiwkiem i szybko

wysiadła.

- Przepraszam - przywitała przyjaciela. -

Zdawało mi się, że miałeś zadzwonić przed
przyjazdem.

Lou zamrugał, jakby właśnie się obudził.

- Dzwoniłem - powiedział po krótkim kaszlu. -

Porozmawiałem z twoją automatyczną
sekretarką. Zostawiłem jej wiadomość, że jadę.

Otwierając wewnętrzne drzwi, Laurie zerknęła
na zegarek. Wyprawa, jak się spodziewała, zajęła
jej niewiele ponad godzinę.

- Myślałem, że zostaniesz w pracy najwyżej przez
pół godziny - przypomniał Lou.

- Nie pracowałam. - Wcisnęła przycisk, żeby
sprowadzić windę. - Wybrałam się na
przejażdżkę do Domu Pogrzebowego Spoleto.

Lou zmarszczył brwi.

- Tylko się na mnie nie wściekaj.

Wsiedli do windy.

- I co odkryłaś? Franconi spoczywa u nich w
spokoju? - zapytał sarkastycznie.

- Nie zamierzam w ogóle z tobą rozmawiać, jeśli
nie zmienisz tonu - odparła urażona.

- W porządku, przepraszam.

- Niczego nie odkryłam - przyznała. - Ciało, które poszłam obejrzeć, zostało tymczasem zabrane z pokoju pożegnań. Rodzina pozwoliła je wystawiać tylko do godziny osiemnastej.

Kiedy Laurie otwierała drzwi, Lou skłonił się uprzejmie w stronę Debry Engler, która jak zwykle uchyliła zamknięte na łańcuch drzwi i podglądała gości sąsiadki.

- Jednak szef zakładu zachowywał się trochę podejrzanie. Przynajmniej tak mi się zdaje.

- To znaczy jak? - zapytał Lou, gdy znaleźli się w mieszkaniu Laurie.

Z sypialni przybiegł Tom i zaczął się ocierać o nogi swej pani. Położyła teczkę na małym stoliku w kształcie półksiężyca, pochyliła się i podrapała kota za uchem.

- Pocił się, kiedy z nim rozmawiałam.

Lou zdejmował prochowiec, ale kiedy usłyszał, co powiedziała, zastygł w połowie ruchu.

- To wszystko? Pocił się?

- Właśnie, pocił się - przytaknęła. Wiedziała, co Lou myśli, miał to wypisane na twarzy.

- Czy zaczął się pocić po tym, jak zadałaś mu

trudne i oskarżające pytania o Franconiego? Czy

też zaczął się pocić jeszcze przed rozmową z

tobą?

- Przed - wyznała uczciwie.

Lou wywrócił oczami.

- O rety! Kolejne wcielenie Sherlocka Holmesa.

Może powinnaś się wziąć za moją robotę? Nie

mam takiej intuicji i zdolności dedukcyjnych!

- Obiecałeś, że nie będziesz tak ze mną

rozmawiać - przypomniała mu Laurie.

- Nigdy nie obiecywałem - zaprzeczył.

- No dobrze, to była strata czasu. Zróbmy

kolację. Umieram z głodu.

Lou przełożył butelkę wina z jednej ręki do

drugiej, aby do końca wyzwolić ramię z

prochowca. Zamachnął się przy tym tak

nieszczęśliwie, że zrzucił ze stolika teczkę Laurie.

Uderzenie o podłogę zwolniło sprężynowy

zatrask i z teczki wysypała się zawartość. Hałas

przeraził kota, który desperacko starał się

wyminąć niespodziewane przeszkody na

wypolerowanej podłodze i szybko zniknął w

sypialni.

- Ależ ze mnie niezdara. Przepraszam! - Schylił

się, żeby pozbiierać dokumenty, długopisy, płytki z preparatami mikroskopowymi i inne drobiazgi i włożyć je do teczki, gdy zjawiała się Laurie.

- Może lepiej będzie, jeśli sobie usiądziesz - zaproponowała ze śmiechem.

- Nie, nalegam - odparł.

Kiedy już pozbięrali większość przedmiotów i włożyli do teczki, Lou podniósł kasetę wideo.

- A to co? Twoje ulubione filmy dla dorosłych?

- Tyle o ile - odpowiedziała.

Odwrócił ją w dłoni i przeczytał etykietkę.

- Zabójstwo Franconiego? CNN przysłało ci to ot tak sobie?

Laurie wyprostowała się.

- Nie. Prosiłam ich o to. Chciałam obejrzeć film i skonfrontować go z wynikami autopsji.

Pomyślałam, że ciekawe może być sprawdzenie, jak pewne są badania sądowe.

- Pozwolisz, że rzucę na to okiem? - zapytał Lou.

- Ależ oczywiście. Nie widziałeś filmu w telewizji?

- Tak jak wszyscy. Jednak obejrzenie tego na wideo może okazać się interesujące.

- Dziwię się, że nie macie kopii w komendzie.

- A wiesz, że może i mamy. W każdym razie nie widziałem.

- Człowieku, to nie twój wieczór - Warren zakpił z Jacka. - Za bardzo się postarzałeś.

Kiedy Jack zjawił się na boisku, zdecydował, że obojętnie z kim mu przyjdzie zagrać, musi wygrać. Za długo się naczekał na wejście do gry, żeby mogło być inaczej. Niestety, nie udało się.

Jack przegrał wszystkie mecze, ale musiało się tak stać, bo Warren i Spit znaleźli się w jednej drużynie, a kiedy grali razem, byli niepokonani.

Wygrali wszystkie gry włącznie z ostatnią, którą zwieńczyło proste, szybkie podanie i łatwe punkty zdobyte spod kosza przez Spita.

Jack podszedł do bocznej linii na gumowych nogach. Dał z siebie wszystko i czuł, że pot leje mu się po plecach. Zdjął ręcznik z furtki, na której powiesił go przed meczem, i przetarł twarz. Czuł, jak serce kołacze mu w piersiach.

- No dalej, człowieku! - Warren wołał kpiącym tonem z drugiego końca boiska. Nieprzerwanie kozłował piłkę między nogami do przodu i do tyłu. - Jeszcze jedna przebieżka. Damy ci wygrać.

- Tak, jasne! - krzyknął Jack. - Nigdy nikomu nie pozwoliłeś wygrać. Jestem wypompowany.

Warren podszedł powoli, zahaczył jednym palcem o siatkę ogrodzenia i wsparł się na niej.

- Co z twoją małą? Natalie wierci mi dziurę w brzuchu, od ostatniego spotkania ciągle o was pyta, wiesz, o czym mówię?

Jack popatrzył na wyrzeźbioną twarz Warrena.

Warren nawet nie był spocony, oddech też miał równy, w ogóle nie wyglądał na zmęczonego. A przecież już grał, kiedy Jack zjawił się na boisku.

Jedynym dowodem wysiłku był mały, mokry trójkąt na przodzie koszulki.

- Możesz zapewnić Natalie, że Laurie ma się dobrze. Wzięliśmy po prostu małe wakacje od siebie. Bardziej z mojego powodu. Chciałem nieco ochłodzić sprawy.

- Kapuję - Warren wyraził zrozumienie dla słów Jacka.

- Zeszłej nocy rozmawialiśmy. Sprawy zdają się przybierać lepszy obrót. W każdym razie pytała o ciebie i Natalie, więc nie zostaliście zapomniani.

Warren skinął.

- Na pewno masz dość na dzisiaj, czy chcesz

jeszcze raz spróbować?

- Mam dość.

- Trzymaj się, człowieku - powiedział Warren, odepchnął się od ogrodzenia i krzyknął w stronę kolegów: - Do roboty, dupki!

Jack z konsternacją pokręcił głową, widząc Warrena biegnącego lekkim truchtem. Jego wigor mógł budzić zazdrość. Warren naprawdę nie czuł zmęczenia.

Jack naciągnął bluzę i poszedł do domu. Nie wygrał ani jednej gry i chociaż na boisku było to przygniatające i frustrujące, teraz nie miało większego znaczenia. Wysilek fizyczny oczyścił jego umysł; przez półtorej godziny mógł nie myśleć o pracy.

Ale nie przeszedł nawet na drugą stronę Sto Szóstej Ulicy, kiedy dręcząca tajemnica

"topielca" zaczęła go znowu niepokoić. Idąc po zaśmieconych schodach, zastanawiał się, czy to możliwe, że Ted pomylił się przy testach DNA.

Im głębiej się zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że ofiara przeszła transplantację.

Kiedy minął drugie piętro, usłyszał uporczywy dźwięk dzwonka swojego telefonu. Wiedział, że to u niego, bo mieszkająca naprzeciwko Denise,

samotna matka wychowująca dwójkę dzieci, nie miała telefonu.

Czując ból w mięśniach, z pewnym wysiłkiem pokonał biegiem ostatnie pół piętra. W pośpiechu niezgrabnie starał się otworzyć kluczem drzwi. Kiedy przekraczał próg mieszkania, usłyszał automatyczną sekretarkę. Z trudem uwierzył, że mówi jego własnym głosem.

Podbiegł do aparatu i podniósł słuchawkę, przerywając samemu sobie w pół zdania.

- Halo - sapnął zdyszany. Po dziewięćdziesięciu minutach nieprzerwanej gry w koszykówkę bieg po schodach doprowadził go niemal do utraty przytomności.

- Tylko mi nie mów, że dopiero co wróciłeś z boiska - usłyszał głos Laurie. - Dochodzi dziewiąta, a to byłoby niezgodne z twoim rozkładem zajęć.

- Zjawiłem się w domu dopiero o siódmej trzydzieści - wyjaśnił między jednym a drugim oddechem. Wytrzeł twarz, z której pot kapał kroplami na podłogę.

- To znaczy, że jeszcze nie jadłeś - wywnioskowała.

- Trafiłaś w dziesiątkę.

- Wpadł do mnie Lou i mamy zamiar zrobić sobie spaghetti i sałatkę. Może byś do nas dołączył?

- Nie chciałbym zakłócać spotkania - odparł prowokująco. Równocześnie jednak poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Wiedział o krótkim romansie Lou z Laurie i mimowolnie pomyślał, czy nie zaczynają czegoś od nowa. Zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa do podobnych uczuć, szczególnie biorąc pod uwagę jego ambiwalentny stosunek do bliższego wiązania się z jakąkolwiek kobietą. Po stracie rodziny nie był pewny, czy chciałby się narażać na przeżywanie podobnego bólu. Jednocześnie przyznawał się do odczuwania samotności i przyjemności jaką czerpał z obcowania z Laurie.

- Nie zakłócisz żadnego spotkania - zapewniła go Laurie. - To bardzo zwyczajna kolacja. Ale mamy coś, co chcieliśmy ci pokazać. Coś, co może cię zaskoczy, a nawet sprowokuje do wymierzenia sobie samemu kopniaka w siedzenie. Jak się pewnie domyślasz, jesteśmy bardzo podekscytowani.

- Tak? - odpowiedział pytająco Jack. Zaszło mu w ustach. Słyszał w tle śmiech Lou, więc dodał dwa do dwóch i domyślił się, co chcą mu pokazać; to musiał być pierścionek! Lou z pewnością się oświadczył!

- Przyjedziesz? - zapytała Laurie.

- Jest już późno. Muszę wziąć prysznic.

- No, ty stary konowale - odezwał się Lou, który przejął słuchawkę od Laurie. - Zbieraj swój tyłek i przyjeżdżaj. Laurie i ja wręcz umieramy z niecierpliwością, żeby ci to pokazać.

- Dobra - odpowiedział Jack z rezygnacją. - Wskoczę pod prysznic i będę za jakieś czterdzieści minut.

- Do zobaczenia, stary - rzucił Lou.

Jack odwiesił słuchawkę. "Stary?" - mruknął pod nosem. To nie brzmiało normalnie jak na Lou. Musiał być w siódmym niebie.

- Powiedz, co mogłabym zrobić, żeby cię rozweselić - powiedziała Darlene. Miała na sobie seksowne jedwabne body od Victoria's Secret, lecz Raymond nawet tego nie zauważył.

Leżał na tapczanie z workiem lodu na głowie i zamkniętymi oczami.

- Na pewno nie chcesz nic zjeść? - zapytała. Była

wysoką kobietą, miała około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, jasne, tlenione włosy i ponętne ciało. Miała dwadzieścia sześć lat, jak oboje żartowali, była o połowę młodsza od niego. Zanim Raymond spotkał ją w "Auction House", przytulnym barze na East Side, pracowała jako modelka.

Powoli zdjął worek z głowy i spojrzał w stronę Darlene. Jej pełne życia krągłości wywoływały w nim wyłącznie irytację.

- Żołądek mam w gardle - odparł spokojnie. -

Nie chce mi się jeść. Czy to tak trudno zrozumieć?

- Nie rozumiem, dlaczego się złościysz. - Darlene obstawała przy swoim. - Miałaś telefon od lekarki z Los Angeles, która postanowiła dołączyć do załogi, a to oznacza, że niedługo wśród klientów zjawiają się gwiazdy filmowe.

Moim zdaniem powinniśmy to uczcić.

Raymond znowu położył worek na głowie i zamknął oczy.

- Nie chodzi o problemy związane z interesem.

Tu wszystko gra jak w zegarku. To te nieoczekiwane komplikacje, najpierw Franconi,

teraz znowu Kevin Marshall. - O Cindy Carlson

nie zamierzał wspominać. Prawdę

powiedziawszy, starał się nawet o niej nie

myśleć.

- Dlaczego ciągle martwisz się o Franconiego?

Tym problemem przecież ktoś się już zajął.

- Słuchaj - Raymond starał się zachować spokój -

może byłoby lepiej, gdybyś poszła sobie

pooglądać telewizję i pozwoliła mi cierpieć w

samotności.

- To może chociaż tosta albo jakieś pieczywo? -

zapytała Darlene.

- Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnął Raymond.

Usiadł i ścisnął w dłoni worek z lodem. Oczy

niemal wyszły mu z orbit, twarz płonęła.

- Dobrze, już dobrze, doskonale wiem, kiedy nie

jestem potrzebna. - Darlene wydeła wargi. Kiedy

wychodziła z pokoju, zadzwonił telefon.

Odwróciła się do Raymonda i zapytała: - Chcesz,

żebym odebrała?

Skinął głową. Kazał jej odebrać w gabinecie i

powiedzieć, że nie wie, gdzie on może się teraz

znajdować, bo nie miał ochoty z nikim

rozmawiać.

Darlene przyjęła polecenie i poszła do gabinetu.

Raymond głęboko odetchnął i znowu przyłożył worek z lodem. Wyciągnął się i spróbował zrelaksować. Gdy już prawie poczuł, że wraca do życia, dziewczyna wróciła.

- To nie telefon, tylko domofon - poinformowała.

- Na dole jest jakiś człowiek i chce się z tobą zobaczyć. Nazywa się Franco Ponti i mówi, że to ważne. Powiedziałam, że muszę sprawdzić, czy jesteś u siebie. Co mam odpowiedzieć?

Raymond usiadł. Ogarnął go niepokój. Przez chwilę nie potrafił skojarzyć nazwiska, ale czuł, że nie zwiastuje niczego dobrego. Nagle przypomniał sobie. To był jeden z ludzi Vinniego Dominicka, z którym gangster przyszedł do jego domu.

- Więc? - zapytała Darlene.

Raymond głośno przełknął ślinę.

- Porozmawiam z nim. - Sięgnął za kanapę i podniósł drugą słuchawkę domofonu. Starał się, żeby jego "halo" zabrzmiało pewnie i autorytatywnie.

- Sie masz, doktorze - bezceremonialnie przywitał go Franco. - Byłbym bardzo

rozczarowany, gdybym cię nie zastał w domu.

- Właśnie zamierzałem się położyć spać. Jest już raczej późno jak na wizyty.

- Serdecznie przepraszamy za porę, ale Angelo Facciolo i ja mamy coś, co chcielibyśmy panu pokazać.

- Czy nie możemy tego odłożyć do jutra?

Powiedzmy między dziewiątą a dziesiątą.

- To nie może czekać. No dalej, doktorze! Nie

kuś losu. Specjalnym życzeniem Vinniego

Dominicka było, żebyś się osobiście zapoznał z

jakością świadczonych przez nas usług.

Raymond gwałtownie próbował wymyślić jakąś

wymówkę, żeby nie schodzić na dół, ale przy tym

bólu głowy wysiłek nie przyniósł żadnych

rezultatów.

- Dwie minutki, tylko o tyle proszę - powiedział

Franco.

- Jestem strasznie zmęczony. Obawiam się, że...

- Zamknij się, doktorku, i posłuchaj: masz zejść

tu na dół albo zrobi ci się bardzo przykro. Mam

nadzieję, że wyrażam się dość jasno.

- Tak, schodzę - poddał się, widząc, że nie

uniknie spotkania. Nie był taki naiwny, żeby

sądzić, iż Dominick lub jego ludzie rzucają

pogróżki na wiatr. - Zaraz będę.

Poszedł do garderoby, zdjął z wieszaka płaszcz i
zarzucił na ramiona.

Darlene była zaskoczona.

- Wychodzisz?

- Wygląda na to, że nie mam wielkiego wyboru.

Chyba mogę się cieszyć, że nie chcą wejść na
górze.

Kiedy znalazł się w windzie, spróbował się
uspokoić, ale nie było to łatwe, tym bardziej że
ból głowy jeszcze się wzmógł. Ta nieoczekiwana i
nie chciana wizyta sprawiła, że czuł się
nieznośnie. Nie miał pojęcia, co ci ludzie chcą
mu pokazać, chociaż domyślał się, że musi to
mieć jakiś związek z tym, jak załatwili sprawę
Cindy Carlson.

- Dobry wieczór, doktorze - powiedział Franco,
kiedy Raymond wyszedł z budynku. -

Przepraszam, że sprawiamy tyle kłopotu.

- Nie przedłużajmy niepotrzebnie - odparł

Raymond. Starał się być bardziej pewny siebie,
niż rzeczywiście był.

- Będzie krótko i uroczo, wierz mi. Jeśli nie masz

nie przeciwko - powiedział i wskazał na ulicę w stronę zaparkowanego tuż przy hydrancie forda sedana. Angelo ni to siedział, ni stał oparty o bagażnik i palił papierosa.

Raymond podszedł za Frankiem do samochodu.

Angelo wyprostował się i odsunął na bok.

- Chcielibyśmy, żebyś zerknął na momencik do bagażnika - powiedział Franco. Podszedł do wozu od tyłu i kluczykiem otworzył pokrywę. - Zbliź się, żeby lepiej widzieć. Światło nie jest najlepsze.

Raymond stanął między fordem a zaparkowanym za nim kolejnym samochodem, dosłownie centymetry od pokrywy bagażnika, kiedy Franco ją podniósł.

W następnej sekundzie Raymond poczuł, jak serce przestaje mu bić. W chwili kiedy stanął przed nim upiorny widok martwego ciała Cindy Carlson zwiniętego w bagażniku, błysnęło ostre światło.

Raymond cofnął się gwałtownie. Zrobiło mu się niedobrze na samo wspomnienie nalanej, porcelanowej twarzy dziewczyny, która wbiła mu się w pamięć, i niespodziewanego błysku, w

którym natychmiast rozpoznał flesz polaroidu.

Franco zamknął bagażnik i otrzepał dłonie.

- Jak wyszło zdjęcie? - zapytał Angela.

- Trzeba poczekać minutkę - odparł drugi z gangsterów, trzymając zdjęcie za narożnik.

Czekał, aż ukaże się sfotografowany obraz.

- Jeszcze tylko sekundkę - powiedział Franco do Raymonda.

Raymond mimowolnie jęknął pod nosem, wzrokiem szaleńczo przeczesywał okolice, aby się upewnić, czy nikt poza nim nie zauważył ciała w samochodzie.

- Dobrze wygląda - stwierdził Angelo i wręczył fotografię Francowi, który spojrzał na nią i zgodził się. Wyciągnął zdjęcie tak, żeby i Raymond mógł się przypatrzeć.

- Powiedziałbym, że to twój lepszy profil - zauważył Franco.

Raymond ciężko przełykał. Zdjęcie tak samo dobrze pokazywało jego ciężkie przerażenie, jak i ciało martwej dziewczyny.

Franco schował fotkę do kieszeni.

- No, to by było na tyle, doktorze. Mówiłem, że nie zabierzemy wiele czasu.

- Po co to zrobiliście? - zapytał Raymond

łamiącym się głosem.

- To był pomysł Vinniego - wyjaśnił Franco. -

Pomyślał, że dobrze by było mieć dowód

przysługi, którą ci oddał, tak na wszelki

wypadek.

- Na jaki wypadek?

Franco rozłożył ręce.

- Przecież mówię, na wszelki wypadek.

Franco i Angelo wsiedli do samochodu, a

Raymond wrócił na chodnik. Patrzył, aż ford

dojechał do skrzyżowania i zniknął za

narożnikiem.

- Dobry Boże! - mruknął. Odwrócił się i na

chwiejnych nogach ruszył w stronę domu. Ile

razy udało mu się rozwiązać jeden problem,

natychmiast stawał przed nim następny.

Prysznic wrócił Jackowi utracone siły. Laurie nic

nie mówiła o rowerze, postanowił więc

skorzystać z tego środka transportu. Ruszył na

południe w niezłym tempie. Pamiętając przykre

doświadczenia sprzed roku, trzymał się Central

Park West aż do Columbus Circle. Tu skręcił w

Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę i dojechał do Park

Avenue. O tej porze była zupełnie pusta, więc

jechał nią aż do ulicy, przy której mieszkała

Laurie. Zabezpieczył rower całą kolekcją klódek i

podszedł do drzwi. Zanim nacisnął dzwonek,

zastanowił się przez chwilę, co najlepiej

powiedzieć i jak się zachowywać.

Laurie przywitała go w drzwiach z szerokim

uśmiechem na ustach. Nim zdążył cokolwiek

powiedzieć objęła go za szyję i serdecznie

uściskała. W drugiej ręce trzymała butelkę wina.

- Aha - powiedziała, robiąc krok w tył. Przyjrzała

się jego rozwianym włosom. - Zapomniałam o

rowerze. Nie mów mi, że przyjechałeś na nim.

Jack przybrał minę winowajcy.

- No tak, to do ciebie podobne. - Pomogła mu

zdzjąć kurtkę.

Jack zobaczył Lou siedzącego na kanapie.

Uśmiech miał taki, że mógł rywalizować z Kotem

z Cheshire*. [przyp.: Kot z Cheshire - postać z

książki Alicja w krainie czarów, miał zwyczaj

powolnego znikania, aż pozostawał po nim tylko

szeroki uśmiech (przyp. tłum).]

Laurie chwyciła Jacka za rękę i pociągnęła do

pokoju.

- Najpierw chcesz niespodziankę, czy wolisz przedtem zjeść? - zapytała.

- Niech będzie niespodzianka - zdecydował.

- Dobra - rzucił Lou, wstał z kanapy i podszedł do telewizora.

Laurie nakazała Jackowi usiąść na miejscu, które właśnie zwolnił Lou.

- Chcesz kieliszek wina?

Skinął. Był zaskoczony. Nie widział żadnego pierścionka, a Lou najwyraźniej zajęty był pilotem od magnetowidu. Laurie zniknęła w kuchni, ale szybko wróciła z winem.

- Nie wiem, jak to działa - powiedział Lou. - W domu córka obsługuje takie rzeczy.

Laurie wzięła od niego pilota i kazała mu najpierw włączyć telewizor.

Jack upił mały łyk wina. Nie było wiele lepsze od tego, które przyniósł poprzedniego wieczoru.

Laurie i Lou usiedli obok Jacka na kanapie. Jack popatrzył na nich, ale wyraźnie go ignorowali.

Bez wątplenia mieli ochotę na oglądanie telewizji.

- Co z tą niespodzianką? - zapytał.

- Tylko patrz - Laurie wskazała na zaśnieżony

ekran telewizora.

Jeszcze bardziej zaskoczony zaczął wpatrywać się w ekran. Nagle zabrzmiała muzyka i pojawiło się logo CNN, a zaraz potem z restauracji na Manhattanie wyszedł otyły mężczyzna. Jack rozpoznał "Positano". Mężczyzna znajdował się w otoczeniu grupy ludzi.

- Może powinnam podkreślić głos? - zapytała Laurie.

- Nie, to niepotrzebne - uznał Lou.

Jack obejrzał film. Kiedy było po wszystkim, spojrzął pytająco na Laurie i Lou. Oboje uśmiechali się szczerze i szeroko.

- O co wam chodzi? - zapytał. - Ile wina wypiliście?

- Wiesz, co przed chwilą obejrzałeś? - spytała Laurie.

- Wyglądało, jakby ktoś został zastrzelony.

- To był Carlo Franconi. Z niczym ci się nie kojarzy to, co zobaczyłeś?

- Ze starymi filmami, jak zabili Lee Harveya Oswald.

- Pokaż mu to jeszcze raz - zaproponował Lou.

Jack obejrzał film po raz drugi. Swoją uwagę

podzielił między obraz z taśmy a obserwację zachowania dwójki przyjaciół. Oboje byli pochłonięci filmem.

Po zakończonej projekcji Laurie odwróciła się w stronę Jacka i zapytała:

- I?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, co chcielibyście ode mnie usłyszeć.

- Pozwól, że fragment obejrzymy raz jeszcze, ale w zwolnionym tempie - powiedziała Laurie.

Wybrała moment, kiedy Franconi próbował wsiąść do limuzyny. Puściła taśmę niemal klatka po klatce i zatrzymała dokładnie w chwili, gdy został postrzelony. Podeszła do telewizora i palcem wskazała na kark mężczyzny. - Tu weszła kula - powiedziała. Przesunęła taśmę do momentu, w którym ofiara padła na prawy bok.

- A niech to! - rzucił zaskoczony Jack. - Mój "topielec" może być Carlem Franconim.

Laurie odwróciła się na pięcie i stanęła tyłem do telewizora. Oczy jej błyszczały.

- O to chodzi! - powiedziała triumfalnie. -

Oczywiście nie dowiedliśmy tego jeszcze, ale z

usytuowania ran wlotowych i drogi pocisków w

ciele "topielca" wynika, że można na to postawić pięć dolarów.

- Ho, ho! Mogę przyjąć zakład o pięć dolarów,
ale pozwól przypomnieć, że to sto procent więcej
niż kiedykolwiek zaryzykowałeś w mojej
obecności - skomentował Jack.

- Jestem pewna tego, co mówię - powiedziała
Laurie.

- Laurie niezwykle szybko kojarzy różne rzeczy -
zauważył Lou. - Podobieństwa wychwytuje w
mgnieniu oka. Zawsze sprawia, że czuję się przy
niej głupio.

- Wynoś się stąd! - zawołała i dała przyjacielowi
lekkiego kuksańca.

- Czy to jest ta niespodzianka, o której chcieliście
mi powiedzieć? - Jack zapytał ostrożnie. Nie
chciał, by nadzieje okazały się płonne.

- Tak. A co się stało? Nie jesteś tak
podekscytowany odkryciem jak my? - spytała
zaskoczona Laurie.

Jack roześmiał się z ulgą.

- Ależ szaleję z radości!

- Nigdy nie wiem, kiedy mówisz poważnie. -

Wyczuła w odpowiedzi szczyptę sarkazmu tak

charakterystycznego dla Jacka.

- To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od wielu dni. Może tygodni - odparł.

- Wystarczy. Żebyśmy tylko nie przedobrzyli - powiedziała i wyłączyła telewizor i magnetowid.

- Dość niespodzianek, zabierzmy się za jedzenie.

W czasie kolacji zastanawiali się, dlaczego nikt wcześniej nie wpadł na to, że okaleczone zwłoki wyłowione z wody to Carlo Franconi.

- Według mnie miał rany, których, jak sądziłam, Franconi mieć nie mógł - stwierdziła Laurie. -

Poza tym zmyliło mnie to, że ciało wyłowili w pobliżu Coney Island. Gdyby znaleźli je w East River, to co innego, ale tak...

- Myślę, że zmyliło mnie to samo - przyznał Jack. - No a kiedy odkryłem, że rany zadano po śmierci, całą moją uwagę zaprzętnęła sprawa wątroby. Ale, ale. Lou, czy Franconi przechodził transplantację wątroby?

- Nic o tym nie wiem. Chorował od wielu lat, jednak osobiście nigdy nie poznałem diagnozy.

Nic też nie słyszałem o transplantacji wątroby.

- Jeżeli nie miał transplantacji, to "topielec" nie jest Franconim - Jack stwierdził kategorycznie. -

Chociaż laboratorium DNA bardzo ciężko

pracuje, żeby to potwierdzić, osobiście jestem
całkiem pewny, że wątroba została
przeszczepiona.

- Co jeszcze musielibyście zrobić, aby upewnić
się, że mamy jednak do czynienia z Carlem
Franconim? - zapytał Lou.

- Powinniśmy zbadać próbkę krwi jego matki -
odpowiedziała Laurie. - Porównując
mitochondrialne DNA, które wszyscy
dziedziczymy wyłącznie po matce, na sto procent
będziemy mogli powiedzieć, czy mamy
Franconiego. Jestem pewna, że matka się
zgodzi, skoro była jedyną osobą, która
dobrowolnie zgłosiła się do identyfikacji.

- Szkoda, że nie zrobiono prześwietlenia zaraz
po przyjęciu Franconiego. Mogłoby pomóc -
zauważył Jack.

- Zrobiono! - stwierdziła z podnieceniem Laurie.

- Odkryłam to dziś wieczorem. Marvin je
wykonał.

- To gdzie, u diabła, podziały się zdjęcia?

- Marvin twierdzi, że Bingham je zabrał. Muszą
się znajdować u niego w biurze.

- W takim razie sugeruję mały najazd na Zakład

Medycyny Sądowej - zaproponował Jack. -

Bardzo bym chciał poważnie zabrać się do sprawy.

- Biuro Bingham'a będzie zamknięte -
przypomniała Laurie.

- Moim zdaniem sytuacja wymaga twórczego zachowania - odparł Jack.

- Amen - przytaknął Lou. - To może być przełom, na który czekałem.

Zaraz po zjedzeniu i posprzątaniu kuchni, co na własne żądanie zrobili wspólnie Jack i Lou, zamówili taksówkę i we trójkę udali się do kostnicy.

- Mój Boże! - zawołał Marvin, widząc Laurie i Jacka. Rzadko się zdarzało, by dwóch patologów naraz odwiedzało kostnicę wieczorem. - Czy mamy do czynienia z klęską żywiołową?

- Gdzie są portierzy? - zapytał Jack.

- Ostatnio widziałem ich w portierni. Poważnie, co się dzieje?

- Kryzys osobowości - odpalił Jack.

Poprowadził całą trójkę do sali autopsyjnej i z hałasem otworzył drzwi. Marvin miał rację. Obaj portierzy byli zajęci polerowaniem lastryko, z

którego wykonano posadzkę głównego holu.

- Spodziewam się, chłopcy, że macie klucze do gabinetu szefa - powiedział Jack.

- Tak, pewnie - odpowiedział Daryl Foster. Daryl pracował w Zakładzie Medycyny Sądowej od trzydziestu lat. Przy nim Jim O'Donnel był względnie nowym pracownikiem.

- Musimy tam wejść. Mógłby nam pan otworzyć?

Daryl zawahał się.

- Szef jest bardzo wrażliwy na punkcie wpuszczania obcych do jego biura - odparł.

- Biorę odpowiedzialność na siebie - zaoferował się Jack. - To sytuacja nadzwyczajna. Poza tym jest z nami porucznik Lou Soldano z komendy policji, który do minimum ograniczy niebezpieczeństwo kradzieży.

- Bo ja wiem - zastanawiał się Daryl.

Najwyraźniej nie czuł się w tej sytuacji najlepiej, poczucia humoru Jacka raczej także nie akceptował.

- W takim razie niech mi pan da klucz - zaproponował Jack. - Sam otworzę, a pan nie będzie w to wplątany.

Z widoczną ulgą Daryl odłączył dwa klucze od

swojego pęku i wręczył je Jackowi.

- Ten jest do sekretariatu, a ten do gabinetu -
objaśnił.

- Zwrócę je za pięć minut - obiecał Jack.

Daryl nie odpowiedział.

- Ten biedny człowiek wydawał się zastraszony -
zauważył Lou, kiedy weszli do windy.

- Gdy Jack wyrusza na wyprawę, miej się na
baczności - wtrąciła Laurie.

- Biurokracja mnie irytuje - oznajmił Jack. - Nie
ma żadnych powodów, żeby zdjęcia
rentgenowskie przechowywane były w biurze
szefa.

Jack najpierw otworzył drzwi do sekretariatu,
potem do gabinetu Bingham'a i zapalił światło.

Pokój był duży. Pomiędzy oknem po lewej i
sporym stołem po prawej stronie stało duże
biurko. Przybory naukowe, w tym także tablica i
podświetlany pulpit do analizy zdjęć
rentgenowskich znajdowały się przed stołem.

- Gdzie powinniśmy szukać? - zapytała Laurie.

- Miałem nadzieję, że będą na podświetlanym
pulpicie, ale tu ich nie widzę. W takim razie ja
zajmę się biurkiem i szafką z dokumentami, a ty

przeszukaj pozostałe miejsca.

- Dobra - zgodziła się Laurie.

- Co ja mam robić? - spytał Lou.

- Ty tylko stój i obserwuj, czy niczego nie kradniemy - zadrwił Jack.

Jack wysunął kilka szuflad z teczkami, ale szybko je zamknął. Zdjęcie całego ciała musiało być w dużej kopercie, a taką niełatwo schować.

- To wygląda obiecująco - odezwała się Laurie po chwili szukania. W szufladzie pod podświetlanym pulpitem znalazła sporą porcję zdjęć rentgenowskich. Wyjęła wszystkie koperty na pulpit i zaczęła przeglądać nazwiska. Znalazła Franconiego, wyjęła kopertę, a pozostałe odłożyła na miejsce.

Wracając na dół, Jack wziął po drodze prześwietlenia swojego "topielca" i z dwiema dużymi kopertami skierował się do sali autopsyjnej. Oddał Daryłowi klucze i podziękował. Portier ledwo skinął.

- No, to do dzieła, proszę państwa! -

zapowiedział przedstawienie, zbliżając się do podświetlanego pulpitu. - Nadszedł moment krytyczny. - Wpiął zdjęcie Franconiego, a obok

zdjęcie zdekapitowanego ciała wyłowionego z oceanu.

- I co wy na to? - zapytał po chwili. - Jestem Laurie winien pięć dolarów!

Kiedy Jack wręczył pieniądze, Laurie wydała okrzyk triumfu. Lou drapał się po głowie i w końcu podszedł do pulpitu, aby lepiej przypatrzeć się zdjęciom.

- Skąd wiecie po jednym rzucie okiem?

Jack wskazał na wielopunktowe zacienienia kul otoczonych masą śrutu na zdjęciach nie zidentyfikowanego trupa i zwrócił uwagę na analogiczne plamy na zdjęciu Franconiego.

Następnie wskazał na identycznie zrośnięty obojczyk na obu zdjęciach.

- Wspaniale - stwierdził Lou i zatarł ręce z entuzjazmem niemal równym temu, który zaprezentowała Laurie. - Teraz, kiedy mamy corpus delicti, będziemy mogli nieco się posunąć w sprawie.

- A ja wreszcie zdołam wyjaśnić, co, u diabła, stało się z jego wątrobą - dodał Jack.

- Z taką masą forsy urządzę sobie wielkie kupowanie - powiedziała Laurie, całując

pięciodolarowy banknot. - Ale najpierw muszę się dowiedzieć, jak i dlaczego ciało wywędrowało od nas za pierwszym razem.

Pomimo zażycia dwóch tabletek nasennych Raymond nie mógł zasnąć, i po cichu, żeby nie zbudzić Darlene, zsunął się z łóżka. Nie żeby się szczególnie nią przejmował. Darlene miała zresztą tak mocny sen, że sufit mógłby się zwalić, a nie ruszyłaby się.

Poszedł do kuchni. Zapalił światło. Nie był głodny, lecz uznał, że odrobina ciepłego mleka może uspokoić jego roztrzęsiony żołądek. Od czasu, gdy zobaczył tamten okropny widok w bagażniku forda, paliła go straszna zgaga. Zażył maalox, pepcid AC w końcu pepto-bismol. Nic nie pomogło.

Raymond nie poruszał się swobodnie w kuchni, przede wszystkim nie wiedział, gdzie co jest schowane. W efekcie stracił trochę czasu, zanim podgrzał mleko i znalazł odpowiednie naczynie. Kiedy już nalał mleko do szklanki, zabrał ją do gabinetu i usiadł za biurkiem.

Po kilku łykach zorientował się, że jest już piętnaście po trzeciej nad ranem. Mimo szumu

w głowie wywołanego tabletkami łatwo wyliczył,
że w Strefie jest teraz po godzinie dziewiątej,
dobry czas na rozmowę z Siegfriedem
Spallekiem.

Połączenie było niemal natychmiastowe. O tej
godzinie łącza z Ameryką były minimalnie
obciążone. Aurielo odpowiedział szybko i
natychmiast połączył go z szefem.

- Wczesnie wstałeś - przywitał go Siegfried. -

Chciałem zadzwonić do ciebie za jakieś cztery,
pięć godzin.

- Nie mogłem spać - wyjaśnił Raymond. - Co się
u was dzieje? Jaki masz problem z Kevinem
Marshalllem?

- Myślę, że już po kłopotcie - oświadczył

Siegfried. Streścił pokrótce, co wydarzyło się w

Strefie, pochwalił przy tym Bertrama Edwardsa

za ostrzeżenie, dzięki któremu można było

śledzić Marshalla. Powiedział, że Kevin i jego

przyjaciółki zostali tak nastraszeni, że z

pewnością nawet nie pomyślały o zbliżaniu się do
wyspy.

- O jakich przyjaciółkach mówisz? Przecież

Kevin zawsze był samotnikiem.

- Poszedł tam z technologiemi z reprodukcji i pielęgniarstwa z chirurgii. Szczerze powiem, że i nas to zaskoczyło, bo rzeczywiście cały czas był takim marabutem, czy jak to wy, Amerykanie, mówicie, człowiekiem społecznie nieprzystosowanym.

- Odludkiem? - powiedział Raymond.

- No właśnie.

- I przypuszczam, że powodem wizyty na wyspie był ten ogień, który go tak bardzo niepokoił?

- Tak utrzymuje Bertram. Ale Bertram ma też dobry pomysł. Powiemy Kevinowi, że ogień rozpalają robotnicy, którzy budują most nad rzeką dzielącą wyspę na dwie części.

- Ale nie robią tego - stwierdził Raymond.

- Oczywiście, że nie - przyznał Siegfried. -

Ostatnią robotą, jaką robiliśmy, była platforma do podniesienia mostu łączącego wyspę ze stałym lądem. Oczywiście Bertram wysłał tam paru ludzi, żeby przewieźć kilkaset klatek.

- Pierwsze słyszę o jakichś klatkach na wyspie. O czym ty znowu mówisz?

- Bertram nalega na porzucenie pomysłu z trzymaniem małp w izolacji na wyspie. Uważa,

że powinniśmy przetransportować bonobo do centrum weterynaryjnego i jakoś je ukryć.

- Chcę, żeby zostały na wyspie - Raymond podniósł głos. - Taka była umowa z GenSys.

Mogą zamknąć cały program, jeżeli małpy znajdą się w centrum. Paranoicznie boją się rozgłosu.

- Wiem. To właśnie powiedziałem Bertramowi.

Rozumie, ale na wszelki wypadek chciał tam przetransportować klatki. Nie widziałem w tym niczego niebezpiecznego. Właściwie to nawet dobrze być przygotowanym na niespodzianki.

Raymond nerwowo przeczesał palcami włosy.

Nie chciał słuchać o żadnych "niespodziankach".

- Dzwoniłem, żeby cię zapytać, jak twoim zdaniem powinniśmy postąpić z Kevinem i kobietami - zapytał Siegfried. - Ale od tamtej pory nastraszyliśmy ich zdrowo, wymyśliliśmy historyjkę z ogniem i sędzę, że wszystko mamy pod kontrolą.

- Ale nie dostali się na wyspę, prawda?

- Nie, zbliżyli się tylko do miejsca, z którego przewozimy pożywienie małpom.

- Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek tam się

zbliżał.

- Rozumiem - zapewnił Siegfried. - Z powodów, o których już mówiłem, nie sądzę, żeby Kevin tam wrócił. Ale by mieć całkowitą pewność, wyślę w okolice mostu grupę Marokańczyków i oddział żołnierzy gwinejskich, co, mam nadzieję, przyjmiesz z aprobatą.

- Może być - odparł Raymond. - Ale powiedz mi, co ty sądzisz na temat dymu z wyspy, zakładając, że Kevin ma rację?

- Ja? Nie interesuje mnie, co te małpy wyprawiają, dopóki tam pozostają i są zdrowe. Czy ciebie to niepokoi?

- Nie, w najmniejszym stopniu.

- Może powinniśmy posłać im kilka piłek do nogi

- zażartował Siegfried. - To bym im pewnie zapewniło jakąś rozrywkę. - Roześmiał się serdecznie.

- Nie wydaje mi się, żeby to był powód do żartów

- powiedział poirytowany Raymond. Nie lubił Siegfrieda, chociaż doceniał sprawność, z jaką prowadził całe przedsięwzięcie. Potrafił sobie wyobrazić szefa, otoczonego całą tą wypchaną menażerią i czaszkami stojącymi przed nim na

biurku.

- Kiedy przyjedziesz po pacjenta? Mówiłem już, że ma się doskonale i jest gotowy do powrotu.

- To świetnie. Zadzwoń do Cambridge i jak tylko będą mieli wolny samolot, przylatujemy.

Myślę, że zabierze to dzień, najwyżej dwa.

- Daj znać - poprosił Siegfried. - Przyjadę po ciebie do Bata.

Raymond odłożył słuchawkę i odetchnął z ulgą.

Cieszył się, że zadzwonił do Afryki, ponieważ niepokój trapiący go od wielu godzin miał swoje

źródło między innymi w poprzednim telefonie

Siegfrieda i enigmatycznej informacji o

kłopotach z Kevinem. Dobrze było wiedzieć, że

kryzys został zażegnany. Pomyślał nawet, że

gdyby udało mu się wyrzucić z umysłu

przygnębiające wspomnienie leżącej w

bagażniku Cindy Carlson, to poczułby się znowu

tak dobrze jak kiedyś.

ROZDZIAŁ 13

6 marca 1997 roku

godzina 12.00

Cogo, Gwinea Równikowa

Kevin całkowicie stracił poczucie czasu. Od kilku

godzin siedział wpatrzony w ekran komputera.

Nagle pukanie zburzyło jego koncentrację. Wstał od biurka i poszedł otworzyć drzwi. Z radością ujrzał Melanie, która, nie zwlekając, wślizgnęła się do gabinetu. Miała ze sobą dużą papierową torbę.

- Gdzie się podziali twoi technicy? - spytała.

- Dałem im wolny dzień. W żaden sposób nie potrafiłem się dzisiaj skupić na pracy, więc kazałem im się cieszyć słońcem. Mieliśmy strasznie długą porę deszczową, która wróci do nas, zanim się obrócimy.

- Gdzie jest Candace? - zapytała Melanie, odkładając pakunek na laboratoryjny blat.

- Nie wiem. Nie widziałem się z nią ani nie rozmawiałem, odkąd rano rozstaliśmy się przed szpitalem.

To była długa noc. Po spędzeniu około godziny w lodówce, Melanie namówiła ich do przejścia do dyżurki, którą zajmowała w centrum weterynaryjnym. Pozostali w niej do rana, drzemiąc na zmianę. Kiedy zaczęli się zjawiać pracownicy, wszyscy troje wmieszali się niepostrzeżenie między nich i bez incydentów

zdołali wrócić do Cogo.

- Wiesz, jak można się z nią skontaktować?

- Podejrzewam, że wystarczy zadzwonić do

szpitala i poprosić o przywołanie - zasugerował

Kevin. - Chyba że jest w swoim pokoju, w

zajeździe, co biorąc pod uwagę dobre

samopoczucie Horace'a Winchestera, jest wielce

prawdopodobne. - Zajazdem nazywano w Strefie

kwatery dla personelu przyjeżdżającego z

pacjentami. Pokoje zostały wydzielone w

kompleksie szpitalno-laboratoryjnym.

- Racja - zgodziła się Melanie. Podniosła

słuchawkę i poprosiła centralę o połączenie z

pokojem Candace. Dziewczyna odpowiedziała

po trzecim sygnale. Z głosu jasno wynikało, że

spała.

- Idę z Kevinem na wyspę - powiedziała bez

wstępów Melanie. - Chcesz się przyłączyć czy

wolisz tu zostać?

- O czym ty mówisz? - wtrącił zdenerwowany

Kevin. Melanie kiwnęła w jego stronę, żeby był

cicho.

- Kiedy? - zapytała Candace.

- Jak tylko się tu zjawisz. Jesteśmy w

laboratorium Kevina.

- To mi zabierze jakieś pół godziny. Muszę wziąć prysznic.

- Czekamy - odpowiedziała Melanie i odłożyła słuchawkę.

- Melanie, czyś ty zwariowała? Musi upłynąć nieco czasu, zanim znowu zaryzykujemy wyprawę na wyspę - zaprotestował Kevin.

- Ta dziewczyna tak nie uważa - powiedziała Melanie, wskazując na siebie palcem. - Im szybciej tam pójdziemy, tym lepiej. Jeżeli Bertram odkryje, że zginął klucz, zmieni zamek, i znajdziemy się w punkcie wyjścia. Poza tym, jak powiedziałam w nocy, uważają nas za ciężko przestraszonych. Jeżeli pójdziemy teraz, to unikniemy spotkania ze strażnikami, których na pewno jeszcze nie wystawili.

- Nie wydaje mi się, żebym miał na to ochotę.

- Och, naprawdę? - zapytała lekceważącym tonem. - Hej, przecież to ty wywołałeś całe zamieszanie, w które jesteśmy teraz wplątani. Zaczęło się od twoich obaw, a teraz ja także jestem zaniepokojona. Dzisiaj rano widziałam pewne dowody pośrednio potwierdzające nasze

podejrzenia.

- Co takiego?

- Weszłam do części zamkniętej, w której trzymamy bonobo w centrum. Upewniłam się, że nikt mnie nie zauważył, więc nie masz powodów do obaw. Straciłam godzinę, ale udało mi się znaleźć matkę z jednym z naszych małych bonobo.

- I? - zapytał Kevin, chociaż nie był pewny, czy chce usłyszeć resztę.

- Przez cały czas, gdy tam byłam, małe chodziło na tylnych kończynach tak jak ty czy ja. - Oczy Melanie rozbłysły uczuciem graniczącym ze złością. - Istoty tak się zachowujące zwykliśmy nazywać dwunożnymi.

Kevin skinął głową i spojrzał w drugą stronę.

Napięcie Melanie odbierało mu odwagę, a jej słowa potwierdzały najgorsze przypuszczenia.

- Musimy się na sto procent przekonać, jak jest naprawdę. A możemy to zrobić tylko w jeden sposób: idąc tam - podsumowała Melanie.

Kevin znowu skinął głową.

- Przygotowałam kilka kanapek - wskazała na papierową torbę. - Wyobraź sobie, że jedziemy

na piknik.

- Ja również odkryłem dziś rano coś
niepokojącego. Pozwól, że ci zademonstruję. -

Przysunął taboret do komputera. Poprosił
Melanie, żeby usiadła, a sam zajął swoje miejsce.

Uderzył w kilka klawiszy i na ekranie pojawiła
się mapa Isla Francesca. - Nakazałem
komputerowi kontrolować przez kilka godzin
aktywność wszystkich siedemdziesięciu trzech
bonobo. Następnie skondensowałem dane tak,
że mogłem obserwować ich aktywność w
przyspieszonym tempie - wyjaśnił. - Popatrz co z
tego wyszło.

Kliknął myszką, żeby rozpocząć wyświetlanie
pożądanego obrazu. Liczne czerwone punkty
błyskawicznie wytyczyły skomplikowany wzór
geometryczny. Zabrało to jedynie kilka sekund.

- Wygląda, jakby kura nabazgrała pazurem -
stwierdziła Melanie.

- Jeśli nie liczyć tych dwóch punktów - zwrócił
uwagę Kevin.

- Najwyraźniej te dwa nie ruszały się za dużo.

- No właśnie. Oznaczone są numerami
sześćdziesiąt i sześćdziesiąt siedem. - Kevin

sięgnął po mapę topograficzną wyspy, którą wyniósł niechcący z gabinetu Bertrama. -

Wyrysowałem marszrutę małpy numer sześćdziesiąt. Zmierzała prosto na południe w stronę Lago Hippo. Według mapy nie ma tam drzew.

- Jakie jest twoje wyjaśnienie?

- Poczekaj. Potem wybrałem fragment siatki, uzyskując obraz kwadratu wyspy, w którym zlokalizowałem numer sześćdziesiąt.

Wydzieliłem kwadrat o boku około piętnastu metrów. Popatrz, co się stało.

Znowu kliknął po uprzednim wybraniu opcji.

Jeszcze raz czerwony punkt reprezentujący bonobo numer sześćdziesiąt pojawił się na ekranie.

- W ogóle się nie rusza - zauważyła Melanie.

- Obawiam się, że nie - przytaknął Kevin.

- Sądzisz, że śpi?

- O tej porze? A poza tym nawet we śnie powinien się poruszać. Zastosowana skala pozwoliłaby to zobaczyć. System jest wystarczająco czuły.

- Jeśli nie śpi, to co robi?

Kevin wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może znalazł sposób na pozbycie się nadajnika.

- O tym nie pomyślałam. To straszne podejrzenie.

- Oprócz tego przychodzi mi do głowy, tylko jedno rozwiązanie: śmierć bonobo.

- Myślę, że to możliwe. Ale wydaje się mało prawdopodobne. To młode, nadzwyczajnie zdrowe zwierzęta. Upewniliśmy się o tym. Do tego przebywają w środowisku pozbawionym naturalnych wrogów, a pożywienia mają pod dostatkiem.

Kevin westchnął.

- Cokolwiek to jest, jest niepokojące i jeżeli dostaniemy się tam, musimy to sprawdzić.

- Ciekawe, czy Bertram o tym wie? Ogólnie rzecz biorąc, nie wróży to dobrze całemu programowi

- stwierdziła Melanie.

- Myślę, że powinienem mu powiedzieć.

- Poczekajmy z tym do czasu, aż wrócimy z wyspy.

- Oczywiście - zgodził się Kevin.

- Odkryłeś coś jeszcze, korzystając z tego

programu?

- Tak. Poważnie umocniłem się w moich
podejrzeniach co do wykorzystywania przez
bonobo jaskiń. Zobacz.

Kevin zmienił współrzędne geograficzne i
przeniósł się na skalisty grzbiet wyspy. Teraz
poprosił komputer o wykazanie trasy aktywności
jego własnego duplikatu, mały oznaczonej
numerem jeden.

Melanie śledziła uważnie drogę czerwonego
punktu, który nagle znikł. Po chwili znowu
pojawił się w tym samym miejscu i przeszedł
kawałek. Następnie ta sama sekwencja zdarzeń
powtórzyła się po raz trzeci.

- Zdaje się, że muszę się zgodzić - stwierdziła
Melanie. - Wygląda to tak, jakby twój bonobo
wchodził i wychodził z jaskini.

- Kiedy tam będziemy, powinniśmy chyba
dobrze się przyjrzeć naszym duplikatom. Są
najstarsze, więc jeżeli któreś z transgenicznych
bonobo zachowują się jak hominidy, to powinny
to być te.

Melanie przytaknęła.

- Skóra mi cierpie na myśl, że mam zobaczyć

moją małpę. Ale nie będziemy mieli tam za dużo czasu. A biorąc pod uwagę, że wyspa ma dwanaście mil kwadratowych, niezwykle trudno będzie znaleźć określoną istotę.

- Mylisz się. Mam przyrząd, którego używają do odławiania zwierząt. - Wstał od komputera i podszedł do biurka. Kiedy wrócił, trzymał w ręku przyrząd do lokalizacji małp otrzymany od Bertrama. Pokazał aparat Melanie i objaśnił jego działanie. Była pod wrażeniem.

- Gdzie ona się podziewa? - spytała, spoglądając na zegarek. - Chciałam dostać się na wyspę w porze lunchu.

- Czy Siegfried rozmawiał z tobą dziś rano?

- Nie. Był u mnie Bertram. Wyglądał na naprawdę wściekłego, powiedział, że go rozczarowałam. Możesz sobie wyobrazić? Co to ma znaczyć, że mnie wyrzuca, czy jak?

- Czy w jakikolwiek sposób próbował wyjaśnić pochodzenie dymu, który widziałem?

- Ach, tak. Szedł jak po sznurku. Powiedział, że ludzie Siegfrieda wykonywali jakieś prace na wyspie i palili śmieci. Twierdził, że to działa się poza jego wiedzą.

- Z pewnością - skomentował Kevin. - Siegfried rozmawiał ze mną zaraz po dziewiątej.

Opowiedział mi tę samą historyjkę. Powiedział nawet, że rozmawiał z doktorem Lyonsem, który był bardzo rozczarowany naszym zachowaniem.

- Pewnie się popłakałeś? - powiedziała Melanie.

- Nie sądzę, aby mówił prawdę o ekipie pracującej na wyspie.

- Jasne, że kłamał - powiedziała Melanie z przekonaniem. - Bertram położył nacisk na to, że musi wiedzieć na bieżąco o wszystkim, co dotyczy wyspy. Człowiek zaczyna się zastanawiać, co oni sobie o nas myślą. Czy taki Bertram sądzi, że urodziłam się wczoraj?

Kevin wstał i wyraźnie podenerwowany podszedł do okna. Popatrzył na odległą wyspę.

- Co znowu? - zapytała Melanie.

- Siegfried - odpowiedział i spojrzał na koleżankę. - To jego ostrzeżenie o tutejszym prawie, które zastosuje wobec nas. Przypomniał, że wejście na wyspę może zostać potraktowane jako wystąpienie przeciwko państwu. Nie sądzisz, że powinniśmy potraktować to poważnie?

- Rany boskie, nie!

- Skąd ta pewność? Mnie Siegfried naprawdę przeraża.

- Mnie też by przeraził, gdybym była mieszkanką Gwinei Równikowej. Ale my nie jesteśmy obywatelami tego państwa. Jesteśmy Amerykanami. Dopóki jesteśmy w Strefie, stare dobre prawo amerykańskie ma nas pod swoją ochroną. Najgorsze, co mogą nam zrobić, to wylać z roboty. I jak powiedziałam zeszłej nocy, nie jestem pewna, czy nie przyjąłabym tego z ulgą. W tej chwili Manhattan wydaje mi się fajnym miejscem.

- Żałuję, że nie jestem równie pewny siebie jak ty
- przyznał Kevin.

- Czy podczas pracy z komputerem uzyskałeś informacje potwierdzające podział bonobo na dwie grupy?

Skinął twierdząco głową.

- Większa grupa pozostaje stale w pobliżu jaskiń.

Składa się głównie ze starszych egzemplarzy, w tym z naszych dwóch. Druga trzyma się lasu po północnej stronie Rio Diviso. Żyją w niej głównie młodsze małpy, chociaż trzecia z najstarszych

jest z nimi również. To duplikat Raymonda

Lyonsa.

- Bardzo dziwne.

- Cześć wam - rzuciła Candace na powitanie, wchodząc bez pukania. - Zmieściłam się w czasie? Nawet nie wysuszyłam sobie włosów. Jej podkreśnione zwykle włosy były mokre i zaczesane prosto do tyłu od samego czoła.

- Jesteś w samą porę - uspokoiła ją Melanie. - Ty jedna okazałaś się dość mądra, żeby się wyspać.

Muszę przyznać, że jestem wyczerpana.

- Czy Siegfried Spallek próbował się z tobą kontaktować? - zapytał Kevin.

- Około dziewiątej trzydzieści. Wyrwał mnie z głębokiego snu. Mam nadzieję, że zachowałam się rozsądnie.

- Co mówił?

- Właściwie był bardzo miły. Nawet przeprosił za wydarzenia poprzedniej nocy. Wyjaśnił także pochodzenie dymu nad wyspą. Powiedział, że to robotnicy palili śmieci.

- Nam powiedziano to samo - wyjaśnił Kevin.

- Co sądzicie? - zapytała Candace.

- Nie kupiliśmy tego - odparła Melanie. - Za

bardzo pasuje.

- Też tak przypuszczam - zgodziła się Candace.

Melanie chwyciła torbę.

- No to zaczynajmy przedstawienie -

powiedziała.

- Masz klucz? - zapytał Kevin, biorąc przyrządy do lokalizacji zwierząt.

- Oczywiście, że mam.

Melanie powiedziała jeszcze Candace, że przygotowała dla wszystkich lunch.

- Świetnie! Zgłodniałam.

- Poczekajcie sekundę! - Kevin zatrzymał się tuż przed schodami. - Coś mi przyszło do głowy.

Wczoraj musieli nas śledzić. Tylko w taki sposób mogli nas zaskoczyć. Oczywiście to znaczy, że tak naprawdę mnie śledzili, bo tylko ja rozmawiałem z Bertramem Edwardsem o dymie nad wyspą.

- Celna uwaga - zgodziła się Melanie.

Spojrzeni po sobie.

- To co teraz zrobimy? - zapytała Candace. -

Chyba nie chcemy, żeby nas ktoś śledził.

- Przede wszystkim nie możemy jechać moim samochodem - stwierdził Kevin. - Melanie, gdzie

stoi twój? Jest sucho, więc powinniśmy poradzić

sobie bez napędu na cztery koła.

- Na dole, na parkingu. Przyjechałam tutaj

prosto z centrum weterynaryjnego.

- Jechał ktoś za tobą?

- Nie wiem. Nie oglądałam się.

- Hmm - zastanowił się Kevin. - Jeśli

zamierzają kogoś śledzić, to na pewno mnie. Tak

sądzę. Melanie, zjedź na dół, wsiądź do auta i

jedź do domu.

- A co wy zrobicie?

- Przez piwnice prowadzi przejście, którym

można dojść prosto do elektrowni. Posiedź w

domu pięć minut i przyjedź po nas pod

elektrownię. Boczne drzwi wychodzą wprost na

parking. Wiesz, o czym mówię?

- Wydaje mi się, że tak.

- W porządku. W takim razie tam się spotkamy -

zdecydował Kevin.

Rozstali się na parterze, skąd Melanie wyszła

wprost na południowy skwar, a Candace z

Kevinem zeszli szybko do piwnicy.

Po piętnastominutowym marszu Candace ze

zdziwieniem zauważyła, że podziemne korytarze

są bardzo rozległe.

- Cała energia elektryczna pochodzi z tego samego źródła. Korytarze łączą wszystkie główne budynki. Jedynie centrum weterynaryjne ma własną siłownię.

- Można się tutaj zgubić.

- Sam się zgubiłem - przyznał Kevin. - I to kilka razy. Ale w czasie pory deszczowej uznałem, że te przejścia są bardzo przydatne. Jest w nich sucho i chłodno.

Gdy przechodzili obok elektrowni, poczuli wibracje pochodzące od pracujących turbin. Po metalowych stopniach wspięli się do drzwi.

Natychmiast po wyjściu na parking, Melanie, której wóz stał zaparkowany pod drzewem, podjechała i zabrała ich.

Kevin wsiadł do tyłu, więc Candace mogła usiąść obok Melanie. Nie zwlekając ani sekundy, ruszyli przed siebie. Klimatyzacja działała znakomicie, pokonując upał i stuprocentową wilgotność.

- Widziałaś coś niepokojącego? - spytał Kevin.

- Nic a nic. Jeździłam trochę w kółko, udając, że załatwiam jakieś sprawy. Nikt za mną nie jechał.

Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Kevin spoglądał przez tylną szybę hondy

Melanie w stronę oddalającej się elektrowni, aż za zakrętem zniknęła z pola widzenia. Nie dostrzegł żadnych ludzi, nie gonił ich żaden samochód.

- Według mnie wygląda nieźle - powiedział.

Położył się na tylnym siedzeniu, żeby nikt go nie zauważył.

Melanie objechała miasto od północy. Candace tymczasem zabrała się za kanapki.

- Nieźle - stwierdziła, jedząc tuńczyka na pełnoziarnistym pieczywie.

- Przygotowałam je w naszej stołówce w centrum

- powiedziała Melanie. - Na dole w torbie są napoje.

- Chcesz, Kevin?

- Chętnie.

Candace podała mu między siedzeniami kanapkę i sok.

Szybko znaleźli się na drodze prowadzącej na wschód w stronę wioski. Ze swojej perspektywy Kevin widział tylko oplatanie lianami szczyty

rosnących wzdłuż drogi drzew i skrawki czystego błękitu przebijające się między konarami. Po tak wielu miesiącach zachmurzonego, deszczowego nieba, przyjemnie było teraz oglądać słońce.

- Jedzie ktoś za nami? - zapytał po jakimś czasie.

Melanie zerknęła w lusterko.

- Nie widzę żadnego samochodu.

Na drodze nie było w ogóle ruchu, ani do wioski, ani z powrotem. Mijali natomiast wiele kobiet wędrujących skrajem drogi. Większość dźwigała na głowach tobołki.

Kiedy minęli parking przed wiejskim sklepem i wjechali na ścieżkę prowadzącą w stronę wyspy, Kevin usiadł normalnie. Nie bał się już, że ktoś go zauważy. Jednak co kilka minut odwracał się i rozglądał dokładnie, czy nikt ich nie śledzi. Nie przyznawał się przed kobietami, ale był kłębkim nerwów.

- Wkrótce powinniśmy dojechać do pniaka, na którym tak gwałtownie podskoczyliśmy w nocy - ostrzegł Kevin.

- Nie trafiliśmy na niego, kiedy nas wieźli z powrotem. Musieli go usunąć - zauważyła Melanie.

- Masz rację - przytaknął. Zaimponowało mu, że zapamiętała taki drobiazg. Po strzelaninie wszystkie szczegóły minionej nocy zatarły się w jego pamięci.

Kiedy stwierdził, że są już blisko, pochylił się do przodu, aby przyjrzeć się okolicy przez przednią szybę. Pomimo południowego słońca możliwość dostrzeżenia czegokolwiek w rozciągającej się po obu stronach drogi dżungli nie była większa niż w porze wieczornej. Niewiele światła przedzierało się przez gęstwinę zarośli, zupełnie jakby jechali w tunelu.

Zatrzymali się na polanie. Po lewej stronie stał garaż, a po prawej zauważyli przecinkę prowadzącą na brzeg i do mostu.

- Mam dojechać aż do mostu? - zapytała Melanie.

Zdenerwowanie Kevina rosło. Ślepy zaułek niepokoił go.

Zastanowił się, czy powinien podjechać aż do brzegu, ale doszedł do wniosku, że będą mieli za mało miejsca, żeby zawrócić, i będą musieli wyjechać na wstecznym biegu.

- Moim zdaniem powinniśmy tu zaparkować.

Ale najpierw zawróć. Spodziewał się sprzeciwu,

ale Melanie tylko jęknęła i wykonała manewr.

Pominęli milczeniem to, że będą musieli przejść przez miejsce, w którym ich ostrzelano.

Zawróciła na trzy razy.

- No dobra, jesteśmy - powiedziała beztrąsko i

zaciągnęła ręczny hamulec. Próbowwała

podtrzymać wszystkich na duchu. Byli

wyraźnie spięci.

- Przyszło mi do głowy coś, co wam się nie

spodoba - odezwał się Kevin.

- O co chodzi? - spytała Melanie, spoglądając na

odbicie Kevina w lusterku.

- Może powinienem sam podejść po cichu do

mostu i rozejrzeć się, czy nie ma nikogo w

pobliżu? - zasugerował.

- Na przykład kogo? - zapytała Melanie, chociaż

sama także czuła, że nie chciałaby znowu znaleźć

się w niepożądanym towarzystwie.

Kevin wziął głęboki oddech, aby dodać sobie

odwagi i wysiadł.

- Kogokolwiek. Powiedzmy Alphonse'a Kimby. -

Szybkim, krótkim ruchem podciągnął spodnie i

ruszył przed siebie.

Ścieżka prowadząca do wody była tak obrosnięta roślinnością, że bardziej przypominała tunel niż używaną drogę. Już na początku skręcała w prawo. Korony drzew nie przepuszczały wiele światła. Rośliny rosnące pośrodku drogi były tak wysokie, że trakt przypominał raczej dwie równoległe wijące się ścieżki.

Kevin pokonał pierwszy zakręt i zatrzymał się. Nie mógł się mylić. Odgłos szybkich kroków na suchej ziemi mieszał się ze szcękaniem metalu uderzającego o metal. Żołądek podszedł mu do gardła. Przed nim droga skręcała w lewo.

Wstrzymał oddech. W następnej sekundzie zauważył ubranych w polowe mundury żołnierzy gwinejskich wychodzących zza zakrętu i zmierzających w jego stronę. Wszyscy byli uzbrojeni.

Kevin obrócił się na pięcie i pognął z powrotem tak szybko jak chyba nigdy w życiu. Kiedy wybiegł na polanę, zawołał do Melanie, żeby natychmiast ruszała. Dobiegł do wozu, otworzył tylne drzwi i wręcz zanurkował do wnętrza.

Melanie próbowała uruchomić silnik.

- Co się stało?!

- Żołnierze! Cały oddział!

Silnik zachłysnął się i zaskoczył. W tej samej chwili żołnierze wysypali się na polanę. Jeden z nich krzyknął coś w chwili, kiedy Melanie wcisnęła gaz.

Mały samochód skoczył do przodu, a Melanie ledwo opanowała kierownicę. Rozległ się strzał i tylna szyba rozsypała się na milion kawałeczków. Kevin uderzył o oparcie tylnego siedzenia. Candace krzyknęła, gdy szyba tuż obok niej także się rozsypała.

Za polaną droga skręcała w lewo. Melanie udało się utrzymać samochód na ścieżce i teraz przycisnęła gaz do dechy. Przejechali prawie siedemdziesiąt metrów, kiedy znowu usłyszeli odległe strzały. Kiedy brali następny zakręt, kule śmignęły obok wozu.

- Dobry Boże! - jęknął Kevin, siadając i otrzepując ubranie z okruchów szkła.

- Teraz naprawdę się wściekłam - stwierdziła Melanie. - Kule przeleciały tuż nad naszymi głowami. Popatrzcie na tył samochodu!

- Ja mam dość - odpowiedział Kevin. - Zawsze bałem się tych żołnierzy, a teraz już wiem

dłaczego.

- Zdaje mi się, że klucz do mostu nie przyda nam się na wiele. To bardzo przykra wiadomość, zważywszy na to, ile wysiłku kosztowało nas jego zdobycie - zauważyła Candace.

- Cholernie irytujące - zgodziła się Melanie. - Musimy w takim razie postąpić według planu awaryjnego.

- Ja idę się wyspać - oświadczył Kevin. Nie mógł zrozumieć tych kobiet. Wydawały się zupełnie pozbawione strachu. Położył dłoń na sercu - waliło tak jak nigdy dotąd w całym jego życiu.

ROZDZIAŁ 14

6 marca 1997 roku

godzina 6.45

Nowy Jork

Jack nacisnął na pedały i bez zwalniania przejechał na zielonym świetle całe skrzyżowanie Pierwszej Avenue z Trzydziestą Ulicą. Skręcił w stronę kostnicy i nie zwolnił aż do ostatniej chwili. Kilka sekund później rower stał już zabezpieczony kłódkami, a Jack zmierzał do biura Janice Jaeger, która pełniła w nocy dyżur wywiadowcy.

Jack był pełen zapału. Po ostatecznym zidentyfikowaniu "topielca" jako Carla Franconiego nie spał wiele. W nocy dzwonił do Janice i w końcu ubłagał ją, żeby zdobyła wszystkie dokumenty Franconiego z Manhattan General Hospital. Wcześniej ustalono, że był tam leczony. Poprosił ją także o sprawdzenie na biurku Barta Arnolda numerów telefonu do europejskich banków organów do transplantacji. Z powodu sześciogodzinnej różnicy w czasie zaczął dzwonić do nich po trzeciej nad ranem. Najpierw zainteresowała go Europejska Fundacja Transplantacji z Holandii, ale że nie mieli żadnych danych na temat Carla Franconiego jako biorcy wątroby, zaczął wydzwaniać po wszystkich organizacjach, których numery otrzymał. Były wśród nich instytuty i organizacje z Francji, Anglii, Włoch, Szwecji, Węgier i Hiszpanii. Nikt nie słyszał o Carlu Franconim. Na dodatek większość rozmówców zwróciła uwagę na to, że raczej nie przekazuje się organów do transplantacji obcokrajowcom, gdyż w każdym kraju jest długa lista własnych obywateli oczekujących na

przeszczep.

Przespał się kilka godzin, ale obudziła go rosnąca ciekawość. Nie mógł już zasnąć, więc postanowił pojechać wcześniej do pracy i przejrzeć zgromadzone przez Janice materiały.

- Daję słowo, jesteś naprawdę napalony -

przywitała go Janice.

- To jeden z tych przypadków, które czynią tę pracę zabawną. Co znalazłaś w MGH?

- Mnóstwo materiałów. W ostatnim roku przebywał u nich wielokrotnie. Głównie z powodu zapalenia wątroby i marskości wątroby.

- Ach, więc trop staje się wyraźniejszy. Kiedy był tam po raz ostatni?

- Jakies dwa miesiące temu. Ale nie chodziło o transplantację. Jest o tym wzmianka, ale jeżeli ją przeszedł, to nie w tym szpitalu. - Wręczyła

Jackowi grubą teczkę.

Odebrał ją z uśmiechem.

- Zdaje się, że mam zapewnioną lekturę na kilka godzin.

- Według mnie jest tam sporo powtórzeń.

- Co mówi jego lekarz? Miał jakiegoś stałego lekarza?

- Leczył go doktor Daniel Levitz. Ma gabinet na Piątej Avenue między Sześćdziesiątą Czwartą a Sześćdziesiątą Piątą Ulicą. Numer masz napisany na odwrocie teczki.

- Jesteś niezastąpiona - pochwalił Jack.

- Pracuję najlepiej jak potrafię - odparła z uśmiechem. - Europejczycy pomogli w czymś?

- Kompletnie chybiony strzał - przyznał. - Niech Bart zadzwoni do mnie, gdy tylko się zjawi.

Musimy jeszcze raz skontaktować się z krajowymi organizacjami, skoro wiemy już, o kogo chodzi.

- Jeżeli nie przyjdzie do mojego wyjścia, zostawię mu na biurku wiadomość.

Idąc przez korytarz, Jack gwizdał. Już czuł błogi smak kawy, którą zaraz miał wypić. Ale kiedy wszedł do pokoju lekarzy, stwierdził, że jest zbyt wcześnie. Vinnie Amendola dopiero ją przyrządzał.

- Pośpiesz się z kawą - powiedział, kładąc ciężką teczkę na stoliku, przy którym Vinnie zwykle czytał poranną prasę. - Mamy dziś sytuację nadzwyczajną.

Vinnie nie zareagował, co nie było u niego

typowe.

- Nadal masz zły humor? - zapytał kolegę.

Vinnie dalej nie odpowiadał, ale Jacka pochłonęło już co innego. Dostrzegł nagłówek w gazecie Vinniego: ODNALEZIONO CIAŁO FRANCONIEGO. Pod nagłówkiem nieco mniejszą czcionką napisano: Ciało Carla Franconiego leżało w miejskiej kostnicy całą dobę, zanim zdołano je zidentyfikować.

Jack usiadł, żeby przeczytać artykuł. Jak zwykle napisany był w sarkastycznym tonie i sugerował, że patolodzy z Zakładu Medycyny Sądowej to niezguły. Zastanowiło go, że dziennikarz miał dość informacji na napisanie artykułu, ale nie był łaskaw się pofatygować, aby się dowiedzieć, że trup nie miał głowy ani rąk, co dość poważnie utrudniało jego identyfikację. Nie wspominał także o ranach postrzałowych zadanych po śmierci.

Vinnie zaparzył kawę, podszedł do stołu i stanął obok, podczas gdy Jack czytał. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Kiedy wreszcie Jack spojrział na niego, Vinnie powiedział:

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym zabrał

swoją gazetę?

- Czytałeś? - zapytał Jack, uderzając dłonią w artykuł o Franconim.

- Ta, czytał.

Jack zrezygnował z pokusy poprawienia jego fatalnej angielszczyzny. Zamiast tego spytał:

- I co? Zaskoczony? Czy wczoraj, kiedy robiliśmy autopsję, przeszło ci przez głowę, że to może być zaginione ciało Franconiego?

- Nie, a powinno?

- Nie mówię, że powinno. Pytam tylko, czy ci przyszło do głowy.

- Nie - odpowiedział Vinnie. - Oddaj gazetę!

Dlaczego nie kupisz sobie własnej? Zawsze czytasz moją.

Jack wstał i podał gazetę koledze. Zabrał ze stołu teczkę i powiedział:

- Ostatnio jesteś wyraźnie nie w sosie. Może powinieneś wziąć sobie wolne. Jak tak dalej pójdzie, szybko staniesz się zgryźliwym starcem.

- Przynajmniej nie jestem dusigroszem -

powiedział Vinnie. Rozłożył gazetę i uporządkował pomieszane przez Jacka strony.

Jack podszedł do ekspresu i nalał sobie pełen

kubek. Zabrał go do biurka, przy którym szef zmiany ustalał zawsze harmonogram prac na dany dzień. Popijając kawę małymi łykami, zaczął przeglądać materiały dotyczące Franconiego. Na początek chciał uzyskać podstawowe dane, więc czytał karty wypisu ze szpitala z krótkim opisem choroby. Tak jak wspomniała Janice, chodziło głównie o dolegliwości związane z zapaleniem wątroby, którego nabawił się podczas pobytu w Neapolu, we Włoszech.

Laurie przyjechała jako druga. Jeszcze zanim zdjęła płaszcz, zapytała Jacka, czy czytał poranną gazetę albo słuchał wiadomości. Powiedział, że czytał "Post".

- To twoja robota? - zapytała, przewieszając płaszcz przez poręcz krzesła.

- O czym mówisz?

- O przecieku do prasy, że zidentyfikowaliśmy ciało Franconiego.

Jack zaśmiał się z niedowierzania.

- Dziwię się, że mnie o to pytasz. Po co miałbym to robić?

- Nie wiem, ale wczoraj byłeś taki poruszony

odkryciem. Nie czuję urazy. Byłam tylko

zaskoczona, widząc, że prasa już o tym pisze.

- Ja także. Może to Lou?

- Myślę, że w takim wypadku byłabym jeszcze bardziej zaskoczona.

- Dlaczego ja? - Z tonu Jacka mogło wynikać, że czuje się dotknięty niesłusznym podejrzeniem.

- W zeszłym roku wygadałeś się o tej historii z dzumą.

- Przecież to była zupełnie inna sytuacja. Wtedy chodziło o uratowanie ludzi.

- Dobra, nie wściekaj się. - Chcąc zmienić temat, zapytała: - Co mamy na dzisiaj?

- Nie przyglądałem się - odparł Jack. - Ale teczek jest niewiele i miałbym w związku z tym prośbę.

Jeśli to możliwe, chciałbym mieć dzisiaj dzień na papierkową robotę, a ściślej biorąc, na poszukiwania.

Laurie schyliła się i przejrzała teczki.

- Tylko dziesięć przypadków, nie ma sprawy - zgodziła się. - Myślę, że sama też przeprowadzę tylko jedną autopsję. Teraz, kiedy mamy z powrotem ciało Franconiego, jestem jeszcze bardziej zainteresowana odkryciem, jak opuściło

nas za pierwszym razem. Im dłużej o tym myślę,
tym bardziej jestem przekonana, że ktoś od nas
maczał w tym palce.

Rozległ się trzask i głośne przekleństwa. Oboje z
Laurie spojrzeli na Vinniego, który podskoczył
na równe nogi. Rozlał kawę na całe biurko,
ochlapując sobie przy tym spodnie.

- Uważaj na Vinniego. Znów jest w złym nastroju

- Jack ostrzegł Laurie.

- Vinnie, wszystko w porządku? - zawołała
Laurie.

- Nic się nie stało - zapewnił. Na sztywnych
nogach podszedł do stolika z ekspresem, żeby
wziąć kilka papierowych ręczników.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego odnalezienie
ciała Franconiego jeszcze bardziej pobudziło
twoją ciekawość? - spytał Jack.

- Głównie z powodu tego, co odkryłeś w czasie
autopsji. Najpierw sądziłam, że ktokolwiek
wykradł ciało, zrobił to z czystej chęci
dokuczenia zmarłemu, powiedzmy, że zabójca
nie chciał pozwolić na normalny pochówek czy
coś takiego. Ale teraz wygląda na to, że
wykradzono zwłoki, żeby zniszczyć wątrobę. To

zastanawiające. Początkowo uważałam, że odkrycie, w jaki sposób wyniesiono zwłoki, jest swego rodzaju wyzwaniem. Teraz jednak uważam, że jeśli dowiemy się, jak ciało zniknęło, dowiemy się również, kto mu w tym pomógł i dlaczego.

- Zaczynam rozumieć, co Lou miał na myśli, gdy powiedział, że twoja zdolność kojarzenia sprawia, że czuje się głupio. Cały czas sądziłem, że "dlaczego" jest ważniejsze od "jak". Z tego, co mówisz, wynika jednak, że to sprawa względna.

- No właśnie. "Jak" doprowadzi nas do "kto", a "kto" odpowie na pytanie "dlaczego".

- I podejrzewasz, że któryś z naszych pracowników jest w to wmieszany? - zapytał Jack.

- Obawiam się, że tak. Nie wyobrażam sobie, jak mogli wynieść ciało bez pomocy z wewnątrz. Ciągle jednak nie mam pojęcia, jak to się mogło odbyć.

Po telefonie do Siegfrieda umysł Raymonda nie mógł już dłużej opierać się środkom nasennym krążącym coraz szybciej we krwi. Przespał twarzą cały poranek. Dopiero odsłonięcie zasłon przez Darlene i potok dziennego światła

przywróciły mu świadomość. Była ósma rano. O tej godzinie kazał się obudzić.

- Czujesz się lepiej, kochanie? - spytała Darlene.

Pomogła Raymondowi usiąść i poprawiła mu poduszkę pod plecami.

- Owszem - przytaknął, chociaż ciągle szumiało mu w głowie od tabletek.

- Przygotowałam twoje ulubione śniadanie. -

Wzięła z komody wyplataną z trzciny tacę.

Przyniosła ją do łóżka i położyła na nogach Raymonda.

Przyjrzał się dokładnie jej zawartości. Świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, dwa plasterki bekonu, omlet z jednego jajka, tost i ciepła kawa.

Z boku leżała gazeta.

- No i jak? - zapytała z dumą.

- Doskonale. Pochylił się i pocałował ją.

- Zawołaj, jeśli będziesz chciał więcej kawy - powiedziała i wyszła z sypialni.

Z dziecięcą przyjemnością posmarował tost masłem i wziął łyk soku. Jeśli o niego chodziło, nie potrafił sobie wyobrazić niczego równie cudownego jak zapach kawy i bekonu wczesnym rankiem.

Ugryzł równocześnie kawałek bekonu i odrobinę omletu. Delektując się tą mieszanką smaków, sięgnął po gazetę, otworzył ją i rzucił okiem na nagłówki.

Zakrztusił się i zakasłał, wypluwając przy tym jedzenie. Łapiąc oddech, kaszłał tak mocno, że zrzucił z łóżka tacę. Całe śniadanie wylądowało na dywanie.

Darlene wbiegła do pokoju i stanęła jak wryta, załamując ręce, podczas gdy Raymond, czerwony jak pomidor, walczył z atakiem kaszlu.

- Wody! - wykrztusił wreszcie.

Darlene zniknęła w łazience i w jednej chwili wróciła ze szklanką wody. Raymond złapał ją chciwie, ale upił tylko mały łyk.

- Dobrze się czujesz? Może mam zadzwonić po pogotowie?

- Wpadło nie do tej dziurki - odparł zachrypniętym głosem i wskazał na jabłko Adama.

Przez pięć minut dochodził do siebie. Gardło miał obolałe, a głos szorstki. Darlene tymczasem posprzątała resztki śniadania oprócz plam z kawy na białym dywanie.

- Przeglądałaś gazetę? - zapytał.

Zaprzeczyła, więc Raymond pokazał jej tytułową stronę.

- O rety - szepnęła.

- O rety! - powtórzył sarkastycznie. - A ty jeszcze się zastanawiasz, dlaczego nadal mnie niepokoi sprawa Franconiego! - Ze złością zmiażdżył gazetę.

- Co teraz zamierzasz?

- Myślę, że muszę jeszcze raz zobaczyć się z Vinniem Dominickiem. Obiecał mi, że ciało zniknie. Spartaczył robotę!

Zadzwonił telefon i Raymond aż podskoczył.

- Chcesz, żebym odebrała?

Skinął głową. Zastanawiał się, kto może dzwonić tak wcześnie.

Darlene podniosła słuchawkę, powiedziała "halo", po którym nastąpiło kilka przytaknięć.

Przykryła mikrofon dłonią i powiedziała:

- To doktor Waller Anderson - rzekła z uśmiechem. - Chce się włączyć do interesu.

Raymond odetchnął z ulgą. Do tej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Powiedz, że się cieszymy i że oddzwonię do niego później.

Darlene przekazała, co jej kazał, i odłożyła

słuchawkę.

- Wreszcie jakaś dobra wiadomość - stwierdziła.

Raymond potarł czoło i jęknął.

- Żeby wszystko szło równie dobrze jak interes.

Telefon znowu zadzwonił. Raymond gestem kazał Darlene odebrać. Po chwili uśmiech zwiędł

na jej ustach. Znowu zakryła mikrofon dłonią i

poinformowała, że dzwoni Taylor Cabot.

Raymond przełknął z trudem. W podrażnionym

przed chwilą gardle nagle mu zaschło. Wziął łyk

wody i sięgnął po słuchawkę.

- Tak? Słucham pana - odezwał się. Głos miał ciągle chropowaty.

- Dzwonię z samochodu - powiedział Taylor. -

Nie będę więc się rozwodził. Ale właśnie

zostałem poinformowany o tym, że kłopot, który

uznałem za rozwiązany, powrócił. To, co

mówiłem wcześniej na ten temat, ciągle

obowiązuje. Mam nadzieję, że rozumie mnie

pan.

- Oczywiście, sir - wykrztusił Raymond. - Będę...

- Zamilkł. Odjął słuchawkę od ucha i spojrzał na

nią zaskoczony. Taylor przerwał połączenie. -

Tego mi było trzeba - powiedział do Darlene,
oddając jej słuchawkę. - Kolejna groźba
zamknięcia programu.

Spuścił nogi z łóżka. Kiedy wstawał i wkładał
szlafrok, czuł jeszcze resztki wczorajszego bólu
głowy.

- Muszę znaleźć numer do Winniego Dominicka.

Potrzebuję jeszcze jednego cudu.

Przed ósmą Laurie i inni znaleźli się na parterze
przy stołach autopsyjnych. Jack pozostał u siebie
i czytał informacje o Carlu Franconim. Kiedy
zorientował się, która godzina, postanowił
sprawdzić, dlaczego Bart Arnold nie przyszedł
do pracy. Zdziwił się więc, gdy zobaczył go w
biurze.

- Czy Janice nie rozmawiała z tobą dziś rano? -

zapytał. Jack i Bart byli zaprzyjaźnieni, więc
Jack mógł bez ceregieli wejść do pokoju i usiąść
na krześle.

- Przyszedłem ledwie przed kwadransiem. Janice
już nie było.

- Nie znalazłeś informacji na biurku?

Bart popatrzył na biurko, przesunął kilka
papierów. Jego biurko do złudzenia

przypominało biurko Jacka. Znalazł notatkę i przeczytał na głos: "Ważne! Zadzwoń natychmiast do Jacka Stapletona". Podpisano "Janice".

- Przepraszam! W końcu jednak znalazłbym ją - uśmiechnął się słabo, wiedząc, że to żadna odpowiedź.

- Domyślam się, że słyszałeś już o ostatecznym zidentyfikowaniu mojego "topielca" jako Carla Franconiego.

- Tak, słyszałem - przyznał Bart.

- A to znaczy, że musimy wrócić do poszukiwań w UNOS i innych centrach i sprawdzić jeszcze raz transplantacje wątroby, tym razem z nazwiskiem pacjenta.

- To o wiele łatwiejsze niż prosić ich, żeby sprawdzili, czy któryś z ich pacjentów z przeszczepem wątroby ostatnio zginął. Skoro mam już wszystkie telefony pod ręką, uwinę się w mgnieniu oka.

- Sporą część nocy spędziłem na wydzwanianiu do europejskich organizacji zajmujących się usługami transplantacyjnymi. Wynik negatywny

- poinformował Jack.

- Rozmawiałeś z Eurotransplantem w Holandii?

- Od nich zacząłem. Nie mają żadnego

Franconiego.

- To z dużą pewnością możemy stwierdzić, że nie
przechodził transplantacji w Europie.

Eurotransplant prowadzi archiwum dotyczące
zabiegów w całej Europie.

- Następną sprawą, którą chciałbym załatwić,
jest wysłanie kogoś do matki Franconiego i
poproszenie jej o próbkę krwi. Ted Lynch
potrzebuje jej, żeby skonfrontować
mitochondrialne DNA z DNA "topielca". W ten
sposób definitywnie potwierdzi identyfikację.

Niech nasz człowiek spyta ją także, czyjej syn
przeszedł transplantację wątroby. Ciekawe, co
ona ma na ten temat do powiedzenia.

Bart zapisywał sugestie Jacka na karteczce.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Myślę, że na razie wystarczy. Janice
powiedziała, że lekarzem Franconiego był Daniel
Levitz. Czy kiedykolwiek miałeś z nim do
czynienia?

- Jeśli to ten Levitz z Piątej Avenue, to owszem,
miałem.

- Jakie odniosłeś wrażenie?

- Ekskluzywny gabinet dla zamożnych klientów.

Jeśli potrafię to ocenić, jest dobrym internistą.

Świadczy usługi wielu przestępczym rodzinom,

więc nic dziwnego, że wśród jego pacjentów był

także Franconi.

- Różnych rodzin? Nawet tych, które się

nawzajem zwalczają? - zapytał Jack.

- Dziwne, nie? - odpowiedział Bart. - Dla

recepjonistki musi to być jeden wielki i

nieustający ból głowy, kiedy zabiera się do

umawiania wizyt. Wyobrażasz sobie, że w tym

samym czasie w poczekalni czeka dwóch

mafioso z ochroniarzami?

- Życie bywa dziwniejsze niż fikcja - zauważył

Jack.

- Chcesz, żebym poszedł do Levitza i wyciągnął z

niego jakieś informacje o Franconim?

- Myślę, że zrobię to osobiście - zdecydował

Jack. - Mam takie wewnętrzne przeczucie, że w

czasie rozmowy z panem doktorem to, co nie

zostanie powiedziane, będzie miało większe

znaczenie od tego, co mi powie. Ty się

skoncentruj na wyjaśnieniu, gdzie przeszedł

transplantację. To powinna być kluczowa informacja w tym wypadku. Kto wie, może dzięki temu wszystko się wyjaśni.

- Bardzo proszę! - zagrzemiał nad ich głowami mocny głos. Obaj, Jack i Bart, odwrócili się i podnieśli wzrok. Otwór drzwi był dosłownie wypełniony potężną postacią doktora Calvina Washingtona, zastępcy szefa.

- Wszędzie cię szukam, Stapleton - oznajmił Calvin. - Chodź! Szef chce cię zobaczyć.

Jack mrugnął do Barta, zanim wstał.

- Pewnie chodzi o kolejną nagrodę, którymi szef mnie ostatnio tak szczerze obdarowuje.

- Na twoim miejscu bardziej bym uważał na to, co mówię - upomniał go Calvin. - Jeszcze raz udało ci się wkurzyć starego.

Jack poszedł z Calvinem do działu administracyjnego. Zanim weszli do sekretariatu, Jack rzucił okiem w stronę poczekalni. Siedziało w niej znacznie więcej dziennikarzy niż zwykle.

- Stało się coś? - zapytał Jack

- Jakbym musiał ci mówić - warknął Calvin.

Jack nie zrozumiał, ale nie miał okazji zadać

drugiego pytania. Calvin pytał już panią Sanford, sekretarkę Bingham, czy mogą wejść do gabinetu szefa. Okazało się, że muszą poczekać, więc Jack został poproszony o zajęcie miejsca na kanapie naprzeciwko biurka pani Sanford. Oczywiście była tak samo poirytowana jak jej szef i obdarzyła Jacka kilkoma nieprzyjemnymi spojrzeniami. Poczul się jak szkolny urwis czekający na rozmowę z dyrektorem. Calvin tymczasem zniknął w swoim gabinecie i załatwiał jakieś sprawy przez telefon.

Mając jakieś takie pojęcie, o co szef może się wściekać, Jack starał się ułożyć sobie odpowiednie wyjaśnienie. Niestety nic mu nie przychodziło do głowy. Koniec końców mógł do rana poczekać na zdjęcia rentgenowskie Franconiego.

- Teraz może pan wejść - odezwała się pani Sanford, nie odrywając wzroku od maszyny do pisania. Zauważyła, że lampka kontrolna na jej aparacie telefonicznym zgasła, co oznaczało, że szef skończył rozmowę.

Jack wszedł do gabinetu i poczul typowe déja vu.

Rok temu podczas serii zakażeń chorobami

śmiertelnymi, udało się Jackowi wyprowadzić szefa z nerwów. Kilkakrotnie starli się ze sobą.

- Wchodź i siadaj - zaczął ostro Bingham.

Jack usiadł przed biurkiem szefa. Bingham

znacznie się postarzał w ciągu ostatnich kilku

lat. Wyglądał na znacznie starszego niż

sześćdziesiąt trzy lata. Spoglądał na Jacka przez

okulary w drucianej oprawce. Pomimo że twarz

mu płonęła, oczy miał jak zawsze wyraziste i

inteligentne.

- Już myślałem, że zaczęłaś się do nas

dopasowywać, a tu nagle to - powiedział

Bingham.

Jack nie odpowiedział. Uznał, że najlepiej się nie

odzywać, dopóki nie usłyszy konkretnego

pytania.

- Czy mógłbym w końcu dowiedzieć się

dlaczego? - Bingham zapytał swoim

stanowczym, głębokim i ochryłym głosem.

Jack wzruszył ramionami.

- Ciekawość. Byłem niezwykle podekscytowany i

nie potrafiłem zaczekać.

- Ciekawość! - wrzasnął Bingham. - To samo

beznadziejne wytłumaczenie co w zeszłym roku,
kiedy zlekceważyłeś moje polecenie i poszedłeś
do Manhattan General Hospital.

- Przynajmniej jestem konsekwentny - odparł
Jack.

Bingham jęknął.

- A ponadto impertynencki. Jak widzę, tak
naprawdę niewiele się zmieniłeś.

- Nieco lepiej gram w kosza.

Jack usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

Odwrócił się i zobaczył wchodzącego do pokoju
Calvina. Założył ręce na piersi i stanął z boku
niczym strażnik w haremie.

- Nie mogę z nim dojść do ładu - Bingham
poskarżył się Calvinowi, jakby Jacka nie było już
w pokoju. - Wydaje mi się, że gwarantowałeś
jego poprawę.

- Bo tak było aż do tego zdarzenia. - Calvin
spojrzał na winowajcę. - A najbardziej mnie
wkurza to, że doskonale wiesz, iż wiadomości od
nas wychodzą okresowo albo przez doktora
Binghama, albo przez komórkę do spraw
kontaktów z środkami masowego przekazu! Wy,
gadule z patologii, nie macie prawa rozpowiadać

nikomu o niczym. Prawda jest taka, że nasza praca bywa czasami wyjątkowo upolityczniana, a w związku z ostatnimi kłopotami nie potrzebujemy jeszcze złej prasy.

- Czas dla drużyny przeciwnej - wtrącił Jack. -

Coś tu nie jest w porządku. Nie jestem pewny, czy rozmawiamy tym samym językiem.

- Możesz to powtórzyć jeszcze raz - zapewnił go Bingham.

- Miałem na myśli to, że nie rozmawiamy na ten sam temat. Kiedy tu wszedłem, sądziłem, że zostałem postawiony na dywaniku, bo naciągnąłem portiera i wziąłem od niego klucz do pańskiego biura, szperałem tutaj i znalazłem zdjęcie Franconiego.

- Do diabła, nie! - krzyknął Bingham. Wyciągnął palec wskazujący w stronę nosa Jacka. - Jesteś tu, bo przekazałeś informację o odnalezieniu w kostnicy zwłok Franconiego po tym, jak zostały stąd wykradzione. Myślisz, że pomożesz w ten sposób swojej karierze?

- Chwileczkę - zaprotestował Jack. - Po pierwsze nie bardzo dbam o robienie jakiejś tam kariery.

Po drugie nie jestem odpowiedzialny za

przedostanie się tej historii do mediów.

- Nie jesteś? - zapytał Bingham.

- Z pewnością nie chcesz zasugerować, że odpowiedzialna jest Laurie Montgomery? - dodał Calvin.

- W żadnym razie. Ale to również nie byłem ja.

Prawdę powiedziawszy, nawet nie myślę o tym jak o jakiejś historii do opowiadania.

- Media jednak mają inne odczucia, podobnie zresztą i burmistrz - zauważył Bingham. -

Dwukrotnie dzisiaj dzwonił do mnie i pytał co za cyrki sobie tu urządzamy. Sprawa Franconiego stawia nas w wyjątkowo złym świetle w oczach całego miasta, szczególnie jeśli wiadomości o tym, co się tu dzieje, zaskakują nawet nas samych.

- Nocne wędrówki zwłok Franconiego z kostnicy i do kostnicy nie są tu najważniejsze. Naprawdę chodzi o prawdopodobną transplantację wątroby, o której nikt nic nie wie, której nie można potwierdzić testami na DNA i którą ktoś bardzo chce ukryć.

Bingham spojrzał na Calvina, ale ten tylko uniósł ręce w geście poddania się.

- Pierwsze słyszę o tym wszystkim - przyznał się.

Jack szybko streścił wyniki swojej autopsji i opowiedział o kłopotach Teda Lyncha z analizą DNA.

- To wariactwo - powiedział Bingham. Zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. - To również brzmi niedobrze, zważywszy, że chciałem całą sprawę Franconiego zatuszować. Jeżeli w tej teorii o rzekomej i potajemnej transplantacji jest coś prawdziwego, to nie uda mi się.

- Dzisiaj będę wiedział więcej. Prosiłem Barta Arnolda o kontakt ze wszystkimi centrami transplantacji w kraju, John DeVries zajmuje się oznaczeniem ciał odpornościowych, Maureen O'Conner z histologii bada próbki, a Ted bada sześć chromosomów za pomocą polimarkerów, co ostatecznie potwierdzi prawdę, jakakolwiek by była. Jeszcze dzisiejszego popołudnia będziemy wiedzieli na sto procent, czy przeszczep miał miejsce, a jeśli tak, zapewne dowiemy się również gdzie.

Bingham pochylił się nad biurkiem w stronę Jacka.

- I jest pan pewny, że nie przekazał żadnych

informacji do mediów?

- Słowo harcerza - odpowiedział Jack, podnosząc palce jak do przysięgi.

- W porządku, przepraszam - powiedział

Bingham. - Ale, Stapleton, trzymaj to wszystko

dla siebie. I nie drażnij nikogo pod słońcem,

żebym nie zaczął odbierać telefonów z

narzekaniami na twoje zachowanie. Z

wyjatkowym talentem potrafisz zaleźć

człowiekowi za skórę. Na koniec obiecaj, że nic

nie przedostanie się do mediów, zanim trafi do

mnie. Zrozumiałeś?

- Jasne jak słońce - odparł Jack.

Jackowi rzadko udawało się znaleźć

odpowiednią wymówkę i dosiąść roweru w ciągu

dnia, z tym większą więc przyjemnością

pedałował teraz w górę Pierwszą Avenue, aby

odwiedzić doktora Levitza. Co prawda słońce nie

świeciło, ale temperatura oscylowała wokół

dziesięciu stopni, co zwiastowało nadchodzącą

wiosnę. Dla Jacka wiosna była najlepszą porą

roku w Nowym Jorku.

Po bezpiecznym przymocowaniu roweru do

znaku zakazu parkowania, Jack wszedł do

prywatnej przychodni doktora Levitza. Najpierw zadzwonił, aby się upewnić, czy doktor jest u siebie, ale nie umówił się na spotkanie. Czuł, że zaskoczenie będzie bardziej owocne. Jeżeli Franconi miał przeszczep, było coś tajemniczego wokół całej historii.

- Pańskie nazwisko? - zapytała siwowłosa recepcjonistka. Wyglądała na prawdziwą matronę.

Jack błysnął swoją odznaką lekarza Zakładu Medycyny Sądowej. Jej lśniąca powierzchnia i oficjalny wygląd wprawiały większość ludzi w zakłopotanie, gdyż sądzili, że to odznaka policyjna. W takich razach Jack nie starał się wyjaśniać różnicy. Odznaka jeszcze nigdy go nie zawiodła.

- Muszę się widzieć z panem doktorem - oznajmił Jack, chowając do kieszeni odznakę. -

Im szybciej, tym lepiej.

Kiedy recepcjonistka odzyskała głos, zapytała Jacka jeszcze raz o nazwisko. Przedstawił się, lecz nie chcąc zdradzić profesji, pominął "doktor" przy nazwisku.

Kobieta bez zwłoki odsunęła krzesło, wstała i

zniknęła w głębi korytarza.

Jack przyjrzał się pomieszczeniu. Było duże i elegancko urządzone. Nie wyglądało jak zwykła poczekalnia, jaką Jack miał w swoim gabinecie, kiedy był jeszcze samodzielnie praktykującym okulistą. Było to jeszcze, zanim musiał się przekwalifikować z powodu inwazji wielkich kompani medycznych. Jack myślał o tym jak o poprzednim wcieleniu, i w pewnym sensie tak było. W poczekalni siedziało pięciu dobrze ubranych ludzi. Nie przerywając przeglądania magazynów, wszyscy skrycie obserwowali Jacka. Kiedy głośno przewracali strony, Jack wyczuwał wyraźnie atmosferę irytacji, jakby wiedzieli, że zburzy harmonogram i zmusi ich do dłuższego czekania na wizytę. Pozostało mu mieć nadzieję, że żaden z pacjentów nie był kryminalistą, który w owej niedogodności znalazłby wystarczający powód do zemsty.

Recepcjonistka wróciła i z pełnym zakłopotania wyrazem twarzy usłużnie zaprowadziła Jacka do prywatnego biura doktora Levitza. Gdy tylko wszedł do środka, zamknęła za nim drzwi.

Doktora Levitza nie było w pokoju. Jack usiadł

na jednym z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem i rozejrzał się wokół siebie. Na ścianach wisiały typowe w takich miejscach dyplomy i świadectwa, zdjęcia rodzinne, a na biurku leżał stos nie czytanych czasopism medycznych. Wszystko to zdawało się Jackowi znajome, wywołało w nim dziwny dreszcz. Z obecnego, wygodnego punktu widzenia zastanawiał się jak mógł tak długo tkwić w podobnie ograniczonym świecie.

Doktor Daniel Levitz wszedł do gabinetu przez drugie drzwi. Ubrany był w biały fartuch, w kieszeni miał pełno długopisów, z szyi zwisał mu stetoskop. W porównaniu z muskularnym, szerokim w ramionach, liczącym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu Jackiem, doktor Levitz wydawał się człowiekiem małym, prawie kruchym.

Jack natychmiast zauważył nerwowy tik mężczyzny, lekkie wykręcanie głowy z równoczesnym podrzucaniem jej. Jednak Levitz nie zdradził się niczym, że sytuacja w jakikolwiek sposób go niepokoi. Mocno uścisnął dłoń Jacka i prawie zniknął za ogromnym

biurkiem.

- Jestem bardzo zajęty - stwierdził. - Ale dla

policji oczywiście zawsze mam czas.

- Nie jestem z policji - oświadczył Jack. - Jestem

doktor Stapleton z Biura Głównego Inspektora

Zakładu Medycyny Sądowej dla Miasta Nowy

Jork.

Doktorowi Levitzowi drgnęła głowa i nerwowo

poruszył rzadkimi wąsami. Z trudem przełknął

ślinę.

- Och - powiedział.

- Chciałbym krótko porozmawiać z panem o

jednym z pańskich pacjentów.

- Sprawy moich pacjentów są poufne.

- Rzecz jasna - uśmiechnął się Jack. - Tak się

sprawy mają, dopóki pacjent nie umrze i nie

trafi do Zakładu Medycyny Sądowej. Widzi pan,

chcę zapytać o pana Carla Franconiego.

Jack dostrzegł kilka kolejnych nerwowych tików

i pomyślał, że to wielkie szczęście, iż jego

rozmówca jest internistą, a nie neurochirurgiem.

- Mimo wszystko respektuję prywatność moich

pacjentów.

- Z etycznego punktu widzenia mogę zrozumieć

pańskie podejście, jednak muszę panu przypomnieć, że my, lekarze z Biura Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej dla Miasta Nowy Jork, mamy prawo wezwać do stawienia się przed sądem pod groźbą kary.

Więc dlaczego nie mielibyśmy porozmawiać?

Kto wie, może w ten sposób uda nam się wyjaśnić pewne sprawy.

- Co chciałby pan wiedzieć? - zapytał.

- Z karty chorobowej pana Franconiego wyciągniętej ze szpitala dowiedziałem się, że cierpiał on od dawna na kłopoty związane z wątrobą, które doprowadziły do marskości.

Doktor Levitz skinął potakująco. Przy tym kilka razy zadrżało wyraźnie jego prawe ramię. Jack poczekał, aż te mimowolne drgania miną.

- Przechodząc wprost do rzeczy, podstawowe pytanie brzmi, czy pan Franconi przeszedł operację transplantacji wątroby, czy nie.

W pierwszej chwili doktor Levitz nic nie powiedział. Jedynie nerwowo podrygiwał. Jack postanowił poczekać, aż lekarz się uspokoi.

- Nic mi nie wiadomo o transplantacji wątroby - odpowiedział w końcu zapytany.

- Kiedy widział się pan z nim po raz ostatni?

Doktor Levitz podniósł słuchawkę i poprosił jedną z asystentek o przyniesienie karty Carla Franconiego.

- To nie potrwa długo - zapewnił Jacka.

- W jednej z opinii sprzed trzech lat, znalazłem ją wśród szpitalnych dokumentów, napisał pan, że transplantacja będzie nieodzowna.

Przypomina pan sobie?

- Nie bardzo. Ale poważnie martwiłem się pogarszającym się stanem jego zdrowia oraz tym, że nie udało mu się przestać pić.

- Nigdy później nie wspomniał pan o tym.

Bardzo mnie to zaskoczyło wobec wykazywanego przez badania funkcji wątroby stałego pogarszania się stanu zdrowia pacjenta w kolejnych latach.

- Lekarz może zrobić jedynie tyle, na ile pozwala mu pacjent.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i pokorna recepcjonistka przyniosła grubą teczkę. Bez słowa położyła ją na biurku i wyszła.

Doktor Levitz wziął kartotekę Franconiego i rzucił okiem na ostatni zapis, po czym

powiedział, że widział się z pacjentem w zeszłym miesiącu.

- Jaki był powód wizyty?

- Infekcja górnych dróg oddechowych.

Zapisałem antybiotyki. Pomogły.

- Badał go pan?

- Oczywiście! - odpowiedział doktor Levitz z oburzeniem. - Zawsze badam swoich pacjentów.

- Był po transplantacji?

- No cóż, nie badałem całego ciała. Badałem tylko zgodnie z objawami i sugestiami pacjenta.

- Nie sprawdził pan jego wątroby, znając historię choroby?

- Nawet jeżeli badałem, nie zapisałem tego.

- Przeprowadził pan jakieś badania krwi dla sprawdzenia funkcji wątroby?

- Tylko bilirubinę.

- Dlaczego tylko bilirubinę?

- Przedtem miał żółtaczkę. Jego stan znacznie się poprawił, ale chciałem to mieć udokumentowane.

- Jaki był wynik?

- W dopuszczalnych granicach.

- Więc poza górnymi drogami oddechowymi

miał się całkiem dobrze - stwierdził Jack.

- Tak, sądzę, że można tak powiedzieć.

- Prawie cud - zauważył Jack. - Tym bardziej, że jak pan powiedział, nie zamierzał zrezygnować z alkoholu.

- Może w końcu przestał. Przecież, cokolwiek by sądzić, ludzie czasami się zmieniają.

- Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym spojrział do kartoteki? - spytał Jack.

- Owszem, miałbym - odparł Levitz. - Już złamałem moje zasady etyczne co do poufności danych pacjenta. Jeżeli chce pan tę kartotekę, będzie musiał pan uzyskać nakaz sądowy.

Przykro mi. Nie zamierzam przeszkadzać, ale...

- Ależ wszystko w porządku - powiedział przyjaźnie Jack i wstał. - Poinformuję biuro prokuratora stanowego o pańskiej sugestii.

Tymczasem dziękuję za poświęcony czas i jeśli pan pozwoli, na pewno zechcę z panem jeszcze porozmawiać. Sądzę, że w niedalekiej przyszłości. Jest coś dziwnego w tym przypadku i mam zamiar dotrzeć do sedna sprawy.

Jack uśmiechał się do siebie, kiedy zdejmował kłódki zabezpieczające rower. Było oczywiste, że

doktor Levitz wie więcej niż chce powiedzieć.

Jak dużo, tego Jack nie wiedział, ale bez wątpienia podsycalo to tylko jego zaintrygowanie. Mial jakies wewnetrzne przeczucie, ze to najbardziej interesujaca sprawa w jego karierze patologa sadowego, a moze i w calym zyciu.

Wrocil do kostnicy, rower zostawil tam gdzie zwykle, wjechał windą na swoje piętro, zdjął kurtkę, zostawił ją w pokoju i bez zwłoki poszedł do laboratorium DNA. Jednak Ted nie był jeszcze gotów.

- Potrzebuję jeszcze dwóch godzin - oświadczył. -
Zadzwoń do ciebie! Nie musisz przychodzić.

Rozczarowany, ale nie zniechęcony, Jack zszedł piętro niżej do histologii i sprawdził, co słycać w dziale badań mikroskopowych w sprawie oznaczonej już nazwiskiem Franconiego.

- Mój Boże! - jęknęła Maureen. - Czego się spodziewasz, cudu? Oglądam twoje próbki, ale i tak będziesz miał dużo szczęścia, jeżeli wyniki dostaniesz dzisiaj.

Ciągle nie tracąc nadziei i utrzymując w ryzach ciekawość, zjechał windą na pierwsze piętro i

odszukał w laboratorium Johna DeVriesa.

- Oznaczenia na cyklosporiny A i FK506 nie są łatwe - stwierdził John. - Poza tym zostawiamy to na razie, jak jest. Nie oczekujesz chyba ekstraślug z tym budżetem, z jakim muszę pracować.

- Rozumiem - odparł Jack. Wyszedł z laboratorium. Wiedział, że John jest drażliwy i skory do wybuchów, a gdy już do nich dochodzi, potrafi przyjmować postawę pasywno-agresywną. W takim wypadku Jack mógłby tygodniami czekać na wyniki.

Zszedł kolejne piętro, poszedł do biura Barta Arnolda i błagał go o jakiegokolwiek informacje, zanim odwiedzi inne miejsca.

- Wykonałem mnóstwo telefonów. Ale wiesz, jak to jest w takich razach. Nigdy nie możesz zastać potrzebnej osoby. Zostawiłem więc pełno pytań z prośbą o oddzwonienie.

- Psiakrew - zaklął pod nosem Jack. - Czuję się jak nastolatka w nowej sukience, czekająca na zaproszenie do tańca.

- Przykro mi. Jeżeli to cię pocieszy, udało nam się dostać próbkę krwi matki Franconiego. Mają

ją już w laboratorium DNA.

- Czy matka potwierdziła, że syn miał

transplantację wątroby?

- Mówi, że pojechał do uzdrowiska i wrócił

niczym nowy człowiek.

- Może powiedziała, dokąd pojechał?

- Nie wiedziała. Przynajmniej tak powiedziała

naszej wywiadowczy, a ona twierdzi, że matka

mówiła prawdę.

Jack skinął i wstał z krzesła.

- Tego oczekiwałem. Otrzymanie od matki

szczerzej i poufnej informacji byłoby zbyt łatwe.

- Będę cię informował na bieżąco, jak tylko

zaczną oddzwaniać - obiecał Bart.

- Dzięki.

Sfrustrowany chwilowym niepowodzeniem

wrócił do pokoju lekarzy. Pomyślał, że może

odrobina kawy postawi go na nogi. Zaskoczył go

widok porucznika Lou Soldano nalewającego

sobie kawy do kubka.

- Aha. Złapany na gorącym uczynku - przywitał

go Lou.

Jack przyjrzał się detektywowi z wydziału

zabójstw. Wyglądał lepiej niż w ostatnich

dniach. Nie tylko górny guzik koszuli miał zapięty, ale nawet krawat znalazł się na właściwym miejscu, do tego przyzwoicie związany. Jakby tego było mało, Lou był ogolony i uczesany.

- Wyglądasz dzisiaj prawie jak człowiek - skomentował Jack.

- I tak się czuję - odparł Lou. - Przespałem pierwszą noc od wielu dni. Gdzie Laurie?

- Podejrzewam, że przy autopsji.

- Muszę ją jeszcze raz poklepać za to skojarzenie z "topielcem". W komendzie wszyscy wierzą, że to będzie przełom w sprawie. Już dostaliśmy kilka tropów od naszych informatorów, bo gazety wzbudziły wiele plotek na ulicy, szczególnie w Queens.

- Laurie i ja byliśmy zaskoczeni, widząc poranną prasę. Stało się to znacznie szybciej, niż oczekiwaliśmy. Wiesz może, kto mógł być źródłem tych informacji?

- Ja - odrzekł niewinnie Lou. - Ale byłem ostrożny i nie podałem żadnych detali, jedynie to, że ciało zostało zidentyfikowane. Dlaczego, macie jakiś problem?

- Nie. Tylko Bingham prawie wyleciał w powietrze, a ja zostałem postawiony w stan oskarżenia.

- O rety, przepraszam. Nie przyszło mi do głowy, że mogę sprawić wam kłopot. Chyba powinienem to przedtem skonsultować z wami. Mam wobec was dług.

- Zapomnij. To już załatwione. - Jack nalał sobie kawy, wsypał cukru i dolał śmietanki.

- W każdym razie na ulicy wywołaliśmy pożądaną efektstwierdził Lou. - No i już dowiedzieliśmy się paru ważnych rzeczy. Ci, którzy go zastrzelili, to bez wątpienia nie byli ci sami, którzy potem wykradli ciało i okaleczyli je.

- Nie dziwi mnie to - przyznał Jack.

- Nie? - zdziwił się Lou. - Myślałem, że byliście zgodni w opiniach. Przynajmniej Laurie tak mówiła.

- Teraz Laurie uważa, że ci, którzy zabrali stąd ciało, chcieli ukryć przed światem fakt, że Franconi przeszedł transplantację wątroby. Ja ciągle skłaniam się do tezy o próbie uniemożliwienia identyfikacji.

- Czyżby - powiedział zamyślony detektyw,

popijając kawę małymi łykami. - Według mnie to nie ma sensu. Widzisz, jesteśmy z pewnych powodów pewni, że ciało zostało zabrane na polecenie rodziny Lucia, bezpośrednich rywali Vaccarro, którzy, jak podejrzewamy, zastrzelili Franconiego.

- Jasna cholera! - wykrzyknął Jack. - Jesteś tego pewny?

- Raczej tak. Informator, który przekazał te dane, jest dość wiarygodny. Oczywiście nie mamy żadnych nazwisk. To ta frustrująca część sprawy.

- Świadomość, że zorganizowana przestępczość wmieszała się w to, jest przerażająca - stwierdził Jack. - To oznacza również, że ludzie rodziny Lucia są jakoś wplątani w sprawę transplantacji organów. Jeżeli to nie przeszkadza ci spać, to znaczy, że nic już nie przeszkodzi.

- Uspokój się! - krzyknął Raymond do słuchawki. W chwili, gdy miał już wyjść z mieszkania, zadzwonił telefon. Kiedy okazało się, że to doktor Daniel Levitz, wziął słuchawkę do ręki.

- Nie mów mi, żebym się uspokoił! -

odpowiedział równie podniesionym głosem

Levitz. - Czytałeś gazety. Wiesz, że mają ciało Franconiego! I już był u mnie lekarz z sądówki, jakiś doktor Stapleton, i chciał oglądać kartotekę Franconiego.

- Chyba mu jej nie dałeś, co?

- Jasne, że nie! - sapnął rozzłoszczony Daniel. -

Ale wprost oświadczył, że może ją uzyskać nakazem sądowym. Mówię ci, ten facet był bardzo bezpośredni i natarczywy i przyrzekł dotrzeć do sedna sprawy. Podejrzewa, że Franconi miał transplantację. Wprost mnie o to zapytał.

- Czy w twoich kartotekach są jakieś wzmianki o transplantacji albo naszym programie? - zapytał Raymond.

- Nie, w tej kwestii zastosowałem się ściśle do twoich sugestii. Ale jeżeli ktoś zajrzy do kartoteki, na pewno się zdziwi. Przecież leczyłem go od lat i jego stan zdrowia był dokładnie opisany. I nagle wszystkie funkcje wątroby są normalnie wypełniane, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia! Nawet bez komentarza. Mówię ci, zaczną zadawać pytania, a ja nie jestem pewny,

czy poradzę sobie z odpowiedziami. Jestem poważnie zaniepokojony. Żałuję, że dałem się w to wszystko wplątać.

- Nie dajmy się ponieść emocjom - powiedział Raymond ze spokojem, którego jednak tak naprawdę nie odczuwał. - Nie ma sposobu, żeby ten Stapleton dotarł do samego dna sprawy.

Nasze obawy związane z autopsją były czysto hipotetyczne i wynikały z nieprawdopodobnie małej szansy, że ktoś z ilorazem inteligencji równym Einsteinowi byłby w stanie odkryć źródło transplantu. To się nie zdarzy. Ale doceniam, że poinformowałeś mnie o wizycie Stapletona. Kiedy zadzwoniłeś, właśnie wychodziłem na spotkanie z Vinniem Dominickiem. Z jego możliwościami będzie w stanie zająć się wszystkim. W końcu, gdyby się bliżej przyjrzeć obecnej sytuacji, to w pewnym stopniu sam ponosi odpowiedzialność za komplikacje.

Odłożył słuchawkę tak szybko, jak tylko mógł.

Uspokajanie doktora Levitza w najmniejszym stopniu nie uciszyło jego własnego niepokoju.

Poinformował Darlene, co ma powiedzieć, gdyby

przypadkiem Taylor Cabot zadzwonił jeszcze raz, i wyszedł z mieszkania. Złapał taksówkę na rogu Madison i Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy i poinstruował kierowcę, jak dojechać na Corona Avenue w Elmhurst.

Sceneria w "Restauracji Neapolitańskiej" była dokładnie taka sama jak poprzedniego dnia, może tylko doszedł zapach kilkuset spalonych od tego czasu papierosów. Vinnie Dominick siedział przy tym samym stoliku, a jego ulubieni goryle na tych samych stołkach przy barze. Otyły, zarośnięty barman jak wtedy zajęty był czyszczeniem szkła.

Raymond nie tracił czasu. Odsunął ciężką, czerwoną aksamitną zasłonę wiszącą za drzwiami, podszedł do stolika Vinniego i bez zaproszenia usiadł. Rzucił na stolik gazetę i starannie ją wygładził.

Vinnie nonszalancko rzucił okiem na nagłówki.

- Jak widać, problem nadal jest - zauważył

Raymond. - Obiecaliście, że ciało zniknie.

Najwyraźniej spartaczyliście robotę.

Vinnie wziął papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił w górę strużkę dymu.

- Doktorze - zaczął. - Nie przestaje mnie pan zadziwiać. Albo ma pan nerwy ze stali, albo jest pan kompletnie szalony. Nie toleruję takiego braku szacunku nawet u najbardziej zaufanych ludzi. Albo cofnie pan słowa, które właśnie pan powiedział, albo wstanie pan i zniknie stąd, zanim naprawdę się zdenerwuję.

Raymond ciężko przełknął ślinę i wsunął palec za kołnierzyk, żeby go nieco poluznić.

Przypomniał sobie, z kim rozmawia, i dreszcz przeszedł mu po krzyżu. Jedno małe skinienie Vinniego Dominicka i mogą znaleźć jego zwłoki w East River.

- Przepraszam - powiedział potulnie. - Nie jestem sobą. Jestem bardzo zdenerwowany.

Ledwie zdążyłem przeczytać tytuły w prasie, a już zadzwonił do mnie dyrektor z GenSys, grożąc zamknięciem całego programu. Miałem też telefon od lekarza Franconiego. Mówił, że nękał go jeden z patologów sądowych, jakiś Jack Stapleton, i pytał o kartotekę Franconiego.

- Angelo! - zawołał Vinnie. - Podejdz tu!

Powłócząc nogami, Angelo podszedł do stolika.

Vinnie spytał, czy zna doktora Stapletona z

kostnicy, ale Angelo zaprzeczył.

- Nigdy go nie widziałem. Ale Vinnie Amendola wspominał o nim dziś rano przez telefon.

Powiedział, że ten Stapleton jest napalony na Franconiego, bo Franconi to jego przypadek.

- Jak pan widzi, ja też odebrałem kilka telefonów

- odparł Vinnie. - Dzwonił Amendola, który ciągle się boi, bo pomógł nam wynieść ciało

Franconiego. Dzwonił też brat mojej żony.

Prowadzi dom pogrzebowy i to oni wywieź ciało.

Zdaje się, że odwiedziła ich Laurie Montgomery i wypytywała o nie istniejące zwłoki.

- Przykro mi, że wszystko zaczyna się tak źle układać - powiedział Raymond.

- Panu i mnie również. Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, skąd wzięli to ciało.

Wiedzieliśmy, że nie zakopujemy zbyt głęboko, bo ziemia w Westchester jest jeszcze za twarda, więc wyrzuciliśmy go daleko od Coney Island prosto do oceanu.

- Najwyraźniej coś poszło nie tak. Co możemy zrobić, biorąc pod uwagę istniejące okoliczności? - zapytał Raymond.

- Skoro ciało zostało zidentyfikowane, nic nie

możemy zrobić. Vinnie Amendola powiedział

Angelowi, że wykonali już autopsję. Więc z tym koniec.

Raymond ciężko westchnął i potarł głowę. Ból wyraźnie się wzmagał.

- Ale chwileczkę, doktorze. Chcę pana jeszcze o czymś zapewnić. Kiedy się dowiedziałem, że powodem, dla którego należy uniknąć autopsji, jest wątroba, kazałem ją Angelowi zniszczyć.

Raymond podniósł głowę. Promyk nadziei pojawił się nad horyzontem.

- Jak to zrobiliście? - spytał.

- Strzałem. Rozstrzelaliśmy ją w cholerę. Została całkiem zniszczona jak zresztą wszystkie bebechy. Zgadza się Angelo?

Angelo przytaknął.

- Cały zapas amunicji z remingtona. Kichy faceta wyglądały jak hamburger.

- Więc nie ma pan się o co tak bardzo martwić, doktorze - zauważył Vinnie.

- Jeżeli wątroba została całkowicie zniszczona, dlaczego Stapleton pytał, czy Franconi przeszedł transplantację?

- Pytał? - zdziwił się Vinnie.

- Pytał wprost doktora Levitza.

Vinnie wzruszył ramionami.

- Musiał na to wpaść w jakiś inny sposób. W każdym razie nasz problem skupia się teraz na dwóch osobach: na Jacku Stapletonie i Laurie Montgomery.

Raymond uniósł pytająco brwi.

- Jak już kiedyś mówiłem, gdyby nie chodziło o Vinniego juniora i jego chorą nerkę, nigdy bym się nie wplątał w tę sprawę. Odkąd skorzystałem z pomocy szwagra, stało się to także moim problemem. Skoro go w to wmieszałem, nie mogę zostawić teraz zawieszzonego w niepewności, rozumie pan, co mam na myśli?

No więc, myślę tak. Wyślę Angela i Franca do tych dwojga lekarzy i niech zadbają o sprawy. Co ty na to, Angelo?

Raymond z nadzieją spojrział na Angela, który uśmiechnął się po raz pierwszy, od kiedy się poznali. Nie był to pełny uśmiech, bo blizny unieruchomiły częściowo mięśnie twarzy, ale i tak był to uśmiech.

- Od pięciu lat czekam na spotkanie z Laurie Montgomery - rzucił.

- Spodziewam się - odparł Winnie. - Możesz

dostać ich adresy od Vinniego Amendoli?

- Jestem pewny, że z radością wystawi nam

Stapletona - stwierdził Angelo. - On chyba jak

nikt inny chce, żeby powietrze się oczyściło. A co

do Laurie Montgomery, to znam jej adres.

Winnie zgasił papierosa i uniósł brwi,

spoglądając w stronę Raymonda.

- Tak więc, doktorze, co pan sądzi o pomysle,

żeby Angelo i Franco odwiedzili tych wścibskich

lekarzy sądowych i przekonali ich, aby zaczęli

patrzeć na tę sprawę z naszego punktu

widzenia? Muszą uwierzyć, że są powodem

naszego poważnego zakłopotania, jeśli rozumie

pan, co mam na myśli. - Mrugnął okiem i na

ustach pojawił mu się szczególny uśmieszek.

Raymond także lekko się uśmiechnął, z ulgą.

- Chyba nie ma lepszego rozwiązania. - Wstał zza

stołu. - Dziękuję, panie Dominick. Jestem wielce

zobowiązany i jeszcze raz przepraszam za mój

nieprzemyślany wybuch na początku rozmowy.

- Chwileczkę, doktorze. Musimy jeszcze

uzgodnić formę rekompensaty.

- Sądziłem, że zostanie to dopisane do

poprzedniego rachunku i pokryte zgodnie z
wcześniejszym ustaleniem. - Raymond starał się
mówić jak biznesmen, nie obrażając rozmówcy. -
Przecież ciało Franconiego nie miało się już
pojawić.

- Nie widzę tego w ten sposób - stwierdził
Vinnie. - To ekstrarobota. Skoro odstąpił pan już
od honorarium, obawiam się, że będziemy
musieli porozmawiać o moim wpisowym. Co
pan powie na dwadzieścia tysięcy? To ładna,
okrągła sumka.

Raymond poczuł się urażony, ale zdołał
utrzymać nerwy na wodzy i nie odpowiedział od
razu. Poza tym pamiętał, co stało się ostatnim
razem, kiedy próbował się targować z
gangsterem: cena się podwoiła.

- Zebranie takiej kwoty może zabrać mi trochę
czasu - powiedział po chwili.

- W porządku. W takim razie uzgodniłmy całą
rzecz. Jeśli o mnie chodzi, wyślę Angela i Franca
natychmiast.

- Znakomicie - powiedział Raymond i wyszedł.

- Mówisz poważnie? - Angelo zwrócił się do
Vinniego.

- Obawiam się, że tak. Zdaje się, że to nie był dobry pomysł wciągać w sprawę szwagra, chociaż wtedy nie mieliśmy wielkiego wyboru. Tak czy siak, muszę uporządkować sprawy, bo inaczej żona urwie mi jaja. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że doktor zapłaci mi za robotę, którą i tak musiałbym wykonać.

- Kiedy mamy się zająć tą dwójką? - zapytał Angelo.

- Im szybciej, tym lepiej. Właściwie moglibyście załatwić to dziś w nocy - zdecydował Vinnie Dominick.

ROZDZIAŁ 15

6 marca 1997 roku

godzina 19.30

Cogo, Gwinea Równikowa

- O której spodziewa się pan swoich gości? - spytała Esmeralda. Ciało miała owinięte w piękny, jasny, pomarańczowo-zielony materiał i taki sam zawój na głowie.

- O siódmej - odpowiedział Kevin, ciesząc się z góry na chwilę rozrywki. Siedział za biurkiem i próbował sam siebie oszukać, że czyta jedno z czasopism poświęconych biologii molekularnej.

W rzeczywistości przeżywał katusze, dręczony powracającymi wspomnieniami wydarzeń minionego popołudnia.

Ciągle miał przed oczyma żołnierzy w czerwonych beretach i polowych mundurach, wychodzących nagle nie wiadomo skąd. Słyszał odgłos ich kroków na wilgotnej ziemi i szcęk broni, gdy ruszyli biegiem. Co gorsza, ciągle czuł ów porażający strach, który towarzyszył mu, kiedy rzucił się do ucieczki, spodziewając się w każdej chwili serii z broni maszynowej.

Bieg przez polanę do samochodu i dzika jazda jakoś nie pasowały do pierwotnego przerażenia.

Rozpryskujące się okna samochodu wydawały się czymś surrealistycznym i w żaden sposób nie dały się przyrównać z wrażeniem, jakie wywarł na nim widok żołnierzy wychodzących prosto na niego.

Melanie raz jeszcze zareagowała zupełnie inaczej na wydarzenia niż Kevin. Zaczął się nawet zastanawiać, czy to dorastanie na Manhattanie przyzwyczyliło ją do podobnych doświadczeń.

Nie okazywała strachu, bardziej było po niej widać złość niż obawę. Wpadła w furję,

uważając, że żołnierze dla chuligańskiego kaprysu zniszczyli coś, co było jej własnością, chociaż w rzeczywistości wóz należał przecież do GenSys.

- Kolacja jest gotowa. Dopilnuję, żeby nie wystygła - oświadczyła Esmeralda.

Kevin podziękował sumiennej gospodyni i Esmeralda zniknęła w kuchni. Odsunął czasopismo na bok i wyszedł na werandę. Powoli nadchodziła noc i zaczął się martwić, gdzie mogą się podziewać Melanie i Candace.

Przed domem Kevina był niewielki plac z trawnikiem, oświetlony ulicznymi latarniami.

Dokładnie po przeciwnej stronie placu stał dom Siegfrieda Spalleka. Był podobny do tego, w którym mieszkał Kevin, z arkadami na parterze i werandą dookoła pierwszego piętra. Ze spadzistego dachu wystawały mansardowe okna.

W tej chwili świeciło się tylko w kuchni.

Najwidoczniej szef placówki nie wrócił jeszcze do domu.

Słyszając śmiechy, Kevin przeszedł na lewą stronę.

Piętnaście minut wcześniej skończyła się prawie godzinna ulewa. Nagrzane słońcem kamienie

bruku parowały. W tej wilgotnej poświacie

dostrzegł dwie kobiety idące ramię przy

ramieniu i serdecznie się zaśmiewające.

- Hej, Kevin - zawołała Melanie, dostrzegając go

na balkonie. - Dlaczego nie przysłałeś po nas

samochoду?!

Podeszły dokładnie do miejsca, w którym stał

Kevin. Te słowa wprowadziły go w zakłopotanie.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- No, chyba nie sądziłeś, że przyjdziemy

przemoczone, prawda? - odparła Melanie, a

Candace zachichotała.

- Wchodźcie na górę - zaprosił. Rzucił okiem w

stronę sąsiadów, mając nadzieję, że zjawienie się

kobiet nie zwróciło niczyjej uwagi.

Weszły po schodach, robiąc przy tym mnóstwo

hałasu. Kevin przywitał je w holu. Melanie

uparła się, żeby ucałować go w oba policzki.

Candace zrobiła to samo.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedziała

Melanie. - Ale deszcz zmusił nas do schowania

się w "Chickee Bar".

- A grupa przyjaźnie nastawionych chłopaków z

warsztatów nalegała i w końcu postawili nam

pina colada* [przyp.: Pina colada (hiszp.) - rum

z sokiem ananasowym (przyp. tłum.)] -

poinformowała rozbawiona Candace.

- Nic nie szkodzi. Kolacja jest już gotowa.

- Fantastycznie. Umieram z głodu - ucieszyła się

Candace.

- Ja też - przytaknęła Melanie. Schyliła się i

zdjęła buty. - Mam nadzieję, że nie będzie ci

przeszkadzało, jeśli zostanę boso?

- I ja - dodała Candace, także zsuwając pantofle.

Kevin wskazał na jadalnię i poprowadził obie

panie. Esmeralda położyła nakrycia z jednej

strony stołu, gdyż mogło się przy nim pomieścić

dwanaście osób. Stół nakryty był obrusem, a w

szklanych świecznikach płonęły świece.

- Jak romantycznie - zauważyła Candace.

- Mam nadzieję, że znajdzie się jakieś wino -

powiedziała Melanie, zajmując najbliższe

miejsce.

Candace okrążyła stół i usiadła naprzeciwko

Melanie, zostawiając Kevinowi miejsce u szczytu

stołu.

- Białe czy czerwone? - zapytał.

- Kolor jest obojętny - zażartowała Melanie i

roześmiała się.

- Co będzie na kolację? - spytała Candace.

- Tutejsza ryba - wyjaśnił Kevin.

- Ryba! Jakże na miejscu - zauważyła Melanie i to rozbawiło je do łez.

- Nie bardzo rozumiem - stwierdził nieco zmieszany Kevin. Miał takie uczucie, że kiedy znajdował się w pobliżu tych kobiet nie do końca potrafił kontrolować sytuację, a z rozmów, które prowadziły między sobą, rozumiał mniej niż połowę.

- Później ci wyjaśnimy - wreszcie zdołała się odezwać Melanie. - Nalej wina. To ważniejsze.

- Niech będzie białe - zdecydowała Candace.

Kevin poszedł do kuchni i wziął butelkę, którą wcześniej włożył do lodówki. Unikał wzroku Esmeraldy, zastanawiając się, co też musi sobie myśleć o tych dwóch goszczących u niego podchmielonych kobietach. Sam zresztą nie wiedział, co o tym sądzić.

Kiedy otwierał butelkę, słyszał dochodzące z jadalni odgłosy ożywionej rozmowy i śmiech.

Najważniejsze, że przy Melanie i Candace nie grozi męcząca cisza, pomyślał.

- Co będziemy pić? - Melanie przywitała pytaniem Kevina wracającego z kuchni. Pokazał butelkę. - Ho, ho - skomentowała protekcjonalnie. - Montrachet! Ależ mamy dzisiaj szczęśliwy dzień.

Kevin nie miał pojęcia, co wyjął ze swej bogatej kolekcji win, ale cieszył się, że zrobił wrażenie na Melanie. Napełniał kieliszki, gdy Esmeralda weszła z pierwszym daniem. Kolacja okazała się niekwestionowanym sukcesem. Również Kevin zaczął się odprężyć, dotrzymując kroku paniom w konsumowaniu wina. W połowie posiłku musiał pójść do kuchni po następną butelkę.

- Nie zgadniesz, kto jeszcze był w barze - powiedziała Melanie, kiedy z talerzy zniknęło główne danie. - Nasz przerażający szef, Siegfried.

Kevin upił łyk wina i wytarł usta serwetką.

- Nie rozmawialiście z nim, prawda?

- Trudno byłoby nie zamienić kilku słów - stwierdziła Melanie. - Uprzejmie zapytał, czy mógłby się przyłączyć, i postawił kolejkę nie tylko nam, ale i chłopakom z warsztatów.

- Był bardzo czarujący - przyznała Candace.

Kevin czuł, jak po kręgosłupie przechodzi mu dreszcz. Drugą trudną próbą tego popołudnia, która przeraziła go niemal tak samo jak pierwsza, była wizyta w biurze Siegfrieda.

Ledwie uszli przed żołnierzami, kiedy Melanie uznała, że pojedą prosto do niego. Zupełnie nie miało dla niej znaczenia, co sądził na ten temat Kevin, i wszelkie próby odwiedzenia jej od realizacji pomysłu okazały się daremne.

- Nie zamierzam godzić się na podobne traktowanie - powiedziała, gdy już znaleźli się na schodach prowadzących do biura szefa Strefy.

Nawet nie zadała sobie trudu, żeby porozmawiać z Auriel. Po prostu wpadła do środka i oświadczyła, że Siegfried ma osobiście dopilnować naprawy jej samochodu.

Candace weszła z nią, ale Kevin zatrzymał się przy biurku Auriela i stąd obserwował scenę.

- Zeszłej nocy zgubiłam moje okulary przeciwsłoneczne - powiedziała Melanie. - Więc pojechaliśmy, żeby je odnaleźć, i znowu do nas strzelano!

Kevin spodziewał się wybuchu. Tymczasem Siegfried natychmiast przeprosił, oświadczył, że

żołnierze mają rozkaz trzymać ludzi z dala od wyspy, ale nie powinni używać broni. Zgodził się nie tylko naprawić samochód Melanie, ale także pożyczyć jej na czas remontu inny. Dodał jeszcze, że nakaże żołnierzom rozejrzeć się za okularami.

Esmeralda wniosła deser kokosowy. Panie były zachwycone.

- Czy w jakikolwiek sposób wracał do tego, co się dzisiaj wydarzyło? - zapytał Kevin.

- Jeszcze raz przeprosił - odpowiedziała

Candace. - Mówił, że rozmawiał z

Gwinejczykami i że nie będzie więcej strzelania.

Oznajmił, że jeżeli ktokolwiek będzie się kręcił w pobliżu mostu, przeprowadzi się z nim rozmowę i wyjaśni, że teren jest strzeżony.

- Urocza opowieść. Te dzieciaki zwane żołnierzami z taką ochotą pociągają za spusty, że jego obietnice pozostaną gołosłowne.

Melanie roześmiała się.

- Skoro mowa o żołnierzach, to Siegfried powiedział, że przez kilka godzin szukali nie istniejących okularów. Mają za swoje!

- Zapytał, czy chcemy porozmawiać z

robotnikami, którzy pracowali na wyspie i palili wycięte krzewy. Możesz w to uwierzyć? - spytała Candace.

- I co odpowiedziałyście?

- Powiedziałyśmy, że to nie jest konieczne. Nie chciałam, żeby myślał, że ciągle interesujemy się dymem i stanowczo nie chciałyśmy, aby podejrzewał nas o planowanie kolejnej wyprawy na wyspę - wyjaśniła Candace.

- Bo też nie planujemy - powiedział Kevin.

Przypatrywał się obu paniom, podczas gdy one patrzyły na siebie i uśmiechały się konspiracyjnie. - Planujemy? - Zaczął więcej niż podejrzewać, że wizyta na wyspie jest poza dyskusją.

- Pytałeś, dlaczego się śmiejemy, kiedy stwierdziłeś, że na kolację będzie ryba.

Pamiętasz? - spytała Melanie.

- Tak - potwierdził z zainteresowaniem. Czuł niewyraźnie, że to, co ma zamiar powiedzieć Melanie, nie przypadnie mu do gustu.

- Śmiałyśmy się, bo popołudnie spędziłyśmy na rozmowie z rybakami, którzy zjawiają się w Cogo kilka razy w tygodniu - Melanie podjęła się

wyjaśnienia sprawy. - Prawdopodobnie z tymi,
którzy złowili naszą dzisiejszą kolację.

Przyjeżdżają z miasta zwanego Acalayong, jakieś
dziesięć, dwanaście mil stąd na wschód.

- Znam to miasto - powiedział Kevin. Była to
baza wypadowa dla tych, którzy wyjeżdżali z
Gwinei Równikowej do Cocobeach w Gabonie.

Trasę obsługiwały motorowe łodzie.

- Wynajęliśmy od nich jedną z łodzi na dwa, trzy
dni. Nie będziemy więc musieli nawet zbliżyć się
do mostu. Możemy odwiedzić Isla Francesca,
dopływając do niej - oświadczyła z dumą

Melanie.

- Beze mnie - z naciskiem stwierdził Kevin. -

Mam tego dość. Powiem szczerze, mamy
szczęście, że jeszcze żyjemy. Jeśli chcecie jechać,
jedźcie! Doskonale wiem, że wszystko, co
dotychczas mówiłem, w najmniejszym stopniu
nie wpływało na wasze zachowanie.

- Och, wspaniale! - skomentowała drwiącym
tonem Melanie. - Już się poddałeś! W jaki inny
sposób chcesz się przekonać, czy nie
stworzyliśmy wspólnie praczłowieka? Przecież to
ty wywołałeś ten temat i przeraziłeś nas swoimi

podejrzeniami.

Melanie i Candace wpatrywały się uważnie w Kevina. Przez kilka minut milczeli. Do pokoju wnikały nocne odgłosy dżungli, których do tej pory nikt z nich nawet nie słyszał.

Kevin z każdą chwilą czuł się niezręcznie.

- Nie wiem, co jeszcze powinienem zrobić.

Zastanowię się nad tym - odezwał się.

- Jak cholera, zastanowisz się - rzuciła Melanie

ze złością. - Już raz stwierdziłeś, że jedynym

sposobem poznania zachowania zwierząt jest

wizyta na wyspie. To twoje słowa. Zapomniałeś?

- Nie, nie zapomniałem. Tylko że... cóż...

- W porządku - Melanie znowu przybrała ten

swój protekcyjny ton. - Jeśli tchórz cię

obleciał i nie jesteś w stanie pójść i sprawdzić, co

wykombinowałeś swoimi genetycznymi

sztuczkami, to trudno. Liczyliśmy na twoją

pomoc przy obsłudze silnika w łodzi, ale trudno.

Jakoś sobie poradzimy. Prawda, Candace?

- Jasne.

- Widzisz, że zaplanowałyśmy wszystko dość

dokładnie. Wynajęłyśmy nie tylko dużą łódź

motorową, ale także mniejszą, wiosłową.

Chcemy ją holować. Gdy dopłyniemy do wyspy, powiosłujemy w górę Rio Diviso. Może nawet nie będziemy musiały schodzić na ląd.

Wystarczy jedynie poobserwować zwierzęta przez jakiś czas. Kevin skinął głową. Spoglądał to na jedną, to na drugą, a one śmiało patrzyły na niego. Czując rosnące nieprzyjemne skrępowanie, odsunął krzesło, wstał i skierował się w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytała Melanie.

- Przyniosę jeszcze wina.

Balansując między złością a zakłopotaniem, Kevin wszedł do kuchni, wziął butelkę białego burgunda, odkorkował ją i wrócił do pokoju.

Pokazał etykietę Melanie, a ona z aprobatą kiwnęła głową. Napełnił jej kieliszek. Podobnie postąpił wobec Candace. W końcu nalał także sobie.

Usiadł i pociągnął zdrowy łyk wina. Przełknął i zakasłał lekko. Wreszcie zapytał, na kiedy zaplanowały swoją wielką wyprawę.

- Jutro o świcie - odpowiedziała Melanie. -

Wyliczyłyśmy, że droga na wyspę zabierze nam nieco ponad godzinę, a zamierzamy wrócić,

zanim słońce zacznie prażyć.

- Mamy już jedzenie i napoje z kantyny.

Skombinowałam nawet ze szpitala przenośną chłodziarkę - dodała Candace.

- Będziemy się trzymać z daleka od mostu i miejsca, gdzie dostarcza się pokarm, więc nie powinno być kłopotów - twierdziła Melanie.

- Myślę, że to będzie zabawne. Zawsze chciałam zobaczyć hipopotamy - powiedziała Candace.

Kevin wypił następny duży łyk wina.

- Mam nadzieję, że pozwolisz nam zabrać te elektroniczne zabawki do lokalizacji zwierząt - stwierdziła Melanie. - Mogłybyśmy też skorzystać z mapy topograficznej. Oczywiście będziemy się z nimi ostrożnie obchodzić.

Kevin westchnął i z rezygnacją zwiesił głowę.

- Dobra, poddaję się. Na którą godzinę zaplanowałyście początek operacji?

- Och, świetnie. Wiedziałałam, że popłyniesz z nami! - zawołała Candace i klasnęła w dłonie.

- Słońce wschodzi zaraz po szóstej - powiedziała Melanie. - O tej porze chciałabym już być w drodze na wyspę. Według mnie powinniśmy skierować się na zachód i wpłynąć w ujście rzeki,

zanim zawrócimy na wschód. W ten sposób unikniemy podejrzeń, gdyby ktoś nas widział w łodzi. Chcę, żeby myśleli, że płyniemy do Acalayong.

- Co z pracą? - zapytał Kevin. - Będiesz miała nieobecność.

- Nie. Powiedziałam już kolegom z laboratorium, że będę nieosiągalna w centrum, a w centrum powiedziałam, że...

- Mogę sobie wyobrazić - wtrącił Kevin. - A ty, Candace?

- Nie ma się czym martwić. Dopóki pan Winchester ma się tak dobrze jak dotąd, właściwie jestem bezrobotna. Chirurdzy cały dzień grają w golfa albo w tenisa. Mogę robić, na co mam ochotę.

- Zadzwoń do szefa moich techników - oświadczył Kevin. - Powiem mu, że pod wpływem pogody doznałem ostrego ataku obłądu.

- Zaraz, zaraz - powiedziała nagle Candace. - Mam pewien kłopot.

Kevin wyprostował się na krześle.

- Co takiego?

- Nie mam przy sobie żadnego kremu z filtrem ochronnym. Nie zabrałam, bo podczas trzech poprzednich wizyt ani razu nie było słońca.

ROZDZIAŁ 16

6 marca 1997 roku

godzina 14.30

Nowy Jork

Ponieważ żaden z testów Franconiego nie dał jeszcze definitywnych wyników, Jack wrócił do swojego biura i zmusił się do pracy nad innymi przypadkami, których zebrało się sporo. Ku swemu zaskoczeniu nadrobił wiele zaległości, kiedy o czternastej trzydzieści zadzwonił telefon.

- Czy to pan doktor Stapleton? - zapytał kobiecy głos z wyraźnie włoskim akcentem.

- Tak jest. Czy pani Franconi?

- Imogene Franconi. Proszono mnie o skontaktowanie się z panem.

- Doceniam pani uprzejmość, pani Franconi.

Przede wszystkim proszę przyjąć szczere kondolencje z powodu śmierci syna.

- Dziękuję - odpowiedziała Imogene Franconi. -

Carlo był dobrym chłopcem. Nie zrobił nic z tego, o czym piszą w gazetach. Pracował tutaj, w

Queens dla American Fresh Fruit Company.

Zupełnie nie mam pojęcia, skąd wzięły się te wszystkie plotki o zorganizowanej przestępczości. Gazety wymyślają po prostu głupstwa.

- To rzeczywiście straszne, co robią, żeby się sprzedawać - przytaknął Jack.

- Ten pan, który przyszedł do mnie rano, powiedział, że odzyskaliście ciało syna.

- Tak uważamy. Dlatego potrzebowaliśmy próbki pani krwi, aby potwierdzić identyfikację.

Bardzo dziękuję, że zechciała pani nam pomóc.

- Spytałam, dlaczego nie chce, żebym pojechała i rozpoznała syna jak za pierwszym razem. Ale odpowiedział, że nie wie.

Jack starał się szybko wymyślić jakiś sposób na oględne wytłumaczenie kłopotów z identyfikacją, ale nic nie przyszło mu do głowy.

- Niestety nadal brakuje nam pewnych fragmentów ciała - stwierdził nieprecyzyjnie, mając nadzieję, że zadowoli to panią Franconi.

- Och? - Odpowiedź Jacka zaskoczyła ją.

- Proszę mi pozwolić wytłumaczyć, dlaczego chciałem się z panią skontaktować. - Bał się, że

jeżeli jego rozmówczyni poczuje się dotknięta,
przestanie odpowiadać na pytania. - Powiedziała
pani naszemu pracownikowi, że zdrowie pani
syna znacznie poprawiło się po podróży.

Przypomina pani sobie te słowa?

- Oczywiście - potwierdziła.

- Przekazano mi, że nie wie pani, dokąd syn
wyjeżdżał. Czy mogłaby pani w jakiś sposób
określić to miejsce?

- Nie wydaje mi się. Powiedział, że nie ma to nic
wspólnego z jego pracą i że to całkiem prywatny
wyjazd.

- Może pamięta pani, kiedy to było?

- Niedokładnie. Jakies pięć, sześć tygodni temu.

- Czy to był wyjazd krajowy?

- Nie wiem. Mówił jedynie, że to ściśle prywatna
podróż.

- Gdyby w jakiś sposób dowiedziała się pani,
dokąd syn pojechał, czy zechciałaby pani
zadzwoić do mnie? - spytał Jack.

- Tak zrobię - obiecała.

- Bardzo dziękuję.

- Chwileczkę - zatrzymała Jacka przy słuchawce.

- Pamiętam, że tuż przed wyjazdem powiedział

coś dziwnego. Powiedział, że jeśli by nie wrócił,

mam pamiętać, że bardzo mnie kocha.

- Zdziwiło to panią?

- No, raczej tak. Ale pomyślałam, że to tylko miłe słowa skierowane do matki.

Jack jeszcze raz podziękował pani Franconi i odłożył słuchawkę. Ledwie zdjął dłoń z aparatu, kiedy znowu rozległ się dzwonek. Tym razem to był Ted Lynch.

- Lepiej będzie, jak tu przyjdiesz - rzucił.

- Już idę - odpowiedział krótko Jack.

Znalazł Teda za biurkiem, drapiącego się z zakłopotaniem w głowę.

- Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że próbujesz mnie nabić w butelkę - powiedział Ted. - Siadaj!

Jack usiadł. Ted trzymał wydruk z komputera i wiele luźnych klisz z dziesiątkami małych, ciemnych pasków. Rzucił to wszystko Jackowi na kolana.

- A cóż to, u diabła, jest? - zapytał Jack. Wziął kilka z celuloidowych klisz i popatrzył na nie pod światło.

Ted podniósł się i staromodnym drewnianym

ołówkiem wskazał na zdjęcia.

- Oto rezultaty testów DNA z zastosowaniem

polimarkerów. - Wskazał na wydruk z

komputera. - A te wszystkie dane porównują

sekwencje nukleotydów z rejonu DQ alfa

głównego układu zgodności tkankowej.

- Daj spokój, Ted! - Jack popędzał kolegę. - Mów

po angielsku, proszę. Wiesz, że kiedy wchodzimy

na ten grunt, czuję się jak zgubione dziecko w

gęstym lesie.

- Dobra - odparł Ted, jakby zirytowany. -

Polimarkery pokazują, że DNA Franconiego i

DNA resztek wątroby, które znalazłeś, nie

mogłyby być bardziej od siebie różne.

- Stary, to świetna wiadomość - ucieszył się Jack.

- Więc była transplantacja.

- Niby tak - odparł Ted bez przekonania. - Ale

sekwencja z DQ alfa jest identyczna aż do

ostatniego nukleotydu.

- A co to znaczy?

Ted rozłożył ręce i zmarszczył czoło.

- Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Gdyby

rzecz ująć w kategoriach matematycznych, to nie

ma prawa się stać. To znaczy

prawdopodobieństwo jest tak niewiarygodnie małe, że nie sposób w to uwierzyć. Mówimy o identycznym dopasowaniu tysięcy par na długim odcinku. Absolutnie identycznych. To dlatego otrzymaliśmy taki wynik przy teście z DQ alfa.

- No cóż, podsumowując, można jednak powiedzieć, że transplantacja miała miejsce. A oto głównie chodzi.

- Pod presją muszę się zgodzić, że mamy do czynienia z transplantacją - przytaknął niechętnie Ted. - Ale to, jak znaleźli dawcę z identycznym DQ alfa, pozostaje poza moim pojmowaniem rzeczy. To ten rodzaj przypadku, który ma posmak cudu.

- A co z mitochondrialnym DNA i porównaniem go z "topielcem"?

- Jezu, daj facetowi palec, a będzie chciał całą rękę - zaczął narzekać Ted. - Na miłość boską, przecież dopiero co dostaliśmy krew. Będziesz musiał jeszcze poczekać na wyniki. W końcu, żeby tak szybko dać ci to, co dostałeś, wywróciliśmy całe laboratorium do góry nogami. Poza tym sam jestem zainteresowany porównaniem sytuacji w DQ alfa z wynikami

polimarkerów. Coś tu nie gra.

- Nie powinieneś się tym tak przejmować -

powiedział Jack. Wstał i zwrócił Tedowi

wszystkie materiały, które leżały dotąd na jego

kolanach. - Doceniam to, co zrobiłeś. Dziękuję!

Dostarczyłeś mi informacji, której

potrzebowałem. Kiedy będziesz miał wyniki

badania krwi, daj znać.

Jack czuł rosnące podniecenie, wywołane

wynikami badań. Teraz martwił się tylko

wynikiem testów krwi. Po dokładnym

przyjrzeniu się zdjęciom był niemal w stu

procentach pewny, że "topielec" i Franconi to

jedna i ta sama osoba.

Wsiadł do windy. Teraz, kiedy miał

udokumentowaną transplantację, oczekiwał na

Barta Arnolda z resztą informacji wyjaśniających

tajemnicę. Jadąc windą, zastanawiał się, skąd u

Teda tak emocjonalna reakcja na wyniki

związane z DQ alfa. Jack wiedział, że Teda

niewiele rzeczy ekscytuje. Więc sprawa musiała

być znacząca. Niestety za słabo orientował się w

tych kwestiach, żeby wyrobić sobie własną

opinię. Obiecał sobie, że jak znajdzie odrobinę

czasu, poczyta na ten temat.

Zainteresowanie Jacka okazało się krótkotrwałe, zniknęło zaraz po wejściu do biura Barta. Szef wywiadowców Zakładu Medycyny Sądowej tkwił przy telefonie. Zauważywszy Jacka, pokręcił przecząco głową. Jack zrozumiał, że ma złe wieści. Usiadł, żeby poczekać.

- Bez skutku? - zapytał Jack, kiedy Bart skończył rozmowę.

- Obawiam się, że tak. Naprawdę spodziewałem się pomocy z UNOS, ale kiedy powiedzieli, że nie załatwiali wątroby dla Carla Franconiego i że nawet nie było go na liście oczekujących, zrozumiałem, że szansa na odnalezienie źródła, z którego pochodziła przeszczepiona wątroba, gwałtownie zmaląła. Właśnie skończyłem rozmowę z Columbia-Presbyterian i też bez skutku. Rozmawiałem ze wszystkimi centrami wykonującymi przeszczepy wątroby i nikt nie miał Franconiego na liście.

- To szaleństwo - odparł Jack. Opowiedział Bartowi o odkryciu Teda potwierdzającym transplantację.

- Nie wiem, co powiedzieć - skomentował

nowinę Bart. - Jeżeli ktoś nie przeszedł takiej operacji w Ameryce Północnej ani w Europie, gdzie jeszcze mógłby to zrobić?

Bart wzruszył ramionami.

- Jest jeszcze kilka możliwości. Australia, Republika Południowej Afryki, ale rozmawiałem o tym z moim znajomym z UNOS i uważam, że to mało prawdopodobne rozwiązanie.

- Nie żartujesz? - To nie była odpowiedź, którą Jack chciał usłyszeć.

- To prawdziwa tajemnica - stwierdził Bart.

- Cała ta cholerna sprawa jest pogmatwana. -

Zniechęcony Jack wstał z krzesła.

- Będę dalej o tym myślał - obiecał Bart.

- Będę wdzięczny.

Wyszedł wolnym krokiem z biura Barta. Był wyraźnie przygnębiony. Cały czas towarzyszyło mu nieprzyjemne uczucie, że zapomniał o czymś ważnym, przeoczył jakiś fakt, ale nie miał pojęcia, co to mogło być ani jak to coś odkryć.

W pokoju lekarzy nalał sobie następny kubek kawy, która o tej porze dnia przypominała bardziej szlam niż napój. Z kubkiem w ręce poszedł schodami na górę do laboratorium.

- Zrobiłem twoje próbki - powiedział John

DeVries. - Negatywnie w obu cyklosporinach: A i FK506.

Jack był zdumiony. Mógł jedynie wpatrywać się w bladą, wymizerowaną twarz kierownika laboratorium. Nie wiedział, co było bardziej zdumiewające, to że John zbadał próbki czy to, że wynik był negatywny.

- Żartujesz sobie ze mnie - zdołał w końcu wykrztusić.

- Nie bardzo. To nie w moim stylu.

- Ale pacjent był na środkach immunosupresyjnych - powiedział Jack. - Miał niedawno przeszczepioną wątrobę. Czy możliwe, że otrzymałeś wynik negatywny przez pomyłkę?

- Rutynowo prowadzimy badania na próbkach kontrolnych.

- Oczekiwałem, że testy wykażą taki lub inny środek - stwierdził Jack.

- Bardzo mi przykro, że nasze wyniki nie pasują do twoich oczekiwań - odparł kwaśno John. -

Wybacz mi, proszę, ale mam mnóstwo pracy.

Jack powiódł wzrokiem za odchodzącym kierownikiem laboratorium. John podszedł do

aparatury i zaczął coś przy niej regulować. Jack odwrócił się i wyszedł z laboratorium. Teraz był jeszcze bardziej zakłopotany. Wyniki testów DNA otrzymanych przez Teda Lyncha i rezultaty poszukiwań śladów środków farmakologicznych, które przedstawił John DeVries, wykluczały się wzajemnie. Jeżeli Franconi przeszedł transplantację, musiał być na cyklosporinach A i FK506. To była standardowa procedura medyczna.

Wysiadł z windy na czwartym piętrze i poszedł na histologię. Po drodze próbował znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie faktów, o których właśnie został poinformowany. Nie potrafił jednak nic wymyślić.

- Czy to nie nasz ulubiony pan doktor? -

przywitała go Maureen O'Conner swoim irlandzkim akcentem. - Co jest? Masz tylko tę jedną sprawę? Dlaczego nas ciągle nachodzisz?

- Mam tylko jedną, która robi ze mnie kompletnego bałwana - odparł Jack. - Co z waszymi próbkami?

- Kilka mamy przygotowanych. Chcesz je, czy wolisz poczekać na resztę?

- Wezmę, co macie.

Palcem wskazującym Maureen wskazała tacę, na której leżały przygotowane preparaty mikroskopowe. Powiedziała, że te może już zabrać.

- Czy fragmenty wątroby też tu są? - zapytał.

- Tak sądzę. Jeden czy dwa. Resztę dostaniesz później.

Jack skinął i wyszedł. Po chwili wszedł do swojego pokoju. Chętnie spojrzał znad biurka i uśmiechnął się.

- No, stary, jak leci? - zapytał.

- Nie najlepiej. - Usiadł za biurkiem i włączył światło mikroskopu.

- Masz problemy z Franconim?

Jack przytaknął. Zaczął szukać próbek wątroby.

Znalazł tylko jedną.

- Wszystko w tej sprawie jest jak wyciskanie wody z kamienia.

- Wiesz, cieszę się, że wróciłeś. Spodziewam się telefonu od pewnego lekarza z Karoliny

Północnej. Chciałem tylko się dowiedzieć, czy jego pacjent miał kłopoty z sercem, a tymczasem muszę wyskoczyć zrobić sobie zdjęcia do

paszportu na mój wyjazd do Indii. Pogadałbyś z nim za mnie, co?

- Jasne. Jak się nazywa pacjent?

- Clarence Potemkin. Teczka leży tu, na biurku.

- Dobra - odpowiedział Jack, wkładając pod mikroskop płytkę z fragmentem wątroby. Nawet nie zauważył, jak Chet włożył palto i wyszedł.

Opuścił obiektyw nad preparat i już miał zamiar spojrzeć w okular, gdy nagle zatrzymał się. Chet nasunął mu myśl o podróży zagranicznej. Jeżeli Franconi przeszedł operację przeszczepu poza krajem, co wydawało się teraz wielce prawdopodobne, to może to był sposób na wykrycie miejsca.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer komendy policji. Poprosił o rozmowę z porucznikiem Lou Soldano. Spodziewał się, że będzie musiał zostawić wiadomość, więc szczerze się zdziwił, kiedy okazało się, że detektyw jest u siebie.

- Cześć, cieszę się, że dzwonisz - przywitał go

Lou. - Pamiętasz, co mówiłem o donosie, że to

ludzie rodziny Lucia wykradli zwłoki

Franconiego z kostnicy? Właśnie dostaliśmy

potwierdzenie z innego źródła. Sądziłem, że cię

to zainteresuje.

- To ciekawe - przyznał Jack. - Ale mam do ciebie pytanie.

- Wal.

Jack wyjaśnił, dlaczego podejrzewa, że Franconi przeszedł operację za granicą. Dodał, że według słów matki denata, jakieś cztery do sześciu tygodni wcześniej wyjechał do uzdrowiska.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy przez wydział celny można by uzyskać informacje o jego ewentualnej podróży i kraju docelowym.

- Zarówno przez wydział celny, jak i imigracyjny czy naturalizacji. Najłatwiej byłoby przez wydział imigracyjny, chyba że przywiózł ze sobą tyle towaru, że musiał opłacić cło. Poza tym mam przyjaciela w imigracyjnym. W ten sposób dostanę informacje znacznie szybciej, omijając całą tę biurokratyczną machinę. Chcesz, żebym sprawdził?

- Byłoby świetnie. Ten przypadek przyprawia mnie o prawdziwy ból głowy.

- Z przyjemnością. Jak powiedziałem rano, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Jack odłożył słuchawkę z lekkim błyskiem

nadziei, że wpadł na nowy trop, który może doprowadzić do odkrycia prawdy. Czując przyływ optymizmu, pochylił się nad biurkiem, spojrzął w okular mikroskopu i zaczął analizować obraz.

* * *

Dzień Laurie biegł całkowicie niezgodnie z planem. Zamierzała wykonać jedną autopsję, a skończyło się na dwóch. Potem George Fontworth nie mógł sobie poradzić ze swoim przypadkiem wielokrotnie postrzelonego mężczyzny i Laurie na ochotnika postanowiła mu pomóc. I tak bez lunchu wyszła z sali dopiero po wykonaniu trzech przypadków. Przebrała się w cywilne ubranie i kiedy zmierzała do swojego pokoju, zauważyła w biurze kostnicy Marvinina. Właśnie obejmował służbę i porządkował biuro po zwykłym całodziennym zamieszaniu. Laurie zmieniła kierunek, przystanąła i wsunęła głowę przez drzwi.

- Znaleźliśmy zdjęcie Franconiego -
zakomunikowała. - I wyobraź sobie, że
mężczyzna wyłowiony z oceanu i przywieziony

następnej nocy okazał się naszą zgubą.

- Czytałem w gazecie. Niecodzienne.

- To dzięki zdjęciu dokonaliśmy identyfikacji.

Więc jestem ci nadzwyczajnie wdzięczna, za to,

że je zrobiłeś. - To moja praca.

- Jeszcze raz chciałam cię przeprosić, że

posądziłam cię o zaniedbanie.

- Nie ma za co.

Odeszła cztery kroki, lecz zawróciła. Tym razem

weszła do biura i zamknęła za sobą drzwi.

Marvin spojrział na nią pytająco.

- Nie miałbyś nic przeciwko, gdybym zadała ci

pytanie, ale tak tylko między nami? - zapytała

Laurie.

- Chyba nie - odpowiedział zaintrygowany.

- Oczywiście interesowałam się tym, w jaki

sposób ciało Franconiego mogło zostać stąd

wykradzione. Dlatego też, jak pamiętasz,

rozmawiałam z tobą zeszłego popołudnia.

- Tak.

- Byłam tu też w nocy i rozmawiałam z Mike'em

Passanem.

- Słyszałem.

- Założę się, że słyszałeś. Ale uwierz mi, o nic go

nie oskarżałam.

- Wierzę. On zawsze był nadwrażliwy.
- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ciało mogło zostać wykradzione. Oprócz Mike'a i ochrony zawsze był tu ktoś jeszcze.

Marvin wzruszył ramionami.

- Ja także nie wiem. Uwierz mi.
- Rozumiem. Jestem pewna, że powiedziałbyś mi, gdybyś miał jakiegokolwiek podejrzenia. Ale nie o to chciałam zapytać. Mam przeczucie, że pomógł w tym ktoś stąd. Czy jest w kostnicy jakiś pracownik, o którym powiedziałbyś, że mógłby być w coś podobnego wplątany? O to chciałam zapytać.

Marvin zastanowił się przez chwilę, w końcu pokręcił głową i odparł:

- Nie sędzę.
- To musiało się stać na zmianie Mike'a. A tych dwóch kierowców, Pete i Jeff, znasz ich dobrze?
- Nie. To znaczy wiem, o kim mówisz, widziałem ich, nawet parę razy rozmawialiśmy, ale od kiedy mam tę zmianę, raczej się mijamy.
- Ale nie masz żadnych powodów, żeby ich podejrzewać?

- Nie, nie bardziej niż innych.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie wprawiałam cię w zakłopotanie tymi pytaniami?

- Nie ma sprawy - odparł Marvin.

Laurie zamyśliła się na moment, przygryzając dolną wargę. Wiedziała, że o czymś zapomniała.

- Mam pomysł - powiedziała nagle. - Mógłbyś mi opisać krok po kroku całą procedurę związaną z wywożeniem ciała?

- To znaczy wszystko, co robimy?

- Proszę. Mam ogólne pojęcie, ale zupełnie nie znam szczegółów.

- Od czego miałbym zacząć?

- Od początku, od momentu, kiedy dzwonią do ciebie z zakładu pogrzebowego, że przyjadą po ciało.

- Dobra. Dzwoni telefon i mówią, że są z takiego to a takiego domu pogrzebowego i chcą odebrać zwłoki. Podają nazwisko i numer sprawy.

- I tyle? Odkładasz słuchawkę.

- Nie - zaprzeczył Marvin. - Każę im poczekać, a sam wprowadzam numer do komputera.

Sprawdzam, czy ciało zostało przez was zbadane i gdzie się znajduje.

- Bierzesz więc znowu słuchawkę i co mówisz?

- Mówię, że w porządku. Mówię im, że przygotuję ciało do odbioru. Zazwyczaj pytam, o której mniej więcej tu będą. Nie ma sensu się spieszyć, jeśli nie przyjadą w ciągu najbliższych dwóch godzin.

- Teraz co?

- Wyciągam ciało i sprawdzam numer.

Następnie umieszczam je tuż przy wejściu do chłodni, zawsze w tym samym miejscu.

Zostawiamy zwłoki tak, żeby kierowcom najłatwiej było je wywieźć.

- I co się dzieje teraz?

- Przychodzą tutaj i wypełniamy dokumenty.

Wszystko musi być zapisane. Muszą potwierdzić podpisem, że przejmują ciało pod swoją opiekę.

- Jasne. Teraz idziesz i wydajesz zwłoki?

- Tak albo jeden z nich je zabiera. Wielu było tu dziesiątki, setki razy, więc sami doskonale wiedzą, co zrobić.

- Jest jeszcze jakaś ostateczna kontrola?

- A pewnie. Zawsze sprawdzamy numer identyfikacyjny, zanim wywiozą zwłoki. Musimy potem w dokumentacji odnotować ten fakt.

Byłoby sporo zamieszania, gdyby dojechali do zakładu i tam okazało się, że mają nie tego denata.

- Wygląda, że system jest dobry - stwierdziła

Laurie i zastanowiła się. Przy tak licznych kontrolach trudno było obejść procedurę.

- Sprawdza się od dziesięcioleci bez wpadki - powiedział Marvin. - Oczywiście teraz pomaga komputer. Wcześniej prowadziło się księgi.

- Dziękuję, Marvin.

- Ależ nie ma za co.

Laurie opuściła biuro kostnicy. Zanim wylądowała na swoim piętrze, zajrzała jeszcze na pierwsze, by z maszyny w stołówce wziąć sobie coś do przekąszenia. Trochę pokrzepiona pojechała windą na czwarte piętro. Widząc uchylone drzwi do pokoju Jacka, podeszła do nich i zapukała. Jack siedział nad mikroskopem.

- Coś ciekawego? - zapytała.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Bardzo. Chcesz spojrzeć?

Laurie pochyliła się nad mikroskopem, gdy Jack odsunął się na bok.

- Wygląda na granulomę w wątrobie.

- Zgoda. To jeden z tych małych

kawałeczków, które udało mi się znaleźć u

Franconiego.

- Hmmm - skomentowała Laurie i dalej

przyglądała się preparatowi. - Dziwne, że użyli

zainfekowanej wątroby do przeszczepu. Powinni

chyba staranniej zbadać dawcę. Dużo te

ziarniaka?

- Maureen na razie przygotowała tylko tę jedną

próbkę. To jedyny przykład ziarniaka, który

znalazłem, więc podejrzewam, że nie było go

dużo. Ale oglądałem dopiero jeden mrożony

preparat. Poza tym w preparatach mrożonych

następuje lekki zanik cyst, które w naturalnym

środowisku widoczne bywają gołym okiem.

Zespół transplantacyjny musiał to widzieć i nie

przejął się.

- Jednak nie ma żadnego zapalenia ogólnego. A

to znaczy, że przeszczep przyjął się dość gładko -

zauważyła Laurie.

- Wyjątkowo gładko. Zbyt gładko, ale to inne

zagadnienie. Jak sądzisz, co jest pod

wskaźnikiem?

Laurie poprawiła ostrość tak, że mogła jakby

przybliżyć i oddalić się od preparatu. Zauważyła sporo dziwnych plamek zasadochłonnej materii.

- Bo ja wiem. Nie potrafię powiedzieć. To mogą być artefakty*. [przyp.: Artefakty - (biol.) struktury powstałe w procesie przygotowania preparatu, lecz nie występujące w żywym organizmie (przyp. tłum.).]

- Ja też nie wiem. Chyba że to wywoływało ziarniaka.

- Tak, to jest myśl - przytaknęła i wyprostowała się. - Co miało znaczyć, że wątroba została zbyt dobrze przyjęta przez biorcę?

- Laboratorium twierdzi, że Franconi nie otrzymywał żadnych środków immunosupresyjnych. To mało prawdopodobne, szczególnie że nie wystąpiło ogólne zapalenie.

- Czy jesteśmy pewni, że dokonano przeszczepu?

- Całkowicie. - Streścił wyniki badań Teda Lyncha.

Laurie tak jak Jack nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jeśli nie liczyć bliźniąt, nie potrafię sobie wyobrazić dwóch ludzi o identycznej sekwencji DQ alfa.

- Odnoszę wrażenie, że wiesz na ten temat więcej

niż ja. Aż do przedwczoraj nigdy nie słyszałem o

DQ alfa.

- Dowiedziałeś się, gdzie Franconi mógł przejść tę operację?

- Chciałbym - odparł Jack i opowiedział o daremnych wysiłkach Barta. Zdradził też, że sam poprzedniej nocy wiele czasu stracił przy telefonie, dzwoniąc do instytutów europejskich.

- Dobry Boże! - skomentowała tylko Laurie.

- Zagwarantowałem sobie nawet pomoc Lou. Od matki Franconiego dowiedziałem się, że facet wyjechał do, jak ona sądzi, uzdrowiska, skąd wrócił jak nowy człowiek. Podejrzewam, że wtedy mógł przejść transplantację. Niestety, matka nie ma pojęcia, dokąd mógł się udać. Lou sprawdza w imigracyjnym, czy opuszczał kraj.

- Jeżeli ktokolwiek może coś znaleźć, to na pewno Lou - stwierdziła Laurie.

- A propos - Jack nabrał powietrza. - Okazało się, że to on podał informację do prasy.

- Nie wierzę.

- Wiem o tym z samego źródła. Oczekuję więc bezwarunkowych przeprosin.

- Masz je. Jestem naprawdę zaskoczona. Podał

jakieś powody?

- Powiedział, że chcieli wyjawić fakty, żeby zobaczyć, czy wywołają jakieś poruszenie wśród informatorów. Twierdzi, że zadziałało nad wyraz dobrze. Otrzymali wiadomość, później potwierdzoną, że ciało zostało zabrane na polecenie przestępczej rodziny Lucia.

- Rany boskie! - powiedziała Laurie i na sam dźwięk tego nazwiska przeszedł ją dreszcz. - Ta sprawa aż za bardzo zaczyna mi przypominać historię z Cerinem.

- Rozumiem, co masz na myśli. Zamiast oczu mamy wątrobę.

- Chyba nie sądzisz, że w Stanach jest jakaś prywatna klinika, która dokonuje potajemnie transplantacji? - zapytała Laurie.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Bez wątplenia w grę mogłyby wchodzić wielkie pieniądze, ale pozostaje kwestia wyposażenia. W kraju mamy ponad siedem tysięcy oczekujących na przeszczep wątroby, ale niewielu z nich mogłoby spowodować, aby taki interes stał się dochodowy.

- Żałuję, ale nie jestem tego taka pewna jak ty.

Chęć zarobienia pieniędzy niczym sztorm

wzburzyła w ostatnim czasie amerykańską
medycynę.

- Ale też wielkie pieniądze są w tej chwili
niezbędne w medycynie. Nie ma zbyt wielu
bogatych ludzi, potrzebujących nowej wątroby.

Zainwestowanie w stworzenie materialnej bazy i
zachowanie operacji w tajemnicy nie opłaciłoby
się, szczególnie bez stałego dostępu do organów.

Taki scenariusz może i sprawdziłby się w kinie
klasy B, ale w życiu okazałby się zbyt ryzykowny
i niepewny. Żaden biznesmen, choćby nie wiem
jak skorumpowany, jeśli jest przy zdrowych
zmysłach, nie pójdzie na podobne rozwiązanie.

- Może i masz rację - zastanowiła się Laurie.

- Podejrzewam, że chodzi tu o coś jeszcze. Mamy
zbyt wiele nie wyjaśnionych faktów od nonsensu
związanego z DQ alfa aż po organizm

Franconiego wolny od środków
immunosupresyjnych. Coś pominęliśmy, coś
kluczowego i niespodziewanego.

- Świetna robota! - zawołała Laurie. - Jednego
jestem pewna, cieszę się, że oddałam tobie ten
przypadek.

- Wielkie dzięki. To naprawdę frustrująca sprawa. Ale zostawmy nieprzyjemne rzeczy.

Wczoraj na koszu Warren powiedział mi, że Natalie pytała o ciebie. Co byś powiedziała na wspólną kolację i może kino w weekend, zakładając, że nie mają innych planów?

- Z radością przyjmuję zaproszenie. Mam nadzieję, że powiedziałaś Warrenowi, że ja też o nich pytałam?

- Owszem - przyznał. - Nie żebym zmieniał temat, ale cóż tam wydarzyło się dzisiaj u ciebie? Posunęłaś się nieco w rozwiązywaniu zagadki zniknięcia ciała Franconiego? Informacja od Lou o wmieszanu się zorganizowanej przestępczości nie wyjaśnia wszystkiego. Potrzebujemy więcej szczegółów.

- Niestety nie. Zatrzymały mnie autopsje. Dopiero co skończyłam. Nie zrobiłam dzisiaj nic z tego, co zaplanowałam.

- To niedobrze - zauważył Jack z uśmiechem. - Przy moim braku postępów może będę musiał polegać na twoim śledztwie.

Obiecali sobie jeszcze porozmawiać przez telefon na temat planów na weekend i Laurie poszła do

swojego pokoju. Z dobrymi intencjami usiadła za biurkiem i zaczęła przeglądać raporty z laboratorium i pozostałą korespondencję, która przysłała w ciągu dnia, a odnosiła się do innych, nie załatwionych jeszcze do końca przypadków.

Jednak szybko stwierdziła, że trudno jej się skoncentrować.

Stwierdzenie Jacka, że liczył na nią w rozwiązaniu zagadki Franconiego, zrodziło w niej poczucie winy za to, że nie ma nawet hipotezy, jak ciało mogło zniknąć z kostnicy. Mając świadomość, ile pracy sam włożył w wyjaśnienie sprawy, postanowiła zdwoić wysiłki.

Wzięła czystą kartkę i zaczęła spisywać na niej wszystko, co powiedział jej Marvin. Intuicja podpowiadała jej, że tajemnicze zniknięcie Franconiego jest jakoś związane z wywiezieniem dwóch ciał tamtej nocy. A teraz, kiedy Lou twierdził, że rodzina Lucia jest wmieszana w całą rzecz, była niemal pewna, że i Dom Pogrzebowy Spoleto jest wplątany w sprawę.

Raymond odłożył słuchawkę i podniósł wzrok na Darlene, która weszła do gabinetu.

- No i? - spytała. Blond włosy związane miała z

tyłu głowy w koński ogon. Jeździła na rowerze do ćwiczeń i była ubrana w bardzo seksowny kostium sportowy.

Raymond rozparł się w fotelu i westchnął. Nawet się uśmiechnął.

- Sprawy zdają się wracać do normy - powiedział. - Dzwonił urzędnik z GenSys odpowiedzialny za naszą operację. Samolot będzie przygotowany na jutro wieczór, więc polecę do Afryki. Oczywiście zatrzymamy się gdzieś, żeby zatankować, ale nie wiem gdzie.

- Będę mogła polecieć z tobą? - zapytała Darlene z nadzieją w głosie.

- Obawiam się, kochanie, że nie. - Wziął dziewczynę za rękę. Zdawał sobie sprawę, że przez ostatnie dni był trudny w obejściu i czuł się z tego powodu źle. Poprowadził ją za rękę wokół biurka i przyciągnął do siebie. Usiadła mu na kolanach. W tej samej chwili pożałował. Nie była taka lekka, jak się wydawało.

- W drodze powrotnej będziemy mieli zbyt wielu pasażerów: pacjenta i cały zespół chirurgiczny - tłumaczył spokojnie, ale twarz mu poczerwieniała.

Darlene westchnęła i poskarżyła się:

- Nigdy nigdzie nie jeżdżę.

- Następnym razem - jęknął Raymond, jakby miał za chwilę wyzionąć ducha, klepnął Darlene w pośladek i zachęcił ją do wstania. - To krótka podróż. Tam i z powrotem. Nie ma co liczyć na zabawę.

Darlene wybiegła z pokoju, wybuchając nagle płaczem. W pierwszej chwili zamierzał pójść i pocieszyć ją, ale rzut oka na zegarek powstrzymał go. Było po piętnastej, a w Cogo po dwudziestej pierwszej. Jeśli chciał porozmawiać z Siegfriedem, to powinien już zadzwonić.

Zadzwonił do domu szefa Strefy. Gospodyni przełączyła do jego gabinetu.

- Sprawy idą dobrze? - zapytał Raymond, spodziewając się potwierdzenia.

- Znakomicie. Ostatnie wieści o samopoczuciu pacjenta nie mogłyby być lepsze.

- To budujące.

- Czuję, że nasze premie wkrótce wpłyną na konta.

- Oczywiście - odparł Raymond, chociaż wiedział, że w tej sprawie nastąpi pewna zwłoka.

Wobec konieczności wypłacenia Vinniemu

Dominickowi dwudziestu tysięcy dolarów

gotówką, premie będą musiały poczekać aż do

następnej wpłaconej zaliczki. - A jak wygląda

sytuacja z Kevinem Marshalllem?

- Wraca do normy, jeśli nie liczyć tego, że raz wrócili do zastrzeżonego obszaru.

- To nie brzmi jak powrót do normy.

- Uspokój się. Wrócili tylko po okulary, które zgubiła Melanie Becket. W każdym razie

wyprawa skończyła się ostrzelaniem ich przez

żołnierzy, których tam posłałem - zaśmiał się

serdecznie na wspomnienie tamtego incydentu.

Raymond musiał poczekać, aż Siegfried się uspokoi.

- Co w tym zabawnego? - zapytał.

- Ci tępogłowi żołnierze przestrelili Melanie szyby w samochodzie. Wściekła się, ale efekt został osiągnięty. Teraz jestem całkiem pewny, że będą się trzymać z daleka od wyspy.

- Mam nadzieję, że tak będzie.

- Poza tym dziś po południu miałem okazję

wypić drinka z tymi babkami. Mam przeczucie,

że nasz kłopotliwy poszukiwacz wplątał się w coś

ryzykownego.

- O czym ty mówisz? - zapytał znowu

zaniepokojony Raymond.

- Nie wierzę, żeby tracił czas i energię na zamartwianie się jakimś dymem nad wyspą.

Moim zdaniem wplątał się w trójkąt miłosny.

- Poważnie? - Podobny pomysł odnośnie do

Kevina Marshalla wydał się Raymondowi

całkiem niedorzeczny. Ile razy kontaktował się z

Kevinem, nigdy nie zauważył u niego

najsłabszego nawet zainteresowania płcią

przeciwną. Wiadomość, że nabrał ochoty i ma

dość wigoru nie tylko dla jednej, ale od razu

dwóch, była śmieszna.

- Takie skojarzenie przyszło mi do głowy.

Powinieneś słyszeć, jak te dwie rozprawiały o

"oryginalnym i miłym badaczu". Tak go

nazywały. Szły właśnie do niego na kolację. O ile

mi wiadomo, to pierwsze towarzyskie spotkanie,

w którym brał udział, a mieszkam tuż naprzeciw.

- Powinniśmy być wdzięczni - powiedział

Raymond.

- Zazdrośni jest chyba lepszym słowem - odparł

Siegfried i wybuchnął na nowo gromkim

śmiechem, co wyraźnie zaczęło grać

Raymondowi na nerwach.

- Chciałem powiedzieć, że wylatuję jutro wieczorem. Nie wiem, o której będę w Bata, bo nie mam pojęcia, gdzie wypadnie nam śródlądowanie. Zadzwonię z lotniska, na którym będziemy tankować, albo poproszę pilota, żeby poinformował was drogą radiową.

- Ktoś przylatuje z tobą? - spytał Siegfried.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Wątpię, bo w drodze powrotnej mamy prawie komplet na pokładzie.

- Będziemy cię oczekiwać - obiecał Siegfried.

- Do zobaczenia.

- Może przywiózłbyś ze sobą premie - zasugerował Siegfried.

- Zobaczę, czy pieniądze dotrą na czas - odparł Raymond.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się. Pokręcił głową, zaskoczony, przypominając sobie to, co usłyszał o Kevinie.

- Nigdy nie można być niczego pewnym! - skomentował na głos i wstał zza biurka. Chciał odnaleźć Darlene i pocieszyć ją. Pomyślał, że na

zgode mogliby pójść na kolację do jej ulubionej restauracji.

Jack oglądał na wszystkie strony jedyną próbkę wątroby, jaką Maureen zdążyła dla niego przygotować. Użył obiektywu immersyjnego, aby zajrzeć w głąb zasadochłonnych plamek ziarniaka. Ciągle nie miał pewności, czy były tym, co sądził, a jeśli tak, to skąd się wzięły.

Wyczerpawszy całą swoją wiedzę z zakresu histologii i patologii, zdecydował się przekazać preparat wydziałowi patologii nowojorskiego szpitala akademickiego. W tej samej chwili zadzwonił telefon. To było oczekiwane przez Cheta połączenie z Karoliną Północną. Jack zadał kilka pytań i zapisał odpowiedzi. Odłożył słuchawkę i sięgnął po kurtkę wiszącą na szafce z dokumentacjami. Włożył ją zdążył wyjąć preparat z mikroskopu, kiedy znowu zadzwonił telefon. Tym razem to był Lou Soldano.

- Bingo! - powiedział radośnie na przywitanie. - Mam dla ciebie dobre wieści.

- Cały zamieniam się w słuch - odparł Jack, zdjął kurtkę i usiadł.

- Skontaktowałem się z moim znajomym z

imigracyjnego i właśnie oddzwonił do mnie. Gdy przekazałem mu twoje pytanie, poprosił, żebym się nie rozłączała. Nawet słyszałem, jak wystukuje nazwisko Franconiego na klawiaturze komputera. Dwie sekundy później miał informacje. Carlo Franconi przyleciał do kraju dokładnie trzydzieści siedem dni temu, dwudziestego dziewiątego stycznia, i wylądował na Teterboro w New Jersey.

- Nigdy nie słyszałem o Teterboro - przyznał Jack.

- To prywatne lotnisko. Służy lotnictwu cywilnemu, ale głównie wielkim korporacjom, ze względu na bliskość miasta.

- Czy Carlo Franconi przyleciał samolotem firmowym?

- Nie wiem. Kumpel podał mi jedynie ich numer czy symbol wywoławczy, czy jak tam to nazywają. No wiesz, litery i cyfry wypisane na ogonie samolotu. Zaraz ci przedyktuję... o są: N69SU.

- Czy wiesz, skąd przyleciał samolot? - spytał Jack, zapisując jednocześnie na karteczce numer samolotu i datę przylotu.

- A tak. To musi być podawane. Przylecieli z

Francji, z Lyonu.

- Eee, niemożliwe.

- Tak było w komputerze. Dlaczego uważasz, że to niemożliwe?

- Bo dziś rano rozmawiałem z centralą francuską zajmującą się rejestracją przeszczepów. Nie mają żadnej karty Amerykanina o nazwisku Franconi. Poza tym dość kategorycznie wykluczyli wykonywanie transplatacji Amerykanom, skoro ich obywatele czekają w kolejce.

- Informacje, jakimi dysponuje wydział imigracyjny, muszą zgadzać się kartą pokładową samolotu i z dokumentami Federalnego Zarządu Lotniczego oraz jego europejskiego odpowiednika. Przynajmniej tak mi się wydaje - odparł Lou.

- Jak sądzisz, czy twój znajomy z imigracyjnego ma jakiś kontakt we Francji? - spytał Jack.

- Nie zdziwiłoby mnie to. Chłopaki z wyższych szczebli muszą ze sobą ściśle współpracować.

Mogę go zapytać. Co byś chciał wiedzieć?

- Jeżeli Franconi był we Francji, chciałbym się

dowiedzieć, kiedy tam przyleciał. Najlepiej
gdyby Francuzi przekazali wszelkie informacje,
gdzie w ich kraju mógł przebywać. Zdaje się, że
oni dokładnie pilnują wszystkich
obcokrajowców, szczególnie spoza Europy.

- Dobra, zobaczę, co się da zrobić. Zaraz do
niego zadzwonię i potem oddzwonię do ciebie.

- Poczekaj, jeszcze jedno. Jak można się
dowiedzieć, do kogo należy N69SU?

- To łatwe. Musisz jedynie zadzwonić do
Centrum Kontroli Lotów Federalnego Zarządu
Lotniczego w Oklahoma City. Każdy to może
zrobić, ale tam też mam znajomego.

- Kurczę, masz znajomych we wszystkich
właściwych miejscach - skomentował Jack.

- Tak już jest w tej robocie. Cały czas
świadczymy sobie jakieś przysługi. Gdybyś miał
czekać na załatwianie spraw oficjalnymi
kanałami, żadna nie zostałaby nigdy załatwiona.

- Nie ukrywam, że to dla mnie bardzo wygodne,
móc skorzystać z twoich kontaktów - przyznał
Jack.

- To znaczy mam zadzwonić do znajomego z
FZL?

- Będę zobowiązany.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie. Mam wrażenie, że im bardziej pomogę tobie, tym bardziej pomogę sobie. Najlepsze, co mogę zrobić, to rozwiązać sprawę Franconiego. W ten sposób zachowam posadę.

- Wychodzę teraz z biura i jadę do szpitala akademickiego - powiedział Jack. - Może zadzwonię do ciebie za jakieś pół godziny?

- Doskonale - zgodził się Lou.

Jack pokręcił głową. Jak wszystko w tej historii, również informacje od Lou były zaskakujące i wprawiały w zakłopotanie. Francja była chyba ostatnim krajem, który według Jacka Franconi mógł odwiedzić.

Po raz drugi narzucił kurtkę i wyszedł z biura.

Szpital mieścił się niedaleko, więc Jack zrezygnował z roweru i poszedł spacerem. Droga nie powinna mu zabrać więcej niż dziesięć minut.

W holu centrum medycznego panował jak zwykle spory ruch. Jack wsiadł do windy i pojechał na wydział patologii. Miał nadzieję zastać doktora Malovara. Peter Malovar był w

swojej dziedzinie prawdziwym gigantem i pomimo ukończonych osiemdziesięciu dwóch lat ciągle był najlepszym patologiem, z jakim przyszło się Jackowi kiedykolwiek spotkać.

Jackowi szczególnie zależało na tym, żeby raz w miesiącu znaleźć czas na udział w seminarium doktora Malovara, więc teraz, jeśli miał jakiś problem z zakresu patologii, nie zwracał się do Bingham, który specjalizował się wyłącznie w medycynie sądowej, lecz do Petera Malovara, eksperta patologii ogólnej.

- Profesor jak zwykle jest u siebie w laboratorium. Wie pan, jak tam dojść? - spytała sekretarka z wydziału patologii.

Jack skinął głową i poszedł w stronę wiekowych, szklanych drzwi, które prowadziły do tak zwanej "jaskini Malovara". Zapukał. Było otwarte.

Wewnątrz znalazł doktora Malovara pochylonego nad swoim ukochanym mikroskopem. Staruszek wyglądem przypominał trochę Einsteina: rozwichrzone, siwe włosy i obfity wąs. Sylwetkę miał pochyloną, jakby natura specjalnie ją zaprojektowała do ciągłego stania przy mikroskopie i spoglądania w jego

okular. Z pięciu zmysłów jedynie słuch profesora zaczął szwankować.

Profesor przywitał Jacka pospiesznie, spoglądając głodnym wzrokiem na preparat mikroskopowy w jego rękę. Uwielbiał, gdy zwracano się do niego z trudnymi przypadkami, a Jack robił to częściej niż inni.

Wręczając szkiełko, Jack chciał krótko opisać historię przypadku, ale profesor podniósł rękę i nakazał milczenie. Malovar był prawdziwym detektywem i nie znosił, aby cudze sugestie wpływały na jego własne opinie. Profesor wyjął spod obiektywu preparat, który oglądał, i włożył w jego miejsce ten przyniesiony przez Jacka.

Pełną minutę nastawiał aparaturę.

Podniósł głowę, sięgnął po olej, kapnął na szkiełko z preparatem i użył obiektywu immersyjnego, aby uzyskać lepszą ostrość.

Jeszcze raz się pochylił, ale tym razem studiował obraz przez kilkanaście sekund.

- Interesujące! - powiedział, patrząc na Jacka, co w jego ustach było najwyższej klasy komplementem. Z powodu kłopotów ze słuchem mówił głośno. - Mamy tu słabo rozwiniętego

ziarniaka wątroby i bliznę. Wydaje mi się, że widzę także merozoity*, [przyp.: Merozoit - faza rozwojowa zarodźca malarii (przyp. tłum.)] ale nie jestem pewny.

Jack skinął. Domyślał się, że doktor Malovar mówi o drobnych punktach, które Jack zauważył w warstwie ziarniaka.

Profesor sięgnął po słuchawkę telefonu.

Zadzwoił do jednego ze swoich kolegów i poprosił go, aby przyszedł na chwilę do laboratorium. Po kilku minutach zjawił się wysoki, chudy, przesadnie poważny mężczyzna, ubrany w długi, biały fartuch. Malovar przedstawił go jako doktora Colina Osgooda, szefa parazytologii.

- Co o tym sądzisz, Colin? - spytał profesor, wskazując na mikroskop.

Doktor Osgood patrzył w okular nieco dłużej niż profesor, zanim podzielił się swoimi spostrzeżeniami.

- Bez wątplenia pasożyty - powiedział, nie odrywając oczu od mikroskopu. - Merozoity, ale nie rozpoznaję ich. Albo jakiś nowy gatunek, albo takie, które nie występują u człowieka.

Niech zobaczy to Lander Hammersmith i powie,
co sądzi.

- Dobry pomysł - zgodził się Malovar. Spojrzał
na Jacka. - Mógłbyś to zostawić na noc? Rano
będę się widział z doktorem Hammersmithem.

- Kim jest doktor Hammersmith? - spytał Jack.

- To patolog weterynarii - wyjaśnił doktor
Osgood.

- Jeśli o mnie chodzi, może być - zgodził się
Jack. Wcześniej nie pomyślał o tym, by
podsunąć preparat patologowi weterynarii.

Podziękował obu naukowcom, wyszedł z
laboratorium i wstąpił do sekretariatu. Zapytał,
czy może skorzystać z telefonu. Sekretarka
wskazała aparat na jednym z biurk i
powiedziała, żeby przekręcił przez dziewięć,
jeżeli chce wyjść na miasto. Zadzwoił na
policję, do Lou.

- Cześć, świetnie, że dzwonisz. Zdaje się, że mam
tu trochę ciekawego materiału. Po pierwsze
samolot jak samolot. To G4. Mówi ci to coś?

- Nie sądzę. - Z tonu Lou można było
wnioskować, że powinno.

- To znaczy Gulfstream 4 - wyjaśnił Lou. - Coś

jak rolls-royce wśród odrzutowców. Jakieś

dwadzieścia milionów zielonych.

- Jestem pod wrażeniem.

- Powinieneś być. No dobra, spójrzmy, co tu

jeszcze mam. O, tak. Samolot jest własnością

Alpha Aviation z Reno w Nevadzie. Słyszałeś

kiedyś o nich?

- Nie. A ty?

- Też nie. To musi być towarzystwo leasingowe.

Co jeszcze? Aha, to może będzie najbardziej

interesujące. Mój znajomy z imigracyjnego

zadzwoił, dasz wiarę, do swojego kumpla

Francuza, do jego domu, i zapytał o wakacje

Carla Franconiego we Francji. Ten francuski

urzędnik połączył się przez swój domowy PC z

bazą danych ich wydziału imigracyjnego i wiesz

co...?

- Siedzę jak na igłach - przynaglił go Jack.

- Franconi nigdy nie odwiedził Francji! Chyba że

na fałszywych papierach z fałszywym

nazwiskiem. Nie ma śladu informacji o jego

przyjeździe i wyjeździe.

- To co z tym bezspornym faktem, że samolot

przyleciał z Lyonu? - zapytał Jack.

- Nie irytuj się.

- Nie irytuję się. Wracam tylko do tego, co mówiłeś o zgodności informacji wydziału imigracyjnego z księgą lotów i tak dalej.

- Informacje się zgadzają. Stwierdzenie, że samolot przyleciał z Lyonu, nie oznacza, że ktokolwiek musiał z niego tam wysiadać. To mógł być tylko przystanek dla uzupełnienia paliwa.

- Dobra uwaga - pochwalił Jack. - Nie pomyślałem o tym. Jak możemy to wyjaśnić?

- Sądzę, że będę musiał jeszcze raz zadzwonić do mojego znajomego z FZL - stwierdził Lou.

- Znakomicie. Wracam do biura w zakładzie.

Chcesz, żebym zadzwonił, czy wolisz sam zatelefonować do mnie?

- Zadzwonię - odparł Lou.

Najpierw Laurie spisała wszystko, co zapamiętała z wyjaśnień Marvina w sprawie procedury wywożenia ciał do zakładów pogrzebowych, a następnie odłożyła kartkę na bok i zajęła się dokumentacją innych spraw. Po półgodzinie znowu po nią sięgnęła.

Mając teraz umysł oczyszczony, świeżym okiem

spróbowała przeanalizować zdarzenia jeszcze raz

- krok po kroku. Już po krótkiej chwili

odczytywania notatek coś wpadło jej do głowy:

mianowicie częstotliwość, z jaką pojawiał się

termin "numer sprawy". Oczywiście, nie była

zaskoczona. W końcu taki numer należał się

każdemu martwemu, tak jak numer

ubezpieczenia każdemu żywemu. Taki sposób

identyfikacji pozwalał kostnicy utrzymywać

właściwy porządek w dokumentacji tysięcy

przyjętych i przebadanych ciał. Pierwszym

krokiem po wniesieniu ciała do kostnicy było

nadanie mu numeru sprawy, drugim

przywiązanie do dużego palca stopy denata

karteczki z tym numerem.

Spoglądając na słowo "sprawy", Laurie z

zaskoczeniem zorientowała się, że nie

potrafiłaby go zdefiniować. Słowa tego po prostu

używała co dzień i nie zastanawiała się nad nim.

Każdy raport laboratoryjny, preparaty, zdjęcia

rentgenowskie, raporty wywiadowców, każdy

wewnętrzny dokument, wszystko było opatrzone

numerem sprawy. W każdym razie numer był

wielokrotnie ważniejszy od nazwiska ofiary.

Wzięła z półki słownik i poszukała hasła

"sprawa". Zaczęła czytać definicje, ale ani jedna nie pasowała do kontekstu, w jakim słowo było używane w Zakładzie Medycyny Sądowej, aż do

ostatniego podanego znaczenia. Mówiło się o

"okolicznościach", w innym znaczeniu o "rzeczy do załatwienia", dla sprawy można było nawet poświęcić życie. Właściwie "numer sprawy"

można było zastąpić "numerem przyjęcia".

Zaczęła szukać numerów i nazwisk osób

zabranych z zakładu w tamtą noc 4 marca, kiedy

zniknęło również ciało Franconiego. Wreszcie

znalazła skrawek papieru wsunięty pod tackę z

preparatami. Napisała: Dorothy Kline nr 101455

i Frank Gleason nr 100385.

Dopiero teraz, kiedy zwróciła uwagę na numery,

zdała sobie sprawę, że różnią się od siebie o

ponad tysiąc. To było dziwne, ponieważ numery

przydzielano systematycznie. Znając zwykły

ruch w kostnicy, łatwo mogła sobie wyobrazić,

że taka różnica przekładała się na kilka tygodni.

Ciała musiały zostać przyjęte w takim właśnie

odstępie czasu.

Różnica czasu była tym bardziej zastanawiająca,

że ciała w kostnicy zostawały raczej przez kilka

dni. Numer Franka Gleasona wprowadziła więc

do komputera. To właśnie jego ciało odebrali

ludzie z Domu Pogrzebowego Spoleto.

To, co pokazało się na ekranie, wprawiło ją w zdumienie.

- Rany boskie! - zawołała Laurie.

Lou spędzał urocze chwile. Wbrew powszechnemu romantycznemu wyobrażeniu o pracy detektywa, była to robota wyczerpująca i niewdzięczna. Tymczasem Lou siedział teraz wygodnie w biurze i odbywał wielce owocne rozmowy przez telefon. Sprawiały mu przyjemność, ale okazały się też naprawdę pomocne. Poza tym miło było pogadać ze starymi przyjaciółmi.

- Niech mnie kule, Soldano! - przywitał go Mark Servedt. Mark był właśnie tym znajomym z FZL w Oklahoma City. - Nie miałem od ciebie znaku od ponad roku, a teraz proszę, drugi raz tego samego dnia. To musi być ważna sprawa.

- Mam zagwozdkę. W związku z tym mam jeszcze jedno pytanie. Dowiedzieliśmy się, że G4, w którego sprawie wcześniej dzwoniłem, przyleciał z Lyonu we Francji i wylądował na Teterboro w New Jersey dwudziestego

dziewiątego stycznia. Jednak gość, którym się interesujemy, nie przeszedł przez francuską kontrolę paszportową. Zastanawiamy się więc, czy można się dowiedzieć, skąd samolot numer N69SU przyleciał do Lyonu.

- To proste pytanie. Wiem, że MOLC...

- Chwileczkę, używaj skrótów, jak musisz. Co to jest MOLC?

- Międzynarodowa Organizacja Lotnictwa

Cywilnego - wyjaśnił Mark. - Wiem, że rejestrują wszystkie loty do i z Europy.

- Świetnie. Możesz tam do kogoś zadzwonić?

- Ktoś by się znalazł. Ale myślę, że to nie na wiele się zda. Kasują wszystkie zapisy po piętnastu dniach. Nie archiwizują tego.

- No to cudownie - skomentował z sarkazmem Lou.

- Tak samo postępują w Europejskim Centrum Kontroli Ruchu Lotniczego w Brukseli. Przy tej liczbie lotów musieliby zgromadzić za dużo materiałów.

- Więc nie ma sposobu.

- Myślę.

- Zadzwoń do mnie, jak wpadniesz na coś. Będę

tu jeszcze przez dobrą godzinę - poprosił Lou.

- Jasne, chętnie pomogę - obiecał Mark.

Lou już odkładał słuchawkę, kiedy usłyszał jeszcze swoje imię.

- Poczekaj, przyszło mi coś do głowy. Jest taka organizacja Centralny Zarząd Ruchu Lotniczego z siedzibami w Paryżu i w Brukseli. To chyba jedyni, którzy prowadzą rejestr startów i lądowań. Obejmują całą Europę z wyjątkiem Austrii i Słowenii. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat te dwa kraje nie włączyły się do programu. Więc jeżeli N69SU przyleciał z jakiegokolwiek miejsca poza Austrią czy Słowenią, będą to mieli zapisane.

- Znasz tam kogoś? - spytał z nadzieją Lou.

- Nie, ale znam kogoś, kto może mieć tam wejście. Skontaktuję się z nim - zaproponował Mark.

- Cieszę się.

- Nie ma sprawy.

Lou odłożył słuchawkę i zamyślony pukał ołówkiem w swoje stare, porysowane metalowe biurko. Na blacie było pełno śladów po gaszeniu papierosów. Myślał o Alpha Aviation.

Zastanawiał się, jak sprawdzić tę organizację.

Najpierw zdecydował się zadzwonić do Reno.

Nikt jednak nie słyszał o Alpha Aviation. Nie był

tym zaskoczony. Następnie zadzwonił do

departamentu policji w Reno. Wyjaśnił, kim jest,

i poprosił o połączenie ze swoim

odpowiednikiem, szefem wydziału zabójstw.

Nazywał się Paul Hersey.

Po kilku przyjacielskich słowach Lou bardzo

krótko zreferował Paulowi sprawę Franconiego i

w końcu zapytał o Alpha Aviation.

- Nigdy o nich nie słyszałem - stwierdził Paul.

- FZL twierdzi, że samolot był z Reno w

Nevadzie.

- W Nevadzie niezwykle łatwo się zarejestrować -

wyjaśnił Paul. - Mamy tu pełno drogich biur

prawniczych, które nie zajmują się niczym

innym, tylko takimi firmami.

- Jak według ciebie można by odnaleźć taką

organizację?

- Trzeba zadzwonić do Biura Sekretarza Stanu

Nevada w Carson City. Jeżeli Alpha Aviation jest

zarejestrowana w Nevadzie, będzie w spisie

powszechnym. Chcesz, żebyśmy to sprawdzili?

- Nie, dziękuję, zadzwonię sam. W tej chwili nawet nie wiem do końca, co chciałbym wiedzieć.

- Przynajmniej dam ci ich numer - na chwilę przerwał rozmowę. Lou słyszał, jak Paul wydaje polecenie któremuś z podwładnych, i po chwili otrzymał potrzebny numer. Paul dodał jeszcze: - Powinni ci pomóc, ale gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, dzwoń do mnie. A jeżeli przydałby ci się do współpracy ktoś w Carson City, skontaktuj się z Toddem Arronsonem. Jest szefem wydziału zabójstw, a poza tym to porządny gość.

Chwilę później Lou połączył się z Biurem Sekretarza Stanu Nevada. Centrala połączyła go z urzędniczką, która mogła okazać się pomocna. Nazywała się Brenda Whitehall.

Lou wyjaśnił, że chciałby się dowiedzieć wszystkiego co możliwe o Alpha Aviation z Reno w Nevadzie.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała Brenda i Lou usłyszał, jak zaczęła wystukiwać coś na klawiaturze. - Dobrze, mam to - odezwała się po chwili. - Proszę jeszcze moment poczekać.

Wezmę teczkę firmy.

Lou rozparł się wygodnie w fotelu, nogi położył na stole; czuł nieprzepartą chęć zapalenia, ale powstrzymał się.

- Już jestem - usłyszał głos Brendy. - Co chciałby pan o nich wiedzieć?

- A co pani ma?

- Mam akt rejestracji. - Brenda czytała w milczeniu i po kilkunastu sekundach powiedziała: - To spółka komandytowa, głównym udziałowcem jest Alpha Management.

- Co to oznacza w normalnym języku? - spytał

Lou. - Nie jestem ani biznesmenem, ani prawnikiem.

- To oznacza, że Alpha Management jest korporacją, która utworzyła spółkę komandytową, więc odpowiada w pełni za jej finansowe zobowiązania - wyjaśniła cierpliwie Brenda.

- Ma pani jakieś nazwiska?

- Oczywiście. Akt rejestracji musi zawierać nazwiska i adresy dyrektorów, radcy prawnego firmy i urzędników odpowiedzialnych za realizację zadań wynikających z aktu rejestracji.

- To brzmi zachęcająco. Może mi pani podać te nazwiska?

Lou słyszał szelest przewracanych stron.

- Hmmm - dobiegł go w końcu zaskoczony głos kobiety. - Okazuje się, że w tym dokumencie figuruje tylko jedno nazwisko i adres.

- Jeden człowiek nosi na głowie te wszystkie kapelusze?

- Tyle mówią dokumenty - potwierdziła Brenda.

- Proszę mi podać te dane - poprosił Lou.

Sięgnął po kartkę.

- Samuel Hartman z firmy Wheeler, Hartman, Gottlieb i Sawyer. Ich adres: Ósma Rodeo Drive, Reno.

- To brzmi jak nazwa firmy prawniczej - stwierdził Lou.

- Bo tak jest. Poznając tę nazwę - potwierdziła Brenda.

- To nie na wiele się zda! - skwitował Lou.

Wiedział, że wyciągnięcie jakichkolwiek informacji od biura prawnego jest mało prawdopodobne.

- Mnóstwo korporacji w Nevadzie istnieje na tej zasadzie. Ale sprawdzę, czy są jeszcze jakieś

dokumenty.

Lou myślał już o kolejnym telefonie do Paula

Herseya z prośbą o pomoc w uzyskaniu

informacji od Samuela Hartmana, kiedy usłyszał

pomruk Brendy zwiastujący jakieś nowe

odkrycie.

- Mam tu aneks. Na pierwszym posiedzeniu

Alpha Management pan Hartman zrezygnował z

funkcji prezydenta i sekretarza. W jego miejsce

powołano pana Fredericka Rouse'a.

- Czy zapisano adres pana Rouse'a?

- Jest. Jego stanowisko to główny dyrektor

finansowy korporacji GenSys. Siedziba: 150

Kendal Square, Cambridge, Massachusetts.

Lou zapisał wszystko i podziękował Brendzie.

Był naprawdę wdzięczny, gdyż nie potrafił sobie

wyobrazić, aby te same informacje mógł zdobyć

w Biurze Sekretarza Stanu Nowy Jork w Albany.

Lou chciał teraz zadzwonić do Jacka i podzielić

się z nim zdobytymi informacjami, gdy

dosłownie pod ręką zadzwonił mu telefon. To

był Mark Servert.

- Masz szczęście - powiedział Mark. - Człowiek,

który zna ludzi z Centralnego Zarządu Ruchu

Lotniczego jest w pracy. Okazało się, że właściwie pracuje w twojej okolicy. Ma biuro na lotnisku Kennedy'ego i zajmuje się ruchem lotniczym nad północnym Atlantykiem. Jest w stałym kontakcie z CZRL w Europie, więc natychmiast zadzwonił do nich z pytaniem o lot N69SU z dwudziestego dziewiątego stycznia. Informacja niemal natychmiast ukazała się na monitorze. N69SU przyleciał do Lyonu z Bata w Gwinei Równikowej.

- Cholera! Gdzie to jest? - zapytał Lou.

- Zabij mnie. Bez mapy mogę się domyślać jedynie, że gdzieś w Afryce Zachodniej.

- Zadziwiające.

- Dziwne jest i to, że ledwie wylądowali w Lyonie, natychmiast poprosili drogą radiową o rychły termin odlotu na Teterboro. Jakby czekali tylko na wolną drogę.

- Może wylądowali, żeby uzupełnić paliwo - powiedział Lou.

- Być może - zgodził się Mark. - Mimo wszystko miałbym prawo oczekiwać od nich raczej jednego planu lotu z przystankiem w Lyonie, a nie dwóch oddzielnych planów. Tak mógłbym

sądzić, że w Lyonie zatrzymali się na wiele godzin.

- Może zmienili zamiary - domyślał się Lou.

- To też możliwe.

- A może nie chcieli, by ktoś niepowołany

wiedział, że lecą z Gwinei Równikowej -

zasugerował w końcu Lou.

- Wiesz, że o tym nie pomyślałem - przyznał

Mark. - Pewnie dlatego ty jesteś

zafascynowanym swoją robotą detektywem, a ja

znudzonym urzędnikiem FZL.

Lou roześmiał się.

- Zafascynowany nie jestem, obawiam się, że

raczej zrobiłem się cyniczny i podejrzliwy.

- To i tak lepiej niż być znudzonym.

Lou podziękował za pomoc i po wymianie

normalnych grzecznościowych obietnic, że

pozostaną w kontakcie, rozłączyli się.

Przez kilka minut Lou siedział nieruchomo i

zastanawiał się, dlaczego samolot wart

dwadzieścia milionów dolarów wiezie z Afryki, z

kraju, o którym nigdy nie słyszał, nowojorskiego

kryminalistę z Queensu. Trudno sobie

wyobrazić, aby podobne zaułki Trzeciego Świata

były mekką nowoczesnej medycyny, gdzie potrzebujący człowiek może pojechać na tak skomplikowany zabieg chirurgiczny jak przeszczep wątroby.

Po wywołaniu numeru sprawy Franka Gleasona, Laurie siedziała, zastanawiając się, co może oznaczać owa niezgodność. Starła się znaleźć jakieś możliwe powiązanie ze zniknięciem Franconiego. Powoli fakty zaczęły się składać w pewną hipotetyczną całość.

Nagle odepchnęła krzesło od biurka, wstała i skierowała się do kostnicy, aby zamienić znowu kilka zdań z Marvinem. Nie zastała go w biurze, więc poszła w stronę chłodni. Przygotowywał wózki do wywiezienia ciał. W chwili kiedy otworzyła drzwi do chłodni, w pamięci błysnęło jej okropne wspomnienie sprawy Cerina.

Poczuła się nieswojo i zdecydowała, że nie będzie rozmawiać w środku. Zamiast tego poprosiła Marvina, żeby spotkali się u niego w biurze, gdy skończy swoją pracę.

Pięć minut później zjawił się Marvin. Rzucił papiery na biurko i podszedł do zainstalowanej w kącie umywalki, żeby umyć ręce.

- Wszystko w porządku? - zapytała Laurie, chcąc jakoś nawiązać konwersację.

- Tak sędzę - odparł Marvin. Wrócił do biurka i usiadł. Zaczął układać dokumenty według kolejności odbioru zwłok.

- Po naszej wcześniejszej rozmowie odkryłam coś zaskakującego - przeszła do powodu swojej kolejnej wizyty.

- Na przykład? - Zakończył porządkowanie papierów i oparł się wygodnie.

- Wywołałam w komputerze numer sprawy Franka Gleasona i dowiedziałam się, że przyjęto go ponad dwa tygodnie temu. Przy numerze nie było nazwiska. Ciało nie zostało zidentyfikowane!

- Pieprzysz! - zawołał Marvin i w tej samej chwili zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. - To znaczy, chcę powiedzieć, że jestem zaskoczony.

- To tak jak i ja. Próbowałam zadzwonić do doktora Bessermana, który robił autopsję.

Chciałam się dowiedzieć, czy ciało później zostało zidentyfikowane jako Frank Gleason, ale nie było go akurat w biurze. Jak sądzisz, czy nie jest zaskakujące, że Mike Passano nie wiedział,

iz ciało ciągle figuruje w komputerze jako nie zidentyfikowane?

- Nie dziwi mnie to. Nie jestem pewny, czy sam bym wiedział. Żeby się dowiedzieć, czy ciało zostało wywiezione, wystarczy wybrać tylko numer. Zupełnie nie przejmować się nazwiskiem.

- O tym już rozmawialiśmy. Ale jest jeszcze coś, o czym mówiłeś, a co mnie zastanawia.

Powiedziałeś, że czasami nie wydajesz ciała osobiście, ale ktoś z domu pogrzebowego odbiera je sam.

- Czasami - przytaknął Marvin. - Ale tak się dzieje tylko wtedy, kiedy przyjeżdża dwóch ludzi i dobrze znają się na procedurze. Jeden idzie odebrać z chłodni przygotowane ciało, a drugi załatwia dokumenty. To przyspiesza robotę.

- Jak dobrze znasz Mike'a Passana?

- Tak jak pozostałych techników.

- My się znamy od sześciu lat - powiedziała Laurie. - Można chyba uznać nas za dobrych kolegów.

- Tak, chyba tak - odparł ostrożnie Marvin.

- Chciałabym, żebyś zrobił dla mnie coś jak

dobry kolega. Ale tylko jeśli nie wprawi cię to w złe samopoczucie.

- A co konkretnie?

- Zadzwoń do Mike'a Passana i powiedz mu, że odkryłam, iż jedno z ciał, które wydał w noc zniknięcia zwłok Franconiego, należało do nie zidentyfikowanego człowieka.

- To dziwny facet - zauważył Marvin. - Po co dzwonić, skoro można poczekać, aż przyjdzie na swoją zmianę?

- Możesz przedstawić sprawę tak, jakbyś o niej tylko słyszał, co właściwie jest prawdą. Powiesz mu, że uznałeś, iż powinien o tym wiedzieć, skoro pełnił wtedy służbę.

- No, nie wiem - zastanawiał się Marvin.

- Chodzi o to, że gdy usłyszy to od ciebie, nie poczuje się zaatakowany. Jeśli ja zadzwonię, uzna, że go oskarżam, a chciałabym usłyszeć jego reakcję nie zabarwioną uczuciem zagrożenia. Ale co jeszcze ważniejsze, to chciałabym dowiedzieć się, czy ze Spoleto przyjechało dwóch ludzi, a jeśli tak, to czy pamięta, kto poszedł zabrać ciało z chłodni.

- Bo ja wiem, to jakby go podpuszczać.

- Ja tego tak nie widzę. Jeżeli już, to będzie to dla niego szansa oczyszczenia się z podejrzeń.

Widzisz, moim zdaniem to ludzie od Spoletta zabrali ciało Franconiego.

- Nie bardzo mam ochotę do niego dzwonić.

Zorientuje się, że coś tu jest nie tak. Dlaczego sama nie zadzwonisz?

- Już ci mówiłam. Poczuje się oskarżony i przyjmie agresywną postawę. Już ostatnio, kiedy zadawałam zwykłe pytania, stał się nieprzyjemny. Ale oczywiście, jeśli nie masz na to ochoty, nie chcę cię zmuszać. Zamiast tego chciałabym, żebyś poszedł ze mną na małe polowanie.

- Co znowu? - Cierpliwość Marvina była na wyczerpaniu.

- Czy możesz podać listę wszystkich zajętych w tej chwili lodówek? - spytała Laurie.

- Oczywiście, to proste.

- Proszę - powiedziała, wskazując na komputer Marvina. - Jeśli już przy tym jesteś, zrób dwie kopie, dobrze?

Marvin wzruszył ramionami i usiadł. Dość szybko poradził sobie z wydaniem polecenia i po

chwili wręczył Laurie dwie kartki zadrukowane danymi.

- Znakomicie - powiedziała, spoglądając na nie. -

Chodźmy! - Wychodząc z biura, podniosła rękę i odwrócona tyłem do Marvina skinęła. Marvin poszedł za nią.

Poszli w dół zaplamionym, cementowym korytarzem. Po drugiej stronie przejścia były ściany z lodówkami, w których przechowywano zmarłych. Laurie wręczyła jedną z list Marvinowi.

- Chcę sprawdzić każdy przedział, który powinien być teraz pusty. Ty zaczniesz z tej strony, ja z tamtej.

Marvin wywrócił oczami, ale wziął listę. Zaczął otwierać lodówki, zaglądał do środka i z trzaskiem zamykał drzwiczki. Laurie przeszła na drugą stronę i zaczęła robić to samo.

- Uch! - stęknął Marvin po pięciu minutach.

Laurie przerwała sprawdzanie.

- Co się stało?

- Lepiej żebyś tu sama przyszła.

Laurie obeszła gruby mur mieszczący przedziały dla zmarłych. Marvin stał przy końcu muru i

spoglądając na listę, drapał się w głowę.

- Ta lodówka powinna być pusta - powiedział.

Laurie zerknęła mu przez ramię i serce mocniej

jej zabiło. W środku leżało ciało nagiego

mężczyzny bez karteczki przy dużym palcu.

Lodówka miała numer dziewięćdziesiąt cztery.

Nie znajdowała się bardzo daleko od sto

jedenastej, w której pierwotnie umieszczono

Franconiego.

Marvin wysunął platformę. Ciszę kostnicy

przerwał zgrzyt kółek w szynach. Zobaczyli ciało

mężczyzny w średnim wieku z poważnymi

urazami nóg i tułowia.

- No tak, to wiele wyjaśnia - stwierdziła Laurie.

W jej głosie można było usłyszeć nuty triumfu,

złości i strachu. - To ciało tego nie

zidentyfikowanego mężczyzny. Został potrącony

w wypadku na Franklin Delano Roosevelt Drive.

Jack wyszedł z windy i usłyszał dzwonek

telefonu. Kiedy szedł korytarzem, coraz bardziej

nabierał przekonania, że to musi być telefon w

jego pokoju, tym bardziej że tylko te drzwi były

otwarte.

Przyspieszył i omal nie wywrócił się, ślizgając na

linoleum, którym wyłożono podłogę. Złapał za słuchawkę w ostatniej chwili. Dzwonił Lou.

- Gdzież się, u licha, podziewałeś? - zaczął od narzekań.

- Miałem sprawę w szpitalu akademickim. - Po rozmowie z Lou w sekretariacie pojawił się doktor Malovar i postanowił pokazać Jackowi kilka preparatów. Skoro prosił profesora o konsultację, czuł, że nie wypada mu teraz odmówić.

- Dzwoniłem co piętnaście minut - oznajmił Lou.

- Przepraszam.

- Mam trochę zaskakujących informacji, które bardzo chciałem ci przekazać. To niezwykle zagmatwana sprawa.

- No to nie powiedziałaś nic, czego bym już wcześniej nie wiedział - skomentował Jack. - Czego się dowiedziałeś?

Kątem oka zauważył jakiś ruch. Natychmiast zwrócił się w tę stronę i zauważył stojącą w drzwiach Laurie. Nie wyglądała normalnie. Oczy jej płonęły, usta miała zaciśnięte w grymasie złości, a blada była jak kość słoniowa.

- Poczekaj sekundę! - Jack przerwał rozmowę. -

Laurie, na miłość boską, o co chodzi?

- Muszę z tobą porozmawiać - wyrzuciła z siebie.

- Jasne. A możesz poczekać dwie minuty? -

Wskazał na telefon, dając do zrozumienia, że musi dokończyć rozmowę.

- Zaraz! - odparła z determinacją.

- Dobrze, już dobrze - uspokoił ją. Widział, że jest napięta jak struna, do granic wytrzymałości.

- Posłuchaj, Lou. Właśnie przyszła do mnie

Laurie i jest bardzo zdenerwowana. Pozwól, że oddzwonię do ciebie za chwilę.

- Poczekaj! - zawołała Laurie. - Rozmawiasz z

Lou Soldano?

- Tak. - Z jakiegoś irracjonalnego powodu Jack pomyślał, że Laurie jest podenerwowana, bo rozmawiał właśnie z Lou.

- Gdzie on jest? - zapytała.

Jack wzruszył ramionami.

- Myślę, że w swoim biurze.

- Zapytaj go - poleciła.

Jack przekazał pytanie i uzyskał potwierdzającą jego przypuszczenia odpowiedź. Skinął w stronę Laurie.

- Jest u siebie.

- Powiedz mu, że przyjedziemy.

Jack zawahał się. Był zakłopotany.

- No powiedz! Powiedz, że w tej chwili wychodzimy.

- Słyszałeś? - Jack zapytał swego rozmówcę.

Laurie tymczasem zniknęła. Poszła do swojego pokoju.

- Tak. Co tam się dzieje?

- Cholera wie. Jest nieźle podładowana. Jeżeli nie oddzwonię zaraz, to znaczy, że jedziemy do ciebie.

- Dobra. Czekam.

Jack odłożył słuchawkę i wyszedł na korytarz.

Laurie już wracała, wkładając po drodze płaszcz.

Spojrzała na niego, mijając go w drodze do windy. Jack pospieszył za nią.

- Co się stało? - zapytał ostrożnie. Bał się rozdrażnić ją jeszcze bardziej.

- Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, w jaki sposób zostało wyniesione ciało

Franconiego - odpowiedziała zła. - I dwie sprawy stały się jasne. Pierwsza, że wmieszany jest Dom Pogrzebowy Spoleto, druga, że w uprowadzeniu ciała współdziałał jeden z naszych pracowników.

I żeby powiedzieć prawdę, nie wiem, który z tych faktów przeraża mnie bardziej.

- Jezu, jakie korki - rzucił Franco Ponti w stronę Angela Facciola. - Cholera, dobrze, że jedziemy na Manhattan, a nie z powrotem.

Obaj wyelegantowani jak na wytworny obiad siedzieli w czarnym cadillacu Franca i kierowali się na zachód w stronę Queensborough Bridge.

Była siedemnasta trzydzieści, szczytowa godzina dla ruchu samochodowego.

- W jakiej kolejności chciałbyś to załatwić? - zapytał Franco.

Angelo wzruszył ramionami.

- Może najpierw dziewczynę. - Wykrzywił twarz w lekkim uśmiechu.

- Czekaleś na taką okazję, co?

Angelo uniósł brwi na tyle, na ile pozwalały mu blizny.

- Pięć lat czekałem, żeby zająć się tym profesjonalnie. Już myślałem, że nigdy nie dostanę takiej szansy.

- Wiem, że nie muszę ci przypominać o trzymaniu się rozkazów. Co do słowa.

- Cerino nigdy nie był tak skrupulatny. Mówił po

prostu, żeby wykonać robotę. Nie mówił, jak ją to zrobić.

- Dlatego właśnie Cerino siedzi w pudle, a interesem kieruje Vinnie.

- Coś ci powiem. Może najpierw pojechalibyśmy pod ten drugi adres. Byłem już u tej Montgomery w mieszkaniu i wiem, jak możemy tam wejść. Ale trochę mnie dziwi ta Zachodnia Sto Szósta. To nie jest dzielnica, w której można by szukać mieszkania lekarza.

- Tak, objazd terenu nie jest głupim pomysłem - zgodził się Franco.

Kiedy wjechali na Manhattan, Franco jechał dalej na zachód Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą. Okrążył od południa Central Park i skręcił na północ w Central Park West.

Angelo wrócił pamięcią do fatalnego dnia na przystani American Fresh Fruit Company, kiedy Laurie wywołała eksplozję. Miał pozostałości po ospie i trądziku, ale dopiero poparzenia po tamtym wybuchu zrobiły z niego "potwora", jak sam siebie nazywał.

Franco zapytał o coś, ale Angelo zagłębiony w okropnych, budzących złość wspomnieniach nie

dosłyszał. Musiał prosić o powtórzenie.

- Założę się, że chciałbyś dołożyć tej Laurie

Montgomery - powiedział Franco. - Gdybym był

tobą, na pewno bym chciał.

Angelo zaśmiał się. Mimowolnie poruszył lewym

ramieniem i poczuł pod nim ciężkiego walera

TPH, automatyczny pistolet wsunięty do ukrytej

pod marynarką kabury.

Franco skręcił w lewo w Sto Szóstą. Po prawej

minęli zatłoczone boiska, szczególnie wiele osób

zebrało się wokół boiska koszykarskiego.

- To musi być po lewej - zauważył Franco.

Angelo spojrział na kartkę z adresem Jacka.

- To tutaj. Ten budynek z kolorowym dachem. -

Franco zatrzymał się po drugiej stronie ulicy tuż

przy innym aucie. W samochodzie za nimi

znieczepliwiony kierowca zatrąbił. Franco

otworzył okno i machnął, żeby wóz przejechał.

Kiedy oba auta się zrównały, dobiegło ich

siarczyste przekleństwo. - Słyszałeś tego

gówniarza? W tym mieście nikt już nie dba o

dobrze maniery.

- Dlaczego ten doktor tu mieszka? - zastanawiał

się Angelo. Obserwował budynek przez oszklone

wejście.

Franco pokręcił głową.

- Dla mnie nie ma to żadnego sensu. Chata

wygląda jak wielki śmietnik.

- Amendola uprzedzał, że to trochę dziwak.

Podobno codziennie jeździ na rowerze stąd do

kostnicy na rogu Pierwszej Avenue i

Trzydziestej.

- Daj spokój! - skomentował z niedowierzaniem

Franco.

- Tak twierdzi Amendola.

Franco obserwował okolice.

- Wszystko tutaj to jeden wielki śmietnik. Może

robi w prochach.

Angelo otworzył drzwi i wysiadł z wozu.

- Co zamierzasz? - zapytał Franco.

- Chcę się upewnić, że on tu naprawdę mieszka.

Amendola mówił, że to trzecie piętro od tyłu.

Zaraz wracam.

Angelo obszedł samochód i poczekał na przerwę

w ruchu. Przeszedł na drugą stronę i skierował

się ku wejściu do budynku. Lekko uchylił drzwi

wejściowe i zerknął w stronę skrzynek na listy.

Wiele z nich zostało wyłamanych, żadna nie była

zamknięta.

Szybko przeleciał wzrokiem po spisie lokatorów.

Kiedy znalazł adres Jacka, natychmiast

sprawdził, czy drzwi wewnętrzne także się

otwierają. Okazało się, że bez problemu. Wszedł

na klatkę schodową i pociągnął nosem. Czuć

było nieprzyjemny zapach stęchlizny. Spojrzał

na śmieci na schodach, obdrapaną farbę na

ścianie i stłuczoną żarówkę w niegdyś

eleganckiej lampie. Na pierwszym piętrze

usłyszał stłumione odgłosy domowej awantury.

Uśmiechnął się. Sprawa z Jackiem Stapletonem

wyglądała na prostą. Kamienica robiła wrażenie

ruiny.

Zszedł na parter i wyszedł przed dom. Stanął i

przyjrzał się, które z przejść podziemnych może

należać do budynku Jacka. Każdy dom miał taki

korytarz, którym wychodziło się na podwórko.

Zdecydował, który będzie właściwy, i ostrożnie

ruszył nim. Liczne kałuże i walające się odpadki

stanowiły poważne zagrożenie dla jego butów od

Bruna Magliego.

Podwórko zavalone było zepsutymi i gnijącymi

sprzętami, materacami, zdartymi oponami i

mnóstwem innych śmieci. Idąc ostrożnie metr od ściany budynku, dokładnie obejrzał drogę przeciwpożarową. Na trzecim piętrze aż dwa okna łączyły się ze schodami awaryjnymi. W oknach było ciemno. Doktora nie było więc w mieszkaniu.

Angelo wycofał się i wrócił do samochodu.

- No i? - spytał krótko Franco.

- Mieszka tam. Nie uwierzysz, ale dom wewnątrz wygląda jeszcze gorzej. Nie jest zamknięty. Na pierwszym piętrze słyszałem jakąś domową bójkę, a w innym mieszkaniu ktoś włączył telewizor na całą parę. Miejsce nie jest ładne, ale do naszej roboty idealne. To będzie proste.

- Oto, co chciałem usłyszeć. Nadal uważasz, że powinniśmy zacząć od kobiety?

Angelo uśmiechnął się tak, jak tylko potrafił.

- Dlaczego sobie odmawiać?

Franco wrzucił bieg. Ruszyli na południe Columbus Avenue, przecięli miasto do Drugiej Avenue i dość szybko dotarli do Dziewiętnastej Ulicy. Angelo nie musiał sprawdzać adresu. Bez trudności wskazał dom Laurie. Franco poszukał odpowiedniego miejsca z zakazem parkowania i

tam się zatrzymał.

- Jak sądzisz, powinniśmy wejść od tyłu? -

zapytał Franco, obserwując uważnie budynek.

- Z kilku powodów. Mieszka na czwartym piętrze, ale okna wychodzą na tył. Żeby stwierdzić, czy w ogóle jest u siebie, i tak musimy pójść na tyły. Ma także wścibską sąsiadkę naprzeciwko. Widać u niej zapalone światło. Ta kobieta dwukrotnie widziała mnie, kiedy stałem przed drzwiami mieszkania Montgomery. Poza tym z tego mieszkania jest wyjście na schody przeciwpożarowe, a te prowadzą dokładnie na podwórze z tyłu budynku. Wiem, bo tamtędy ją wynosiliśmy.

- Przekonałeś mnie. Bierzmy się do roboty - powiedział Franco.

Wysiedli z samochodu. Angelo otworzył tylne drzwi i wyjął torbę z narzędziami do otwierania drzwi oraz łom, jakiego często używają strażacy do wyważania drzwi.

Obaj skierowali się do przejścia prowadzącego na tyły budynku.

- Słyszałem, że zwiłała tobie i Tony'emu Ruggeriowi - odezwał się Franco. - Przynajmniej

na chwilę. Musi być z niej niezły numer.

- Nie przypominaj mi. No, ale praca z Tonym była jak noszenie wody sitem.

Okazało się, że na tyłach domu znajdują się zaniedbane ogródki. Odeszli na tyle, aby móc zobaczyć okna na czwartym piętrze. Było w nich ciemno.

- Wygląda na to, że zdążymy przygotować miłe powitanie - powiedział Franco.

Angelo nie odpowiedział. Zamiast rozmawiać, podszedł z narzędziami do metalowych drzwi, które prowadziły na tylne schody. Nałożył skórkowe rękawiczki, a Franco przygotował latarkę.

Na początku na samo wspomnienie długo oczekiwanego spotkania z Laurie Montgomery ręce Angela drżały. Gdy zamek w drzwiach nie chciał ustąpić, Angelo wziął się w garść i skupił całą uwagę na pracy. Zamek puścił i drzwi stanęły otworem.

Nie kłopotał się wnoszeniem narzędzi na czwarte piętro. Wiedział, że Laurie ma kilka zasuw. Użył łomu. Po dwudziestu sekundach wysiłku, któremu towarzyszył szczęk

wyłamywanych blokad, znaleźli się w środku.

Przez kilka chwil stali nieruchomo w małym korytarzyku przerobionym na pomieszczenie gospodarcze i nasłuchiwali. Chcieli mieć zupełną pewność, że odgłosy włamania nie zwróciły niczyjej uwagi.

- Jezu Chryste! - szepnął z przerażeniem Franco.

- Coś dotknęło mnie w nogę.

- Co jest? - spytał Angelo. Nie spodziewał się takiego wybuchu i serce nagle mocniej mu zabiło.

- Och, to tylko cholerny kot! - odparł Franco z ulgą. W tej samej chwili obaj mężczyźni usłyszeli mruczenie zwierzaka.

- Mamy szczęście - powiedział Angelo. - To będzie miłe spotkanie. Zabierz go ze sobą.

Powoli wyszli z pomieszczenia i w ciemnościach, teraz nieco rozproszonych światłem wpadającym przez okna, przeszli z kuchni do pokoju dziennego.

- Jak na razie dobrze - stwierdził Angelo.

- Teraz musimy poczekać. Może pójdę do lodówki i sprawdzę, czy nie ma piwa albo wina.

Masz ochotę?

- Piwo byłoby niezłe - odparł Angelo.

W komendzie Laurie i Jack musieli przypiąć identyfikatory, przejść przez bramkę z wykrywaczem metalu i dopiero potem pozwolono im pojechać na piętro, gdzie urzędował Lou. Czekał już na nich przed windą i serdecznie powitał.

Przede wszystkim stanął przed Laurie, wziął ją za ramiona, spojrzał głęboko w oczy i zapytał, co się stało.

- Wszystko z nią w porządku - odparł Jack i klepnął Lou w plecy. - Jest już racjonalna i zrównowazona, jak zawsze.

- Naprawdę? - spytał Lou, ciągle bacznie przyglądając się Laurie.

Pod badawczym wzrokiem przyjaciela nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Jack ma rację. Czuję się dobrze. Prawdę mówiąc, jestem zawstydzona, że ciągnęłam go aż tutaj.

Lou odetchnął z ulgą.

- Cieszę się, że was widzę. Zapraszam do mojego pałacu. - Poszedł przodem, wskazując drogę. - Mogę wam zaproponować kawę, ale z całego

serca odradzam - powiedział Lou. - O tej porze

robią tak mocną, że można nią przeczyścić

odpływ umywalki.

- Dziękujemy - odparła Laurie i usiadła.

Jack zrobił to samo. Z nieprzyjemnym

dreszczem rozejrzał się po spartańsko

urządzonym pokoju. Ostatnim razem był tu rok

temu, kiedy ledwo zdołał ująć z życiem przed

zamachowcami.

- Myślę, że wiem, w jaki sposób wykradziono

ciało Franconiego - zaczęła Laurie. -

Dogadywałeś mi, że podejrzewam Dom

Pogrzebowy Spoleto, sądzę jednak, że będziesz

musiał zweryfikować swoje zdanie. Właściwie

mogę powiedzieć, że wtedy poważnie się

pomyliłeś.

Następnie Laurie wyjaśniła, co według niej się

wydarzyło. Stwierdziła też, iż jej zdaniem któryś

z pracowników kostnicy podał ludziom od

Spoletta numer stosunkowo niedawnej sprawy

nie zidentyfikowanego mężczyzny, który w

dotatku leżał niedaleko zwłok Franconiego.

- Często, kiedy po ciało przyjeżdża dwóch ludzi,

jeden idzie do chłodni po zwłoki, a drugi zajmuje

się dokumentacją. W takim wypadku technik z kostnicy przygotowuje ciało przykryte prześcieradłem na wózku przy wyjeździe z chłodni. Myślę, że wyglądało to tak: Kierowca od Spoletta wziął ciało, którego numer otrzymał wcześniej, zdjął z niego kartkę z oznaczeniem, umieścił zwłoki w jednej z wolnych lodówek, zamienił kartkę Franconiego na tę pierwszą i po cichu opuścił kostnicę ze zwłokami Franconiego oznaczonymi już innym numerem. A pracownik kostnicy sprawdził właśnie ten numer.

- To niezły scenariusz - stwierdził Lou. - Mogę zapytać, czy masz na to jakiś dowód, czy też są to tylko twoje domysły?

- Znalazłam ciało, którego numer znalazł się w dokumentach jako numer ciała zabranego przez ludzi Spoletta. Znajdowało się w lodówce figurującej w komputerze kostnicy jako pusta. Nazwisko Gleason zostało wymyślone.

- Ach! - Zainteresowanie Lou wyraźnie wzrosło.

Pochylił się do przodu i oparł łokciami na biurku. - Zaczyna mi się to coraz bardziej podobać, szczególnie te wzajemne oznaki miłości między Spolettem a rodziną Lucia. To

może okazać się ważne. Przypomina mi to uchybienia podatkowe Ala Capone. Chodzi mi o to, że byłoby świetnie, gdybyśmy mogli któregoś z ludzi Lucia przymknąć za wykradzenie zwłok!

- To oczywiście wzmacnia widmo powiązań zorganizowanej przestępczości z nielegalną transplantacją wątroby - zauważył Jack. - To może okazać się związkiem przerażającym.

- I niebezpiecznym - dodał Lou. - Dlatego muszę nalegać, abyście ze swej strony zaprzestali amatorskiego dochodzenia. Zrobimy to sami.

Czy mam na to wasze słowo?

- Cieszę się, że weźmiesz się za to - powiedziała Laurie. - Ale pozostaje jeszcze nie rozwiązana kwestia wtyczki w naszym zakładzie.

- Najlepiej będzie, jak tym także się zajmę. Skoro mamy do czynienia ze zorganizowaną przestępczością, można oczekiwać jakiejś formy wymuszenia czy przemocy. Ale skontaktuję się niezwłocznie z Binghamem. Nie muszę was chyba ostrzegać, że to niebezpieczni ludzie.

- Aż za dobrze pamiętam tę lekcję - powiedziała Laurie.

- Jestem zbyt zaintrygowany wyjaśnieniem

tajemnicy, aby przeszkadzać - dodał Jack. - Ale

czego dowiedziałeś się dla mnie?

- Wielu rzeczy. - Lou sięgnął po leżącą na brzegu

biurka sporą książkę i z tajemniczym

chrząknięciem wręczył ją Jackowi.

Jack otworzył ją ze zdziwieniem i zapytał: - Co, u

diabła? Po co mi ten atlas?

- Będziesz go potrzebował. Nie powiem ci, ile

czasu zabrało mi znalezienie tego w komendzie

policji.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - stwierdził Jack.

- Mój kontakt w FZL znalazł kogoś, kto zna

kogoś z europejskiej organizacji rejestrującej

czas startu i lądowania każdego samolotu w całej

Europie. Przechowują dane przez ponad

sześćdziesiąt dni. G4 Franconiego przyleciał do

Francji z Gwinei Równikowej.

- Skąd? - zapytał Jack i kompletnie zaskoczony

uniósł brwi. - Nigdy nie słyszałem o Gwinei

Równikowej. To jakiś kraj?

- Otwórz na stronie sto pięćdziesiątej drugiej! -

powiedział Lou.

- Co to za historia z Franconim i tym G4? -

wtrąciła Laurie.

- G4 to prywatny samolot - wyjaśnił Lou. - Udało mi się odkryć, że Franconi opuszczał kraj. Do czasu, aż otrzymałem te dane, sądziliśmy, że był we Francji.

Jack otworzył atlas na wskazanej stronie.

Znalazł tam mapę zatytułowaną "Zachodni basen Kongo". Obejmowała spory obszar Afryki Zachodniej.

- Dobra, gdzie mam szukać?

Lou wskazał mu odpowiednie miejsce.

- To ten maleńki kraj między Kamerunem a Gabonem. Samolot wystartował z Bata, na wybrzeżu. - Wskazał maleńką kropkę. Na mapie kraj wyglądał na jednolitą, zieloną plamę.

Laurie wstała i spojrzała Jackowi przez ramię.

- Zdaje mi się, że słyszałam o tym kraju. Chyba tam pojechał Frederick Forsyth, żeby napisać Psy wojny.

Lou złapał się za głowę.

- Jak ty to robisz, że pamiętasz takie drobiazgi?

Ja nie pamiętam, gdzie jadłem lunch w zeszły wtorek.

Laurie wzruszyła obojętnie ramionami.

- Czytam sporo powieści. Interesują mnie

pisarze.

- To i tak nie ma sensu - uznał Jack. - To najslabiej rozwinięta część Afryki. W tym kraju pewnie nie można znaleźć nic poza dżunglą.

Franconi nie mógł tam przejść operacji przeszczepu.

- Tak samo i ja pomyślałem - przyznał Lou. - Ale inne informacje mają trochę więcej sensu. Idąc tropem Alpha Aviation z Nevady, dotarłem do prawdziwego właściciela G4. To korporacja GenSys z Cambridge w Massachusetts.

- Słyszałam o GenSys. To firma biotechnologiczna znana ze swych osiągnięć w dziedzinie szczepionek i limfokinezy.

Zapamiętałam to, bo moja przyjaciółka, która jest brokerem w Chicago, polecała mi kiedyś udziały w tej firmie. Ciągłe daje mi znać o dobrych lokatach, jakby sądziła, że leżę na pieniądzach gotowych do inwestowania.

- Przedsiębiorstwo zajmujące się biotechnologią!

- powtórzył zaskoczony Jack. - Hmm. To nowy zwrot. Musi być ważny, chociaż nie wiem dlaczego. Nie mam też pojęcia, co firma biotechnologiczna może robić w Gwinei

Równikowej.

- A co może oznaczać ten kamuflaż w Nevadzie?

- spytała Laurie. - Czyżby tak duża korporacja chciała ukryć posiadanie samolotu?

- Wątpię. Zbyt łatwo odkryłem powiązanie.

Gdyby GenSys chciało ukryć swą własność, to prawnicy z Nevady nadal figurowaliby w dokumentach jako właściciele Alpha Aviation.

Tymczasem już na pierwszym posiedzeniu zarządu dyrektor finansowy GenSys przejął obowiązki prezydenta i sekretarza spółki.

- To dlaczego przedsiębiorstwo z Massachusetts zakłada firmę w Nevadzie, aby ta zajmowała się samolotem? - dociekała Laurie.

- Nie jestem prawnikiem - powiedział Lou. - Ale na pewno ma to związek z podatkami i innymi obciążeniami finansowymi. Massachusetts to okropny stan do procesowania się. Myślę, że GenSys wynajmuje samolot wtedy, kiedy samo go nie używa, a opłaty dla firmy zarejestrowanej w Nevadzie są znacznie niższe.

- Jak dobrze znasz tę brokerkę? - zapytał Jack.

- Bardzo dobrze. Razem studiowałyśmy w Wesleyan University.

- To może zadzwonisz do niej i zapytasz, czy wie o jakichś powiązaniach GenSys z Gwineą Równikową. Skoro rekomendowała ich akcje, na pewno zapoznała się dokładnie z działalnością przedsiębiorstwa.

- Bez wątpienia. Była jedną z najbardziej obowiązkowych studentek, jakie znałam. W porównaniu z nią wyglądaliśmy jak początkujący studenci kursów przygotowawczych.

- Czy Laurie może skorzystać z twojego telefonu?

- Jack zwrócił się do Lou.

- Jasne.

- Chcesz, żebym dzwoniła teraz? - spytała zaskoczona.

- Łap ją w pracy. Mamy szansę dowiedzieć się czegoś, jeżeli posiada akta na ich temat, a te może mieć tylko w pracy.

- Chyba masz rację - przyznała Laurie. Usiadła za biurkiem Lou i zadzwoniła do informacji telefonicznej w Chicago.

Kiedy Laurie siedziała przy telefonie, Jack wypytywał Lou, w jaki sposób udało mu się uzyskać te wszystkie informacje. Szczególnie zaimponowało mu to, w jaki sposób dotarł do

Gwinei Równikowej. Obaj przyjrzeni się bacznie mapie i dostrzegli bliskość równika. Zauważyli też, że największe miasto, zapewne stolica, leży nie na stałym lądzie, lecz na wyspie o nazwie Bioko.

- Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, jak może wyglądać takie miejsce - wyznał Lou.

- Ja mogę. Jest gorąco, pełno robactwa, deszczowo i parno.

- Brzmi uroczo - stęknął Lou.

- W każdym razie nie bardzo się nadaje na miejsce do wypoczynku wakacyjnego, chociaż z drugiej strony leży poza uczęszczanymi szlakami.

Laurie odłożyła słuchawkę i zakręciła się na krześle, zwracając się twarzą w stronę kolegów.

- Jean jest tak zorganizowana, jak przypuszczałam. W sekundę znalazła materiały o GenSys. Oczywiście zapytała mnie, ile udziałów kupiłam, i załamała ręce, kiedy powiedziałam, że w ogóle nie kupowałam ich akcji. Potroiły swoją wartość i zatrzymały się.

- Czy to dobrze? - zażartował Lou.

- Na tyle dobrze, że być może straciłam szansę

na wycofanie się z życia zawodowego.

Powiedziała, że to druga firma

biotechnologiczna z takim sukcesem

prowadzona przez głównego dyrektora Taylora

Cabota.

- Miała coś do powiedzenia o Gwinei

Równikowej? - spytał Jack.

- Owszem. Powiedziała, że jedną z głównych

przyczyn sukcesu firmy jest założenie potężnej

farmy hodowlanej dla naczelnych. Wykonują

tam jakieś badania dla GenSys. Wtedy ktoś

wpadł na pomysł, żeby inne kompanie i firmy

biotechnologiczne i farmaceutyczne mogły

korzystać z ich badań na naczelnych. Okazało

się, że popyt na te usługi przeszedł najśmielsze

oczekiwania.

- I ta farma jest w Gwinei Równikowej - domyślił

się Jack.

- Zgadza się.

- Czy podała jakieś powody, dlaczego tam?

- Z opracowania, które otrzymała od analityka,

wynika, że GenSys wybrało Gwineę Równikową

ze względu na bardzo przyjazny stosunek

miejscowych władz do projektu. Podobno nawet

zmienili prawo, żeby ułatwić działalność farmie.

Z drugiej strony GenSys stało się głównym źródłem walut wymiennalnych, tak potrzebnych tamtejszemu rządowi.

- Możecie sobie wyobrazić, jak wielkie łapówki musiały wchodzić w grę, żeby osiągnięcie tego celu stało się możliwe? - zauważył Jack.

Lou tylko gwizdnął.

- Opracowanie mówi także, że większość naczelnych, których używają, jest miejscowego pochodzenia. To pozwala im obejść wszystkie międzynarodowe utrudnienia w eksporcie i imporcie takich zagrożonych gatunków, jak szympany.

- Małpia farma - powtórzył Jack, kręcąc głową. -

To otwiera nawet najbardziej dziwaczne możliwości. Czyżbyśmy mieli do czynienia z przeszczepem ksenogenicznym?

- Tylko nie zaczynajcie z tym medycznym żargonem - zaprotestował Lou. - Co to znowu jest ten przeszczep ksenogeniczny?

- Niemożliwe - odparła Laurie. - Przeszczep ksenogeniczny powoduje niezwykle ostre reakcje. Z tego, co mi pokazywałeś, wynika, że

nie było śladu zapalenia w okolicach wątroby,

żadnych śródkomórkowych reakcji

humoralnych.

- Prawda - przyznał Jack. - Nie dostawał nawet środków immunosupresyjnych.

- No co wy. Nie każcie się prosić. Co to jest przeszczep ksenogeniczny? - niecierpliwił się Lou.

- To przeszczep, w którym przeszczepiany organ pochodzi od zwierzęcia albo innego gatunku - wyjaśniła Laurie.

- Jak w tej nieudanej operacji z sercem pawiana dziesięć, dwanaście lat temu? - spytał Lou.

- No właśnie.

- Nowe środki immunosupresyjne przywołały na powrót problem przeszczepów ksenogenicznych

- stwierdził Jack. - I to ze znacznie lepszymi rezultatami niż w tamtej próbie sprzed lat.

- W szczególności dotyczy do zastawek ze świńskiego serca - dodała Laurie.

- Rzecz jasna wywołuje to wiele etycznych kontrowersji, no i pobudza do działania osoby walczące o prawa zwierząt - powiedział Jack.

- Tym bardziej teraz, gdy próbuje się wszczepiać

zwierzętom ludzkie geny, aby osłabić niektóre z reakcji odrzucania - przypomniała Laurie.

- Czy Franconi mógł otrzymać wątrobę jakiejś małpy, gdy przebywał w Afryce? - spytał Lou.

- Trudno mi w to uwierzyć - stwierdził Jack. -

Uwaga Laurie była jak najbardziej trafna. Nie zauważyliśmy śladów żadnej reakcji. Nie słyszałem nawet o tak idealnym dopasowaniu wśród ludzkich bliźniąt.

- Ale Franconi był w Afryce - stwierdził Lou.

- Prawda. A matka powiedziała, że wrócił jak nowy człowiek. - Jack wstał i rozłożył ręce. - Nie rozumiem tego wszystkiego. To jakaś paskudna zagadka. I do tego jeszcze wmieszali się w nią gangsterzy.

Laurie także wstała.

- Wychodzicie? - zapytał Lou.

Jack skinął twierdząco głową.

- Jestem wyczerpany i gubię się już w tym.

Niewiele spałem zeszłej nocy. Po tym, jak zidentyfikowaliśmy zwłoki, przez kilka godzin wisiałem na telefonie. Dzwoniłem do wszystkich instytucji w Europie zajmujących się koordynacją wszelkich działań związanych z

przeszczepami, do których miałem numer.

- To może poszlibyśmy do "Little Italy" na szybki obiad? To tuż za rogiem - zaproponował Lou.

- Beze mnie - odparł Jack. - Mam przed sobą

jeszcze jazdę rowerem do domu. Po obiedzie nie dałbym rady.

- Ja też dziękuję. Marzę tylko, żeby dostać się do domu i wziąć prysznic. To był długi i wyczerpujący dzień. Konam ze zmęczenia.

Lou uznał więc, że jeszcze z pół godziny popracuje, i dwójka przyjaciół pożegnała się i zjechała na parter. Oddali identyfikatory i opuścili komendę policji. Tuż pod ratuszem złapali taksówkę.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Jack, kiedy ruszyli na północ aleją Bowery. Przed oczami mieli prawdziwy kalejdoskop świateł.

- O wiele. Nie wyobrażasz sobie, jak mi ulżyło, że złożyliśmy całą sprawę w kompetentne ręce Lou.

Przepraszam, że tak mnie poniosło.

- Nie ma potrzeby przepraszać. To oburzające, najłagodniej mówiąc, że mamy wśród nas potencjalnego szpiega i do tego kryminaliści zaczynają się interesować przeszczepami wątroby.

- Jak ty to znosisz? Włożyłeś szalenie dużo pracy w ten przypadek.

- Bo i przypadek jest szalony, ale także intrygujący. Najbardziej to powiązanie z takim gigantem w biotechnologii jak GenSys.

Najbardziej przeraża mnie to, że ich badania zostały w całości utajnione. Ten sposób działania przypomina czasy zimnej wojny. Nie wiadomo, czego oczekują w zamian za swoje inwestycje. To wielka różnica w porównaniu z sytuacją sprzed ponad dziesięciu lat, kiedy Państwowy Instytut Zdrowia prowadził większość eksperymentów biomedycznych przy drzwiach otwartych. W tamtych dniach nadzór przez dokładne przyglądanie się badaniom był normą, teraz tak nie jest.

- Szkoda, że nie ma kogoś takiego jak Lou, komu mógłbyś przekazać sprawę - zauważyła ze śmiechem Laurie.

- To nie byłoby takie fajne.

- Jaki będzie twój następny krok? - spytała Laurie.

Jack westchnął.

- Skończyły mi się pomysły. W planie mam

jeszcze tylko zbadanie preparatu wątroby przez
patologa weterynarii.

- A więc już myślałeś o przeszczepie
ksenogenicznym? - spytała zaskoczona Laurie.

- Nie, nie myślałem - przyznał ucziwie. -

Pomysł, żeby preparat zbadał weterynarz
patolog, nie pochodzi ode mnie. To pomysł
parazytologa ze szpitala. Podejrzewa, że ziarniak
powstał z powodu pasożyta, ale nie potrafił
rozpoznać którego.

- Może powinieneś podzielić się sugestią o
przeszczepie ksenogenicznym z Tedem Lynchem

- zaproponowała Laurie. - Jako ekspert od DNA
może ma w swoim worku ze sztuczkami coś, co
pozwoli definitywnie powiedzieć tak albo nie.

- Znakomity pomysł! - powiedział Jack z
zachwytem. - Jak możesz wpadać na takie
rozwiązania, znajdując się na skraju
wyczerpania? Zadziwiasz mnie. Mój umysł
zapadł już w nocną śpiączkę.

- Komplementy zawsze mile widziane.

Szpeciallynie w ciemnościach, kiedy nie widać
moich rumieńców.

- Zaczynam podejrzewać, że jedynym sposobem

rozwiązania sprawy Franconiego będzie szybka

podróż do Gwinei Równikowej.

Laurie błyskawicznie odwróciła się na siedzeniu,

tak że mogła spojrzeć prosto w twarz Jacka. W

półmroku nie widziała jego oczu.

- Nie mówisz poważnie. Żartujesz, prawda?

- No cóż, chyba nie ma co dzwonić do GenSys

ani jechać do Cambridge, wejść do ich biura i

zapytać: "Cześć, kochani, to co wy tam robicie w

tej Gwinei Równikowej?"

- Ale przecież rozmawiamy o Afryce. To

szaleństwo. Trzeba przelecieć pół świata. Poza

tym, jeżeli sądzisz, że nie dowiesz się niczego w

Cambridge, to dlaczego wydaje ci się, że dowiesz

się w Afryce?

- Może dlatego, że nie spodziewają się mnie tam.

Chyba nieczęsto odwiedzają ich goście.

- To szalone - rzuciła Laurie, unosząc

gwałtownie ręce i wywracając oczyma.

- Hej, spasuj nieco - odparł Jack. - Nie

powiedziałem, że jadę. Mówiłem tylko, że

zaczynam o tym myśleć.

- Dobra, to przestań o tym myśleć. Mam dość

zmartwień na głowie.

Jack uśmiechnął się.

- Ty się naprawdę niepokoisz, jestem wzruszony.

- Och, pewnie! - odpowiedziała z przekąsem. -

Nie bardzo cię wzruszały wszystkie moje prośby o rezygnację z jazdy na rowerze po mieście.

Taksówka podjechała pod budynek, w którym mieszkała Laurie, i zatrzymała się. Laurie sięgnęła po portmonetkę, ale Jack położył dłoń na jej ręce i powiedział:

- Ja stawiam.

- Dobrze, następnym razem moja kolej. -

Wystawiła nogę za drzwi i zatrzymała się. -

Gdybyś obiecał, że pojedziesz taksówką do domu, moglibyśmy zakrzętnąć się koło jakiejś kolacji u mnie.

- Dzięki, ale nie dzisiaj. Pojadę jednak do domu rowerem. Z pełnym żołądkiem pewnie natychmiast bym usnął.

- Gorsze rzeczy się zdarzają.

- Odłóżmy to na inną okazję - Jack pozostał przy swoim.

Laurie wysiadła z taksówki, lecz jeszcze odwróciła się i pochyliła.

- Obiecay mi w takim razie tylko jedno: dzisiaj

wieczorem nie wyjedziesz do Afryki.

Jack przygotował się już na kuksańca, ale w ostatniej chwili machnęła ręką.

- Dobranoc, Jack - powiedziała, uśmiechając się ciepło.

- Dobranoc, Laurie. Porozmawiam z Warrenem i zadzwonię do ciebie.

- Och, świetnie - ucieszyła się. - Z tego wszystkiego zapomniałam o nich. Będę czekać na telefon.

Laurie zatrzasnęła drzwi taksówki, odprowadziła ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za rogiem Pierwszej Avenue, dopiero wtedy odwróciła się w stronę domu. Jack jest czarującym, ale i skomplikowanym mężczyzną, pomyślała.

Jadąc w górę windą, wyobrażała sobie przyjemny prysznic i ciepło aksamitnego szlafroka. Solennie sobie obiecała, że pójdzie wcześniej spać.

Obdarowała Debrę Engler kwaśnym uśmiechem i zaczęła otwierać liczne zamki. Zatrzasnęła za sobą drzwi, przekazując sąsiadce w ten sposób jeszcze jedną wiadomość. Zdejmując płaszczyz, przekładała listy z ręki do ręki. Po omacku

znalazła wieszak w szafie i powiesiła na nim okrycie. Dopiero kiedy weszła do pokoju dziennego, przekręciła przełącznik i zapaliła lampę stojącą. Skierowała się do kuchni. Zrobiła ledwie dwa kroki i z okrzykiem wypuściła z ręki pocztę. W pokoju było dwóch mężczyzn. Jeden siedział na fotelu art déco, drugi na kanapie. Ten na kanapie głaskał Toma, który zasnął na jego kolanach.

Inną rzeczą, którą zauważyła, był potężny pistolet z dokręcanym tłumikiem spoczywający na oparciu fotela.

- Witamy w domu, doktor Montgomery - odezwał się Franco. - Dziękujemy za piwo i wino.

Laurie spojrzała na stolik. Stała na nim pusta butelka po piwie i kieliszek z winem.

- Prosimy do nas, niech pani usiądzie - zaprosił Franco. Wskazał na krzeselko, które ustawili na środku pokoju.

Laurie nie ruszyła się. Nie mogła. Przyszło jej na myśl, żeby pobiec do kuchni do telefonu, ale szybko porzuciła pomysł jako absurdalny.

Pomyślała także o drzwiach wyjściowych, jednak

przy takiej liczbie zamków byłby to odruch

daremny.

- Proszę! - powtórzył Franco z fałszywą
uprzejmością, która jedynie wzmocniła w Laurie
poczucie zagrożenia.

Angelo przełożył kota na bok i wstał. Zrobił krok
w stronę Laurie i bez ostrzeżenia uderzył ją
wierzchem dłoni w twarz. Siła ciosu rzuciła ją na
ścianę, nogi odmówiły posłuszeństwa. Upadła na
kolana i podparła się rękoma. Kilka kropel
jasnoczerwonej krwi z rozciętej górnej wargi
spadło na drewnianą podłogę.

Angelo złapał ją za ramię i gwałtownie postawił
na nogi. Pociągnął Laurie w stronę krzesła i
popchnięciem posadził ją na nim. Przerazenie
nie pozwalało jej oponować.

- Tak lepiej - stwierdził Franco.

Angelo pochylił się i z bliska spojrzał Laurie
prosto w oczy.

- Poznajesz mnie?

Laurie zmusiła się i podniosła wzrok na
straszenie okaleczoną twarz napastnika.

Wyglądał jak postać z horroru. Z trudem
przełknęła ślinę. W gardle jej wyschło. Nie

mogła wypowiedzieć słowa, jedynie pokręciła przecząco głową.

- Nie? - spytał Franco. - Pani doktor, obawiam się, że rani pani uczucia Angela, a w obecnych okolicznościach to raczej nieroztropne.

- Przykro mi - wykrztusiła w końcu. Ledwie wypowiedziała te słowa, a skojarzyła imię mężczyzny z poparzoną twarzą, na którą cały czas patrzyła. To był Angelo Facciolo, główny zabijaka Cerina, najwyraźniej wyszedł już na wolność.

- Czekałem pięć lat - warknął Angelo. Znowu wymierzył cios, który niemal zrzucił ją z krzesła. Głowa Laurie opadła. Pojawiło się więcej krwi. Tym razem kapała z nosa na dywan.

- Dobra, Angelo! Pamiętaj! Przyszliśmy tylko porozmawiać - powiedział Franco.

Angelo zatrzęsł się nad Laurie, jakby siłą powstrzymywał się od dalszego działania. W końcu wrócił na kanapę. Podniósł kota i zaczął go dość brutalnie tarmosić. Tomowi się to nie podobało i zaczął miauczeć.

Laurie zdołała się wyprostować. Ręką zasłoniła zranioną wargę i rozbity nos. Wargę już zaczęła

puchnąć. Ścisnęła nos, żeby powstrzymać

krwawienie.

- Słuchaj, doktorko - zaczął Franco. - Jak się zapewne domyślasz, przyście tu nie sprawiło nam kłopotu. Mówię to, żeby ci uświadomić, jak bardzo narażona jesteś na kłopoty. Widzisz, mamy problem, który możesz nam pomóc rozwiązać. Jesteśmy tu, żeby ci ładnie poprosić o pozostawienie sprawy Franconiego w spokoju. Czy wyrażam się jasno?

Skinęła głową. Bała się zrobić cokolwiek innego.

- Dobrze. Jesteśmy bardzo umiarkowanymi ludźmi. Uznamy to za przysługę i w zamian odwdzięczymy się tym samym. Wiemy, kto zabił Franconiego, i postanowiliśmy podzielić się z tobą tą wiedzą. Wiesz, pan Franconi nie był miłym facetem, więc został zastrzelony. I to cała historia. Ubijemy interes?

Laurie ponownie kiwnęła głową. Zerknęła na Angela, ale szybko uciekła wzrokiem.

- Zabójca nazywa się Vido Delbario - kontynuował Franco. - On też nie jest miłym facetem, chociaż likwidując Franconiego, wyświadczył światu przysługę. Pofatygowałem

się nawet i zapisałem ci nazwisko. - Pochylił się i
położył na stoliku karteczkę. - Tak więc
przysługa za przysługę.

Zamilkł i spojrzał wyczekująco na Laurie.

- Zrozumiałaś, co powiedziałem? - zapytał po
chwili milczenia.

Laurie skinęła trzeci raz.

- Sądzę, że nie prosimy o zbyt wiele. Mówiąc bez
osłonek, Franconi był gnojkiem. Zabił wielu
ludzi i zasłużył sobie na śmierć. Teraz, skoro
zostałaś ostrzeżona, okażesz dość rozsądku i
zrozumiesz, że w tak wielkim mieście jak to nie
ma sposobu zapewnić sobie ochrony, a obecny
tu Angelo marzy o tym, żeby wasze drogi się
skrzyżowały. Szczęśliwie dla ciebie nasz szef nie
ma ciężkiej ręki. Jasne?

Franco znowu zamilkł. Laurie poczuła się
zmuszona do odpowiedzi. Z trudnością udało jej
się wykrztusić, że rozumiała.

- Cudownie! - zawołał Franco. Uderzył dłońmi w
uda i wstał. - Kiedy usłyszałem, jak inteligentną i
rezolutną jest pani osobą, ucieszyłem się z
naszego spotkania oko w oko.

Franco wsunął broń do kabury pod marynarką i

włożył płaszcz.

- Chodź, Angelo - powiedział. - Jestem pewny, że pani doktor chciałaby wziąć prysznic i zjeść kolację. Na moje oko wygląda na bardzo zmęczoną.

Angelo wstał, ruszył w stronę Laurie i w tej chwili niespodziewanie skręcił kotu kark. Rozległ się chrzęst i łapy Toma bezwiednie opadły. Położył martwego kota na kolanach Laurie i wyszedł za Frankiem przez drzwi frontowe.

- Ach, nie! - szepnęła Laurie, przytulając swego sześciolatniego przyjaciela. Wiedziała, że jego kręgosłup został złamany. Wstała. Nogi miała jak z waty. Usłyszała dochodzący z klatki schodowej odgłos windy, która najpierw zatrzymała się, a po chwili ruszyła w dół.

W nagłym przyływie paniki pobiegła do drzwi frontowych i zamknęła je na wszystkie zamki.

Kota cały czas trzymała w rękach. Wtedy uświadomiła sobie, że napastnicy weszli tylnymi drzwiami, i rzuciła się do kuchni. Znalazła je szeroko otwarte, wyważone. Naparła na nie i zamknęła najlepiej, jak potrafiła.

Weszła do kuchni i drżącymi rękoma sięgnęła do telefonu. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić na policję, ale zawahała się, słysząc w duchu ostrzeżenie Franca o poważnych kłopotach, na jakie jest narażona. Przypomniała jej się także przerażająca twarz Angela i intensywność jego spojrzenia.

Zdając sobie sprawę, że jest w szoku, i walcząc z cisnącymi się do oczu łzami, odłożyła słuchawkę. Postanowiła zadzwonić do Jacka, ale wiedziała, że jeszcze nie będzie go w domu. Zamiast więc gdziekolwiek dzwonić w tym momencie, poszukała styropianowego pudełka, włożyła do niego kota i obłożyła kostkami lodu. Teraz dopiero poszła do łazienki, aby sprawdzić własne obrażenia.

Jazda rowerem z kostnicy do domu wcale nie okazała się takim dopustem bożym, jak Jack sądził. W rzeczywistości, kiedy tylko ruszył, natychmiast poczuł się lepiej niż czuł się przez cały dzień. Pozwolił sobie nawet na skrót przez Central Park. Po raz pierwszy od roku znalazł się w parku po zmroku. Chociaż czuł się nieco nieswój, podniecała go szybka jazda w ciemności

po krętych alejkach.

Przez większą część drogi rozmyślał o GenSys i Gwinei Równikowej. Ciekawiło go, jak w tej części Afryki jest naprawdę. Żartował, mówiąc Lou, że jest tam pełno robactwa, wilgotno i gorąco, ale do końca nie był pewny.

Myślami wracał też do Teda Lyncha. Był ciekaw, co też Ted zdoła odkryć następnego dnia. Zanim Jack opuścił kostnicę, zadzwonił do domu Teda i naszkicował mu nieprawdopodobny scenariusz z przeszczepem ksenogenicznym. Ted odpowiedział, że wydaje mu się, iż zdoła powiedzieć coś więcej po sprawdzeniu tej części DNA, która pozwoli określić białka rybosomalne. Wyjaśnił, że ten fragment DNA różni się znacznie u każdego z gatunków i dodał, że informacje pozwalające na identyfikację gatunków znaleźć można na CD-ROM-ie.

Skręcił w swoją ulicę z postanowieniem, że uda się do pobliskiej księgarni i poszuka, czy mają jakieś materiały na temat Gwinei Równikowej.

Kiedy jednak podjechał do boiska i zobaczył, że popołudniowe i wieczorne rozgrywki w kosza są w toku, zmienił decyzję. Doszedł do wniosku, że

w Nowym Jorku może uda się znaleźć
wygnańców z tego afrykańskiego kraju. Przecież
miasto przygarniało ludzi dosłownie z całego
świata.

Zatrzymał się przy furtce w ogrodzeniu boiska,
zsiadł z roweru i oparł go o siatkę. Nie założył
ani jednego zabezpieczenia, chociaż większość
ludzi mogłaby pomyśleć, że zostawianie roweru
wartego tysiąc dolarów jest ryzykowne.

Paradoksalnie boisko było jedynym miejscem w
całym Nowym Jorku, gdzie Jack czuł, że może
spokojnie zostawić rower bez dozoru.

Podszedł do bocznej linii boiska i skinął Spitowi
i Flashowi, którzy czekali wśród kibiców na
swoją kolejkę. Gra przenosiła się raz pod jeden,
raz pod drugi kosz. Jak zwykle na boisku
dominował Warren. Przed każdym z rzutów
mówił "dziura", co bardzo złościło
przeciwników, bo aż dziewięćdziesiąt procent
rzutów przelatywało przez ich kosz.

Kwadrans później wynik gry został przesądzony
kolejnym "dziurawym" rzutem Warrena i
pokonani zeszli z boiska. Warren dostrzegł
Jacka i zbliżył się do linii.

- Cześć, człowieku, wbiegasz, czy jak? - spytał

Warren.

- Zastanawiam się. Ale póki co, mam kilka pytań. Po pierwsze, co ty na to, żebyśmy ty, Natalie, Laurie i ja spotkali się w jakiejś knajpce w weekend?

- Może być. Wszystko, żeby tę moją małą uciszyć. Życ mi nie daje przez was.

- Po drugie, znasz jakiegoś brata z małego afrykańskiego kraju, który nazywa się Gwinea Równikowa?

- Człowieku, nigdy nie wiem, z czym ty znowu wyskoczysz. Niech pomyślę.

- Leży na zachodnim wybrzeżu Afryki. Pomiędzy Kamerunem a Gabonem.

- Wiem, gdzie to jest - przerwał zniecierpliwiony

Warren. - Prawdopodobnie odkryta przez

Portugalczyków i skolonizowana przez

Hiszpanów. Naprawdę odkryta znacznie

wcześniej przez czarnych ludzi.

- Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy -

przyznał Jack. - Ja nigdy nie słyszałem o tym

kraju.

- Nie dziwi mnie to - zauważył Warren. - Jestem

pewny, że nigdy nie wybrałeś żadnego kursu czarnej historii. Ale wracając do pytania, tak, znam paru ludzi stamtąd, a szczególnie jedną rodzinę. Nazywają się Ndeme. Mieszkają dwa budynki od ciebie w stronę parku.

Jack spojrział w kierunku domu i znowu na Warrena.

- Znasz ich dostatecznie dobrze, żeby mnie przedstawić? Poczulem nagle głębokie zainteresowanie Gwineą Równikową.

- Tak, pewnie. Ojciec nazywa się Esteban. Jest właścicielem sklepu "Mercado" na Columbus.

Tam jest jego syn, ten w pomarańczowych butach.

Wzrok Jacka powędrował za palcem wskazującym Warrena aż trafił na pomarańczowe trampki. W ich właścicielu rozpoznał chłopaka, który regularnie grywał w koszykówkę. Był cichym dzieciakiem i dobrym graczem.

- Dlaczego nie zejdiesz i nie zagrasz paru meczy? - spytał Warren. - Przedstawię cię potem Estebanowi. To miły gość.

- Zgoda - powiedział Jack. Jazda na rowerze

technęła w niego nowe życie i szukał jakiegoś
usprawiedliwienia dla rozegrania kilku meczy.

Wydarzenia dnia zmęczyły go psychicznie.

Wsiadł na rower. Podjechał szybko do domu,
ponieważ pilno mu było do gry, biegł po
schodach z rowerem na ramieniu. W mieszkaniu
bez zwłoki wpadł do sypialni i przebrał się w
strój sportowy.

Po pięciu minutach był gotowy. Kiedy znalazł się
przy drzwiach, zadzwonił telefon. Przez chwilę
rozważał, czy odebrać, ale pomyślał, że może to
Ted Lynch z jakimiś uwagami na temat DNA i
wrócił, aby podnieść słuchawkę. Dzwoniła
Laurie. Nie była sobą.

Jack wcisnął kilka banknotów w wąską szczelinę
w pleksiglasowej ochronie siedzenia kierowcy.
Było tego dość za kurs taksówki i jeszcze zostało
na sporą górkę. Stał przed domem Laurie. Nie
dalej jak godzinę temu żegnał się z nią w tym
samym miejscu. Ubrany w sportowy strój
wyskoczył z wozu, podbiegł do drzwi i nacisnął
przycisk domofonu. Laurie czekała na niego
przed windą.

- Mój Boże! - zawołał. - Twoja warga!

- Zagoi się - powiedziała ze stoickim spokojem.

W tym momencie dostrzegła oko Debry Engler w szparze uchylonych drzwi. Laurie podskoczyła do kobiety i wrzasnęła, żeby zajęła się swoimi sprawami. Drzwi natychmiast trzasnęły.

Jack objął Laurie, by ją uspokoić, i wprowadził do mieszkania.

- Dobra - powiedział, kiedy usiadła na kanapie. -
Opowiedz, co się stało.

- Zabili Toma - zaszlochała. Po pierwszym szoku rozplakała się z powodu śmierci ulubieńca, ale łzy wyschły, zanim Jack zadał pytanie.

- Kto?

Odczekała, aż zaczęła panować nad swoimi emocjami.

- Było ich dwóch, ale znam tylko jednego. To ten mnie uderzył i zabił Toma. Ma na imię Angelo.

To on śni mi się we wszystkich koszmarach.

Miałam z nim okropną przeprawę w sprawie Cerina. Sądziłam, że nadal siedzi w więzieniu.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak i dlaczego wyszedł. Wygląda okropnie. Twarz ma strasznie zniekształconą przez oparzenia i jestem pewna, że mnie za to wini.

- Więc to była wizyta z zemsty - uznał Jack.

- Nie - zaprzeczyła. - To było ostrzeżenie dla mnie. Mam zostawić w spokoju sprawę Franconiego.

- Nie wierzę. Przecież to ja węszę w tej sprawie, nie ty.

- Ostrzegałeś mnie. Najwidoczniej zirytowałam pewnych ludzi, próbując wyjaśnić, jak zniknęło z kostnicy ciało Franconiego. Domyślam się, że to moja wizyta w Domu Pogrzebowym Spoleto ostatecznie ich rozzłościła.

- Nie cieszy mnie uznanie za moje przewidywania. Mówiąc to, myślałem, że popadniesz w kłopoty z powodu Bingham, nie gangsterów.

- Angelo przystroił swoje ostrzeżenie w piórka wzajemnie wyświadczonej sobie przysługi. Za moje posłuszeństwo zdradzili nazwisko zabójcy Franconiego. Nawet je napisali. - Laurie podniosła karteczkę ze stolika i podała ją Jackowi.

- Vido Delbario - przeczytał na głos. Popatrzył na pobitą twarz Laurie. Nos i warga spuchły. Miała też siniec pod okiem. - Ten przypadek był

szalony od samego początku, teraz zupełnie
wymyka się z rąk. Lepiej opowiedz mi wszystko
dokładnie.

Opowiedziała z detalami wszystko od chwili
przekroczenia progu aż do momentu, kiedy
zadzwoiła do Jacka. Powiedziała nawet,
dlaczego zrezygnowała z zawiadomienia policji.
Skinął głową.

- Rozumiem. Lokalny komisariat niewiele będzie
mógł w tej chwili zrobić.

- Co mam począć? - spytała, choć nie oczekiwała
odpowiedzi. Było to raczej pytanie retoryczne.

- Pozwól, że spojrzę na tylne drzwi -
zapropozował Jack.

Laurie poprowadziła go przez kuchnię do
pomieszczenia gospodarczego.

- Cholera! - zawołał, widząc wyłamane zamki. -

Coś ci powiem, nie powinnaś dzisiaj spać w
domu.

- Myślałam już, żeby pójść do rodziców.

- Pojedziesz ze mną. Prześpię się na kanapie.

Laurie spojrzała Jackowi głęboko w oczy. Nie
potrafiła w nich odczytać, czy w nieoczekiwanym
zaproszeniu było coś więcej niż troska o jej

bezpieczeństwo.

- Spakuj swoje drobiazgi - polecił Jack. -

Przygotuj się na kilka dni. Trochę potrwa, zanim
uda się solidnie naprawić drzwi.

- Trudno mi do tego wracać, ale muszę coś
zrobić z biednym Tomem.

Jack podrapał się po głowie.

- Masz jakąś łopatkę?

- Mam motykę ogrodniczą. A o czym myślisz?

- Pochowamy go na podwórku.

- Jesteś sentymentalny, co?

- Wiem, co znaczy stracić tych, których się kocha

- odpowiedział. Głos mu się załamał.

Przypomniał mu się tamten telefon, informujący
o śmierci żony i córek w katastrofie lotniczej.

Laurie pakowała się, a Jack chodził w tę i z
powrotem po sypialni. Starał się skoncentrować
na bieżących sprawach.

- Musimy powiadomić o wszystkim Lou i podać
mu nazwisko Vida Delbaria - powiedział.

- Ja też o tym myślałam - odparła z garderoby. -

Sądysz, że powinniśmy to zrobić jeszcze dzisiaj?

- Raczej tak. Niech sam zdecyduje, jak i kiedy
będzie chciał to wykorzystać. Zadzwonimy ode

mnie. Masz jego numer domowy?

- Mam.

- Wiesz, ta historia niepokoi z wielu powodów, nie tylko dlatego, że zagrożone jest twoje bezpieczeństwo. Potwierdza moje obawy, że zorganizowany świat przestępczy wmieszał się jakoś w sprawy transplantacji organów. Może mamy do czynienia z jakimś czarnym rynkiem zabiegów operacyjnych.

Laurie wyszła z garderoby z torbą przewieszoną przez ramię.

- Ale jak można mówić o transplantacji, skoro Franconi nie dostawał środków immunosupresyjnych? No i nie zapominaj o dziwnych wynikach testów DNA, uzyskanych przez Teda Lyncha - powiedziała Laurie.

Jack westchnął.

- Masz rację. Wszystko razem nie trzyma się kupy.

- Może Lou odnajdzie w tym jakiś sens - zastanowiła się Laurie.

- Nie mogłoby być lepiej. Tymczasem wydarzenia czynią podróż do Afryki coraz bardziej sensowną.

Laurie szła do łazienki, lecz słysząc słowa Jacka, zatrzymała się.

- O czym ty znowu mówisz?

- Osobiście nie miałem żadnego kontaktu ze zorganizowaną przestępczością, ale zetknąłem się z gangiem ulicznym i jak sądzę, istnieje między nimi bolesne podobieństwo. Jeżeli któraś z tych band zaczęła rozmyślać o tym, żeby się ciebie pozbyć, to policja nie ochrom cię, chyba że roztoczą nad tobą całodobową opiekę. Problem w tym, że nie mają na to dość ludzi.

Może oboje powinniśmy wyjechać na jakiś czas z miasta. Może to pozwoli Lou uporządkować sprawy.

- Ja także miałabym pojechać? - spytała. Nagle pomysł wyjazdu do Afryki nabrał zupełnie innego wyrazu. Nigdy nie była w Afryce, więc podróż mogła okazać się interesująca. Właściwie mogła być nawet przyjemna.

- Uznamy to za wymuszone wakacje. Oczywiście Gwinea Równikowa nie jest wymarzonym celem, ale może to być coś... innego. No i może przy okazji uda nam się wyświetlić, co GenSys tam robi i dlaczego Franconi zdecydował się na tę

podróż.

- Hmm. Ten pomysł zaczyna mi się podobać.

Po spakowaniu rzeczy zabrali styropianowe pudełko z Tomem i poszli na podwórko na tyłach domu. W kącie ogrodu, gdzie było trochę wolnej ziemi, wykopali głęboki dół. Znaleźli zardzewiały szpadel, więc nie sprawiło im to większych kłopotów. Zakopali Toma.

- Niech mnie! - stęknął Jack, chwytając za torbę Laurie. - Coś ty tam włożyła?

- Kazałeś się spakować na kilka dni - odparła usprawiedliwiająco.

- Ale to nie znaczy, żeby zabierać kulę do gry w kręgle.

- To kosmetyki. Nie są w opakowaniach turystycznych.

Na Pierwszej Avenue złapali taksówkę. Po drodze zatrzymali się na Piątej Avenue przy księgarni. Jack poczekał w samochodzie, a Laurie poszła kupić jakieś materiały o Gwinei Równikowej. Niestety niczego nie mieli i musiała kupić przewodnik po całej Afryce Środkowej.

- Sprzedawca roześmiał się, kiedy poprosiłam o

książkę o Gwinei Równikowej - powiedziała, gdy wsiadła do auta.

- To tylko kolejne potwierdzenie, że nie jest to miejsce na wymarzone wakacje - stwierdził Jack.

Laurie też się uśmiechnęła i serdecznie uścisnęła przyjaciela za rękę.

- Jeszcze ci nie podziękowałam za to, że tak szybko przyjechałeś. Naprawdę doceniam to i czuję się już znacznie lepiej.

- Cieszę się.

Zanim znaleźli się w mieszkaniu, Jack musiał jeszcze pokonać schody, obciążony bagażem Laurie. Po serii ciężkich westchnień i jęków Laurie zapytała, czy chciałby może, aby sama wniosła torbę. Odparł, że właśnie wysłuchiwanie jego narzekań jest karą za zabranie tak wielu rzeczy.

Wreszcie dotarł do drzwi i postawił walizkę.

Wybrał właściwy klucz, włożył do zamka i przekręcił. Zasuwa odskoczyła, ale drzwi pozostały zamknięte.

- Hmmm - zastanowił się. - Nie pamiętam, żebym zamykał na dwa razy. - Przekręcił klucz jeszcze raz i pchnął otwarte już teraz drzwi. Było

ciemno, więc wszedł przed Laurie do pokoju, by zapalić światło. Ona szła tuż za nim i nagle wpadła na Jacka, bo ten niespodziewanie zatrzymał się w miejscu.

- No dalej, włącz je - odezwał się jakiś głos.

Jack zastosował się do polecenia. Sylwetki, które chwilę wcześniej zauważył, okazały się dwoma mężczyznami ubranymi w długie płaszcze.

Siedzieli na kanapie zwróceniem twarzami w stronę pokoju.

- O mój Boże! - zawołała Laurie. - To oni!

Franco i Angelo rozgościli się w mieszkaniu Jacka tak jak wcześniej u Laurie. Do połowy opróżnione butelki stały na stoliku, obok leżał pistolet z tłumikiem. Na środku pokoju stało krzesło przodem zwrócone do kanapy.

- Domyślam się, że pan doktor Stapleton - odezwał się Franco.

Jack potwierdził skinieniem, a jego umysł zaczął gwałtownie poszukiwać sposobu wyjścia z sytuacji. Wiedział, że drzwi wejściowe za nim są nadal otwarte. Zwymyślał sobie w duchu, że nie nabrał podejrzeń, otwierając drzwi. Problem w tym, że wybiegł tak szybko z domu, iż nie był

pewny, jak zamknął mieszkanie.

- Nie rób nic głupiego - poradził Franco, jakby czytał w myślach Jacka. - Nie zostaniemy długo.

Gdybyśmy wiedzieli, że zastaniemy tu doktor Montgomery, oszczędzilibyśmy sobie drogi do jej mieszkania, nie mówiąc już o powtarzaniu po raz drugi tej samej wiadomości.

- Czego się, ludzie, tak przerażiliście, że przychodzicie i straszycie nas? - zapytał Jack.

Franco uśmiechnął się i spojrzał na Angela.

- Słyszałeś tego faceta? Wydaje mu się, że zawracaliśmy sobie głowę, żeby tu przyjść i odpowiadać na jego pytania.

- Brak szacunku - skomentował Angelo.

- Doktorku, może by tak jeszcze jedno krzeselko dla pani zaproponował Franco. - Porozmawiamy wtedy troszeczkę i będziemy mogli się pożegnać.

Jack nie ruszył się. Patrząc na pistolet na stoliku, zastanawiał się, który z mężczyzn ma broń przy sobie. Spróbował ocenić ich siłę. Obaj byli raczej szczupli. Nie imponowali posturami.

- Przepraszam, doktorze - zawołał Franco. - Jest pan tu, czy co?

Zanim Jack zdołał odpowiedzieć, za nim coś się

nagle poruszyło i ktoś zdecydowanym ruchem

odepchnął go na bok. Przybysz krzyknął:

- Nikt się nie rusza!

Jack szybko wrócił do siebie po chwilowej

stracie orientacji i zauważył, że do pokoju

wpadło trzech czarnych mężczyzn, wszyscy

uzbrojeni w broń automatyczną. Lufy

wycelowane we Franca i Angela nawet nie

drgnęły. Cała trójka ubrana była w koszykarskie

stroje i Jack błyskawicznie ich rozpoznał. W

pokoju stali Flash, David i Spit. Wszyscy dopiero

co przerwali grę i pot ściekał im po czołach.

Franco i Angelo byli kompletnie zbici z tropu.

Siedzieli z szeroko otwartymi oczami. Zwykle

znajdowali się raczej po drugiej stronie

wymierzonej broni i wiedzieli, że nie należy się

ruszać.

Przez chwilę panowała zupełna cisza. Do pokoju

wszedł Warren.

- Człowieku, trzymanie cię przy życiu staje się

pełnoetatową robotą, wiesz, o czym mówię? -

zagaił nowy gość. - No i muszę powiedzieć, że

wkurzasz sąsiadów, sprowadzając tu te białe

śmieci.

Warren wziął z ręki Spita broń i kazał mu przeszukać obcych. Spit bez słowa rozbroił Angela z automatycznego waltera. Obmacawszy Franca, zabrał pistolet ze stolika.

Jack głośno i z ulgą odetchnął.

- Warren, chłopie, nie wiem, jak ci się udało wejść w najbardziej odpowiednim dla mnie momencie, ale to warte uznania - odezwał się Jack.

- Te szumowiny już wcześniej tu przyjechały i obejrzały teren - wyjaśnił Warren. - Zupełnie jakby myśleli, że są niewidzialni pomimo drogich ciuchów i tego wielkiego, czarnego, błyszczącego cadillaca. To jakieś cholerne żarty.

Jack aż zatarł ręce z wrażenia, widząc nagłą zmianę sytuacji. Zapytał Franca i Angela o nazwiska, ale w odpowiedzi dostał tylko zimne spojrzenia.

- Ten to Angelo Facciolo - wskazała Laurie z wyraźnym gniewem w tonie.

- Spit, weź im dokumenty - polecił Warren.

Spit wykonał polecenie i przeczytał nazwiska oraz adresy.

- Uff. A to co? - zapytał, gdy otworzył portfel w

miejscu, w którym schowana była odznaka

policyjna z posterunku w Ozone Park. Podniósł

tak, żeby Warren mógł zobaczyć.

- To nie są policjanci - stwierdził, machając z lekceważeniem ręką. - Nie ma się czego obawiać.

- Laurie - odezwał się Jack. - Myślę, że to najwyższa pora, aby zadzwonić do Lou.

Podejrzewam, że z wielką ochotą porozmawia sobie z tymi dżentelmenami. I powiedz mu, żeby zabrał ze sobą furgonetkę, na wypadek gdyby chciał zaoferować panom noc na rachunek miasta.

Laurie zniknęła w kuchni.

Jack podszedł do Angela i stanął nad nim.

- Wstawaj - powiedział.

Angelo wstał i patrzył bezczelnie na Jacka. Ku zaskoczeniu wszystkich, łącznie z Angelem, Jack z całej siły zdzielił go w twarz. Rozległ się jęk i Angelo poleciał do tyłu, przekoziółkował przez oparcie kanapy i upadł ciężko na podłogę.

Jack wykrzywił się, zaklął i złapał za rękę, ale zaraz potrząsnął nią z bólu i zawołał:

- Jezu! Nigdy jeszcze nikogo tak nie walnąłem.

To boli!

- Powstrzymaj się - ostrzegł go Warren. - Nie lubię bicia tego psiego łajna. To nie w moim stylu.

- Już zrobiłem swoje - powiedział Jack i usiadł, ciągle potrząsając dłonią. - Ale widzisz, to psie łajno leżące za kanapą uderzyło dzisiaj Laurie po tym, jak włamało się do jej mieszkania. Jestem pewny, że zauważyłeś jej twarz.

Angelo pozbierał się i usiadł. Nos miał rozbity.

Jack zaprosił go gestem na kanapę. Angelo ruszał się powoli. Dłonią zakrył nos, jakby chciał zebrać w dłoń kapiącą krew.

- No a teraz, zanim przyjedzie policja, chciałbym was jeszcze raz zapytać, czego się tak wystraszyliście. Co Laurie i ja możemy odkryć? O co chodzi w tej bezsensownej sprawie Franconiego?

Franco i Angelo patrzyli na Jacka jak na powietrze. Jack zapytał jeszcze, co im wiadomo o wątrobie Franconiego, ale milczeli jak kamienie.

Laurie wróciła z kuchni.

- Złapałam Lou. Już jedzie. Muszę powiedzieć, że jest podniecony, szczególnie tą wiadomością o

Delbariu.

Godzinę później Jack siedział wygodnie usadowiony w fotelu w mieszkaniu Estebana

Ndeme. Byli z nim Laurie i Warren.

- Pewnie, chętnie wypiję jeszcze jedno piwo -

odpowiedział na propozycję Estebana. Jack czuł w głowie przyjemny szum po pierwszym piwie i narastającą euforię, że wieczór, który zaczął się tak źle, ma tak nieoczekiwanie pomyślne zakończenie.

Lou zjawił się u Jacka z kilkoma policjantami mundurowymi w niecałe dwadzieścia minut po telefonie Laurie. Nie posiadał się z radości, gdy okazało się, że może zatrzymać Angela i Franca za włamanie, nielegalne posiadanie broni, naruszenie nietykalności osobistej, wymuszenie i podawanie się za oficera policji. Miał nadzieję, że zdoła ich przytrzymać dostatecznie długo, aby wyciągnąć cenne informacje o zorganizowanym świecie przestępczym w Nowym Jorku, a szczególnie o organizacji rodziny Lucia.

Lou był zaniepokojony ostrzeżeniami, jakie otrzymali Laurie i Jack, więc kiedy Jack stwierdził, że oboje mają zamiar wyjechać z

miasta na tydzień lub dwa, całym sercem poparł pomysł. Postanowił jednocześnie, że do wyjazdu załatwi im ochronę, a oni, aby ułatwić policji zadanie, zdecydowali się pozostać przez ten czas razem.

Na naleganie Jacka, Warren zabrał jego i Laurie do "Mercado Market", aby spotkać się z Estebanem Ndeme. Tak jak Warren utrzymywał, Esteban był człowiekiem przyjaznym i gościnnym. Był mniej więcej w wieku Jacka, miał więc około czterdziestu dwu lat, jednak z budowy ciała stanowił jego przeciwieństwo. Jack był krępy, Esteban smukły. Nawet rysy twarzy wydawały się delikatne. Skóra miała kolor głębokiego brązu, była o wiele ciemniejsza od skóry Warrena. Ale najbardziej rzucającą się w oczy cechą fizyczną Estebana było wysoko sklepione czoło. Lekko wyłysiał nad czołem, więc linia włosów ciągnęła się od ucha do ucha niemal przez czubek głowy.

Gdy tylko dowiedział się, że Jack planuje podróż do Gwinei Równikowej, natychmiast zaprosił całą trójkę do mieszkania.

Teodora Ndeme bardzo przypominała swego

męża. Ledwie znaleźli się w mieszkaniu, a już zaprosiła wszystkich na kolację.

Wobec aromatycznych zapachów płynących z kuchni, Jack rozsiadł się ukontentowany z drugim piwem.

- Co sprowadziło państwa do Nowego Jorku? - zapytał Estebana.

- Musieliśmy opuścić nasz kraj - odparł gospodarz. Zaczął opisywać rządy terroru bezlitosnego dyktatora Nguemy, który zmusił jedną trzecią ludności, wliczając w to wszystkich spadkobierców kolonistów hiszpańskich, do opuszczenia państwa. - Pięćdziesiąt tysięcy ludzi zostało zamordowanych. To było straszne.

Byliśmy szczęściarzami, że udało nam się wyjechać. Pracowałem jako nauczyciel hiszpańskiego i z tego powodu byłem podejrzany.

- Mam nadzieję, że sprawy uległy zmianie - powiedział Jack.

- Och, tak - odparł Esteban. - Zamach z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku wiele zmienił. Ale to nadal biedny kraj, chociaż zaczęto coś mówić o wydobyciu ropy z dna

oceanu u wybrzeży kraju, kiedy odkryto jej złoża w Gabonie. Gabon jest teraz najbogatszym państwem regionu.

- Myślał pan o powrocie? - spytał Jack.

- Wiele razy. Ostatnio kilka lat temu. Teodora i ja nadal mamy tam krewnych. Jej brat ma nawet na stałym lądzie, w Bata, to większe miasto, mały hotel.

- Słyszałem o Bata. Rozumiem, że jest tam również lotnisko.

- Jedyne na stałym lądzie. Zbudowali je w latach osiemdziesiątych z okazji Kongresu Afryki Środkowej. Oczywiście, Gwinea Równikowa nie mogła sobie na to pozwolić, ale to już inna historia.

- Słyszał pan o kompanii GenSys? - zapytał Jack.

- Bardzo dobrze - stwierdził Esteban. - To główne źródło waluty wymienialnej dla rządu, szczególnie po tym jak spadły ceny na kakao i kawę.

- Tak, słyszałem. Słyszałem także, że GenSys prowadzi małpią farmę. Czy ona mieści się może w Bata?

- Nie, to jest na południu. Zbudowali ją w samej

dżungli, w pobliżu starego hiszpańskiego miasta

Cogo. Odbudowali większą część miasta dla swoich ludzi z Ameryki i Europy, a dla tubylców, którzy dla nich pracują, zbudowali całkiem nowe miasteczko. Zatrudniają wielu Gwinejczyków.

- Wie pan, czy GenSys zbudowało też szpital?

- Tak. W starym mieście. Szpital i laboratorium.

Naprzeciwko ratusza.

- Skąd pan tyle o tym wie?

- Bo pracował tam mój kuzyn. Ale zrezygnował,

kiedy żołnierze zabili jego przyjaciela za

polowanie. Wielu ludzi lubi GenSys, bo dobrze

płacą, ale inni ich nie lubią, bo mają zbyt wiele

wspólnego z rządem. Mają tam władzę.

- Dzięki pieniądзом - stwierdził Jack.

- Tak, oczywiście - zgodził się Esteban. - Płacą

ministrom wielkie pieniądze. Utrzymują nawet

część armii.

- To bardzo wygodne - skomentowała Laurie.

- Gdybyśmy polecili do Bata, czy moglibyśmy

odwiedzić też Cogo? - spytał Jack.

- Tak sądzę. Dwadzieścia pięć lat temu

Hiszpanie opuścili kraj i droga do Cogo zarosła,

stała się nieprzejezdna. Ale GenSys odbudowało

ją, tak że w tę i z powrotem mogą jeździć

ciężarówki. Może pan wynająć samochód.

- Czy to możliwe?

- W Gwinei Równikowej wszystko jest możliwe,

jeżeli ma pan pieniądze. Kiedy planuje pan

podróż? No bo najlepiej jechać w porze suchej.

- A kiedy to jest?

- Luty i marzec.

- To się dobrze składa, bo Laurie i ja planujemy

wyruszyć jutro wieczorem.

- Co? - Warren odezwał się pierwszy raz, odkąd

znaleźli się w mieszkaniu Estebana. Nie był

wtajemniczony w całą sprawę. - Myślałem, że w

ten weekend Natalie i ja mamy się z wami

spotkać? Już uprzedziłem Natalie.

- Oj - stęknął Jack. - Zapomniałem o tym.

- Człowieku, musisz poczekać do sobotniego

wieczoru, inaczej będę miał wielki problem,

wiesz, o czym mówię. Już ci mówiłem, jak mi

truła, żeby się z wami zobaczyć.

Jack był w tak doskonałym nastroju, że przyszło

mu do głowy inne rozwiązanie.

- Mam lepszy pomysł. Dlaczego ty i Natalie nie

moglibyście polecieć z nami do Gwinei

Równikowej? My zapraszamy.

Laurie zamrugała. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Człowieku, o czym ty mówisz? - zapytał

Warren. - Postradałeś resztki tego swojego pokręconego rozumu. Mówimy o Afryce.

- Tak, Afryka - powtórzył Jack. - Skoro Laurie i ja musimy jechać, moglibyśmy uczynić tę wyprawę tak przyjemną, jak tylko się da. A właściwie, panie Esteban, może pan z małżonką również pojechalibyście z nami? Zrobimy sobie wycieczkę.

- Mówi pan poważnie? - zapytał Esteban.

Twarz Laurie wyrażała zupełne niedowierzenie.

- Pewnie, że mówię poważnie - zapewnił Jack. -

Najlepiej odwiedzić nieznany kraj z kimś, kto kiedyś tam mieszkał. Przecież to nie tajemnica.

Ale powiedzcie mi, czy wszyscy będziemy potrzebowali wiz?

- Tak, ale ambasada Gwinei Równikowej

znajduje się tutaj, w Nowym Jorku -

poinformował Esteban. - Dwa zdjęcia,

dwadzieścia pięć dolarów i informacja z banku,

że nie jest się biedakiem, wystarczą, by otrzymać

wizę.

- Jak można się dostać do Gwinei Równikowej?

- Do Bata najłatwiej przez Paryż. Z Paryża

kursuje codziennie samolot do Douala w

Kamerunie. Z Douala zaś jest codzienne

połączenie z Bata. Można też lecieć przez

Madryt, ale z Hiszpanii są tylko dwa loty w

tygodniu, do Malabo na wyspie Bioko.

- Wygląda więc na to, że Paryż wygrał -

rozstrzygnął Jack.

- Teodora! - Esteban zawołał żonę z kuchni. -

Lepiej, żebyś tu przyszła.

- Jesteś szalonym człowiekiem - powiedział

Warren do Jacka. - Wiedziałem o tym od

pierwszego dnia, kiedy zobaczyłem cię na

boisku. Ale coś ci powiem, zaczyna mi się to

podobać.

ROZDZIAŁ 17

7 marca 1997 roku

godzina 6.15

Cogo, Gwinea Równikowa

Budzik Kevina zadzwonił o szóstej rano. Na

dworze było jeszcze ciemno. Wychodząc spod

moskitiery, włączył światło, żeby znaleźć szlafrok

i pantofle. Suchość w ustach i lekki, pulsujący ból głowy przypomniały o winie z poprzedniego wieczoru. Drżącą ręką wziął ze stolika przy łóżku szklankę z wodą i sporo wypił. Tak pocrzepiony wstał i na trzęsących się nogach poszedł zapukać do drzwi gościnnych pokoi.

Poprzedniego wieczoru zdecydowali w trójkę, że obie panie zostaną u Kevina na noc. Było tu mnóstwo pokoi, uznali więc, że o wiele szybciej zbiorą się do wyjazdu z jednego miejsca, a poza tym zapewne wzbudzą mniej zainteresowania.

W efekcie, około dwudziestej trzeciej, wśród śmiechów i żartów Kevin zawiózł kobiety do ich mieszkań, aby zabrały niezbędne na noc drobiazgi, zmianę ubrania i prowiant zakupiony w kantynie.

Kiedy się pakowały, Kevin pojechał szybko do laboratorium po urządzenia do lokalizacji bonobo, latarki i mapę topograficzną wyspy.

Do każdego pokoju Kevin pukał dwukrotnie.

Pierwszy raz lekko, delikatnie, a kiedy nie było odpowiedzi, bardziej zdecydowanie, głośniej, aż usłyszał odpowiedź. Wyczuł, że panie cierpią na kaca. W kuchni zjawiły się znacznie później, niż

planowali. Obie usiadły i bez słowa wypily po filiżance mocnej kawy.

Po śniadaniu odzyskali chęć do życia. Właściwie po wyjściu z domu poczuli się wyraźnie ożywieni i rozbawieni, jakby wyruszali na majówkę.

Pogoda była tak dobra, jak tylko mogła być w tej części świata. Nadchodził świt i nad głowami wylaniało się czyste różowo-srebrzyste niebo. Na południu skrajem ciągnęły małe, pufiaste obłoczki. Nad zachodnim horyzontem gromadziły się jednak złowieszczo wyglądające purpurowe chmury burzowe, choć znajdowały się ciągle nad oceanem i najpewniej miały tam zostać przez cały dzień.

Kiedy szli w stronę brzegu, oczarował ich koncert budzących się ptaków. Śpiewały i skrzeczały błękitne turaki, papugi, tkacze, afrykańskie rybołowy i kosy. Powietrze wypełniło się ich barwami i głosami.

Miasto zdawało się wyludnione. Nie było pieszych ani samochodów, a domy ciągle były pozamykane jak na noc. Jediną osobą, którą dostrzegli, był tubylec zamiatający podłogę w "Chickee Hut Bar".

Wyszli na zbudowane przez GenSys molo. Było szerokie na ponad sześć metrów i wysokie na prawie dwa metry. Grubo ciosane deski były jeszcze wilgotne od rosy. Na końcu mola znajdował się drewniany trap, po którym schodziło się na pokład do cumowania łodzi. Pokład wydawał się jakoś tajemniczo zawieszony. Powierzchnia idealnie gładkiej wody zasnuta była mgiełką, która ciągnęła się jak okiem sięgnąć.

Tak jak dziewczyny obiecały, na wodzie czekała przymocowana do przystani długa łódź motorowa. Dawno temu pomalowano ją na czerwono z podłużnym, białym pasem, ale farba już wyblakła, a częściowo oblaźła. W trzech czwartych długości nad pokładem wznosił się dwustronnie spadzisty trzcinowy daszek na drewnianych palikach. W tak skonstruowanym szałasie, zainstalowano ławki wzdłuż burt. Staromodny silnik przyczepiony był do rufy od zewnątrz. Do łodzi było przymocowane linką jeszcze mniejsze czółno z czterema wąskimi ławeczkami osadzonymi między burtami.

- Nieźle, co? - zapytała Melanie, łapiąc za cumę i

przyciągając łódź do mola.

- Jest większa, niż sądziłem - przyznał Kevin. -

Jeżeli silnik wytrzyma, powinno być w porządku. Nie uśmiecha mi się wiosłować taki kawał drogi.

- W najgorszym razie zawrócimy - odparła nieustraszona Melanie. - Ruszamy zresztą w górę rzeki.

Załadowali na pokład sprzęt i prowiant. Melanie została na razie na przystani, a Kevin przeszedł na rufę łodzi i przyjrzał się silnikowi. Opisany był po angielsku. Otworzył przepustnicę i pociągnął za linkę urządzenia rozruchowego. Ku jego wielkiemu zdziwieniu silnik natychmiast zaskoczył. Kevin skinął na Melanie, żeby wsiadła, spuścił śrubę do wody i odbili od brzegu.

Kiedy odpływali od przystani, wszyscy spoglądali w stronę Cogo, żeby się zorientować, czy ktokolwiek zauważył ich wyjazd. Jednak mężczyzna sprzątający w barze, jedyna spotkana przez nich osoba, nie zwrócił uwagi na trójkę turystów.

Jak zaplanowali, ruszyli na zachód, sugerując

podróż do Acalayong. Kevin otworzył przepustnicę do połowy, uznając tę prędkość za przyjemną. Łódź była duża i ciężka, a mimo to miała małe zanurzenie. Popatrzył na łódkę na linie. Płynęła spokojnie za nimi.

Hałas silnika uniemożliwiał swobodną rozmowę, więc kontentowali się pięknem okolicy. Słońce jeszcze całkiem nie wzeszło, lecz niebo było jaśniejsze, a cumulusy na wschodzie, nad Gabonem, połyskiwały złotem. Po prawej stronie linia brzegowa Gwinei Równikowej rysowała się niczym solidna ściana zieleni zanurzonej wprost w wodzie. Po rozległym ujściu rzeki rozsiane były inne łodzie. Jak duchy bezszelestnie przemykały po wodzie nadal otulonej mgiełką. Kiedy Cogo zniknęło za burtą, Melanie klepnęła Kevina w ramię. Spojrzał w jej stronę, a ona natychmiast wykonała szeroki gest ręką. Kevin skinął i skierował łódź na południe.

Po dziesięciu minutach zaczął powoli skręcać na wschód. Znajdowali się co najmniej o milę od brzegów Cogo, więc trudno było rozróżnić pojedyncze budynki.

Wreszcie nad horyzontem pojawiła się potężna,

czerwonożłota kula. W pierwszej chwili mgła była tak gęsta, że spoglądając prosto w słońce, nie trzeba było chronić oczu. Jednak mgły zaczęły błyskawicznie parować i w tej samej chwili promienie słoneczne stały się bardziej intensywne. Melanie pierwsza założyła okulary przeciwsłoneczne, ale Candace i Kevin niezwłocznie poszli w jej ślady. Po paru minutach zaczęli zdejmować z siebie kolejne warstwy odzieży, włożone dla ochrony przed chłodem poranka.

Po lewej stronie ciąg wysp dochodził aż do wybrzeża Gwinei Równikowej. Kevin zaczął skręcać na północ, zamykając w ten sposób szeroko zakreślone koło wokół Cogo. Teraz przekręcił ster i zaczęli płynąć dokładnie w kierunku Isla Francesca, która połyskiwała w dali.

Gdy tylko ciepło słoneczne rozproszyło mgłę, pojawiła się miła bryza od wody, a gładka do tej pory tafla zmarszczyła się drobnymi falami.

Płynąca pod wiatr łódź zaczęła podskakiwać na pieniających się grzebieniach, od czasu do czasu sprawiając prysznic pasażerom.

Isla Francesca wyglądała inaczej niż jej siostrzane wyspy, a im bliżej podpływali, tym bardziej stawało się to widoczne. Poza tym, że była większa, wapienne wypiętrzenie nadawało jej bardziej solidny wygląd. Wokół szczytów zgromadziły się nawet przypominające chmury opary podnoszącej się mgły.

Po godzinie i kwadransie od wypłynięcia z przystani w Cogo Kevin przymknął przepustnicę silnika i łódź zwolniła. Około trzydziestu metrów przed nimi zielenił się gęsto porośnięty roślinnością południowo-zachodni cypel Isla Francesca.

- Z tego miejsca wygląda na niedostępny skrawek lądu! - Melanie przekrzykiwała warkot motoru.

Kevin przytaknął. Wyspa nie wyglądała zachęcająco. Nie dostrzegli nawet skrawka plaży.

Całe wybrzeże było gęsto porośnięte lasem mangrowe.

- Musimy znaleźć ujście Rio Diviso! - krzyknął

Kevin. Zbliżywszy się do zarośli na odległość,

którą uznał za rozsądną, przekręcił ster i

skierował łódź wzdłuż zachodniego wybrzeża. Na

osłoniętych od wiatru wodach fale zniknęły.

Kevin wstał w nadziei wypatrzenia podwodnych przeszkód, lecz woda miała kolor mętnego mułu.

- A może tam, gdzie rośnie to sitowie?! -

zawołała Candace. Wskazała w stronę

bagiennego fragmentu wybrzeża, który wyłonił się zza zakrętu.

Kevin skinął głową i jeszcze bardziej zwolnił, kierując łódź w stronę dwumetrowej trzciny.

- Widać jakieś przeszkody pod wodą?! - zawołał do Candace.

Pokręciła głową i odpowiedziała:

- Woda jest zbyt mulista.

Ustawił ster tak, że znowu płynęli równolegle do linii brzegu. Trzcina była gęsta, a bagna wdzierały się w głąb wyspy na dobre trzydzieści metrów.

- To musi być ujście rzeki - zdecydował Kevin. -

Mam nadzieję, że znajdziemy jakiś kanał wodny albo okaże się, że nie mamy szczęścia. Przez takie sitowie nie przepchniemy małej łódki, nie ma mowy.

Dziesięć minut później, nie znajdując przerwy w gęstych trzcinach, obrócili łódź. Kevin wykonał

ostrożnie manewr, aby nie zerwać linki

utrzymującej małą łódkę.

- Nie chcę płynąć dalej w tym kierunku -

powiedział. - Bagno staje się coraz węższe. Zdaje

się, że nie znajdziemy kanału. Poza tym boję się

podpływać zbyt blisko do mostu.

- Zgadzam się - powiedziała Melanie. - Może

popłyniemy na drugi koniec wyspy, gdzie Rio

Diviso ma swoje źródło?

- O tym samym myślałem.

Melanie podniosła rękę otwartą dłońią w stronę

Kevina.

- Co to ma być? - zapytał.

- Przybij piątkę, głuptasie.

Kevin klepnął dłoń Melanie i roześmiał się.

Zawrócili wokół wyspy drogą, którą już raz

przebyli, i popłynęli ku wschodnim brzegom.

Kevin przyspieszył. Ta przejażdżka ukazała im

wyspę od południowej strony wzniesienia. Z tego

miejsca nie dostrzegli w ogóle wapiennego

grzbietu. Wyspa wyglądała jak niczym nie

skalana góra porośnięta dziewiczą dżunglą.

- Widzę jedynie ptaki! - krzyknęła Melanie

ponad warkotem silnika.

Kevin przytaknął. On też dostrzegł wiele ibisów i dzierzb.

Słońce wzeszło tak wysoko, że słomiany daszek na łodzi stał się wielce użyteczny. Wszyscy stłoczyli się na rufie, korzystając z cienia.

Candace posmarowała się nawet kremem z filtrem ochronnym, który Kevin znalazł w apteczce.

- Myślisz, że bonobo z wyspy są tak samo płochliwe jak w naturze? - zapytał Melanie.

Kevin wzruszył ramionami.

- Chciałbym to wiedzieć. Jeżeli tak, to możemy mieć trudności, żeby je obejrzeć, i cały wysiłek pójdzie na marne.

- Miały niewielki kontakt z ludźmi, dopóki nie znalazły się w centrum weterynaryjnym - powiedziała Melanie. - Jeżeli nie będziemy się za bardzo zbliżać, to mamy chyba dużą szansę.

- Czy w naturze bonobo są płochliwe? - spytała Candace.

- Bardzo. Tak jak szympany albo i bardziej.

Szympany nie narażone na kontakty z ludźmi bardzo trudno spotkać w naturalnym środowisku. Są niezwykle płochliwe, a ich

zmysły słuchu i węchu tak dalece prześcigają
nasze, że ludzie nie są w stanie podejść
dostatecznie blisko.

- Czy w Afryce zostały jeszcze naprawdę dzikie
ostępy? - spytała Candace.

- Och, mój Boże, oczywiście! Nie licząc
nadmorskiej części Gwinei Równikowej i
fragmentów na zachód i północny zachód, reszta
to olbrzymie obszary niezbadanych lasów
tropikalnych. Mówimy o milionach kilometrów
kwadratowych.

- I jak długo to jeszcze potrwa? - pytała dalej
Candace.

- To zupełnie inna historia.

- Możesz mi podać coś chłodnego do picia? -
poprosił Kevin.

- Już daję - odpowiedziała Candace i sięgnęła po
styropianowe pudło.

Dwadzieścia minut później Kevin znowu
zredukował obroty silnika. Skręcił na północ
wzdłuż wschodniego wybrzeża Isla Francesca.

Słońce wisiało wysoko i zrobiło się znacznie
cieplej. Candace odstawiła pudełko pod ławkę,
żeby pozostało w cieniu.

- Znowu trafiliśmy na bagna - zauważyła.

- Widzę - odparł Kevin.

Skierował łódź blisko brzegu. Jeśli chodzi o rozmiary, tutejsze bagna były podobne do tych z zachodniego krańca wyspy. Tu dżungla także cofnęła się w głąb lądu o mniej więcej trzydzieści metrów od brzegu.

Kiedy Kevin już miał zamiar powiedzieć, że znowu źle wybrali, w gęstwinie sitowia pojawiło się przejście. Kevin skierował łódź w jego stronę, znacznie przy tym zwalniając. Dziesięć metrów od brzegu wyłączył motor.

Gdy silnik zamilkł, ogarnęła ich zupełna cisza.

- Boże, aż mi dzwoni w uszach - poskarżyła się Melanie.

- Czy to wygląda na przesmyk? - Kevin spytał Candace, która znowu przeszła na dziób łodzi.

- Trudno powiedzieć.

Kevin wyciągnął śrubę z wody. Nie chciał, żeby wkręciły się w nią jakieś podwodne rośliny.

Łódź wpłynęła między trzciny. Dno otarło się o pień i stanęli. Kevin wyciągnął rękę, żeby zatrzymać płynącą ku rufie małą łódkę i nie dopuścić do zderzenia.

- Wygląda na wodny szlak ciągnący zakolami w stronę wyspy - stwierdziła Candace. Stała na burcie, przytrzymując się dachu szałasu, widziała więc ponad sitowiem.

Kevin odłamał kawałek trzciny i rzucił na wodę.

Obserwował. Płynęła wolno, ale i niezmiennie w kierunku, w którym zmierzali.

- Zdaje się, że trafiliśmy na słaby prąd -

stwierdził Kevin. - Myślę, że to dobry znak.

Spróbujmy drugą łódką. - Ustawił ją równolegle do boku burty większej łodzi.

Z pewnymi trudnościami, jako że łódeczka nie

była stabilna, przesiedli się do niej wraz ze

sprzętem i jedzeniem. Kevin usiadł z tyłu, a

Candace z przodu. Melanie zajęła miejsce w

środku. Chybotliwa łódeczka zdenerwowała ją,

wolała więc usiąść na dnie.

Odpychając się od większej łodzi, trochę ciągnąc

za trzciny, a trochę wiosłując, ruszyli przed

siebie. Gdy znaleźli się w tym, co, jak mieli

nadzieję, jest nurtem, poruszanie stało się

znacznie łatwiejsze.

Kevin wiosłował na rufie, Candace na dziobie;

płynęli w tempie spacerowym. Wąski,

półtorametrowy przesmyk wił się zakolami przez bagna. Słońce świeciło chyba z całą swoją równikową mocą, chociaż była dopiero ósma rano. Paliło niemiłosiernie. Trzciny powstrzymywały bryzę, co tym bardziej podnosiło temperaturę.

- Nie ma zbyt wielu szlaków prowadzących przez wyspę - odezwała się Melanie, przypatrując się uważnie mapie topograficznej.

- Główny prowadzi z małpiej stołówki do Lago Hippo - stwierdził Kevin.

- Jest jeszcze kilka. Wszystkie odchodzą od Lago Hippo. Myślę, że wycięli te drogi dla łatwiejszego odłowu - dodała Melanie.

- Ja też tak podejrzewam - zgodził się.

Spoglądał w ciemną wodę. Widział kawałki roślin dryfujące w tę samą stronę, w którą płynęli. Znajdowali się na pewno w nurcie rzeki.

Odkrycie dodało Kevinowi animuszu.

- Włącz urządzenia do lokalizacji. Sprawdź, czy zwierzę numer sześćdziesiąt poruszyło się od czasu, kiedy ostatnio sprawdzaliśmy - poprosił Melanie.

Włączyła urządzenie i wybrała odpowiednią

opcję.

- Nie wydaje mi się, żeby się poruszył. -

Zredukowała skalę, tak aby była zbliżona do podziałki mapy topograficznej i zlokalizowała czerwony punkt. - Jest ciągle w tym samym miejscu na bagnach.

- Przynajmniej uda nam się rozwiązać tę zagadkę, jeśli nie odnajdziemy innych osobników - stwierdził Kevin.

Przed sobą mieli wysoką na trzydzieści metrów, zieloną ścianę dżungli. Kiedy minęli ostatni zakręt przesmyku wiodącego przez bagna, zobaczyli, że ginie wśród zieleni.

- Za chwilę wpłyniemy w cień - poinformowała Candace. - Powinno się zrobić trochę chłodniej.

- Nie licz na to - zaprzeczył Kevin.

Odpychając pnącza na boki, wpłynęli w wieczny mrok lasu. Wbrew oczekiwaniom Candace, znaleźli się w dusznym, gorącym powietrzu. Nie poruszał nim najslabszy choćby wietrzyk, wszystko ociekało wilgocią. Chociaż gęsta zasłona konarów, poskręcanych pnączy i mchów skutecznie odcinała dostęp promieniom słonecznym, równocześnie utrzymywała tu

ciepło, działając jak gruby koc. Niektóre liście osiągały średnicę trzydziestu centymetrów. Cała trójka była wręcz zszokowana ciemnością, jaka panowała w tym zielonym tunelu, dopóki ich oczy nie przywykły do mroku. Powoli wyłaniały się z niego szczegóły, ale sceneria przypominała czas tuż przed zachodem słońca. Natychmiast, gdy opadła za nimi pierwsza gałąź, zostali zaatakowani przez roje owadów: moskitów, bydlęcych bąków, pszczół trigona. Melanie jak szalona zaczęła szukać płynu przeciw owadom. Opryskawszy się, podała go przyjaciołom.

- Śmierdzi jak na gnijących moczarach -
narzekała Melanie.

- Jest przerażająco. Przed chwilą widziałam węża, a nienawidzę ich - przyłączyła się Candace.

- Dopóki siedzimy w łodzi, wszystko jest w porządku - uspokajał Kevin.

- Więc lepiej, żebyśmy się nie wywrócili -
ostrzegła Melanie.

- Nawet o tym nie myśl! - jęknęła Candace. -

Musicie pamiętać, że jestem tu nowa. Wy siedzicie tu od lat.

- Naprawdę powinniśmy się martwić o

krokodyle i hipopotamy. Kiedy zobaczycie
jakiegoś, dajcie natychmiast znać - przypomniał
Kevin.

- No, świetnie! No i co zrobimy, jak je
zobaczymy? - zareagowała nerwowo Candace.

- Nie zamierzałem cię straszyć. Myślę, że jeżeli
nie dopłyniemy do jeziora, nie spotkamy
żadnego.

- A jeżeli? - pytała Candace. - Może powinnam
była jednak zapytać o niebezpieczeństwa
czyhające na tej wyprawie, zanim wyruszyliśmy.

- Nie będą nas niepokoić. Przynajmniej tak mi
opowiadano. Dopóki są w wodzie, musimy
jedynie zachować odpowiedni dystans. Gdy
wychodzą na ląd, mogą stać się w
nieprzewidywalny sposób agresywne, a zarówno
krokodyle, jak i hipopotamy biegają szybciej, niż
potrafimy sobie wyobrazić.

- Nagle nasza wycieczka przestała mi się
pодоbać - stwierdziła Candace. - Myślałam, że
będzie przyjemniej.

- Nie ma powodów wpadać w panikę -
uspokajała Melanie. - Poza tym nie
przyplłynęliśmy tu zwiedzać. Jesteśmy tu, bo

mamy poważny powód.

- Nie traćmy nadziei, że nam się uda -

powiedział Kevin. Doskonale rozumiał uczucia

Candace. Sam przecież z trudem dał się

namówić na tę wyprawę.

Nie licząc owadów, najliczniej świat zwierząt

reprezentowały ptaki. Bez końca migały między

konarami, wypełniając powietrze śpiewami.

Po drugiej stronie kanału las tworzył

nieprzeniknioną gęstwinę. Tylko wyjątkowo

udawało im się dostrzec coś dalej niż pięć, sześć

metrów od brzegu. Nawet linie brzegów były

niewidoczne, ukryte za splątanymi roślinami

wodnymi i wystającymi z ziemi korzeniami.

Kevin, wiosłując, spoglądał w atramentową

wodę, po której skakały niezliczone wodne

pajęczki. Każdy ruch wiosłem tworzył bąbelki

powietrza i wywoływał niezwykle zamieszanie.

Kanał wkrótce przestał się wić. Nurt

wyprostował się, znacznie ułatwiając

wiosłowanie. Obserwując pnie mijanych drzew,

Kevin doszedł do wniosku, że posuwają się teraz

z prędkością szybkiego marszu. W takim tempie

powinni dopłynąć do Lago Hippo za dziesięć,

najdalej piętnaście minut.

- Może spróbujemy zlokalizować jakieś bonobo -
zapropozował Kevin. - Sprawdzimy, czy
przebywają w tej chwili w pobliżu.

Melanie wyjęła laptop, gdy nagle z jej lewej
strony coś się poruszyło w koronie drzewa.

Chwilę później głębiej w lesie usłyszeli trzask
gałązek.

Candace przycisnęła ręce do piersi.

- O rety! Co to było?

- Pewnie jedna z tych małych antylop. Jest ich
pełno nawet na wyspach - domyślił się Kevin.

Melanie wróciła do lokalizowania małp. Wkrótce
poinformowała, że w pobliżu nie ma bonobo.

- Oczywiście. Są zbyt płochliwe - uznał Kevin.

Dwadzieścia minut później Candace zauważyła,
że tuż przed nimi roślinność przerzedziła się na
tyle, że widać promienie słońca.

- To znaczy, że dopływamy do jeziora.

Po kilku silniejszych ruchach wiosłem łódka
wpłynęła na spokojne wody Lago Hippo.

Zamrugali powiekami w ostrym słońcu i
natychmiast sięgnęli po okulary
przeciwsłoneczne.

Jeziro nie było duże. Właściwie wyglądało raczej jak wydłużony staw, upstrzony wieloma gęsto porośniętymi wyspami pełnymi białych ibisów. Brzeg był zarośnięty trzciną. Na powierzchni wody rozrzucone tu i tam kwitły białe lilie. Fragmenty roślin swobodnie pływające po wodzie, dostatecznie duże, aby utrzymać na sobie małe ptaki, obracały się leniwie, popychane lekkim wietrzykiem.

Ściana lasu cofała się na brzegach, tworząc spore trawiaste łąki, wielkości około akra. W kilku miejscach rosły kępami palmy. Po lewej stronie ponad linię koron drzew wynosił się wysoko grzbiet górski wyraźnie odcinający się na tle porannego nieba.

- Tu jest naprawdę pięknie - zachwyciła się Melanie.

- Widok przypomina mi obrazy przedstawiające czasy prehistoryczne - stwierdził Kevin. -

Wyobrażam sobie jeszcze na pierwszym planie parę brontozaurów.

- O Boże, po lewej widzę hipopotamy! - zawołała Candace alarmująco.

Kevin popatrzył we wskazanym kierunku. Nie

było wątpliwości. Ponad wodę wystawały oczy i uszy z tuzina tych potężnych ssaków. Na wystających czubkach łbów puszyły się liczne małe, białe ptaki.

- Nic nam nie grozi - zapewnił Candace. -

Popatrz, jak wolno odsuwają się od nas. Nie powinny przysporzyć nam żadnych kłopotów.

- Nigdy nie byłam wielką miłośniczką życia na łonie natury - przyznała Candace.

- Nie musisz się tłumaczyć. - Doskonale pamiętał niepokój, jaki odczuwał w czasie pierwszej wizyty w Cogo.

- Według mapy niedaleko stąd, na lewym brzegu powinien prowadzić trakt - powiedziała Melanie.

- O ile pamiętam, jest to ścieżka biegnąca wzdłuż wschodniego brzegu jeziora - potwierdził Kevin.

- Zaczyna się przy moście.

- Racja. Najbardziej zbliża się do nas właśnie z lewej strony.

Kevin skręcił w stronę brzegu i zaczął wypatrywać przecinki w sitowiu. Niestety, nie znalazł dogodnego miejsca.

- Chyba będziemy musieli powiosłować przez sitowie - powiedział.

- Z pewnością nie wysiądę z łodzi, dopóki nie przybijemy do stałego lądu - zakomunikowała Melanie.

Kevin poprosił Candace, żeby przestała wiosłować, kiedy wprowadził łódkę w ścianę trzciny wysokości dorosłego mężczyzny i poczuł na całym ciele szybkie uderzenia. Ku zaskoczeniu wszystkich, łódź przemykała przez wodne zarośla bez trudności, robiąc jedynie sporo hałasu, trąc burtami o wystające z wody łodygi. Wcześniej niż się spodziewali, uderzyli o suchy ląd.

- Łatwo poszło - stwierdził. Obrócił się i popatrzył za siebie na tor, który wytyczyli wśród trzciny, lecz te wróciły do swej pozycji, zacierając wszelkie ślady po łódce.

- Czy mam wysiąść? - spytała Candace. - Nie widzę gruntu. A co, jeśli tu są robaki albo węże?

- Sprawdź teren wiosłem - odpowiedział Kevin.

Gdy Candace wysiadła, Kevinowi udało się jeszcze popchnąć wiosłem łódkę bardziej na brzeg. Melanie wysiadła bez problemów.

- Co z jedzeniem? - zapytał, przesuwając się do przodu.

- Zostawmy je tutaj - zaproponowała Melanie. -

Zabierz tylko torbę z latarką i reflektorem. Ja wezmę lokalizator i mapę.

Panie poczekały, aż Kevin wysiądzie z łódki, następnie skinęły, żeby poszedł przodem. Z torbą zarzuconą na ramię rozepchnął trzciny i ruszył w głąb wyspy. Grunt był błotnisty, szybko więc poczuł wilgoć w butach. Po kilku metrach znalazł się na trawiastym terenie.

- Wygląda jak łąka, a jest bagnem - narzekała Melanie, spoglądając z troską na tenisówki. Był już ciemne od błota i całkiem przemoczone.

Kevin uważnie przyjrzał się mapie, aby ustalić położenie. Wskazał na prawo.

- Mikroprocesor transmitujący sygnały bonobo numer sześćdziesiąt powinien być nie dalej jak trzydzieści metrów stąd w kierunku tamtej ścieżki zamkniętej drzewami - stwierdził.

- Chodźmy to więc sprawdzić i miejmy to już za sobą - zdecydowała Melanie. Zniszczone nowe tenisówki sprawiły, że nawet ona zaczynała powoli mieć dość tej wyprawy. W Afryce nic nie przychodzi łatwo.

Kobiety poszły posłusznie za Kevinem.

Początkowo stawianie kroków na grząskim podłożu nie było łatwe. Chociaż cały teren porastała trawa, w rzeczywistości były to tylko kępy otoczone wodą. Ale już około pięciu, sześciu metrów od stawu, teren się podnosił i był względnie suchy. Chwilę potem weszli na ścieżkę. Zaskoczeni zauważyli, że wygląda na często używaną. Biegła równoległe do linii brzegowej jeziora.

- Ludzie Siegfrieda muszą chodzić tędy częściej, niż sądzimy. Droga jest zbyt dobrze utrzymana - powiedziała Melanie.

- Muszę się zgodzić - przytaknął Kevin. -
Podejrzewam, że wykorzystują te ścieżki do odłowu zwierząt. Dżungla jest tutaj tak gęsta i ekspansywna. Dla nas to dobrze, łatwiej nam będzie obejść wyspę. Jak pamiętam, ta droga powinna nas zaprowadzić do wapiennego klifu.

- Jeśli przychodzą tu oczyszczać ścieżki, to może w tym, co Siegfried mówił o ogniskach rozpalanych przez robotników, jest nieco prawdy - zastanowiła się Melanie.

- Byłoby świetnie - uznał Kevin.

- Czuję coś wstrętnego. Po prostu śmierdzi -

Candace pociągała nosem.

Pozostali również wciągnęli powietrze i zgodzili się z nią.

- To zły sygnał - stwierdziła Melanie.

Kevin skinął i wszedł na dróżkę zakończoną kępą drzew. Po chwili wszyscy troje stali, zatykając nos i spoglądając w dół na obrzydliwy widok.

Natrafili na resztki bonobo numer sześćdziesiąt.

Padlina była w stanie rozkładu. Dookoła pełno

było robactwa. O wiele gorzej niż korpus

wyglądała głowa małpy. Kawałek skały wbity

między oczy rozłupał czaszkę na dwoje. Kamień

ciągle tkwił w głowie ofiary. Wypchnięte gałki

oczne spoglądały w różne strony.

- Uch! - Melanie była naprawdę zdegowana. -

To jest właśnie coś, czego nie chcieliśmy

zobaczyć. Oznacza to, że bonobo nie tylko

podzieliły się na dwie grupy, ale również zabijają

się. Zastanawiam się, czy numer sześćdziesiąt

siedem też jest martwy.

Kevin kopnięciem usunął kamień z rozbitej

głowy i przyjrzał mu się uważnie.

- Tego także nie chcieliśmy zobaczyć -

powiedział.

- O czym mówisz? - spytała Candace.

- Skala została obrobiona z rozmysłem. -

Czubkiem buta wskazał ostry grzbiet kamienia

ze świeżo odłupanymi krawędziami. - To

sugeruje, że potrafią wytwarzać narzędzia.

- Obawiam się, że to kolejny dowód - stwierdziła

Melanie.

- Przesuńmy się pod wiatr, zanim się porzygam -

rzucił Kevin. - Ledwo wytrzymuję ten smród.

Zrobił trzy kroki, gdy poczuł na ramieniu

powstrzymującą go rękę. Odwrócił się i zobaczył

Melanie z palcem przyłożonym do ust. Wskazała

na południe.

Popatrzył we wskazanym kierunku i dech mu

zaparło. Około piętnastu metrów od nich, w

cieniu kępy drzew dostrzegł bonobo! Zwierzę

stało całkiem wyprostowane, bez ruchu, jakby

pełniło wartę honorową. Małpa zauważyła ich w

tej samej niemal chwili, kiedy oni dostrzegli ją.

Keviną zaskoczyła jej wielkość. Mała dobrze

ponad metr pięćdziesiąt. Ważyła też więcej niż

przeciętne osobniki. Widząc nienaturalnie

umięśniony tors, Kevin ocenił jej wagę na jakieś

sześćdziesiąt kilogramów.

- Jest wyższy niż bonobo przywiezione do

transplantacji - zauważyła Candace. -

Przynajmniej tak mi się zdaje. Oczywiście

tamtym małpom podano już środki usypiające i

były przywiązane do stołu, zanim je zobaczyłam.

Mogę się więc mylić.

- Szszszsz! - uciszyła ją Melanie. - Nie

wystraszmy go. To może się okazać jedyna

szansa na obejrzenie jednej z małp.

Kevin bardzo ostrożnie i powoli zsunął z

ramienia torbę i sięgnął po ręczny lokalizator.

Włączył go. Urządzenie cicho popiskiwało,

dopóki nie wycelował nim w bonobo. Spojrzał na

cieklotkryształiczny ekran i cicho stęknął.

- Co jest? - spytała szeptem Melanie. Zauważyła,

jak zmieniła się twarz Kevina.

- To numer jeden! - odpowiedział szeptem. -

Mój!

- Mój Boże! Jestem zazdrosna! Chciałabym też

zobaczyć swoją.

- Szkoda, że nie możemy przyjrzeć się dokładniej

- szepnęła Candace. - Czy spróbujemy podejść

bliżej?

Kevina uderzyły dwie rzeczy. Pierwszą małpą,

którą spotkali, okazał się dziwnym zbiegiem okoliczności jego genetyczny duplikat, po drugie, jeśli stworzył niechcący jakąś formę hominida, stał teraz przed samym sobą sprzed kilku milionów lat.

- Mam tego dość - nie powstrzymał się i powiedział półgłosem.

- Co masz na myśli? - spytała Melanie.

- W pewnym sensie to ja tam stoję - odparł.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - upomniała go.

- Stoi zupełnie jak człowiek. Ale jest bardziej owłosiony niż jakikolwiek mężczyzna, którego widziałam.

- Bardzo zabawne - zauważyła Melanie bez uśmiechu.

- Melanie, włącz lokalizator i sprawdź cały obszar. Bonobo zazwyczaj poruszają się razem.

Może jest ich tu więcej, tylko nie widzimy. Mogą się kryć w krzakach.

Melanie zajęła się komputerem.

- Trudno uwierzyć, jak jest spokojny - powiedziała Candace.

- Jest pewnie sztywny ze strachu - odparł Kevin.

- Bez wątpienia nie wie, jak nas potraktować.

Albo, jeżeli Melanie ma rację, że brakuje samic,
to być może jest porażony waszym widokiem.

- A tego to już w ogóle nie uważam za zabawne -
odezwała się Melanie, nie podnosząc nawet
wzroku znad klawiatury.

- Przepraszam - odparł Kevin.

- Co on ma wokół pasa? - spytała Candace.

- Ja też się nad tym zastanawiam. Nie potrafię
powiedzieć, chyba że to pnącze, które owinęło
się wokół niego, gdy przedzierał się przez
krzewy.

- Spójrzcie na to - odezwała się podekscytowana
Melanie. Podniosła laptop tak, żeby pozostali
mogli się przyjrzeć. - Kevin, miałeś rację. Za
drzewami jest cała grupa bonobo.

- Dlaczego wyszedł sam? - spytała Candace.

- Może jest kimś na wzór strażnika tak jak u
szympanów. Skoro mają mało samic, tym
bardziej mogą zachowywać się jak szympanasy.

W tej chwili być może sam sobie udowadnia, jaki
jest odważny.

Minęło kilka minut, a bonobo nie ruszył się.

- Wyjdźmy z tego impasu - zniecierpliwiła się

Candace. - Dalej! Zobaczmy, jak blisko da się podejść. Co mamy do stracenia? Nawet jeśli ucieknie, to powiem, że ten mały epizod zachęca, aby zobaczyć więcej.

- Dobrze - zgodził się Kevin. - Ale żadnych gwałtownych ruchów. Nie chcę go przestraszyć. Mogłoby to całkowicie pozbawić nas szansy zobaczenia innych.

- Wy pierwsi - ustąpiła Candace.

Ruszyli ostrożnie, krok po kroku. Kevin szedł pierwszy, tuż za nim Melanie. Candace zamykała pochód. Kiedy pokonali mniej więcej połowę odległości, jaka ich dzieliła od małpy, zatrzymali się. Teraz mogli dokładniej obejrzeć stworzenie.

Miało mocno wystające łuki brwiowe, czoło pochylone jak u szympansa, ale dolna szczęka była wyraźnie mniej wysunięta niż u normalnych bonobo. Nos miał płaski, nozdrza wydęte. Uszy miał mniejsze niż bonobo czy szympansy i bardziej przylegające do czaszki.

- Myślicie o tym samym co ja? - szepnęła Melanie.

Candace przytaknęła głową.

- Przypomina mi rysunek, który oglądałam w

trzeciej klasie. Jaskiniowiec sprzed wielu tysięcy lat.

- Och, nie, rety! Widzicie jego dłoń? - spytał podnieconym szeptem Kevin.

- Tak - odpowiedziała cicho Candace. - Co z nią?

- Kciuk. Nie taki jak u małpy. Wyrasta z boku dłoni.

- Masz rację - potwierdziła Melanie. - To może znaczyć, że jest przeciwstawny.

- Dobry Boże! Dowody stają się coraz bardziej dobitne. Sądzę, że jeśli geny rozwoju odpowiedzialne za zmiany anatomiczne niezbędne do wykształcenia istoty dwunożnej znajdują się na krótszym ramieniu chromosomu szóstego, jest również całkiem możliwe, że odpowiedzialne za przeciwstawny kciuk też tam się mieszczą.

- To pnącze wokół jego pasa - odezwała się Candace. - Teraz dokładnie to widzę.

- Spróbujmy podejść bliżej - zasugerowała Melanie.

- No nie wiem - Kevin wahał się. - Kusimy los. Szczerze powiem, jestem zdziwiony, że jeszcze nie uciekł. Może byśmy tu usiedli.

- Tu, w słońcu jest gorzej jak w piecu -

powiedziała Melanie. - A nie ma jeszcze

dziewiątej, więc będzie coraz gorzej. Jeżeli

mamy usiąść i obserwować, zrobmy to w cieniu.

Dobrze byłoby też przynieść jedzenie.

- Zgadzą się - przyłączyła się Candace.

- Oczywiście, zgadzasz się - zauważył Kevin,

przedszkajając ją. - Zdziwiłbym się, gdybyście

się nie zgadzały. - Zaczęło go już męczyć to, że

Melanie zgłasza pomysły, licząc na wsparcie

Candace. Już raz wpędziło go to w kłopoty.

- To nie było miłe - odparła oburzonym tonem

Candace.

- Przepraszam - powiedział. Nie chciał urazić

niczyich uczuć.

- Podejdę bliżej - zapowiedziała Melanie. - Jane

Goodall zdołała całkiem zbliżyć się do swoich

szympanów.

- To prawda, ale po wielu miesiącach

aklimatyzacji - przypomniał Kevin.

- I tak zamierzam spróbować - uparła się.

Kevin i Candace pozwolili Melanie wyprzedzić

się o kilka kroków, wzruszyli ramionami i poszli

za nią.

- Dla mnie nie musicie tego robić - szepnęła.

- Właściwie chcę podejść bliżej i zobaczyć wyraz jego twarzy, chcę zajrzeć mu w oczy - przyznał Kevin.

Bez dalszych rozmów, poruszając się wolno i niezwykle ostrożnie, zdołali zbliżyć się na kilka metrów od bonobo. Znowu się zatrzymali.

- To niewiarygodne - szepnęła Melanie, nie spuszczać oczu z twarzy bonobo. Jedynym dowodem, że małpa żyje, było okazjonalne mruganie powiekami, ruch gałek ocznych i nozdrzy, które rozszerzały się podczas każdego oddechu.

- Popatrz na tę klatkę piersiową - zachwyciła się Candace. - Jakby większość życia spędzał na sali gimnastycznej.

- Jak sądzicie, skąd wzięła się u niego ta blizna? - zapytała Melanie.

Bonobo miał grubą szramę ciągnącą się z lewej strony twarzy w dół aż do ust.

Kevin pochylił się do przodu i zajrzał w oczy małpy. Były brązowe jak jego własne. Promienie słońca padały na zwierzę, więc źrenice miał maleńkie jak łepki od szpilek. Kevin za wszelką

cenę próbował dopatrzeć się śladów inteligencji, ale trudno mu było jednoznacznie stwierdzić, że coś dostrzega.

Bez najmniejszego ostrzeżenia bonobo nagle klasnął w dłonie z siłą, która wywołała echo w koronach drzew. W tej samej chwili zawołał: "Atah!"

Kevin, Melanie i Candace podskoczyli, wystraszeni. Nastawili się na to, że bonobo w każdej chwili może uciec, i zupełnie nie byli przygotowani na agresywne zachowanie.

Gwałtowne klaśnięcie i okrzyk wywołały w nich panikę. Zaczęli obawiać się ataku. Ale zwierzę nic nie zrobiło. Przeciwnie, wróciło do swojej poprzedniej pozy.

Po chwilowym zmieszaniu odzyskali równowagę. Spoglądali jednak nerwowo na bonobo.

- Co to miało znaczyć? - spytała Melanie.

- Chyba nie jest nami tak wystraszony, jak sądziliśmy - zauważyła Candace. - Może powinniśmy się wycofać.

- Zgoda - odezwał się zdenerwowany Kevin. - Ale zrobmy to powoli. Bez paniki. - Idąc za własną

radą, zrobił kilka spokojnych kroków w tył i skinął na panie, żeby poszły za nim.

Bonobo zareagował, sięgając ręką za plecy. Zza przepaski, którą był obwiązany, wyciągnął narzędzie. Podniósł je nad głowę i krzyknął:

"Atah!"

Stanęli jak wryci, szeroko otwierając oczy z przerażenia.

- Co może oznaczać "atah"? - zapytała Melanie po kilku chwilach spokoju. - Czy to jakieś słowo?

Czyżby on potrafił mówić?

- Nie mam pojęcia - przyznał Kevin. - Ale przynajmniej nie zbliża się do nas.

- Co trzyma w ręku? - zapytała zląknięta

Candace. - To wygląda jak młotek.

- Bo tak jest - potwierdził Kevin. - To normalny stolarski młotek. Na pewno to jedno z narzędzi wykradzonych robotnikom w czasie budowania mostu.

- Popatrzcie, jak go trzyma, tak samo jak my - zwróciła uwagę Melanie. - Nie ma wątpliwości, kciuk jest przeciwny.

- Powinniśmy szybko stąd iść - Candace niemal krzyknęła przez łzy. - Oboje zapewnialiście, że to

łagodne i płochliwe zwierzęta. Ten w ogóle taki nie jest.

- Nie biegnij - upomniął ją Kevin, cały czas przyglądając się uważnie wielkiemu samcowi.

- Wy możecie zostać, jak chcecie, ale ja wracam do łodzi - rzuciła zdesperowana pielęgniarka.

- Idziemy wszyscy, lecz powoli - stwierdził Kevin.

Pomimo ostrzeżeń, Candace odwróciła się na pięcie i rzuciła się do ucieczki. Ale zdążyła zrobić tylko kilka kroków i zatrzymała się z krzykiem.

Kevin i Melanie błyskawicznie odwrócili się w jej stronę. Obojgu zapało dech w piersiach, kiedy zorientowali się, co zatrzymało Candace. Z lasu po cichu wyszło ze dwadzieścia bonobo, otoczyło ich łukiem i faktycznie uniemożliwiło odwrót ze ślepej ścieżki prowadzącej do kępy drzew.

Candace cofała się wolno, aż zderzyła się z Melanie.

Przez minutę nikt nie powiedział słowa i nie ruszył się, małpy również.

Wtedy bonobo numer jeden powtórzył "Atah!"

W odpowiedzi zwierzęta zaczęły natychmiast zacieśniać krąg wokół ludzi.

Candace jęknęła, kiedy przylgnęli do siebie plecami, tworząc ciasny trójkąt. Koło zaczęło zamieniać się w pętlę. Nagle bonobo zbliżyły się tak, że mogli teraz poczuć ich zapach. Był silny i dziki. Twarze zwierząt były skupione, ale nie wyrażały żadnych emocji. Jedynie oczy im płonęły.

Zatrzymały się na wyciągnięcie ręki od trójki przyjaciół. Wzrokiem mierzyły ludzi z góry do dołu. Niektóre trzymały w garści kamienie podobne do tego, który zabił bonobo numer sześćdziesiąt.

Kevin, Melanie i Candace nie ruszali się, sparaliżowani strachem. Wszystkie małpy wyglądały na równie silne jak bonobo numer jeden.

Numer pierwszy pozostawał poza kręgiem. Ciągle ścisnął w dłoni młotek, ale nie trzymał go już nad głową. Podszedł i obchodząc dookoła całą grupę, przyglądał się otoczonym ludziom. Wtem wydał serię dźwięków, którym towarzyszyły gesty rąk. Kilka małp odpowiedziało mu. Nagle jedna z nich wyciągnęła rękę w stronę Candace. Ta jęknęła ze

strachu.

- Nie ruszaj się - zdołał wykrztusić Kevin. - To, że do tej pory nas nie zraniły, to dobry znak.

Candace przełknęła z trudem, gdy palce bonobo przeczesywały jej włosy. Wydawał się oczarowany ich jasnym kolorem. Zmobilizowała wszystkie siły, aby nie krzyknąć albo nie próbować salwować się ucieczką.

Kolejne zwierzę zaczęło wydawać dźwięki i gestykulować. W pewnym momencie pokazało na swój bok. Kevin zauważył długą bliznę pooperacyjną.

- To ten, którego nerka została przeszczepiona biznesmenowi z Dallas - powiedział z obawą w głosie. - Zobaczcie, jak na nas pokazuje. Zdaje się, że kojarzy nas z wyłapywaniem bonobo.

- To nie zapowiada się dobrze - szepnęła Melanie.

Kolejne zwierzę pochyliło się i jakby na próbę dotknęło słabo owłosionego przedramienia Kevina, a potem lokalizatora, który trzymał w dłoni. Kevina zdziwiło, że nie próbowało mu go zabrać.

Osobnik stojący naprzeciwko Melanie schwycił

w kciuk i palec wskazujący jej bluzkę, tak jakby sprawdzał fakturę materiału. Następnie palcem środkowym dotknął laptopa, za pomocą którego Melanie namierzała zwierzęta.

- Jesteśmy dla nich czymś tajemniczym - powiedział Kevin z wyczuwalnym wahaniem w głosie - i wyraźnie budzącym szacunek. Chyba nie zamierzają wyrządzić nam krzywdy. Może biorą nas za bogów.

- Jak moglibyśmy potwierdzić te domysły? - spytała Melanie.

- Spróbuję coś im dać - oświadczył Kevin.

Zastanowił się, co ma przy sobie, i w końcu jego wybór padł na zegarek ręczny. Poruszając się bardzo powoli, włożył lokalizator pod rękę, a z nadgarstka zsunął zegarek. Trzymając go za bransoletkę, wyciągnął rękę w stronę stojącego naprzeciwko bonobo.

Zwierzę przechyliło głowę, popatrzyło na zegarek i zabrało go. Natychmiast gdy prezent znalazł się w ręku bonobo, numer jeden zawołał:

"Ot!" Zwierzę z zegarkiem bez zwłoki oddało zdobycz. Bonobo przyjrzał się zegarkowi i wsunął go sobie na przedramię.

- O Boże! - Kevin wydał z siebie stłumiony
okrzyk. - Mój duplikat nosi na ręce mój zegarek.

To jakiś koszmar.

Bonobo numer jeden podziwiał przez moment
zegarek. Nagle uniósł dłoń, złączył kciuk z
palcem wskazującym, robiąc kółko, i krzyknął:

"Randa!"

Jedna z małp natychmiast ruszyła biegiem i
zniknęła na chwilę w lesie. Kiedy wróciła, miała
ze sobą kawał liny.

- Sznur? - zapytał Kevin z drżeniem w głosie. -

Cóż teraz?

- Skąd wzięły linę? - zastanowiła się Melanie.

- Pewnie ukradły razem z narzędziami.

- Co zamierzają zrobić? - Candace była wyraźnie
zdeenerwowana.

Bonobo podszedł prosto do Kevina i owinał
sznur wokół jego pasa. Kevin patrzył z
mieszanią strachu i podziwu, jak zwierzę
zawiązywało gruby węzeł i następnie zaciskało
go ciasno wokół bioder Kevina.

- Nie brońcie się - polecił koleżankom. - Myślę,
że wszystko będzie w porządku tak długo, jak
długo ich nie zdeenerwujemy ani nie zranimy.

- Ale ja nie chcę, żeby mnie wiązały -

zaprotestowała Candace.

- Dopóki jesteśmy cali, wszystko jest w

porządku. - Melanie starała się uspokoić

przyjaciółkę.

Bonobo obwiązał Candace i Melanie w podobny

sposób. Gdy skończył, odstepił na krok, ciągle

trzymając długi koniec liny.

- Najwyraźniej pragną nas zatrzymać na jakiś

czas - Kevin starał się rozjaśnić nieco sytuację.

- Nie wściekaj się, jeśli nie będę się śmiała -

odparła Melanie.

- Przynajmniej nie denerwuje ich nasza

rozmowa - zauważył.

- To dziwne, ale zdaje się nawet wzbudzać ich

ciekawość - powiedziała.

Rzeczywiście, ilekroć ktoś z nich się odzywał,

najbliższa małpa przechylała głowę,

nadsłuchując z zainteresowaniem.

Bonobo numer jeden rozwarł i złączył palce i

zakreślił łuk ręką, odsuwając ją od piersi.

Wykonując ten gest, zawołał: "Arak".

W tej samej chwili zwierzęta ruszyły, także i

bonobo trzymające linę. Kevin, Melanie i

Candace również zostali zmuszeni do marszu.

- To był ten sam gest, który widziałam u bonobo

w sali operacyjnej - stwierdziła Candace.

- W takim razie musi to oznaczać "idź" albo

"ruszaj" lub "odejź" - uznał Kevin. - To niewiarygodne. One mówią!

Wyszli spod kępy drzew, przeszli przez łąkę,

wkroczyli na ścieżkę i ruszyli prosto. W czasie

drogi bonobo pozostawały milczące, ale czujne.

- Zdaje się, że to nie Siegfried utrzymuje te

szlaki, ale bonobo - zauważyła Melanie.

Ścieżka skręcała na południe i wkrótce mknęła w

dżungli. Nawet w lesie droga była oczyszczona i

dobrze ubita.

- Dokąd one nas prowadzą? - Candace

denerwowała się coraz bardziej.

- Zgaduję, że do jaskiń - domyślił się Kevin.

- To śmieszne. Prowadzą nas jak psy na smyczy.

Jeśli wywołujemy na nich tak wielkie wrażenie,

może powinniśmy zaproponować - powiedziała

Melanie.

- Nie sądzę. Moim zdaniem powinniśmy robić

wszystko, żeby nie wyprowadzać ich z

równowagi.

- Candace, co sądzisz? - zapytała Melanie.

- Jestem zbyt przerażona, żeby myśleć. Chcę się tylko dostać z powrotem do łódki.

Zwierzę trzymające sznur odwróciło się i szarpnęło za niego. Pociągnięcie niemal zważyło z nóg całą trójkę. Bonobo pomachał dłonią w dół i zawołał "Hana".

- Rany boskie, ale on jest silny - z respektem powiedziała Melanie, odzyskując równowagę.

- Jak sądzicie, czego chciał? - spytała Candace.

- Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że chce, abyśmy byli cicho - odpowiedział Kevin.

Nagle cała grupa zatrzymała się. Bonobo porozumiały się kilkoma gestami. Kilka z nich wskazywało w górę na drzewa po prawej stronie.

Mała grupka bonobo wśliznęła się w zarośla.

Pozostałe utworzyły szerokie koło. Trzy z nich wspięły się pionowo między konary drzew z łatwością, która stawiała pod znakiem zapytania przyciąganie ziemskie.

- Co się dzieje? - pytała Candace.

- Coś ważnego. Wyglądają na bardzo spięte - zauważył Kevin.

Minęło kilkanaście minut. Żadna z małp na ziemi nie poruszyła się ani nie wydała

najłżejszego szmeru. Nagle z prawej doszło do horrendalnego zamieszania, któremu towarzyszyły przeraźliwe, wysokie piski i wrzaski. Zobaczyli, jak korony drzew ożyły niespodzianie przemykającymi małpkami colobus. Kierunek ucieczki prowadził je dokładnie w stronę trzech bonobo ukrytych w listowiu.

W ostatniej chwili przerażone małpki próbowały zmienić kierunek, ale w pośpiechu niektóre nie zdołały złapać gałęzi i pospadały na ziemię.

Zanim zdołały odzyskać orientację, czekające na ziemi bonobo dopadły ich i zabiły pięściakami.

Candace skrzywiła się w przerażeniu i odwróciła oczy od straszego widoku.

- Powiedziałaabym, że był to znakomity przykład skoordynowanego działania - szepnęła Melanie.

- Takie polowanie wymaga współpracy na wyższym poziomie. - Pomimo okoliczności nie potrafiła powstrzymać się od wyrażenia podziwu.

- Nie dokuczaj mi - szepnął Kevin. - Obawiam się, że sąd zamknął obrady i werdykt jest niekorzystny. Jesteśmy na wyspie dopiero

godzinę, ale otrzymaliśmy już odpowiedź na pytanie, które nas tu sprowadziło. Poza polowaniem grupowym zobaczyliśmy wyprostowaną postawę, przeciwstawny kciuk, narzędzia wykonane z rozmysłem, a nawet usłyszeliśmy coś w rodzaju mowy. Potrafią wydawać dźwięki tak jak każde z nas.

- To nadzwyczajne - nadal szeptem mówiła Melanie. - Te zwierzęta przez kilka lat pobytu na wyspie pokonały cztery, może pięć milionów lat ewolucji.

- Och, zamknijcie się! - krzyknęła Candace stłumionym głosem. - Zostaliśmy więźniami tych bestii, a wy prowadzicie naukowe dyskusje.

- To więcej niż naukowa dyskusja - zauważył Kevin. - Dowiedzieliśmy się o popełnieniu strasznego błędu, za który ja jestem odpowiedzialny. Rzeczywistość okazała się gorsza niż przypuszczałem, kiedy widziałem dym nad wyspą. Te zwierzęta są już hominidami.

- Część winy muszę wziąć na siebie - przyznała Melanie.

- Nie zgadzam się - zaproponował Kevin. - To ja stworzyłem chimerę, dodając ludzkie

chromosomy. To nie była twoja robota.

- Co one teraz robią? - spytała Candace.

Kevin i Melanie obejrzeni się i zobaczyli bonobo numer jeden zbliżającego się do nich z ciałem martwej małpki. Ciągle jeszcze miał na ręku zegarek, który tylko podkreślał dziwną relację między człowiekiem a małpą.

Bonobo podszedł z małpą prosto do Candace i podsunął ją dziewczynie na wyciągniętych rękach, wołając: "Sta".

Candace jęknęła i odwróciła głowę. Wyglądała, jakby miała za chwilę zwymiotować.

- Chce ci to sprezentować. Spróbuj odpowiedzieć

- powiedziała Melanie do koleżanki.

- Nie mogę na to patrzeć - odrzekła Candace.

- Spróbuj! - poprosiła Melanie.

Candace odwróciła się powoli. Na jej twarzy malowało się obrzydzenie. Łepek małpki był całkiem rozbity.

- Po prostu skiń głową albo coś takiego - zachęcała Melanie.

Candace uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

Bonobo też skinął i wycofał się.

- Niewiarygodne - powiedziała Melanie,

obserwując zachowanie zwierzęcia. - Chociaż jest jakby głównym strażnikiem, wodzem grupy, nadal panuje tu matriarchat.

- Candace, zachowałeś się wspaniale - pochwalił Kevin.

- Jestem wykończona - wyznała.

- Wiedziała, że powinnam zrobić się na blondynkę - powiedziała Melanie z typowym dla niej poczuciem humoru.

Małpa trzymająca linę pociągnęła za nią, lecz tym razem zdecydowanie lżej niż poprzednio.

Grupa znowu ruszyła w drogę, a Kevin, Melanie i Candace byli zmuszeni iść z nią.

- Nie chcę iść dalej - mówiła Candace ze łzami w oczach.

- Weź się w garść - podtrzymywała ją na duchu Melanie. - Wszystko dobrze się skończy.

Zaczynam sądzić, że sugestie Kevina były słuszne. Myślę o nas jak o jakichś bogach, szczególnie o tobie, z tymi blond włosami.

Gdyby miały zamiar nas zabić, zrobiłyby to od razu, tak jak zabiły te małpy.

- Dlaczego to zrobiły? - zastanawiała się Candace.

- Przypuszczam, że aby zdobyć żywność -

powiedziała Melanie. - Co prawda bonobo w normalnych warunkach nie są mięsożerne, ale szympansy już mogą być.

- Boję się, że te stworzenia są dość ludzkie, żeby zabijać dla zwykłej przyjemności - stwierdziła Candace.

Minęli teren podmokły i zaczęli się wspinać.

Piętnaście minut później wyszli z półmroku lasu na skalistą, częściowo porośniętą trawą równię leżącą u podnóża górskiego grzbietu. W połowie wzniesienia w skale znajdowała się jaskinia, do której można było się dostać tylko skrajnie stromą, niebezpieczną krawędzią. W wejściu stało około tuzina bonobo, wśród nich samice.

Właściwie stanowiły w tej grupie większość.

Bonobo uderzały dłońmi w klatki piersiowe i raz za razem wrzeszczały "bada".

Małpy prowadzące Kevina, Melanie i Candace odpowiedziały tym samym, a potem podniosły zabite małpy. W odpowiedzi samice zawyły.

Melanie uznała to zachowanie za bardzo podobne do zachowania szympansów.

U podnóża klifu małpy podzieliły się. Kevin i

obie kobiety zostali zmuszeni do dalszego

marszu. Na ich widok samice umilkły.

- Dlaczego mam wrażenie, że one nie cieszą się z naszej obecności? - szepnęła Melanie.

- Sądzę, że raczej są zmieszane. Nie spodziewały się towarzystwa - odpowiedział Kevin.

W końcu bonobo numer jeden powiedział "zit" i podniósł kciuk. Zaczęły się wspinać, ciągnąc za sobą ludzi.

ROZDZIAŁ 18

7 marca 1997 roku

godzina 6.15

Nowy Jork

Jack mrugnął powiekami i natychmiast otrzeźwiał. Usiadł i przetarł oczy. Ciągle był zmęczony po poprzedniej nie przespanej nocy.

Tego ranka także musiał wstać wcześniej, niż planował poprzedniego wieczoru, ale był zbyt podekscytowany, aby zasnąć.

Wstał z kanapy, owinał się w koc, chroniąc się przed chłodem poranka, i podszedł do drzwi sypialni. Nasłuchiwał przez chwilę. Przekonany, że Laurie jeszcze głęboko śpi, uchylił lekko drzwi. Jak oczekiwał, leżała na boku przykryta

górami pościeli i oddychała głęboko.

Tak cicho, jak to było możliwe, przeszedł na palcach przez sypialnię do łazienki. Ogolił się i wziął prysznic. Kiedy wyszedł z łazienki, z ulgą zobaczył, że nie obudził Laurie.

Wziął z szafy świeże ubranie, wyszedł z nim do drugiego pokoju i dopiero tam się ubrał. Po kilku minutach wyszedł z budynku w szarość zbliżającego się poranka. Słota i zimno z płatkami śniegu tańczącymi w podmuchach wiatru nie zapowiadały miłego dnia.

Po drugiej stronie ulicy stał wóz policyjny z dwoma nieumundurowanymi policjantami. Pili kawę i w świetle samochodowej lampki czytali poranną prasę. Rozpoznali Jacka i machnęli w jego stronę. On też ich pozdrowił. Lou dotrzymał słowa.

Jack pobiegł w dół ulicy do delikatesów na Columbus Avenue. Jeden z policjantów obowiązkowo poszedł w jego ślady. Jack chciał kupić im po pączku, ale rozmyślił się. Nie chciał, żeby go źle zrozumieli.

Obładowany sokiem, kawą, owocami i świeżym pieczywem wrócił do domu. Laurie już wstała i

właśnie brała prysznic. Zapukał w drzwi i
oznajmił, że śniadanie zostanie podane, kiedy
tylko będzie gotowa.

Zjawiała się po kilku minutach z mokrymi
włosami, owinięta w szlafrok Jacka. Biorąc pod
uwagę zajście z poprzedniego wieczoru, nie
wyglądała najgorzej. Można było jedynie
zauważyć lekko podbite oko.

- Czy po przespaniu się z pomysłem wyjazdu do
Gwinei Równikowej nadal masz na niego
ochotę? - zapytała.

- W stu procentach. Nie mogę się doczekać.

- I naprawdę chcesz zapłacić za wszystkie bilety?

To może być znaczna suma.

- A na co mam wydawać pieniądze? - Rozejrzał
się po mieszkaniu. - Życie tutaj nie jest drogie, a
za rower już zapłaciłem.

- Poważnie. Mogę zrozumieć, że Esteban może
się przydać, ale Warren i Natalie?

Poprzedniego wieczoru, kiedy przedstawili
pomysł Teodorze, ta przypomniała mężowi, że
jedno z nich musi zostać w mieście, aby mieć
pieczę nad sklepem i dopilnować ich
nastoletniego syna. O tym, że pojedzie Esteban,

a nie Teodora, zdecydował rzut monetą.

- Poważnie, chcę, aby to był po prostu mile spędzony czas - tłumaczył Jack. - Nawet jeżeli nie dowiemy się wszystkiego, co jest wielce prawdopodobne, to i tak będzie to wspaniała podróż. Widziałem w oczach Warrena, że ma ochotę odwiedzić Afrykę. No i w drodze powrotnej spędzimy noc lub dwie w Paryżu.

- Mnie nie musisz przekonywać. Początkowo byłam przeciwna twojemu wyjazdowi, ale teraz sama jestem podekscytowana.

- Więc teraz musimy jedynie przekonać Binghamą.

- Nie sądzę, żeby to był problem. Żadne z nas nie wykorzystało urlopu, do czego nas zachęcali. No i Lou obiecał dodać co nieco od siebie o zagrożeniu. Naprawdę chce nas wysłać z miasta.

- Nigdy nie ufam biurokracji. Ale postaram się być optymistą. Zakładając, że pojedziemy, rozdzielmy między siebie zadania. Ja załatwię bilety. Ty, Warren i Natalie zajmijcie się wizami.

Poza tym musimy wziąć odpowiednie szczepionki i zabezpieczyć się przed malarią.

Właściwie powinniśmy mieć więcej czasu na

uodpornienie się, ale zrobimy wszystko, co możliwe, i zabierzemy ze sobą dużo środków przeciw owadom.

- Brzmi nieźle - Laurie zaakceptowała propozycję.

Z powodu Laurie Jack zostawił swój ukochany rower w mieszkaniu. Razem pojechali do pracy taksówką. Kiedy weszli do pokoju lekarzy, Vinnie opuścił gazetę i spojrzał na nich jak na duchy.

- Co wy tu robicie? - zapytał i głos mu się załamał. Odchrząknął.

- A cóż to za pytanie? - odparł Jack. - My tutaj pracujemy, Vinnie. Zapomniałeś?

- Nie sądziłem, że oboje macie dzisiaj dyżur - stwierdził Vinnie. Wziął szybko kubek z kawą i upił spory łyk, zanim znowu chrząknął.

Jack i Laurie podeszli do ekspresu.

- Przez ostatnie dni był we wściekłym humorze - szepnął Jack.

Laurie przez ramię zerknęła w stronę Vinniego, który zniknął już za swoją gazetą.

- Dziwnie zareagował. Zauważyłam wczoraj, że ilekroć znalazł się przy mnie, tylekroć zaczynał

być nerwowy.

Spojrzeni po sobie.

- Myślisz o tym samym co ja? - zapytała Laurie
po chwili zastanowienia.

- Może - odpowiedział. - To by całkiem
pasowało. Ma dostęp.

- Chyba powinniśmy napomknąć o tym Lou.

Bardzo bym chciała, żeby to nie był Vinnie, ale
musimy wykryć, kto wnosi stąd poufne
informacje.

Laurie było bardzo na rękę, że jej tygodniowy
dyżur koordynatora właśnie się skończył i
zastąpił ją teraz Paul Plodgett. Siedział już za
biurkiem i przeglądał sprawy z nocy. Laurie i
Jack poinformowali go, że planują wziąć urlop i
chcieliby zrezygnować tego dnia z autopsji, jeśli
nie ma nadmiaru pracy.

Laurie była lepszą dyplomatką niż Jack i to ona
sugerowała, że powinni pójść do Calvina i
powiedzieć mu o planowanych wakacjach,
zanim porozmawiają z Binghamem. Jack
przychylił się ku tej propozycji. Calvin w
odpowiedzi burknął tylko, że mogliby
zawiadomić o tym z większym wyprzedzeniem.

Gdy zjawił się Bingham, zaraz weszli do jego gabinetu. Zaciekawiony obejrzał ich dokładnie znad swych okularów w drucianych oprawkach i zaczął przeglądać trzymaną w rękach poranną pocztę.

- Chcecie dwa tygodnie, począwszy od dzisiaj? - zapytał z niedowierzaniem. - Skąd taki pośpiech? Czy to coś naglącego?

- Planujemy wyprawę po przygodę - powiedział Jack. - Chcemy wyruszyć jeszcze dziś wieczorem.

Wodniste oczy Bingham spoglądały to na Jacka, to na Laurie.

- Chyba nie zamierzacie się pobrać, co?

- Nie będziemy aż do tego stopnia ryzykować - odparł Jack.

Laurie zakrztusiła się śmiechem.

- Przepraszamy, że nie powiadomiliśmy wcześniej - powiedziała. - Powodem pośpiechu jest to, że ostatniej nocy oboje zostaliśmy poważnie ostrzeżeni w związku ze sprawą Franconiego.

- Ostrzeżeni? - zapytał Bingham. - Czy to ma coś wspólnego z sińcem pod twoim okiem?

- Obawiam się, że tak. - Próbowała ukryć go pod

makijażem, ale tylko częściowo jej się to udało.

- Kto się kryje za tymi ostrzeżeniami? - dociekał Bingham.

- Jedna z przestępczych rodzin z Nowego Jorku - wyjaśniła. - Porucznik Louis Soldano obiecał porozmawiać z panem o tym oraz o prawdopodobnej wtyczce gangsterów w naszym zakładzie. Sądzimy, że możemy wyjaśnić, w jaki sposób wyniesiono stąd ciało Franconiego.

- Słucham - powiedział Bingham i odłożył trzymaną całą czas pocztę, po czym usiadł w fotelu.

Laurie wyjaśniła całą historię, podkreślając, że Dom Pogrzebowy Spoletto musiał otrzymać numer sprawy dotyczącej nie zidentyfikowanych zwłok.

- Czy porucznik Soldano uważa, że to mądre, abyście oboje wyjechali z miasta?

- Tak sądzi.

- Dobrze - odparł Bingham. - W takim razie nie ma was tu. Czy mam zadzwonić do porucznika Soldano, czy sam się ze mną skontaktuje?

- Zrozumieliśmy, że sam zadzwoni do pana - powiedziała Laurie.

- Świetnie - odparł Bingham. Spojrzał teraz

prosto na Jacka. - Co ze sprawą wątroby?

- Ciągle w powijakach. Czekałam na wyniki kolejnych testów.

Bingham skinął głową i dodał:

- Ta sprawa jest jak cholerny wrzód na dupie.

Upewnij się, że w czasie waszej nieobecności zostanę poinformowany o każdej nowości. Nie

chcę żadnych niespodzianek. - Spojrzał na

biurko i podniósł pocztę. - Przyślijcie pocztówkę.

Laurie i Jack wyszli z gabinetu i uśmiechnęli się do siebie.

- No cóż, wygląda to nieźle - zauważył Jack. -

Bingham był najpoważniejszą potencjalną przeszkodą w naszych planach.

- Może powinniśmy mu powiedzieć, że jedziemy do Afryki właśnie w związku ze sprawą wątroby?

- zasugerowała Laurie.

- Nie sądzę. Mógłby zmienić zdanie w sprawie urlopu. On na pewno wolałby, żeby cała sprawa przestała istnieć.

Rozeszli się do swoich pokoi. Laurie zadzwoniła do ambasady Gwinei Równikowej w sprawie wiz, a Jack połączył się z liniami lotniczymi.

Laurie szybko się przekonała, że Esteban miał rację co do łatwości uzyskania wizy i upewniła się, że załatwi sprawę jeszcze tego ranka.

Urzędniczka z Air France wyraziła szczere zadowolenie z możliwości udzielenia pomocy

Jackowi i umówiła się z nim, że po południu bilety będą do odbioru w biurze linii.

Laurie zjawiała się w pokoju Jacka. Promieniała.

- Zaczynam wierzyć, że to się rzeczywiście dzieje

- powiedziała podniecona. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Wyruszamy dziś wieczorem o

dziewiętnastej pięćdziesiąt.

- Nie do wiary. Czuję się jak nastolatka przed pierwszą wycieczką.

Po umówieniu się z biurem podróży i Manhattan

General Hospital na szczepienia ochronne,

zadzwonili do Warrena. Obiecał złapać Natalie i przyjechać z nią do szpitala.

Pielęgniarka zaaplikowała im serię zastrzyków i

dała receptę na proszki przeciwko malarii.

Nalegała także, aby odczekali pełen tydzień

przed wyjazdem. Jack wyjaśnił, że to nie jest

możliwe. Pielęgniarka w odpowiedzi oświadczyła

tylko, iż cieszy się, że to oni jadą, a nie ona.

W holu Warren zapytał, co miała na myśli.

- Leki, które nam podano, zaczynają działać

mniej więcej po tygodniu - wyjaśnił Jack. -

Dotyczy to wszystkich z wyjątkiem gamma-globuliny.

- W takim razie ryzykujemy - stwierdził Warren.

- Przez całe życie ryzykujemy - odparł Jack. -

Poważnie mówiąc, istnieje pewne ryzyko, ale z

każdym dniem nasz system odpornościowy

będzie coraz skuteczniejszy. Główny problem

stanowi malaria, ale zabierzemy ze sobą pełno

środków przeciw owadom.

- Więc ty się nie boisz?

- Nie aż tak, żeby zostać w domu.

Po załatwieniu spraw w szpitalu, wszyscy poszli

do zdjęcia. Zrobili sobie ekspresowe w

automacie. Następnie Laurie, Warren i Natalie

udali się do ambasady Gwinei Równikowej.

Jack złapał taksówkę, pojechał do szpitala

akademickiego i udał się prosto do laboratorium

doktora Petera Malovara. Jak zwykle zastał

starego patologa pochylonego nad

mikroskopem. Jack z szacunkiem odczekał, aż

profesor zakończy badanie preparatu.

- Aaaa, doktor Stapleton - odezwał się Malovar, zauważywszy Jacka. - Cieszę się, że pan przyszedł. Gdzie to ja mam ten pański preparat? Laboratorium doktora Malovara przypominało zakurzony magazyn książek, pism i setek preparatów na szklanych tackach. Kosze na śmieci były wiecznie przepełnione. Profesor był nieugięty i nie pozwalał nikomu sprzątać w swojej pracowni, aby nie zakłócić "uporządkowanego" nieładu.

Z zaskakującą łatwością profesor odnalazł poszukiwaną próbkę na stosie książek o patologii weterynaryjnej. Zwinnymi palcami wsunął preparat pod obiektyw mikroskopu.

- Sugestia doktora Osgooda, żeby pokazać próbkę doktorowi Hammersmithowi, okazała się pierwszorzędna - powiedział doktor Malovar, spoglądając jednocześnie w okular. Kiedy uznał, że wszystko jest w porządku, usiadł, sięgnął po książkę i otworzył na strone zaznaczonej płytką do preparatów mikroskopowych. Wręczył książkę Jackowi.

Spojrzał na wskazaną przez profesora stronę.

Zobaczył fotografię mikroskopową fragmentu

wątroby. Dostrzegł ziarniaka podobnego do tego z wątroby Franconiego.

- To samo - zauważył doktor Malovar. Skinął na Jacka, żeby porównał fotografię z obrazem w mikroskopie.

Jack pochylił się i dokładnie przyjrzał preparatowi. Obrazy wydawały się rzeczywiście identyczne.

- Nie ma wątpliwości, że to jeden z najciekawszych preparatów, jakie przyniósł pan do mnie - pochwalił profesor. Odgarnął siwe włosy, które opadły mu na oczy. - Jak pan może przeczytać w książce, atakujący organizm nazywa się Hepatocistis.

Jack oderwał się od mikroskopu i znowu zajrzał do książki. Nigdy nie słyszał o Hepatocistis.

- Czy to rzadkie? - spytał.

- Powiedziałbym, że w kostnicy miasta Nowy Jork, tak - odparł doktor Malovar. - Wyjątkowo rzadkie! Widzi pan, występuje tylko u małp naczelnych. Ale nie dość tego, znajdowano to wyłącznie w Starym Świecie naczelnych, czyli w Afryce i południowo-wschodniej Azji. Nigdy nie stwierdzono w Nowym Świecie i nigdy u ludzi.

- Nigdy? - zapytał Jack.

- Powiedzmy tak: ja nigdy nie widziałem, a oglądałem wiele pasożytów wątroby. Co ważniejsze, doktor Osgood nigdy nie widział, a oglądał więcej pasożytów wątroby niż ja. Wobec takiego zbiegu naszych doświadczeń mogę powiedzieć, że u ludzi nie występuje. Oczywiście, w strefach endemicznych to byłaby inna historia, ale nawet tam takie zjawisko musiałoby być niezwykle rzadkie. Inaczej spotkalibyśmy się z jednym, dwoma przypadkami.

- Bardzo dziękuję za pomoc. - Jack zaczął się już zastanawiać nad implikacjami tych niespodziewanych informacji. To była o wiele poważniejsza przesłanka niż inne, dowodząca, że Franconi przebył przeszczep ksenogeniczny, a nie tylko, że odwiedził Afrykę.

- To byłby interesujący przypadek do omówienia na naszych zajęciach. Gdyby był pan tym zainteresowany, proszę dać znać.

- Oczywiście - Jack odpowiedział niezobowiązująco. W głowie miał zamęt. Opuściwszy laboratorium profesora, wyszedł ze szpitala i skierował się do Zakładu Medycyny

Sądowej. Znalezienie w preparacie pasożyta występującego u małp afrykańskich było, mówiąc krótko, dowodem. Ale wobec tego wyniki badań DNA, które otrzymał Ted Lynch w zestawieniu z odkryciem profesora stawały się niewiarygodne. A na dodatek nie wystąpiło zapalenie ani nie podawano pacjentowi żadnych środków immunosupresyjnych. Jedynym pewnikiem było stwierdzenie, że wszystko to razem nie ma sensu.

W zakładzie Jack udał się prosto do laboratorium DNA, aby przycisnąć Teda do ściany i odkryć, czy ma jakąś hipotezę, o co może w tej sprawie chodzić. Kłopot Jacka polegał na tym, że sam za mało wiedział o DNA, aby samodzielnie wymyślić jakieś wyjaśnienie. Zbyt szybko zachodziły zmiany w tej gałęzi wiedzy.

- Jezu, Stapleton, gdzieżeś się, u diabła, podziewał! - przywitał go Ted. - Obdzwoniłem cały świat i nikt nie miał pojęcia, co się z tobą dzieje.

- Wyszedłem - odparł Jack bez podawania szczegółów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyjaśnić, w jakim kierunku rozwinęły się

sprawy, ale zrezygnował. Zbyt dużo wydarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

- Siadaj! - zakomenderował Ted.

Jack usiadł.

Ted rozejrzał się po zawałonym papierami biurku i wygrzebał wreszcie błonę celuloidową z setkami krótkich, czarnych kreseczek. Podał ją Jackowi.

- Ted, po co mi to dajesz? Przecież doskonale wiesz, że nie mam o tych sprawach zielonego pojęcia.

Ted jednak zignorował słowa Jacka, bo szukał drugiej błony celuloidowej. Znalazł ją pod budżetem laboratorium, nad którym właśnie pracował. Tę także podał Jackowi.

- Popatrz na nie pod światło.

Jack zrobił, jak mu kazano. Popatrzył na dwie klisze. Nawet on potrafił stwierdzić, że są różne.

Ted wskazał na pierwsze zdjęcie.

- To jest badanie obszaru DNA, który koduje rybosomalne białka człowieka. Wybrałem któryś na chybił trafił, żeby ci pokazać, jak wygląda.

- Jest cudowne - odparł Jack.

- Wolałbym, żebyś nie był sarkastyczny.

- Spróbuję.

- Ten drugi, to wynik badań próbki wątroby

Franconiego. Ten sam obszar, użyto tych

samych enzymów co w pierwszym badaniu.

Widzisz, jak bardzo się różnią?

- To jedyna rzecz, którą widzę.

Ted zabrał wyniki badania DNA człowieka i

odłożył na bok. Teraz wskazał na ciągle

trzymaną przez Jacka drugą błonę celuloidową.

- Wczoraj powiedziałem ci, że te informacje

można znaleźć na CD-ROM-ie, więc kazałem

komputerowi odszukać ten wzór. Odpowiedź,

która przyszła, mówi, że najbardziej podobny

jest wynik u szympansów.

- Nie jest identyczny jak u szympansów? -

zapytał Jack. W tej sprawie po raz kolejny nic

nie było ostatecznie zdefiniowane.

- Nie, ale blisko. Jakby jakiś kuzyn szympansa.

Coś w tym rodzaju.

- Czy szympansy mają krewniaków?

- Złapałeś mnie - odparł Ted i wrzucił

ramionami. - Zabij, a nie powiem. Musisz

jednak przyznać, że to robi wrażenie.

- Więc z twojego punktu widzenia to był

przeszczep ksenogeniczny? - spytał Jack.

Ted znowu wzruszył ramionami.

- Gdybyś kazał mi zgadywać, powiedziałbym, że pewnie tak. Jednak biorąc pod uwagę wyniki DQ alfa, nie wiem, co powiedzieć. Zbadałem też dla własnej ciekawości DNA na grupy krwi AB0.

Wyniki jak przy DQ alfa. Sądzę, że dla Franconiego udało się znaleźć idealnego dawcę, co jeszcze bardziej zastanawia. Zwariowana sprawa.

- Mnie to mówisz! - Teraz Jack opowiedział Tedowi o odkryciu pasożyta występującego u małą afrykańskich i azjatyckich.

Z twarzy Teda wyczytać można było zakłopotanie.

- Cieszę się, że to twój przypadek, a nie mój - powiedział.

Jack odłożył zdjęcie na biurko.

- Jeżeli dopisze mi szczęście, odpowiem na kilka pytań znajdę w ciągu następnych paru dni.

W nocy lecę do Afryki, do tego samego kraju, który odwiedził Franconi.

- Zakład cię wysyła? - zapytał zaskoczony Ted.

- Nie. Sam jadę. No, niezupełnie sam, ja płacę,

ale jedzie ze mną również Laurie.

- Mój Boże, ależ ty jesteś dokładny w tej robocie

- stwierdził Ted.

- Uparty jest pewnie lepszym słowem - poprawił

Jack już od drzwi.

Ted zawołał za nim, gdy Jack był już za progiem:

- Zrobiłem badania porównawcze z

mitochondrialnym DNA matki Franconiego.

Pasuje, więc przynajmniej identyfikacji zwłok

możesz być pewny w stu procentach.

- Wreszcie coś pewnego.

- Wiesz, przyszła mi do głowy jeszcze jedna

zwariowana myśl - dodał Ted. - Jedyne sposoby,

w jaki mógłbym wyjaśnić to całe zagmatwanie i

wyniki, jakie uzyskałem, to uznanie wątroby za

transgeniczną.

- A cóż to, u diabła, znaczy?

- To oznacza, że wątroba zawiera DNA z dwóch

różnych organizmów.

- Hmm. Będę musiał to przemyśleć.

Cogo, Gwinea Równikowa

Bertram spojrzął na zegarek. Była szesnasta.

Podniósł wzrok, by wyjrzeć przez okno i nagle

spozstrzegł, że gwałtowna tropikalna ulewa, która

całkiem przysłaniała niebo jeszcze piętnaście

minut wcześniej, prawie całkiem ustąpiła.

Znowu było parne, słoneczne afrykańskie

popołudnie.

Pod wpływem impulsu sięgnął po telefon i

zadzwoił na oddział zapłodnień. Odpowiedziała

Shirley Cartwright, pełniąca obowiązki technika

na popołudniowej zmianie.

- Czy te dwa nowo narodzone bonobo otrzymały już swoje dawki hormonów? - spytał.

- Jeszcze nie - odpowiedziała Shirley.

- Zdawało mi się, że w karcie zapisano, żeby otrzymywały zastrzyk o czternastej - zauważył.

- To zwyczajowo przyjęta godzina - powiedziała z wahaniem Shirley.

- Dlaczego przesunięto godzinę?

- Melanie Becket jeszcze nie przyjechała - powiadomiła Bertrama niechętnie. Ostatnią rzeczą, której pragnęła, było wpędzenie w kłopoty swojej przełożonej, ale wiedziała, że nie mogłaby skłamać.

- O której miała być?

- Nie podała godziny. Diennej zmianie powiedziała, że będzie zajęta całe przedpołudnie

w laboratorium w szpitalu. Sądzę, że w nawale zajęć, nie spojrzała na zegarek.

- Nie zostawiła nikomu instrukcji co do podania hormonów o czternastej?

- Właściwie nie - odparła Shirley. - Dlatego spodziewam się jej w każdej chwili.

- Jeżeli nie zjawi się przez następne pół godziny, proszę podać dawki zapisane w karcie - polecił. -

Czy sprawi to pani jakiś kłopot?

- Nie, panie doktorze.

Bertram rozłączył się i zadzwonił do laboratorium Melanie w szpitalu. Nie był tak zaznajomiony z personelem szpitala, więc nie rozpoznał, z kim rozmawia. Ale osoba ta знаła Bertrama i opowiedziała mu niepokojącą historię. Melanie nie zjawiła się w laboratorium przez cały dzień, bo była niezwykle zajęta w centrum weterynaryjnym.

Bertram odłożył słuchawkę. Paznokciem wskazującego palca zaczął nerwowo stukać w telefon. Pomimo zapewnień Siegfrieda, że panuje nad ewentualnym problemem Kevina i jego przyjaciółek, Bertram nastawiony był podejrzliwie. Melanie należała do sumiennych

pracowników. Nie było w jej stylu zapominać o podawaniu przepisanych środków.

Złapał ponownie za słuchawkę i starał się dodzwonić do Kevina. Nikt nie odpowiadał.

Wobec rosnących podejrzeń, zawiadomił sekretarkę, Marthę, że wróci za godzinę, i wyszedł z biura. Wsiadł do swojego cherokee i ruszył w stronę miasta.

Jadąc, nabierał przekonania, że Kevin i kobiety postanowili dostać się na wyspę. Ogarniała go coraz większa złość. Zwymyślał sam siebie, że pozwolił się zwieść zapewnieniom Siegfrieda o rzekomym bezpieczeństwie. Miał przeczucie, że ciekawość Kevina sprowadzi na nich duże kłopoty.

Na skraju miasta, gdzie asfaltowa droga łączyła się z brukowaną jezdnią, musiał gwałtownie zahamować. Tak się zapamiętał w gniewie, że zapomniał kontrolować prędkość. Kostka brukowa zmoczona niedawnym deszczem była śliska jak lód i samochód Bertrama przejechał w poślizgu wiele metrów, zanim wreszcie się zatrzymał.

Zaparkował przed szpitalem. Wszedł na drugie

piętro i zapukał do gabinetu Kevina. Nie było odpowiedzi. Spróbował wejść. Drzwi były zamknięte.

Wrócił do samochodu, objechał plac i zaparkował pod ratuszem. Skinął w stronę rozleniwionych żołnierzy kiwających się w rozklekotanych, starych trzciniowych krzesłach w cieniu arkad.

Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Przedstawił się Aurielowi i rzucił, że musi rozmawiać z Siegfriedem.

- Jest teraz z szefem ochrony - odparł sekretarz.

- Powiedz mu, że czekam - rozkazał i zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Jego irytacja rosła.

Pięć minut później z gabinetu Siegfrieda wyszedł

Cameron McIvers. Zawołał "cześć" do Bertrama,

ale ten tak się spieszył na spotkanie z

Siegfriedem, że zignorował pozdrowienie.

- Mamy problem - powiedział bez wstępów. -

Melanie Becket nie pokazała się dzisiaj w pracy,

Kevina Marshalla nie ma w laboratorium.

- Nie jestem zaskoczony - odpowiedział

spokojnie Siegfried. Rozsiadł się wygodnie w

fotelu i wyprostował zdrową rękę. - Widziano ich w towarzystwie pielęgniarki, jak opuszczali miasto wczesnym rankiem. Trójkąćik zdaje się rozkwitać. Urządzili sobie wieczorno-nocne party, po którym obie panie zostały u Kevina.

- Naprawdę? - zapytał Bertram. Wydawało mu się nieprawdopodobne, żeby taki niewydarzony naukowiec mógł być wmieszany w równie nieprzyzwoity związek.

- Dobrze wiem - powiedział Siegfried. - Sąsiaduję z Kevinem przez trawnik. Poza tym obie panie spotkałem wcześniej w "Chickee Hut Bar". Obie były już pod dobrą datą i mówiły, że wybierają się do Kevina.

- Dokąd udali się dziś rano?

- Podejrzewam, że do Acalayong. Dozorca widział ich przed świtem, jak odpływali dużą łodzią.

- To znaczy, że mogą się dostać na wyspę od strony wodywarknął Bertram.

- Odpływali na zachód, nie na wschód.

- To mógł być fortel - upierał się Bertram.

- Mógł - zgodził się Siegfried. - Myślałem o takiej możliwości. Rozmawiałem nawet o tym z

Cameronem. Jednak obaj uważamy, że jedynym miejscem, do którego można dopłynąć, jest plaża, którą most łączy z lądem. Reszta wyspy otoczona jest bujnym lasem mangrowym i bagnami.

Wzrok Bertrama powędrował w górę na potężne łby nosorożców, które wisiały na ścianie za Siegfriedem. Ich pozbawione mózgowi czaszki przypominały mu o pozycji szefa Strefy; musiał przyznać, że w tym wypadku miał rację. Kiedy wybierano wyspę dla realizacji projektu, jej niedostępność od strony wody była jedną z zalet.

- A na tej plaży nie mogli wylądować - kontynuował Siegfried - ponieważ ciągle są tam żołnierze i aż ich palce swędzą, żeby trochę sobie postrzelać z tych ich AK-47. - Roześmiał się. - Ile razy pomyślę o roztrzaskanych oknach w samochodzie Melanie, nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

- Może masz rację - Bertram mówił to bez przekonania.

- Oczywiście, że mam rację.

- Ciągle jednak jestem niespokojny. I podejrzliwy. Chcę wejść do gabinetu Kevina.

- Po co?

- Byłem tak głupi, że pokazałem mu, jak wykorzystać oprogramowanie, żeby zlokalizować bonobo. Niestety, przeciwiczył to nawet. Wiem, bo przy kilku okazjach używał tego przez dłuższy czas. Chcę wejść do jego biura i sprawdzić, czy znajdę coś, co podpowie nam, czego szukał.

- No cóż, powiedziałbym, że to brzmi dość rozsądnie. - Siegfried zadzwonił do Auriela, aby załatwił Bertramowi wejście do laboratorium. A do Bertrama powiedział: - Daj mi znać, jeśli coś odkryjesz.

- Nie martw się.

Uzbrojony w kartę magnetyczną Bertram wrócił do laboratorium i wszedł do pracowni Kevina.

Zamknął za sobą drzwi. Najpierw przejrzał biurko. Nic nie znalazł. Obszedł szybko pokój.

Po chwili uwagę Bertrama zwróciły wydruki leżące przy komputerze. Rozpoznał kontury wyspy. Dokładnie przestudiował każdą stronę.

Przedstawiły mapę w różnych skalach. Nie potrafił natomiast zrozumieć znaczenia wyrysowanych na nich kształtów geometrycznych.

Odłożył kartki na bok i zabrał się do przeszukiwania plików w komputerze Kevina.

Nie musiał długo szukać tego, co chciał znaleźć: źródła informacji dla wydruków.

Przez następne pół godziny Bertram był dosłownie sparaliżowany tym, co odnalazł.

Kevin zapisywał drogę, jaką przebywały poszczególne zwierzęta. Po badaniu przez dłuższą chwilę tych danych, wszedł do zgromadzonych przez Kevina informacji o przemieszczaniu się bonobo w czasie kilkunastu godzin. Teraz już był w stanie odtworzyć tajemnicze kształty geometryczne.

- Jesteś cholernie sprytny - powiedział na głos, pozwalając komputerowi prześledzić zapis drogi przebytej przez każde zwierzę.

Zanim zakończył się program, Bertram zauważył problem z bonobo numer sześćdziesiąt i sześćdziesiąt siedem. Z rosnącym niepokojem spróbował uruchomić analizator ruchu obu zwierząt, ale bez powodzenia. Kiedy to mu się nie udało, wrócił do czasu obecnego i zażądał wyświetlenia bieżącej pozycji obu bonobo. Nie zmieniły się ani na jotę.

- Dobry Boże! - jęknął.

W jednej chwili obawy o Kevina zniknęły i zostały zastąpione przez poważniejszy problem.

Bertram wyłączył komputer, złapał wydruki i wybiegł z laboratorium. Pobiegnął prosto do ratusza. Wiedział, że w ten sposób będzie szybciej, niż objeżdżając plac samochodem.

Wbiegł po schodach. Wpadł do sekretariatu.

Aurielo spojrział na niego, ale Bertram zupełnie go zignorował. Bez zapowiedzi niemal wdarł się do biura Siegfrieda.

- Musimy porozmawiać. Natychmiast - powiedział. Brakowało mu oddechu.

Siegfried rozmawiał właśnie z szefem służb zaopatrzeniowych. Obaj wydawali się kompletnie zaskoczeni nagłym pojawieniem się Bertrama.

- To sprawa nie cierpiąca zwłoki - dodał Bertram.

Szef aprowizacji wstał.

- Przyjdę później - powiedział i wyszedł.

- Lepiej, żeby to było ważne - ostrzegł Siegfried.

Bertram wymachiwał wydrukami z komputera.

- Mam bardzo złe wieści - zaczął. Zajął krzesło

opuszczone przez poprzedniego gościa. - Kevin

Marshall znalazł sposób na śledzenie wszystkich bonobo przez cały czas.

- I co z tego?

- Przynajmniej dwie z małp nie ruszają się.

Numer sześćdziesiąt i sześćdziesiąt siedem. Nie poruszyły się od ponad dwadziestu czterech godziny. Jest tylko jedno wyjaśnienie. Nie żyją! Siegfried uniósł brwi.

- Cóż, to tylko zwierzęta - powiedział. -

Zwierzęta przecież też umierają. Musieliśmy spodziewać się pewnych ubytków.

- Nie rozumiesz - stwierdził Bertram z nutą pogardy. - Zlekceważyłeś moje ostrzeżenie o podziale zwierząt na dwie grupy. Mówiłem, że to znamienne. Teraz, niestety, mamy tego dowód.

O ile się na tym znam, zaczęły się zabijać nawzajem!

- Tak uważasz? - zapytał wystraszony Siegfried.

- Według mnie nie ma wątpliwości. Zadręczałem się, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego podzieliły się na dwie grupy. Zdecydowałem, że to dlatego, iż nie zadaliśmy o odpowiednią równowagę między samcami i samicami. Teraz

jestem pewny, że samce zaczęły o nie walczyć.

- Rany boskie! - zawołał Siegfried, kręcąc z

niepokojem głową. - To straszne wieści.

- Gorzej niż straszne. Absolutnie nie do zaakceptowania. Jeżeli nie zadziałamy, to będzie klęska całego programu.

- Co możemy zrobić?

- Przede wszystkim z nikim nie rozmawiać! -

poleciał Bertram. - Jeżeli przyjdzie polecenie, aby odłowić numer sześćdziesiąty albo sześćdziesiąty siódmy, będą kłopoty. Po drugie, i ważniejsze, musimy, tak jak proponowałem wcześniej, sprowadzić małpy do centrum. Nie będą się zabijać, jeżeli znajdą się w pojedynczych klatkach.

Siegfried musiał zaakceptować rady weterynarza. Chociaż zawsze uważał, że z punktu widzenia logistyki i w celu zapewnienia bezpieczeństwa, lepiej, żeby zwierzęta przebywały na wyspie. Teraz uznał, że ten czas minął. Nie można pozwolić zwierzętom, żeby się zabijały. Gdy rozważył to poważnie, uznał, że nie ma wyboru.

- Kiedy powinniśmy je przenieść? - spytał.

- Tak szybko, jak to możliwe - odparł Bertram. -

Do świtu będę dysponował godnym zaufania zespołem opiekunów zwierząt. Zaczniemy od tej grupy, która się oddzieliła. Kiedy będziemy mieli w klatkach wszystkie zwierzęta, co nie powinno zabrać więcej jak dwa, trzy dni, przeniesiemy je na teren centrum weterynaryjnego, które do tego czasu przygotuję.

- Chyba odwołam ten oddział żołnierzy z rejonu mostu - zasugerował Siegfried. - Chyba nie chcemy, aby zaczęli strzelać do twoich ludzi.

- Nigdy nie podobało mi się trzymanie ich w tym miejscu. Bałem się, że mogli strzelać do zwierząt dla zabawy albo zdobycia pożywienia.

- Kiedy powinniśmy powiadomić odpowiednich przełożonych w GenSys? - zapytał Siegfried.

- Dopiero gdy będziemy ze wszystkim gotowi.

Kiedy się upewnimy, ile zwierząt zginęło. Może nasuną nam się też jakieś lepsze pomysły na ostateczne rozwiązanie. Moim zdaniem musimy wybudować doskonalsze schronienie, w którym zwierzęta będą od siebie odizolowane.

- Na to będziemy potrzebowali zgody z góry - przypomniał Siegfried.

- Jasne. - Bertram wstał. - Jediną dobrą rzeczą jest to, że przewidująco sprowadziłem tam te klatki dla małp.

Nowy Jork

Raymond czuł się znacznie lepiej niż w ostatnich dniach. Sprawy zdawały się iść coraz lepiej, i to od samego rana. Tuż po dziewiątej zadzwonił doktor Waller Anderson. Nie tylko zgłosił chęć przystąpienia do przedsięwzięcia, ale od razu miał dwóch klientów gotowych do wpłacenia pierwszej raty i wyjazdu na Bahamy w celu pobrania szpiku kostnego.

Około południa Raymond odebrał telefon od doktor Alice Norwood, której gabinet mieścił się na Rodeo Drive w Beverly Hills. Poinformowała, że udało jej się zrekrutować trzech lekarzy, każdy z dużą prywatną praktyką, którzy bardzo chętnie przystąpią do spółki. Jeden pracował w Century City, drugi w Brentwood a ostatni w Bel-Air. Była przekonana, że ci lekarze wkrótce dostarczą mnóstwa pracy, ponieważ na rynku Zachodniego Wybrzeża był duży popyt na usługi oferowane przez Raymonda.

Jednak najbardziej uradował Raymonda brak

wiadomości od pewnych osób. Nie było telefonu ani od Vinniego Dominicka ani od doktora Daniela Levitza. Tę ciszę uznał za ostateczne pogrzebanie sprawy Franconiego.

O piętnastej trzydziści zadzwonił domofon.

Darlene zorientowała się, o co chodzi, i ze łzami w oczach poinformowała Raymonda, że jego samochód czeka na dole.

Raymond objął dziewczynę i delikatnie poklepał po plecach.

- Następnym razem może będziesz mogła polecieć - pocieszył ją.

- Naprawdę?

- Nie mogę tego zagwarantować, ale postaramy się. - Raymond nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Darlene była w Cogo tylko raz.

Przy innych okazjach samolot miał komplet na przynajmniej jednym z etapów podróży.

Najczęściej samolot leciał z Ameryki do Europy, a stamtąd do Bata. W drodze powrotnej plan lotu był taki sam, z tym że za każdym razem międzylądowanie wypadło w innym mieście europejskim.

Obiecał zadzwonić zaraz po przyjeździe do Cogo,

wziął bagaż i zjechał windą. Wsiadł do oczekującego sedana i wygodnie rozparł się w fotelu.

- Życzy pan sobie mieć radio włączone, sir? - zapytał kierowca.

- Tak, czemu nie - odparł. Już zaczynał się dobrze bawić.

Jazda przez miasto była najtrudniejszą częścią wyprawy. W dobrym czasie dotarli na West Side Highway. Co prawda ruch był spory, ale godzina szczytu jeszcze się nie zaczęła, więc samochody posuwały się dość płynnie. Tak samo było na George Washington Bridge. Po niecałej godzinie wysiadł na lotnisku Teterboro.

Samolot GenSys jeszcze nie został podstawiony, ale tym Raymond się nie przejmował. Usiadł w poczekalni, skąd miał widok na pasy startowe, i zamówił szkocką. W chwili, kiedy podawano mu szklaneczkę, lśniący odrzutowiec GenSys wysunął się z chmur, zniżył lot i wylądował na pasie. Przykołował tuż przed okno, za którym siedział Raymond.

To była piękna biała maszyna, z czerwonymi pasami wzdłuż kadłuba. Jedyne oznaczeniami

były kod N69SU i mała flaga amerykańska na skrzydle ogona.

Jakby na zwolnionym filmie drzwi samolotu otworzyły się i spod nich na płytę lotniska wysunął się trap. Nieskazitelnie wyglądający steward, ubrany w ciemnogrnatowy uniform, stanął w wejściu, następnie zszedł po schodkach i skierował się do budynku portu lotniczego.

Nazywał się Roger Perry. Raymond dobrze go pamiętał. Za każdym razem, kiedy Raymond leciał do Cogo, on i drugi steward, Jasper Devereau, obsługiwali pasażerów.

Po wejściu do budynku Roger natychmiast rozejrzał się po poczekalni. Gdy tylko dojrzał Raymonda, podszedł do niego i zasalutował na przywitanie.

- Czy to cały pański bagaż, sir? - zapytał, chwytając za torbę Raymonda.

- Tak. Czy już wylatujemy? Samolot nie będzie tankował?

Wcześniej zawsze tak było.

- Jesteśmy już gotowi - odpowiedział Roger.

Raymond wstał i wyszedł za stewardem w szare, chłodne, marcowe popołudnie. Kiedy podchodził

do prywatnego luksusowego odrzutowca, miał nadzieję, że jacyś ludzie go widzą. W chwilach takich jak ta, czuł, że to jest życie, do którego został stworzony. Nawet powtarzał sobie, że utrata licencji lekarza paradoksalnie okazała się szczęśliwym trafem.

- Roger, powiedz mi - odezwał się jeszcze, zanim dotarli do schodów. - Czy do Europy mamy komplet? - Za każdym razem, kiedy leciał, na pokładzie spotykał innych członków kierownictwa GenSys.

- Tylko jeden pasażer - odpowiedział Roger. Gdy doszli do trapu, steward stanął z boku i gestem ręki zaprosił na pokład.

Z dwoma stewardami i jednym pasażerem podróż zapowiadała się znacznie przyjemniej, niż sobie wyobrażał, więc z uśmiechem wspinał się po schodach. Kłopoty ostatnich dni wydawały się teraz niewielką zapłatą za luksusy, w jakich miał się pławić.

Na pokładzie samolotu przywitał go Jasper.

Odebrał płaszcz i marynarkę Raymonda i zapytał, czy gość życzy sobie drinka przed odlotem.

- Poczekam - odparł.

Jasper odsunął kotarę oddzielającą pokład pasażerski od kabiny. Przełykając z dumą ślinę, Raymond wszedł do głównej części samolotu. Zastanawiał się, który z głębokich, skórzanych foteli zająć, gdy jego wzrok napotkał spojrzenie drugiego pasażera. Raymonda zmroziło. W tej samej chwili poczuł ucisk w żołądku.

- Kłaniam się, doktorze Lyons. Witamy na pokładzie.

- Taylor Cabot! - wystękał Raymond. - Nie spodziewałem się tu pana.

- Doskonale rozumiem. Sam jestem zaskoczony swoją tu obecnością. - Uśmiechnął się i wskazał fotel obok siebie.

Raymond bez zwłoki zajął wskazane miejsce.

Zwymyślał sam siebie, że nie poprosił o drinka, którego oferował mu Jasper. W gardle zupełnie mu wyschło.

- Okazało się, że w rozkładzie zajęć pojawiła się niespodziewana luka, więc uznałem, że roztropnie będzie skorzystać z okazji i osobiście sprawdzić, jak mają się nasze sprawy w Cogo. To była decyzja podjęta dosłownie w ostatniej

chwili. Oczywiście przy okazji zatrzymamy się w

Zurychu, gdzie spotkam się z kilkoma

bankierami. Mam nadzieję, że nie będzie to dla

pana nadmiernie uciążliwe.

Raymond zaprzeczył głową.

- Nie, absolutnie - odparł stłumionym głosem.

- A jak tam mają się sprawy z projektem

bonobo? - spytał Taylor.

- Bardzo dobrze. Liczymy na wielu nowych

klientów. Właściwie to mamy kłopot, żeby

zaspokoić zapotrzebowanie.

- A co z tym godnym pożałowania epizodem z

Carlem Franconim? Mam nadzieję, że uporał się

pan z tym szczęśliwie?

- Tak, oczywiście - odparł z trudem. Próbował

się nawet uśmiechnąć.

- Jednym z powodów mojej podróży jest chęć

przekonania się, czy projekt rzeczywiście

zasługuje na wsparcie. Szef działu finansowego

twierdzi, że zaczynamy osiągać pewne zyski. Z

drugiej strony dyrektorzy wykonawczy

zachowują rezerwę wobec niebezpieczeństw,

jakie mogą pociągnąć za sobą eksperymenty z

małpami. Muszę więc podjąć decyzję. Mam

nadzieję, że zdoła mi pan w tym pomóc.

- Z pewnością - wydusił z siebie Raymond, gdy usłyszał charakterystyczny warkot uruchamianych silników.

W barze poczekalni sali odpraw lotów międzynarodowych nowojorskiego lotniska JFK atmosfera przypominała przyjęcie. Nawet Lou pił piwo, co chwilę wrzucając do ust orzeszki. Był w doskonałym nastroju i zachowywał się tak, jakby on sam za chwilę wybierał się w podróż. Jack, Laurie, Warren, Natalie i Esteban siedzieli z Lou przy okrągłym stoliku w kącie baru. Nad głowami wisiał telewizor nastawiony na mecz hokeja. Szalony głos komentatora i wrzawa kibiców mieszały się z ogólnie panującym gwarem.

- To był wielki dzień - powiedział podniesionym głosem Lou. - Przyskrzyniliśmy Vida Delbaria i teraz dla ratowania własnego tyłka śpiewa jak z nut. Zdaje się, że mocno nadwerężymy interesy rodziny Vaccarro.

- Co z Angelem Facciolem i Frankiem Pontim? - spytała Laurie.

- To już inna historia - odparł Lou. - Chociaż raz

sędzia stanął po naszej stronie i wyznaczył
kaucję po dwa miliony za każdego. Udało się to
dzięki oskarżeniu o podszywanie się pod
policjantów.

- A w sprawie Domu Pogrzebowego Spoleto? -
pytała dalej Laurie.

- To chyba będzie prawdziwa kopalnia złota.

Właściciel jest bratem żony Vinniego

Dominicka. Pamiętasz go, Laurie, prawda?

Laurie skinęła.

- Jakżebym mogła zapomnieć.

- Kim jest Vinnie Dominick? - zapytał Jack.

- Odegrał zaskakującą rolę w sprawie Cerina -
wyjaśniła Laurie.

- Współpracuje z rodziną Lucia. Znaleźli się w
trudnej sytuacji po upadku Cerina. Ale
przecucie mówi mi, że niedługo przekłujemy
ten ich nadęty balon.

- Dowiedzieliście się czegoś o wtyczce w naszym
zakładzie? - dociekała Laurie.

- Zaraz, zaraz - odparł Lou. - Najpierw sprawy
najważniejsze. Do tego też dojdziemy. Nie
martwcie się.

- Sprawdźcie technika nazwiskiem Vinnie

Amendola - podpowiedziała Laurie.

- Jakiś szczególny powód? - spytał Lou,
zapisując jednocześnie nazwisko w notesie,
który nosił zawsze w kieszeni marynarki.

- Jedynie podejrzenie - wyjaśniła.

- Rozważymy to. Ta historia pokazuje, jak
szybko rzeczy się zmieniają. Wczoraj byłem w
psim nastroju, dzisiaj jestem dzieckiem
szczęścia. Nawet zadzwonił do mnie kapitan z
informacją o możliwym awansie. Możecie w to
uwierzyć?

- Zaslugujesz na niego - stwierdziła Laurie.

Jack poczuł czyjąś rękę na ramieniu. To była
kelnerka. Spytała, czy ma podać jeszcze jedną
kolejkę.

- No, moi drodzy! - zawołał, przekrzykując hałas.

- Jeszcze po piwie?!

Spojrzał na Natalie, która przykryła dłonią
szklankę, pokazując, że ma dość. Wyglądała
rewelacyjnie w purpurowym spodniemie. Była
nauczycielką w państwowej szkole średniej w
Harlemie, ale nie wyglądała jak żadna z
nauczycielek, które Jack pamiętał. Według niego
rysy Natalie przypominały rzeźby egipskie, które

widział Metropolitan Museum, kiedy Laurie zaciągnęła go tam kiedyś. Oczy miała w kształcie migdałów, a usta pełne, zmysłowe. Włosy zaplotła w warkoczyki w najbardziej wyszukany sposób, jaki Jack kiedykolwiek widział. Natalie wyjaśniła, że to specjalność jej siostry.

Warren też pokręcił głową. Nie miał ochoty na kolejne piwo. Siedział obok Natalie. Miał na sobie sportową kurtkę, a pod nią czarny T-shirt. Takie ubranie częściowo maskowało jego muskulaturę. Wyglądał na tak szczęśliwego, jak nigdy dotąd. Usta rozchyłał w półuśmiechu zamiast tradycyjnie zaciskać je w wyrazie determinacji.

- Dziękuję - powiedział Esteban. On także się uśmiechał, nawet szerzej niż Warren.

Jack spojrzał na Laurie.

- Ja też zrezygnuję. Muszę zachować trochę miejsca na wino do obiadu w czasie lotu. -

Kasztanowe włosy splotła w warkocz. Ubrana była w luźną welurową bluzę i legginsy. Jack pomyślał, że odprężona, kipiąca dobrym nastrojem i swobodnie ubrana wygląda jak licealistka.

- Tak, chętnie wypiję jeszcze jedno - powiedział

Lou.

- Jedno piwo i rachunek - poprosił Jack.

- Co robiliście dzisiaj? - spytał Lou.

- Laurie i pozostali załatwili wizy, a ja bilety. -

Jack klepnął się po brzuchu. - Wymieniłem też dolary na franki francuskie i kupiłem pas na pieniądze. Powiedziano mi, że w tej części Afryki franki są mocną walutą.

- Co będziecie robić po przylocie?

Jack wskazał na Estebana.

- Nasz emigrant odpowiada za dalsze plany.

Jego kuzyn ma na nas czekać na lotnisku, a brat jego żony prowadzi hotelik.

- Nie powinniście więc mieć kłopotów. Co później?

- Kuzyn Estebana zajmie się wynajęciem samochodu. Potem pojedziemy do Cogo.

- Taka mała turystyczna przejażdżka?

- To niezły pomysł - stwierdził Jack.

- Dużo szczęścia - życzył Lou.

- Dziękujemy. Zapewne nam się przyda.

Pół godziny później wesołe towarzystwo, z wyjątkiem Lou, zajęło miejsca na pokładzie 747 i

schowało bagaże podręczne. Ledwie się rozgościli, potężny samolot drgnął i pokołował na pas startowy. Chwilę później silniki zawyły i maszyna ruszyła.

Laurie poczuła, że Jack złapał ją za rękę.

Odwzajemniła uścisk.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Skinął głową.

- Po prostu nie lubię latać samolotem - powiedział.

Laurie zrozumiała.

- Ruszyliśmy - odezwał się uszczęśliwiony

Warren. - Afryko, nadchodzimy!

ROZDZIAŁ 19

8 marca 1997 roku

godzina 2.00

Cogo, Gwinea Równikowa

- Śpisz? - szepnęła Candace.

- Żartujesz? - odszepnęła Melanie. - Jak mam spać na skale przykrytej kilkoma gałęziami?

- Też nie mogę zasnąć. Szczególnie z tym chrapaniem dookoła. Co z Kevinem?

- Nie śpię - odparł.

Znajdowali się w małej grocie prowadzącej do

głównej jaskini, zaraz za wejściem. Ciemność była prawie całkowita. Nieco bladego, odbitego od skał światła księżyca wpadało przez otwór.

Trójka przyjaciół została tu umieszczona zaraz po przybyciu do jaskini. Grota miała nieco ponad trzy metry szerokości. Sufit stromo opadał. W najwyższym miejscu strop znajdował się na wysokości głowy Kevina. Nie było tylnej ściany. Grota przechodziła w wąski tunel.

Wcześniej, wieczorem, Kevin oświetlił tunel latarką, mając nadzieję że znajdzie inne wyjście, ale przejście kończyło się nagle po około dziesięciu metrach.

Bonobo traktowały ich dobrze nawet po chłodnym przyjęciu przez samice. Właściwie zwierzęta była jakby oczarowane ludźmi i zamierzały utrzymywać ich przy życiu i w dobrej kondycji. Dostarczyły im mętnej wody w tykwach i różnego rodzaju pożywienia. Niestety były to larwy, robaki i insekty, a wszystko z dodatkiem pewnego gatunku turzycy znad Lago Hippo.

Późnym popołudniem bonobo roznieciły ogień w wejściu do jaskini. Kevin był bardzo

zainteresowany, jaką metodą dokonują tego wyczynu, ale znajdował się zbyt daleko, aby poznać tajemnicę. Grupa małp otoczyła miejsce ciasnym kołem i pół godziny później ukazał się dym.

- No i mamy odpowiedź dotyczącą dymu - powiedział Kevin.

Zwierzęta nabiły upolowane małpy na żerdzie i zaczęły opiekać nad ogniem. Następnie rozerwały zdobycz na części i z wielkim aplauzem rozdzielono między siebie. Wydając te wszystkie pohukiwania i wrzaski, dały oczywisty dowód, że mięso małp musi być dla nich nie lada przysmakiem.

Bonobo numer jeden oderwał pełną garścią kilka kęsów, położył na dużym liściu i przyniósł ludziom. Tylko Kevin gotów był spróbować.

Stwierdził, że to najtwardsza rzecz, jaką przyszło mu kiedykolwiek żuć. Gdy zapytały o smak, odparł, że bardzo przypomina mu mięso słonia, którego miał okazję kiedyś skosztować. W zeszłym roku Siegfried upolował leśnego słonia na jednej ze swoich wypraw myśliwskich i po odcięciu ciosów część mięsa została wycięta i

ugotowana w centralnej kuchni.

Bonobo nie próbowały uwięzić ludzi i nie zakazały im rozwiązać sznura, którym byli związani. Jednocześnie zwierzęta dały do zrozumienia, że ludzie mają zostać w swojej małej gocie. Przez cały czas przynajmniej dwa z większych samców bonobo przebywały w pobliżu. Za każdym razem, gdy Kevin lub któraś z kobiet próbowali się wychylić, strażnicy krzyczeli i wyli. Bardziej przerażające było dzikie obnażanie ostrych kłów. W ten sposób utrzymywali swoich więźniów w miejscu.

- Musimy coś zrobić - powiedziała Melanie. - Nie możemy tu zostać na zawsze. I jest chyba oczywiste, że powinniśmy to zrobić teraz, kiedy śpią.

Wszystkie bonobo w jaskini, włączając w to owych strażników, błyskawicznie posnęły na prymitywnych posłaniach z gałęzi i liści.

Większość chrapała.

- Uważam, że powinniśmy za wszelką cenę unikać rozgniewania ich - odparł Kevin. - Mamy szczęście, że jak dotąd traktują nas tak dobrze.

- Poczęstunku robactwem nie zwykłam nazywać

dobrym traktowaniem - zaprotestowała Melanie.

- Poważnie, musimy coś zrobić. Poza tym mogą zmienić swój stosunek do nas. Nie sposób przewidzieć ich zachowania.

- Wolę poczekać - uparł się Kevin. - Teraz jesteśmy nowością, ale w końcu stracą zainteresowanie nami. Ponadto w mieście na pewno zauważą naszą nieobecność. Siegfried lub Bertram nie będą potrzebowali dużo czasu, żeby się domyślić, dokąd popłynęliśmy, i zjawią się po nas.

- Nie jestem przekonana. Siegfried może uznać nasze zniknięcie za szczęśliwy obrót sprawy.

- Siegfried może i tak, ale nie Bertram. W sumie jest porządnym człowiekiem.

- Co o tym sądzisz, Candace? - spytała Melanie. -

Nie wiem, co myśleć. Sytuacja wykroczyła tak daleko poza to, czego się spodziewałam, że nie mam pojęcia, jak zareagować. Cała zdrętwiałam.

- Co zrobimy, gdy pojawimy się z powrotem w mieście? - spytał Kevin. - Przecież nie będziemy mogli ot tak o wszystkim opowiedzieć.

- Jeżeli wrócimy - dodała Melanie.

- Nie mów tak - odezwała się Candace.

- Musimy stanąć twarzą w twarz z faktami -
upomniła ją Melanie. - Dlatego uważam, że
musimy zrobić coś teraz, gdy śpią.

- Nie mamy pojęcia, jak mocno śpią -
perswadował Kevin. - Wyjście stąd może
przypominać przejście przez pole minowe.

- Jedno jest pewne - wtrąciła Candace. - Nie
zamierzam uczestniczyć w ani jednym zabiegu
więcej. Źle się czułam, gdy myślałam, że to są
małpy. No a teraz, kiedy mamy do czynienia z
praczlówkiem, nie potrafię tego znieść. Tyle o
sobie już wiem.

- To przesądzona sprawa - odparł Kevin. - Nie
umiem sobie wyobrazić, aby jakakolwiek czująca
istota ludzka mogła myśleć inaczej. Lecz to nie
jest kwestia do dyskusji w tej chwili. Problem w
tym, że ta nowa rasa istnieje, a co się z nimi
stanie, jeśli nie wykorzysta się ich do
transplantacji?

- Czy one mogą się rozmnażać? - zastanowiła się
Candace.

- Większość z pewnością - odparła Melanie. - Nie
ingerowano w ich zdolność do reprodukcji.

- O rety! - jęknęła Candace. - To zaczyna być

horror.

- Może powinniśmy je sterylizować. Mielibyśmy teraz tylko jedno pokolenie na sumieniu.

- Żałuję, że nie pomyślałem o tym wszystkim, zanim przystąpiłem do realizacji projektu.

Jednak kiedy odkryłem możliwość wymiany fragmentów chromosomu, byłem tak zafascynowany, że kompletnie zapomniałem o rozważeniu innych okoliczności.

Nagle niebo rozbłysło jasnym, krótkim światłem, po którym rozległ się głośny grzmot. Jaskinia rozświetliła się na moment. Wstrząs zdawał się poruszyć całą górą. Gwałtowne wyładowanie była naturalną zapowiedzią, że kolejna nawałnica zamierza zalać wyspę potokiem deszczu.

- Oto argument przemawiający za moim stanowiskiem - powiedziała Melanie, gdy ucichł odgłos grzmotu.

- Co masz na myśli? - spytał Kevin.

- Ten grzmot był dostatecznie głośny, żeby obudzić umarłego - odparła. - A ani jedna z małp nawet nie mrugnęła.

- To prawda - przytaknęła Candace.

- Myślę, że przynajmniej jedno z nas powinno spróbować wydostać się stąd - stwierdziła

Melanie. - W ten sposób upewnimy się, że Bertram zostanie zaalarmowany, co się tu dzieje, i będzie mógł zorganizować ekipę ratunkową.

- Chyba się zgadzam - powiedziała Candace.

- Oczywiście, że się zgadzasz - stwierdziła

Melanie.

Przez kilka chwil panowało milczenie. W końcu Kevin przerwał ciszę.

- Poczekaj sekundę. Chyba nie sugerujecie, że to ja mam iść?

- Nie dostałabym się do łodzi, nie mówiąc już o wiosłowaniu - wyznała Melanie.

- Dostać, to bym się może i dostała, ale wiosłowanie w ciemności odpada - dodała Candace.

- I obie uważacie, że ja dam radę?

- Z pewnością prędzej ty niż my - potwierdziła Melanie.

Poczuł dreszcz. Pomysł przekradania się do łodzi po nocy, kiedy hipopotamy są na lądzie i skubią trawę, był przerażający. Niemal bardziej przerażająca wydawała się myśl o wiosłowaniu

przez jezioro pełne krokodyli.

- Może uda ci się schować w łódce do świtu - zaproponowała Melanie. - Najważniejsze, żeby wyjść z jaskini i wydostać się poza zasięg tych istot, dopóki śpią.

Pomysł żeby przeczekać w łódce był lepszy od wiosłowania po ciemnym jeziorze, jednak i to nie załatwiało problemu potencjalnego niebezpieczeństwa związanego ze znalezieniem się na błotnistym terenie hipopotamów.

- Pamiętaj, że przyjazd tu był twoim pomysłem - rzuciła Melanie.

Kevin zamierzał ostro zaprotestować, ale zrezygnował. W pewnym sensie była to prawda. To on powiedział, że jedynym sposobem poznania, co dzieje się z bonobo, jest dotarcie na wyspę. Ale od tej chwili decydujący głos miała Melanie.

- To była twoja sugestia - odezwała się Candace.

- Dobrze pamiętam. Byliśmy w twoim gabinecie.

To było wtedy, gdy po raz pierwszy pojawiło się pytanie o dym.

- Ależ ja tylko powiedziałem... - zaczął, lecz nie skończył. Z doświadczenia wiedział, że nie

potrafi spierać się z Melanie, szczególnie gdy Candace wspiera ją tak jak teraz. Poza tym z miejsca, w którym siedział, widział oświetloną słabym światłem księżyca ścieżkę prowadzącą od ich małej grotki aż do wyjścia. Oprócz kilku kamieni i gałązek nie było żadnych przeszkód. Zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście nie mógłby tego zrobić. Może najlepiej nie myśleć o hipopotamach. Może rzeczywiście nie warto liczyć na gościnność tych istot. Nie ze względu na małpie dziedzictwo, lecz ludzkie.

- Dobrze - powiedział Kevin z nagłym postanowieniem. - Spróbuję.

- Hura - odpowiedziała Melanie.

Kevin stanął na czworakach. Trząśnięcie na samą myśl, że w pobliżu znajduje się z pięćdziesiąt potężnych i dzikich zwierząt, które chcą, aby on został tam, gdzie jest.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, po prostu wracaj tu tak szybko jak się da - powiedziała Melanie.

- W twoich ustach brzmi to tak łatwo - zauważył Kevin.

- Tak będzie - zapewniła go Melanie. - Bonobo i szympansy zasypiają zaraz po zmroku i śpią aż

do świtu. Nie będziesz miał żadnych kłopotów.

- A co z hipopotamami? - zapytał.

- A co ma być? - odpowiedziała pytaniem.

- Nieważne. Mam już dość innych zmartwień.

- Dobra. No to szczęścia - szepnęła na

pożegnanie Melanie.

- Tak, dużo szczęścia - dodała Candace.

Spróbował wstać i wyjść z groty, ale nie potrafił.

Cały czas powtarzał sobie, że nigdy nie był

bohaterem, a teraz nie był dobry czas, aby to

zmieniać.

- O co chodzi? - zapytała Melanie.

- Nic - odparł. Nagle gdzieś w zakamarkach

samego siebie odnalazł dość odwagi. Podniósł

się i przygarbiony ruszył księżycową ścieżką do

wylotu jaskini.

Idąc przed siebie, zastanawiał się, czy będzie

lepiej, jeśli zacznie się skradać, czy raczej

powinien szybkimi krokami dobiec do łodzi. Być

ostrożnym czy postawić na jedną kartę.

Ostrożność wygrała. Stawiał małe, starannie

przemyślane kroki. Zawsze gdy stopa robiła

najłżejszy choćby hałas, wykrzywił się i zastygał

w ciemności. Wszędzie dookoła siebie słyszał

chrapliwe oddechy śpiących stworzeń.

Kilka metrów od wyjścia jedna z małp tak gwałtownie się poruszyła, że gałęzie jej posłania z hałasem popękały. Znowu Kevin zatrzymał się w pół kroku, serce waliło mu jak młot. Ale zwierzę tylko się pokręciło i znowu jego ciężki oddech dał Kevinowi znać, że małpa śpi. Gdy stał bliżej wejścia, gdzie dochodziło więcej światła, dostrzegł całkiem wyraźnie sylwetki bonobo leżące dookoła. Widok tak wielu śpiących bestii śmiertelnie go sparaliżował.

Dopiero po minucie zdołał ruszyć w swój marsz ku wolności. Zaczął nawet czuć pierwszy podmuch ulgi, kiedy zapach wilgotnej dżungli zastąpił smród panujący w jaskini. Lecz ulga ta miała krótki żywot.

Kolejny grzmot i gwałtowne strumienie tropikalnej ulewy tak przestraszyły Kevina, że niemal stracił równowagę. Tylko dzięki szalonym wymachom ramion utrzymał się na nogach na ścieżce prowadzącej ku wyjściu.

Strach go zdjął, kiedy zdał sobie sprawę, jak bliski był nadeptnięcia na leżące zwierzę.

Po przejściu kolejnych trzech metrów mógł

dostrzec zarysy ciemnej dżungli poniżej jaskini.

Nocne dźwięki lasu dochodziły do niego pomimo chrapania małp. Był tak blisko wyjścia, że zaczął się martwić o to, jak zejść na dół po stromym zboczu, kiedy stało się nieszczęście. Serce podskoczyło mu do gardła, gdy poczuł czyjąś dłoń na swojej nodze! Coś złapało go za kostkę z taką siłą, że łzy napłynęły mu do oczu.

Spoglądając w dół w półmroku, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł był jego zegarek na włochatej ręce muskularnego bonobo numer jeden.

"Tada" zawołała małpa, zrywając się z posłania i zatrzymując Kevina. Szczęśliwie ta część jaskini wymoszczona była dość gęsto gałązkami, które zamortyzowały upadek Kevina. Tym niemniej upadł niezdarnie na lewe biodro.

Okrzyk numeru jeden zbudził inne bonobo.

Zapanował chaos i harmider, zanim stworzenia zorientowały się, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Bonobo numer jeden puścił kostkę u nogi Kevina, ale złapał go za przedramiona.

Demonstrując swoją siłę, podniósł Kevina i trzymał go nad ziemią na wyciągniętych ramionach.

Bonobo zawył dźwiękiem, głośnym i pełnym złości okrzykiem. Twarz Kevina wykrzywił grymas bólu, tak silny był uścisk zwierzęcia.

Kiedy wycie umilkło, wielki samiec zbliżył się do wejścia do małej groty i wręcz wrzucił do niej Kevina. Jeszcze raz ryknął ze złości i wrócił na swoje posłanie.

Kevin ledwo się pozbierał i usiadł. Znowu wylądował na biodrze. Zaczął odczuwać w nim tępy ból. Skręcił sobie także nadgarstek i zdarł łokieć. Jednak biorąc pod uwagę, że został dosłownie rzucony w powietrze, miał się lepiej, niż można było przypuszczać.

Z jaskini dobiegały go jeszcze okrzyki, chyba bonobo numer jeden, ale w ciemnościach Kevin nie mógł mieć pewności. Dotknął prawego łokcia. Wiedział, że klejące ciepło pod palcami to musi być krew.

- Kevin? - szepnęła Melanie. - Nic ci nie jest?

- Czuję się tak dobrze, jak można się czuć w tych okolicznościach.

- Dzięki Bogu! Co się stało?

- Nie wiem. Myślałem, że mam to już za sobą.

Byłem tuż przy wyjściu z jaskini.

- Jesteś ranny? - zapytała Candace.

- Lekko. Ale żadna kość nie jest złamana.

Przynajmniej tak mi się zdaje.

- Nie mogliśmy dojrzeć, co się działo -

powiedziała Melanie.

- Mój dubler mnie ucałował. Tak bym to nazwał. A

potem wrzucił mnie tu. Dobrze, że nie

wylądowałem na którejś z was.

- Przykro mi, że namawiałam cię do wyjścia -

powiedziała Melanie. - Chyba to ty miałeś rację.

- Miło, że to mówisz. Cóż, prawie się udało.

Byłem tak blisko.

Candace włączyła latarkę, zasłaniając dłonią

światło. Zbliżyła ją do ramienia Kevina, żeby

obejrzeć łokieć.

- Zdaje się, że musimy zdać się na Bertrama

Edwardsa - stwierdziła Melanie. Przeszedł po

niej dreszcz. Westchnęła. - Trudno uwierzyć, ale

jesteśmy więźniami istot, które sami

stworzyliśmy.

ROZDZIAŁ 20

8 marca 1997 roku

godzina 16.40

Bata, Gwinea Równikowa

Jack uświadomił sobie, że z całej siły zaciska zęby. Trzymał także rękę Laurie i to znacznie mocniej, niż to byłoby usprawiedliwione.

Zażenowany spróbował się rozluźnić.

Problemem okazał się nocny lot z Douala w Kamerunie do Bata. Linia lotnicza wysyłała w nocne loty małe, pasażerskie samoloty, takie, jakie spędzały sen z powiek Jacka, rodząc koszmarne wspomnienia o śmierci jego rodziny.

Lot nie był łatwy. Samolot bez przerwy podskakiwał w piętrzących się, burzowych chmurach, mieniących się wszystkimi kolorami - od czystej bieli po ciemną purpurę. Od czasu do czasu pojawiały się błyskawice i maszyną targały gwałtowne turbulencje.

Poprzednia część podróży była jak senne marzenie. Lot z Nowego Jorku do Paryża był spokojny, niczym nie zakłócony. Wszyscy odespali przynajmniej kilka godzin. Do Paryża przylecieli dziesięć minut przed czasem, mieli go więc aż nadto, żeby zdążyć się przesiąść na linie kameruńskie. Podczas przelotu na południe do Douala spali nawet jeszcze dłużej. Ale ostatni odcinek do Bata podniósł im wszystkim włosy na

głowie.

- Lądujemy - powiedziała Laurie do Jacka.

- Mam nadzieję, że jest to lądowanie

kontrolowane.

Wyjrzał przez brudne okno samolotu. Jak się

spodziewał, pod nimi ścielił się jednolicie

zielony dywan. Gdy wierzchołki drzew zbliżały

się coraz bardziej i bardziej, Jack myślał tylko o

tym, czy przed nimi jest jakiś pas do lądowania.

Miał nadzieję, że jest.

Ostatecznie wylądowali na polu startowym. Jack

i Warren jednocześnie odetchnęli głęboko z ulgą.

Kiedy przestraszeni podróżni opuszczali mały,

wiekowy samolot, Jack popatrzył przez źle

utrzymany pas startowy i zobaczył coś dziwnego.

Na tle zielonej dżungli bielił się lśniący,

nowoczesny odrzutowiec. Dookoła samolotu

stali żołnierze w polowych mundurach i

czerwonych beretach. Chociaż pozornie

zachowywali postawę swobodną, faktycznie

rozglądali się z uwagą wokół siebie. Z ramion

zwisły im automaty.

- Czyj to samolot? - Jack zwrócił się do

Estebana. Bez znaków rozpoznawczych wyglądał

na prywatny.

- Nie mam pojęcia.

Poza Estebanem reszta była zupełnie nie przygotowana na panujący na lotnisku chaos.

Wszyscy zagraniczni turyści musieli przejść odprawę celną. Cała grupa wraz z bagażem została zabrana do jakiejś bocznej sali.

Prowadziło ich do tego nieprawdopodobnego miejsca dwóch ludzi w brudnych mundurach i z wiszącymi u pasów pistoletami.

Zaraz na początku wyrzucono z tej sali Estebana, ale po głośnej kłótni w miejscowym dialekcie - szczególnie głośno słyhać było Estebana - pozwolono mu wrócić. Wszystkie bagaże były otwierane, a zawartość wyrzucana na blat wielkości stolika piknikowego.

Esteban wyjaśnił Jackowi, że ci ludzie czekają na łapówkę. W pierwszej chwili Jack odmówił dla zasady. Jednak kiedy okazało się, że odprawa może trwać godzinami, zmiękł. Franki francuskie rozwiązały problem.

Gdy wyszli do głównej sali lotniska, Esteban przeprosił ich.

- To tutaj poważny kłopot - mówił. - Wszyscy

państwowi urzędnicy biorą łapówki.

Przywitał ich Arturo, kuzyn Estebana. Był mocno zbudowanym, nadzwyczaj przyjacielsko nastawionym człowiekiem o błyszczących oczach i lśniących zębach. Z entuzjazmem, serdecznie potrzasał dłońmi gości z Ameryki. Ubrany był w afrykański strój ludowy: powłóczystą szatę z jaskrawo kolorowego materiału, na głowie nosił sztywną, okrągłą czapkę bez daszka.

Wyszli z budynku lotniska wprost w gorące, parne powietrze równikowej Afryki. Jak okiem sięgnąć, rozciągał się płaski teren.

Późnopołudniowe niebo nad ich głowami miało ciemnoniebieski odcień, ale nad horyzontem kłębiły się potężne chmury burzowe.

- Człowieku, ciągle nie mogę uwierzyć - powiedział Warren. Rozglądał się dookoła niczym dzieciak w sklepie z zabawkami. - Od lat marzyłem, żeby tu przyjechać, ale nigdy nie sądziłem, że mi się uda. - Spojrzał na Jacka. - Dzięki, stary! Przybij! - Warren wyciągnął rękę.

Przybili piątkę, jakby stali na boisku koszykarskim i dziękowali sobie za wygrany

wspólnie mecz.

Arturo przyjechał wypożyczonym minivanem, który zaparkował przy krawężniku. Wcisnął stojącemu przy samochodzie policjantowi kilka banknotów i gestem zaprosił swych gości do auta.

Esteban nalegał, aby przy kierowcy usiadł Jack.

Jack był zbyt zmęczony, żeby się sprzeczać, i zajął honorowe miejsce. Była to stara toyota, w której za przednią kanapą ustawiono jeszcze dwie ławki. Laurie i Natalie zajęły ostatnią, a Esteban z Warrenem środkową. Kiedy opuścili lotnisko, przed ich oczyma rozpostarł się ocean. Plaża była szeroka i piaszczysta. Łagodne fale obmywały brzeg.

Kiedy ujechali kawałek drogi, minęli duży, nie dokończony betonowy budynek, wyblakły i spękany. Zardzewiałe pręty zbrojeniowe wystawały jak kolce jeżowca. Jack zapytał, co to takiego.

- To miał być hotel turystyczny - wyjaśnił Arturo.

- Ale zabrakło pieniędzy i turystów.

- Wyjątkowo kiepska kombinacja dla takiego

interesu - skomentował Jack.

Esteban zaczął grać rolę przewodnika, wskazując kolejne obiekty i objaśniając, czym są, a Jack tym, czasem spytał Arturo, czy daleko muszą jechać.

- Nie, dziesięć minut.

- Słyszałem, że pracował pan dla GenSys.

- Trzy lata. Ale dość tego. Szef to zły człowiek.

Wolę zostać w Bata. Jestem szczęśliwy, bo mam pracę.

- Chcielibyśmy odwiedzić posiadłość GenSys - oświadczył Jack. - Sądzi pan, że będą jakieś przeszkody?

- A spodziewają się was? - zapytał Arturo z niedowierzaniem.

- Nie. To niespodziewana wizyta.

- W takim razie będą przeszkody. Moim zdaniem nie lubią gości. Kiedy wyremontowali jedyną drogę do Cogo, ustawili też bramę wjazdową. Strzeżona jest całą dobę przez żołnierzy.

- Ho, ho! To nie brzmi dobrze. - Jack nie spodziewał się ograniczonego dostępu do miasta i sądził, że wjedzie do niego bez trudności.

Sądził, że może mieć kłopoty dopiero przy wejściu do szpitala lub laboratorium.

- Kiedy Esteban dzwonił i mówił, że chce pan pojechać do Cogo, myślałem, że jesteście zaproszeni. Nie wspominałem więc o bramie.

- Rozumiem. To nie pańska wina. Proszę mi powiedzieć, czy pańskim zdaniem można przekupić strażników.

Arturo rzucił mu szybkie spojrzenie i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Na pewno są lepiej opłacani niż normalni żołnierze.

- Jak daleko od miasta ustawiono posterunek?

Czy można obejść go lasem? - spytał Jack.

Arturo znowu spojrzał na Jacka. Rozmowa zmierzała w kierunku, którego się nie spodziewał.

- To dość daleko - odparł, okazując wyraźne zaniepokojenie. - Może pięć kilometrów. Po dżungli nie tak łatwo się poruszać. To może być nawet niebezpieczne.

- I jest tylko jedna droga?

- Tylko jedna - potwierdził Arturo.

- Na mapie widziałem, że Cogo leży nad wodą.

Czy dałoby się dopłynąć do miasta?

- Tak sądzę.

- Gdzie można znaleźć jakąś łódkę?

- W Acalayong. Pełno tam łodzi. Tak można dotrzeć do Gabonu.

- Czy są też łodzie do wynajęcia?

- Za odpowiednie pieniądze - odparł Arturo.

Przejeżdżali właśnie przez centrum Bata.

Tworzyły je zaskakująco szerokie, rzadko rozsiane ulice wyznaczone rzędami drzew. Sporo ludzi chodziło po ulicach, pojazdów było jednak niewiele. Wszystkie budynki były niskie i betonowe.

W południowej części miasta zjechali z głównej szosy i wjechali na pokrytą koleinami, pozbawioną bruku drogę. Po ostatnim deszczu potworzyły się na niej ogromne kałuże.

Hotel nie imponował swym wyglądem. Piętrowy, betonowy budynek z wystającymi zbrojeniami, umożliwiającymi w przyszłości ewentualną rozbudowę. Fasadę pomalowano kiedyś na niebiesko, ale kolor dawno wyblakł, zmieniając się w nieokreślony pastelowy odcień.

W chwili kiedy się zatrzymali, przez frontowe drzwi wysypała się gromadka dzieci i dorosłych z rodziny Artura. Wszyscy zostali przedstawieni,

aż do najmłodszego, zawstydzonego dzieciaka.

Okazało się, że na parterze mieszka kilka wielopokoleniowych rodzin. Na pierwszym piętrze mieściła się część hotelowa.

Pokoje były maleńkie, ale czyste. Wszystkie były usytuowane w środkowej części budynku zbudowanego na planie litery U. Wchodziło się do nich od strony werandy wychodzącej na podwórko. Na każdym z końców litery U znajdowała się toaleta i prysznic.

Jack wszedł do pokoju i postawił torbę. Ucieszył się z moskitiery zawieszanej nad wyjątkowo wąskim łóżkiem, rozejrzał się jeszcze i wyszedł na werandę. Laurie także wyszła ze swojego pokoju. Stanęli obok siebie wsparci o balustradę i spoglądali w dół, na podwórko. Przed oczyma mieli ciekawą kombinację drzew bananowca, starych opon, nagich dzieci i kurczaków.

- To nie cztery gwiazdki - powiedział Jack.

Laurie uśmiechnęła się.

- Jest uroczo. Cieszę się. W moim pokoju nie ma żadnego robaka. Tego bałam się najbardziej.

Właściciel, szwagier Estebana Florencio i jego żona Celestina, przygotowali wspaniałą ucztę.

Głównym daniem była miejscowa ryba podawana z malangą, tutejszą rośliną podobną do rzepy. Na deser zaproponowano rodzaj puddingu z egzotycznymi owocami. Obficie lane, dobrze schłodzone piwo kameruńskie pozwoliło doskonale spłukać posiłek.

Sute jedzenie i niemała ilość piwa nie pozwoliły długo czekać na rezultaty. Zmęczonym podróżnym wkrótce zaczęły się kleić oczy. Z widocznym wysiłkiem wdrapali się po schodach na piętro i z żelaznym postanowieniem wczesnej pobudki i wyjazdu na południe rozeszli się do swoich pokoi.

Bertram wszedł na górę do biura Siegfrieda. Był wyczerpany. Dochodziła dwudziesta trzydzieści.

Od piątej trzydzieści rano towarzyszył pracownikom obsługi weterynaryjnej na Isla Francesca i pomagał w masowym wyłapywaniu zwierząt. Pracowali cały dzień i dopiero godzinę temu wrócili do centrum.

Aurielo już dawno poszedł do domu, więc Bertram wszedł prosto do gabinetu szefa. Siegfried z kieliszkiem w ręku stał przy oknie wychodzącym na plac. Spoglądał w stronę

szpitala. Pokój oświetlał jedynie płomień świecy umocowanej w czaszce, tak samo jak trzy wieczory wcześniej. Podwieszony pod sufitem wentylator poruszał powietrzem, drżący płomyk wysyłał blaski i cienie między wiszące na ścianach trofea myśliwskie.

- Zrób sobie drinka - powiedział Siegfried, nie odwracając się od okna. Pół godziny wcześniej rozmawiali przez telefon i umówili się na spotkanie, więc wiedział, że to Bertram.

Bertram nie był zwolennikiem mocnych trunków, wolał wino, lecz w tych okolicznościach nalał sobie podwójną szkocką. Pociągnął spory łyk, przyłączając się do stojącego przy oknie Siegfrieda. W nocy przesyconej tropikalną mgiełką lśniły ciepłym światłem szpitalnego laboratorium.

- Wiedziałeś, że Taylor Cabot przyjedzie? - zapytał Bertram.

- Nie miałem pojęcia.

- Co z nim zrobisz?

Siegfried wskazał w stronę szpitala.

- Jest w stołówce. Wyprowadziłem ordynatora chirurgii z tego, co nazywamy apartamentem

prezydenckim. Oczywiście nie wyglądał na
szczęśliwego. Wiesz, jacy są ci egoistyczni
lekarze. Ale co miałem zrobić? Nie prowadzę tu
hotelu.

- Wiesz, po co przyleciał?

- Raymond twierdzi, że chce się specjalnie
przyjrzeć programowi z bonobo.

- Tego się bałem - stęknął Bertram.

- Takie to nasze szczęście - narzekał Siegfried. -

System przez lata pracował jak szwajcarski
zegarek, a on pojawia się właśnie wtedy, kiedy
mamy kłopoty.

- Co zrobiłeś z Raymondem?

- Też tam jest. Wrzód na dupie. Chce być jak
najdalej od Cabota. A gdzie, do cholery, mam go
wsadzić? Do siebie? Nie, dziękuję bardzo!

- Pytał o Kevina Marshalla?

- Jasne. Zaraz, gdy wziął mnie na stronę, to było
jego pierwsze pytanie.

- I co powiedziałaś?

- Prawdę. Że Kevin zniknął z głównym
technologiem z oddziału zapłodnień i
pielęgniarką z intensywnej terapii i że nie mam
pojęcia, gdzie się teraz podziewają.

- Jak zareagował?

- Zrobił się czerwony na twarzy. Pytał, czy Kevin pojechał na wyspę. Powiedziałem, że nie wydaje nam się. Rozkazał go odnaleźć. Możesz sobie wyobrazić? Nie przyjmuję rozkazów od Raymonda Lyonsa.

- Więc tamci się nie pojawili? - spytał Bertram.

- Nie, ani słowa o nich.

- Zrobiłeś coś, żeby ich znaleźć?

- Wysłałem Camerona do Acalayong, żeby sprawdził te hoteliki nad wodą, ale nie miał szczęścia. Myślę, że mogli popłynąć dalej do Cocobeach w Gabonie. To najbardziej prawdopodobne, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego nikomu nic nie powiedzieli.

- Co za piekielny bajzel - skomentował Bertram.

- Jak tam twoja robota na wyspie? - spytał Siegfried.

- Biorąc pod uwagę, w jakim pośpiechu zorganizowaliśmy całą akcję, poszło dobrze. Przewieźliśmy tam terenówkę z przyczepą. To wszystko, co przyszło nam do głowy, żeby przewieźć małpy z powrotem na ląd.

- Ile zwierząt złapałeś?

- Dwadzieścia jeden. To wymaga uznania dla zespołu. W tym tempie powinniśmy do jutra być gotowi.

- Szybko - skomentował Siegfried. - To pierwsza dobra wiadomość od rana.

- Idzie łatwiej, niż przypuszczałem. Zwierzęta wydają się nami zafascynowane. Pozwalają podejść z pistoletem do usypiania całkiem blisko. Jak polowanie na indyki.

- Cieszę się, że chociaż coś idzie dobrze.

- Te dwadzieścia jeden zwierząt to cała grupa, która się oddzieliła i mieszkała na północ od Rio Diviso. Interesujące, jak one żyły. Zbudowały szałas z gałęzi i przykryły je liśćmi.

- Gówno mnie obchodzi, jak te zwierzaki żyły - warknął Siegfried. - Tylko mi nie mów, że ty też mięknieś.

- Nie, nie mięknę. Niemniej uważam, że to ciekawe. Znaleźliśmy także dowody, że rozpalały ogniska.

- No to tym lepiej, że wsadzimy je do klatek. Nie będą się nawzajem zabijać i nie będą więcej rozpalać ognia.

- Tak też można na to patrzeć - zgodził się

Bertram.

- Jakieś ślady pobytu Kevina i kobiet na wyspie?

- spytał Siegfried.

- Najmniejszych. A specjalnie szukałem. Gdyby

tam byli, zostałyby ślady butów, a nic nie

znaleźliśmy. Część dnia straciliśmy na budowę

mostu przez rzekę, więc jutro zajmiemy się

wyłapywaniem zwierząt w pobliżu skał. Oczywiście

będę miał szeroko otwarte na wszelkie ślady.

- Wątpię, żebyś coś znalazł, ale póki nie wiemy,

gdzie są, musimy uważać ich pobyt na wyspie za

możliwy. Ale coś ci powiem, jeżeli poszli tam i

wrócą tutaj cali, wyślę ich przed ministra

sprawiedliwości tego kraju z oskarżeniem, że

wielokrotnie narazili operację GenSys na

całkowite fiasko. Zostaną postawieni przed

plutonem egzekucyjnym na boisku piłkarskim

tak szybko, że nawet się nie zorientują, co się

stało.

- Nic takiego nie może się stać, dopóki jest tu

Cabot i inni - upomniał przestraszony Bertram.

- Jasne. Poza tym o boisku wspomniałem tylko

tak, dla zobrazowania sytuacji. Powiem

ministrowi, że musi ich wziąć poza Strefę i tam

zlikwidować.

- Wiesz, kiedy Cabot i pozostali zabierają

pacjenta i wracają do Stanów?

- Nikt nic nie powiedział. To chyba zależy od

Cabota. Mam nadzieję, że jutro, a najpóźniej

pojutrze.

ROZDZIAŁ 21

9 marca 1997 roku

godzina 4.30

Bata, Gwinea Równikowa

Jack obudził się o czwartej trzydzieści i nie mógł

już zasnąć. Paradoksalnie hałas, jaki czyniły

żaby nadrzewne i świerszcze, dochodzący z

rosnącego w pobliżu bananowego zagajnika

okazał się zbyt trudny do zniesienia nawet dla

kogoś przywykłego do wycia klaksonów i

nowojorskiego rejwachu.

Sięgnął po ręcznik i mydło, wyszedł na werandę i

poszedł pod prysznic. W połowie drogi wpadł

niemal na Laurie wracającą do swojego pokoju.

- Co ty tu robisz?! - zapytał. Na dworze jeszcze

było ciemno.

- Poszliśmy spać około ósmej. Osiem godzin to

wystarczająco długa noc jak dla mnie.

- Masz rację - powiedział Jack. Zapomniał, o jak wczesnej porze padli zmęczeni w łózkach.

- Idę na dół, do kuchni, zobaczyć, czy uda mi się zdobyć trochę kawy - poinformowała Laurie.

- Ja też zaraz schodzę.

Gdy zszedł na dół, do jadalni, z zaskoczeniem zobaczył resztę grupy już przy śniadaniu. Jack sięgnął po filiżankę kawy i chleb i usiadł między Warrenem i Estebanem.

- Arturo wspomniał, że musisz chyba być szalony, skoro chcesz jechać do Cogo bez zaproszenia - odezwał się Esteban.

Z pełnymi ustami Jack mógł tylko skinąć głową.

- Twierdzi, że nie dostaniesz się tam - dodał Esteban.

- Zobaczymy - odpowiedział Jack, przełknąwszy.

- Jeśli dotarłem tak daleko, nie zamierzam się wycofywać przynajmniej bez spróbowania.

- Przynajmniej droga jest dobra dzięki GenSys - powiedział Esteban.

- W najgorszym razie odbędziemy więc przyjemną przejażdżkę - stwierdził Jack.

Godzinę później znowu wszyscy spotkali się w jadalni. Na wstępie Jack przypomniał, że

wyprawa do Cogo nie jest obowiązkowym punktem programu i każdy, kto ma ochotę, może pozostać w Bata. Wyjaśnił też, że według zdobytych przez niego informacji droga może trwać cztery godziny w każdą stronę.

- Uważasz, że dasz sobie radę sam? - zapytał Esteban.

- Całkowicie. Nie ma możliwości, żebyśmy się zgubili. Według mapy jest tylko jedna główna droga na południe. Nawet ja sobie poradzę.

- W takim razie ja bym został - zdecydował Esteban. - Mam dużą rodzinę, z którą chciałbym się zobaczyć.

Chwilę później jechali drogą na południe.

Warren siedział obok kierowcy, a kobiety z tyłu.

Niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć.

Zaszokowani byli liczbą ludzi maszerujących poboczem do miasta. Były to przede wszystkim kobiety i dzieci. Większość kobiet dźwigała na głowach duże tobołki.

- Chyba nie mają wiele, a wydają się szczęśliwi - zauważył Warren. Dzieci często zatrzymywały się i machały w stronę przejeżdżającego samochodu. Warren zawsze odwzajemniał

pozdrowienie.

Mijali peryferie miasta. Betonowe domy ustąpiły miejsca białym domkom z gliny, przykrytym trzciną. Z trzcinowych mat były też zrobione zagrody dla kóz.

Kiedy minęli Bata, przed ich oczyma pojawiła się bujna dżungla.

Ciężarówki jadące w stronę miasta pędziły tak, że minivanem szarpały podmuchy.

- Człowieku, ci to jeżdżą - skomentował Warren.

Piętnaście mil na południe od Bata Warren wyjął mapę. Mieli przed sobą jedno rozwidlenie i jeden zakręt, które musieli pokonać prawidłowo, jeśli nie chcieli tracić czasu. Znaków drogowych właściwie nie było.

Kiedy wzeszło słońce, sięgnęli po okulary przeciwsłoneczne. Okolica stała się monotonna.

Dżungla, od czasu do czasu kilka chat z trzcinowymi dachami. Prawie dwie godziny od wyjazdu z Bata skręcili w drogę prowadzącą do Cogo.

- Droga jest znacznie lepsza - stwierdził Warren, gdy Jack nacisnął pedał gazu i wóz znacznie przyspieszył.

- Wygląda na nową - odparł Jack. Droga, z której

zjechali, była dość równa, ale od ciągłego

naprawiania wyglądała jak połatany pled.

Oddalali się teraz od wybrzeża w kierunku

południowo-wschodnim. Wjeżdżali w coraz

gęściejszą dżunglę. Zaczęły się wzniesienia, na

które musieli się wspinać. W oddali dostrzegli

niewysokie, pokryte lasem góry.

Niespodziewanie rozległ się grzmot. Tuż

przedtem na niebie zakotłowały się ciemne

chmury. W ciągu kilku minut dzień zamienił się

w noc. Zwykły deszcz szybko zamienił się w

oberwanie chmury. Wycieraczki starego

samochodu nie nadążały zbierać strumieni

wody. Jack musiał zwolnić do około trzydziestu

kilometrów na godzinę.

Po kwadransie przez gęste chmury przedarły się

promienie słońca, zamieniając mokrą szosę w

parującą wstęgę. Tuż przed nimi przez drogę

przechodziła grupa pawianów. Wyglądały jakby

szły w chmurach.

Gdy minęli góry, droga skręciła na południowy

zachód. Warren sprawdził na mapie i

poinformował wszystkich, że są jakieś

dwadzieścia mil od celu.

Minęli kolejny zakręt i zobaczyli w oddali biały budynek, który wyrastał pośrodku drogi.

- Co, u diabła? - odezwał się Warren. - Przecież niemożliwe, żebyśmy już dotarli.

- To posterunek, jak przypuszczam - odparł Jack. - Dowiedziałem się o nim dopiero wczoraj wieczorem. Trzymajcie kciuki. Być może będziemy musieli realizować plan B.

Gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że centralną część budynku zajmują ogromne skrzydła bramy osadzone na kółkach. Można było je przesuwać, robiąc miejsce dla pojazdów.

Jack przyhamował i zatrzymał samochód około sześciu metrów przed bramą. Z piętrowego budynku-strażnicy wyszło trzech żołnierzy ubranych tak samo jak ci pilnujący na lotnisku prywatnego odrzutowca. Tak jak tamci, uzbrojeni byli w karabiny, tyle że tym razem zawieszono je na wysokości bioder i wycelowano w ich samochód.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Warren. - Wyglądają na dzieciaki.

- Spokojnie - odparł Jack i spuścił szybę w

drzwiach. - Cześć, chłopcy. Miły dzień, co?

Żołnierze nie ruszyli się. Ich spojrzenia

pozostały obojętne.

Jack miał już zamiar poprosić o otwarcie bramy,

gdy w słońcu stanął czwarty mężczyzna. Ku

zaskoczeniu Jacka miał na sobie czarną

marynarkę, a pod nią białą koszulę i krawat. W

środku parującej dżungli to był absurd. Kolejną

zaskakującą rzeczą było to, że nie był Murzynem,

lecz Arabem.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał Arab. Jego ton

nie był przyjazny.

- Tak sądzę - odpowiedział Jack. - Chcemy

odwiedzić Cogo.

Arab spojrzał na przednią szybę pojazdu,

prawdopodobnie szukając jakiegoś znaczka

identyfikacyjnego. Nie widząc go, zapytał, czy

Jack ma przepustkę.

- Nie mam żadnej przepustki - przyznał Jack. -

Jesteśmy grupą lekarzy interesujących się

wykonywanymi tu pracami.

- Jak się pan nazywa? - spytał Arab.

- Jestem doktor Jack Stapleton. Przyleciałem z

Nowego Jorku.

- Chwileczkę. - Arab zniknął w budynku.

- To nie wygląda dobrze - Jack odezwał się do Warrena kątem ust. Jednocześnie uśmiechnął się do żołnierzy. - Ile powinienem mu zaproponować? Nie jestem dobry w tym łapówkowym interesie.

- Tutaj pieniądze muszą znaczyć znacznie więcej niż w Nowym Jorku - odparł Warren. - Spróbuj go kupić za sto dolarów. No, jeśli to tyle warte dla ciebie.

Jack przeliczył w pamięci sto dolarów na franki i wyjął banknoty z portfela. Po kilku minutach Arab wrócił.

- Szef mówi, że nie zna pana i nie zaprasza - odparł.

- Też coś - odparł Jack. Wyciągnął lewą rękę z pieniędzmi, które trzymał między palcem wskazującym i dużym. - Nie ma wątpliwości, że docenimy pańską pomoc.

Arab dojrzał pieniądze i w ułamku sekundy znalazły się one w jego kieszeni.

Jack przyglądał mu się przez chwilę, ale mężczyzna ani drgnął. Trudno było odczytać z twarzy jego zamiary, bo gęste wąsy zasłaniały

usta.

Jack odwrócił się do Warrena.

- Za mało?

Warren potrząsnął głową.

- To chyba nie zadziała.

- Chcesz powiedzieć, że wziął moją forszę i już?

- Na to wygląda.

Jack znowu popatrzył w stronę mężczyzny w czarnej marynarce. Zauważył, że ważył najwyżej z siedemdziesiąt kilo, należał raczej do szczuplejszych. Przez moment pomyślał nawet, czy nie powinien wysiąść i zażądać zwrotu pieniędzy, ale jeden rzut oka na żołnierzy odwiódł go od tego zamiaru.

Z westchnieniem rezygnacji Jack zawrócił i ruszył przed siebie drogą, którą przyjechał.

- Phi! - odezwała się Laurie. - Nie podobało mi się to.

- Nie podobało ci się? - odparł Jack. - Teraz jestem wkurzony.

- Jaki jest plan B? - zapytał Warren.

Jack przedstawił im pomysł dostania się do Cogo łodzią z Acalayong. Poprosił Warrena, żeby spojrział w mapę i spróbował określić, ile czasu

zajmie im podróż do Acalayong.

- Powiedziałbym, że ze trzy godziny - uznał

Warren. - Jeżeli droga nadal będzie taka dobra.

Kłopot w tym, że zanim skręcimy do Acalayong, musimy się spory kawał cofnąć.

Jack spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- To znaczy, że dotrzemy tam około południa.

Sądzę, że z Acalayong do Cogo dostaniemy się w godzinę, nawet najwolniejszą łódką na świecie.

Powiedzmy, że w Cogo zostaniemy przez dwie godziny. Myślę, że i tak zdążymy wrócić o przyzwoitej porze. Co wy na to?

- Jestem za - odparł Warren.

Jack popatrzył we wsteczne lusterko.

- Mógłbym zawieźć panie z powrotem do Fata i wrócić tu jutro.

- Mam opory, gdy pomyślę, że tam też jest pełno żołnierzy z bronią maszynową - powiedziała Laurie.

- Nie uważam, że to stanowi jakiś problem -

odparł Jack. - Jeżeli trzymają żołnierzy przy

wjeździe do miasta, nie ma ich chyba zbyt wielu w samym mieście. Oczywiście jest możliwe, że

patrolują też wodny szlak, i będę musiał

zastosować plan C.

- Na czym on polega? - zapytał Warren.

- Jeszcze nie wiem - przyznał Jack. - Jak dotąd nie rozważałem takiej możliwości. Natalie, co ty sądzisz?

- Dla mnie to wszystko jest bardzo interesujące.

Zrobię to co inni.

Po godzinie dotarli do miejsca, w którym trzeba było podjąć decyzję. Jack zjechał na pobocze.

- No i co? - zapytał. Chciał mieć absolutną pewność. - Wracamy do Bata czy jedziemy do Acalayong?

- Myślę, że bardziej bym się bała, gdybyś pojechał sam. Możesz mnie brać pod uwagę - zdecydowała Laurie.

- Natalie? - Jack zwrócił się w stronę drugiej pasażerki. - Nie ulegaj wpływom tych wariatów.

Czego naprawdę chcesz?

- Pojadę - odpowiedziała.

- Dobra - powiedział Jack, wrzucił bieg i skręcił w lewo na drogę do Acalayong.

Siegfried wstał od biurka i podszedł do okna wychodzącego na szpital. W rękę trzymał kubek z kawą czarną jak smoła. Nie wiedział, co

myśleć. Operacja w Cogo zaczęła się sześć lat temu i od tamtego czasu rozwijała się nieprzerwanie, a nigdy nie zdarzyło się, by ktoś stanął przed posterunkiem na szosie i żądał prawa do wjazdu. Gwinea Równikowa nie należała do tych miejsc na świecie, które odwiedzano bez przyczyny.

Wziął łyk kawy i zastanowił się, czy między tym dziwnym zdarzeniem a przyjazdem dyrektora GenSys, Taylora Cabota, jest jakiś związek. Oba wydarzenia były nie do przewidzenia i obu nie życzone sobie szczególnie w chwili, kiedy pojawił się poważny problem z bonobo. Dopóki sytuacja nie zostanie opanowana, Siegfried nie chciał widzieć żadnych obcych szwendających się w pobliżu, a szefa GenSys kwalifikował do tej właśnie kategorii.

Aurielo wetknął głowę przez drzwi i oznajmił, że przyszedł doktor Raymond Lyons i życzy sobie widzieć się z szefem.

Siegfried wywrócił oczyma. Raymonda też nie chciał tu oglądać.

- Wpuść go - odpowiedział niechętnie.

Raymond wszedł do gabinetu. Jak zwykle był

opalony i rzeński. Siegfried zazdrościł mu arystokratycznego wyglądu i dwóch zdrowych rąk.

- Znaleźliście już Kevina Marshalla? - zapytał Raymond.

- Nie - odparł Siegfried. Ton Raymonda uznał za obraźliwy.

- Zdaje się, że od zniknięcia minęło czterdzieści osiem godzin. Macie go znaleźć!

- Niech pan siada! - odparł ostro Siegfried.

Raymond zawahał się. Nigdy nie wiedział, czy ma się złościć, czy bać z powodu nagłych wybuchów agresji u szefa Strefy.

- Powiedziałem, siadaj pan! - powtórzył polecenie Siegfried.

Raymond usiadł. Biały myśliwy z okaleczoną twarzą i zwisającą bezwładnie ręką wyglądał imponująco, szczególnie w otoczeniu tych wszystkich dowodów mordów, które popełnił.

- Wyjašnjmy sobie jedną sprawę dotyczącą podległości służbowej - zaczął Siegfried. - Nie przyjmuję od pana poleceń. Wręcz przeciwnie, jeżeli przebywa pan tutaj jako gość, to musi pan słuchać moich rozkazów. Czy wyrażam się

dostatecznie jasno?

Raymond już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uznał, że lepiej tego nie robić. Wiedział, że formalnie rzecz biorąc, Siegfried ma rację.

- No, a skoro rozmawiamy tak otwarcie -

kontynuował Siegfried - to gdzie jest moja premia? W przeszłości dostawałem ją zawsze, gdy pacjent wyruszał w podróż powrotną do Stanów.

- To prawda. - W głosie Raymonda wyczuwało się napięcie. - Jednak tym razem mieliśmy większe wydatki. Pieniądze wkrótce napłyną od nowych klientów. Gdy tylko je zainkasujemy, otrzyma pan swoją należność.

- Niech panu się nie wydaje, że można mnie wykiwać - ostrzegł Siegfried.

- Ależ skąd - zaprzeczył gwałtownie Raymond.

- I jeszcze jedno. Czy może pan jakoś ponaglić szefa? Jego obecność tutaj wpływa destabilizująco. Może dałoby się to uzasadnić potrzebami pacjenta?

- Nie wiem - odparł Raymond. - Cabot został poinformowany, że pacjent jest w pełni zdolny do podróży. Cóż jeszcze można powiedzieć?

- Niech pan nad tym pomyśli - poprosił

Siegfried.

- Spróbuję. Tymczasem proszę odnaleźć Kevina

Marshalla. Jego zniknięcie bardzo mnie

niepokoi. Boję się, że mógł zrobić coś

nierozsądnego.

- Sądzymy, że popłynął do Cocobeach w Gabonie.

- Szef Strefy z zadowoleniem przyjął uległość,

którą usłyszał w tonie Raymonda.

- Jest pan pewny, że nie pojechał na wyspę?

- Całkowitej pewności nie możemy mieć. Ale nie

podejrzewamy takiego kroku. Ale nawet gdyby,

to nie miałyby zapewne ochoty pozostawać tam

tak długo. Wróciliby do tej pory. Minęło

czterdzieści osiem godzin.

Raymond wstał i westchnął.

- Chciałbym, żeby się już odnalazł. Strach o

niego doprowadza mnie do białej gorączki,

szczególnie w obliczu obecności Taylora Cabota.

Oprócz tego w długim łańcuchu kłopotów mam

jeszcze problemy w Nowym Jorku, które

dostatecznie poważnie zatruwają mi życie.

- Będziemy dalej szukać - obiecał Siegfried.

Starł się nadać głosowi współczujący ton, ale

naprawdę ciekawiło go, jak Raymond zareagował na wieść, że bonobo są przenoszone do centrum weterynaryjnego. Wszystkie inne problemy bladły w obliczu groźby, że małpy pozabijają się wzajemnie.

- Pomyślę, co by można powiedzieć Taylorowi Cabotowi - obiecał Raymond, wstał i skierował się do drzwi. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł mnie pan zawiadomić zaraz, kiedy dowie się pan czegoś o Kevinie Marshallu.

- Oczywiście - obiecał Siegfried.

Z satysfakcją przyglądał się, jak uprzednia duma doktora Lyonsa zamienia się potulną uległość.

Tuż po wyjściu Raymonda Siegfried przypomniał sobie, że jego gość jest z Nowego Jorku. Podskoczył do drzwi i zdążył złapać Raymonda na schodach.

- Doktorze! - zawołał z fałszywym szacunkiem.

Raymond zatrzymał się i spojrzął za siebie.

- Czy zna pan przez przypadek lekarza nazwiskiem Stapleton?

Cała krew odpłynęła z twarzy Raymonda.

Reakcja nie uszła uwagi Siegfrieda.

- Lepiej będzie, jak pan wróci do mojego

gabinetu - stwierdził.

Ledwie Siegfried zamknął drzwi za Raymondem, ten natychmiast zapytał, jak, u diabła, nazwisko Stapletona mogło się tu pojawić.

Siegfried obszedł swoje biurko i usiadł za nim.

Wskazał Raymondowi krzesło. Siegfried nie był zadowolony. W pierwszej chwili pomyślał o związku nieoczekiwanego przybycia nieznajomego lekarza z wizytą Taylora Cabota, natomiast nie łączył tego z Raymondem.

- Tuż przed pańskim przyjściem otrzymałem niezwykle telefon z posterunku na szosie.

Marokańczyk pełniący tam służbę powiedział, że pojawił się samochód pełen ludzi, którzy chcieli wjechać do naszego miasta. Nigdy przedtem nie mieliśmy nieproszonych gości. Samochód prowadził doktor Jack Stapleton z Nowego Jorku.

Raymond starł z czoła krople potu. Palcami obu dłoni przeczesał nerwowo włosy. Powtarzał sobie, że to nie może być prawda, skoro Vinnie Dominick wziął na siebie sprawę Stapletona i Laurie Montgomery. Nie dzwonił, żeby się dowiedzieć, co się z tą dwójką stało, prawdę

powiedziawszy, nie chciał znać szczegółów. Za dwadzieścia tysięcy dolarów szczegóły nie były czymś, o co powinien był się martwić czy choćby myśleć. Niemniej jednak, mógł sądzić, że oboje w tej chwili pływają w oceanie.

- Pańska reakcja na tę nowinę wzbudza we mnie niepokój - powiedział Siegfried.

- Nie wpuścił pan chyba Stapletona i jego przyjaciół do miasta?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Może powinien pan. Wtedy moglibyśmy się z nimi rozprawić. Jack Stapleton stanowi bardzo poważne zagrożenie dla programu. Czy tu, w Strefie, jest jakaś możliwość rozprawienia się z takimi ludźmi?

- Owszem. Możemy ich przekazać w ręce ministra sprawiedliwości albo obrony z odpowiednią gratyfikacją. Rząd bardzo dba o to, aby nic nie zabiło kury znoszącej złote jajka.

Musimy jedynie powiedzieć, że stanowią poważne zagrożenie dla operacji GenSys.

- W takim razie jeśli pojawią się jeszcze raz, powinien pan ich wpuścić.

- A może pan powinien powiedzieć mi dlaczego -

odparł Siegfried.

- Pamięta pan Carla Franconiego?

- Pacjenta Carla Franconiego?

Raymond skinął.

- No pewnie.

- Tak, wszystko zaczęło się właśnie od niego -
powiedział Raymond i przedstawił Siegfriedowi
całą historię.

- Uważasz, że to bezpieczne? - spytała Laurie.

Przyglądała się długiemu, wydrążonemu w pniu
czółnu, na którym wznosił się szałas z
trzciniowym dachem. Do połowy wyciągnięte
było na plażę. Z tyłu, od zewnątrz, był
przymocowany duży silnik. Wokół rufy
dostrzegła opalizującą plamę, co dowodziło, że
wyciekało z niego paliwo.

- Dwa razy na dzień pokonuje drogę do Gabonu,
a to znacznie dalej niż do Cogo - odpowiedział
Jack.

- Ile musiałeś zapłacić? - spytała Natalie.

Wynegocjowanie ceny zabrało Jackowi całe pół
godziny.

- Troszeczkę więcej niż oczekiwałem. Jacyś
ludzie wypożyczyli dwa dni temu łódź i słuch po

nich zaginął. Obawiam się, że ten epizod

podniósł cenę.

- Więcej niż stówę czy mniej? - zapytał Warren.

On także nie był pod wrażeniem stanu łodzi i jej

zdolności do pływania. - No bo jeśli więcej niż

stówę, to przepłaciłeś.

- Nie bawmy się w słowa. Lepiej ruszajmy, jeśli

się nie rozmyśliliście, kochani.

Zapadła cisza, w której wszyscy spoglądali na

siebie z niepokojem.

- Nie jestem wielkim pływakiem - przyznał

Warren.

- Mogę cię zapewnić, że nie zamierzamy dostać

się tam wplaw - powiedział Jack.

- Dobra. Skoro tak, to ruszajmy - zdecydował

Warren.

- Czy panie się przyłączy? - spytał Jack.

I Laurie, i Natalie skinęły głowami, ale bez

entuzjazmu. W tej chwili na niebie wisiało

leniwe, południowe słońce, pomimo bliskości

wody powietrze stało nieruchomo.

Kobiety usiadły na rufie, by pomóc unieść dziób

łodzi, a Warren z Jackiem zepchnęli ją na wodę.

Jeden po drugim szybko wskoczyli do czółna.

Wiosłowali około dwudziestu metrów, zanim

Jack zabrał się do uruchomienia motoru.

Podpompował trochę małą, ręczną pompką znajdującą się nad czerwonym zbiornikiem z paliwem. Jako dzieciak miał łódkę, którą pływał po jeziorach Środkowego Zachodu, więc sporo wiedział o obsłudze takich urządzeń.

- Ta łódka jest o wiele bardziej stabilna niż wygląda - stwierdziła Laurie. Chociaż Jack kręcił się po rufie, czółno prawie się nie kołysało.

- I nie przecieka. A tak się tego bałam - dodała Natalie.

Warren nic nie mówił. Palce tak mocno zaciskał na burtach, że aż mu kostki pobieleały.

Ku zaskoczeniu Jacka silnik zaczął pracować już po drugiej próbie uruchomienia. Kilka sekund później płynęli dokładnie na wschód. Po opętańczym upale lekki wiaterek przynosił prawdziwą ulgę.

Droga do Acalayong minęła szybciej, niż się spodziewali. Szosa nie była co prawda tak dobra jak ta do Cogo, ale jechało im się wygodnie.

Ruchu wielkiego nie było. Jedyne sporadycznie mijały ich jadące na północ ciężarówki

wyładowane ludźmi. Nawet na dachach
załadowanych bagażami siedziało kilku ludzi
kurczowo uczepionych swoich tobołków.
Acalayong wywołało na ich twarzach uśmiech.
To, co na mapie przedstawiano jako miasto, w
rzeczywistości okazało się garstką kiczowatych
sklepów, barów i hotelików. Był tam też
otynkowany budynek policji, przed którym w
cieniu arkad na trzcinowych fotelach kołysało się
kilku policjantów w brudnych mundurach.
Przejeżdżające samochody odprowadzali
wzgardliwym, sennym wzrokiem.
Chociaż miasto okazało się żałośnie
prowincjonalne i zaśmieczone, udało się znaleźć
coś do zjedzenia i wypicia, no i wypożyczyć łódź.
Z pewnymi trudnościami zaparkowali samochód
w pobliżu policjantów, mając nadzieję, że dzięki
temu kiedy wrócą, będzie nadal tam stał.
- Ile nam to, twoim zdaniem, zabierze?! -
zapytała Laurie, przekrzykując warkot silnika.
Był głośniejszy, bo brakowało części osłony
silnika.
- Godzinę! - zawołał Jack. - Ale właściciel łodzi
powiedział, że wystarczy ponad dwadzieścia

minut. To jest tuż za tym cyplem przed nami.

W tej chwili przepłynęli przez dwumilowe ujście

Rio Congue. Dżungla porastająca brzegi była

zamglona od unoszącej się pary wodnej. Nad

nimi gromadziły się chmury burzowe. Jeszcze w

samochodzie usłyszeli dwa grzmoty.

- Mam nadzieję, że nie złapie nas tu ulewa -

odezwała się Natalie.

Jednak Matka Natura zignorowała jej życzenie.

Mniej niż pięć minut później zaczęło lać tak

mocno, że woda rzeki rozbryzgująca się pod

wielkimi kroplami opryskiwała pasażerów łodzi.

Jack zwolnił obroty silnika, pozwalając czołnu

płynąć własnym kursem, a sam dołączył do

pozostałych, ukrytych w szałasie. Ku miłemu

zaskoczeniu dach nie przeciekał i w środku było

sucho.

Zaraz po minięciu cypla zobaczyli przystań

Cogo. Zbudowana z grubych bali nie

przypominała rozklekotanych pomostów w

Acalayong. Gdy podpłynęli bliżej, na samym

końcu dojrzeliby pływający pomost do cumowania.

Na pierwszy rzut oka Cogo wzbudziło ich

uznanie. W przeciwieństwie do Bata i Acalayong,

gdzie dominowały zniszczone i przypadkowo zbudowane domy z płaskimi, pokrytymi blachą falistą dachami, w Cogo wznosiły się atrakcyjnie wyglądające, pokryte dachówką, lśniące bielą postkolonialne budynki. Z lewej, prawie skryta w dżungli stała nowoczesna elektrownia. Można ją było dostrzec tylko dzięki wyjątkowo wysokiemu kominowi.

Gdy zbliżali się do miasta, Jack wyłączył silnik. Mogli teraz bez trudu rozmawiać. Do pomostu przywiązanych było kilka łodzi takich samych jak ta, którą płynęli, tyle że pełnych rybackich sieci.

- Cieszę się, że są inne łodzie - powiedział Jack. -

Bałem się, że nasza będzie sama jak palec.

- Sądzisz, że ten duży, nowoczesny gmach to szpital? - zapytała Laurie, spoglądając w kierunku budynku.

Jack poszedł za jej wzrokiem.

- Tak, przynajmniej według Artura, a on chyba wie, co mówi. Był w ekipie budowlanej.

- To znaczy, że tam jest nasz cel - powiedziała.

- Tak wygląda. W każdym razie na początek.

Arturo mówił, że zwierzęta trzymają kilka mil od

miasta, w głębi dżungli. Zastanowimy się, jak tam dotrzeć.

- Miasto jest znacznie większe, niż sądziłem - powiedział Warren.

- Słyszałem, że to dawne hiszpańskie miasto kolonialne - wyjaśnił Jack. - Nie całe zostało odnowione, chociaż stąd tak wygląda.

- Co Hiszpanie tu robili? - zapytała Natalie. - Przecież dookoła nie ma nic poza dżunglą.

- Uprawiali kawę i kakao. Przynajmniej tyle się dowiedziałem - powiedział Jack. - Nie mam tylko pojęcia, gdzie to uprawiali.

- Oho, widzę żołnierza - zauważyła Laurie.

- Ja też go widzę - odparł Jack, który uważnie obserwował brzeg.

Żołnierz ubrany był w taki sam mundur polowy i czerwony beret jak tamci na szosie. Przechadzał się bez celu po bruku przed pomostem. Karabin przewieszony miał przez ramię.

- Czy to znaczy, że przechodzimy do planu C? - zapytał Warren, żeby mu dokuczyć.

- Jeszcze nie. Najwidoczniej pilnuje, żeby nikt nie podchodził do przystani. Ale spójrzcie na bar na plaży. Jeśli się tam dostaniemy, jesteśmy w

domu.

- Przecież nie możemy wysiąść na plaży -

powiedziała Laurie. - Zauważy nas.

- Spójrzcie, jak wysoki jest pomost. A gdybyśmy

tak przemknęli pod niego, tam zacamowali i

przedostali się do baru? Co sądzicie?

- Może być - krótko odpowiedział Warren. - Ale

ta łódka nie zmieści się pod pomostem. Nie da

rady.

Jack wstał i podszedł do jednego z osadzonych w

burtach palików podtrzymujących dach szałas.

Chwycił go w obie ręce i wyciągnął.

- Proszę, jakie poręczne - powiedział Jack. -

Łódka kabriolet.

Kilka minut później wszystkie paliki zostały

wyjęte, a dach złożony na dnie łodzi pod

ławkami, wzdłuż obu burt.

- Właściciel nie będzie szczęśliwy - zauważyła

Natalie.

Jack kierował łodzią tak, że cały czas znajdowali

się pod osłoną pomostu. Wyłączył silnik w

chwili, gdy wślizgnęli się w cień. Zaciskając palce

na wręgach, kierowali czółno do brzegu,

ostrożnie przepływając między palami. Po chwili

zaskrzybiało na piaszczystej plaży w cieniu

pomostu i zatrzymało się.

- Jak na razie, wszystko dobrze - stwierdził Jack.

Zachęcił obie panie i Warrena, by wysiedli.

Teraz Warren pociągnął za dziób, a Jack

manewrował wiosłami i wspólnie wepchnęli łódź

do połowy na piach. Jack wysiadł i wskazał

kamienny murek, który ciągnął się prostopadle

do podstawy pomostu, zanim zniknął w łagodnie

unoszącym się piaszczystym brzegu.

- Trzymajmy się muru. Kiedy będzie można,

przeskoczmy w stronę baru.

Kilka minut później byli już w barze. Żołnierz

nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Albo ich

nie widział, albo nie zainteresowali go.

Bar był opustoszały. Tylko jeden człowiek

pochłonięty był rozcinaniem cytryn i limonów.

Jack wskazał w kierunku wysokich stołków i

zapropozował uczyć sukces. Wszyscy z radością

przystali na propozycję. Słońce grzało i w łodzi

było gorąco.

Barman zjawił się natychmiast. Z przypiętego

identyfikatora wynikało, że nazywa się

Saturnino. Pomimo takiego imienia okazał się

jowialnym człowiekiem. Miał na sobie wściekle kolorową koszulę, a na głowie toczek podobny do tego, w którym na lotnisku przywitał ich Arturo.

Za Natalie każdy zamówił coca-colę z plasterkiem cytryny.

- Nieduży dzisiaj ruch - Jack zagadnął do Saturnino.

- Do piątej. Potem mamy ręce pełne roboty.

- Jesteśmy tu nowi. Jakimi pieniędzmi mamy płacić? - spytał Jack.

- Wystarczy podpis.

Jack spojrział na Laurie. Nie zgodziła się i pokręciła przecząco głową.

- Raczej zapłacimy - odpowiedział. - Czy mogą być dolary?

- Jak wolicie. Dolary albo franki. To bez różnicy.

- Gdzie jest szpital? - pytał dalej Jack.

Saturnino pokazał przez ramię.

- W górę ulicy, aż dojdziecie do głównego placu miasta. To będzie duży budynek po lewej.

- Co oni tam robią? - spytał Jack.

Saturnino spojrział na Jacka jak na wariata.

- Leczą ludzi - odparł w końcu.

- Ludzie z Ameryki przyjeżdżają, żeby leczyć się w tym szpitalu?

Saturnino wzruszył ramionami.

- Nie wiem dokładnie. - Wziął banknoty, które Jack położył na barze, i podszedł do kasy.

- Nieźle śledztwo - szepnęła z uśmiechem Laurie.

- To by było zbyt proste - zgodził się Jack.

Orzeźwieni chłodnym napojem wyszli całą grupą w palące słońce. Żołnierz stał w odległości kilkudziesięciu metrów i nadal nie zwracał na nich uwagi. Po krótkim spacerze po rozpalonym słońcem bruku doszli do zielonego skweru otoczonego domami przypominającymi rezydencje plantatorów.

- Przypomina mi to widoki z niektórych wysp Karaibów - zauważyła Laurie.

Pięć minut później weszli na otoczony drzewami plac miejski. Po przeciwnej stronie placu, pod rynkiem, leniwie rozłożyła się grupka żołnierzy, psując swoim widokiem idylliczny obrazek.

- Kurczę! To cały batalion - stwierdził Jack.

- Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż skoro mają posterunek na drodze, w mieście nie będą

potrzebowali wojska - przypomniała Laurie.

- Myliłem się - oświadczył Jack. - Ale nie ma powodów, by podchodzić do nich i przedstawiać się. Przed nami szpital i laboratorium.

Z narożnika placu budynek wyglądał podobnie jak większość domów w Cogo. Było jedno wejście wychodzące na plac, ale było i drugie z ulicy ciągnącej się wzdłuż szpitala po ich lewej stronie. Aby nie zwrócić na siebie uwagi żołnierzy, poszli do bocznego wejścia.

- Co zamierzasz powiedzieć, jeśli ktoś nas zacznie pytać? - odezwała się Laurie z pewną obawą. - Gdy wejdziemy do środka, na pewno ktoś nas zaczepi.

- Będę improwizować. - Pchnął drzwi, przytrzymał je i z zapraszającym ukłonem wpuścił przed sobą przyjaciół.

Laurie popatrzyła na Natalie i Warrena i wywróciła oczami. Jack, nawet najbardziej irytujący, i tak pozostawał czarujący.

Weszli do budynku i poczuli dreszcz rozkoszy.

Nigdy dotąd klimatyzacja nie wywołała u nich równie przyjemnych odczuć. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, musiało pełnić funkcję

luksusowego holu. Było wyłożone dywanową wykładziną, z klubowymi fotelami i kanapami.

Jedną ścianę pokrywały półki z książkami.

Niektóre były przymocowane pod kątem i

prezentowały imponującą kolekcję gazet i

czasopism od "Time'a" po "National

Geographic". Parę osób siedziało wewnątrz,

wszyscy byli pogrążeni w lekturze.

W przeciwległej ścianie za przesuwanymi

szybami umieszczonymi na wysokości biurka,

siedziała Murzynka w niebieskim fartuchu. Po

prawej stronie od jej stanowiska znajdował się

mały hol z wejściami do wind.

- Czy wszyscy ci ludzie mogą być pacjentami? -

zastanowiła się Laurie.

- Dobre pytanie - odparł Jack. - Jakoś nie wydaje

mi się. Wszyscy wyglądają na zbyt zdrowych i

zadowolonych. Porozmawiajmy z sekretarką, czy

kim ona tam jest.

Natalie i Warren byli onieśmieleni wystrojem

szpitala. Bez słowa poszli za Jackiem i Laurie.

Jack delikatnie zastukał w okno. Kobieta

podniosła wzrok znad swojej pracy i odsunęła

jedną z szyb.

- Przepraszam, nie zauważyłam, kiedy państwo weszli. Chce się pan wpisać na listę?

- Nie - odparł Jack. - W tej chwili mój organizm wypełnia wszystkie funkcje bez zarzutu.

- Słucham? - pytająco odpowiedziała kobieta.

- Przyszliśmy obejrzyć szpital, a nie korzystać z jego usług. Jesteśmy lekarzami.

- To nie jest szpital, tylko hotel. Jeżeli chcą państwo dostać się do szpitala, proszę albo wyjść na zewnątrz i wejść głównym wejściem, albo korytarzem po prawej przejść za podwójne oszklone drzwi.

- Dziękuję - odpowiedział Jack.

- Bardzo proszę - powiedziała kobieta. Kiedy się oddalali we wskazanym kierunku, wychyliła się i popatrzyła za nimi. Zdziwiona usiadła na swoim miejscu i sięgnęła po telefon.

Jack poprowadził całe towarzystwo przez wskazane drzwi. Natychmiast otoczenie nabrało bardziej znajomego wyglądu. Podłogi wyłożono linoleum, a ściany pomalowano na jasnozielony kolor. W powietrzu unosił się lekki zapach środków antyseptycznych.

- Teraz bardziej mi pasuje - skomentował Jack.

Weszli do pomieszczenia, którego okna wychodziły na plac. Pomiędzy oknami były duże drzwi wejściowe. Na podłodze leżały chodnik a na nich stały sofy i fotele ustawione tak, żeby można było wygodnie rozmawiać, ale była to tylko poczekalnia. I tym razem bez trudu zauważyli punkt informacyjny.

Jack zapukał, a siedząca wewnątrz kobieta uchyliła jedną z szyb. Również i ona była niezwykle uprzejma.

- Mamy do pani pytanie - zaczął Jack. - Jesteśmy lekarzami i chcielibyśmy się dowiedzieć, czy w tej chwili w szpitalu znajdują się pacjenci po transplantacji?

- Tak, oczywiście. Mamy jednego pacjenta - odpowiedziała sekretarka z wyrazem zmieszania na twarzy. - Pan Horace Winchester. Jest w pokoju 302, gotowy do wypisania.

- Świetnie - odparł Jack. - Jaki organ miał przeszczepiony?

- Wątrobę - odpowiedziała. - Czy państwo jesteście z grupy z Pittsburgha?

- Nie, jesteśmy z grupy z Nowego Jorku.

- Ach tak - odpowiedziała kobieta, ale widać

było, że niczego nie rozumie.

- Dziękuję - odpowiedział Jack i skierował się z przyjaciółmi do windy, którą dostrzegł po prawej stronie.

- Szczęście wreszcie zaczęło nam dopisywać - zauważył podekscytowany. - Wygląda na to, że pójdzie łatwo. Może wystarczy tylko zajrzeć do informatora.

- Jeżeli to rzeczywiście jest takie proste - skomentowała Laurie.

- Prawda. Może więc lepiej wpaść do Horace'a i zasięgnąć informacji ze źródła.

- Człowieku - odezwał się Warren - to może ja i Natalie powinniśmy zostać na dole? Nie bardzo znamy się na szpitalach, wiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak. Jednak sądzę, że powinniśmy trzymać się razem, gdybyśmy musieli dostać się do łodzi szybciej niż byśmy chcieli. Wiesz, o czym mówię? - Jack uśmiechnął się znacząco.

Warren skinął potakująco głową i Jack wcisnął przycisk windy.

Cameron McIvers przywykł do fałszywych alarmów. Właściwie większość informacji, jakie

docierały do niego albo do Biura Ochrony, to były takie fałszywe alarmy. Dlatego gdy wchodził do części hotelowej, nie czuł się zaniepokojony. Jednak na tym, aby sprawdzić wszelkie możliwe zagrożenia, polegała jego praca albo w każdym razie taki był jeden z jego obowiązków.

Zbliżając się do informacji, zauważył, że w holu jak zwykle panuje cisza i spokój. Umocniło go to tylko w przekonaniu, że ten telefon, jak większość wcześniejszych, nie zapowiada nieszczęścia.

Zapukał w szybę, która natychmiast się odsunęła.

- Panno Williams - powiedział, dotykając na przywitanie róna kapelusza. Podobnie jak inni funkcjonariusze, nosił mundur w kolorze khaki, a na głowie australijski kapelusz. Miał też skórzany pas z koalicijką, do którego z prawej strony przytroczona była pochwa z beretą, a z lewej radiotelefon.

- Tamtędy poszli - powiedziała Corrina Williams podnieconym głosem. Podniosła się, wychyliła i wskazała palcem za narożnik.

- Spokojnie - odparł łagodnie Cameron. - O kim

właściwie pani mówi?

- Nie podali żadnych nazwisk. Było ich czworo.

Mówił tylko jeden. Powiedział, że jest lekarzem.

- Hmm - zastanowił się Cameron. - I nigdy

wcześniej nie widziała ich pani?

- Nigdy - odparła zaniepokojona. - Zaskoczyli mnie. Pomyślałam, że może przylecieli wczoraj i są zakwaterowani w hotelu. Ale powiedzieli, że przyszli obejrzeć szpital. Kiedy im powiedziałam, jak tam dotrzeć, natychmiast poszli.

- Byli biali czy czarni? - Może to jednak nie jest fałszywy alarm, pomyślał.

- Pół na pół. Dwoje białych i dwoje czarnych. Ale sądząc po ubiorach, powiedziałabym, że przyjechali z Ameryki.

- Rozumiem - odparł Cameron. Pocierał brodę i rozważał, czy możliwe jest, aby jacyś

Amerykanie zatrudnieni w Strefie mogli przyjść do hotelu i twierdzić, że chcą obejrzeć Szpital.

- Ten, który mówił, powiedział też coś dziwnego, że jego organizm pełni wszystkie funkcje prawidłowo. Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Hmm - powtórzył Cameron. - Można

skorzystać z telefonu?

- Oczywiście. - Podniosła aparat z biurka i

postawiła go przed Cameronem na blacie.

Wybrał bezpośredni numer do biura szefa

Strefy. Siegfried odebrał błyskawicznie.

- Jestem w hotelu - wyjaśnił Cameron. -

Uznałem, że muszę ci opowiedzieć o dziwnej

sprawie. Czwórka dziwnych lekarzy zjawiała się u

panny Williams. Oznajmili, że przyszli obejrzeć

szpital.

Odpowiedź Siegfrieda była tak przerażająco

wściekła, że Cameron odsunął słuchawkę od

ucha. Nawet Corrina skurczyła się ze strachu.

Cameron oddał telefon sekretarce. Nie dosłyszał

wszystkich inwektyw, które wyrzucił z siebie

Siegfried, ale sens był jasny. Miał natychmiast

wzmocnić ochronę i ująć obcych lekarzy.

Cameron jednocześnie odpiął kaburę z bronią i

pasek zabezpieczający radiotelefon. Wyjął je i

połączył się z bazą. Potem szybkim krokiem

skierował do szpitala.

Pokój 302 znajdował się od frontu. Z okna

roztaczał się widok na plac. Znaleźli go bez

trudności. Nikt ich nie zatrzymywał i nie sprawdzał. Od wyjścia z windy aż do otwartych drzwi pokoju nie widzieli żywej duszy.

Jack zapukał, chociaż jasne było, że pokój stał w tej chwili pusty. Bez wątpienia ktoś go zajmował, świadczyło o tym wiele drobiazgów, ale tego kogoś nie było chwilowo w pomieszczeniu.

Telewizor z wbudowanym magnetowidem był włączony. Leciał jakiś stary film z Paulem Newmanem. Szpitalne łóżko było w lekkim nieładzie. Walizka leżała otwarta, częściowo zapakowana.

Zagadka rozwiązała się sama, gdy Laurie usłyszała zza zamkniętych drzwi łazienki odgłos prysznic.

Kiedy woda przestała lecieć, Jack zapukał, jednak dopiero dobre dziesięć minut później Horace Winchester pojawił się w pokoju. Był mężczyzną około pięćdziesięciu paru lat, korpulentnej postury. Wyglądał na szczęśliwego i zdrowego. Zawiązał pasek płaszcza kąpielowego i z westchnieniem ulgi opadł w miękki fotel stojący przy łóżku.

- Czemu zawdzięczam wizytę? - zapytał,

uśmiechając się do gości. - Więcej was, niż
widziałem przez cały pobyt tutaj.

- Jak się pan czuje? - zapytał Jack. Wziął
krzeselko, postawił je tuż przed Horace'em i
usiadł. Warren i Natalie wymknęli się na
zewnątrz. Czuli się nieswojo w pokoju pacjenta.

Laurie podeszła do okna. Widząc grupę
żołnierzy, zaczęła się coraz bardziej niepokoić.

Wolałaby skrócić wizytę do niezbędnego
minimum i jak najszybciej znaleźć się w łodzi.

- Czuję się po prostu świetnie - odparł Horace. -

To prawdziwy cud. Przyjechałem tu z jedną nogą
w grobie, żółty jak kanarek. Spójrzcie teraz na

mnie! Mogę pojechać do jednego z moich
ośrodków wypoczynkowych i zaliczyć trzydzieści

sześć dołków w golfa. Och, kochani, jesteście

zaproszeni do wszystkich moich kurortów i

możecie zostać tak długo, jak wam się będzie

podobało, a wszystko na mój koszt. Lubi pan

narty?

- Owszem - odparł Jack. - Ale wolałbym teraz

porozmawiać o pańskim przypadku. Rozumiem,

że przeszedł pan tu transplantację wątroby.

Chciałbym zapytać, skąd pochodziła wątroba?

Na twarzy Horace'a błąkał się niewyraźny półuśmiech. Zaczął się uważnie przyglądać Jackowi.

- To jakiś test? - zapytał. - To niepotrzebne. Nie zamierzam z nikim o tym rozmawiać. Nie mógłbym być bardziej wdzięczny. Właściwie, to gdy tylko będzie można, zamierzam zapłacić za kolejny duplikat.

- Co pan ma na myśli, mówiąc "duplikat"?

- Czy jesteście z zespołu z Pittsburga? - zapytał Horace, patrząc na Laurie.

- Nie, jesteśmy członkami zespołu z Nowego Jorku. I jesteśmy zafascynowani pańskim przypadkiem. Cieszymy się, że czuje się pan tak dobrze i jesteśmy tu, aby się uczyć. - Jack uśmiechnął się. - Zamieniamy się w słuch.

Mógłby pan zacząć od początku?

- To znaczy jak zachorowałem? - zapytał Horace. Był dość zmieszany.

- Nie, raczej jak doszło do tego, że przyjechał pan do Afryki na transplantację. I chciałbym wiedzieć, co rozumie pan pod określeniem "duplikat". Czy w jakiś sposób udało się panu otrzymać wątrobę od małpy?

Horace zaśmiał się nerwowo i potrząsnął głową.

- Co tu się dzieje? - Spojrzał znowu na Laurie, a potem na Natalie i Warrena, którzy stanęli w drzwiach.

- Uff - odezwała się Laurie. Spoglądała przez okno. - Przez plac biegnie w naszą stronę oddział żołnierzy.

Warren szybko podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

- Kurde, człowieku. Zwiertzyli sprawę!

Jack wstał, zrobił krok do przodu, złapał Horace'a za ramiona i zbliżył twarz do jego twarzy.

- Bardzo mnie pan rozczaruje, nie odpowiadając na pytanie, a rozczarowany robię najdziwniejsze rzeczy. Co to było za zwierzę? Szympan?

- Wchodzą do szpitala - krzyknął Warren. -

Wszyscy są uzbrojeni w AK-47.

- No dalej! - Jack ponaglił Horace'a, potrząsając nim lekko. - Gadaj! Czy to był szympans? - Jack zacisnął dłonie na ramionach mężczyzny.

- Bonobo - pisnął Horace. Był przerażony.

- To gatunek małpy?

- Tak - przyznał Horace.

- Dalej, człowieku! - Warren stał już na

korytarzu. - Zabierajmy stąd nasze dupy!

- A co oznacza "duplikat"?

Laurie złapała Jacka za ramię.

- Nie ma czasu. Żołnierze będą tu za minutę.

Jack niechętnie puścił mężczyznę i pozwolił się pociągnąć w stronę drzwi.

- Cholera, byłem już tak blisko.

Warren machał gwałtownie w ich stronę. Biegł z

Natalie korytarzem na tyły budynku. Otworzyły

się drzwi windy. Wyszedł z niej Cameron z

berettą w dłoni.

- Wszyscy stać! - krzyknął, dostrzegając obcych.

Schwycił broń w obie dłonie, uniósł ją i

wycelował w Warrena i Natalie. Potem

błyskawicznie przesunął lufę na Jacka i Laurie.

Utrudnieniem dla Camerona było to, że

przeciwnicy znajdowali się po obu jego stronach.

Kiedy patrzył na jednych, nie widział drugich.

- Ręce na głowy! - rozkazał, wymachując bronią.

Wszyscy posłuchali, chociaż za każdym razem,

gdy Cameron spoglądał w stronę Laurie i Jacka,

Warren zbliżał się do niego o krok.

- Nikomu nic się nie stanie - zapewnił szef

ochrony, obracając się z bronią znowu w stronę
Warrena.

Warren wykonał krok do przodu i jego stopa z
prędkością błyskawicy trafiła w rękę Camerona.

Broń uderzyła o sufit. Zanim Cameron zdążył
zareagować na jej niespodziewaną utratę,

Warren przyskoczył do niego i uderzył dwa razy,
raz w żołądek, drugi raz w nos. Cameron padł na
plecy.

- Cieszę się, że jesteś po mojej stronie -
powiedział Jack.

- Zwiewamy do łodzi! - powiedział Warren, nie
mając ochoty na żarty.

- Jestem otwarty na wszelkie sugestie -
stwierdził Jack.

Cameron jęczał i trzymał się za brzuch.

Warren popatrzył w obie strony korytarza.

Chwilę wcześniej zamierzał pobiec na tył
budynku, ale teraz uważał, że to nie jest dobre
rozwiązanie. W połowie korytarza dostrzegł
grupę pielęgniarek pokazujących palcami w jego
stronę.

Naprzeciwko windy, na wysokości oczu widniała
strzałka pokazująca w głąb korytarza, za pokój

Horace'a Winchestera. Napisano na niej: OPER.

Zdając sobie sprawę, że nie mają czasu na

dyskusje, Warren wskazał kierunek.

- Tędy! - warknął.

- Do sali operacyjnej? - zapytał Jack. - Dlaczego?

- Bo tego się nie spodziewają - odpowiedział

Warren. Chwycił Natalie za rękę i pociągnął ją

tak, że musiała biec.

Jack i Laurie pospieszyli za nimi. Przebiegli

obok pokoju Horace'a, ale tęgawy jegomość ze

strachu zamknął się w łazience. Część

operacyjna oddzielona była od reszty szpitala

wahadłowymi drzwiami. Warren uderzył w nie i

przeszedł, trzymając wyciągniętą rękę niczym

atakujący zawodnik futbolu amerykańskiego.

Jack i Laurie byli tuż za nim.

Nikt nie czekał na operację, w sali pooperacyjnej

też nie było żadnego pacjenta. Nie świeciły się

nawet żadne lampy z wyjątkiem jednej w

magazynku w połowie korytarza. Drzwi do

magazynku były uchylone, dając lekką poświatę.

Słyszając hałasy przy drzwiach do oddziału

operacyjnego, z magazynu wyjrzała jakaś

kobieta. Ubrana była w fartuch, na głowie miała

czepek. Wstrzymała oddech, widząc cztery

postaci biegnące w jej kierunku.

- Hej, nie wolno tu wchodzić w cywilnym
ubraniu - zawołała, gdy tylko odzyskała rezon.

Ale Warren i pozostali już ją minęli. Zdumiona
odprowadziła intruzów wzrokiem. Zniknęli w
końcu korytarza za drzwiami prowadzącymi do
laboratorium.

Wróciła do magazynu i sięgnęła do wiszącego na
ścianie telefonu.

Warren zatrzymał się, gdyż teraz korytarz
rozdzielał się w kształcie litery T. Popatrzył w
obie strony. Z lewej, na końcu świeciło się na
ścianie czerwone światło oznajmiające alarm
pożarowy. Ponad nim wisiał napis: WYJŚCIE.

- Powoli! - zawołał Jack, widząc Warrena
gotowego do ruszenia w tamtą stronę.

Spodziewał się tam znaleźć schody
przeciwpożarowe.

- Człowieku, co znowu? - zapytał zaniepokojony
Warren.

- To wygląda na laboratorium - powiedział Jack.
Podszedł do przezroczystych drzwi i zajrzał
przez nie do środka. To, co zobaczył, zrobiło na

nim ogromne wrażenie. Chociaż znajdowali się w środkowej Afryce, miał przed sobą najbardziej nowoczesne laboratorium, jakie kiedykolwiek widział. Każda, nawet najmniejsza część wyposażenia wyglądała na zupełnie nową.

- No, dalej! - poganiała Laurie. - Nie ma czasu na ciekawość. Musimy się stąd wydostać.

- To prawda, człowieku. Szczególnie po pobiciu tego ochroniarza musimy wyrywać przed siebie.

- Wy idźcie - powiedział niespodziewanie Jack. - Spotkamy się w łodzi.

Warren, Laurie i Natalie wymienili niespokojne spojrzenia.

Jack spróbował otworzyć drzwi. Nie były zamknięte. Wszedł do środka.

- Na miłość boską - westchnęła Laurie. Jack potrafił być taki denerwujący. Czym innym było nie dbać o własne bezpieczeństwo, ale czym innym narażać na niebezpieczeństwo innych.

- Jak nic, wpadną tu za chwilę ci z ochrony i żołnierze - przypomniał Warren.

- Wiem - odpowiedziała Laurie. - Wy idźcie, a ja ściągnę go tak szybko jak się da.

- Nie mogę was zostawić - odparł Warren.

- Pomyśl o Natalie.

- Nonsens - odezwała się Natalie. - Nie jestem płochliwą kobietką. Razem się w to wpakowaliśmy.

- Idźcie tam obie i wlejcie mu trochę oleju do głowy - powiedział Warren. - Ja pobiegnę i włączę alarm przeciwpożarowy.

- Rety, po co znowu? - zapytała Laurie.

- To stara sztuczka, której nauczyłem się jeszcze jako smarkacz. Ile razy masz kłopoty, narób takiego bałaganu, jak tylko się da. Wtedy będziesz mieć szansę wyśliznąć się z opresji.

- Trzymam cię za słowo - powiedziała Laurie.

Skinęła na Natalie i obie weszły do laboratorium.

Znalazły Jacka w czasie miłej konwersacji z laborantką ubraną w długi, biały kitel. Była piegowata, rudowłosa i miała przyjacielski uśmiech na ustach. Jack zdążył ją już rozbawić.

- Przepraszam! - odezwała się Laurie, starając się uspokoić głos. - Jack, musimy już iść.

- Laurie, to Rolanda Phieffer - przedstawił Jack.

- Wyobraź sobie, że przyjechała z Heidelbergu w Niemczech.

- Jack! - powtórzyła Laurie przez zaciśnięte zęby.

- Rolanda właśnie opowiadała mi ciekawe rzeczy. Ona i jej koledzy pracują tu nad antygenami głównego zespołu zgodności tkankowej. Otrzymują je z określonego chromosomu jednej komórki i wszczepiają w to samo miejsce w innej komórce.

Natalie, która podeszła do dużego okna, z którego rozciągał się widok na plac, teraz odwróciła się w stronę rozmawiających.

- Jest jeszcze gorzej. Przyjechał samochód pełen tych Arabów w czarnych garniturach.

W tej samej chwili zaczął wyc alarm przeciwpożarowy. Najpierw zabrzmiały trzy ostre przeraźliwe dzwonki, a po nich rozległ się nagrany głos: "Ogień w laboratorium! Proszę natychmiast skierować się do wyjścia ewakuacyjnego! Nie używać windy!"

- Ojej! - zawołała Rolanda. Szybko rozejrzała się dookoła, aby sprawdzić, co powinna zabrać ze sobą.

Laurie złapała Jacka za ramiona i wstrząsnęła nim.

- Jack, bądź rozsądny! Musimy stąd uciekać.

- Zorientowałem się - odparł z kwaśną miną. -

Nie żartuję. Dalej!

Wybiegli na korytarz. Inne osoby także się tam

pojawiły. Wszyscy wydawali się

zdezorientowani, niepewnie rozglądali się na

wszystkie strony. Ktoś głośno pociągał nosem.

Dały się słyszeć ożywione rozmowy. Wiele osób

niosło laptopy.

Bez nadmiernego pośpiechu wszyscy kierowali

się na schody awaryjne. Jack, Laurie i Natalie

znaleźli Warrena przytrzymującego drzwi.

Trzymał w dłoniach białe fartuchy. Natychmiast

włożyli je na cywilne ubrania. Niestety, były zbyt

krótkie.

- Z tych małp nazywanych bonobo tworzą jakieś

chimery - powiedział Jack. - To jest wyjaśnienie.

Nic dziwnego, że testy DNA były tak pokręcone.

- O czym on teraz mówi? - spytał poirytowany

Warren.

- Nie pytaj. To go tylko podnieci - odparła

Laurie.

- Kto wpadł na pomysł z tym alarmem? -

Kapitałne rozwiązanie - pochwalił Jack.

- Warren. Przynajmniej on jeden myśli -

powiedziała Laurie.

Schody prowadziły na parking z północnej strony budynku. Ludzie tłoczyli się, spoglądali z dołu na gmach i rozmawiali w małych grupach.

Słońce świeciło na czystym niebie i na asfaltowym parkingu panował zabójczy upał. Z północnego wschodu dobiegał modulowany głos strażackiej syreny.

- Co powinniśmy teraz zrobić? - zapytała Laurie.

- Cieszę się, że udało nam się tu dotrzeć. Nie sądziłam, że zdołamy wyjść ze szpitala.

- Idźmy w stronę ulicy, a potem skręcimy w lewo

- powiedział Jack, wskazując drogę. - Okrążymy

budynek i dojdziemy na brzeg. - Gdzie są

żołnierze? - zapytała Laurie.

- I Arabowie? - dodała Natalie.

- Domyślam się, że szukają nas w szpitalu - stwierdził Jack.

- Chodźmy, zanim wszyscy zaczną wracać do laboratorium - ostrzegł Warren.

Ruszyli powoli, żeby nie wzbudzać niczyjej uwagi. Gdy zbliżyli się do ulicy, obrócili się, by sprawdzić, czy nie są obserwowani, ale nikt nawet nie patrzył w ich kierunku. Wszyscy byli

zajęci obserwowaniem strażaków, którzy właśnie się zjawili.

- Jak na razie jest dobrze - skomentował Jack.

Warren pierwszy dotarł do ulicy. Kiedy wyjrzał za narożnik domu, natychmiast wyciągnął rękę, aby zatrzymać pozostałych i sam cofnął się o krok.

- Tędy nie przejdziemy. Zablokowali ulicę - oznajmił.

- Och - wystraszyła się Laurie. - Mogli zablokować cały obszar.

- Pamiętacie elektrownię, którą widzieliśmy? - powiedział Jack.

Skinęli potwierdzająco.

- Musi mieć połączenie ze szpitalem. Założę się, że jest tunel.

- Może - zastanowił się Warren. - Ale nie wiemy, jak go znaleźć. Poza tym, nie podoba mi się powrót do budynku pełnego dzieciaków z automatami.

- To spróbujmy przejść przez plac - zaproponował Jack.

- W stronę miejsca, gdzie widzieliśmy żołnierzy?

- zapytała Laurie z dezaprobatą.

- Jeżeli są w szpitalu, nie powinniśmy mieć kłopotów.

- Coś w tym jest - odezwała się Natalie.

- Oczywiście zawsze możemy się poddać i przeprosić za zamieszanie. Co nam mogą zrobić poza wykopaniem stąd? Myślę, że mam to, po co przyjechałem, więc reszta nie martwi mnie w najmniejszym stopniu - stwierdził Jack.

- Ty chyba żartujesz - odezwała się Laurie. - Nie sądzę, żeby twoje przeprosiny wystarczyły.

Warren pobił tamtego mężczyznę, mamy na sumieniu coś więcej niż tylko wdarcie się na cudzy teren.

- Żartuję aż do bólu - przyznał Jack. - Ale ten facet przyłożył nam lufę do głowy. To jest jakieś usprawiedliwienie naszego zachowania. Poza tym możemy im zostawić trochę franków. Zdaje się, że one rozwiążą wszystkie problemy w tym kraju.

- Ale przez posterunek na szosie nas nie przepuściły - przypomniała Laurie.

- Dobra, wszystkie oprócz wpuszczenia nas tutaj. Będę jednak bardzo zaskoczony, jeżeli również nie pomogą stąd wyjechać.

- Musimy coś zrobić - odezwał się Warren. -

Strażacy pozwalają ludziom wchodzić z powrotem do budynku. Za chwilę będziemy stać sami w tym piekielnym słońcu.

- Są - powiedział Jack, wyciągając z kieszeni okulary przeciwsłoneczne. Włożył je i powiedział: - Spróbujmy przejść przez plac, zanim wrócą żołnierze.

Jeszcze raz ruszyli spokojnym, spacerowym krokiem. Doszli prawie do trawnika, kiedy ich uwagę wzbudziło jakieś poruszenie przy drzwiach szpitala. Zauważyli grupę Arabów przepychających się obok wchodzących do budynku pracowników. Wysypali się na parking z powiewającymi krawatami i rozbieganymi oczami. Wszyscy trzymali w rękach pistolety automatyczne. Za Arabami pojawiło się kilku żołnierzy. Z trudnością łapali oddech, lustrując okolicę. Warren zastygł, reszta również.

- Nie podoba mi się to - powiedział Warren. - Dysponują taką siłą ognia, że mogliby obrabować Chase Manhattan Bank.

- Przypominają mi trochę Gliny z Keyston*

[przyp.: Keyston Cops (ang.) - grupa głupawych

policjantów z angielskich komedii z lat

dwudziestych (przyp. tłum.)] - zażartował Jack.

- Jakoś nie widzę w tym nic zabawnego -

powiedziała Laurie.

- Wiem, że to dziwnie brzmi, ale chyba

powinniśmy wrócić do budynku - stwierdził

Warren. - Za moment zaczną się zastanawiać,

dlaczego stoimy tu w tych fartuchach.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć na

sugestię Warrena, na plac wyszedł Cameron w

towarzystwie dwóch ludzi. Jeden z

towarzyszących mu mężczyzn ubrany był tak jak

on - najwidoczniej też członek ochrony. Drugi

był niższy i miał bezwładne ramię. On też był

ubrany w mundur w kolorze khaki, ale nie miał

przy sobie żadnego wojskowego wyposażenia,

jak pozostali dwaj.

- Ufff - stęknął Jack. - Mam wrażenie, że za

chwilę zostaniemy zmuszeni do przeproszania.

Cameron trzymał przy nosie zakrwawioną

chustkę. Jednak nie zasłaniała mu ona widoku.

Natychmiast dostrzegł Jacka i pozostałych i

wskazał w tym kierunku.

- To oni! - krzyknął.

Marokańczycy i żołnierze w mgnieniu oka otoczyli intruzów i wycelowali w nich broń. Jack i pozostali bez słowa podnieśli ręce w górę.

- Ciekawe, czy zrobiłbym na nich wrażenie moją odznaką lekarza sądowego? - zastanawiał się Jack.

- Nie rób nic głupiego - ostrzegła Laurie.

Cameron i jego towarzysze bezzwłocznie podeszli do zatrzymanych. Krąg wokół Amerykanów bezszelestnie się rozstał.

Siegfried podszedł najbliżej.

- Chcielibyśmy przeprosić za wszelkie niedogodności - zaczął Jack.

- Zamknij się! - warknął Siegfried. Obszedł całą czwórkę dookoła, przyglądając im się ze wszystkich stron. Kiedy wrócił do punktu wyjścia, zapytał Camerona, czy to ci ludzie, których nakrył w szpitalu.

- Żadnych wątpliwości - powiedział. Patrzył prosto w twarz Warrena. - Mam nadzieję, że mam pańskie pozwolenie.

- Oczywiście - odpowiedział Siegfried z lekkim skinieniem.

Cameron bez ostrzeżenia wziął zamach i uderzył

Warrena w twarz. Rozległ się odgłos, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę. Z ust Camerona wyrwał się jęk. Złapał się za rękę i zacisnął zęby. Warrenowi nie drgnął ani jeden mięsień. Nawet nie mrugnął.

Cameron zaklął pod nosem i wycofał się.

- Przeszukać ich - rozkazał Siegfried.

- Przykro nam, jeżeli... - znowu odezwał się Jack, ale Siegfried nie pozwolił mu dokończyć.

Uderzył go otwartą dłonią w twarz na tyle mocno, że głowa Jacka odskoczyła w bok, a na policzku pozostał czerwony ślad.

Człowiek Camerona szybko pozbawił Jacka i pozostałych paszportów, portfeli, pieniędzy i kluczyków samochodowych. Przekazał je Siegfriedowi, który przejrzał je powoli. Kiedy doszedł do paszportu Jacka, podniósł oczy i przyjrzał mu się.

- Mówiono mi, że lubi pan sprawiać kłopoty - powiedział z pogardą.

- Ja raczej mówię o sobie "nieustępliwy".

- I arogancki - burknął z irytacją Siegfried. -

Mam nadzieję, że ta nieustępliwość przyda się na coś, gdy trafisz w ręce tutejszych żołnierzy.

- Może mogliśmy zadzwonić do ambasady amerykańskiej i rozwiązać tę niezręczną sytuację

- zaproponował Jack. - Jak by nie było, jesteśmy urzędnikami państwowymi.

Siegfried uśmiechnął się, ale blizna wykrzywiła mu usta w wyrazie szyderstwa.

- Amerykańska ambasada? - zapytał z nie skrywaną pogardą. - W Gwinei Równikowej! A to dobre! Na nieszczęście dla was, znajduje się na wyspie Bioko. - Odwrócił się w stronę Camerona. - Zamknij ich w więzieniu, ale osobno kobiety i mężczyzn!

Cameron strzelił palcami w stronę swojego pomocnika. Najpierw chciał założyć im kajdanki. Kiedy ich zakuwano, on i Siegfried odsunęli się na bok.

- Naprawdę chcesz ich przekazać w ręce Gwinejczyków? zapytał Cameron.

- Jasne. Raymond powiedział mi wszystko o tym Stapletonie. Muszą zniknąć.

- Kiedy?

- Zaraz po wyjeździe Taylora Cabota. Chcę to wszystko utrzymać w tajemnicy.

- Rozumiem. - Cameron dotknął kapelusza i w

eskorcie swoich ludzi odprowadził więźniów do cel w piwnicach ratusza.

ROZDZIAŁ 22

9 marca 1997 roku

godzina 16.15

Isla Francesca

- Dzieje się coś bardzo dziwnego - stwierdził

Kevin.

- Ale co? Czy możemy mieć jakąś nadzieję? -

zapytała Melanie.

- Gdzie mogą się podziewać pozostałe zwierzęta?

- zastanowiła się Candace.

- Nie wiem, czy nabierać odwagi, czy zacząć się

bać. Co jeśli urządziły sobie z drugą grupą

prawdziwy Armagedon?* [przyp.: Armagedon -

Apok., 16,16, miejsce, gdzie odbędzie się ostatnia

wielka bitwa między dobrem a złem; krwawa

wojna, wielka rzeź (przyp. tłum.)]

- Boże Wszechmocny - przestraszyła się Melanie.

- Nigdy o tym nie pomyślałam.

Kevin i obie kobiety od dwóch dni byli faktycznie

więźniami. Nie pozwalano im opuścić małej

groty ani na minutę, więc cuchnęło w niej teraz

tak samo, a może i gorzej niż w dużej jaskini.

Aby ulżyć swym potrzebom, musieli wchodzić do tunelu, który zamienił się w cuchnącą kloakę.

Sami też nie pachnieli lepiej. Byli brudni i czuli się okropnie w nie zmienianej odzieży. Spali na skałach, na brudnej ziemi. Włosy mieli potargane. Twarz Kevina pokrywał dwudniowy zarost. Czuli się osłabieni brakiem ruchu i pożywienia, chociaż starali się zjeść choć trochę tego, co im dostarczano.

Około dziesiątej rano wyczuli, że coś się dzieje. Zwierzęta były pobudzone. Niektóre wybiegły, aby po krótkiej chwili wrócić, wydając głośne wrzaski. Wcześniej bonobo numer jeden wyszedł i do tej pory nie wrócił. Już to było nienormalne.

- Zaraz, zaraz - odezwał się nagle Kevin.

Podniósł ręce, jakby chciał powstrzymać panie od zrobienia najmniejszego hałasu. Obracał głową z jednej strony na drugą, nasłuchując uważnie.

- Co to jest? - zapytała Melanie.

- Zdaje się, że słyszę głos - powiedział Kevin.

- Ludzki głos?

Kevin przytaknął.

- Czekaj, ja też to słyszę! - powiedziała z

podnieceniem Melanie.

- Ja też! - dodała Candace. - To na pewno ludzki głos. Jakby ktoś krzyknął "okay".

- Arthur też usłyszał - stwierdził Kevin. Nazwali tym imieniem małpę, która najczęściej stała na straży przy wyjściu z groty. Właściwie bez powodu, tylko po to, żeby wiedzieć, o kim mówią. Po wielu godzinach zauważyli coś, co mogło uchodzić za dialog. Byli nawet w stanie rozróżnić znaczenie pojedynczych słów czy gestów.

Najpewniejsi byli znaczenia słowa "arak", które oznaczało "odejść", szczególnie gdy towarzyszyło mu rozkładanie palców u rąk i wyrzucanie ramion. Te właśnie gesty Candace widziała w sali operacyjnej. Zrozumieli też "hana" jako "cicho" i "zit" jako "iść". Jedzenie i wodę określały odpowiednio "bumi" i "carak".

Nie byli pewni słowa "sta", któremu towarzyszyło unoszenie rąk z dłońmi skierowanymi na zewnątrz. Podejrzewali, że może to oznaczać "ty".

Arthur wstał i wydał serię dźwięków w stronę pozostałych w jaskini bonobo. Przysłuchiwały się i nagle zniknęły na zewnątrz. Następnym dźwiękiem, który dosłyszeli, była seria strzałów

karabinowych, ale nie takich normalnych, raczej

jak z wiatrówki. Kilka minut później dwie

postacie w uniformach centrum

weterynaryjnego zarysowały się w wejściu do

jaskini na tle mglistego nieba. Jedna trzymała

broń, druga oświetliła wnętrze silną latarką.

- Ratunku! - krzyknęła Melanie. Zasłoniła oczy

przed światłem, ale drugą ręką szaleńczo

machała, na wypadek gdyby ludzie jej nie

zauważyli.

W jaskini rozległo się głucho uderzenie.

Jednocześnie Arthur zaskowyczał. Z

zaskoczeniem na płaskiej twarzy spojrzął w dół

na strzałkę z czerwoną końcówką, sterczącą w

jego piersi. Ręka powędrowała w górę, aby

złapać za nią, ale nim zdołał to uczynić, zaczął

się chwiać. Jak na zwolnionym filmie usiadł na

podłodze jaskini i przewrócił się na bok.

Kevin, Melanie i Candace wyczołgali się ze

swojej celi bez drzwi i wyprostowali się. Zabrało

im to chwilę. W tym samym czasie obaj

mężczyźni przyklękli przy bonobo i podali mu

dodatkową dawkę środka usypiającego.

- Mój Boże, cieszymy się, że was widzimy -

powiedziała Melanie. Stała, przytrzymując się skalnej ściany. Przez chwilę jaskinia zawirowała jej przed oczami.

Mężczyźni wstali i oświetlili kobiety i Kevina.

Niedawni więźniowie zasłonili oczy.

- Ludzie, wyglądzie strasznie - stwierdził ten z latarką.

- Jestem Kevin Marshall, a to Melanie Becket i Candace Brickmann.

- Wiemy, kim jesteście. Chodźmy z tego szamba - powiedział mężczyzna.

Wychodząc na gumowych nogach z jaskini, czuli szczęście i ulgę. Mężczyźni podążali za nimi. Gdy znaleźli się na zewnątrz, musieli zmrużyć oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Poniżej, u podstawy klifu zauważyli jeszcze z pół tuzina pracowników centrum weterynarii. Byli zajęci przy uspiomych zwierzętach. Zawijali je w czerwone maty i układali jedno obok drugiego na przyczepie.

- W jaskini jest jeszcze jeden! - zawołał do kolegów mężczyzna z latarką.

- Ja was też znam - powiedziała Melanie. Teraz, w dziennym świetle mogła im się dokładniej

przyrzec. - Ty jesteś Dave Turner, a ty Daryl

Chrystian.

Mężczyźni zignorowali Melanie. Dave, wyższy z nich, odpiął od pasa radiotelefon. Daryl zaczął schodzić w dół po potężnych stopniach skalnych.

- Turner do bazy - powiedział Dave do urzędnika.

- Słyszę cię głośno i wyraźnie - usłyszeli głos Bertrama.

- Mamy resztę bonobo i ładujemy je - poinformował Dave.

- Świetna robota - pochwalił Bertram.

- W jaskini znaleźliśmy Kevina Marshalla i obie kobiety.

- W jaki stanie?

- Brudni, ale chyba zdrowi.

- Daj mi to! - powiedziała Melanie, sięgając po radio. Nagle poczuła, że nie podoba jej się, jak podwładny w jej obecności mówi o niej z lekceważeniem.

Dave odsunął się.

- Co mam z nimi zrobić?

- Przywieź ich do centrum. Powiadomię

Siegfrieda Spalleka. Na pewno będzie chciał z

nimi porozmawiać.

- Przyjąłem - powiedział Dave i wyłączył radio.

- Co ma oznaczać to traktowanie? - zapytała oburzona Melanie. - Byliśmy tu uwięzieni ponad dwa dni.

Dave wzruszył ramionami.

- Wykonujemy tylko polecenia, proszę pani.

Wygląda na to, że bardzo rozżłościliście górę.

- Co, na miłość boską, dzieje się z małpami? - zapytał Kevin.

Kiedy zobaczył, co robią mężczyźni, najpierw pomyślał, że to dla wyratowania ich z opresji.

Lecz im dłużej myślał o tym, tym bardziej nie mógł zrozumieć, dlaczego zwierzęta ładuje się na przyczepę.

- Wygodne życie bonobo na wyspie stało się przeszłością - powiedział Dave. - Zaczęły tu wojować i zabijać się nawzajem. Znaleźliśmy cztery trupy, wszystkie ranione kamieniami.

Zamkniemy je więc w klatkach i przewieziemy do centrum weterynaryjnego. Od tej chwili każda małpa dostanie swoją celę. Jeśli się nie mylę, dwa na dwa metry.

Kevinowi opadła szczeka. Pomimo głodu,

wyczerpania i bólu odczuwał też głęboki smutek z powodu owych nieszczęsnych istot, które nie prosiły się przecież na świat. Ich życie miało się z dnia na dzień zmienić w jedno monotonne pasmo więziennej udręki. Drzemiący w nich ludzki potencjał nie został odkryty, a dotychczasowe osiągnięcia ulegną zatraceniu.

Daryl i trzech innych mężczyzn zajęło się uprzątnięciem bałaganu.

Kevin odwrócił się i zajrzał jeszcze raz do jaskini.

Dojrzał sylwetkę Arthura. Leżał u wejścia do groty, w której przez dwa dni byli uwięzieni. Łza zakręciła mu się w oku, gdy wyobraził sobie, co poczuje Arthur, kiedy obudzi się w stalowej klatce.

- No dobra, wy troje - odezwał się Dave. -

Wracamy. Macie dość siły, żeby iść, czy wolicie jechać na przyczepie?

- Co ciągnie przyczepę? - zapytał Kevin.

- Mamy na wyspie pojazd terenowy - wyjaśnił Dave.

- Ja w każdym razie dziękuję - odparła Melanie zimno.

Kevin i Candace byli tego samego zdania.

- Jesteśmy bardzo głodni - powiedział jeszcze

Kevin. - Dostawaliśmy tylko robaki, larwy i jakieś zielsko.

- W przyczepie mamy trochę słodkich wafli i soków - powiedział Dave.

- To powinno na razie wystarczyć - odparł Kevin.

Zejście w dół skalistego zbocza okazało się najtrudniejszą częścią podróży. Na nizinie marsz nie sprawiał już kłopotów, tym bardziej że łapacze z centrum oczyścili ścieżki.

Kevin był pod wrażeniem, widząc, jak wiele zrobiono w krótkim czasie. Kiedy weszli na podmokłą łąkę na południe od Lago Hippo, zastanowił się, czy ich łódź jest ciągle ukryta w trzcinach. Podejrzewał, że jest. Nie było powodów, żeby jej szukali.

Candace była szczęśliwa, widząc nad Rio Diviso drewniany most przysypany ziemią. Martwiła się, jak przejdą przez rzekę.

- Ostro pracowaliście - skomentował Kevin.

- Nie mieliśmy wyboru - odparł Dave. -

Musieliśmy uporać się ze zwierzętami tak szybko, jak to było możliwe.

Podczas pokonywania ostatniej mili dzielącej

most do miejsca połączenia wyspy z lądem

Kevin, Melanie i Candace coraz dotkliwiej czuli

zmęczenie. Szczególnie trudny okazał się

moment, gdy musieli zejść z drogi, aby

przepuścić terenówkę jadącą po ostatni

transport bonobo. Kiedy się zatrzymali, poczuli,

że nogi mają jak z ołowiu.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy wyszli z

półmroku dżungli na odkryty teren w pobliżu

mostu. Panowała tu niezwykła krzątanina. Kilku

mężczyzn z mozołem pracowało w piekącym

słońcu. Rozładowywali drugą przyczepę z

małpami, które od razu przenosili do stalowych

klatek, zanim zwierzęta odzyskają świadomość.

Klatki miały około metra dwadzieścia wysokości,

więc tylko młode osobniki mogły w nich stanąć.

Były to stalowe pudła z okratowanym okienkiem

w drzwiach, przez które wpadało świeże

powietrze. Drzwi zabezpieczone były zagiętym

skoblem umocowanym poza zasięgiem zwierząt.

Przez jedno z okienek Kevin dojrzał przerażone

spojrzenie jednej z małp zamkniętej w ciemnej

klatce.

Te klatki nadawały się wyłącznie do transportu,

tymczasem mały dźwig przynosił je w cień na skraju dżungli, co mogło sugerować, że zostaną na wyspie. Jeden z pracowników trzymał w ręku wąż podłączony do pompy spalinowej i polewał klatki wodą z rzeki.

- Zdawało mi się, że miały być przewiezione do centrum, na stały ląd - powiedział Kevin.

- Nie dzisiaj - odparł Dave. - W tej chwili nie mamy tam jeszcze miejsca. Zrobimy to jutro, najdalej pojutrze.

Przejście na ląd nie sprawiało żadnych kłopotów, gdyż most został opuszczony. Skonstruowany był ze stali i kiedy go wysuwano, wydawał głuchy odgłos, podobny do dźwięku trąby. Przy moście Dave zaparkował swoją ciężarówkę.

- Wskakujcie - powiedział, wskazując na tył wozu.

- Jedną chwilę! - odezwała się Melanie. - Nie pojedziemy na pace.

- No to pójdziecie pieszo, bo w mojej kabinie też nie pojedziecie.

- Melanie, daj spokój - nalegał Kevin. - Tu, na świeżym powietrzu będzie o wiele przyjemniej. -
Podał rękę Candace.

Dave obszedł pojazd i wszedł po kole do kabiny.

Melanie stała na rozstawionych nogach, z rękoma wspartymi na biodrach i zaciśniętymi ustami. Wyglądała jak mała dziewczynka, która za chwilę dostanie ataku furii.

- Melanie, to niewiele pomoże - powiedziała Candace i wyciągnęła do niej rękę.

Melanie niechętnie ją chwyciła.

- Nie oczekiwałam czułego powitania, ale takie traktowanie jest nie do przyjęcia - poskarżyła się.

Po śmierdzącej jaskini i spacerze przez parną dżunglę, podmuch świeżego powietrza w czasie jazdy na odkrytej pace ciężarówki okazał się niespodziewaną przyjemnością. Wóz był wyładowany trzciniowymi matami, w których przenoszono bonobo, więc było im dość wygodnie. Co prawda nie pachniały zbyt ładnie, ale podróżnicy uznali, że oni także nie zachwycają zapachem.

Leżeli i spoglądali na skrawki popołudniowego nieba ukazujące się między koronami drzew rozpościerających się nad ich głowami.

- Jak sądzicie, co zamyślają z nami zrobić? -

spytała Candace. - Nie chcę wracać do więzienia.

- Miejmy nadzieję, że nas po prostu wyrzucą -

powiedziała Melanie. - Jestem gotowa się spakować i powiedzieć "do widzenia" szefowi, całemu projektowi i Gwinei Równikowej. Mam tego dość.

- Pozostaje tylko mieć nadzieję, że pójdzie tak łatwo - wtrącił Kevin. - Boję się też o zwierzęta.

Wydano na nie wyrok śmierci.

- Nie możemy wiele zdziałać - zauważyła Candace.

- Zastanawiam się - powiedział Kevin. -

Zastanawiam się, co powiedziałyby na ten temat organizacje broniące praw zwierząt.

- Tylko nie wyskakuj z tym, zanim się wydostaniemy z tego piekła. Dostaliby szafu - upomniała go Melanie.

Do miasta wjechali od wschodu, mijając po drodze leżące z prawej strony boisko piłkarskie i korty tenisowe. Na obu dostrzegli ruch.

Szczególnie na kortach było wielu amatorów gry.

Wszystkie były zajęte.

- Podobne doświadczenia uświadamiają człowiekowi, że nie jest wcale taki ważny, jak mu

się zdaje - powiedziała Melanie, spoglądając jednocześnie na graczy. - Znikasz na dwa dni, które mogą cię wykończyć, a tu życie toczy się jak przedtem.

Rozważali słowa Melanie, gdy nagle gwałtowny skręt w prawo rzucił ich na bok. Wiedzieli, że ta droga prowadzi do centrum weterynaryjnego.

Ale po kilkudziesięciu metrach samochód zwolnił i zatrzymał się. Kevin usiadł i spojrzał na drogę. Stał tam jeep cherokee Bertrama.

- Siegfried chce, żebyś pojechał prosto do domu Kevina - powiedział Bertram do Dave'a.

- Jasne! - zawołał Dave z kabiny. Ciężarówka pochyliła się do przodu, gdy Dave ruszył za wozem Bertrama.

Kevin położył się z powrotem na matach.

- A to ci niespodzianka. Może jednak nie potraktują nas tak źle - wyraził cichą nadzieję.

- Może uda się ich namówić, żeby Candace i mnie wyrzucili przy naszych kwaterach. Są mniej więcej po drodze - powiedziała Melanie, patrząc na siebie. - Muszę natychmiast wziąć prysznic i zmienić ubranie. Dopiero potem będę mogła coś zjeść.

Kevin ukląkł za kabiną kierowcy i zaczął pukać w tylne okno, aż zwrócił uwagę Dave'a. Przekazał prośbę Melanie. W odpowiedzi zobaczyli machnięcie dłonią, które oznaczało "nie".

Kevin wrócił do dawnej pozycji.

- Zdaje się, że najpierw będziesz musiała wpaść do mnie - powiedział.

Gdy wjechali na uliczny bruk, zaczęło tak trząść, że musieli usiąść. Gdy pokonali ostatni zakręt, Kevin popatrzył przed siebie niecierpliwie. Tak samo jak Melanie marzył o kąpieli. Niestety, to, co zobaczył, nie było zachęcające. Przed domem stali Siegfried z Cameronem i czterech uzbrojonych po zęby żołnierzy. Jeden z nich był oficerem.

- Uff - stęknął Kevin. - To nie wygląda obiecująco.

Zatrzymali się. Dave wyskoczył z kabiny i obszedł wóz, żeby spuścić tylną klapę. Kevin pierwszy zszedł na sztywnych nogach. W jego ślady poszły Melanie i Candace.

Gotując się na najgorsze, Kevin podszedł do Siegfrieda i Camerona. Wiedział, że obie panie są tuż za nim. Bertram zaparkował przed

ciężarówką i dołączył do nich. Nikt nie wyglądał na szczęśliwego.

- Mieliśmy nadzieję, że zafundowaliście sobie niespodziewane wakacje - odezwał się pogardliwie Siegfried. - Tymczasem odkrywamy, że świadomie złamaliście zakaz przebywania na Isla Francesca. Zostaniecie chwilowo zakwaterowani razem w tym domu - wskazał za siebie na dom Kevina.

Kevin był gotów wyjaśnić, dlaczego zrobili to, co zrobili, ale niespodziewanie wepchnęła się przed niego Melanie. Była wyczerpana i poirytowana.

- Nie zostanę tu, i kropka - fuknęła. - Mam was dość. Opuszczam Strefę, jak tylko uda mi się załatwić transport.

Siegfried uniósł lekko górną wargę, nadając twarzy jeszcze bardziej pogardliwy wyraz. Zrobił szybki krok do przodu i wierzchem dłoni silnie uderzył Melanie w twarz, zbijając ją z nóg.

Candace błyskawicznie przyklęła, aby pomóc przyjaciółce.

- Nie dotykaj jej! - wrzasnął Siegfried i podniósł rękę, gotowy wymierzyć cios drugiej kobiecie.

Candace zignorowała go i pomogła Melanie

usiąść. Lewe oko Melanie zaczęło szybko puchnąć, a po policzku spłynęła cienka strużka krwi.

Kevin skrzywił się i spojrział w bok, spodziewając się, że teraz on otrzyma cios. Podziwiał odwagę Candace i żałował, że sam nie może jej z siebie wykrzesać. Ale Siegfried tak go przerażał, że bał się nawet poruszyć.

Kiedy kolejnego uderzenia nie było, Kevin znowu spojrział przed siebie. Candace podtrzymywała Melanie, która stała teraz na drżących nogach.

- Już wkrótce opuścisz Strefę - Siegfried warknął pod adresem Melanie. - Ale stanie się to w towarzystwie przedstawicieli władz Gwinei Równikowej. Im możesz demonstrować swoje zuchwalstwo.

Kevin z trudem przełknął ślinę. Najbardziej bał się właśnie przekazania w ręce tutejszych władz.

- Jestem Amerykanką - szlochała Melanie.
- Ale znajdujesz się w Gwinei Równikowej - przypomniał jej Siegfried. - I złamałaś prawo tego kraju. - Cofnął się. - Zatrzymuję wasze paszporty. Zostaną przekazane tutejszym

władzom wraz z wami. Do tego czasu musicie pozostać w tym domu. I ostrzegam, ten oficer i jego żołnierze otrzymali rozkaz strzelania, jeśli któreś z was choć na krok opuści areszt. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Potrzebuję jakichś ubrań! - krzyknęła Melanie.

- Przywieźli ubrania z waszych kwater. Są w pokojach gościnnych na piętrze. Wierzcie mi, pomyśleliśmy o wszystkim. - Siegfried odwrócił się do Camerona. - Dopilnuj, aby odpowiednio zadbano o tych ludzi.

- Oczywiście, sir. - Zasalutował swoim zwyczajem i odwrócił się w stronę aresztantów.

- No dobra, słyszeliście szefa! - wrzasnął. - Na górę i bez kłopotów, proszę.

Kevin ruszył przed siebie tak, aby przejść obok Bertrama.

- Nie tylko potrafią używać ognia. Wykonują narzędzia, a nawet rozmawiają ze sobą.

Przeszedł dalej. Nie dostrzegł żadnej zmiany w wyrazie twarzy Bertrama, jedynie lekki ruch jego stale uniesionych brwi. Ale był pewny, że tamten go słyszał.

Kiedy Kevin zmęczonym krokiem wspinał się na

piętro, widział, jak na parterze Cameron

organizuje bazę dla grupki żołnierzy i ich oficera.

Na górze w holu wszyscy troje popatrzyli po sobie. Melanie cały czas szlochała. Kevin ciężko westchnął.

- To nie były dobre wieści.

- Nie mogą nam tego zrobić - powiedziała

Melanie płaczliwym głosem.

- Problem w tym, że mają zamiar spróbować. A

jeśli spróbujemy wyjechać z kraju bez

paszportów, wpadniemy w wielkie tarapaty,

nawet jeśli uda nam się stąd wydostać.

Melanie mocno ujęła twarz w dłonie.

- Muszę się wziąć w garść - powiedziała.

- Znowu czuję się jak odrętwiała - wyznała

Candace. - Z jednego więzienia, wpadliśmy do następnego.

- Przynajmniej nie zamknęli nas w ratuszu -

stwierdził Kevin z westchnieniem.

Usłyszeli odgłosy zapuszczanych silników i

samochody odjechały. Kevin wyszedł na

werandę i stwierdził, że zniknęły wszystkie

samochody z wyjątkiem auta Camerona.

Spojrzał w niebo i zauważył, że zapada noc. Na

niebie lśniły pierwsze gwiazdy.

Wrócił do domu i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Podniósł ją, przyłożył do ucha i usłyszał to, czego się spodziewał: ciszę.

- Jest sygnał? - zapytała stojąca za nim Melanie.

Kevin odłożył słuchawkę. Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie.

- Tego się spodziewałam.

- Weźmy prysznic - zaproponowała Candace.

- Dobry pomysł - odparła Melanie, starając się nadać głosowi nieco bardziej optymistyczny ton.

Umówili się za pół godziny. Kevin przeszedł

przez jadalnię do kuchni. Pchnął drzwi. Nie

chciał wchodzić do środka w takim stanie, ale

zapach pieczonego kurczaka miło łęchał nos.

Esmeralda poderwała się na nogi w chwili, gdy

otworzyły się drzwi.

- Dzień dobry, Esmeraldo - przywitał się.

- Witam pana, panie Marshall.

- Nie wyszłaś nas przywitać jak zwykle.

- Bałam się, że szef Strefy ciągle tam jest. On i szef ochrony byli tu wcześniej i powiedzieli, że pan wróci i że nie będzie pan mógł stąd

wychodzić.

- Mnie też to powiedzieli.

- Przygotowałam kolację. Jest pan głodny?

- Bardzo. Ale mamy jeszcze gości. - Wiem. O tym także mnie uprzedzono.

- Możemy zjeść za pół godziny?

- Oczywiście.

Kevin skinął głową. Cieszył się, że Esmeralda została. Chciał już wyjść, lecz gosposia zawołała go. Zawahał się, trzymając uchylone drzwi.

- W mieście wydarzyło się dużo złych rzeczy. Nie chodzi tylko o pana i pańskie znajome, ale także o obcych. Moja kuzynka pracuje w szpitalu.

Powiedziała mi, że czworo Amerykanów z Nowego Jorku dostało się do szpitala.

Rozmawiali z pacjentem, któremu przeszczepiono wątrobę.

- Tak? - pytająco odpowiedział. Obcy z Nowego Jorku przyjeżdżają, aby porozmawiać z pacjentem po transplantacji. To zupełnie nieoczekiwany rozwój wypadków.

- Po prostu weszli - kontynuowała Esmeralda. - Nikt się ich nie spodziewał. Powiedzieli, że są lekarzami. Wezwano ochronę i żołnierzy i zabrali ich. Są teraz w więzieniu.

- Coś podobnego - odparł Kevin. W głowie wirowały mu różne myśli. Przypomniał mu się telefon, który tydzień temu nieoczekiwanie zadzwonił w środku nocy. Rozmawiał wtedy z samym Taylorem Cabotem. Sprawa dotyczyła byłego pacjenta, Carla Franconiego, który został zastrzelony właśnie w Nowym Jorku. Taylor Cabot pytał wtedy, czy z autopsji zwłok ktoś mógłby dowiedzieć się, co mu się przydarzyło.

- Moja kuzynka zna jednego żołnierza. Mówią, że oddadzą Amerykanów ministerstwu. Jeżeli tak, to ich zabiją. Uważałam, że powinien pan o tym wiedzieć.

Kevin poczuł dreszcz na plecach. Wiedział, że taki sam los Siegfried spróbuje i im zgotować.

Ale kim są ci Amerykanie? Czy to oni są związani z autopsją Carla Franconiego?

- To bardzo poważna sprawa - stwierdziła Esmeralda. - Boję się o pana. Wiem, że poszedł pan na zakazaną wyspę.

- Skąd to wiesz? - zapytał zaskoczony.

- Ludzie gadają. Kiedy powiedziałam, że wyjechał pan niespodziewanie i szef Strefy pana szuka, Alphonse Kimba powiedział mojemu

mężowi, że pojechał pan na wyspę. Był tego pewny.

- Doceniam twoją troskę - odparł wymijająco

Kevin i zagubiony we własnych myślach dodał

jeszcze: - Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Poszedł do swojego pokoju. Spojrzał w lustro i

zaskoczył go widok wyczerpanego, brudnego

mężczyzny, którego zobaczył. Drapiąc się po

swojej świeżo zapuszczonej brodzie, dostrzegł

coś bardziej niepokojącego. Zaczynał wyglądem

przypominać swój genetyczny duplikat.

Po goleniu, prysznicu i zmianie odzieży odżył.

Cały czas myślał o Amerykanach siedzących w

miejskim więzieniu. Był niezwykle

zainteresowany i najchętniej poszedłby z nimi

porozmawiać.

Obie panie również się odświeżyły. Prysznic

sprawił, że Melanie znowu przypominała dawną

siebie. Narzekała na ubrania, które jej

dostarczono.

- Nic do siebie nie pasuje - zrzędziła.

Usiedli w jadalni i Esmeralda podała posiłek.

Melanie rozejrzała się dookoła i powiedziała ze

śmiechem:

- Czy to nie zabawne, że jeszcze kilka godzin

temu żyliśmy jak neandertalczycy. Wtem,

pstryk, i nurzamy się w luksusie. Jak za sprawą

machiny czasu.

- Gdybyśmy się tylko nie musieli martwić o to,

co przyniesie jutro - odezwała się Candace.

- Cieszymy się przynajmniej naszą ostatnią

kolacją - odparła Melanie z typowym dla siebie

wisielczym humorem. - Poza tym im więcej

myślę o całej sprawie, tym mniej wierzę, że będą

moгли wydać nas Gwinejczykom. Moim zdaniem

nie udałoby im się tego ukryć. To prawie trzecie

tysiąclecie. Świat jest zbyt mały.

- Jednak boję się... - zaczęła Candace.

- Przepraszam - przerwał Kevin. - Esmeralda

powiedziała mi coś, czym chciałbym się z wami

podzielić. - Zaczął od tamtego nocnego telefonu

od Taylora Cabota, następnie opowiedział o

pojawieniu się i uwięzieniu nowojorczyków w

miejskim więzieniu.

- No właśnie to jest to, o czym mówię -

skomentowała Melanie. - Para inteligentnych

ludzi przeprowadziła w Nowym Jorku autopsję i

w końcu wylądowali w Cogo. A nam się

wydawało, że jesteśmy odcięci od świata. Mówię wam, świat staje się mniejszy każdego dnia.

- Więc uważasz, że ci Amerykanie znaleźli się tutaj, idąc za tropem, na którego początku był Franconi? - spytał Kevin. Jemu intuicja podpowiadała to samo, ale chciał potwierdzenia.

- A co innego mogłoby to być? Według mnie nie ma wątpliwości - przytaknęła Melanie.

- Candace, co ty o tym myślisz? - spytał Kevin.

- Zgadzam się z Melanie. Jakby nie patrzeć, byłby to zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Dziękuję, Candace! - Melanie obracała w palcach pusty kieliszek do wina i spoglądała groźnie na Kevina. - Nie lubię tego robić, ale muszę przerwać tę interesującą rozmowę i zapytać, gdzie jest to twoje wspaniałe wino, zuchu?

- Kurczę, zupełnie zapomniałem. Przepraszam! -

Wstał od stołu i poszedł do schowka z naczyniami stołowymi, który zapełnił butelkami z winem. Kiedy ogląda etykiety, które zresztą niewiele mu mówiły, uderzyło go nagłe odkrycie, jak dużo wina zgromadził. Policzył butelki na

jednej półce i pomnożył to przez liczbę półek w pomieszczeniu. Doliczył się około trzystu sztuk.

- No, no - powiedział do siebie, gdy plan zaczął świtać mu w głowie. Z całym naręczem butelek poszedł do kuchni.

Esmeralda spożywała posiłek, ale na widok Kevina natychmiast wstała.

- Chciałbym prosić o przysługę - powiedział

Kevin. - Mogłabyś wziąć te butelki i korkociąg i zanieść je na dół żołnierzom?

- Tyle? - spytała krótko.

- Tak. Chciałbym także, żebyś jeszcze więcej zaniósła żołnierzom do ratusza. Jeśli zapytają o okazję, powiedz, że wyjeżdżam i chcę w ten sposób pożegnać się z nimi, żeby nie zostawiać tego szefowi Strefy.

Przez twarz Esmeraldy przebiegł uśmiech.

Popatrzyła na Kevina.

- Chyba rozumiem. - Wzięła z kredensu płócienną torbę, z którą chodziła po zakupy, i wypełniła ją butelkami. Chwilę później schodziła do głównego holu.

Kevin kilka razy obrócił do magazynku i z powrotem, przynosząc kolejne porcje butelek.

Na stole ustawił ich kilka tuzinów, w tym parę z porto.

- Co tu się dzieje? - zapytała Melanie, wsuwając głowę przez uchylone drzwi. - Czekamy na wino.

Kevin wręczył jej jedną z butelek. Oświadczył, że przyjdzie za parę minut, i poprosił żeby zaczęły kolację bez mego. Melanie spojrzała na etykietę.

- A niech mnie, Château Latour! - Posłała

Kevinowi pełen uznania uśmiech i zniknęła w jadalni.

Esmeralda wróciła, mówiąc, że żołnierze są bardzo wdzięczni.

- Ale chyba zaniosę im też trochę chleba - dodała. - Powinien pobudzić pragnienie.

- Znakomity pomysł - stwierdził Kevin. Wypełnił torbę butelkami i zważył w dłoni. Była ciężka, lecz uznał, że Esmeralda powinna sobie poradzić.

- Ilu żołnierzy jest w ratuszu? - zapytał, wręczając jej torbę. - Musimy mieć pewność, że wina będzie dostatecznie dużo.

- Zazwyczaj na noc zostaje czterech.

- Więc dziesięć butelek powinno wystarczyć.

Przynajmniej na początek. - Uśmiechnął się, a

Esmeralda odwzajemniła uśmiech.

Kevin wziął głęboki oddech i wszedł do jadalni.

Był ciekaw, co panie powiedzą o jego pomysle.

Kevin odwrócił się i spojrział na zegar.

Dochodziła północ, więc usiadł na krawędzi

łóżka i spuścił nogi na podłogę. Wyłączył budzik,

który nastawił punktualnie na dwudziestą

czwartą. Przeciągnął się.

W czasie kolacji Kevin zaproponował plan, który

wzbudził ożywioną dyskusję. Wspólnym

wysiłkiem został on nieco zmodyfikowany i

rozszerzony. Ostatecznie cała trójka uznała, że

warto spróbować.

Przygotowali wszystko i zdecydowali się na

krótki wypoczynek. Kevin jednak pomimo

zmęczenia nie mógł zasnąć. Był zbyt

zaaferowany. Poza tym przeszkadzał mu

narastający stopniowo hałas z parteru.

Początkowo dochodziły ich tylko rozmowy, ale

później, a szczególnie przez ostatnie pół godziny,

głośne pijackie śpiewy żołnierzy rozlegały się w

całym domu.

Esmeralda odwiedziła obie grupy żołnierzy po

dwa razy w ciągu tego wieczoru. Po powrocie

powiedziała, że drogie francuskie wino to był bardzo dobry wybór. Po drugiej wizycie oświadczyła, że pierwsza dostawa została już prawie całkiem osuszona.

Kevin ubrał się po ciemku i wyszedł na korytarz.

Nie chciał zapalać żadnych świateł. Na szczęście księżyc świecił dostatecznie jasno, aby bez przeszkód przejść do pokoi gościnnych.

Najpierw zapukał do Melanie. Przestraszył się, gdy drzwi otworzyły się w tym samym momencie.

- Czekałam. Nie mogłam zasnąć - wyjaśniła szeptem.

Razem podeszli do drzwi Candace. Ona także była gotowa.

Z pokoju dziennego wzięli brezentowe worki przygotowane wcześniej i tak wyposażeni wyszli na werandę. Przed nimi roztaczał się egzotyczny widok. Kilka godzin wcześniej padał deszcz.

Teraz po niebie płynęły pierzaste, srebrzystoniebieskie chmurki. Księżyc wisiał wysoko na niebie, w jego świetle otulone mgiełką miasto nabierało niesamowitego wyglądu. W gorącym, parnym powietrzu odgłosy

dżungli brzmiały niesamowicie.

Przy stole przedyskutowali pierwszy etap tak dokładnie, że teraz nie było potrzeby rozmawiać.

W drugim końcu werandy przywiązali trzy połączone ze sobą prześcieradła i tak przygotowaną linę spuścili na ziemię.

Melanie nalegała, by zejść pierwsza. Zwinnie przeszła przez balustradę i zjechała na dół z imponującą łatwością. Candace była następna.

Jej doświadczenia z zespołu cheerleaders* [przyp.: Cheerleaders (ang.) - dziewczęta z charakterystycznymi pomponami, kierujące dopingiem widowni w czasie zawodów sportowych w Stanach Zjednoczonych, teraz także w innych krajach (przyp. tłum.)] bardzo jej się przydały. Również bez trudności zjechała na dół.

Jedynie Kevin miał pewne kłopoty. Próbując naśladować Melanie, odepchnął się nogami. Ale zaplątał się w prześcieradło i w efekcie uderzył z łoskotem o ścianę, zdzierając sobie kostki na dłoniach.

- Cholera - zaklął, kiedy wreszcie stanął na bruku. Strzepnął rękoma i zacisnął palce.

- Wszystko w porządku? - spytała szeptem

Melanie.

- Chyba tak.

Następny etap wyprawy wzbudzał więcej obaw.

Pojedynczo przebiegali w cieniu arkad wzdłuż tylnej ściany budynku. Każdy krok zbliżał ich do głównych schodów, gdzie dało się słyszeć żołnierzy. Z magnetofonu kasetowego płynęła cicha afrykańska muzyka.

Dotarli do przegrody, w której Kevin trzymał swoją toyotę i wślizgnęli się do środka. Przeszli wzdłuż samochodu od strony pasażera. Kevin obszedł auto od przodu i stanął przy drzwiach kierowcy. Otworzył je po cichu. W tej chwili znajdował się pięć do siedmiu metrów od pijanych żołnierzy. Dzieliła ich tylko mata z trzciny zawieszona pod sufitem prowizorycznego garażu.

Kevin zwolnił hamulec ręczny i wrzucił luz.

Wrócił do kobiet i dał znać, że można już pchać.

W pierwszej chwili ciężki pojazd przeciwstawił się wysiłkom uciekinierów. Kevin zaparł się o ścianę. W ten sposób mógł pchać z większą siłą; wreszcie auto ruszyło. Toyota wyjechała z

garażu.

Tam, gdzie kończyły się arkady, bruk ulicy schodził w dół ulicy lekką pochyłością. Gdy tylko tylne koła przekroczyły ten punkt, samochód nabrał prędkości. Kevin natychmiast zorientował się, że mogą przestać pchać.

- Och - stęknął Kevin, widząc jak wóz się rozpędza. Obiegł auto, żeby dostać się do drzwi od strony kierowcy. Jednak przy tej prędkości nie było to łatwe. Samochód był w połowie alei i zaczął skręcać w prawo, w dół zbocza, w kierunku brzegu rzeki.

W końcu udało się Kevinowi otworzyć drzwi.

Jednym zgrabnym skokiem znalazł się za kierownicą. Tak szybko, jak tylko było to możliwe, zajął odpowiednią pozycję i nacisnął na hamulec. Równocześnie ostro skręcił kierownicą w lewo.

Przestraszony, że ich wysiłki mogą zwrócić uwagę żołnierzy, odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Mężczyźni siedzieli wokół małego stołu, na którym stał magnetofon i pełno pustych butelek. Klaskali w dłonie i tupali nogami, zupełnie nie zważając na manewry

Kevin.

Odetchnął z ulgą. W tej chwili do auta wsunęła się Melanie. Candace wsiadła z tyłu.

- Nie zamykajcie drzwi - szeptem ostrzegł Kevin.

Swoje trzymał cały czas uchylone.

Zdjął nogę z hamulca. Samochód jednak ani drgnął. Kevin zaczął rytmicznie balansować ciałem do tyłu i przodu, aby poruszyć autem.

Wreszcie ruszyli. Odwrócony obserwował przez tylne okno drogę, kierując przyspieszającym samochodem w stronę wody.

Przejechali dwie przecznice i zbocze zaczęło się wyrównywać, aż w końcu zatrzymali się. Dopiero teraz Kevin włożył kluczyki do stacyjki i zamknęli drzwi.

Spoglądali na siebie w słabym świetle panującym w samochodzie. Byli niezwykle podekscytowani. Serca waliły jak zwariowane.

Uśmiechali się.

- Zrobiliśmy to! - Melanie powiedziała to takim tonem, jakby chciała się upewnić.

- Jak na razie wszystko idzie po naszej myśli - zgodził się Kevin.

Wrzucił bieg i zapalił silnik. Skręcił w prawo i

przejechał kilka przecznic, aby z dala ominąć swój dom, a następnie skierował się w stronę warsztatów.

- Jesteś pewny, że nikt w garażach nie sprawi nam kłopotów? - spytała Melanie.

- No cóż, do końca nie można tego wiedzieć na pewno. Ale nie podejrzewam. Ludzie z warsztatów żyją własnym życiem. Poza tym Siegfried chyba trzymał w tajemnicy historię naszego zniknięcia i ponownego zjawienia się. Musiał, jeżeli poważnie rozważa pomysł przekazania nas w ręce władz gwinejskich.

- Obyś miał rację - odparła Melanie i westchnęła.

- Ciągle nie jestem pewna, czy nie powinniśmy spróbować opuścić Strefy za jedną z ciężarówek, zamiast zajmować się czwórką Amerykanów, których nigdy nie widzieliśmy na oczy.

- Ci ludzie jakoś się tu dostali - stwierdził Kevin.

- Liczę, że mają jakiś plan opuszczenia miasta.

Ucieczka szosą przez bramę powinna być rozważana jako ostatnia opcja.

Wjechali na teren warsztatów. Panowała tu spora krzątanina. Musieli skręcić i przejechać pod rzędem latarni. Zmierzali w kierunku sekcji

napraw. Kevin zaparkował za warszatem, w którym na hydraulicznym podnośniku znajdował się samochód. Kilku usmarowanych mechaników stało pod nim i drapało się w głowę.

- Czekaście tu - polecił Kevin i wysiadł z toyoty.

Wszedł do środka i przywitał się z mężczyznami.

Melanie i Candace obserwowały rozwój

wypadków. Candace ścisnęła kciuki.

- Przynajmniej nie chwytają za telefon na jego

widok - zauważyła Melanie.

Przyglądały się, jak jeden z mechaników wolnym

krokiem odszedł od grupy i zniknął na zapleczu.

Po chwili wrócił, niosąc dość długi łańcuch.

Podał go Kevinowi, który aż ugiął się pod

ciężarem.

Ruszył w stronę samochodu. Z wysiłku aż

poczerwieniał. Melanie, czując, że Kevin za

moment upuści łańcuch, wyskoczyła z wozu i

otworzyła bagażnik. Samochód lekko przysiadł,

gdy Kevin wrzucił łańcuch na podłogę.

- Poprosiłem o ciężki łańcuch. - Wyjaśnił Kevin.

- Ale nie musieli dawać aż tak ciężkiego.

- Co im powiedziałaś? - spytała Melanie.

- Że twój samochód utknął w błocie. Nawet nie mrugnęli okiem. Oczywiście nie zaoferowali także pomocy.

Wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku miasta.

- Zadziała? - zapytała Candace

- Nie wiem, ale nic innego nie przyszło mi do głowy - przyznał Kevin.

Przez resztę drogi nikt się nie odezwał.

Wiedzieli, że przed nimi najtrudniejsza część całego planu. Napięcie wzrosło bardzo, gdy skręcili na parking za ratuszem i wyłączyli światła.

Pokój zajęty przez żołnierzy tonął w świetle, dobiegały stamtąd dźwięki muzyki. Oni też mieli magnetofon, tyle, że tu włączony był na pełen regulator.

- Na taką zabawę liczyłem - przyznał Kevin.

Zatoczył szerokie koło i podjechał do budynku tyłem. Dojrzał piwniczne okna więzienia miejskiego skryte w cieniu arkad. Zatrzymał wóz około półtora metra od budynku i zaciągnął ręczny hamulec. Cała trójka spoglądała w stronę pokoju, w którym siedzieli żołnierze. Niewiele

było widać, gdyż linia wzroku znajdowała się na krawędzi nieoszlonego okna. Okiennice były otwarte. Na parapecie stało wiele pustych butelek.

- No więc teraz albo nigdy - stwierdził Kevin.

- Możemy ci jakoś pomóc? - zapytała Melanie.

- Nie, zostańcie na miejscu.

Wysiadł i wszedł pod najbliższy łuk arkad.

Muzyka była prawie ogłuszająca. Kevin najbardziej obawiał się tego, że ktoś wyjrzy przez okno. Wtedy zostałby natychmiast zauważony.

Nie było się jak ukryć.

Schylił się i zajrzał w otwór okienny. Dostrzegł kraty, a za nimi całkowitą ciemność. Nie było śladów najbledszego choćby światełka.

Ukląkł, a następnie położył się na kamiennej posadzce. Głowę wsunął w otwór okienny. Z twarzą przysuniętą do krat zawołał, starając się przekrzyczeć muzykę:

- Halo! Jest tam kto?

- Tylko kilku turystów - odparł Jack. - Jesteśmy zaproszeni na party?

- Domyślam się, że to wy przyjechaliście z Ameryki? - powiedział Kevin pytającym tonem.

- Jak jabłecznik i baseball - potwierdził Jack.

Kevin usłyszał dochodzące z ciemności inne głosy, ale nie rozumiał słów.

- Zdajecie sobie sprawę w jak niebezpiecznej sytuacji się znaleźliście? - kontynuował Kevin.

- Czyżby? - odparł Jack. - A nam się zdawało, że to normalne zachowanie wobec wszystkich turystów odwiedzających Cogo.

Kevin pomyślał, że kimkolwiek jest jego rozmówca, z pewnością szybko porozumiałby się z Melanie.

- Zamierzam wyrwać kraty w oknie - oświadczył Kevin. - Czy wszyscy jesteście w jednej celi?

- Nie, w celi po lewej mamy dwie urocze damy.

- Okay. Zobaczmy, co mi się uda zrobić z tymi kratami.

Kevin wstał i poszedł po łańcuch. Jeden jego koniec spuścił w mroczną otchłań więzienia.

- Owińcie to kilka razy wokół któregoś z prętów - polecił.

- To mi się podoba - stwierdził Jack. -

Przypomina stare westerny.

Kevin wrócił do samochodu i drugi koniec przymocował do zaczepu z tyłu wozu. Jeszcze raz

podszedł do okna i dla sprawdzenia pociągnął ostrożnie za łańcuch. Zorientował się, że został kilka razy owinięty dookoła środkowego pręta.

- Wygląda nieźle. Zobaczmy, co się stanie.

Wsiadł do wozu, upewnił się, że jest na najniższym biegu i na napędzie na cztery koła, odwrócił się, by patrzeć przez tylną szybę, i powoli ruszył, naprężając łańcuch.

- No dobra, mamy to - powiedział do Melanie i Candace. Zaczął wciskać pedał gazu. Potężny silnik toyoty zaczął ciężko pracować, lecz Kevin tego nie słyszał. Ryk silnika tonął w hałaśliwym rocku popularnej zairskiej grupy młodzieżowej.

Nagle pojazd skoczył do przodu. Kevin błyskawicznie zahamował. Usłyszeli za sobą przeraźliwy zgrzyt i huk, który na moment zagłuszył muzykę.

Kevin i obie kobiety skrzywili się wystraszeni.

Spojrzeli za siebie na posterunek żołnierzy. Z ulgą stwierdzili, że nikt nie pokazał się, by zidentyfikować źródło okropnego hałasu.

Kevin wyskoczył z toyoty, chcąc sprawdzić, jakie są efekty jego działania, gdy prawie wpadł w objęcia czarnego, imponująco muskularnego

mężczyzny, zmierzającego prosto na niego.

- Dobra robota, człowieku! Jestem Warren, a to

Jack. - Jack siedł tuż obok Warrena.

- Kevin - przedstawił się.

- Pasuje - powiedział Warren. - Cofnij wóz i zobaczmy, co się da zrobić z następnym oknem.

- Jak udało się wam wydostać tak szybko? - zapytał Kevin.

- Człowieku, przecież wywaliliś całe okno z futryną i jeszcze trochę.

Kevin wsiadł do auta i powoli cofnął pod drugi otwór. Obaj mężczyźni zdążyli już zająć się łańcuchem.

- Udało się! Moje gratulacje! - ucieszyła się Melanie.

- Muszę przyznać, że poszło lepiej, niż oczekiwałem - powiedział Kevin.

Po sekundzie ktoś uderzył lekko w tył wozu.

Kevin odwrócił się i zobaczył, że jeden z mężczyzn daje znak, by ruszać. Poszło tak samo jak za pierwszym razem. Wóz znowu skoczył do przodu i niestety rozległ się identyczny jak przedtem hałas. Tym razem w oknie pojawił się żołnierz.

Kevin zastygł w bezruchu i w duchu modlił się, aby dwaj uwolnieni przed chwilą mężczyźni także się nie ruszali. Żołnierz przystawił butelkę do ust i ją uniósł, by się napić. Gwałtowny ruch ręki zrzucił kilka pustych butelek stojących na parapecie. Rozprysły się na bruku. Żołnierz odwrócił się i zniknął w pokoju.

Kevin wysiadł z samochodu w momencie, gdy Amerykanie pomagali dwóm kobietom wydostać się przez dziurę w murze. Wszyscy czworo pobiegli do wozu. Kevin chciał odczepić łańcuch, ale zauważył, że Warren już się tym zajął.

Bez słowa wsiedli do samochodu. Jack i Warren wcisnęli się na tylne siedzenia, a Laurie i Natalie usiadły obok Candace na środkowej kanapie.

Kevin wrzucił bieg. Po ostatnim rzucie okiem na posterunek odjechał z parkingu. Dopóki nie oddalili się dostatecznie od budynku ratusza, nie włączył świateł.

Ucieczka była dla wszystkich wielkim przeżyciem: dla Kevina, Candace i Melanie była triumfem, dla nowojorczyków - zaskoczeniem i niewymowną ulgą. Przedstawili się sobie. Teraz dopiero rozsypał się worek z pytaniami.

Wszyscy mówili jednocześnie.

- Zaraz, zaraz! - Jack przekrzyczał zgiełk. - Po kolei.

- Do cholery! - odezwał się Warren. - No to ja pierwszy! Muszę wam, ludzie, podziękować, że zjawiliście się wtedy, kiedy się zjawiliście.

- Ja się przyłączam - dodała Laurie.

W tej części miasta panował spokój, Kevin skręcił na parking przy supermarkecie, zatrzymał się i wyłączył światła. Stało tam kilka innych samochodów.

- Zanim porozmawiamy o innych sprawach, musimy zastanowić się, jak wyjechać z miasta - odezwał się Kevin. - Nie mamy wiele czasu. W jaki sposób planowaliście pierwotnie opuścić Cogo? - zapytał nowych towarzyszy niedoli.

- Tą samą łodzią, którą przyплыliśmy - wyjaśnił Jack.

- Gdzie ona jest? - spytał Kevin.

- Przypuszczamy, że tam, gdzie ją zostawiliśmy.

Wciągnięta na plażę pod pomostem przystani - odparł Jack.

- Dość duża dla wszystkich?

- Jeszcze trochę miejsca zostanie - zapewnił

Jack.

- Świetnie! - z zadowoleniem stwierdził Kevin. -

Miałem nadzieję, że przy płynęliście łodzią. W

ten sposób będziemy mogli popłynąć wprost do

Gabonu. - Rozejrzał się szybko i włączył

ponownie silnik. - Módlmy się, by okazało się, że

jej nie znaleźli.

Wyjechał z parkingu i okrężną drogą skierował

się na przystań. Starał się trzymać jak najdalej

od ratusza i swojego domu.

- Mamy problem - odezwał się Jack. - Zabrali

nam dokumenty i pieniądze.

- Nam też zabrali paszporty, zanim zamknęli nas

w domowym areszcie - odparł Kevin. - Ale

mamy trochę pieniędzy i czeków podróżnych.

Był nam przeznaczony ten sam los co i wam:

chcieli nas przekazać władzom gwinejskim.

- A to mogło przysporzyć nam kłopotów? - spytał

Jack.

Kevinowi wyrwał się cichy, szyderczy śmiech.

Przed oczyma stanęły mu trzy czaszki z biurka

Siegfrieda.

- Więcej niż kłopotów. Przeprowadziliby w

tajemnicy cichy proces, po którym stanęlibyśmy

przed plutonem egzekucyjnym.

- Nie chrzań! - z niedowierzaniem powiedział

Warren.

- W tym kraju wystąpienie przeciwko operacjom

prowadzonym przez GenSys to atak na państwo

i jego interesy - wyjaśnił Kevin. - A tutejszy szef

jest jedyną osobą, która orzeka, czy działanie

było skierowane przeciwko firmie, czy nie.

- Pluton egzekucyjny? - powtórzył z

przerażeniem Jack.

- Obawiam się, że owszem - potwierdził Kevin. -

Tutejsza armia jest w tym dobra. Po wielu latach

ćwiczeń nabrali praktyki.

- W takim razie mamy wobec was znacznie

większy dług wdzięczności niż początkowo

sądziłem - stwierdził poruszony Jack. - Nie

miałem pojęcia, że grozi nam aż takie

niebezpieczeństwo.

Laurie popatrzyła przez okno samochodu i

zadrżała. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać,

jak poważnie zagrożone było jej życie oraz że

sytuacja wcale nie jest jeszcze opanowana.

- Jak znaleźliście się w tym bigosie? - zapytał

Warren.

- To długa historia - odpowiedziała Melanie.

- Tak jak i nasza - dodała Laurie.

- Mam pytanie - wtrącił Kevin. - Czy

przyjechaliście tu w związku z Carlem

Franconim?

- Ooo! - zawołał Jack. - Jasnowidz! Jestem pod

wrażeniem. Jak zgadłeś? Co ty właściwie robisz

w Cogo?

- Tylko ja?

- No, właściwie wy wszyscy.

Kevin, Melanie i Candace popatrzyli po sobie,

zastanawiając się, kto ma zacząć pierwszy.

- Wszyscy jesteśmy częścią tego samego

programu - wyjaśniła Candace. - Ale ja jestem

właściwie statystką. Jestem pielęgniarką z

oddziału intensywnej opieki medycznej i pracuję

w zespole chirurgii transplantacyjnej.

- Ja jestem technikiem z oddziału zapłodnień -

zaczęła Melanie. - Przygotowuję materiał dla

Kevina, aby mógł wykonać swe sztuki magiczne,

a kiedy on jest gotowy, pilnuję, aby efekt jego

pracy ujrział światło dzienne.

- Jestem biologiem molekularnym. - Mówiąc to,

Kevin westchnął z żalem. - Kimś, kto przekroczył

swe uprawnienia i powtórzył błąd Prometeusza.

- Chwileczkę - przerwał Jack. - Tylko bez literatury, proszę. Co prawda słyszałem o Prometeuszu, ale nie bardzo pamiętam w tej chwili, kim był.

- Był jednym z Tytanów w greckiej mitologii. Wykradł bogom z Olimpu ogień i podarował go człowiekowi - wyjaśniła Laurie.

- Tymczasem ja nierozważnie podarowałem ogień zwierzętom. Stało się to za sprawą przesunięcia części chromosomu, dokładniej krótkiego ramienia chromosomu szóstego z jednej komórki do drugiej, z jednego gatunku do drugiego.

- A więc pobierałeś fragmenty chromosomu człowieka i umieszczałeś je u małpy - wywnioskował Jack.

- W zapłodnionym jajku małpy - sprecyzował Kevin. - Żeby być dokładnym, chodzi o bonobo.

- Czyli tworzyliście po prostu doskonale pasujący rezerwuar organów zastępczych dla określonych z góry biorców - Jack dalej formułował wnioski.

- No właśnie - potwierdził Kevin. - Prawdę

powiedziawszy, na samym początku nie to miałem na myśli. Byłem wyłącznie uczonym. To, w co zostałem ostatecznie zwabiony, wzięło się z materialnej atrakcyjności przedsięwzięcia.

- O rany! Genialne i imponujące, ale i nieco przerażające - ocenił Jack.

- Bardziej niż przerażające. To prawdziwa tragedia. Problem w tym, że przetransferowałem zbyt wiele ludzkich genów. Przypadkowo stworzyłem gatunek pracłowieka.

- Chcesz powiedzieć jakby neandertalczyka? - spytała Laurie.

- O wiele bardziej prymitywnego przodka, sprzed kilku milionów lat. Raczej kogoś jak Lucy*. [przyp.: Lucy - tzw. "Lucy" ze stanowiska Hadar w Etiopii to szkielet najstarszego (3-4 mln lat) ze znalezionych australopiteków (przyp. tłum.)] Ale są dość inteligentni, by używać ognia, wytwarzać narzędzia, a nawet porozumiewać się głosem. Wydaje mi się, że znajdują się na etapie, na którym my byliśmy jakieś cztery, może pięć milionów lat temu.

- Gdzie są te stworzenia? - zapytała nieco przestraszona Laurie.

- Na pobliskiej wyspie, gdzie żyły we względnie

poczuciu wolności. Niestety, to się zmieni.

- Dlaczego? W wyobraźni Laurie widziała te stworzenia. Jako dziecko fascynowała się jaskiniowcami.

Kevin szybko opowiedział historię o dymie, który ostatecznie jego, Melanie i Candace sprowadził na wyspę. Powiedział o ich uwięzieniu i uratowaniu, a także o przeznaczeniu, jakie zgotowano tym istotom, o życiu w małych betonowych klatkach, które przygotowano dla nich, gdyż okazały się nieco zbyt ludzkie.

- To okrutne - stwierdziła Laurie.

- Katastrofa - uznał Jack, kręcąc głową. - Cóż za historia!

- Ten świat nie jest przygotowany na przyjęcie nowej rasy - wtrącił Warren. - Mamy dość kłopotów z tym, co tu już jest.

- Dojeżdżamy. Plac przed przystanią jest za następnym zakrętem - zakomunikował Kevin.

- W takim razie zatrzymaj się tu - polecił Jack. -

Gdy przyплыnęliśmy, stał tam żołnierz.

Kevin zjechał na pobocze i zgasił światła. Silnika nie wyłączył, aby nadal działała klimatyzacja.

Jack i Warren wysiedli i podeszli do narożnika.

- Jeżeli nie będzie naszej łodzi, znajdziemy tu inną? - spytała Laurie.

- Obawiam się, że nie - odpowiedział Kevin.

- Czy poza główną drogą jest jakaś inna prowadząca z miasta?

- Nie.

- Niech nas w takim razie niebiosa mają w opiece - stwierdziła Laurie.

Jack i Warren szybko wrócili. Kevin opuścił szybę.

- Jest żołnierz - powiedział Jack. - Niezbyt czujny. Chyba nawet śpi. Ale uznaliśmy, że musimy go załatwić. Najlepiej będzie, jeśli tu zostaniecie i poczekacie.

- Dobrze - odparł Kevin. Był bardziej niż szczęśliwy, mogąc zostawić taką sprawę innym. Gdyby spadło to na niego, nie wiedziałby, co zrobić.

Jack i Warren znowu podeszli do rogu i po chwili zniknęli za nim.

Kevin podniósł szybę.

Laurie spojrzała na Natalie i pokręciła głową.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

Powinnam była to przewidzieć. Jack ma

zdolności do wyszukiwania kłopotów.

- Nie ma potrzeby przeproszać. To zupełnie nie twoja wina. Poza tym sprawy wyglądają teraz znacznie lepiej niż piętnaście, dwadzieścia minut temu.

Jack i Warren wrócili po zaskakująco krótkiej chwili. Jack niósł pistolet, Warren karabin.

Wsiedli do auta.

- Jakieś problemy? - spytał Kevin.

- Nie. Był niezwykle uprzejmy.

- Oczywiście Warren potrafi być w takich razach niezwykle przekonujący - stwierdził Jack.

- Czy "Chickee Hut Bar" ma swój parking? - spytał Warren.

- Tak - przytaknął Kevin.

- Jedziemy tam! - zakomenderował Warren.

Kevin cofnął się, następnie skręcił w prawo i później w pierwszą w lewo. Na końcu drogi znajdował się obszerny, wyasfaltowany parking. Ciemna sylwetka baru rysowała się w tle. Za nią iskrzyła się w świetle księżyca tafla wody szerokiego ujścia rzeki.

Kevin podjechał prosto do baru i zatrzymał się.

- Wy tu poczekacie, a ja sprawdzę, co z łodzią -
powiedział Warren. Wsiadł i szybko zniknął za
barem.

- Sprawnie się porusza - stwierdziła Melanie.

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić jak bardzo

- dodał Jack.

- Czy Gabon jest już po drugiej stronie rzeki? -

zapytała Laurie.

- Dokładnie tam - potwierdziła Melanie.

- Jak to daleko? - spytał Jack.

- Około czterech mil w prostej linii -

poinformował Kevin. - Ale my powinniśmy

spróbować dostać się do Cocobeach, a to mniej

więcej dziesięć mil stąd. Stamtąd będziemy

mogli skontaktować się z ambasadą

amerykańską w Libreville, która powinna okazać

się pomocna.

- Ile czasu zabierze nam droga do Cocobeach? -

zapytała Laurie.

- Myślę, że trochę ponad godzinę. Oczywiście

wszystko zależy od prędkości łodzi.

Warren podszedł do samochodu, więc Kevin

opuścił szybę.

- Pasuje. Łódź stoi na swoim miejscu. Bez

problemów.

- Hura - zawołali wszyscy ściszonymi głosami.

Wysypali się z auta. Kevin, Melanie i Candace zabrali swoje brezentowe worki.

- To wasze bagaże? - zażartowała Laurie.

- Tak - odpowiedziała Candace.

Warren poprowadził grupę w stronę baru, następnie dookoła ku plaży.

- Jesteśmy za murem, więc nie traćmy czasu i posuwajmy się szybko - nakazał i gestem ponaglił ich, żeby ruszyli za nim.

Pod pomostem było ciemno, więc musieli zwolnić. Przez całą drogę towarzyszył im odgłos drobnych fal uderzających lekko o brzeg i szelest krabów uciekających im spod nóg do swoich nor w piasku.

- Wzięliśmy ze sobą latarki. Czy mamy je wyjąć?

- zapytał Kevin.

- Nie ryzykujmy - zdecydował Jack i w tym samym momencie wpadł na łódź. Sprawdził, czy dobrze stoi na brzegu, zanim polecił wszystkim wsiąść i przejść na rufę. Gdy znaleźli się z tyłu, Jack poczuł, jak dziób lekko się uniósł. Zaparł się mocno nogami i zaczął spychać łódź na wodę.

- Uważajcie na podpory pomostu - zawołał,
wskakując na pokład.

Wszyscy starali się pomóc i odpychali się od
mijanych drewnianych słupów. Kilka chwil
zabrało im przepłynięcie na koniec pomostu
zamknięty pokładem do cumowania. W tym
miejscu wykręcili i wypłynęli na otwarte,
połyskujące księżycowym światłem wody rzeki.
Mieli tylko cztery wiosła. Melanie nalegała, by
pozwolono jej wiosłować.

- Chciałbym odpłynąć jakieś sto metrów od
brzegu, zanim włączymy silnik. Nie ma sensu
ryzykować - stwierdził Jack.

Wszyscy spoglądali na spokojne Cogo z białymi
budynkami zanurzonymi w srebrzyście
połyskującej mgiełce. Otaczająca miasto dżungla
sprawiała, że miasto otulał granatowy cień.
Ściany roślin przypominały spienione fale
przyływu.

Nocne odgłosy dżungli pozostały w tyle. Słuchać
było jedynie plusk wody i skrzypienie wiosel
ocierających się o burty. Nikt się nie odzywał.
Szybko bijące serca uspokajały się, oddech
stawał się spokojniejszy. Mieli chwilę czasu na

przemyslenia i dokładniejsze przyjrzenie się okolicy. Szczególnie nowo przybyłych ujęło przykuwające piękno nocnego afrykańskiego krajobrazu. Kolejne piętra dżungli wznosiły się pionowo, przytłaczając bliższe otoczenie. W Afryce wszystko zdawało się większe i rozleglejsze, nawet nocne niebo.

Z punktu widzenia Kevina wyglądało to inaczej.

Ulga, jaką poczuł, uciekając z Cogo i pomagając innym w ucieczce, tylko wzmogła katusze wywoływane świadomością losu, który czekał bonobo. Stworzenie tych chimer okazało się wielkim błędem, ale pozostawienie ich w dożywotnim więzieniu w ciasnych klatkach nieznośnie wzmagało poczucie winy.

Jack wyjął wiosło z wody i złożył je na dnie łodzi.

- Czas na uruchomienie silnika - stwierdził.

Spuścił śrubę do wody.

- Poczekaj - powiedział nagle Kevin. - Mam prośbę. Wiem, że nie mam prawa was o to prosić, ale to ważne.

Jack wyprostował się.

- Co ci tam chodzi po głowie, chłopie?

- Widzicie wyspę, tę ostatnią w łańcuchu? -

zapytał, wskazując jednocześnie na Isla

Francesca. - Tam są bonobo. Zamknięte w klatkach zostawionych przy podstawie mostu łączącego wyspę z lądem. Niczego bardziej w tej chwili nie pragnę niż popłynąć tam i uwolnić je wszystkie.

- Co to by dało? - zapytała Laurie.

- Dużo, jeśli udałoby mi się przeprowadzić je przez most.

- Czy wasi przyjaciele z Cogo nie zdołaliby ich znowu wyłapać? - spytał Jack.

- Nigdy ich nie znajdą - odpowiedział Kevin coraz bardziej zapalony do swego pomysłu. - Uciekną. Stąd, z Gwinei Równikowej wiecznie zielone lasy ciągną się tysiące kilometrów kwadratowych w głąb lądu. Dziewicza dżungla porasta nie tylko ten kraj, ale i Gabon, Kamerun, Kongo i całą Republikę Środkowoafrykańską. W sumie to miliony kilometrów kwadratowych ziem ciągle nie zbadanych.

- Zostawić je samym sobie? - wtrąciła się Candace.

- Właśnie tak. Dostaną szansę, a ja wiem, że ją wykorzystają! Są zaradne. Pomyślcie o naszych

przodkach. Oni musieli przeżyć nawet plejstocieńskie zlodowacenie. To stanowiło poważniejsze wyzwanie niż życie w tropikalnym lesie.

Laurie popatrzyła na Jacka.

- Podoba mi się ten pomysł.

Jack spojrział w stronę wyspy i zapytał, w którym kierunku jest Cocobeach.

- Zejdziemy z kursu - przyznał Kevin - ale to niedaleko. Góra dwadzieścia minut.

- Co będzie, jeśli je wypuścisz, a one i tak pozostaną na wyspie? - spytał Warren.

- Przynajmniej będę mógł powiedzieć sobie, że próbowałem. Czuję, że muszę coś zrobić.

- Cóż, czemu nie? - zdecydował Jack. - Właściwie mnie też podoba się twój pomysł. Co sądzą pozostali?

- Powiem prawdę, chętnie zobaczyłbym takie stworzenie - przyznał Warren.

- Płynmy tam - z entuzjazmem wsparła ideę Candace.

- Jeśli o mnie chodzi, zgoda - dodała Natalie.

- Nie wymyśliłabym nic lepszego - zgodziła się Melanie. - Zróbmy to!

Jack kilka razy pociągnął za linkę rozrusznika.

Silnik wreszcie zawył. Łódź skierowała się w stronę Isla Francesca.

ROZDZIAŁ 23

10 marca 1997 roku

godzina 1.45

Cogo, Gwinea Równikowa

Siegfried śnił ten sen setki razy, a za każdym razem był to coraz straszniejszy koszmar.

Podchodził słońcę z młodym. Nie podobało mu się to, lecz klient nalegał. Jego żona bardzo chciała zobaczyć słońiatko z bliska.

Siegfried odesłał naganiaczy na flanki, by chronić się z obu stron, podczas gdy sam z klientami zbliżał się do słońicy. Jednak tropiciele i naganiacze z pomocnej strony przestraszyli się, gdy niespodziewanie zjawił się wielki samiec. Pierzchli przed słońiem i tchórząc niemiłosiernie, nie ostrzegli Siegfrieda o nadchodzącym nieoczekiwanym zagrożeniu.

Odgłos kroków potężnego słońia niósł się po ziemi niczym dudnienie zbliżającego się pociągu.

Jego ryk narastał i gdy już miało dojść do starcia, Siegfried obudził się zlany potem.

Dyszając z wyczerpania, przekręcił się i usiadł.

Sięgnął poza moskitierę po szklankę, z której upił kilka łyków wody. Najbardziej przykry w tym śnie był jego niezwykle realizm.

Przypominał wypadek, w którym Siegfried stracił władanie w prawej ręce, a skórę z części twarzy miał całkowicie zdartą.

Siegfried przez dobrą chwilę siedział na łóżku, zanim dotarło do niego, że wrzaski ze snu naprawdę dochodzą zza okna. Już wiedział: to zachodnioafrykański rock z taniego magnetofonu kasetowego.

Spojrzał na zegarek. Widząc, że jest druga w nocy, natychmiast się wściekł. Któż był tak bezczelny, żeby w środku nocy urządzać podobne hałasy?

Zauważył, że muzyka dochodzi od frontu, wstał i wyszedł na werandę. Ku swemu zaskoczeniu i konsternacji stwierdził, że hałasy pochodzą z domu Kevina Marshalla. Szybko się zorientował, iż sprawcami zamieszania są żołnierze strzegący domu.

Wściekł się. Wpadł do pokoju, zadzwonił do Camerona i zażądał natychmiastowego

spotkania w domu Kevina. Trzasnął słuchawką.

Ubrał się. Przed wyjściem z domu sięgnął po jedną ze swych starych myśliwskich strzelb i ruszył prosto przez trawnik. Im bliżej podchodził do domu Kevina, tym głośniejszą grała muzyka.

Pokój tonął w potoku światła. Po podłodze wałały się puste butelki po winie. Dwóch żołnierzy śpiewało, udając jednocześnie grę na wyimaginowanych instrumentach. Dwóch pozostałych miało już najwyraźniej dość.

Zanim Siegfried zdążył wejść do środka, samochód Camerona ostro zahamował na bruku przed domem. Szef ochrony wyskoczył z auta.

Gdy podchodził do Siegfrieda, jeszcze zapinał koszulę. Zaszokowany popatrzył na pijanych żołnierzy.

Zaczął przeproszać, lecz Siegfried ostro uciął:

- Zapomnij o wyjaśnieniach i przeprosinach. Idź na górę i upewnij się, że Marshall i jego dwie przyjaciółki siedzą w domu.

Cameron zasalutował odruchowo i zniknął na schodach. Siegfried usłyszał pukanie do drzwi.

Kilka chwil później w pokojach na piętrze zapaliły się światła.

Na widok pijanych żołnierzy Siegfried kipiał
złością. Nawet nie zwrócili uwagi ani na niego,
ani na Camerona.

Szef ochrony wrócił blady, kręcąc przecząco
głową.

- Nie ma ich.

Siegfried starał się opanować złość na tyle, aby
móc myśleć. Poziom niekompetencji, z jakim
musiał sobie tu radzić, był porażający.

- Co z jego terenówką? - spytał.

- Sprawdź. - Cameron wybiegł, dosłownie
rozpychając śpiewających żołnierzy. Niemal
natychmiast wrócił. - Nie ma.

- A to niespodzianka! - zauważył z sarkazmem
Siegfried. Strzelił palcami i wskazał na wóz
Camerona, który usiadł za kierownicą. Sam zajął
miejsce obok. - Zadzwoń do ochrony i postaw
ich na równe nogi - rozkazał. - Mają natychmiast
znaleźć jego samochód. Zadzwoń na posterunek
w bramie. Upewnij się, że nie opuścili Strefy
szosą. A teraz jedź do ratusza.

Cameron skorzystał z samochodowego
radiotelefonu, objeżdżając równocześnie
budynek. Oba numery były zakodowane w

pamięci urządzenia, więc wystarczyło wdusić odpowiedni przycisk, aby uzyskać połączenie.

Wciskając gaz, ruszył szybko na północ.

Zanim dotarli na miejsce, poszukiwania samochodu Kevina już się zaczęły.

Zdecydowanie też potwierdzono, że auto na pewno nie opuściło Strefy główną szosą. Gdy wjechali na parking przy ratuszu, obaj usłyszeli głośną muzykę.

- Uff! - stęknął Cameron.

Siegfried nie odezwał się. Starał się przygotować wewnątrz na to, czego się już spodziewał.

Zatrzymali się przy samym budynku. W świetle reflektorów dostrzegli gruz leżący pod oknami więzienia i leżący na ziemi gruby łańcuch.

- To katastrofa - powiedział Siegfried drżącym głosem. Wsiadł z auta ze strzelbą w dłoni.

Chociaż mógł używać tylko jednej ręki, był znakomitym strzelcem. Trzema błyskawicznie oddanymi strzałami strącił z parapetu trzy puste butelki. Jednak muzyka nie zamilkła nawet na sekundę. Ściskając broń w zdrowej dłoni, podszedł do okna i zajrzał do wnętrza. Na biurku stał magnetofon nastawiony na cały regulator.

Czterech żołnierzy leżało nieprzytomnych na podłodze i na rozklekotanych trzcinowych fotelach.

Siegfried uniósł karabin. Pociągnął za spust i magnetofon zmiotło z blatu. W jednej sekundzie pokój pogrzyżył się w bolesnej wręcz ciszy.

Wrócił do Camerona.

- Zadzwoń do pułkownika do garnizonu i przekaż mu, co się stało. Powiedz, że mają oddać tych ludzi pod sąd wojenny. Każ mu przyjechać tu z oddziałem.

- Tak jest, sir! - odpowiedział Cameron bez zastanowienia.

Siegfried wszedł w cień arkad i przyjrzał się wyrwanym kratom. Były ręcznie kute.

Przyglądając się ścianie, zrozumiał, dlaczego tak łatwo się poddały. Zaprawa łącząca cegły pod tynkiem zmieniła się w piasek.

Musiał się uspokoić. Poszedł spacerem dookoła budynku. Gdy okrążał ostatni narożnik, zauważył na drodze zbliżające się światła.

Samochód wjechał na parking. Z piskiem opon wóz ochrony zatrzymał się tuż przy aucie Camerona; wyskoczył z niego oficer dyżurny.

Siegfried zaklął pod nosem, widząc podchodzącego funkcjonariusza. Wobec jednoczesnej ucieczki Kevina i Amerykanów projekt był poważnie zagrożony. Trzy osoby należało schwytać za wszelką cenę.

- Panie Spallek - zaczął Cameron - mamy już pewne informacje. Dyżurny O'Leary sądzi, że widział wóz Marshalla dziesięć minut temu.

Oczywiście zaraz potwierdzimy to, jeżeli nadal tam stoi.

- Gdzie? - krótko zapytał Siegfried.

- Na parkingu przy "Chickee Hut Bar" - odezwał się O'Leary. - Zauważyłem podczas ostatniego obchodu.

- Widziałeś jakichś ludzi?

- Nie, sir. Ani żywej duszy.

- Zdaje się, że powinien tam być wartownik?

Widziałeś go?

- Nie bardzo, sir.

- Co rozumiesz przez "nie bardzo"? - Siegfried był wykończony niekompetencją swych podwładnych.

- Nie rozglądaliśmy się za żołnierzami - przyznał O'Leary.

Siegfried spoglądał w dal. Usiłując opanować

złość, zmusił się do obserwowania natury, drzew
skąpanych w księżycowej poświacie. Piękno
przyrody uspokoiło go nieco i choć niechętnie, to
jednak przyznał, że sam również nie zwraca
uwagi na żołnierzy. Stanowili jeszcze jeden koszt
operacji, który trzeba było ponosić na rzecz
gwinejskiego rządu. Ale dlaczego samochód
Kevina znajdował się przy "Chickee Hut Bar"?
Nagle go oświeciło.

- Cameron, czy wyjaśniliście, w jaki sposób
Amerykanie dostali się do miasta? - zapytał.
- Obawiam się, że nie - przyznał szef ochrony.
- Czy szukano łodzi?

Cameron popatrzył na O'Leary'ego, a ten
niechętnie odpowiedział:

- Nic nie wiedziałem o szukaniu jakiejś łodzi.
- Zmieniałeś Hansena o jedenastej. Mówił coś? -
zapytał Cameron. - Wspomniał słowem o łodzi,
zdając służbę?
- Ani słowem, sir - przyznał O'Leary.

Cameron przełknął z trudem. Odwrócił się w
stronę Siegfrieda.

- Natychmiast się tym zajmę i wrócę później.
- Innymi słowy, nikt nie szukał tej cholernej

łódki! - wrzasnął Siegfried. - To, co tu się wyprawia, to prawdziwa komedia, tylko nie bardzo mi do śmiechu.

- Wydałem specjalny rozkaz, aby szukać łodzi - powiedział Cameron.

- Oczywiście, ale rozkazy to mało, tępaku - fuknął Siegfried. - Oczekuje się tu od ciebie kierownictwa. Wziąłeś na siebie odpowiedzialność.

Siegfried zamknął oczy i zacisnął zęby. Wszystko wymknęło mu się z rąk. Teraz mógł jedynie prosić pułkownika o postawienie w stan alarmu jednostek armii w Acalayong, gdyby jakimś cudem tam właśnie udali się uciekinierzy.

Jednak daleko mu było do optymizmu. Wiedział, że gdyby to on uciekał, skierowałby się w takiej sytuacji do Gabonu.

Nagle otworzył oczy. W głowie zaświtała mu jeszcze inna myśl, nawet bardziej zatrważająca.

- Czy na Isla Francesca są strażę? - zapytał.

- Nie, sir. Nikt nie wydawał takiego polecenia.

- Co z mostem na stały ląd?

- Został podniesiony na pański rozkaz - przypomniał Cameron.

- W takim razie natychmiast tam jedziemy -

zarządził Siegfried. Ruszył do samochodu

Cameron. Gdy wsiadał, na parking z ogromną

szybkością zajęły trzy wozy. Wszystkie pełne

były żołnierzy uzbrojonych w karabiny.

Z jadącego na przedzie jeepa wysiadł pułkownik

Mongomo. W przeciwieństwie do niechlujnie

wyglądających żołnierzy miał na sobie

nieskazitelnie skrojony mundur ozdobiony

rzędem medali. Pomimo że była noc, nosił

odblaskowe okulary przeciwsłoneczne.

Zasalutował sztywno Siegfriedowi i oznajmił, że

jest na jego usługi.

- Będę bardzo wdzięczny, jeśli zajmie się pan

tymi pijakami - powiedział Siegfried, wskazując

na posterunek. Starał się panować nad swoim

tonem. - Druga taka grupa zostanie panu

wskazana przez oficera O'Leary'ego. Część

żołnierzy niech jedzie za mną. Możemy

potrzebować odpowiedniej siły ognia.

Kevin skinął w stronę Jacka, by zwolnił. Jack

przymknął przepustnicę i ciężka łódź

momentalnie wytraciła prędkość. Wpływali do

wąskiego kanału oddzielającego wyspę od

stałego ładu. Drzewa rosnące po obu brzegach łączyły się w górze, tworząc baldachim, dlatego było tu znacznie ciemniej niż na otwartej przestrzeni.

Kevin obawiał się przypadkowego wpłynięcia na linę od tratwy, którą dostarczano na wyspę żywność, więc osobiście zajął pozycję na dziobie.

Wyjaśnił Jackowi, w czym rzecz, tak że i on był przygotowany.

- Niesamowicie tu - odezwała się Laurie.

- Słyszycie, jak zwierzęta hałasują? - dodała Natalie.

- To, co słyszycie, to głównie żaby - wyjaśniła Melanie. - Romantycznie kumkające żaby.

- Tratwa jest tuż przed nami - zakomunikował Kevin.

Jack wyłączył silnik i wyjął śrubę z wody. Po sekundzie poczuli lekkie uderzenie, a następnie skrobanie o dno, gdy łódź przepływała nad zanurzoną w wodzie liną.

- Weźmy się za wiosła - zaproponował Kevin. -

Musimy przepłynąć jeszcze kawałek, a nie chciałbym zderzyć się z jakimś pniem.

Gdy dotarli w pobliże mostu, gęsta dżungla

zniknęła. Znowu znaleźli się w świetle księżyca.

- Och, nie! - zawołał Kevin. - Zwinęli most.

Cholera!

- To nie powinno stanowić problemu - odezwała

się Melanie. - Nadał mam to. - Wyciągnęła z

torby klucz, który błysnął w bladym świetle. -

Przeczuwałam, że jeszcze może okazać się

pomocny.

- Ach, Melanie! - szepnął Kevin. - Jesteś

cudowna. Przez chwilę myślałem, że wszystko

stracone.

- Teleskopowy most zamykany na klucz? To

trochę skomplikowane urządzenie jak na

potrzeby mieszkańców dżungli - zdziwił się Jack.

- Po prawej stronie jest przystań - zwrócił uwagę

Kevin. - Tam możemy przywiązać łódź.

Jack tak manewrował wiosłem, że czółno

ustawiło się dziobem do brzegu. Chwilę później

łagodnie uderzyli w deski przystani.

- Dobra, gotowe - stwierdził Kevin. Głęboko

zaczerpnął powietrza. Był zdenerwowany.

Wiedział, że nie jest sobą, gdy przychodzi mu

grać kogoś, kim nigdy przedtem nie był -

bohatera. - Zrobimy, jak sugerowałem.

Zostaniecie w łodzi. Przynajmniej na razie. Nie wiem, jak zwierzęta zareagują na mnie. Są niewiarygodnie silne, więc istnieje pewne ryzyko. Z powodów, o których mówiłem wcześniej, jestem gotów je podjąć, ale nie chciałbym nikogo z was na nie narażać. Czy brzmi to dostatecznie rozsądnie?

- Brzmi rozsądnie, ale nie wiem, czy się zgodzę -
odparł Jack. - Zdaje mi się, że będziesz potrzebował pomocy.

- Poza tym mając to, bez wątpienia zdołamy się obronić - wtrącił Warren, wskazując na broń.

- Żadnego strzelania! - zaprotestował Kevin. -

Proszę. Dla mojego bezpieczeństwa. Dlatego chcę, żebyście tu wszyscy zostali. Jeśli sprawy potoczą się źle, odpływajcie.

Melanie wstała.

- Jestem prawie tak samo jak ty odpowiedzialna za stworzenie tych istot. Pomogę, czy ci się to podoba, czy nie.

Na twarzy Kevina pojawiła się irytacja.

- Bez dąsów - uprzedziła Melanie. Wysiadła z łodzi na przystań.

- Wygląda na niezłą zabawę - powiedział Jack i

chciał ruszyć za nią.

- Ty siadaj! - powiedziała Melanie

zdecydowanym tonem. - W tej chwili to

prywatna zabawa.

Jack posłusznie usiadł.

Kevin sięgnął po latarkę i przyłączył się do stojącej na brzegu Melanie.

- Będziemy się śpieszyć - obiecał.

Najpierw trzeba było się uporać z mostem. Bez tego plan zawaliłby się niezależnie od reakcji zwierząt. Kevin włożył klucz. Gdy go przekręcił i wcisnął zielony przycisk, wstrzymał oddech.

Natychmiast usłyszał dolatujący od strony wyspy warkot elektrycznego silnika. W następnej sekundzie teleskopowy most zaczął rozciągać się ponad ciemną tonią rzeki i jego koniec wreszcie dotknął betonowej podpory.

Kevin wszedł na most, by sprawdzić jego stabilność. Spróbował nim zakołysać, ale trzymał się sztywno. Usatysfakcjonowany zszedł na brzeg i wraz z Melanie poszedł w stronę lasu.

W ciemności nie widzieli klatek, ale wiedzieli doskonale, gdzie ich szukać.

- Masz jakiś plan, czy wypuszczamy je wszystkie

jak popadnie? - spytała Melanie.

Kevin świecił pod nogi, aby mogli poruszać się szybciej i bezpieczniej.

- Jedyne co mi przyszło do głowy, to odszukać mój duplikat. To on jest przywódcą. Jeżeli uda mi się przekonać go do naszego planu, być może jemu uda się pociągnąć za sobą pozostałe. Masz lepszy pomysł?

- W tej chwili nie - przyznała Melanie.

Klatki ustawiono w długim szeregu. Wobec tego, że niektóre zwierzęta znajdowały się w nich już dłużej niż dobę, smród był trudny do zniesienia.

Idąc wzdłuż klatek, Kevin świecił do wnętrza każdej. Zwierzęta natychmiast się obudziły.

Niektóre chowały się pod tylną ścianą i zasłaniały przed blaskiem. Inne stały twarzą, a oczy jarzyły się im czerwono.

- Jak go rozpoznasz?

- Liczę, że ma ciągle na ręce mój zegarek. Ale to mało prawdopodobne. Łatwiej chyba rozpoznam go po tej przeraźliwej bliznie.

- To zakrawa na ironię, że Siegfried ma prawie taką samą bliznę - zauważyła Melanie.

- Nawet nie wspominaj tego imienia - powiedział

Kevin. - Mój Boże, patrz! - Światło latarki

wydobyło z ciemności okropnie oszpeconą twarz

bonobo numer jeden. Zwierzę spoglądało

wyzywająco na przybyszy.

- To on! - zawołała Melanie.

- Bada - powiedział Kevin. Uderzył się w piersi

tak jak samice bonobo, kiedy Melanie, Candace i

on zostali przyprowadzeni do jaskini.

Małpa przekręciła głowę, a skóra między oczami

zmarszczyła mu się.

- Bada - powtórzył Kevin.

Wielki samiec uniósł powoli rękę, uderzył się w

pierś i powiedział "bada" tak samo wyraźnie jak Kevin.

Kevin spojrzał na Melanie. Oboje byli

zaskoczeni. Chociaż jako więźniowie starali się

porozumiewać z Arthurem, jednak odbywało się

to w zupełnie innej sytuacji i nigdy nie byli do

końca przekonani, że rzeczywiście nawiązali

kontakt. Tym razem to było coś innego.

- Atah - powiedział Kevin. To słowo słyszeli

wielokrotnie. Podejrzewali, że oznacza "chodź".

Zwierzę nie zareagowało.

Kevin powtórzył słowo i spojrzał na Melanie.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

- Ja też nie mam pojęcia. Otwórzmy klatkę.

Może wtedy coś odpowie. No bo chyba trudno mu podejść, skoro jest zamknięty.

- Racja. - Kevin obszedł Melanie i zbliżył się z boku do klatki. Z drżeniem uchylił zapadkę i otworzył drzwi. Odsunęli się. Kevin skierował snop światła z latarki na ziemię, nie chcąc świecić stworzeniu prosto w twarz.

Bonobo wyszedł na zewnątrz i wyprostował się. Rozejrzał się wokół i dopiero teraz popatrzył na ludzi.

- Atah - powtórzył znowu Kevin i zaczął się wycofywać.

Melanie stała z boku.

Bonobo ruszył do przodu, naprężając mięśnie niczym sportowiec przed walką.

Kevin odwrócił się, tak że łatwiej mu się teraz szło. Jeszcze parę razy powtórzył "atah". Jednak wyraz twarzy zwierzęcia nie zmieniał się.

Kevin prowadził do mostu. Wszedł na niego i znowu powiedział "atah".

Bonobo z wahaniem wspiął się na betonową podstawę mostu. Kevin cofał się, aż stanął mniej więcej na środku. Bonobo z lękiem, rozglądając się na boki, wszedł na most.

Teraz Kevin spróbował czegoś, czego nie ćwiczyli wcześniej z Arthurem. Powiedział "sta", które zapamiętał, gdy bonobo wręczał Candace martwą małpę, "zit" - bonobo numer jeden użył tego słowa, gdy chciał, aby weszli do jaskini, i "arak" co oznaczało z pewnością "odejdz".

- Sta zit arak - powiedział Kevin. Rozłożył palce i uczynił ręką gest, który Candace zauważyła na sali operacyjnej. Kevin miał nadzieję, że ten zlepek słów będzie znaczył: "Odejdźcie stąd".

Powtórzył to zdanie jeszcze raz i wskazał ręką na północny wschód, w stronę bezkresnego tropikalnego lasu.

Bonobo wyprostował się i popatrzył poza plecy Kevina w mroczną otchłań dżungli. Zaraz jednak odwrócił się i popatrzył na rząd klatek.

Rozkładając ręce, wydał z siebie serię dźwięków, których wcześniej Kevin i Melanie nie słyszeli, a przynajmniej nie potrafili połączyć z żadną konkretną sytuacją.

- Co on robi? - spytał Kevin. W tej chwili zwierzę było odwrócone.

- Mogę się mylić, ale sądzę, że chyba zawiadamia swoich towarzyszy - stwierdziła Melanie.

- Boże drogi! Zdaje się, że mnie zrozumiał.

Wypuścimy następne zwierzęta.

Kevin postanowił zejść z mostu. Bonobo wyczuł ruch i zwrócił się w stronę Kevina. Most miał mniej więcej trzy metry szerokości i Kevin obawiał się przejść zbyt blisko zwierzęcia. Zbyt dobrze pamiętał, z jaką łatwością bonobo podniósł go i rzucił niczym szmacianą kukiełkę.

Wpatrywał się uważnie w twarz małpy, aby zobaczyć ślady jakichkolwiek emocji, lecz niczego nie dostrzegł. Jedynie po raz kolejny odniósł wrażenie, że spogląda w zwierciadło ewolucji.

- O co chodzi? - zapytała Melanie.

- Jest groźny. Nie wiem, czy przejść obok niego, czy lepiej nie.

- Proszę, nie mamy zbyt wiele czasu - przypomniała Melanie.

- Okay. - Kevin wziął głęboki oddech i idąc przy samej krawędzi, krok po kroku doszedł do końca mostu. Bonobo obserwował go, ale nie poruszył się.

- To mi zupełnie zrujnuje nerwy - wyznał Kevin, gdy stanął na stałym gruncie.

- Czy zostawimy go tu?

Kevin podrapał się w głowę.

- Nie wiem. Mógłby zwabić pozostałe, więc chyba byłoby dobrze zabrać go ze sobą.

- No to ruszmy się stąd. Niech on zdecyduje - zaproponowała Melanie.

Udali się w stronę klatek. Ucieszyli się, widząc, że bonobo natychmiast zszedł z mostu i podążył ich śladem.

Szli szybko, uświadamiając sobie, że Candace i pozostali czekają na nich. Gdy podeszli do klatek, nie wahali się. Kevin otworzył pierwszą, a Melanie drugą.

Zwierzęta natychmiast wyszły i wymieniły jakieś słowa z numerem jeden. Melanie i Kevin otwierali już następne klatki.

W kilka minut kłębił się wokół nich z tuzin zwierząt wykrzykujących do siebie.

- Udało się - stwierdził Kevin. - Na sto procent.

Gdyby chciały uciec w głąb wyspy, już by to zrobiły. Myślę, że wiedzą, iż muszą stąd odejść.

- Może pójdę po Candace i naszych nowych przyjaciół. Powinni to zobaczyć, no i mogliby przyspieszyć całą operację.

- Dobry pomysł - przyznał Kevin. Patrzył na długi szereg klatek. Wiedział, że jest ich ponad siedemdziesiąt.

Melanie pobiegła w mrok, podczas gdy on zajął się uwalnianiem kolejnych bonobo. Zauważył, że numer jeden znajduje się cały czas w pobliżu i wita kolejne wychodzące z klatek zwierzęta.

Otworzył może z pół tuzina klatek, gdy zjawili się pozostali przyjaciele. W pierwszej chwili poczuli się onieśmieleni obecnością tych dziwnych stworzeń i nie wiedzieli, co robić. Zwierzęta jednak ignorowały wszystkich z wyjątkiem Warrena, którego omijały szerokim łukiem.

Warren trzymał broń, która, jak domyślił się Kevin; musiała im przypominać wiatrówki używane do usypiania.

- Są takie spokojne - zauważyła Laurie. - Jak zjawy.

- Są odurzone - wyjaśnił Kevin. - To może być efekt działania środków usypiających, ale i długiego uwięzienia. Jednak nie podchodźcie zbyt blisko. Może są i spokojne, lecz również bardzo silne.

- Jak możemy ci pomóc? - zapytała Candace.

- Otwierajcie klatki - odparł Kevin.

Siedem osób w kilka minut uporało się z zadaniem. Gdy tylko ostatnie zwierzę zostało uwolnione, Kevin skinął ręką, by wszyscy poszli za nim na most.

Bonobo numer jeden, postępując za Kevinem niczym cień, klasnął w dłonie tak samo jak wtedy, kiedy stojąc w kępie drzew, pierwszy raz dojrzał przybyszów. Zawołał coś ochryple i ruszył za ludźmi. W całkowitej ciszy pozostałe zwierzęta natychmiast podążyły za swym przywódcą.

Siedmioro ludzi prowadziło siedemdziesiąt jeden transgenicznym bonobo przez łąkę na most, który otwierał zwierzętom drogę do wolności. Przy wejściu na most ludzie odsunęli się na stronę. Przywódca małp zatrzymał się na betonowej podporze.

- Sta zit arak - powtórzył Kevin i odsunął od siebie otwartą dłoń. Teraz wskazał palcem w stronę niezbadanej, dziewiczej afrykańskiej dżungli.

Przed wejściem na most wielki samiec skinął głową. Spojrzał jeszcze na swoich pobratymców i

zawołał coś ostatni raz, następnie odwrócił się,
przeszedł przez most i zanurzył się w dżungli.

Pozostałe małpy podążyły w spokoju za swym
przewodnikiem.

- To jakby patrzeć na Exodus - rzucił Jack.

- Nie bluźnij - zachnęła się Laurie. Ale w tym, co
powiedział, było przecież ziarno prawdy.

Spektakl, którego stała się mimowolnym
świadkiem, przejmował ją grozą.

Jak za sprawą magii bez jednego odgłosu
zwierzęta rozplynęły się w mroku lasu. W jednej
chwili były niespokojnie kotłującym się tłumem,
w następnej zniknęły jak woda w gąbce.

Ludzie przez wiele sekund trwali w bezruchu,
nie odzywając się ani słowem. W końcu Kevin
przerwał ciszę.

- Są wolne, a ja jestem szczęśliwy. Dziękuję wam
wszystkim za pomoc. Może teraz pogodzę się
jakoś z tym, co zrobiłem. - Podeszedł do mostu i
nacisnął czerwony przycisk. Most zaczął się
składać.

Cała grupa zrobiła w tył zwrot i ciężkim krokiem
poszła w stronę łodzi.

- To było jedno z najdziwniejszych widowisk,

jakie oglądałem - przyznał Jack.

W połowie drogi Melanie nagle zatrzymała się i
zawołała:

- Och, nie! Patrzcie!

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, w którą
wskazywała. Przez gęstą zieleń przebijały się
snopy światła z kilku pędzących pojazdów.

Zmierzały w stronę mostu.

- Nie zdążymy dotrzeć do łodzi! - rzucił Warren.

- Zobaczą nas.

- Tu także nie możemy zostać - uznał Jack.

- Z powrotem do klatek! - zarządził Kevin.

Rzucili się w pośpiechu ku ścianie dżungli.

Ledwo zdążyli się skryć za klatkami, polanę
rozświetliły reflektory aut. Wozy zatrzymały się,
ale silniki pracowały i światła nadal rozświetlały
ciemność.

- To oddział żołnierzy - powiedział Kevin.

- I Siegfried - dodała Melanie. - Jego rozpoznam
wszędzie. A tam stoi wóz Camerona McIversa.

Teren zaczęło przeszukiwać światło szperacza.

Ostry strumień oświetlił rząd klatek, następnie
przeniósł się na brzeg wody. Szybko dostrzeżono
łódź.

Nawet z odległości kilkunastu metrów usłyszeli
podekscytowane głosy żołnierzy.

- Niedobrze. Wiedzą, że tu jesteśmy - stwierdził
Kevin.

Nagle długa seria z ciężkiej broni maszynowej
rozdarła nocną ciszę.

- Na miłość boską, do czego oni strzelają? -
zastanowiła się Laurie.

- Obawiam się, że właśnie zniszczyli naszą łódź -
stwierdził Jack. - Zdaje się, że nie odzyskam już
mojego zastawu.

- To nie pora na żarty - upomniała go Laurie.

Eksplozja dopełniła miary chaosu, a ognista kula
oświetliła żołnierzy.

- Musieli trafić w zbiornik paliwa - domyślił się
Kevin. - No to tyle, jeśli chodzi o nasz środek
transportu.

Kilka chwil później światło szperacza zgasło.

Pierwszy z pojazdów zawrócił i pojechał drogą
do Cogo.

- Czy ktoś rozumie, o co w tym wszystkim
chodzi? - zapytał Jack.

- Według mnie Siegfried i Cameron wracają do
Cogo. Wiedzą, że jesteśmy na wyspie, i poczuli

się nieco pewniej - stwierdziła Melanie.

Światła drugiego auta też nagle zgasły,
pograżając całą okolicę w nieprzeniknionych
ciemnościach. Nawet księżyc słabiej świecił,
odkąd znalazł się na zachodzie.

- Wolałbym wiedzieć, gdzie są i co planują -
odezwał się Warren.

- Jak duża jest wyspa? - zapytał Jack.

- Około dziewięć i pół kilometra długości i trzy
szerokości - poinformował Kevin. - Ale...

- Wywołają pożar - przerwał mu Warren.

W pobliżu mostu pojawiły się złote błyski, które
szybko zamieniły się w wysokie płomienie
ogniska. Na obrzeżach światła bijącego od niego
zamajaczyły sylwetki żołnierzy.

- Czy to nie miłe - wtrącił Jack. - Wygląda, jakby
się urządzali na noc.

- Co teraz zrobimy? - W głosie Laurie brzmiała
nuta desperacji.

- Skoro rozbili się obozem przy moście, nie
mamy wielkiego wyboru - stwierdził Warren. -

Naliczyłem sześciu.

- Miejmy nadzieję, że nie zamierzają tutaj
przyjść - dodał Jack.

- Przed świtem się nie zjawia - zapewnił Kevin. -

Po ciemku bardzo trudno się tutaj poruszać.

Poza tym nie ma takiej potrzeby. Doskonale

wiedzą, że nie mamy dokąd pójść.

- Czy można przepłynąć kanał? - zapytał Jack. -

To tylko dziesięć, dwanaście metrów szerokości i praktycznie żadnego nurtu.

- Nie jestem dobrym pływakiem - oświadczył

zdenerwowany Warren. - Już ci to mówiłem.

- W wodzie roi się od krokodyli - poinformował

Kevin.

- O Boże! - jęknęła Laurie. - Dlaczego dopiero

teraz o tym mówisz?

- Ale słuchajcie! - Nagle Kevinowi przyszło coś

do głowy. - Wcale nie musimy pływać.

Przynajmniej tak mi się zdaje.

Najprawdopodobniej łódź, którą Melanie,

Candace i ja przyплыnęliśmy na wyspę, stoi

ciągle tam, gdzie ją zostawiliśmy, a jest dość

duża dla nas wszystkich.

- Fantastycznie! - ucieszył się Jack. - Gdzie jest?

- Niestety, będziemy musieli odbyć krótki

spacer. Niecałe dwa kilometry, ale przynajmniej

droga jest oczyszczona i dość łatwa.

- Więc spacerek po parku - skwitował Jack.

- Która godzina? - zapytał Kevin.

- Trzecia dwadzieścia - odparł Warren.

- W takim razie do świtu nie zostało zbyt wiele czasu. Lepiej nie zwlekajmy - zaproponował Kevin.

To, co Jack żartobliwie nazwał spacerkiem po parku, okazało się najbardziej mozolnym doświadczeniem, jakie mieli okazję przeżyć. Nie chcieli używać latarek, więc przez pierwsze sto, sto pięćdziesiąt metrów posuwali się w szyku, który można by określić jako: "ślepy prowadzi ślepego". W dżungli panowała tak absolutna ciemność, że nie mieli pewności, czy ich oczy są otwarte, czy zamknięte.

Kevin maszerował pierwszy, delikatnie badając drogę wysuniętą stopą; wielokrotnie zbaczał z traktu i wracał na właściwą ścieżkę. Zdając sobie sprawę z tego, jakie stworzenia zamieszkują las, wstrzymywał oddech za każdym razem, gdy wyciągał rękę lub stopę w nieznane.

Za nim ciągnął się wąż złożony z pozostałych osób. Każdy trzymał się niewidzialnego poprzednika. Jack próbował nieco poprawić

nastrój, ale nawet jego zwykła nonszalancja szybko zgasła. Stali się ofiarami własnego strachu podsycanego przez nocne odgłosy stworzeń skrzeczących, świszczących, wyjących, kwilących, czasami wrzeszczących. Wszystko to było, zdawało się, na wyciągnięcie ręki.

Kiedy wreszcie uznali, że bezpiecznie będzie już włączyć latarki, ruszyli zwawszym krokiem. W tej samej jednak chwili dreszcz przeszedł im po plecach na widok pełzających spod nóg węży i uciekających insektów.

Kiedy dotarli do bagnistych terenów wokół Lago Hippo, wschodni horyzont zaczął z lekka jaśnieć. Opuszczając leśne ciemności, błędnie uznali, że najgorsze mają za sobą. Tak jednak nie było. W jeziorze roiło się od hipopotamów. W szarówce zbliżającego się świtu zwierzęta wyglądały na olbrzymie.

- Może tak nie wyglądają, ale są bardzo niebezpieczne - ostrzegł Kevin. - Zabiły więcej ludzi niż sądzicie.

Okружиł hipopotamy szerokim łukiem. Ale kiedy zbliżyli się do trzciny, w której spodziewali się znaleźć ukrytą małą łódkę, musieli podejść bliżej

do dwóch dużych osobników. Zwierzęta zdawały się obserwować ich sennym wzrokiem, lecz trudno było przewidzieć, czy nie ruszą nagle do ataku. Na szczęście poszły w stronę jeziora, robiąc przy tym mnóstwo hałasu i zamieszania.

Każdy z tych wielotonowych stworów wydeptał przy tym nową ścieżkę przez sitowie. Na chwilę serca uciekinierów zatrzepotały w piersiach.

Trochę trwało, zanim wrócili do siebie.

Niebo zaczęło wyraźnie szarzeć i zorientowali się, że nie mogą dłużej zwlekać. Krótka trasa zajęła znacznie więcej czasu, niż początkowo sądzili.

- Dzięki Bogu łódź ciągle tu jest - stwierdził Kevin, rozgarniając trzciny. Nawet pudełko z żywnością leżało na swoim miejscu.

Jednak w tym momencie zrodził się nowy problem. Od razu zorientowali się, że łódka jest za mała, żeby bezpiecznie przewieźć siedem osób. Po trudnej dyskusji zdecydowali, że Jack i Warren poczekają w sitowiu na Kevina, który odwiezie kobiety na dużą łódź i wróci.

Czekanie było piekłem. Nie tylko dlatego, że coraz jaśniejsze niebo zapowiadało nadejście

świtu, ale i ostrzegąo możliwym pojawieniu się
żołnierzy. Bali się także, czy łódź motorowa nie
zniknęła. Jack i Warren to spoglądali nerwowo
na siebie, to na zegarki, a do tego cały czas
walczyli z chmurami unoszących się nad wodą
owadów. Poza tym byli kompletnie wykończeni
po minionych przejściach.

Kiedy już zaczęli podejrzewać, że pozostałym
przydarzyło się coś okropnego, Kevin jak miraż
wyłonił się spomiędzy trzciny, wiosłując cicho.

Warren zaraz za Jackiem wdrapał się do łódki.

- Z motorówką wszystko gra? - zapytał Jack.

- Przynajmniej była na swoim miejscu. Nie
próbowałem włączać silnika.

Wyłynęli zza trzciny i skierowali się na Rio

Diviso. Niestety, po drodze było tyle

hipopotamów, a nawet kilka krokodyli, że

musieli nadłożyć drogi, by dotrzeć bezpiecznie
do celu.

Zanim znaleźli się w bezpiecznej kryjówce

zieleni porastającej ujście rzeki, kątem oka

dostrzegli zbliżających się żołnierzy.

- Sądzicie, że nas zauważyli? - spytał siedzący na
dziobie Jack.

- Nie ma sposobu, by się dowiedzieć - odparł

Kevin.

- O mały włos byłoby po nas - skomentował Jack z ulgą.

Oczekiwanie dla kobiet było nie mniej trudne niż wcześniej dla Jacka i Warrena. Kiedy spostrzegły łódkę, po twarzach spłynęły im łzy ulgi.

Teraz martwili się tylko, czy silnik łodzi zaskoczy. Jack, który jako młodzieniec miał do czynienia z motorówkami, zgodził się tym zająć.

Gdy on sprawdzał urządzenie, reszta wiosłowała na otwarte wody.

Jack napompował paliwa, pomodlił się i pociągnął za linkę rozrusznika.

Silnik zadławił się, zakaszłał i w ciszy poranka zagrzemiał równą pracą. Jack popatrzył na Laurie. Uśmiechnęła się i uniosła w górę kciuk.

Wrzucił bieg, otworzył maksymalnie przepustnicę i pokierował dokładnie na południe, gdzie za zieloną linią horyzontu rozciągał się Gabon.

EPILOG

18 marca 1997 roku

godzina 15.45

Nowy Jork

Lou Soldano machnął legitymacją służbową i wszedł do sali odpraw celnych na międzynarodowym lotnisku Kennedy'ego.

Zerknął na zegarek. Ruch na drodze był niniejszy, niż Lou się spodziewał, miał więc nadzieję, że nie spóźnił się na powitanie wracających do domu obywateli.

Podszedł do jednego z bagażowych i zapytał, przy którym stanowisku będzie odbiór bagaży z Air France.

- Idź do końca, brachu - odparł zapytany i ręką wskazał kierunek.

Mam szczęście, pomyślał Lou, przyspieszając do lekkiego truchtu. Zaraz jednak zwolnił i po raz milionowy złożył solenne przyrzeczenie, że od zaraz przestanie palić.

Gdy podszedł bliżej, łatwo się zorientował, gdzie powinien oczekiwać znajomych. Na monitorze dużymi literami wypisano: AIR FRANCE.

Dookoła kotłowali się ludzie.

Lou okrążył tłumek. Chociaż wszyscy byli zwrócenii do niego tyłem, z łatwością wypatrzył włosy Laurie. Wśliznął się między pasażerów i

ścisnął ją za ramię. Odwróciła się oburzona, ale natychmiast poznała przyjaciela. Nie bacząc, że wszyscy patrzą, uściskała go tak serdecznie, że aż się zarumienił.

- Dobrze, już dobrze, poddaję się - rozłożył ręce i roześmiał się.

Laurie puściła go, więc mógł się przywitać z Jackiem i Warrenem. Natalie pocałował w policzek.

- No to jak, kocham, podróż była udana czy nie?

- zapytał. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest niezwykle zaintrygowany wynikami wycieczki.

Jack popatrzył na Laurie i wzruszył ramionami.

- Było nie najgorzej - odparł wymijająco.

- Tak, nieźle - przytaknęła Laurie. - Właściwie nic niepokojącego się nie wydarzyło.

- Tak? Jestem zaskoczony. No, wiecie, wyprawa do Afryki i w ogóle. Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem co nieco.

- Co słyszałeś, człowieku? - wtrącił się Warren.

- No, że mają tam dużo zwierząt.

- I to wszystko? - spytała Natalie.

Lou wyglądał na zaambarasowanego.

- No tak. Zwierzęta i wirus Ebola. Ale, jak mówiłem, nigdy tam nie byłem.

Jack roześmiał się, a za nim pozostali.

- O co tu chodzi? Gracie sobie ze mną w kulki?! - zawołał Lou.

- Tak mi się zdaje - potwierdziła Laurie. -

Mieliśmy fantastyczną podróż! Pierwsza część

była nieco wyczerpująca, ale jakoś

przetrwaliśmy, a potem wylądowaliśmy w

Gabonie i mieliśmy już wszystko w garści.

- Widzieliście jakieś zwierzaki?

- Więcej niż potrafisz sobie wyobrazić -

powiedziała Laurie.

- A widzicie, tak właśnie wszyscy mówią - odparł

usatysfakcjonowany Lou. - Może któregoś dnia

ja też tam pojadę.

Kiedy zjawiły się ich bagaże, przemknęli przez

odprawę i przeszli przez terminal. Nie

oznakowany wóz Lou stał przy krawężniku tuż

przed wejściem.

- Jeden z przywilejów - wyjaśnił przyjaciołom.

Złożyli torby w bagażniku i wsiedli do wozu.

Laurie usiadła obok Lou. Wyjechali z lotniska i

natychmiast wylądowali w ulicznym korku.

- A co u ciebie? - spytała Laurie. - Posunąłeś się trochę do przodu?

- Już się bałem, że nigdy nie spytacie. Po waszym wyjeździe sprawy tak ruszyły, że trudno uwierzyć. Prawdziwą kopalnią złota okazał się Dom Pogrzebowy Spoleto. Wszyscy czekają teraz na wyznaczenie kaucji. Mam nawet akt oskarżenia przeciwko Vinniemu Dominickowi.

- Fantastycznie - uradowała się Laurie. - A co z tą obrzydliwą świnią, Angelem Facciolem?

- Ciągle zapuszkowany. Przygwoździmy go za wykradzenie zwłok Franconiego. Wiem, że to niewiele, ale Ala Capone przyłapali na niepłaceniu podatków.

- Znaleźliście wtyczkę w naszym zakładzie? - pytała dalej Laurie.

- Owszem. To właśnie dzięki temu możemy przycisnąć Angela. Vinnie Amendola zdecydował się zeznawać.

- Ach, więc to jednak Vinnie - powiedziała Laurie z mieszaniną satysfakcji i żalu.

- Nic dziwnego, że zachowywał się tak dziwnie - wtrącił Jack.

- Pojawił się też nieoczekiwany trop. Ktoś jeszcze

był w to wszystko wmieszany. Zaskoczył nas.

Kiedy wróci do kraju, zostanie aresztowany pod zarzutem zamordowania nastolatki z Jersey, Cindy Carlson. Sądzymy, że zrobili to Franco Ponti i Angelo Facciolo, ale na zlecenie tego faceta. Nazywa się Raymond Lyons. Słyszeliście o nim?

- Ja nie - odparł Jack.

- Ani ja - przyznała Laurie.

- Cóż, w każdym razie ma coś wspólnego z tymi transplantacjami, które was tak zainteresowały.

Ale o tym później. Teraz ja chciałbym posłuchać, szczególnie o tej pierwszej części wyprawy, tej nieco wyczerpującej.

- W takim razie będziesz musiał postawić obiad - stwierdziła Laurie. - To naprawdę długa opowieść.

SŁOWNIK

BIAŁKA RYBOSOMALNE: białka, z których zbudowane są rybosomy. Wykorzystywane są do identyfikacji krwi ludzkiej lub zwierzęcej.

BONOBO: człekokształtna małpa

sklasyfikowana jako gatunek w 1933 roku.

Blisko spokrewniona z szympansem, czasami

porusza się w wyprostowanej postawie,
zamieszkuje niewielki obszar Zairu. Populację
szacuje się na mniej niż dwadzieścia tysięcy
sztuk.

CENTROMER: wyspecjalizowany fragment
chromosomu odgrywający ważną rolę w
replikacji chromosomu w procesie podziału
komórki.

CHIMERA: według mitologii greckiej
kombinacja lwa, kozy i węża. W literaturze
chimera jest symbolem stworzenia
wyimaginowanego, niemożliwego w naturze
połączenia. W biologii chimera to organizm
składający się z tkanek o różnych genotypach. W
genetyce to istota posiadająca DNA pochodzący
z różnych źródeł.

CHROMOSOM: wydłużona struktura w jądrze
komórkowym zawierająca DNA. U ludzi i małp
człękkształtnych występują dwadzieścia trzy
pary chromosomów.

CHROMOSOMY HOMOLOGICZNE:
chromosomy podobne ze względu na zawarte w
nich geny i widoczną strukturę, np. każdy z
chromosomów w swojej parze.

CROSSING-OVER: wymiana części

chromosomów między parą chromosomów

podczas mejotycznego podziału jądra

komórkowego.

DNA: kwas dezoksyrybonukleinowy, w którym

zawarta jest informacja genetyczna.

GEN: odcinek łańcucha DNA odpowiedzialny za

przekazywanie określonych cech dziedziczenia,

zlokalizowany w typowym dla siebie miejscu

chromosomu jądra komórkowego.

GENOM: Całość informacji genetycznej. U

człowieka genom zawiera około stu tysięcy

genów.

LIMFOKINA: immunologicznie aktywny

hormon produkowany przez komórki zwane

limfocytami.

MEJOZA: rodzaj podziału komórki zachodzący

przy powstawaniu komórek rozrodczych (jaja

lub plemnika), w rezultacie którego w każda

komórka rozrodcza posiada połowę normalnej

liczby chromosomów. U ludzi każda komórka

rozrodcza zawiera więc dwadzieścia trzy

chromosomy.

MITOCHONDRIA: samoreplikujące się

organelle komórkowe, dostarczające komórce energii.

MITOCHONDRIALNY DNA: DNA niezbędny do replikacji mitochondrialnej, dziedziczony wyłącznie w linii żeńskiej.

MEROZOIT: faza rozwojowa niektórych pasożytów.

PASOŻYT: organizm żyjący na lub w innym organizmie (żywicielu), szkodząc mu.

PARAZYTOLOGIA: gałąź biologii badająca pasożyty.

PATOLOGIA: jedna z nauk medycznych badająca przyczyny, proces, anatomiczne skutki i konsekwencje chorób.

PATOLOGIA SĄDOWA: dział patologii zajmujący się badaniem patologicznym w kontekście prawa karnego i cywilnego.

PRZESZCZEP KSENOGENICZNY: organ lub tkanka pobrana z organizmu jednego gatunku i przeszczepiona do organizmu innego gatunku. Najczęściej dotyczy to organów zwierzęcych przeszczepianych człowiekowi.

REKOMBINANT DNA: złożona molekula DNA wytworzona w laboratorium z wykorzystaniem

DNA z różnych źródeł.

RYBOSOMY: cząsteczki zbudowane z RNA i

białek, miejsce syntezy białka w komórce.

TECHNOLOGIA REKOMBINACJI DNA: nauka

zajmująca się pozyskiwaniem, wytwarzaniem i

łączeniem fragmentów DNA i genów.

TRANSPOZYCJA HOMOLOGICZNA: wymiana

odpowiadających sobie fragmentów DNA

między chromosomami homologicznymi.

TRANSGENICZNY ORGANIZM: organizm,

którego genom zawiera geny z dwóch lub więcej

różnych gatunków.

ZGODNOŚĆ TKANKOWA: stan, w którym dwa

lub więcej organizmów może wymienić się

organami lub tkanką bez obawy odrzucenia (np.

u bliźniaków jednojajowych).

ZIARNINA: materia wypełniająca ubytek tkanki

w procesie odnowy.